

ŚLADY



ZBRODNI

MAŁGORZATA

MICHAŁ

KUŹMIŃSCY

MARA



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

MAŁGORZATA

MICHAŁ

KUŹMIŃSCY

MARA

Zapraszamy na www.publicat.pl

Projekt okładki
TOMASZ MAJEWSKI

Zdjęcia na okładce
© CSA Images/ Getty Images
© munandme/ Getty Images

Koordinacja projektu
NATALIA STECKA

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
BOGUSŁAWA OTFINOWSKA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Polish edition © Publicat S.A., Małgorzata Fugiel-Kuźmińska i Michał Kuźmiński
MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved.

ISBN 978-83-271-5909-0

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 2519

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)
[Karta redakcyjna](#)
[Motto](#)

I

[ROZDZIAŁ 1](#)
[ROZDZIAŁ 2](#)
[ROZDZIAŁ 3](#)
[ROZDZIAŁ 4](#)

II

[ROZDZIAŁ 5](#)
[ROZDZIAŁ 7](#)
[ROZDZIAŁ 8](#)
[ROZDZIAŁ 9](#)
[ROZDZIAŁ 10](#)
[ROZDZIAŁ 11](#)

III

[ROZDZIAŁ 12](#)
[ROZDZIAŁ 13](#)
[ROZDZIAŁ 14](#)
[ROZDZIAŁ 15](#)
[ROZDZIAŁ 16](#)
[ROZDZIAŁ 17](#)

[EPILOG](#)

[OD AUTORÓW](#)

*Dąbrowa nie jest innym, lepszym miastem od innych!
Są w niej tak samo różni ludzie jak wszędzie, tak samo dobrzy
i niedobrzy,
zazdrośni i litościwi, biedni i zamożniejsi, szczęśliwi
i nieszczęśliwi.
Więc po cóż sobie wmawiać, że zanim zdążą coś złego zrobić,
cud się stanie.*

(Z pamiętnika dwunastoletniej Melanii Weissenberg,
Dąbrowa Tarnowska, 16 sierpnia 1942 roku)

I

Dąbrowa Tarnowska-Ruda,
sierpień 1943 roku

Coś nie dawało mu spać. Dziecko też poruszyło się na pościeli, zakwiliło niespokojnie. Wojenne dziecko, czujne jak ptak na gałęzi. Tylko ona się nie obudziła, spała ciężkim snem z koszulą nocną pozwijaną wokół kolan, z zaciśniętymi udami, pięściami kurczowo zasłaniając piersi. Światło księżyca sączyło się przez okno. Maryja ze świętego obrazu patrzyła poważnie, z izby obok dochodziło chrapanie matki. Strach przegnał sen, szarpnął skurczem za żołądek. To mogło być wszystko. Bandyci. Pożar. Oni.

Bezgłośnie usiadł na pościeli, wstał, naciągnął koszulę i portki. Spojrzał na żonę, zamarł w pół gestu, jakby chciał jej dotknąć, ale cofnął rękę. Niech śpi. Może to tylko wiatr. Straż nocna na patrolu. Skradający się do kurnika lis.

Przemknął przez sień, sięgnął po siekierę. Możliwe, że to lis, ale nie ufał już nawet swoim zmysłom.

Wyszedł na podwórze i nasłuchiwał. Samotna kępa drzew kołysała się na horyzoncie, odcinając się od nieba rozjaśnionego zimnym światłem księżyca. Chłód przyniósł ulgę po gorącym dniu. Było cicho. Bardzo cicho. Może mu się wydawało. A może

znowu przyśnił mu się ten krzyk, który niósł się wtedy po polach jak pogłos burzy. Rozkazy w języku ostrym jak smagnięcie bykowcem i skargi w języku tak podobnym, a tak różnym. Ludzie chodzili patrzeć, jak klęczą do wysiedlenia. On też poszedł i chyba na zawsze ten jęk zostanie mu w uszach.

Puszczyk. Przytłumiony kwik z chlewika, gdzie spał ich największy skarb i źródło zagrożenia – maciora żywicielka. Wiedzieli, co grozi za nielegalny ubój, ale grzecznie oddawali kontyngent i żaden żandarm nigdy nie pofatygował się do nich, by liczyć prosiaki. Żyli z tego, co wyrosło, do tego wygłodniałe miasto ściągało na wieś, płacąc za każde pęto kiełbasy i worek kaszy żywą gotówką. Dziecko chowało się dobrze. Tylko on w nocy nie mógł spać.

Czy mu się wydawało, czy wrota do stodoły były uchylone? Dałby sobie rękę uciąć, że zamykał je na łańcuch, który teraz zwisał smętnie. Zdało mu się, że jeszcze się kołysał.

Lis by sam sobie nie otworzył. Mocniej ścisnął trzonek siekiery.

Na sztywnych nogach zbliżył się do stodoły, zajrzał. Chwilę trwało, zanim wzrok przyzwyczał się do ciemności, zanim w sączącym się między deskami świetle księżycy zaczął rozpoznawać kształty. Nic się nie poruszyło. Chwycił grabie, szturchnął siano. Nic. Tylko mysz śmignęła mu między nogami.

„Duchy”, sapnął. Przemykają cienie po miedzach. Czasem coś z pola ginie: główka kapusty, parę marchewek, kalarepa. Czasem kura. W lesie ktoś widział dym. Lisy raczej nie palą ognisk.

Zamknął ostrożnie wrota stodoły. Stał na środku podwórza, próbując dostrzec ruch. Wychwycić dźwięk. Coś ucięło go w szyję, klepnął się w kark, poczuł na dłoni coś ciepłego. Zaklął, podniósł rękę do oczu, wytarł w spodnie.

„Sen mara, Bóg wiara”, mruknął do siebie.

Skrzypnięcie drzwi zabrzmiało w ciszy jak wybuch. Nalał do miski mleka, sięgnął po kromkę chleba. Duchy, cienie, lisy, myszy. Wszystko to boże stworzenia. Zostawił miskę za wrotami stodoły, tym razem ich nie zamykając.

Siekierę odłożył w sieni i wrócił do łóżka. Gdy zasypiał, miał wrażenie, że Maryja z obrazu uśmiechnęła się do niego smutno.

W blasku księżyca zalśnił miecz przebijający jej gorejące serce.

Dąbrowa Tarnowska-Ruda,
sierpień 1988 roku

Chłopiec stał w sieni i nie mógł się zdecydować. Jasny pokój z rozsypanymi na podłodze klockami kusił zabawą w kręgu mlecznego światła lampy. Ale mrok za drzwiami też wzywał.

Mężczyzna wyszedł z kuchni i zastygł z papierosem w ustach, patrząc na chłopca.

– Co tam?

– Dziadziu, bo ja... – Chłopiec nabrał powietrza i zaczął nawijać na palec brzeg sweterka. – Bo ja się bawiłem w sadzie, to znaczy budowałem na Marsie stację kosmiczną jak w *Gwiezdnych wojnach*, koparką, a potem babcia zawołała mnie na racuchy, i ja zjadłem te racuchy, ale zrobiło się ciemno i jak wróciłem do bazy, to się okazało, że moi kosmonauci zostawili na Marsie koparkę, i ona tam leży, i ja teraz nie wiem, bo mógłbym pójść, ale...

– Boisz się sam lecieć na Marsa? – zapytał dziadek.

– No niby nie, bo w kosmosie to ja się nie boję, tam jest zawsze ciemno i Han Solo się nie boi, ale w sadzie... – Chłopiec zawiesił głos i rzucił błagalne spojrzenie.

– To chodź, mały.

Mężczyzna wziął go na ręce. Chłopca owionął zapach tytoniu, potu i wsi, ni to mleka, ni to ziemi, ni to zwierząt. Poczul dotyk szorstkiego, pokrytego krótką siwą szczecina policzka,

chropowatych, żylastych dłoni, grubego materiału koszuli, mocny uścisk spracowanych ramion. Zesztywniał i wywinął się jak piskorz. Mężczyzna spoważniał, postawił chłopca na ziemi i chwycił za rękę, zabrał z półki płaską latarkę. Wyszli w parny wieczór.

– Nie, ja się wcale nie boję kosmosu – opowiadał dalej chłopiec, ściskając kurczowo dłoń dziadka, gdy szli w stronę sadu. – Ale tutaj mogą być wampiry. No i tu jest las, to mogą być wilkołaki albo czarownica, albo upiór jak w „Scooby-Doo”, mnie to się śnią czasem takie straszne rzeczy, mumie albo duchy...

– Sen mara, Bóg wiara – mruknął dziadek.

Chłopiec ciągnął go pod czereśnię. Szli coraz wolniej, przed nimi pełzył snop światła. Aż wreszcie stanęli kilka kroków od drzewa.

– Przypatrz się, jest twoja koparka, idź po nią.

Chłopiec ostrożnie puścił dłoń dziadka. Zrobił kilka kroków w trawę, z której podnosiła się pachnąca owocami wilgoć. Odwrócił się. Dziadek stał na tle wieczornego nieba, patrzył gdzieś w przestrzeń, w stronę kępy drzew podświetlonej ginącym za horyzontem światłem zmierzchu. Przez światło latarki chłopiec nie widział jego twarzy, tylko zarys gestu, jakby dziadek żegnał się znakiem krzyża albo może odganiał gza.

Rozejrzał się, podniósł koparkę i otrzepał ją z ziemi. Przytulił zabawkę do piersi, puścił się pędem i przypadł do kolan mężczyzny.

– Widzisz, dziadku? Wcale że się nie bałem! – zawołał. – A tam mogły być wampiry! Albo wilkołaki! Albo...

– Bać to się trza tylko ludzi – przerwał mu dziadek. Ruszyli w stronę domu, przyzywającego chrypiącym głosem radia, pachnącego racuchami z jabłkiem, rozświetlonego mlecznym

światłem lampy. Chłopiec opuścił głowę, musiał patrzeć pod nogi, żeby się nie potknąć. Próbował nadążyć za dziadkiem, który trzymał jego rękę w wilgotnym uścisku.

Dziwne. Niby dziadek niczego się nie boi, a ucieka do domu, jakby go coś goniło.

Aż dotąd pomagał mi zdumiewający dar zapominania.

Albert Camus, Upadek
(przeł. Joanna Guze)



ROZDZIAŁ 1

Bastian wyszedł przed dom i otworzył bramę. Ogrodzenie było gotowe, brakowało tylko dzikiego wina, żeby sąsiedzi nie zaglądali. Wszystkich nagle zaczęło interesować, co się dzieje na podwórku – a działa się dużo, bo remont szedł pełną parą. Bastian czekał, aż ktoś przyniesie sobie popcorn i leżak. Inna sprawa, że dokładnie tak Dąbrowę Tarnowską zapamiętał: sąsiedzi u płotu, zioranie przez bramę, kontrolny rzut oka każdego, kto przechodził poboczem albo jechał na rowerze.

Czarny motor zatrzymał się na skraju pokrytego piaskiem podjazdu. Dalej rozciągało się rozjeżdżone gąsienicami maszyn budowlanych podwórze.

– Cześć, gdzie zgubiłeś Ankę? – zapytał Bastian, patrząc na puste siodełko za plecami motocyklisty, gdy ten zdjął kask i kiwnął mu głową na powitanie.

– Jedzie. – Gerard przeczesał palcami płowe włosy i odruchowo poklepał się po kieszeniach kurtki. Wygrzebał paczkę gum do żucia, wsunął jedną w usta.

– O, zdała? Za którym razem?

– Nie pytaj. Drażliwy temat. To twoje? – Gerard wskazał podbródkiem na dom.

– Nie, teraz już siostry – odpowiedział dziennikarz. – Robię tu za ciecia, póki ona siedzi w Stanach. Chcesz zobaczyć?

Ruszyli w głąb podwórka. Mały wiejski dom z cegły, ale

odnowiony zgodnie z najnowszą modą z pisemek o dizajnie. W kolorystyce szarość i czerwień. Okiennice ze szczotkowanego drewna, blaszany gont na dachu. Grunt wokół domu był już splantowany, ziemia przygotowana do wysiania trawy i zasadzenia roślin.

Spojrzenie Gerarda prześlizgnęło się bez entuzjazmu po domu i powędrowało ku zabudowaniom. Przystanął, zmrużył oczy. Porośnięty gdzieniegdzie mchem dach zapadał się nieco pośrodku, ale harde deski ścian sugerowały, że budynek jeszcze chce tu postać. Gerard podszedł do wrót i uchylił je na tyle, na ile pozwalał łańcuch. Z wydeptanego klepiska podniósł się obłoczek pyłu, z wnętrza buchnęło gorącem. Zapachniało starym drewnem, słomą i kurzem – wonią, której nie da się z niczym pomylić.

– A to? – zapytał.

– Stodoła. – Bastian wzruszył ramionami. – Jeszcze nie wiem, co Bella z nią robi, pewnie rozwali, bo ta ruina trochę straszy.

– Nie! – zaprotestował gwałtownie Gerard. – To jest warte więcej niż wszystko, co do tej pory wpakowaliście w dom. Bezcenne!

Bastian wytrzeszczył oczy i też podszedł do wrót stodoły. Gerard pogładził czule drewno wierzchem dłoni.

– Te deski mają ze sto lat. Wysezonowane na amen. – Przebiegł palcami wzdłuż ostrych rysów słoików. Wciągnął zapach starego drewna, aż zadrgały mu nozdrza. – Piękne.

Bastian też przesunął palcem po chropowatej powierzchni. Skóra zamrowiła, jakby popieścił go prąd. Przypomniały mu się drzazgi, które wbiły mu się kiedyś pod paznokcie.

– Ostatnio szukaliśmy z ojcem takiego drewna na elewację do jednej realizacji – mówił dalej Gerard. – Zapłaciliśmy majątek.

Bastian kopnął lekko w drzwi i odwrócił się na pięcie. Znowu

się jej udało. Spłaciła wszystkich jakimiś groszami, a okazuje się, że już jest do przodu. Bella zawsze miała szczęście. Kupowała kota w worku i okazywało się, że w środku jest złoto. Kiedy on kupował kota w worku, w najlepszym wypadku był tam kot.

Jak to się w ogóle stało? Odkąd tu przyjechał, wciąż zadawał sobie to pytanie. Babcia Aniela odeszła pierwsza, gdy Bastian – późne dziecko swoich rodziców – był w liceum. Dziadek Adam żył potem już jakby z rozpędu. Bastian, który przez ten czas odwiedził go może dwa razy, patrzył w jego kościstą twarz obciążoną pomarszczoną skórą, cienką, niemal półprzezroczystą, jakby patrzył na wygasły lampion, zażenowany tym, że on, kuglarz słów, nie ma pojęcia, co powiedzieć.

Kiedy skończył te naście lat, zaczął się buntować, że tu nuda i śmierdzi, wielkomiejski bon vivant w najmodniejszych ciuchach już od szkoły średniej. Ale dopiero po śmierci babci i wylewie dziadka zorientował się, że miejsce jego dziecięcych zabaw nie jest już ani trochę zabawne. Nie mógł znieść tej myśli.

Dziadek dożył osiemdziesięciu dwóch lat i zmarł, gdy Bastian był na studiach. Dom Anieli i Adama Świątków z gospodarstwem, sadem i kawałkiem pola ostatecznie oddryfował z jego orbity. Mieszkał tam wuj Marian, który coraz częściej utyskiwał, że już nie ma zdrowia do biegania po obejściu i że chętnie przeniósłby się do kawalerki, bo jak tu mieszkać w takim domu. Aż wreszcie w zeszłym roku zwichnął staw biodrowy i kwestia przeprowadzki do miasta stała się paląca.

Familia zastygła w zamyśleniu, co robić – bo trzeba zachować, ale nie zmarnować. Tylko Bella się nie zastanawiała. Krótka peregrynacja po rodzinie, propozycja prosto z mostu, konkretnie, notarialnie, przelewem. Wuj i ciotka zgodzili się od razu. Matka Belli i Bastiana miała opory przed braniem pieniędzy od córki, która przy świątecznym stole wypaliła z powagą, że przecież i tak

prędzej czy później je odziedziczy. Bastian obserwował w milczeniu swoją siedem lat starszą siostrę, tę obrotniejszą i na wiele innych sposobów pierwszą, szczerzącą zęby w uśmiechu rekina biznesu. I wybuch wymuszonej wesołości rodziców po tym oświadczeniu.

Wtedy do niego dotarło, że jemu nie należy się nic.

Nie żeby planował rzucić wszystko i wyjechać na wieś. Ale *Raport Strzygonia* był ciągle pod kreską, przydałby się każdy grosz. W rodzinie jednak o takich rzeczach się nie rozmawia. Chyba że jest się Bellą.

Pomyślał, że nie tylko mu się nie należało – właściwie mu nie zależało. To miejsce zawsze było ledwie pamiętaną wakacyjną scenerią, która dla chłopca z miasta stawała się a to Dzikim Zachodem, a to źródłem zatruć pokarmowych. Ale teraz, gdy cieciorwał na siostrzanych włościach, przychodziło mu czasem do głowy, że cała ta ziemia przesypała mu się przez palce.

Choć z początku propozycję siostry, by popilnował budowy, gdy ona wyjedzie na trzy miesiące do Stanów, uznał za absurdalną, to stopniowo wydawała mu się coraz lepszym pomysłem. Miały gdzie mieszkać za darmo, nie musiały wracać do rodziców ani nic wynajmować. A była to jedna z wielu rzeczy, na które nie starczało mu pieniędzy.

Wrócili z Gerardem na podjazd i zobaczyli, jak od strony miasteczka zbliża się czerwony motor.

– O, jedzie – mruknął Bastian, nagle straciwszy humor.

– Zła jest. – Gerard się skrzywił. Blizna na twarzy, mimo że błada i częściowo niknąca w krótkiej, starannie wypielęgnowanej brodzie, podzieliła jego policzek na dwie połówki.

– Skąd wiesz?

– Patrz, jak trzyma głowę. Ale przynajmniej jedzie szybciej niż

pięćdziesiąt, a to już postęp.

Dziennikarz musiał przyznać, że to robi wrażenie. Zatrzymała basujący lekko motor pośrodku podwórza, oparła się nogami o ziemię i swobodnym ruchem zdjęła kask, a rude włosy rozsypały się jej na ramionach. Miała na sobie skórzaną pomarańczową kurtkę i obcisłe dżinsy, motocyklowe buty i rękawice. Przypomniał ją sobie sprzed kilku lat, gdy nabzdyczona ganiała po Podhalu w długiej spódnicy z indyjskiego sklepu.

Doktor Anna Serafin, pomyślał. No, no.

– Nie tak, Bastian, patrz, już się pali... – Złapała go za rękę i obróciła kolbę kukurydzy, która z jednej strony zrobiła się brązowa.

Wyrwał dłoń i upuścił szczypce. Zaklął. Odskoczyła.

– Wiolka, zajmij się czymś i nie wpieprzaj mi się, okej? – syknął. – Możesz na przykład nakryć. W każdym razie zejdz mi z oczu, dobrze?

Na czole Bastiana perliły się kropelki potu. Odłożył szczypce i wytarł ręce w spodnie.

– Chodź, rozstawimy stół – rzucił Gerard i ujął dziewczynę pod łokieć. Wiolka odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Anka miała wrażenie, że drżą jej ramiona.

– Co to było, Bastian? – zapytała. – Nie możesz jej tak traktować. Już na pierwszy rzut oka widać, że ona...

– Masz rację, Anka – przerwał jej, wzdychając. – Nie mogę jej tak traktować, bo tylko ona mi została.

Zajął się odwracaniem mięsa na grillu. Anka pomyślała, że rozumie. Jeśli zostałyby powiedziane wprost, że dawna koleżanka z redakcji „Flesza”, a dzisiaj jego prawa ręka

w *Raporcie Strzygonia* kocha się w nim jak nastolatka, to nie mógłby dłużej udawać, że tak nie jest. I musiałby coś z tym zrobić, na co teraz nie miał ani siły, ani pomysłu.

– Myślałam, że walą do ciebie tłumy młodych dziennikarskich orłów – zauważyła. Wydał się wdzięczny za to, że Anka nie chce ciągnąć tematu. – Twój serwis, bo to już nie blog, to przecież zjawisko na tym zabetonowanym rynku medialnym.

– Tak, walą drzwiami i oknami, a potem są zdziwieni, że nie zarobią od razu na własny kwadrat w lofcie i że nie będą pisać słusznej publicystyki o Polsce – prychnął. – Zostają miesiąc, dwa i idą dalej, bo „to nie to, czego się spodziewali”.

– Jesteś sfrustrowany – stwierdziła raczej, niż zapytała Anka.

Nie odezwał się, co zabrzmiało jak potwierdzenie.

– Ale popatrz, ile osiągnąłeś. Zupełnie sam. Nie stoi za tobą żaden duży tytuł, żaden wielki wydawca nie szasta na ciebie pieniędzmi, żaden znajomy nie przewiózł cię na plecach. Możesz mieć własny głos...

– ...którego i tak nikt nie usłyszy – dokończył za nią.

– To co, wolałbyś dalej pracować dla „Flesza” i gonić za sensacją?

– Anka, to ściema, że ludzie chcą być ciągle zaskakiwani. Ludzie oczekują, żeby mówić im to, co chcą usłyszeć. Należy im to uatrakcyjniać, żeby mieli wrażenie, że dostają coś nowego, ale w sprawdzonych, bezpiecznych ramach. Opowiadać tę samą historię, tylko trochę inaczej. Lekko, krótko, za to często. I wszyscy będą zadowoleni.

Obracała w dłoni kieliszek wina, który pocił się w upale.

– Publikowaliśmy reportaże interwencyjne, rzetelne do wyrzygania analizy ekonomiczne, demaskowaliśmy parówkowych skrytożerców w spółkach skarbu państwa, ale

wiesz, co się do tej pory najlepiej nosiło? – Zawiesił głos. – Na święta Wiolka zrobiła klikadełko: celebryci składają życzenia swoim pupilom. Pani z telewizji z pieskiem. Trenerka fitness z papugą. Brakowało tylko prezesa z kotem.

– A tekst o Romach z Kamienia? – zapytała.

Tylko machnął ręką.

– No okej, to był ostatni raz, kiedy czułem, że robię coś ważnego. Dobra, zejdźmy ze mnie, pani doktor, koniec tej psychoanalizy – powiedział, wysilając się na lekki ton. – Lepiej mów, co ciebie budzi w nocy i nie daje ci zasnąć.

Anka, zamiast zbyć go banałem o habilitacji, profesorze albo studentach, zamyśliła się, patrząc w ogień. Wyglądała dziewczęco w sukience w kwiatki, z piegami na białych ramionach i dekolcie, który już zaczynał różowieć od słońca.

– Czasem budzę się w nocy i wyobrażam sobie, że on się zabił. Że wracał ode mnie do Gliwic, był zmęczony albo trafił na jakiegoś idiotę, który nie popatrzył w lusterko. I zastanawiam się, czy zginie na miejscu, czy trzeba go będzie odłączyć od respiratora. Czy jego rodzice będą mnie obwiniać. Co zrobię z jego rzeczami... – Urwała i wypłała łyk wina.

Nie spodziewał się tego. Anka zwykle tak się przed nim nie odsłaniała.

– Ale się wam układa? – spytał. Miał wrażenie, że Gerard się zmienił, nawet wyglądał inaczej: rysy jego twarzy się wyostrzyły, jakby trochę schudł, nie tracąc tężyzny.

– Skończył studia, pracuje u ojca, więc jest ciężko – zaczęła Anka niechętnie. – Nie mamy dla siebie czasu, a kiedy Gert przyjeżdża, jest zmęczony, wściekły albo nakręcony na jakiś projekt. Będzie z niego taki sam pracoholik perfekcjonista jak z Huberta. Po pracy on potrzebuje wyciszenia, uspokojenia, a ja...

– A ty wręcz przeciwnie – dokończył Bastian.

– Wiem, powinnam go wspierać, ale to nie moja walka – westchnęła. – A ja sama też muszę mieć trochę...

– Adrenaliny? – wszedł jej w słowo Bastian. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. – Jesteśmy ćpunami, Anka. Oboje jesteśmy uzależnieni.

– Po tej historii z Murzasichla poszłam na terapię, bo wszystkiego się bałam. Cztery razy o mało mnie nie zabili. Ale teraz... Zaczynam za tym tęsknić. Bo wtedy każdy kieliszek wina, każdy pocałunek, każda kromka z masłem smakują inaczej. Słońce mocniej świeci, świat się szybciej obraca. Krew żwawiej krąży.

– Czujesz, że żyjesz – rzucił.

Rozejrzał się. Dom, stodoła i rozgrzebany wykop pod basen z tyłu za ogrodem. Sad, po którym biegał jako dziecko, ślizgając się na zgniłkach. Samotna kępa drzew nad Breńką, która wydawała mu się kiedyś tak oddalona, że sam nigdy nie odważył się tam pójść na przełaj przez pola. Odkąd tu przyjechał, zastanawiał się, czy mógłby tak żyć.

– Nie da się z rollercoastera przesiąść z powrotem na traktor, co nie?

– Gdybyś trafił kiedyś na ciekawą historię... – Uśmiechnęła się nieśmiało. – To pamiętaj o mnie.

– I vice versa. – Sięgnął po puszkę i przepił do niej. – Kto pierwszy obczai działkę, daje znać. Jak ćpun z ćpunem.

– Deal. – Uniosła kieliszek i duszkiem wypiła wino. – A swoją drogą, nigdy się nie zdradzałeś, że masz rodzinę na wsi. Wtedy, w Murzasichlu, sprawiałeś wrażenie, jakbyś pierwszy raz na oczy widział chałupę, stóg siana i owcze bobki. Wstydziliś się?

– Nie, to nie tak – odpowiedział bez przekonania. – Ja tu

jeździłem za dzieciaka, na święta i wakacje. Dawno i nieprawda. Potem już mi się nie chciało, nie moje klimaty, odkleiliśmy się. A poza tym to są osobiste sprawy, nie z każdym się o tym gada.

– Więc co się zmieniło, że teraz mnie tu zaprosiłeś? – zapytała.

– Jak to co? – Podniósł kufel do ust. – Wszystko.

– Maciek, idź do sklepu. Piwo się skończyło. – Mężczyzna zgniótł puszkę i przewrócił kiełbasę na drugą stronę. Zaskwierczał na węglach palony tłuszcz.

– Czemu ja?

– Żebyś się do czegoś przydał – sapnął tamten. – Ślipiesz tylko w telewizor i nic nie robisz. Ile ty masz lat? Trzydzieści i siedzisz w domu! Matce nie pomagasz, to przynajmniej skocz po piwo.

Syn skulił się, podrapał po karku. Miał na sobie wytarte dżinsy, sprany podkoszulek wisiał na jego wątłych ramionach jak na manekinie.

– Ty też nie pracujesz – odciął się, chociaż głos mu zadrżał. – I też siedzisz w domu.

– A za czyje pieniądze będziesz dziś żył?! – Starszy mężczyzna aż poczerwieniał. Szczypcami podniósł z grilla kiełbasę i podsunął synowi pod nos. Tamten cofnął się, niezgrabnie złapał równowagę. – Nierób jeden. Wstyd przynosisz! Ja przynajmniej kombinuję, mam jakieś plany...

– Niby jakie?

– Nie twój zaszraniony interes!

– Władek, przestań. – Kobieta postawiła w trawie koszyk i zaczęła wypakowywać na turystyczny stolik chleb, plastikowe talerzyki, słoik z ogórkami. – Jak chcesz, to ja pójdę, tylko daj mi spokój.

Władysław Wężyk już miał coś powiedzieć, ale w jego

kieszeni zawibrował telefon. Mężczyzna popatrzył na wyświetlacz. Na czoło wystąpił mu pot. Wężyk wiedział, że czas ucieka, nie trzeba mu było przypominać.

Wtem usłyszał pomruk tuningowanego silnika. Czarne nisko zawieszony bmw o przyciemnianych szybach sunęło powoli od strony Dąbrowy wzdłuż ogrodzenia, po którym wspinało się dzikie wino. Obserwował, jak auto znika za węglem domu. Rozległ się ryk silnika i pisk opon, jakby samochód ruszył z kopyta. Z drogi podniósł się obłoczek pyłu.

– A, odechciało mi się – mruknął.

Bastian odłożył miskę na suszarkę i zrobiło się cicho. Przez otwarte okno słyszał żaby i poświstywanie puszczyka. Brakowało mu nocnych odgłosów miasta. W dzwoniącej w uszach ciszy odruchowo zaczął mówić szeptem.

Nie lubił zostawać w tym domu sam, wołał, jak po obejściu kręcili się robotnicy, pokrzykiwali do siebie niecenzuralnie albo wołali do niego: „Panie kierowniku!”. Tu zawsze ktoś się krzątał, trzaskały drzwi, dzwoniły garnki, grało radio. Ta cisza była nienaturalna, nie pasowała do tego miejsca. W tej ciszy każdy szelest podnosił mu włoski na przedramionach.

Wiolkę zostawił w ogrodzie, Anka i Gerard gdzieś zniknęli. Znów był sam. Wyszedł na zewnątrz. Upał odpuścił, rześkie powietrze pachniało zielenią i dymiącym jeszcze niemrawo grillem. W świetle księżycy zobaczył, jak Wiolka chwije się na leżaku. Ramiączko bluzki zsunęło jej się z ramienia, szorty wpijały się w uda. Czknęła, gdy go zobaczyła.

– Chodź do domu. – Wydał wargi. – Nawaliłaś się.

Podał jej rękę, uwiesiła się na nim, tak że o mało się nie przewrócił. Zarzucił sobie jej ramię na plecy, przylgnęła do jego

boku, wiotka, ciepła, pachnąca grillem, potem i jabłkami. Mruczała coś, kiedy prowadził ją po schodkach do środka. W półmroku zawahał się i pokierował ją do swojej sypialni. Pomógł jej się położyć, zwała się na łóżko, wyciągnęła na wznak, czarne włosy rozsypały się na poduszce. Zdjął jej ze stóp klapki i zarzucił na nią kołdrę.

– Tylko nie zarzygaj mi łóżka – mruknął i zabrał koc.

– Ale gdzie idziesz...? – Nie lubił tego płacznego tonu. – Bastian!

Umył zęby i w podkoszulku i bokserkach wyszedł przed dom. Gdzieś z oddali niosło się szczekanie psa. Coś było – w zapachu ziemi, w temperaturze powietrza, w kształcie drzew na horyzoncie. I jeszcze gwiazdy, których w sierpniu migotało tyle, że niebo bieląło, przeprute smugą Drogi Mlecznej. Odwrócił się, jakby spodziewał się zobaczyć za sobą rozświetlone okna, pełgający za ciasno utkaną firanką błękitny poblask telewizora i cień zgromadzonych wokół niego głów. Jakby spodziewał się usłyszeć śmiech ciotki Wery, jakby wisząca w drzwiach kolorowa zasłona z koralików miała zaraz poruszyć się i na schodki miał wyjść dziadek. Ale okna były ciemne, drzwi zamknięte, a w środku rozlegało się tylko chrapanie pijanej Wiolki.

Zrobił krok. Tak poszerzał kiedyś swoje granice. Zakładał się sam ze sobą, że wyjdzie poza bezpieczny zasięg trapezów światła z okien, w wilgotny mrok sadu, między poskręcane konary owocowych drzew. Dzisiaj pewnie przeparadował przez podwórko, ominął wykop pod basen i wszedł między drzewa. Patrzył pod nogi, żeby nie wdepnąć w zgniłka, gdy coś smagnęło go w twarz. Zaufał wspomnieniu, w którym gałęzie znajdowały się wyżej.

Miał na to ochotę od początku, ale widocznie dalej siedział

w nim chłopiec, który bał się ciemności. Dzisiaj jednak ma pretekst, a noc jest upojnie ciepła.

Kiedy nachylił się nad rozpiętym między jabłonkami hamakiem, znowu zrzędała mu mina. Hamak był zajęty – Anka i Gerard spali w najlepsze. On ledwie się w hamaku mieścił, ona przytulała się do jego boku. Gerard jedną rękę podłożył pod głowę, drugą obejmował Ankę, trzymając dłoń na jej biodrze. Twarz miał spokojną, pogodną, ona też – spomiędzy jej brwi zniknęła zmarszczka, która nadawała jej twarzy sceptyczny wyraz. Anka obejmowała kolanem udo Gerarda, rękę wsunęła pod jego podkoszulek, zwijając dłoń na jego piersi w piąstkę jak mała dziewczynka.

Miałby prawo ich obudzić i wysłać do domu. Pościelił im i naszykował ręczniki. A teraz w jego łóżku śpi Wiolka, a w hamaku oni. Znowu ktoś go ubiegł. Popatrzył na Ankę, sukienka zwijała jej się dookoła kolan.

A może z nią jest tak jak z tym miejscem?

Zawsze wydawało mu się, że nie trzeba by wiele, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Wystarczyłaby butelka wina, czekoladki i powtarzanie, jaka jest mądra. Tylko później musiałyby albo się z nią ożenić, albo wyemigrować, bo w Krakowie byłoby za mało miejsca dla niego i jej urażonej dumy. Śmiał się w duchu, że facet, który byłby w stanie z nią wytrzymać, to albo święty, albo masochista. I sprawdziło się. Doprawdy, podziwiał ten śląski etos pracy. Mało komu chciałoby się ledwie widzialnymi ruchami, jak na kole garncarskim, wygładzać jej kanty i wydobywać z niej całkiem fajną babkę. W każdym razie nie jemu. Więc zajął się tym Gert.

Anka poruszyła się, znowu przez sen ściągnęła brwi i czar prysł. A do tego miała rozstępy. Przykrył ich kocem, ostrożnie, żeby ich nie obudzić.

Czasem fantazjował, że gdyby wszystkie jego życiowe plany szlag trafił, mógłby tu wrócić. Uprawiać chrzan, czosnek niedźwiedzi albo jabłka na cydr. Zostać wiecznie podchmielonym rolnikiem, do którego przyjeżdżałyby kucharze celebryci, a on opowiadałby im o tym, jak współczesna cywilizacja nie daje człowiekowi szczęścia, więc zdecydował się zostawić medialne targowisko próżności dla życia zgodnie z naturą. Ten plan nigdy nawet nie otarł się o prawdopodobieństwo, bo pomysłów na życie Bastian miał zawsze więcej niż szans na ich urzeczywistnienie. Ale i tak go nie zrealizuje, bo zajęła się tym jego przedsiębiorcza siostra.

Nie rozglądając się, wrócił do domu, położył się na kanapie i zasnął.

Drzwi się otworzyły. W plamie światła stanął mężczyzna w piżamie i podrapał się w pokryty szpakowatym zarostem policzek.

– Kochanie, chodź do łóżka. Jest pierwsza w nocy.

– Muszę jeszcze popracować. – Kobieta opuściła dokument i poprawiła okulary. Siwiejące włosy zebrane miała w ciasny kucyk, drobne zmarszczki wokół oczu i ust nadawały jej twarzy surowy wyraz. – Daj mi godzinę.

Było gorąco, w kącie obracał się wentylator. Lampa na biurku wydobywała z mroku pokój pełen książek na wspinających się aż pod sufit półkach. Część jeszcze nierozpakowanych tomów leżała w kartonach. Potężne biurko, ledwie się mieszczące w świeżo pomalowanym pokoju, pokryte było papierami poukładanymi w zgrabne stosy. Na blacie parował kubek z herbatą.

– Pół godziny – powiedział mężczyzna.

– Czterdzieści pięć minut.

– No dobrze. Co robisz?

– Przeglądam notatki. W poniedziałek ostatnia rozprawa.

Leżący na biurku telefon komórkowy ożył nagle, zawibrował i zaświecił ekranem. Wzięła go w szczupłe palce. Przez jej twarz przebiegł grymas. Rzuciła smartfona na kupkę papierów.

– Co tym razem? – zapytał z westchnieniem mężczyzna.

– Nic nowego. Ty stara kurwo i tak dalej – odparła beznamiętnie.

– Zgłoś to!

– A po co? – Na jej twarzy pojawił się ten uśmiech, który na sali sądowej zwykle zwiastował kłopoty. As z rękawa. Niezbity dowód. – W poniedziałek facet i tak pójdzie siedzieć, a ja się postaram, żeby w pierdlu nie miał dostępu do telefonu i jeszcze kilku innych rzeczy. Nie mam się czym przejmować.

– A ja? – Mężczyzna gwałtownie poczerwieniał. – Ja się przejmuję.

– Ożeniłeś się z prokuratorem. – Wzruszyła ramionami. – Wiedziałaś, co to oznacza. Że nie będę prasować ci koszul. I że czasem będą przychodzić takie SMS-y.

– Wtedy nie było SMS-ów – burknął. – Myślałem, że z tych przenosin wyjdzie choć tyle dobrego, że będziesz miała więcej spokoju.

Odwrócił się na pięcie i na korytarzu zgasło światło.

– A ja się tego obawiałam – mruknęła do siebie, wracając do notatek.

Coś nie dawało mu spać.

Bastian zamrugał. Lodówka niebieskimi diodami wyświetlała temperaturę. Zalśniły kafelki nad zlewem. Dwa cienie

przemknęły przez pokój, stuknęły drzwi sypialni.

Sen mara, Bóg wiara, przypomniało mu się dziadkowe powiedzenie.

Przekręcił się na drugi bok. Resztki wczorajszego alkoholu zachlupotały mu w głowie i w żołądku, poczuł je w oddechu, zapiekły go pod powiekami. Naciągnął koc na głowę i zasnął.

Nie pospał. O świcie zaczął się ptasi koncert, ledwie zdążył się do niego przyzwyczaić, gdy zawyły dwa odpalane motory. Widać Anka i Gerard postanowili go nie budzić. Która jest godzina? – pomyślał, a za tą myślą przypłynęła fala kolejnych: o tekstach do przejrzania, o kampaniach do zaplanowania, o rachunkach do opłacenia. Odkąd *Raport Strzygonia* z bloga rozwinął się w trendujący serwis dziennikarskiego kolektywu, Bastian nie miał czasu pisać. Nie miał też pomysłu na temat. I to uczucie było najgorsze.

Wreszcie rozklekotał się i rozdzwonił potężny silnik koparki. Skrzypnięcie, przegazowanie, rytmiczny pisk sygnału cofania. I pohukujące głosy budowlańców. Jasna cholera.

Usiadł na kanapie. Przeciągnął się i podrapał po twarzy. Drzwi do sypialni były zamknięte, widocznie Wiolka pielęgnowała kaca i urazę. Będzie musiał zagonić ją do roboty, sam wszystkiego nie ogarnie. Ale najpierw zrobi jajecznicę z tutejszych jajek, tak starannie umazanych kurzym gównem, jakby nakazywały to unijne przepisy o żywności ekologicznej.

Sięgnął do kastlika po papierosy. Z trudem rozpoznał w nim tamten kastlik, kiedyś cały w naklejkach z samochodami, które zbierał kuzyn Bogdan, gdy mieszkali tu jeszcze z ciotką. Bella znalazła mebel na strychu i oddała go do renowacji. Wyglądał teraz dostojnie – i zupełnie nie tak.

Dziennikarz wsunął stopy w adidas. Ubrany w podkoszulek

i bokserki wyszedł, mrużąc oczy, oparł się o ścianę i zapalił.

Zatrzymał wzrok na koparce stojącej na skraju sadu. Na Marsie, uśmiechnął się. Maszyna zamarła w bezruchu. Łoskot silnika ustał. Dwie postacie w żółtych kamizelkach to zaglądały do dołu, to chodziły wokół masywnej łyżki, unieruchomionej metr nad ziemią. W końcu jeden z robotników odwrócił się, dostrzegł Bastiana, wskazał go drugą ręką. I ruszył w jego stronę.

Bastian zdusił papierosa i wyszedł mu naprzeciw.

– Panie kierowniku, trza, żebyś pan coś zobaczył – wydyszał ogorzały budowlaniec. Na jego zwykle misiowato pogodnym obliczu malował się teraz niepokój. Nie oglądając się na dziennikarza, poszedł przodem.

Na miejscu czekał operator koparki. Palił.

– Przypatrz się pan – zachrypiał, machając w stronę łyżki, a Bastian miał wrażenie, że w jego głosie usłyszał pretensję.

W łyżce leżał czubaty kopiec tłustej, gliniastej ziemi z paroma kamieniami. Z czubka wystawał solidny pręt. Albo rura. Nie. Bastian podszedł bliżej. Nie rura, bo powierzchnia była chropowata, raczej kij. Zakrzywiony na końcu prawie pod kątem prostym i zwieńczony jakby gałką. Laska? Bastian usiłował pojąć, na co patrzy.

Już wiedział, ale jeszcze nie rozumiał. To była dobrze zachowana, choć oblepiona ziemią kość udowa.

Wyciągnął ku niej rękę, cofnął. Obejrzał się na robotników, otworzył usta.

– Ale nie... – zaczął.

Gdzieś tutaj dziadek chował łańcuchowe psy. Duże, groźne, wiejskie burki. Nigdy nie pozwalał mu w tym uczestniczyć, jeszcze wieczorem pies był chory, a rano już go nie było. Zdechł

i został zakopany – bo o psach nie mówiło się jak dzisiaj, że umarł i został pogrzebany. Gdzie? Pewnie właśnie tu, daleko od domu, na skraju sadu. Chyba że to kości po świniobiciu.

Dziennikarz złapał wbitą w pryzmę ziemi łopatę i wskoczył do dołu. Glina oblepiła mu adidasy. Przy krawędzi wykopu, między werżniętymi w ziemię na długości przeszło metra śladami zębów łyżki, dostrzegł dwie kolejne burobrazowe kości: cienką i łukowatą, mogącą być żebrem, i niewielką, wystającą z grudy gliny, co absurdalnie skojarzyło mu się z podudziem kurczaka. Zamachnął się łopatą, ale się powstrzymał. Zamiast ją wbić, przegarnął delikatnie ziemię, lekko podważył. Kątem oka dostrzegł, że budowlańcy trzymają się z dala od krawędzi wykopu. Rozkruszył grudy, aż trafił na większy kształt.

Przykucnął. Palcami rozgrzebał kamyki i bryłki gliny.

Z wykopu zapchanymi ziemią oczodołami patrzyła na niego czaszka. Całkowicie ludzka.



ROZDZIAŁ 2

– Jak się czujesz, Bastian?

– Nie wiem.

Wiolka cofnęła dłoń znad jego ramienia. To nie zabrzmiało mile, ale on naprawdę nie wiedział. Dziwnie mu było z tym, że przez cały ten czas one tam leżały.

Ale kości to tylko kości.

Zaśmiał się i zaciągnął głęboko dymem. Doprawdy, trzeba mieć jego szczęście.

To samo powiedział jowialny wąsaty prokurator, który przyjechał wraz z policją po jego telefonie. Kogut – tak się przedstawił, bodajże Zdzisław. Zajrzał do wykopu, cmoknął i pokręcił głową. Przez czas, który Bastianowi zdawał się wiecznością podobną do tej, jaka poprzedza złą diagnozę, naradzał się z technikami. Potem usadowił się na jego krzeselku ogrodowym i zaczął monotonną litanię pytań. Imię, nazwisko, PESEL, do kogo należy posesja, gdzie przebywa teraz siostra, kto był poprzednim właścicielem i od kiedy, miejsce stałego zamieszkania, zawód wykonywany.

– Jestem dziennikarzem.

Urzędnik po raz pierwszy podniósł na niego wzrok.

– Wiedziałem, że kojarzę nazwisko. Czyli trafił pan na temacik z własnego podwórka. – Pokiwał głową, zadowolony z bon motu. – Szczęście pan ma. A może sam pan się o takie atrakcje

prosi?

Jak mówiła babcia, gdy wyrwało mu się „do diabła”? „Nie wzywaj diabła, bo do ciebie przyjdzie”.

– Pan też pewnie często trafia na takie atrakcje, panie prokuratorze, prawda? – syknął Bastian, nie wyjmując papierosa z ust. – Taka praca.

Technicy skończyli fotografować, wstawili do wykopu stalową drabinkę i wynurzali się na zmianę, układając na rozpostartym na trawie brezencie kolejne kości, obłupując je z gliny i omiatając z piasku. Grubsze kawałki ziemi rozcierali w palcach, za każdym razem z tym samym skutkiem: nic nie znalazłszy, rutynowym gestem strzepywali pył z lateksowych rękawiczek. Na dnie dołu rozstawili duży prostokątny przetak i rzucali nań każdą skibę ziemi, przesiewając uważnie. Porcja za porcją przelatywały przez oka do ostatniego ziarenka, pozostawiając pustą powierzchnię sita. Wzdłuż policyjnej taśmy przechadzało się dwóch funkcjonariuszy w czapkach z daszkiem.

– Oni nie powinni zrobić najpierw jakiegoś odlewu? – mruknął Bastian. – Wezwać archeologów? Przecież ważny jest chyba układ kości...

Prokurator potrząsnął głową, aż zafalowała mu obwisła grdyka.

– My się znamy na robocie, panie redaktorze. A układ to już pan zepsuł tą koparką. Pan mi lepiej zezna do protokołu, czy ma pan podejrzenia co do pochodzenia tego szkieletu.

– Ja? – zachnął się dziennikarz. – Skąd?!

– Nikt w rodzinie nic nie opowiadał? Nie podsłuchał pan nigdy żadnych mrozących krew w żyłach historii?

Bastian pokręcił głową i zapalił kolejnego papierosa. Na podjazd wjechał następny radiowóz. Od strony pasażera wysiadł

łysawy mężczyzna w średnim wieku z czarnym kuferkim ze skóry.

– O, przyjechał pan doktor. – Prokurator podniósł się z krzesła i poszedł przywitać się z lekarzem. Bastian przyglądał się z dala, jak stają nad wykopem, jak lekarz kuca przy plandece, wciąga lateksowe rękawiczki i ogląda czaszkę, delikatnie odklejając od niej grudki ziemi.

Wzdłuż ulicy zatrzymywali się gapie, próbując zajrzeć za ogrodzenie. Wiolka kręciła się między policjantami, starając się z ukrycia robić zdjęcia komórką. Wrzucił sobie na fejsa, pomyślał z uczuciem gorzkiego drapania w gardle, zaraz zacznie robić selfiki z dzióbkiem.

Prokurator i lekarz wracali już na podwórze. Kogut położył na masce radiowozu papiery, medyk podpisał. Zamienili parę słów, w końcu łysawy mężczyzna pożegnał się z prokuratorem, Bastiana nie zaszczycając nawet skinieniem głowy, i odjechał bez słowa wyjaśnienia.

– Kiedy pańska rodzina weszła w posiadanie tego gospodarstwa? – Pytanie prokuratora, który na powrót mościł się w ogrodowym krzeselku, przerwało gonitwę myśli w głowie dziennikarza.

Już miał powiedzieć, że mieszkali tu od zawsze, gdy uzmysłowił sobie, że nigdy się tym nie interesował – początki tego miejsca sięgały w bezczas.

– W czasie wojny już tu mieszkali. Chyba. To znaczy dziadkowie z pradziadkami. Tak dokładnie to nie wiem – przyznał. – Musiałby pan zapytać mamę. Albo ciotkę czy wujka. A jeśli jest ich tam więcej?

Prokurator Kogut popatrzył na niego zaskoczony.

– Kogo?

– Kości. Ludzi. Trzeba by rozkopać, poszerzyć...

– Chodź pan. – Urzędnik dźwignął się z krzesła i ruszył w stronę wykopu. Uniósł taśmę i przepuścił pod nią Bastiana. – Bo widzę, że pan mi się tu zaraz ugotujesz. Grzesiek! – huknął, przystanąwszy na krawędzi.

Z dziury wynurzyła się głowa technika w grubych okularach.

– Pan redaktor naoglądał się seriali kryminalnych i chciałby nam teraz mówić, co mamy robić – powiedział prokurator.

– Ja pana nawet rozumiem – stwierdził z sympatią technik. – Takie znaleziska nie zdarzają się często.

– Nie zdarzają się często? – wychrypiał Bastian.

– No wie pan, żeby tak szkielet trafić w szczerym polu. Co innego jak są prowadzone, dajmy na to, roboty ziemne w centrach starych miast, bo w średniowieczu cmentarze znajdowały się przy kościołach. Albo w okolicach pól bitew. Ale tak w środku niczego to rzadkość.

Nie jesteśmy w środku niczego, pomyślał dziennikarz. Jesteśmy u nas.

– Była kiedyś historia z seryjnym mordercą – rozgadał się tymczasem technik – co sobie w lesie urządził prywatny cmentarzyk swoich ofiar. Gdzie to było, panie prokuratorze?

Urzędnik spojrział na niego ciężko. Technik odchrząknął.

– Morderca? Cmentarzyk? – zapytał cicho Bastian.

– To co tam mamy? – rzucił prokurator w głąb wykopu.

– Tak od razu nie da się powiedzieć. – Mężczyzna zwany Grześkiem zrobił przepaszającą minę. – Mamy pojedynczy komplecik, nie powtórzyły się czaszka, kości długie czy miednica, ale biegli będą musieli sprawdzić, czy wśród tego drobiazgu – wskazał na drobne kostki ułożone na plandece – nie ma kawałków kogoś innego. Nie widać też, żeby zachowały się

jakieś pozostałości charakterystyczne dla pochówków: kawałki trumny, całunu. Nie ma żadnych ozdób, guzików, klamer, sprzączek.

– A wiadomo – wtrącił Bastian – co tej osobie się... Dlaczego ona...?

Prokurator już otwierał usta, gdy odezwał się technik:

– To się nie da tak od razu powiedzieć. Z tego, co my tu patrzyli i co nam pan doktor mówił, to na czaszce nie ma żadnych typowych śladów, takich jak otwór postrzałowy czy pęknięcia sklepienia mózgowcowej. A czaszka jest zapchana gliną, dopiero w laboratorium ją dobrze obejrzą. Dużo my wyciągnęli połamanych kości, ale nie ma się co dziwić, jak żeś się pan w ten szkielet wtarasił łychę koparki. Kości w ziemi pękają też od bioturbacji czy ruchów gruntu i od cieków wodnych. Przy wyjmowaniu też nam kilka trachnęło.

– Tak czy inaczej – przerwał mu prokurator – będą to badać biegli na dalszych etapach. O ile nie zakończy się na pierwszym.

– Jak to? – Bastian uniósł brwi.

– Grzesiu, stare są według ciebie? – zapytał prokurator, zamiast odpowiedzieć.

– To też się nie da tak od razu powiedzieć – powtórzył technik swoją mantrę i środkowym palcem poprawił okulary na nosie. – Ale raczej starsze niż młodsze. Pociemniałe, lekkie i kruche. Leżały głęboko, a w takich warunkach człowiek się długo rozkłada, bo nie dochodzi powietrze i nie dobierają się do niego muchy ani inne zwierzęta. Tu mamy czyściutkie kości, nie znaleźli my żadnego mięska. Czyli trochę sobie już tu leżą. Ale to muszą zbadać biegli.

– I od tego, panie redaktorze – prokurator wycelował palec w Bastiana – wiele zależy.

Dziennikarz zrozumiał. Jeżeli kości leżą tu dłużej niż trzydzieści lat, to znaczy, że jeśli nawet wydarzyła się zbrodnia, to prokurator Kogut, bodajże Zdzisław, zgodnie z prawem umorzy sprawę. Bo będzie przedawniona. I problem z głowy.

– I co wtedy? – Podążył za urzędnikiem, który ruszył w stronę ogrodowych krzeseł. – Tak to zostawicie?

Kogut spojrział na niego przeciągle.

– Trochę pana nie rozumiem. Na pana miejscu bym się cieszył, gdyby kości okazały się stare. W przeciwnym razie będę musiał inaczej z panem rozmawiać. Uwzględnić pana i pańską rodzinę w którejś wersji śledczej. Rozumie pan.

Przez chwilę otyły prokurator o obwisłym podgardlu patrzył na Bastiana jak na świeży salceson.

– Panie redaktorze – powiedział urzędnik z powagą. – Mediom się wydaje, że my tylko przerzucamy papiery, umarzamy śledztwa z powodu niewykrycia sprawcy, a najchętniej utrudniamy pracę bezkompromisowym reporterom. Niech się pan nie obawia, na pewno sprawy nie umorzemy, dopóki się nie dowiemy, co to za kości. Na pewno przekopiami panu ogródek, a potem się okaże, jak jeszcze panu poprzekadzamy. No i z basenem będzie pan musiał poczekać przynajmniej do czasu decyzji o kontynuacji bądź umorzeniu śledztwa. A to potrwa.

Dziennikarz westchnął. Trzeba to powiedzieć Belli.

– Ile? – jęknął.

Prokurator wzruszył ramionami.

Nagle Bastian poczuł się bardzo zmęczony. Odwrócił się w stronę wykopu i przyglądał się, jak technicy pakują kości.

– Do wora i do magazynu, co? – Zaśmiał się nerwowo.

– A pan oczekiwał trumny na lawecie? – Prokurator ponownie wzruszył ramionami.

– Dowiemy się kiedykolwiek, kim on jest? – zapytał Bastian.

Prokurator Kogut wzruszył ramionami po raz trzeci.

– Kim ona jest – poprawił technik nazywany Grześkiem.

– Słucham? – Dziennikarz zdębiał.

– To się nie da tak od razu powiedzieć. – Technik podrapał się po karku. – Ale z tego, co my z panem doktorem patrzyli na miednicę i na czaszkę, to zdecydowanie kobitka będzie.

Zadzwoił telefon. Anka strąciła śpiącego na jej brzuchu kota i wstała z kanapy. Naburmuszone zwierzę wpatrywało się w nią żółtymi ślepiami, zamiatając podłogę ogonem. Imię Pluto wymyślił Gert w akcie semantycznej rebelii. Jej też się spodobało, bo Pluto to rzymski Hades, a kociak był cały czarny. Potem kotek urósł i zrobiło się z niego wielkie humorzaste bydlę, które charakterem rzeczywiście bardziej przypominało podziemne bóstwo niż psiaka z kreskówki.

– Dzień dobry, pani doktor! – powitał ją serdeczny głos. – Nazywam się Róża Wiśniewska. – Kobieta zrobiła pauzę. Anka zamrugła. Nic jej to nie mówiło. Przyciskając telefon do ucha, podeszła do komputera. – Przygotowuję teraz cykl materiałów „Kobiety mediów”...

Anka wpisała „Róża Wiśniewska” w przeglądarkę. Jako pierwszy wpadł jej w oko biogram w Wikipedii.

– ...i jest pani dla mnie idealną bohaterką!

– Ale ja nie jestem dziennikarką – zaczęła Anka skromnie, chociaż wyprostowała się i wypięła pierś. – Ja się nie znam...

– Rozmawiałam już z dziennikarkami – zaśmiała się kobieta. – I zdradzę pani sekret. Otóż my, dziennikarze, my się znamy na wszystkim, czyli na niczym. A pani – znowu zrobiła pauzę – pani ma wiedzę! I to, jak pani tej wiedzy używa, jest godne pokazania

szerszej publiczności!

– Chodziło mi o to, że na mediach się nie znam – weszła jej w słowo Anka.

Z jednej strony poczuła się dumna, że Róża Wiśniewska, według Wikipedii ikona polskiego reportażu i medialna osobowość, wybrała właśnie ją. A z drugiej dopadła ją typowo uniwersytecka obawa, że nie jest godna tego zaszczytu, że wpycha się przed kogoś w kolejkę do sławy i ten ktoś na pewno będzie mieć pretensje.

– Współpracuję z Sebastianem Strzygoniem i to on jest od mediów. Ja tylko interpretuję, przeprowadzam rozumowanie, a on...

– Pani doktor – przerwała jej kobieta – to jest cykl „Kobiety mediów”. Mężczyźni kradną nam ten show, odkąd istnieje. Ja chcę porozmawiać z panią.

Anka bezradnie rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu rady. Pluto zmrużył oczy, jakby mówił: „Nie waż się”.

– W takim razie z przyjemnością – odpowiedziała mu na złość. – Tylko chciałabym wiedzieć, o czym będziemy rozmawiać, żebym mogła się przygotować.

– Świetnie! – ucieszyła się Wiśniewska. – Zamierzam się odnieść do pani wykształcenia i pracy naukowej. Brała pani udział w śledztwach, tych dziennikarskich i nie tylko, chciałabym więc wiedzieć, jak pani sobie poradziła w tym męskim świecie. Ale żeby nie było tak słodko, będę też wyciągać trupy z szafy. – Anka wstrzymała oddech. – Jak się pani układa z rodziną z Podhala po tej sprawie z Goralenvolkiem? Czy ma pani jakiś kontakt z Romami z Kamienia? No i są jeszcze te sprawy ze Śląska... – Dziennikarka zawiesiła głos, a Anka nie odważyła się odezwać. – Pani chyba udało się znaleźć najbliższej Normana

Pionka, chciałabym podrażnić kwestię waszej relacji i jej końca...

– Jasne – bąknęła Anka bez entuzjazmu.

– To jeszcze się zdzwonimy! – Róża Wiśniewska nie dała jej szansy na odpowiedź i się rozłączyła.

Anka zaklęła bezgłośnie. Jaki miała kontakt z rodziną z Podhala? Wysyłają sobie z Kaśką życzenia na urodziny. Romowie z Kamienia? Nie miała pojęcia, co się z nimi stało. Co jakiś czas zastanawiała się, czy nie zagadać, ale im więcej czasu mijало, tym trudniej było jej zadzwonić albo wysłać SMS-a. I do tego Norman Pionek. Poza tym Wiśniewska powiedziała „sprawy”, nie „sprawa” ze Śląska – co mogła mieć na myśli? Anka miała nadzieję, że nie padnie pytanie o Gerta.

Wróciła do wyników wyszukiwania. *Reporterski skandal! Dziennikarka udowadnia plagiat znanemu autorowi non fiction.* Uruchomiła film na YouTube. W studiu kobieta w kremowym kostiumie z czerwoną różą wpiętą w klapę żakietu. Naprzeciwko niej zwijał się na krześle nieszczęśnik w kraciastej marynarce i z koralikami na szyi.

– Ja nie znam tych państwa – tłumaczył się – i proszę wybaczyć, ale nikt nie ma monopolu na to, żeby pisać o Armenii...

– Ale tymi samymi słowami? – przerwała mu Róża Wiśniewska. Podniosła garść wydruków i zaprezentowała rozmówcy. – Zacytować panu?

– Ale ja... ja... ja... – zająknął się facet i zakrył twarz dłonią.

Ale go grilluje – przeczytała na forum.

A co w tym złego, że coś przepisał? Wszyscy tak robią, a tu nagle wielkie oburzenie.

Czego ona się przyczepiła, ważne, że to się czyta z dreszczykiem emocji!

Dla leniuszków zrzucających z Wikipedii i ekologów recyklingujących prace kolegów z poprzedniego semestru Anka nie miała litości. Ale im dłużej obserwowała to przesłuchanie, tym bardziej robiło jej się faceta szkoda. Wyobraziła sobie siebie na jego miejscu. I po co jej to było? Mogła powiedzieć, że nie ma czasu.

Telefon znowu zadzwonił. Chwyciła go z furią.

– Cześć, Anka. – Głos Bastiana był inny niż zwykle. – Zgodnie z umową daję znać. Znalazłem trupa.

– W szafie? – mruknęła, wpatrując się w zmrużone oczy Róży Wiśniewskiej na stop-klatce.

– Nie, w sadzie.

Trzasnęły ostatnie drzwiczki i policyjne samochody odjechały z podwórka. Zostały tylko maszyny do robót ziemnych na skraju wykopu, który stracił zarysy basenu i wyglądał jak rozdrapana, ropiejąca rana.

– Bastian, czego oni od nas chcą? – zapytała szeptem Wioletka, która nagle zmaterializowała się obok niego.

Rozejrzał się i zaklął.

Ulica wyglądała, jakby szykowano się na procesję Bożego Ciała. Jakby na poboczu lada chwila miały się rozstawić odpustowe kramy i wózki z watą cukrową. Grupa nastolatków przy zaparkowanej w rowie hondzie civic nagrywała telefonem odjeżdżające auta. Na balkonie domu po prawej stronie od ich posesji siedziała cała rodzina: facet z piwem, kobieta i dwójka dzieci. Sąsiadka z lewej – znał ją jeszcze z dzieciństwa i odkąd pamiętał, była stara – opierała się jedną ręką na kuli, a drugą na ogrodzeniu. Dziadek z rowerem o mało nie wlaźł na podwórko. Po ulicy biegały dzieciaki.

– Od ciebie na pewno nic – burknął Bastian zły, że znowu się na niej wyżywa.

Zauważył, że ci ludzie patrzą na niego. Poczul ciśnienie ich spojrzeń, aż się cofnął. Technik miał rację: kości, które znaleźli, nie były na swoim miejscu.

Były na jego miejscu.

Wiolka nie odpowiedziała, za to zdecydowanie ruszyła przed siebie i stanęła na środku ulicy.

– Proszę państwa, proszę się rozejść! – oznajmiła głośno. – Nie ma na co patrzeć!

– Pani, ale powiedzże pani coś więcej! – obruszył się dziadek.

– Na razie nie mamy nic do ujawnienia – odparła. – Ale zapraszamy na www.raportstrzygonia.pl. O wszystkich nowościach będziemy informować na bieżąco.

Odwróciła się na pięcie i wróciła na podwórko. Dziadek wgramolił się na rower i odjechał, nastolatki powsiadały do hondy, która z wyciem silnika wyskoczyła z rowu. Sąsiadka odkuśtykała do domu.

– Będziemy informować na bieżąco? – warknął Bastian i zamknął za nią bramę. – Co to miało znaczyć?!

– Poszerzam nam target. – Wiolka wzruszyła ramionami.

– Ale to jest moje podwórko, mój dom i moja rodzina! – oświadczył, dźgając palcem własną pierś. – To nie jest na sprzedaż!

– Ach, więc teraz to się nazywa sprzedaż, a nie dziennikarska misja, zapewnianie platformy do debaty publicznej i konfrontowanie społeczeństwa z jego ciemnymi stronami? To są twoje słowa, Bastian. – Wzięła się pod boki. – Chyba że nasza misja kończy się tam, gdzie zaczyna się twoje podwórko?

*

– Władek, idź do domu – Barman ze ścierką przewieszoną przez ramię stanął nad stolikiem.

Mężczyzna podniósł na niego szkliste spojrzenie, które wcześniej wbijał w pianę na dnie kufła. Podwieszony pod sufitem telewizor wyświetlał podrzędny mecz angielskiej ligi. Za barem kurzyły się tanie koniaki i łyskacze, których i tak nikt nie kupował. Grupa młodych dwa stoliki dalej debatowała nad paragonem. Milczące chłopcy w znoszonych marynarkach piły powoli, ale konkretnie, nie mówiąc wiele. Słyszał ich słowa. Gdzieś na Rudzie robotnicy znaleźli kości. U kogo? Nikt tam nie mieszka, tylko jakiś cwaniaczek robi z gospodarki reklamę Castoramy. Dobrze ubrany, gładko ogolony i pachnący z daleka drogimi perfumami gość przeglądał jakieś papiery.

– Wyrzucasz mnie? – zabełkotał.

– Nie, po prostu zamykamy. Płacisz, paciorek i do łóżka. – Barman przestąpił z nogi na nogę.

Władysław Wężyk wysupłał z kieszeni zmiętą dziesięciozłotówkę i rzucił na stół. Barman wziął banknot w palce.

– To nie wystarczy. – Pokręcił głową. – Pijesz cały wieczór, dychą się nie opędzisz.

– To może na krechę?

– Na krechę piłeś wczoraj – zdenerwował się barman.

– Nie słuchaj go, Bosman – zaśmiał się facet znad papierów. – Tylko udaje, że jest spłukany, a tak naprawdę to ma węża w kieszeni. Wężyka.

Dołączyły do niego chłopaki, śmiech odbił się od ścian i zadźwięczał mu w uszach szyderstwem. Mogli być młodszy od

jego syna. Już nawet tacy się z niego śmieją. Jak on ich wszystkich nienawidził.

– Co, Władziu, już nawet na piwo cię nie stać? – kontynuował tamten. – A gdzie twoje biznesy, twoje geszefty? Miałeś nam wszystkim pokazać. I pokazałeś. Puste kieszenie. A synuś ci na tacę nie nazbiera, bo go wyjebali.

Śmiech wibrował Wężykowi w głowie. Musi natychmiast stąd wyjść, bo inaczej da komuś w mordę. Wydostał się zza stolika i wytoczył na ulicę. Przytrzymał się muru, ochłonął. Ruszył przed siebie zakosami. O tej porze nie było już ludzi na ulicach. Wymarłe miasto, pomyślał. Pieprzony cmentarz. Przypomniało mu się, jak studiował w Krakowie, mieście, które żyło przez całą noc. Dziewczyny, nocne rajdy przez knajpy i akademiki. Tutaj ludzi o dwudziestej drugiej układał do snu telewizor. Nie było gdzie wyjść, dokąd uciec, wszystko zamknięte na głucho, brakowało tylko gnanego wiatrem krzaka, jak na westernach. Nienawidził tego miasta.

A potem przypomniało mu się, że studiów nie skończył. Dziewczyna z brzuchem, zamiast o dyplomie i otwierających się właśnie po upadku komuny perspektywach trzeba było myśleć o ślubie, robocie, mieszkaniu. Miał wyjechać do Ameryki, odłożył wyjazd do narodzin dziecka. Ale mały okazał się chorowity, więc przesuwiał ten wyjazd, aż nic z niego nie wyszło. Zamieszkali u rodziców żony. Miało być tylko na przeczekanie, aż się dorobią. Mieszkali tam do dzisiaj. Nienawidził tego domu.

Chwiejnym krokiem przeciął plac przed sklepem i ruszył Świętego Jana. Jeszcze niedawno to miejsce straszło wybitymi oknami, spięte klamrami mury czekały, żeby się rozlecieć. Ludzie dziwili się, jak w środku miasta może stać taka ruina. Pamiętał dobrze, jak wślizgiwał się tam jako dziecko, jak buszował wśród gruzu i butwiejących desek, jak przyglądał się

wyblakłym polichromiom na zapadającym się sklepieniu. Nie musiał się włamywać, bo słynny profesor Zin, historycy sztuki i konserwatorzy zabytków porzucili to miejsce na wpół rozkopane i nawet nie zamknęli za sobą drzwi.

Ale po renowacji chasydzka synagoga jak malowana zapraszała do środka na spotkanie kultur. Prychnął, gdy pomyślał, że też mógłby mieć w tym swój udział. Niestety, wywalili go z projektu, zanim zdążył cokolwiek na nim zarobić. Westchnął. To dopiero była szansa, ale wyszło jak zawsze. Obrzucił spojrzeniem podświetloną fasadę, kolorowe znaki zodiaku, pomalowane na żółto głowice pilastrów, że niby złoto. Uśmiechnięty trup, pomyślał. Tej synagogi też nienawidził.

Potoczył się dalej, Warszawską. Tu niedaleko jest Tesco. Ściemnił Bosmana, że jest splukany, miał jeszcze skitrane dwie dychy. Przytrzymał się ogrodzenia, poczuł oddech wilgotnego mroku. W ciemności pod drzewami zamajaczyły nagrobki. Niskie, półokrągłe, skurczone, jakby przypadły do ziemi i chowały się w trawie. Światło księżycyca wydobyło z czerni litery obcego alfabetu.

Przyspieszył kroku, chociaż plątały mu się nogi.

– Ale co to może być? – zapytał Bastian, sam już nie wiedział po raz który.

Anka przyjechała przed południem, miał nadzieję, że uda mu się ją namówić, żeby została na noc. Nie dlatego, że na coś liczył – tej nocy jak nigdy nie chciał zostać sam w tym domu. A Wiołkę wysłał do Krakowa, żeby zajęła się robotą. Czuł, że jeśli zostałyby dłużej, na pewno powiedziałby w którymś momencie o jedno słowo za dużo. Wcześniej poszli z Anką nad wykop. Stała nad dołem, zajrzała z daleka, jak gdyby coś ją powstrzymywało.

Teraz patrzyła na zdjęcie czaszki ułożonej na brezencie. Zrobiła je Wiolka, zanim pogonili ją policjanci.

Brunatnoszara, matowa powierzchnia kości czołowej. Wydatne, ale łagodne linie kości jarzmowych. Wąska, subtelna szczęka. Duże, puste oczodoły, nad którymi łuki brwiowe wyglądały na szerokokątnej fotografii niczym uniesione, jakby w tej czaszce skostniało pytające spojrzenie.

– Więc jeszcze raz: te kości były stare, tak? – W zamyśleniu nawijała na palec pukiel rudych włosów.

– Tak sugerował technik – westchnął Bastian. – Ale ciągle powtarzał, że nic nie może powiedzieć, jak rzecznik prasowy episkopatu. W każdym razie to były same kości, nie było, no wiesz, niczego więcej.

– A kiedy je zobaczyłeś, to były ułożone w jakiś konkretny sposób czy...

– Nie mam pojęcia, jak były ułożone – przerwał jej. *Déjà vu*, pomyślał. – Zobaczyłem je wymieszane z ziemią w łyżce koparki.

– To niedobrze – stwierdziła Anka. – Kontekst jest ważny, żeby określić, czy to był pełnowartościowy grób, czy też ktoś chciał się pozbyć ciała, po prostu wrzucił je byle jak do dołu i zakopał. Pytanie, czy towarzyszyły mu inne groby. Czy to było cmentarzysko? I czy w grobie znajdowały się jakieś przedmioty?

– A skąd ty tak nagle znasz się na kościach?

– Na studiach w wakacje jeździłam na wykopaliska. Poza tym dla antropologa kultury to normalna sprawa. Nawet nie wiesz, ile zawdzięczamy badaniu pochówków, jeśli chodzi o kultury odległe w czasie. Ktoś składał do ziemi, czyli zabezpieczał na wieki, to, co miał najcenniejszego, co odzwierciedlało jego wierzenia, całe uniwersum symboliczne...

– Anka, proszę, nie jesteśmy na wykładzie...

– *Sorry* – mruknęła. – Więc nie było tam nic więcej?

– Mówili, że nie. – Zawahał się. – Nie żeby panowie policjanci kopali wyjątkowo sumiennie. Pogmerali, pozbiali kości do worków i wynieśli. Podobno mają jeszcze szukać, ale cholera wie kiedy.

– To mogło być bardzo małe. Tkaniny ulegają rozkładowi, ale metalowe, kościane czy kamienne przedmioty powinny się zachować. A jeśli to był na przykład żołnierz z pierwszej wojny światowej, to mogły zostać nieśmiertelnik, sprzączka, guziki, jakieś rzeczy osobiste...

– To była kobieta – mruknął Bastian.

– Więc może biżuteria? – Anka rozłożyła ręce.

Zadumał się. Teraz będzie czekanie. Na dalsze poszukiwania, na ekspertyzę, na decyzję prokuratora. Na choćby strzęp informacji. A ona go pyta, czy były tam paciorki.

– Bez kontekstu trudno będzie powiedzieć, co to za kości. – Pokręciła głową. – Taki samotny, nagi trup z dala od cmentarza to naprawdę podejrzane.

– Ale dlaczego? – Jeszcze się bronił. – Nie mogło komuś się zemrzeć gdzieś w drodze, kilkaset lat temu?

– Bastian, w kulturach tradycyjnych pogrzeb to najważniejszy rytuał przejścia, bo wyznaczał koniec tymczasowego życia na ziemi i początek prawdziwego życia w zaświatach, niebie, nazwij to, jak uważasz. Ludzie nie zostawiali pochówku przypadkowi. Nikt by nie chciał, żeby na granicy dwóch światów coś poszło nie tak. A mogło.

– Na przykład co?

– Przede wszystkim człowiek mógł być nieprzygotowany. – Usadowiła się wygodniej na krześle, co zwiastowało dłuższą

pogadankę. – „Od nagłej a niespodziewanej śmierci zachowaj nas, Panie”, pamiętasz?

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny...” Pamiętał, jak tę zawodzącą pieśń śpiewała w kościele babcia. Dziś wiedział, że znała to wszystko z doświadczenia. I tylko nagłej a niespodziewanej śmierci Pan jej oszczędził, bo umarła we własnym łóżku po ciężkiej chorobie.

– Gwałtowna śmierć była bardzo niebezpieczna dla spokoju duszy nieboszczyka. Topielice i wisielcy, ofiary morderstw i wypadków to pierwsi kandydaci, żeby straszyć po śmierci. Aby odejść w spokoju, trzeba było mieć porządek w papierach. Kto nie posiadał paszportu, utykał na granicy. Ci w pół kroku, dzieci zmarłe bez chrztu, nowożeńcy podczas wesela. Poza tym należało odebrać ostatnie namaszczenie, pojednać się z ludźmi i z Bogiem, naprawić zło, które się wyrządziło, albo przynajmniej uzyskać przebaczenie, załatwić sprawy majątkowe, żeby nie zostało nic do wyjaśnienia. Pamiętasz tę piosenkę: „Dzieci ziemią obdzielę, zrobię jeszcze Bóg wie co i w pachnącą niedzielę pójdę za południcą”?

– Kazik – mruknął Bastian. Pamiętał z juwenaliów.

– Grześkowiak – poprawiła go Anka. – Ale to nie koniec. Po śmierci, lecz przed pogrzebem był najniebezpieczniejszy moment. Dusza już opuściła ciało, ale jeszcze nie trafiła w zaświaty. Teraz od rytualnych działań żyjących zależało, czy trafi tam bezpiecznie. Czuwania, różańce, modlitwy, palone przy zwłokach świece, surowe przepisy dotyczące tego, kto jak ma się zachowywać przy ciele, co wolno robić, a czego nie wolno. Wszystko po to, żeby trzymać duszę z daleka, bo dusza, która ma jeszcze coś na tym świecie do załatwienia, może wcale nie chcieć odejść. Wreszcie pogrzeb. Pochówek w poświęconej ziemi. Potem żałoba, której wymogów trzeba było dotrzymać. Na

każdym etapie coś potrafiło pójść nie tak.

– A jeśli tak się stało, to co? – zapytał Bastian.

– Zmarły nie mógł zaznać spokoju. Nawiedzał bliskich i całą społeczność. Dziczał i robił się wredny, w końcu przez niedopełnienie rytuału ktoś pozbawiał go możliwości przejścia do lepszego świata, spotkania z Panem czy z przodkami. Zaczynał szkodzić. Dołączał do szeregów upiorów, zmor i mar. Nie dawał zapomnieć.

Zamilkli. Założyła ręce na piersiach, Bastian wpatrywał się w swoje paznokcie.

– Niepoświęcona ziemia. To przecież nie był cmentarz – podjęła Anka. – Żadnego śladu rytuału. – Uśmiechnęła się, żeby przekłuć grobowy nastrój, który nagle zawisł nad stołem. – Nic tutaj nigdy nie straszło, Bastian?

Różowa kostka brukowa spotykała się tu z poprzerastanym trawą chodnikiem i kruszejącym asfaltem. W cieniu dawnego supersamu, wciąż tak nazywanego, choć od dawna nosił miano Centrum Handlowego, tłoczyły się budki, blaszaki i kioski, stelaże i przyczepy kempingowe. Blacha falista, żółta płyta pilśniowa i siding, za dnia obwieszane odzieżą młodzieżową i konfekcją damską, obstawione wiązanekami okolicznościowymi i kartonami po bananach, teraz obnażone i wyzierające z mroku. Szyld baru U Bosmana ginął wśród banerów, markiz i plandek reklamujących drzwi garażowe i kurczaka z rożna, środki ochrony roślin i znicze. Trafić tam było tym trudniej, że barak stał w głębi podwórza. Ale i tak chodzili tu tylko miejscowi.

W półmroku nad stolikami pochylały się głowy, nad barem kiwały się postacie, buzowały pomruki i śmiechy.

„...dwadzieścia siedem pięćdziesiąt... Chyba że jak budowa

obwodnicy ruszy... Wczoraj z moją starą trzy razy... Z dziećmi do Pacanowa można... Ale ja po służbie to tylko piwko i Netflix, więc jej gadam, że nie będę, co nie?... No mówię ci, że kości... Dwa, kurwa, złote, za kilogram owocu, jakbym wiedział, tobym nie sadził... Nie ruszy, wszystko rozkradli, komuna parszywa... Ludzkie, na Świątkowej posesji... Zobaczycie po wyborach samorządowych... Za unijne, przecież wiadomo... U tego, co nie żyje, zięć przejeżdżał i widział, jak wykopywali... W dupę, to razem cztery...”

Władysław Węzyk oparł się o blat. Przyszło mu do głowy, że bar U Bosmana to senny koszmar twórców reklam piwa, które nadają przed ważnymi meczami. Piękni i wysportowani, chociaż swojscy, trochę szorstcy, ale uśmiechnięci mężczyźni poklepują się w nich po plecach, wznosząc butelki, gdy ich idole pakują piłkę do bramki. Ogarnął go pusty śmiech, gdy pomyślał o tych pokrakach, których idole strzelali tylko samobóje. Z kieszeni wygrzebał zmiętą banknoty.

– Dzięki za wczoraj, Bosman.

Postawny barman zgarnął pieniądze bez komentarza.

– Nalej mi jeszcze jedno. Napiję się, zanim mnie chuj strzeli.

Mężczyzna za kontuarem sięgnął po kufel. Węzyk był nieogolony, wyglądał nieświeżo i miał podkrążone oczy. Pochylił się, oparł łokciami o bar. Przymknął oczy, jakby próbował odpocząć, jakby zasłuchał się w szmer głosów, chociaż grdyka chodziła mu nerwowo.

„...jak na mundialu, nawet z Murzynami nie dali rady... Ale mojej nie przegadasz... To zwykły złamas i frajer, a synek jeszcze lepszy... Wylewkę zrobię i ustawię takiego grilla, jak widziałem u nich... Nie wiem, to chyba wnuczka jego kupiła i przerabia na karingtona... Niedługo będę, kurwa, do tych krzaków dopłacał...”

No i chłopaki pojechali z nim trochę za ostro, to wszystko... Sami złodzieje... Kości, no przecież mówiłem, że kości...”

W domu długo szperała po książkach w poszukiwaniu czegokolwiek przypominającego „kulturę nagich pochówków w środku niczego”, jak to ujął Bastian. Przeglądała opracowania dotyczące wczesnej słowiańszczyzny, wędrówek ludów, cofnęła się nawet do neolitu. Potem wzięła się do średniowiecza i wsi polskiej. Wszędzie znajdowała opisy rytuałów pogrzebowych, towarzyszących im wierzeń, przesądów i tradycji. Czyli to, czego braku szukała. O północy poddała się i poszła do łóżka. Kot dołączył do niej i zwinął się w kłębek na poduszce.

Już odpływała w męczący półsen, kiedy pod kołdrę wślizgnął się ktoś jeszcze.

– Przyjechałeś – wymamrotała, gdy wysupływał ją z piżamy.

Zepchnięty z poduszki kot zasyczał, po czym ułożył się w nogach łóżka. Przyłgnęli do siebie nagimi ciałami, ona rozgrzana ciepłem pościeli, on jeszcze z gęsią skórką po zimnym prysznicu. Instynktownie odnalazła policzkiem mostek Gerarda, wtuliła się weń, wsunęła stopy między jego stopy. Objął ją, przesunęła dłoń po jego plecach i zaczęła głaskać po łopatce, czując, jak jej ciało ogarnia znajome drżenie. Jego ramię zrobiło się ciężkie, a oddech głęboki i chrapliwy. Jeszcze tego brakowało, żeby chrapał.

– Znudziłam ci się? – szepnęła.

– Co? – Uniósł powieki.

– Nie chcesz się ze mną kochać.

– Ledwo żyję – westchnął. – Znowu siedzieliśmy nad projektem po godzinach, a potem chłopaki szli do knajpy. Wolałem im nie odmawiać kolejny raz, żeby nie było, że synuś

szefa zadziera nosa. A jutro znowu od rana szychta.

– To po co przyjechałeś?

– Myślisz, że przyjeżdżam tu tylko po to, żeby cię posuwać?

Nie lubiła, jak tak mówił.

– Nie, nic, nieważne. – Pogładziła go po plecach. – Śpij. Ja też już zasypiałam.

Wydało jej się, że zasnął w momencie, kiedy to mówiła. Przesunęła dłonią po jego karku, czując pod palcami napięte mięśnie. Wolała już tę fazę manii od fazy depresji, z którą zmagali się rok temu, ale jeśli będzie spalał się w takim tempie, to niedługo się zajeździ. Coś się w nim zmieniało, przepoczwaczało, a ona nie wiedziała, czy jej się to podoba. Z miotającego się rozpaczliwie studenta z problemami na jej oczach wykluwał się młody artysta, który doskonale wie, czego chce. Miała nadzieję, że w jego wizji znajdzie się miejsce dla niej.

Już prawie zasypiała, gdy nagła myśl poderwała ją gwałtownie na łóżku.

Ludzkie szczątki wydarte ziemi. Tak jak wtedy, przed kilku laty, w górach, w Dolinie Suchej Wody. Teraz to samo spotyka Bastiana.

– Hm? – mruknął Gert.

– Nic, nic. Śpij – szepnęła, układając się przy nim. – Coś mi się tylko przypomniało.

Zamknęła oczy. To się dzieje znowu.

*

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Sprawdził statystyki serwisu – odnotował niewielki wzrost odwiedzin na stronie, a dane geolokalizacyjne wskazały na Dąbrowę. Widocznie dobre

wiadomości szybko się rozchodzą. Pościelił łóżko, ale się rozmyślił.

Wyszedł na podwórko z puszką piwa. Sączył je, palił i czekał, aż w sąsiednich domach pogasną światła.

Czekał. To była jego perspektywa na najbliższy czas. Czekanie. Na badania gruntu, na kolejne decyzje prokuratora, na informacje. O ile prokurator zechce mu cokolwiek łaskawie objawić. Przecież on, Bella czy ktokolwiek inny nie byli w tej sprawie stroną. Znał zasady, przerabiał to nie raz jako reporter śledczy. Zacznie się dobijać o pozwolenie wglądu do akt w trybie szczególnym, a prokurator będzie mu konsekwentnie odmawiał bez żadnego trybu.

I tak to ma zostać? On tak ma zostać? To miejsce nigdy już nie będzie takie samo, a on nie dowie się nawet dlaczego?

Nie. Nie ma mowy.

Wrócił do domu, zabrał latarkę czołówkę. Ze sprzętu budowlanców pożyczył sobie łopatę.

Księżyc oświetlał sad i rozgrzebaną ziemię. Bastian dopalił papierosa i wskoczył do wykopu. Wbił sztychówkę w kleisty grunt. Zdjął niezbyt głęboką warstwę wokół siebie, a potem pochylił się i w świetle latarki zaczął rozdrabniać grudy w palcach, aż z jego dłoni na dno wykopu nie spadło ostatnie ziarno piasku. Potem brał kolejną porcję. I kolejną.

Zrzucił bluzę, gdy zrobiło mu się gorąco. Kopał i przesiewał w palcach ziemię, uważnie oglądając to, co zostało mu w dłoniach. Żwir. Kamyki. Grudy, które po rozbiciu okazywały się puste.

Zanurzał się coraz głębiej, schodził w chłodną, zalaną trupim światłem księżycy, pachnącą ziemią czeluść. Klnąc przez zęby, metodycznie machał łopatą, pot kapał mu z czubka nosa. Kopał

długo.

Aż odrzucił łopatę. Krzyknął. Usiadł na dnie wykopu, wdychając bijący od ziemi chłód. Pokaleczonymi dłońmi sięgnął po papierosa. Nie miał już siły.

Nie znalazł nic.

*

Lawirował wśród krzaków, zwinnie omijając kępy kolczastych krzewów, przeskakiwał wykroty i przeciskał się pod zwalonymi pniami. Skupiony na ściółce wzrok wynajdywał przesmyki między korzeniami. Z pyska kapłała piana, serce waliło w szczupłej piersi. Ujadanie ogarów niosło się po lesie, daleko, lecz coraz bliżej, tubalne, zajadłe głosy, jak z piekła. Ale on jest szybszy. Zwinniejszy. On zna ten las, tu się urodził i wychował, a one są z daleka, nie znają tutejszych zapachów, skrzygnięć tutejszych drzew, miękkości tutejszej ziemi, koloru liści. A on wie, gdzie są takie jamy, gdzie go nie znajdą, gdzie będzie mógł zniknąć, przeczekać obławę.

Nagle stanął, zastrzygł uszami. Do ujadania ogarów dołączyło coś jeszcze. Szczekanie. Swojskie szczekanie, znał je dobrze, gdy podchodził pod zabudowania. Wiejskie burki i azory. Nigdy się ich nie bał, bo co mu mogły zrobić, poza tym obchodzili się szerokim łukiem, on nie wchodził im w drogę ani one jemu. Szczekanie rozległo się bliżej, więc ruszył przed siebie długimi susami. Psy były już blisko, oglądając się, widział, jak trzęsą się paprocie, słyszał, jak trzaskają gałązki. Ale on jest szybszy. Zwinniejszy. Ucieknie. Ukryje się. Schowa.

Zawył, gdy coś szarpnęło go za nogę. Zaskowyczał rozpaczliwie, szarpnął, ale pętla tylko głębiej wżarła się w ciało. Krew. Ogary na pewno zwęszyły krew. Zwinął się, przypadł do ziemi, kiedy burki i azory go dopadły, otoczyły, warcząc i jeząc

sierść na karkach. Odsłonił zęby. Ogary słyhać było coraz bliżej.

Przecież ja pies i wy psy. Położył uszy po sobie. Przecież jedyne, co nas różni, to kolor futra. Bez was mnie nie znajdą. Nie znają tego lasu. Zgubią się tu.

Ale one, te daleko, też psy. I kęsają boleśnie. One psy i my psy.

A ty lis.

Szarpnął się jeszcze raz, gdy zaczęły podchodzić.

Anka otwartymi ustami łapała powietrze. Zamrugła i rozwarta tuż nad jej głową paszcza nabrała kształtów cienia lampy na suficie. Spróbowała się poruszyć, ale aż jęknęła z bólu. Ostrożnie uwolniła nogę spod masywnego uda Gerta i usiadła na posłaniu, rozmasowując obolały mięsień. Wstała i zrobiła kilka kroków. Gert przekręcił się na brzuch i rozłożył ramiona. Anka popatrzyła w puste oczodoły Santa Muerte. Nie lubiła tego tatuażu, wydawał jej się pretensjonalny, Gertowi też już się znudził. I chociaż nigdy by się nie przyznała, że jest przesądna, to jednak w upiornym rysunku było coś z kuszenia losu.

Przykryła Gerta kołdrą, tak żeby zasłonić tatuaż, ale kosa na karku wciąż wystawała spod pościeli. Coś jej się śniło, coś straszego. Serce wciąż jeszcze nie mogło się uspokoić, rozszerzone źrenice lustrowały ciemną sypialnię. Kot podniósł głowę. Za roletami świtało. Naciągnęła na siebie górę od piżamy i wzięła z nocnej szafki telefon. Cicho wyszła z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Stała przed regałem z książkami. Coś jej się śniło, coś straszego.

Polowanie.

Cały wieczór szukała nie tam, gdzie trzeba. Archeologia, etnografia – trzeba było sięgnąć na półkę z historią współczesną.

Wybrała numer, odebrał od razu, aż dziwne, mimo że nad ranem. Zdyszany, jakby wcale nie spał.

– Bastian, słyszałeś o *Judenjagd*?



ROZDZIAŁ 3

Mgła unosiła się z zarośli, a przez korony skłaniających się nad szosą drzew przebijało rozjaśniające się powoli niebo. Świtało. Odblaskowe biało-czerwone strzałki wyznaczające ostry zakręt błyszcząły w świetle reflektorów. Niebieskie poblaski kogutów pełzały po ścianie drzew. Radiowóz drogówki stał tuż za zakrętem, przed nim karetka. Nieco dalej kłęb srebrno-złotej folii termicznej przysłaniał fragment pobocza. Wokoło kręciło się dwóch policjantów w białych czapkach i kanarkowych kamizelkach oraz lekarz w czerwonym uniformie. Snopy latarek omiały skraj drogi.

Aspirant Krystian Papa zgasił silnik i wyłączył syrenę. W lesie, na zakręcie drogi na Szczucin, trzy kilometry za granicami miasteczka, zapadła upiorna cisza. Trzasnęły drzwi nieoznakowanej kii. Młody blondwłosy aspirant wysiadł pierwszy. Od strony pasażera wytoczył się z auta postawny, ostrzyżony na jeża brunet, od razu zwracając uwagę tych z drogówki. Jeden wyszedł mu naprzeciw zza parawanu.

– Cześć, Mariusz. – Pomachał do niego i zapalił papierosa.

– Kto to? – Podkomisarz Mariusz Kaługa wskazał na parawan.

– Wężyk.

– Stary czy młody?

– Stary.

– A co on tu robi? – Kaługa rozejrzał się po lesie.

– Chyba se leży – odparł policjant z drogówki i wzruszył ramionami.

Podkomisarz wyjął mu z ręki latarkę i podszedł do ciała. Lekarz pogotowia wyprostował się, podał mu rękę.

– Zgon? – spytał Kaługa.

– Raczej.

– Dobra, jedźcie, przydadcie się żywym.

Funkcjonariusz drogówki kuczał z notesem nad ciałem. Nogi Władysława Wężyka, rozrzucone i ugięte w kolanach, leżały na poboczu. Tułów, nienaturalnie obrócony względem nóg, spoczywał na wznak na asfalcie. Głowa była mocno wykręcona w lewo. Znieruchomiałą twarz pokrywały strugi zakrzepłej krwi. Krew zastygła też lśniąca plamą na mocno wgniecionej klatce piersiowej, część wsiąkła w brudne ubranie. Cuchnęło kałem i alkoholem.

– Nawet śladów hamowania nie ma. – Policjant z drogówki uniósł głowę, gdy karetka odpaliła silnik i zaczęła zawracać. – Większe auto. Przejechał się po nim centralnie i uciekł.

– Ten, co zgłosił, nie widział sprawcy? – spytał podkomisarz.

– E, nie. Władek już tu trochę leży. Nawet przestygł.

Kaługa machnął ręką.

– Wołajcie Szczucin, niech się przelecają po parkingach i popatrzą za obcą ciężarówką, dostawczakiem, tirem. Może sprawca odjechał i stanął gdzieś, żeby się ogarnąć. A wy siadajcie w auto i przejedźcie się pod Pacanów, może stoi na poboczu albo na stacji benzynowej. A z powrotem pokręćcie się po bocznych drogach. Krystian! – zawołał do aspiranta. – Dawaj tu techników, niech obadają miejsce zdarzenia, może coś znajdą.

Radiowóz drogówki zawył i ruszył w stronę Szczucina. Podkomisarz Kaługa pochylił się nad martwą twarzą Wężyka.

Milczał.

– I worek na zwłoki – powiedział wreszcie. – Przecież nie będziesz tu, Władziu, tak leżał.

Dzwonek do drzwi wyrwał Bastiana ze snu tuż po dziewiątej. Spał może półtorej godziny. Do rana czytał w sieci wszystko, co znalazł pod hasłem wypowiedzianym w nocy przez Ankę.

Judenjagd.

Polowanie na Żydów, którzy uciekli z gett i transportów do obozów zagłady i próbowali się ukrywać pośród polskiej ludności. Czytał strony internetowe Żydowskiego Instytutu Historycznego i waszyngtońskiego Muzeum Holokaustu oraz artykuły. Znalazł recenzje i omówienia książki Jana Grabowskiego pod takim właśnie tytułem.

Judenjagd.

Książki, o której wcześniej nie słyszał. Mimo że opowiadała o Dąbrowie Tarnowskiej.

Wszystkie myśli łomoczące mu w głowie zaczęły się skupiać, gęstnieć i formować w pytanie, którego nie miał odwagi wypowiedzieć na głos. Co tu się stało?

W biegu naciągnął spodnie od dresu. Może to prokurator?

– Cześć, młody, kopę lat! – powitał go w progu kuzyn Bogdan. – A ty, widzę, dalej lubisz sobie pospać.

Ostatni raz Bastian widział kuzyna na pogrzebie dziadka. Stracili ze sobą kontakt, kiedy Bastian przestał przyjeżdżać do Dąbrowy. Bogdan był wtedy tyczkowatym chłopakiem w czapce z daszkiem i z głową pełną pomysłów związanych z motoryzacją. Zanudzał Bastiana parametrami technicznymi ulubionych marek i modeli, pokazywał wycięte z gazety zdjęcia. Bastian pamiętał, jak Bogdan wypowiadał nazwy modeli samochodów niczym

nazwiska najpiękniejszych aktorek: Toyota Corolla, Alfa Romeo, Ford Sierra. Dzisiaj stał przed nim dobrze utrzymany czterdziestolatek z początkami piwnego brzuszka. Włosów też miał wtedy więcej. Na wysokim czole perliły się kropelki potu.

Bastian nie zdążył się zdenerwować, że kuzyn przychodzi bez zapowiedzi, bo przypomniał sobie, że tutaj zawsze tak to wyglądało. Przyjść, posiedzieć, bo i co kto miał do roboty czy do ukrycia.

– Cześć, Bogdan. – Bastian chrząknął. – Wejdiesz?

– Nie, nie będę wchodził – odpowiedział kuzyn, machając ręką. – Przecież widzę, że niegotowy jesteś. Tak żem chciał zapytać, co słyhać, i się rozejrzeć, jak tam gospodarka po dziadkach. Nieźle to wszystko wygląda, widać, że ta Izka ma łeb do interesów.

Tylko Bastian mówił do siostry „Bella”. Skrócenie „Izabeli” do „Belli” wydawało mu się zabawne, ale bawiło tylko jego.

– Co tam u cioci Wery? – zapytał, gdy wyszli na podwórko.

– Jest na emeryturze, ale wszędzie jej pełno. A ja żem się wybudował za domem rodziców. – Kuzyn płynnie przeszedł do opowieści o sobie. – Mam autoserwis. Młody się dobrze uczy, czasem mówi, że chciałby być dziennikarzem. – Wybuchnął śmiechem. – Może weź mu wyperswaduj, że tak na życie nie zarobi.

Bastian zmrużył oczy i już miał coś powiedzieć, gdy na podjeździe zobaczył czerwone sportowe audi. Otworzył usta.

– Konkretnie robi wrażenie, co nie? – Bogdan wypiął pierś. – Taki żem sobie prezent sprawił na czterdzieste urodziny. Mówię ci, Niemiec płakał, jak sprzedawał. Płakał, bo mu ktoś w dupę wjechał. Ale ja sobie wyklepałem i mam.

Niespiesznym krokiem przeszli do sadu. Kuzyn gadał jak

najęty – kto umarł, kto się gdzie wybudował, kto czym jeździ i czyje dzieci dokąd wyjechały. Bastian słuchał go jednym uchem, w drugim dzwoniło mu z niewyspania. Sam nie wiedział, kiedy znaleźli się nad wykopem.

– To tu te kości znaleźli? – upewnił się Bogdan i aż się wychylił, żeby zobaczyć jak najwięcej.

– Skąd wiesz?! – Bastian nagle oprzytomniał.

– Wszyscy już o nich mówią. – Bogdan wzruszył ramionami. – A skarbu żeś żadnego przy okazji nie znalazł? – Zaśmiał się.

– Skarbu? – Bastian jeszcze szerzej otworzył oczy.

– No nie wiem, złota?

– Ty się nie domyślasz, co to mogą być za kości?

Kuzyn pokręcił głową, wydymając wargi.

– A dziadkowie nie opowiadali ci żadnych historii? – zapytał ostrożnie dziennikarz. – Na przykład z wojny.

– Nic specjalnego. Coś o samolocie, tym, jak mu tam, halifaxie, co tu spadł. O tym, że było ciężko, jak się urodził wujek Marian, jak się wszyscy bali. Pewno tobie mówili to samo. – Bogdan zaczął się bawić kluczykami od auta. – To ja już będę lecieć.

– Słuchaj. – Bastian wcale nie miał zamiaru tak łatwo go wypuścić. – A o czymś takim jak *Judenjagd* słyszałeś?

– *Juden* co? – Twarz kuzyna wyrażała najszczerze zdumienie. – To coś o Żydach, tak? – Bastian kiwnął głową, obserwując jego twarz. – Ech, Bastian, to już nie masz się czym zajmować?

Bogdan ruszył sprężystym krokiem w stronę swojego audi. Bastian czuł w ustach suchy niesmak, w oczach piach i niewyspanie. Obciągnął wygnieciony podkoszulek. Był wściekły, że po latach zaprezentował się kuzynowi w takim

stanie. Bogdan założył na nos okulary przeciwsłoneczne, otworzył drzwiczki samochodu i oparł się o nie łokciem. Bastian mógłby się założyć, że kuzyn ćwiczył tę pozę przed lustrem.

– A w domu żeście nic ciekawego nie znaleźli? – zapytał Bogdan.

– W domu? – zdziwił się Bastian.

– Pruli żeście w końcu ściany, zdzierali żeście podłogi... – Bogdan zawiesił głos. – Dobra, to lecę. Weź zadzwoń do mojej matki, ucieszy się. Bardzo cię lubiła.

Czerwone audi z piskiem opon ruszyło z podjazdu. Bastian wrócił do domu i przepłukał nad zlewem usta. Siedzi tu już trochę i nie odezwał się do ciotki Wery, a przecież kiedyś to była jego ulubiona ciocia. Nasypał sobie do miski płatków kukurydzianych, zalał mlekiem i usiadł przy stole. Powiódł wzrokiem po ścianach. Rzeczywiście, spruli tu wszystko do gołych cegieł, ani jedna deska się nie ostała.

Bella mówiła, że wszystkie szpargały, z którymi nie wiedziała, co zrobić, wyniosła na strych.

Niedojedzone płatki zostały na stole.

Kaługa i Papa stali na poboczu, szukając cienia. Papa jadł hot doga z sosem tysiąca wysp, podobnie technicy, którzy właśnie skończyli czynności, pozdzierali z rąk gumowe rękawiczki i rzucili się na jedzenie. Kaługa obejmował sękatymi dłońmi kubek z kawą smakującą ciepłym plastikiem od dekla. Ci z drogówki zlitowali się nad nimi i skoczyli po wałówkę na niedaleką stację BP przy wylocie drogi na Szczucin.

– Trzeba pogadać z rodziną – powiedział Kaługa. Papa milczał.

Dwie godziny temu już prawie kończyli, gdy od Dąbrowy

przyjechała srebrna toyota yaris. Podkomisarz spojrzął najpierw na aspiranta, potem na auto. Zmełł w ustach przekleństwo, gdy otworzyły się drzwi kierowcy.

– Kto ją tu, kurważ, zaprosił? – syknął.

Prokurator Judyta Franz wygładziła czarną spódnicę garsonki. Siwiejące włosy ściągnięte w kok i zwięzione, okolone zmarszczkami oczy nadawały jej belferski wygląd. Rozejrzała się i ruszyła wprost do podkomisarza. Kaługa poprawił pasek i podszedł do niej.

– Dzień dobry – mruknął.

– Dlaczego mnie nie wzywacie? – zapytała, ignorując uprzejmości.

– Przecież pani prokurator nigdy nie życzyła sobie, żeby po nią przyjeżdżać radiowozem...

– Przyjeżdżam sama – ucięła. – Ale gdy mam dyżur, życzyłabym sobie jednak, żeby któryś z panów mnie zawiadamił o zdarzeniu ze skutkiem śmiertelnym.

– Pani koledzy czasem powierzają...

– Ja nie jestem żadnym kolegą! – warknęła, a wszyscy zgromadzeni na miejscu wypadku wstrzymali oddech. Kaługa wyglądał, jakby gryzł się w język, żeby jej nie przytaknąć. – Mnie się woła. Zawsze.

– Nikt nie zawiadomił? – Podkomisarz rozejrzał się, rzucając spojrzenia spode łba. – Noż kurwa, chłopaki.

Gdy mruczał, że w zamieszaniu musiało dojść do nieporozumienia, prokurator Franz przeniosła uwagę na technika, który nadaremnie szukał śladów, choćby oderwanego z auta sprawcy kawałka plastiku. Krążył w trawie wokół miejsca, gdzie czarną plamę na asfalcie okrywał lśniący koc termiczny obciążony dwoma kamieniami.

Obok leżał czarny worek na zwłoki.

– Bez żartów – mruknęła i wymijając Kaługę, ruszyła przed siebie. Podkomisarz podążył za nią. Aspirant Papa obserwował ich z pewnej odległości. – Dlaczego zwłoki są w worku?! – zapytała podniesionym głosem, aż technik znieruchomiał. – To pan polecił je spakować?

Technik pokręcił głową. Prokurator Franz odwróciła się na obcasie i wycelowała polakierowany paznokieć w Kaługę.

– Podjęliście czynności bez obecności prokuratora. I do tego spakowaliście zwłoki bez moich oględzin? – wycedziła głosem lodowatym jak kostnica. Podkomisarz zacisnął pięści.

– Na miłość boską – burknął. – Przecież to kolega był. Władek. Nie mieli my parawanu, musieli my go spakować do worka. Miały go tu muchy żreć i postronni się gapić? Toż już kilka wycieczek przegoniłem. Trza być ludzkim.

Franz machnęła na technika, ten nachylił się nad workiem i rozsunął zamek do połowy piersi ofiary. Prokuratorka, nie odwracając się, wyciągnęła w bok otwartą dłoń. Ktoś podał jej pudełko z silikonowymi rękawiczkami. Naciągnęła jedną, pochyliła się. Ujęła denata za żuchwę. Poruszyła jego głową najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Zmarszczyła czoło.

Zdejmując rękawiczkę, stanęła przed Kaługą. Była niższa o dwie głowy, tak że musiał się schylić, aby spojrzeć w jej zmętniałe, zimne oczy.

– Sprawca? – zapytała.

– Ustalamy.

– Świadkowie?

– Nie ma. Znaczą ustalamy.

– Zgłaszający?

– Spisany i puszczony.

Zmilczała to.

– Ofiara miała telefon?

– Nie znaleźli my.

– Monitoring?

– Zabezpieczymy oczywiście.

– Stawi się pan u mnie w prokuraturze – zakomunikowała. – Omówimy sobie te czynności ze szczególnym uwzględnieniem kwestii bycia ludzkim.

Odwróciła się i stukot obcasów na asfalcie poniósł się po lesie. Odeszła w stronę toyoty, podnosząc telefon do ucha. Kaługa tkwił nieruchomo pośrodku drogi, czując na sobie spojrzenia wszystkich.

– Co za franca – usłyszał szept Papy.

*

Kurz trzymał go za gardło i wyciskał łzy z oczu.

Tutaj jeszcze nie dotarła rewolucja Belli. Siostra upchnęła kartony ze szpargałami ocalonymi z domu, wciskając głębiej to, co już się tam znajdowało. Czuć było rozgrzaną blachą i czymś butwiejącym. Światła wpadało tyle co przez świetlik w szczytowej ścianie. Zaczął od najdalszego kąta, gdzie spodziewał się najstarszych artefaktów. Znalazł popakowane numery „Rycerza Niepokalanej”, „Naszej Sprawy” i „Gościa Niedzielnego”. Był tam nawet „Mały Gość Niedzielny”, którego babcia kupowała dla niego. Kartkował go tylko, zły, że nie dostał komiksu z Kaczorem Donaldem. Dlaczego je tu odkładali? Nie chcieli palić w piecu Panem Jezusem i Najświętszą Panienką? Ale tym sposobem nakarmili nimi myszy.

Dziwił się, jak mało zostało po dziadkach. A może to wcale nie powinno dziwić w świecie, gdzie nic się nie marnowało, gdzie

rzeczy żyły swoim drugim i trzecim życiem, by skończyć w piecu, jeżeli nadawały się do spalenia. Jeśli coś lądowało na strychu, musiał to być skarb, z którym nie wiadomo, co zrobić, ale który jeszcze może się przydać. Znalazł zatłuszczoną książkę telefoniczną, która pojawiła się tutaj, kiedy u dziadków podłączono telefon. Została tu do końca. Nieużywaną szachownicę, jaką kupowało się w latach dziewięćdziesiątych u ruskich, pewnie czyjś nietrafiony prezent. Tarę do prania. Była bardzo stara, nadawałaby się do muzeum etnograficznego. Pomyślał, że mógłby dać ją Ance, może wymyśliliby dla niej z Gerardem jakieś ciekawe zastosowania. W pudełku znalazł chustkę na głowę. Też była stara i nadpruta w rogu.

Słumiony dźwięk dzwonka do drzwi zabrzmiał w zaduchu strychu jak głos z zaświatów. Bastian zbiegł na dół, wytarł dłonie w spodnie, rozmazał na czole pajęczyny, otworzył.

– Wujek – kaszlnął – Marian?

– Skoro mnie poznajesz, to aż tak się jeszcze nie zestarzałem. – Starszy pan rozłożył ramiona.

Czy to przytyk, że tak długo się nie widzieli? – pomyślał Bastian. Wujek Marian był wystrojony jak do kościoła. Marynarka, trochę pożółkła biała koszula, spodnie w kantkę. Włosy miał zaczesane na pożyczkę, pachniał wodą kolońską. Wspierał się na lakierowanej laseczce z gałką. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł nią czoło.

– Przepraszam, strych sprzątam – bąknął Bastian, zorientowawszy się, że jest od rana w tym samym wymiętym podkoszulku, który teraz śmierdział potem i kurzem. A to się znowu rodzinie zaprezentował. – Nic się wujo nie zmienił.

– Wiele osób mi to mówi, szczególnie płci odmiennej. – Wuj Marian pokraśniał, w jego oczach rozbłysły figlarne iskierki.

– Piwko? – Bastian szerzej otworzył drzwi, nie komentując tej odpowiedzi.

– Nie, nie, ja tylko na chwilę. Zresztą widzę, że przychodzę nie w porę. Chciałem tylko wpaść, żeby powiedzieć „serwus” i rzucić okiem na dom rodzinny i gospodarkę.

Starszy pan niespiesznie się odwrócił i spacerowym krokiem zaczął krążyć po podwórzu. Pogłaskał dłonią elewację, zastukał obcasem w kostkę brukową, zacmokał na widok splantowanego terenu między stodołą a domem.

– Tu kiedyś stał sracz – wyjaśnił – a dzisiaj róże tu będą rosły. Nie jestem sentymentalny, choć wspominać można, nawet jest co. – Zachichotał. – Ale nie ma się co oglądać na przeszłość. Szczególnie że czasy były... hm... gówniane.

Wuj nawijał z elokwencją, niczym magik wodząc rękami w powietrzu. Takiego go Bastian zapamiętał – czarodzieja potrafiącego rozładować każdą zwarzoną atmosferę przy świątecznym stole, rozlewającego karniaki, odgrywającego przed dziećmi scenki z *Czterech pancernych*, rozdającego cukierki i prztyczki w nos. Wcale się nie zdziwił, kiedy stanęli nad wykopem i wuj nagle spowaźniał.

– A więc tu znaleźli te kości. – Urwał, jakby chciał, żeby Bastian kontynuował. Ten milczał, licząc na to, że wuj podejmie temat. – Dziwne, dziwne...

– A wujo to się nie domyśla kto i co?

– Może to jeszcze z rabacji? – Marian rozłożył ręce. – Jak znajdziesz na tym strychu kosę albo piłę – puścił do Bastiana oko – to nie ruszaj, bo mogą być odciski palców.

Bastian skrzywił się, zamiast się uśmiechnąć.

– A wojna? – rzucił. – Nie wie wujo, co tu się działo w czasie wojny?

– O, wojna! – Marian podniósł palec, a Bastian zamarł w oczekiwaniu. – We wojnę to ja ssałem cyca i ładowałem w pieluchę, cudowne czasy! Szkoda tylko, że nic nie pamiętam.

– Na pewno nie chce wujo wejść na piwko? – zapytał Bastian. Czuł, że kręcą się w kółko i niczego się od Mariana nie dowie.

– Nie, będę uciekał. – Wuj wygładził koszulę, jakby niezadowolony, że Bastian nie chciał się z nim bawić. – Do Tarnowa muszę wracać na wieczór. – Chrząknął znacząco. – Ale dawaj znać, jakbyście się czegoś o tych kościach dowiedzieli, dobrze? – dodał, już całkiem serio. – To w końcu też był mój dom.

Bastian odprowadził go do bramy. Wuj trajkotał, że słyszał o jakimś wypadku na trasie do Szczucina, ale Bastian prawie go nie słuchał. Pokiwał głową, że straszne, pozwolił się poklepać po ramieniu, ciesząc się, że nie dostał prztyczka w nos. Wuj oddalił się tanecznym krokiem, a on wrócił do domu, zły i smutny z niewiadomego powodu.

Beżowy budynek pysznił się portykiem ogrodzonym kutymi tralkami i wspartym na białych kolumnach. Blachodachówka lśniła nowością, okna były przysłonięte wertykalami. To mogłaby być restauracja specjalizująca się w pierś z kurczaka à la schabowy z różyczką z pomarańczy albo hotelik żyjący z chrzcin i wesel. Ale monumentalne lakierowane litery na fasadzie nie pozostawiały wątpliwości: Zakład Pogrzebowy „Ultima”.

Srebrna toyota yaris zaparkowała przed portykiem. Na schodach zastukały obcasy. Prokurator Franz nie musiała się przedstawiać. Choć w Dąbrowie pracowała krótko, to właściciel, który otworzył jej drzwi, już zdążył się z nią zapoznać. Bez zbędnych pytań poprowadził ją przez ekspozycję trumien na tyły

budynku, do kostnicy.

Białe, wyłożone kafelkami wewnątrz było zalane światłem jarzeniówek. Przedsiębiorca pogrzebowy pociągnął za skobel drzwi lodówki, wysunął ze środka wózek ze stali nierdzewnej i odsunął się ruchem tak dyskretnym, jak potrafią tylko przedsiębiorcy pogrzebowi.

Na srebrzystej tafli ze stali spoczywał Władysław Wężyk. Skręcony w nieludzkiej pozie utrwalonej przez *rigor mortis*, zdawał się wciąż wic z bólu. Nogi miał ugięte w stronę przeciwną, niż skierowany był jego tułów, zapadnięty gwałtownie pod ubraniem na piersi, przez którą przetoczyły się koła. Lewe ramię spoczywało obok głowy zwróconej mocno w lewo. Prawe stężało uniesione ponad powierzchnią wózka, co wraz z zaciśniętymi kurczowo palcami potęgowało wrażenie, że denat jeszcze nie przeszedł na drugą stronę, jeszcze nie jest do końca martwy.

Jeszcze ma coś do powiedzenia, pomyślała prokurator Franz. Odkąd zobaczyła go w worku na zwłoki, nie dawał jej spokoju. Pochyliła się nad ciałem, od którego wciąż biła woń alkoholu. Musiał go wypić hektolitr. Może nawet nie poczuł, co go spotkało.

Zmarszczyła brwi, uważniej przyglądając się twarzy zmarłego. Nos, górna warga i powieki już powoli czerniały. Skrzepnięta krew formowała zacieki idące od rozbitego łuku brwiowego, krupiała się pod nosem i na podbródku, czerniała się na zębach widocznych pomiędzy napiętymi wargami. Potężne krwawe podbiegnięcie rozlewało się na lewej połowie twarzy, gdzie na kości policzkowej wyrosła opuchlizna. Opuchnięta była też prawa powieka.

Prokurator Franz przyjrzała się zmiażdżonej piersi. Popatrzyła na zaciśniętą pięść zmarłego. Sięgnęła po rękawiczkę. Ujęła

zastygła dłoń Wężyka i odwróciła. Skupiła się na otarciach na kłykciach i skrzepniętej krwi pod paznokciami.

Ściągnęła rękawiczkę i cisnęła ją do kosza.

– Pani prokurator, czy rzeczywiście będzie można wydać zwłoki rodzinie? – przerwał ciszę szef zakładu aksamitnym jak wyściółka trumny głosem.

Spojrzała na niego bez zrozumienia.

– Słucham?

– To znaczy... – zająknął się – Mariusz, to znaczy pan Kaługa, mówił, że pewnie będzie można, że nawet sam ich powiadomi, żeby nie czekali w niepewności i rozpaczy. I pytał, czy zadzwonię do księdza...

– Wydać zwłoki rodzinie? – powtórzyła prokurator Franz. – Ależ nie będzie żadnego wydania zwłok rodzinie.

Jej zimny alt odbił się echem w białych ścianach kostnicy. Dała przedsiębiorcy pogrzebowemu znak, żeby zamknął zwłoki w chłodni, podczas gdy sama patrzyła już w ekran smartfona ze skupioną miną kogoś, kto potrzebuje okularów do czytania. Przycisnęła telefon do ucha.

– Bartuś? – powiedziała, kiedy po drugiej stronie odezwał się męski głos. – Bartuś, kochanie, rzuć wszystko, co robisz, i przyjeźdź, proszę, do Dąbrowy, ale już.

Przywitała się, z ulgą rozpinając motocyklową kurtkę. Zerknął na jej motor i pomyślał, że pora wygrzebać z dna szafy prawo jazdy zrobione jeszcze w liceum. To chyba przez Bogdana znienawidził samochody.

Przepuścił ją w drzwiach.

– Nic nie było. Guzika, sprzączki, biżuterii, tabliczki z napisem „Własność pracowni biologicznej I LO”, nic – mówił. – Nawet

kawałka kontekstu.

– Kiedy będziesz miał opinię biegłych o tym szkielecie? – zapytała.

– Ja będę miał? – zdziwił się Bastian. – Prokurator będzie miał. Ciekawe, czy w ogóle cokolwiek mi powie. Bo mam wrażenie, że najchętniej zakopałby te kości z powrotem.

Anka zamyślona usiadła przy stole, podpierając się na łokciu. Znał ten stan. Korciło ją to. Nie dawało jej spokoju.

– A te zdjęcia kości, które zrobiliście z Wiolką? Może mogłabym je pokazać komuś na uczelni, jest kilka osób...

– Anka – zachrypiał. Po całej nocy kopania i całym dniu grzebania na strychu docierało do niego, że nie ma niczego poza brudem za paznokciami i pajęczynami we włosach. – I co, wrzucą te zdjęcia w superkomputer, który zrobi wirtualną rekonstrukcję albo, nie wiem, analizę DNA na podstawie fotografii?

– Przecież nie o to...

Zacisnął zęby, jakby poczuł się prowokowany.

– Jesteś antropologiem kultury – syknął – a nie takim od kości. My się na tym nie znamy.

– Posłuchaj mnie. – Podniosła głowę. – Zastosujmy metodę eliminacji. Wiemy, że przy kościach technicy i ty nie znaleźliście nic: ani guzika, ani strzępka tkaniny, ani kościanego grzebyka. Czyli nie jest to neolityczne albo średniowieczne cmentarzysko ani wojenny grób przypadkowego żołnierza. Musimy więc potraktować ten brak kontekstu i jakichkolwiek śladów jako ślad. I tutaj najbardziej mi pasuje *Judenjagd*. Żydowskie ofiary ograbiano dosłownie ze wszystkiego: z ubrań, z butów, często nawet z bielizny, i grzebano całkiem nagie. W polu, w lesie, tam gdzie je zamordowano. Tyle mogę ci jako antropolog kultury

powiedzieć, bo na kościach rzeczywiście się nie znam. Ale to może być też cokolwiek innego: nieszczęśliwa miłość, sąsiedzkie porachunki. Inna sprawa, że wtedy pewnie byś słyszał, że na przykład kobieta z okolicy zniknęła bez śladu. Stawiam taką hipotezę. Tylko tyle.

– Nawet jeśli masz rację, i tak nie dowiemy się, co się stało – mruknął.

Otworzył lodówkę. Anka przyglądała się jego zgarbionym plecóm. Myślała o tym, że Bastian z całych sił chce się dowiedzieć prawdy i zarazem bardzo się tej wiedzy boi. Pragnie przekopać to miejsce i odkryć, co się pod nim kryje, a równocześnie broni tego podwórka jak pies łańcuchowy. Jest nieznośny, bo ta sprzeczność musi być nieznośna.

– Masz rację. – Odetchnęła. – Niepotrzebnie nakręcam siebie i ciebie przy okazji. Powinniśmy się wstrzymać z wyciąganiem wniosków, dopóki nie dostaniemy opinii biegłych.

– Jasne – syknął. Najpierw sama wrzuciła granat do wychodka, a teraz udaje krynicę spokoju. – Może dla ciebie to jest akademickie ćwiczenie z dedukcji, ale tu chodzi o moją rodzinę!

Zacięła usta i patrzyła na niego jak przedszkolanka na histeryzujące dziecko. Jezu, jak go to wkurzało. Ale nic nie powiedziała, poczekała, aż mu przejdzie.

– Anka, ja po prostu nie wiem, co robić – szepnął, zatrzaskując lodówkę i opierając się o blat.

– Chodź – odparła. – Przejedziemy się.

*

Coś ją tknęło. To było jak ukłucie pod lewą piersią, jak skurcz żołądka, który trwa krócej, niż zdąży nadejść pierwsza myśl.

Wytarła dłonie w kuchenną ścierkę i podeszła do okna.

Już kilka razy zdarzało mu się nie wracać na noc. Raz łąził do świtu, zaszedł aż do Radgoszczy. Czasem po zamknięciu baru włókł się na stację benzynową, kupował kilka piw i siadał z nimi nad Breńką. Twierdził, że wtedy rozmyśla, planuje. Wolał się włóczyć niż siedzieć z rodziną. Raz go ludzie znaleźli, jak spał na ławce w parku pod nowym kościołem. Zrobiła mu wtedy awanturę, że on jest wykształconym człowiekiem, a nie menelem, i że wstyd przynosi, w dodatku pod kościołem. Od tamtej pory był spokój. Dziś rano zdenerwowała się, że znowu się zaczyna.

Przez okno zobaczyła u płotu Maćka. Ich syn wydał jej się jeszcze bardziej kościsty i zgarbiony, nie widziała dokładnie jego oczu, tylko ciemne oczodoły, jakby same oczy zapadły się w głąb czaszki. Dłońmi przeczesywał przetłuszczone włosy. Po drugiej stronie płotu stał policjant.

Ścierka wypadła Wężykowej z ręki.

Gdy kobieta wybiegła na podwórze, radiowóz zniknął za zakrętem. Dopadła do syna. Strach ścinał jej krew w żyłach.

– Mamo... – Maciej Wężyk odwrócił się do niej powoli. – Tatowi się coś złego stało.

Siedzieli na ławeczce przed urzędem miasta, otoczeni żywopłotem. Anka lizała lody, Bastian swoją porcję pochłoniął kilkoma gryzami. W ogóle nie smakowały jak te od Kaczora, Pękali czy Pelca, na które chodziło się po niedzielnej mszy. Ale cieszył się, że dał się namówić Ance na wyjście z domu. Pojechali do miasta motorem, więc miał legalną okazję, żeby złapać ją za tyłek.

W dzieciństwie omijał ten skwerek, bo zwykle okupowały go zule. Nie bywał tu często, wszystko, co potrzebne, rosło w polu

albo biegało po podwórku. Teraz też rzadko przyjeżdżał do miasta – wystarczały mu wizyty w Tesco, żeby uzupełnić barek i lodówkę. A nie było tu sensownej knajpy, żeby posiedzieć.

Pewnie dlatego zawsze, ilekroć się tu znalazł, zdumiewały go zmiany. Odrapane fasady, które pamiętał z dzieciństwa, przybierały modne kolory brzoskwini, pistacji i budyniu. Porządkowały się skwerki, trawniki i chodniki. Przybyło dobrych samochodów, wyrosła bujna przedsiębiorczość, reklamująca się na każdym wolnym skrawku przestrzeni. Ludziom żyło się lepiej.

I wreszcie synagoga, która znowu zmieniała się w najbardziej okazałą budowlę miasteczka. Anka zaciągnęła go tam, chociaż nie lubił muzeów. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić. Gdy przyjeżdżał tu przed laty, nauczył się jej nie zauważać, tak jak mieszkańcy Dąbrowy. O synagodze, częściej zwanej bożnicą, się nie wspominało, nie dyskutowało. Nie zadawało się pytań. Tak jakby miało jej nie być – chociaż ostentacyjnie była, niczym rozkładające się na plaży cielsko morskiego potwora, w którego istnienie nikt nie wierzy.

Teraz, gdy stanął na środku sali modlitewnej, zadarł głowę, przyglądając się odnowionym pieczołowicie polichromiom w żywych kolorach.

– Delfin? – zapytał głośno, aż oprowadzająca wycieczkę przewodniczka zgromiła go spojrzeniem.

– Lewiatan – syknęła szeptem Anka i pociągnęła go za rękaw w stronę gablotek.

Nigdy wcześniej nie był w środku, bo w czasach jego młodości budynek groził zawaleniem. Do tej pory nie potrafił sobie wyobrazić tego miejsca żyjącego, ruina była stanem naturalnym synagogi. We wspomnieniach Bastiana w środku miasteczka ziała otoczona siatką i zardzewiałymi parkanami dziura. Dlatego

dziś, chociaż podziwiał ogrom pracy konserwatora zabytków, coś mu się wciąż nie zgadzało.

Ulicą z rykiem przejechał tir, wyrrywając go z zamyślenia.

– A w waszym domu rozmawiało się kiedyś o nich? – zapytała Anka, odgryzając kawałek wafla.

– O kim?

– O Żydach.

– Właściwie to prawie wcale – odpowiedział po zastanowieniu.

– Dziwne.

– Dlaczego?

– Rozejrzyj się, Bastian. – Powiodła gestem po otoczeniu. – Jesteśmy w jedynym znanym mi miasteczku, pośrodku którego stoi nie kościół, ale synagoga. Przed wojną połowa mieszkańców to byli Żydzi. Ja rozumiem skomplikowane relacje. Ale nie wierzę, że można tak wyparować z ludzkiej pamięci.

Bastian się zamyślił. Rzadko udawało się naciągnąć dziadków na wspomnienia z młodych lat. Dzisiaj nie dziwił się, że nie chcieli do tego wracać. W końcu ich młodość przypadła na najgorszy możliwy czas.

– Czekaj. – Twarz dziennikarza nagle się rozjaśniła. – Dziadek opowiadał taką anegdotę, powtarzał ją kilka razy. O tym, jak przed wojną wybrał się do szewca, Żyda. Jak mu było? – Bastian podrapał się za uchem. – Eliasze! Chyba się z tym Eliaszem znali. Dziadek przyszedł do niego akurat, gdy od szewca wychodził rabin, bardzo zdenerwowany, bo Eliasz nie był zbyt religijny. Dziadek wspominał, że rabin krzyczał: „Eliasz, Eliasz, z ciebie to nie ma geszeftu ani Mojżesz, ani Jezus!”.

Anka się nie roześmiała.

– I co się potem stało z tym Eliaszem?

– Nie rozumiesz – parsknął Bastian.

– Rozumiem. Dla twojego dziadka był Żydem, ale Żydom nie pasował. Nie dało się żyć pomiędzy Mojżeszem a Jezusem.

– Musisz z wszystkiego robić wykład? – zachnął się. – To była tylko niewinna rodzinna historyjka.

– Dziadek nic więcej o nim nie opowiadał? – Anka zignorowała jego zaczepkę. – Co się z nim stało? Skoro się znali...

– Nie opowiadał. – Bastian zaczął się wiercić. – Z tego, co czasem dziadkowie mówili, wynikało tylko, że „żydki”, bo tak się tutaj pieszczotliwie mówiło, były, potem przyszła wojna i już ich nie było.

– A coś o getcie? O likwidacji? I o tym, co potem? – dopytywała.

– Nie – uciął. – Wierz mi, dla mnie to też było wstrząsające. Wcześniej coś się tylko słyszało o Jedwabnem, szmalcownikach, dyskusjach wokół Grossa. Gdzieś daleko, odosobnione przypadki. Ale nikt mi nigdy nie mówił o fazach Zagłady, o tym, jak uciekinierzy z likwidowanych gett szukali schronienia po wsiach i lasach i jak na nich polowano. I to nie gdzieś tam, tylko wszędzie. Tu. I to nie ktoś, tylko...

Urwał. Minęła ich kobieta pchająca wózek. Dwie ławki dalej dwoje staruszków karmiło gołębice. Bastian przyglądał im się, jakby z ich gestów próbował wyczytać ich przeszłość. Zamrugał, zmrużył zmęczone oczy, podrażnione przez kurz, brak snu i ślipienie w monitor. Przez ułamek sekundy kontury ludzi dookoła rozmyły się, podwoiły, jakby za każdym z nich stał cień. Ktoś jeszcze.

Druga połowa.

Czekała. Młody lekarz o wąskich ustach i błękitnych oczach, tarnowski biegły medycyny sądowej Bartłomiej Skrzyniarz, powtórzył czynności, które wcześniej wykonała sama, a potem skinieniem głowy poprosił o pomoc pracownika zakładu pogrzebowego. Zdjęli ze zwłok Władysława Wężyka zakrwawioną koszulę, mocując się z jego sztywnymi ramionami. Odślonili ciemne plamy opadowe na plecach. Skrzyniarz ucisnął je w kilku punktach i obserwował, czy bledną. Ujął denata za rękę, ocenił stopień stężenia pośmiertnego. Przyjrzał się wewnętrznej stronie ramion mężczyzny. Potem skupił się na zmiążdżonej klatce piersiowej i na miejscach, gdzie połamane żebra przebiły skórę. Spoważniał.

Franz poleciła pracownikowi zakładu opuścić kostnicę. Oddalił się z ulgą.

Odkąd Tarnów doczekał się własnego biegłego lekarza sądowego, lokalny wymiar sprawiedliwości mógł nabrać wiatru w żagle. Inna sprawa, czy ten wiatr nie wiał mu w oczy: wielu miejscowych śledczych wołało halsować do bezpiecznego portu rutynowymi szlakami i nie kwapiło się do korzystania z nowych możliwości w myśl zasady „jest, jak ma być – ma być, jak jest”. Ale prokurator Judyta Franz była inna. To dlatego starzejąca się służbistka i sfrustrowany młody medyk, obolały po zderzeniu z twardą rzeczywistością, przypadli sobie do gustu. Skrzyniarz był jedyną osobą, z którą prokurator przeszła na „ty” po tym, jak przeniesiono ją do Dąbrowy.

– Stężenie i plamy wskazują na czas zgonu dwanaście do szesnastu godzin temu. – Głos lekarza odbił się od kafelków. – Przynajmniej o ile można to stwierdzić w takich warunkach.

Popatrzyła na zegarek. Dochodziła trzynasta trzydzieści.

– Zginął między dwudziestą pierwszą trzydzieści a pierwszą trzydzieści w nocy – powiedziała. – Czyli gdy przyszło

zgłoszenie, sprawca wypadku mógł być w Radomiu albo i w Warszawie.

– Jeśli to był wypadek. – Lekarz ściszył głos. Prokuratorka podeszła do zwłok. – Moim zdaniem masz słuszne wątpliwości, Judytko. Koncentracja uszkodzeń tkanek w obrębie głowy i twarzy: łuk brwiowy, kość policzkowa, chrząstka nosa, zęby. To się ma nijak do miejsca obrażeń od kół. Auto przejechało po nim, gdy leżał na wznak, może kiedy zasnął po pijanemu na skraju drogi. Mogło go powlec za sobą, ale to wątpliwe, bo ubranie nie jest nawet poprzecierane. Te rany twarzy nie pasują, nie są typowe dla wypadków komunikacyjnych. Jeśli nawet próbować je wyjaśnić tym, że, nie wiem, dostał fangę zderzakiem, bo tuż przed przejechaniem obudził się i uniósł, żeby zobaczyć, co to za światła...

Kącik ust prokurator Franz lekko drgnął.

– ...to nie wyjaśnia obrażeń na grzbietach dłoni, które zauważyłaś. A już na pewno nie wyjaśnia tego. – Wskazał na nagie ręce martwego Wężyka.

Po spodniej stronie ramion, powyżej plam opadowych, widniało kilka skupionych plackowatych podbiegnięć: na lewym ramieniu cztery, na prawym trzy. Na nieprzeniknionej dotąd twarzy prokurator Judyty Franz odmalowały się kolejno zaskoczenie, triumf i złość.

– Judytko, kochanie – powiedział medyk, rozsypując pasek zielonego fartucha. – Rzuć wszystko, co robisz, i zabieraj go do Krakowa na sądówkę. Ale już.

Przed Bastianem robiła dobrą minę do złej gry, ale prowadząc motor, skręcała się w duchu ze zdenerwowania. Dookoła piękne okoliczności przyrody, a ją aż głowa boli od napięcia uwagi. Ledwie rejestrowała wierzby płaczące i ciągnące się po horyzont

pola. Sielski, galicyjski krajobraz. Koń. Krowa. Droga biegnąca w pola. Nowe, rozłożyste domy w pastelowych kolorach, a obok drewniane wiejskie chaty malowane na brązowo. Tuje, a obok piwonie. Na podjazdach drogie samochody, chodniki z polbruku i billboardy reklamujące plastikowe okna, lokalną gazetę, nawozy sztuczne i Chrystusa Króla.

Jeździła motocyklem od dwóch miesięcy. Gert zapewniał, że prawo jazdy na motor oznacza wolność i dobrą zabawę, ale dla niej jak dotąd były to stres i upokorzenie. Zdała egzamin, kładąc uszy po sobie, kiedy jakiś śmierzący papierosami dziad udawał jej, że jest idiotką. Nie była do tego przyzwyczajona, na uczelni to ona egzaminowała ludzi. Ale potem wcale nie było lepiej. Klaksony, zajeżdżanie drogi, wymuszanie pierwszeństwa, a nawet puszczane przez okno więzanki. Może dla Gerta to była dobra zabawa, dla niej – walka o przetrwanie, w której inni uczestnicy ruchu dybią na jej życie.

Telefon wibrował kilka razy, więc Anka zjechała na stację benzynową. Stała w cieniu i wyjęła smartfona z kieszeni. Rozpięła kurtkę, bo zrobiło jej się jeszcze goręcej. Zastanawiała się, co zrobić, gdy telefon zadzwonił jej w dłoni.

– Pani doktor, jak dobrze, że pani odbiera! – ucieszyła się Róża Wiśniewska. – Dzwonię, bo aby nakreślić pani portret, chciałabym porozmawiać z paroma osobami i muszę się z nimi skontaktować. Profesor Gwizdałowski...

– Jest na urlopie – przerwała jej Anka. – Może dziekan?

Od tej historii z Kamieniem dziekan otaczał ją dyskretną opieką – ku wyraźnemu niezadowoleniu profesora, któremu nie podobały się te nagłe względy ze strony kierownictwa wydziału.

– Potrzebuję kogoś, kto pracuje z panią bezpośrednio – zaszczębiotała Wiśniewska. – Ale proszę się nie martwić,

profesor już odpisał mi na maila.

Anka się skrzywiła. Jej nie odpisywał, chociaż jego decyzje w kilku ważnych sprawach nie mogły czekać.

– Potrzebuję też kogoś z policji... – Róża Wiśniewska zawiesiła głos.

Jako pierwszy przyszedł Ance do głowy Kuba Kocur, ale on o sprawie Normana Pionka wiedział niewiele, za to mógłby godzinami opowiadać o zabójstwie Miśki Smolorz, czego wolałaby uniknąć. W Murzasichlu działała nieoficjalnie i nie była dumna ze swojego występu. Poza tym, o ile znała Jędrka Chowańca, chlapnąłby coś, z czego musiałaby się grubo tłumaczyć.

– To może komendant wojewódzki? Przy sprawie Romów z Kamienia... – zaczęła.

– Komendant? Znowu za wysoko. – Teraz to Wiśniewska weszła jej w słowo. – Ale Kamień to dobry trop, może ktoś z Nowego Sącza? Mam tu zapisane „komisarz Głód”, ma pani może do niego numer?

– Mam – jęknęła Anka.

– Świetnie, to proszę mi wysłać! I ostatnia osoba, ale to już nie będzie problemu. – Róża Wiśniewska dopiero się rozkręcała. Anka zamarła. – Pochodzi pani przecież z akademickiej rodziny, więc bardzo chętnie usłyszałabym, co legendarny nestor Wydziału Matematyki na UJ sądzi o karierze swojej córki humanistki!

Anka zasłoniła twarz dłonią i nie odpowiadała.

– Halo, jest tam pani? – zaniepokoiła się Wiśniewska.

– Tak, jestem. – Anka popatrzyła na swoją rękę, na której został tusz do rzes. – Mój ojciec wycofał się już z życia zawodowego. Jest na emeryturze.

– Świetnie, to ma dużo czasu! – uradowała się dziennikarka.

– Ale...

– To na pewno będzie dla niego przyjemność! Pani mi przyśle numer do taty, a ja już sobie z nim porozmawiam. A my jesteśmy w kontakcie!

Połączenie się przerwało, a Anka została sama z sygnałem.

Przypomniała jej się pierwsza trójka z matematyki i wyraz twarzy ojca, który od tej pory stale jej towarzyszył. Kiedy zamiast do mat.-fizu poszła do klasy humanistycznej, kiedy wybrała antropologię, nawet kiedy zrobiła doktorat. „Tak się bawi moja córeczka”, mówił kolegom profesorom, kiedy ktoś komentował jej uniwersytecką karierę. Dla niego jedyną poważną dziedziną były nauki ścisłe – nauki społeczne traktował jako rozrywkę dla niewyżytych starych panien albo niedouczonej humanistów z ambicjami. Miał ten wyraz twarzy także wtedy, gdy przyniosła mu książkę z autografem swoim i Bastiana. Nigdy nawet się nie zająknął, że ją przeczytał. I chociaż ostatnio awansowała z ligi niewyżytych starych panien do grupy niedouczonej humanistów z ambicjami, usłyszała przypadkiem w kuchni: „Rozum jej odebrało na stare lata”. To było wtedy, gdy pierwszy raz przyprowadziła do domu Gerta.

Ciekawe, jak poczuła się wtedy jej matka, znacznie od ojca młodsza, dawna jego studentka, dla której zostawił pierwszą żonę.

Że też musiało jej się to znowu przytrafić teraz, gdy dopiero zaczęła czuć się fajnie. Wytarła twarz, poprawiła włosy, popatrzyła w lusterko i zrobiło jej się jeszcze bardziej przykro. Zobaczyła tę minę, ten wyraz twarzy. Z furią włożyła kask i odjechała w stronę Krakowa.

– Dzień dobry – powiedział do telefonu prokurator. – Kogut mówi. Z Dąbrowy.

Po drugiej stronie przywitał go szorstki głos biegłego. Kości pojechały pocztą resortową do Krakowa, a towarzyszyło im standardowe prokuratorskie postanowienie o powołaniu biegłego, zawierające równie standardowy zestaw pytań. O to, czy kości są ludzkie, czy zwierzęce, o wiek i płeć, o możliwość wykonania rekonstrukcji wyglądu przyżyciowego, o obrażenia przyżyciowe, okołosmiertne i pośmiertne, o inne uwagi biegłego i o najważniejsze: o PMI, czyli *post mortem interval*. O to, jak długo kości zalegały w środowisku.

– Tak, widziałem te wasze gnaty – odparł biegły. – Rzuciłem okiem, ale teraz muszą poczekać. Niepilne, rozumiesz. Kolejki mamy.

Kogut rozumiał.

– Nie podobają mi się niektóre przełomy, są zdecydowanie okołosmiertne – stwierdził biegły. – I czaszka. Ewidentne wgłobienia. Ale trzeba będzie podłubać, żeby powiedzieć więcej. I tu w grę wchodzi terminy.

– A czas od zgonu? – zapytał Kogut.

– Ach, ty mnie pytasz o magiczną trzydziestkę. – W ton biegłego wkradło się zniecierpliwienie. – Oficjalnie wszystko będzie w raporcie, czyli za jakieś pół roku. Ale na moje oko to możesz spać spokojnie i śnić o umorzeniu. Stare są na bank.

Bastian wrócił do domu i od razu usiadł do komputera. Jak to się stało, że przez te wszystkie lata nie widział tej pustki, nie zastanawiał się nad nią, przeoczył tę drugą, brakującą połowę. Konsekwentnie jej nie dostrzegał, póki nie objawiła mu się brutalnie w wykopie pod basen na własnym podwórku.

Nalał sobie szklanę wody. A może popada w paranoję od trujących wyziewów kurzu ze strychu? Od dłuższego czasu miał wrażenie, że zawsze wraca stąd podtruty, jakby brakowało tu powietrza, jakby udzielały mu się nerwowość ruchów dziadka, posłuszna powolność babci, zalegające między nimi milczenie wypełnione wesołkowaniem wujka Mariana. Jakby nocami zmora siadała mu na piersi i nie pozwalała oddychać.

Zaczął przeglądać internet. Oficjalne strony i Wikipedię tylko przescrollował, nie szukał politycznie poprawnej laurki ani obrazka do folderu o spotkaniu kultur. Szukał czegoś innego. Przeglądał rozmazane, nieostre fotografie, zanikające postacie o rozmytych konturach. Długie chałaty, eleganckie garnitury, rodziny z dziećmi na kolanach, młode dziewczyny o oczach jak czarne diamenty. Sąsiedzi, których nigdy nie spotkał. Błotniste uliczki, dąbrowski rynek otoczony parterowymi domkami – czasem poznawał te miejsca, a czasem nie, jakby one też zniknęły wraz z ich mieszkańcami. Przekopywał żydowskie fora gromadzące potomków emigrantów z Dąbrowy w poszukiwaniu okruchów wspomnień, które mógłby podzielić, ścieżek, które mogłyby być jego własnymi.

Trafił do archiwum instytutu Yad Vashem. Musiał się zorientować, jak się po nim poruszać, jak przeszukiwać kolekcje, jak znaleźć w nich materiały w języku polskim – zeskanowane pożółkłe kartki maszynopisów czy pisane odświętnym, odręcznym pismem wyznania. Świadectwa grozy, rozpacz i smutku dyktowane nieczulej taśmie, maszynie do pisania, nieporadne, bo próbujące w słowach wyrazić niewyraźne. Jeszcze kilka znikających zdjęć, spojrzeń głębokich jak studnie. Pocztówka z synagogą.

W pewnym momencie zorientował się, że wszystko robi źle. Że nie może jej znaleźć, bo nawet jej nazwa rozplynęła się

i zniknęła jak język jidysz, w którym brzmiała: „Dombrowa”. To jej szukał, miasteczka tej drugiej połowy. „Dombrowa” – jak dom, pomyślał. Dom, którego już nie ma.

A ten dom? Czy jego też już nie ma, czy on też – jak synagoga na Rynku – stał się pięknie odremontowaną, pustą skorupą z dziurą po piecu, w którego miejsce Bella wstawiła kuchenkę indukcyjną? Dom bez serca, za to z ogrzewaniem podłogowym?

Nagle poczuł wściekłość, pchnął szklanę, która rozbiła się na kafelkach. Walnął pięścią w stół, aż zabolalo. Zamarł w pół gestu.

Dokładnie tak robił dziadek, gdy coś go zdenerwowało, gdy ktoś przerwał mu oglądanie *Dziennika Telewizyjnego* albo wszedł w słowo, kiedy coś mówił. I wtedy wszyscy zamierali jak on teraz. Babcia przestawała gderać i chyłkiem uciekała do garów. Wujek Marian chował się za „Przegląd Sportowy”, unikając przekrwionego wzroku dziadka, w którym dobrotliwe iskierki nagle zmieniały się w błyskawice. Ciotka Wera nagle miała coś pilnego do załatwienia na podwórku. I nawet dzieci, chociaż nic nie rozumiały, kryły się pod stołem.

Zwariuję, pomyślał.

Pozamiatał szkło i wyrzucił do śmieci. Usiadł do komputera. Jeśli z kimś nie pogada, to oszaleje. Napisał do Anki, ale była offline. Na zielono jak zwykle świeciła się Wiolka.

Przyjedziesz? – napisał i natychmiast tego pożałował. To musiało zabrznieć żałościwie. *Jasne*, odpisała od razu. Zły na siebie, że tak go to ucieszyło, wyszedł przed dom i zapalił.

Patrzył na sad, na rozgrzebany wykop, na samotną kępę drzew na horyzoncie i pomyślał, że może właśnie to było mu potrzebne, niczym siarczasty policzek. Poczował w ustach własną krew, palące pieczenie skóry, strzał adrenaliny w żyłach. Może aby znowu

móc, musiał złożyć ofiarę z tego, co miał najcenniejszego. Zaciągnął się głęboko, do bólu, czując, jak ożywcza trucizna wypełnia mu płuca. Wypuścił dym.

Znowu chciało mu się pisać.

*

Prokurator Judyta Franz obserwowała znad okularów podkomisarza Mariusza Kaługę. Zadzwoiła do niego o czternastej piętnaście, żeby stawił się natychmiast. Była piętnasta dziesięć, przemierzenie Dąbrowy Tarnowskiej zajęło mu niemal godzinę. Przynajmniej nie próbował się tłumaczyć, że utknął w korkach. Ubrany był po cywilnemu, w koszulkę polo z logotypem popularnej stacji benzynowej. Rosły policjant stał w drzwiach i rozglądał się za krzesłem, na którym mógłby usiąść.

Prokurator Franz nie zamierzała wskazywać mu krzesła. Przed sobą trzymała protokół sekcji zwłok Władysława Wężyka, przeprowadzonej rano w krakowskim Zakładzie Medycyny Sądowej. Sekcji, przy której była obecna osobiście – również osobiście towarzyszyła transportowi ciała do Krakowa i zamierzała osobiście wyjaśnić sprawę tej śmierci.

– Od ilu lat nosi pan mundur?

Kaługa nabrał powietrza i wypuścił je, gdy się zorientował, że to było pytanie retoryczne.

– Jak pan sądzi, po co przewidziano procedury na okoliczność ujawnienia zwłok? Z tamtych czynności mogłabym zrobić panu zarzut, panie podkomisarzu.

Znała takich jak on. Trójkowi uczniowie, równe chłopaki, dobre z wufefu. Świetnie wypisują mandaty i czasem nawet złapią złodzieja. Gorzej, gdy trzeba pomyśleć. Myślenie zwykle oznacza kłopoty, nadgodziny, papierkową robotę, więc należało

ograniczyć je do minimum.

Policjant wyciągnął dłonie przed siebie.

– Ja rozumiem, pani prokurator – zaczął – że procedury są dla was najważniejsze. Ale to był swój człowiek. Wiadomo, że wypadek, więc po co jeszcze przysparzać cierpienia rodzinie? Niech się pożegnają z bliskim, nie ma potrzeby wozić trupa tam i z powrotem. Życia mu to nie przywróci, a my żeśmy od razu podjęli czynności mające na celu ustalenie sprawcy wypadku, bo przecież wiadomo...

– Wiadomo? – przerwała mu. Tu go miała.

Zamilkł z otwartymi ustami.

Plikiem wydruków uderzyła o blat biurka.

– Czytam tu, że obrażenia powstałe od najechania na klatkę piersiową przez koło samochodu nie mają charakteru zażyciowego – oznajmiła. – Biegli stwierdzili brak podbiegnięć krwawych w tkankach sąsiadujących z miejscami złamań kości. Rozumie pan, co to znaczy?

Skulił ramiona.

– To znaczy, panie podkomisarzu, że gdy Władysław Wężyk został przejechany, jego serce nie tłoczyło krwi do tkanek. – Podniosła głos. – Że już wtedy nie żył. Czytam też, że rozległe obrażenia koncentrujące się w obrębie głowy i twarzy mają charakter typowy dla pobicia. Że na grzbietach rąk i przedramionach zmarłego znajdują się świeże obrażenia obronne. Czytam wreszcie, że na wewnętrznej stronie ramion Władysława Wężyka biegły medyk sądowy potwierdził obecność charakterystycznych plackowatych podbiegnięć krwawych mogących powstać od nacisku palców przytrzymującej go osoby. Rozumie pan, co to znaczy?

Kaługa otworzył usta.

– To znaczy – nie pozwoliła mu się odezwać i uniosła się z krzesła, opierając się na kłykciach o biurko – że Władysław Wężyk został ciężko pobity, że ktoś przytrzymał go za ramiona, gdy ktoś inny tłukł go po twarzy, choć ten próbował się zasłaniać rękami. W protokole sekcji czytam też, że bezpośrednią przyczyną śmierci był krwotok śródmózgowy spowodowany obrażeniami głowy i że ślady na kościach płaskich czaszki wskazują na użycie tępego narzędzia. To znaczy, panie podkomisarzu, że nie mamy tu sprawy o spowodowanie wypadku drogowego ze skutkiem śmiertelnym, tylko o pobicie ze skutkiem śmiertelnym. Co najmniej. – Usiadła. – To znaczy również, że ktoś chciał potem upozorować wypadek, przejeżdżając po trupie.

Policjant zrobił się popielaty na twarzy.

– Jezus Maria – wyszeptał. – Władka zamordowali? – Przygryzł wargę. – Ja nie wiem, co mam powiedzieć, my żeśmy założyli, że to był wypadek, bo przecież u nas się takie rzeczy nie dzieją! Ja żeśm myślał, że to znajomy i co jego rodzina czuje. My żeśmy się z Władkiem znali od wieków, ja wiem, to straszny błąd, ale on ma, miał żonę, syna młodego... Chciałem im oszczędzić i znajomego po ludzku potraktować, a nie jak... – Zająknął się. – Pani rozumie?

– Błąd – powtórzyła za nim beznamiętnie. – Pana humanitarne odruchy omal nie doprowadziły do tego, że mistyfikacja się udała.

– Ja żeśm tylko chciał, żeby Władek...

– Zwłoki – przerwała mu zimno. – Nie żaden Władek. Zwłoki.

– Ja przepraszam, pani prokurator. – Schylił głowę jak uczeń. – Zrobię wszystko, żeby to naprawić.

– Miał pan swoją szansę, żeby się wykazać. – Prokurator Franz sięgnęła po leżący na skraju biurka plik kartek. – Teraz ze

względu na ciężar popełnionych czynów sprawą zajmie się komenda wojewódzka, więc może pan to zabrać. – Podała mu papiery. – Pospieszył się pan z planem śledztwa, zwłaszcza że nie ma tu nic więcej niż odkrywczą hipotezę na temat nieznanego sprawcy poruszającego się samochodem ciężarowym, który zbiegł z miejsca wypadku. I tak nie mogłabym tego zaakceptować.

Rozłożyła przed sobą protokół, dając do zrozumienia, że audyencja u prokuratora Prokuratury Rejonowej w Dąbrowie Tarnowskiej dobiegła końca. Policjant wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Ale nie zaszczyciła go spojrzeniem.

– Jezus Maria... – szepnął podkomisarz Kaługa i bezszelestnie wyszedł.



ROZDZIAŁ 4

Bastian popatrzył na telefon.

Po burzy zrobiło się cicho. Za cicho. Stan ten przerywały raz po raz najazdy kawalerii z prokuratorem Kogutem na czele. Najpierw urzędnik przyjechał w asyście radiowozu i białej furgonetki z napisem „Specjalistyczne Usługi Georadarem »Ziemowid«”. Podczas gdy geofizycy systematycznie przemierzali sad i pas łąki między drzewami owocowymi a podwórzem, prokurator beształ Bastiana za nocne wykopki.

– Mógłbym zrobić panu z tego zarzut – sarkał. – Dziennikarze, psiakrew. Wam się wydaje, że jesteście od poprawiania po policji. Ale pan to przesadził.

Georadar wykrył dwa miejsca, gdzie gleba była nienaturalnie wzruszona – oba blisko siebie i płytko pod powierzchnią gruntu. Bastian czekał, aż policyjni technicy odsłonią warstwy ziemi, i krew mu zlodowaciała, gdy wyłoniły się spod niej kolejne kości. Ale to były psy. Większy i mniejszy. Technicy spakowali je do takich samych niebieskich worków jak poprzednio.

Później przyjechali archeolodzy i dla pewności wygrzebali jeszcze dwa sondujące przekopy. Nie znaleźli niczego, za to uszkodzili korzenie dwóch drzew w sadzie dziadka. Bastian miał dość.

Ale gdy po kilku takich dniach geofizycy, archeolodzy, technicy, prokurator i mundurowi zwinęli się na dobre, cisza okazała się gorsza. Dziura w ziemi ziała pustką, a on został sam

z upiorem.

Na całe szczęście przyjechała Wiolka z teczką faktur do podpisania. Czerwonym fiatem punto przywiozła garść ploteczek z Krakowa, świeże tygodniki i pieczeń od swojej matki. Udało mu się jej wyperswadować, by robiła mu pranie, ale musiał się zmobilizować, żeby zrobić je samemu, więc z powrotem miał w czym chodzić. Nawet się ogolił.

Z ulgą przyjął kłapanie jej plastikowych japoniek, popiskiwanie telefonu, zapach kremu do opalania, bez którego nie wychodziła na podwórko. Cieszył się, że kręci się po domu, chociaż dla zasady ciągle na nią warczał.

Udawała, że ma tu coś ważnego do załatwienia, a on udawał, że to prawda. Poszła na pogrzeb faceta rozjechanego przez ciężarówkę, którego tak naprawdę ktoś zamordował. Przyniosła zdjęcie pogrążonej w żałobie rodziny – kobiety w czerni i szczurowatego chłopaka – która odmówiła komentarza do mediów. Próbowwała czarować gliniarzy, dała się spuścić ze schodów francowatej prokuratorce z wytrzeszczem od zbyt ciasno ściągniętego koka. Napisała zgrabny artykulik, który mogłoby wydrukować lokalne pisemko.

Pochwalił ją, ale zamilczał, że przecież nie są lokalnym pisemkiem, tylko ogólnopolskim serwisem, który zrzesza niezależnych dziennikarzy podejmujących tematy ważne dla całego społeczeństwa.

Swoją drogą, co jeszcze musi się wydarzyć, żeby do szczętu zrujnować mu wspomnienia dziecięcych lat? Szkielet w sadzie dziadka. Morderstwo w Dąbrowie. O ekshumacji psów, Azora i Icka, już nie wspominał. Może jeszcze się okaże, że tutejszy legendarny chrzan przyjeżdża do Polski w kontenerach z Chin?

Dziennikarz wziął do ręki smartfona. Zanim wykona ten

telefon, musi jeszcze raz zadzwonić do prokuratora. Przecież nie będzie czekał na polecony. Przełączano go kilka razy z numeru na numer, ale się nie poddał.

– Kogut – mruknął tubalny głos po drugiej stronie.

– Tu Sebastian Strzygoń.

– A, pan dziennikarz w gorącej wodzie kąpany! – ucieszył się głos. – Już pan został w Dąbrowie sławny przez te kości!

– Ja właśnie w tej sprawie. Czy udało się może coś ustalić? Już nie chodzi o to, że budowa stoi, ale po prostu chciałbym wiedzieć...

– Tak, wiem, panu się spieszy – zaśmiał się prokurator. – Zostaną państwo w stosownym czasie poinformowani na piśmie o wszczęciu śledztwa. – Bastian mógłby przysiąc, że słyszy, jak jego rozmówca wzrusza ramionami. – A potem zobaczymy.

– Ale biegli coś ustalili?

– Ustalili nie ustalili. – Prokurator wyraźnie się z nim droczył i miał z tego frajdę. – Ale powiem tak: na pańskim miejscu bym się tymi kośćmi nie przejmował, rozumiemy się? Jeśli wziąć pod uwagę zabójstwo Wę... – urwał – ludzie zaraz zapomną o jakichś starych kościach. My też mamy co robić.

– Czyli będzie umorzenie? – zapytał ostrożnie Bastian.

– Przecież mówię.

A więc szkielet leżał w ziemi więcej niż trzydzieści lat. Może pięćdziesiąt. Albo i siedemdziesiąt. Hipoteza Anki zbliżyła się o krok.

– Skoro umorzenie, to nie będzie obowiązywała tajemnica śledztwa – zaczął powoli Bastian. – Więc może mi pan powiedzieć, co tej kobiecie się przytrafiło.

– Ależ pan jest niecierpliwy. Proszę w spokoju czekać na pismo. W spokoju, mówię – podkreślił prokurator i się rozłączył.

Bastian odłożył telefon i zamknął oczy. Powinien się cieszyć. Nikt go nie będzie ciągał po przesłuchaniach, a Bella będzie mogła dokończyć basen przed wymarciem kolejnego pokolenia. Było dla niego jasne, że nie chciało im się marnować pieniędzy podatnika na badanie, jaka przeszłość kryła się pod ziemią w dziadkowym sadzie. Musiał pomyśleć.

Ale najpierw musi zrobić to, co tak długo odwlekał.

Wiolka stanęła przed Frykasem, zastanawiając się, czym zajmują się ludzie w takim miasteczku. I jakim cudem nie trafia ich szlag. Tak jak zaraz trafi ją.

Żeby nie siedzieć z Bastianem, który z dnia na dzień robił się coraz bardziej nieznośny, postanowiła, że poszuka informacji o Wężyku, bo wczorajsza konferencja prasowa przed siedzibą prokuratury rejonowej była tak sucha, jak sama pani prokurator zajmująca się tą sprawą. Przy schodach nudził się kamerzysta krakowskiego oddziału TVP. Brodaty mężczyzna w wędkarskiej kamizelce notował piórem w zeszytiku w kratkę. Była jeszcze dziewczyna, chyba z gazetki parafialnej. Nikt nie próbował zadawać pytań, a gdy Wiolka chciała się dowiedzieć, czy prokuratura podejrzewa jakiś motyw, urzędniczka wyduła wargi i oświadczyła, że nie ma nic do dodania. Widać było, że do rozmowy z mediami się zmusza.

Jakie media, taka konferencja, westchnęła w duchu Wiolka.

Bastian całym sobą dawał jej do zrozumienia, że zajmując się zabójstwem Wężyka, Wiolka bawi się w przedszkole. A ona kręciła się po tym pastelowym miasteczku niczym z koszmarnego snu Filipa Springera i nie miała pojęcia, jak temat Wężyka ugryźć. Woląca nie zadawać sobie pytania, dlaczego w ogóle się do tego wzięła. Żeby mieć pretekst, bo on też tu siedzi? Swoją drogą, była przekonana, że Bastian to krakus od

pokoleń, że jego pradziadek polewał absynt Wyspiańskiemu, a nie wylewał na pola gnojówkę. Ciekawe, czego jeszcze o nim nie wie.

Na plebanii nikt jej nie otworzył. W komendzie powiedzieli jej, że przecież wczoraj była konferencja prokuratury. Pomyślała, że przysiądzie w knajpie i zagadnie barmana, w tym miasteczku nie było jednak czegoś, co według niej można by nazwać knajpą.

W bocznej uliczce znalazła szyld „Pub”, ale cofnęło ją od drzwi. TripAdvisor informował o kebabie, jadłodajni dla ubogich i hotelu konferencyjnym na obrzeżach. Dotarło do niej, że w takich miejscach nie chadza się na kraftowy browar czy autorskie koktajle, że nie znajdzie tu wegańskiego baru ani nawet food trucka. Alkohol kupuje się w markecie i żłapie przy grillu albo przed telewizorem, prychnęła w myślach.

Weszła do spożywcza o nazwie równie małomiasteczkowej, jak wszystko wokół – Frykas – z zamiarem kupienia campari, wiśniówki albo chociaż czystej i soku pomarańczowego. Zawahała się, dostrzegając na półce z alkoholem strategicznie wyeksponowane prezerwatywy. Może tak powinna zrobić. Kupić pierś z kurczaka, wino Carlo Rossi i kondomy z gołą babą na opakowaniu, puścić mu Sławomira, czy czego się tu słucha, i poderwać Strzygonia tak, jak na małe miasteczko przystało.

Pokręciła głową i kupiła lody.

Gdy uporwała się z opakowaniem i skruszyła wargami czekoladową polewę, poczuła się lepiej.

Po drugiej stronie ulicy przed słynną synagogą zaparkował autokar. Na placyk przed rozpiętym na czterech kolumnach portykiem z arkadowymi balkonami wysypała się grupka czarnowłosych dziewcząt i chłopców z kipami na głowach. Wszyscy skupili się wokół żwawo gestykułującej młodej kobiety.

Wiolka zmrużyła oczy i przyjrzała się jej. Widziała ją wczoraj, na konferencji prasowej.

Przeliczył różnicę stref czasowych. Powinna zaczynać dzień, popijać smoothie i wcinać donuta albo bajgla z serkiem Philadelphia.

– Ciao, Bella – rzucił Bastian, gdy odebrała służbowy telefon. Potrzaskiwało, jakby połączenie przedzierało się przez sztorm nad Atlantykiem. – Jak leci?

– Dobrze – powiedziała. Słyszał postukiwanie jej obcasów, odgłosy wielkiego miasta, przejeżdżające samochody, syrenę alarmową. – Co tam?

– Głupia sprawa. Basen ma opóźnienie. – Usłyszał, że przystanęła. Wysiłił się na lekki ton. – Wyobraź sobie, że w wykopie znaleźliśmy kości – rzucił ze świadomością, że kompletnie mu to nie wyszło.

– Kości? – zdziwiła się. – Jakie znowu kości?

– Ludzkie. Szkielet. Kobiety – wyrzucił z siebie. Dlaczego się tak denerwował? Czuł się jak początkujący project manager, który musi powiedzieć szefowi, że projekt się spóźnia.

– Przyjeżdżam.

– Nie, spoko, nie trzeba! – Przeraził się, że ona wróci i już nie będzie tu potrzebny. – Kości są bardzo stare – dodał, nieco koloryzując. – Więc formalnie nie będzie problemu. Basen się tylko opóźni. Ale wszystko mam pod kontrolą.

– I tak przyjeżdżam – przerwała mu. Weszła do budynku, odgłosy ulicy zastąpiło echo, za to stukanie obcasów zrobiło się wyraźniejsze. – Chociaż... – Zawahała się. – Nie wiem. Muszę pomyśleć. Nie teraz, Bastian.

Usłyszał gong windy i połączenie się urwało. Odetchnął. Ani

„cześć”, ani „co słyhać”. Ani „dzięki”, ani „pa, pa”, ani „pocałuj mnie w dupę”. Ale przynajmniej zdał raport i nie dostał strzała od razu. To dobrze wróżyło. Może nie zwali mu się na głowę akurat teraz, kiedy potrzebował spokoju.

Zrobił sobie trzecią kawę i usiadł do komputera. Zdeterminowany, skupiony, jak kiedyś. Palce dobrze znały drogę przez klawisze.

Gdy Wioletka przyjrzała się jej z bliska, dziewczyna przestała jej się kojarzyć z redaktorką parafialnej gazetki. Miała na sobie luźny żakiet, a na nogach prawdziwe conversy. Efekt psuły tylko nieco zbyt szerokie biodra. Mogła być koło trzydziestki, była od dziennikarki o głowę wyższa, miała luźno rozpuszczone pszenne włosy i szeroką twarz o wydatnej żuchwie i pełnych wargach.

Mówiła biegłą angielszczyzną z dobrym akcentem. Młodzi Izraelczycy słuchali z poważnymi minami, że za pomoc w przetrwaniu Holokaustu stu pięćdziesięciu Żydom z miasta i trzydziestu z powiatu zapłaciły życiem sześćdziesiąt dwie osoby. Że ośmioro mieszkańców dąbrowskiego powiatu otrzymało tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. I o tym, że dziś w miejscu dawnej ruiny działa Ośrodek Spotkania Kultur, w którego działalność angażuje się lokalna społeczność, a młodzież z tutejszego liceum organizuje uroczystości upamiętniające dąbrowskich Żydów i dba o kirkut. Zakończyła słowami o trudnej przeszłości i lepszej polsko-żydowskiej przyszłości.

Ta scena spodobała się Wioletce. Dziennikarka pomyślała, że może to nawet temat, przykład pozytywny. Po zamieszczeniu z ustawą o IPN nikt tak nie pisał, wszyscy skupiali się na konflikcie.

– To było bardzo przejmujące – zagaiła, podchodząc do kobiety, gdy młodzież ruszyła do autokaru. Ta obejrzała się na nią, zaskoczona. – Czy ja pani wczoraj nie widziałam na konferencji prasowej prokuratury?

Blondynka przyjrzała się jej.

– Jasne! Pani jest z *Raportu Strzygonia!* – wykrzyknęła, a Wiolka pokraśniała.

– Wiola Kozyra. – Wyciągnęła rękę. – A pani z jakich mediów? Na długo w Dąbrowie? – dodała, patrząc na oddalającą się grupę.

– Ależ ja jestem z Dąbrowy. – Kobieta spieszyła się, ujmując dłoń Wiolki. – Próbujemy ze znajomymi robić lokalny portal, ale amatorsko. Obywatelsko – poprawiła się. – Jestem polonistką w liceum. I wolontariuszką tutaj. – Wskazała na synagogę. – Oprowadzam wycieczki. Cieszę się, że panią widzę! Wczoraj po konferencji żałowałam, że nie podeszłam, pomyślałam, że może opowiedziałabym pani o naszej działalności. Staramy się popularyzować, działać na rzecz dialogu kultur. A w ogóle nazywam się Dorota Seweryn – uzupełniła pośpiesznie.

– Piszecie w waszym portalu coś o sprawie tego zabójstwa? – spytała Wiolka, dialog kultur zostawiając sobie na później.

– Myślałam o tym, żeby napisać wspomnienie – odparła ze smutkiem Dorota Seweryn. – Pan Władysław był swego czasu znaną postacią, ale potem pojawiły się te kontrowersje. Kiedyś chciał nam pomagać. – Nauczycielka próbowała powiedzieć wszystko naraz.

Wiolka uśmiechnęła się, starając się kierować kąciaki ust w dół. Bingo, pomyślała.

– Czy można tu gdzieś coś zjeść i wypić drinka? – spytała.

Niebo pąsowiało, podnosiła się mgła, jakby pola oddychały z ulgą po upalnym dniu. W trawach milkły koniki polne, a skrzypce przechodziły we władanie świerszczy. Pachniało ziemią, sianem. Bastianowi zdało się, że słyszy przeciągły brzęk krowiego łańcucha, wleczonego po podwórku przez bydłą, które po całodziennym wypasie zmierzają do koryta z wodą. Dzwonienie emaliowanego wiadra o cembrowinę. Turkot kół wózka ze świeżo skoszoną trawą. Chrobot łyżki o dno garnka z tłuczonymi ziemniakami okraszonymi przysmażoną na smalcu cebulą. Zwyczajne dźwięki tej pory dnia w świecie, z którego sam się wypisał, a którego już nigdy nie będzie. Sam nie wiedział, dlaczego nagle zaczął dostrzegać takie rzeczy. Kiedyś zauważał tylko, że tu nie ma wideo i komputera, że jedzenie jest wiecznie mączno-ziemniaczane, a na podwórku zawsze można upieprzyć się czymś śmierdzącym.

Zgasił papierosa. Wszedł z powrotem do domu, nie zamykając drzwi, i wrócił do pisania. Słowa, zdania, frazy tłoczyły mu się w głowie, wzbierały w gardle, pchały się pod stukające w klawisze palce.

Słowa o fundamentach, pod którymi ukryła się najbardziej niespodziewana i... – skasował, poprawił. Im mniej przymiotników, tym mocniej. O fundamentach, pod którymi ukryła się głęboko zakopana przeszłość.

Nigdy nie zadawałem tego pytania – pisał. – Nigdy nie przyszło mi ono nawet do głowy. Wiedziałem ze szkoły: byli, a teraz ich nie ma. Wiadomo: wojna, Niemcy. Ale nigdy się nie zastanawiałem, co dokładnie wydarzyło się pomiędzy tymi momentami. Pomędzy „byli” a „nie ma”. I nie ja jeden. Nigdy o to nie pytaliśmy, radzi...

Nie. Archaizmy dodają czasem tekstowi prestiżu, ale bez przesady. Skasował.

...zadowoleni z wersji wydarzeń, która pozwalała nam czuć się w miarę przyzwoicie.

Sięgnął po kolejnego papierosa. Nikotyna tętniła mu we krwi, ale było mu z tym dobrze.

Chociaż wiedzieliśmy, że to się stało na oczach naszych dziadków, woleliśmy nie pytać. A teraz, kiedy nie mam już kogo zapytać, kiedy oni odeszli wraz ze swoją pamięcią i swoim świadectwem...

Zawahał się. Pompatycznie. Ale „świadectwo” to mocne słowo. Zostaje.

...i swoim świadectwem, mogę tylko przypuszczać. I mierzyć się z pytaniem:

Uderzył w Enter. To musiało wybrzmieć w osobnym akapicie.

Czy to są kości ofiary Judenjagd? Czy to dotyczy...

Skasował, poprawił.

...dotyka także mnie? Co czuję...

Zawiesił palce nad laptopem. Za wszelką cenę unikał słowa „czuć”, uważał je za dziennikarski odpowiednik lubrykantu. Ale nie tym razem, nie w tym tekście.

Co czuję – kontynuował – odkrywając, że pod ziemią, po której zawsze stąpało się najpewniej, pod własnym siedliskiem, bezpiecznym azylem...

Za dużo, coś trzeba będzie wyrzucić, pewnie „bezpieczny azyl”, bo to pleonazm. Ale to później, przy drugim czytaniu.

...ukryła się groza tak dosłowna, że patrzy mi pytająco w oczy.

Na podjeździe koła zachrobotwały na żwirze, trzasnęły drzwi auta. Poznał lekkie kroki Wiołki. Ścisnął nasadę nosa, czując, że skupienie rozpływa się jak ostrze lodowego sopła w dłoni.

– Bastian, nie uwierzysz! – krzyknęła od progu. Zaklął

bezgłośnie. – Czemu siedzisz przy otwartych drzwiach? Namierzyłam informatorkę w sprawie Wężyka.

Usiadła obok niego. Pachniała kwiatowymi perfumami i dymem z pieca opalanego drewnem.

– Wiesz, jaką tu mają świetną pizzerię? W życiu byś się nie spodziewał w takiej miejscinie. No więc ona jest polonistką, próbuje robić lokalny portal, ale to amatorszczyzna, za to dziewczyna ma obiecującą wiedzę. W ogóle tą śmiercią strasznie się przejmuję pół Dąbrowy.

Trzasnęła dłonią w blat. Wzdrygnęła się.

– Świetnie, naprawdę spoko – syknął. – Napisz, że nie milkną echa.

Otworzyła usta.

– O co ci chodzi?

– O to, że tym tematem przejmie się pół Dąbrowy. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała. Skuliła się nad stołem.

– Ja tu piszę o rzeczach, które dotyczą wszystkich w całym cholernym kraju, chociaż jeszcze o tym nie wiedzą! I próbując im to opowiedzieć, wypruwam sobie wnętrzności, a ty... – Urwał.

Zerwała się z krzesła, sprężystym krokiem poszła do pokoju. Roztarł obolałą dłoń. Wciąż siedział nieruchomo nad klawiaturą, gdy pojawiła się w sieni z torbą na ramieniu.

– Co się z tobą stało, Bastian? – rzuciła.

Trzasnęły drzwi, odpalił silnik. Auto odjechało.

Przewinął tekst do początku, przeczytał. Wziął oddech.

I potem nie da się już udawać, że tego pytania nie ma – napisał.

Naniósł poprawki. Wyrzucił sporo przymiotników. Wkleił do CMS-a. Kliknął Publikuj. Wstał i wyszedł na podwórko,

zapalając papierosa. Mrok rozciągał już nad Rudą swój ciężki całun.

Ludzie w drodze do pracy przystawali, patrzyli po sobie i wyciągali szyje.

Wóz transmisyjny zajmował pół parkingu. Facet w krótkich spodenkach i marynarce od garnituru przyciskał do ucha smartfona wielkości małego telewizora. Kamerzysta szukał kadru na tle synagogi, przymierzał się, kłął i szedł dalej.

– Nie da się zrobić tak, żeby było w całości, za duże cholerstwo. – Rozłożył ręce. – To może jednak na cmentarzu?

– Tam są tylko krzaki, a musi być klimat. – Facet w marynarce schował telefon do kieszeni i wziął do ręki mikrofon. – Skurwiel nie odbiera. No nic, damy sobie radę sami.

Uzbroił twarz w profesjonalny uśmiech i podszedł do stojących za ogrodzeniem ludzi. Ktoś machnął ręką w kierunku Rudy, zaczął tłumaczyć.

Bosman zapalił papierosa. Słuchał.

„...czytałem i nie wierzę w ani jedno słowo... Przecież by mi coś babka z dziadkiem powiedzieli... Co za debil, srać we własne gniazdo... Ciekawe, co na to jego rodzina... Łzawe smuty... Gadałem z nim rano i strasznie się wkurwi... Określone siły, na pewno... Jeszcze się to będzie wszystkim czkawką odbijać... Ja się pytam, w czym to jest interesie...”

Z Frykasa za jego plecami wyszedł gładko ogolony mężczyzna i sięgnął po papierosa.

– Można się było założyć, że się rozniesie. – Bosman podał mu ognia. – Ten gość, co znalazł te kości, to podobno jakiś dziennikarz. I ściągnął hieny.

– ...musimy pamiętać, że historia obecności Żydów

w Dąbrowie Tarnowskiej ma również swoje piękne karty. – Przed kamerą pociła się wolontariuszka ośrodka spotkania kultur. – To wielowiekowe sąsiedztwo wspólnot, którego świadkiem jest ta oto synagoga. Nasz powiat wydał również Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, a dzisiaj jest ważnym przystankiem na drodze odkrywających swoją historię młodych ludzi z Izraela czy ze Stanów Zjednoczonych...

– Jak młode Żydki przestaną ci przyjeżdżać po colę bez cukru, to co zrobisz, Romek? – zapytał barman.

– To nie będzie tylko mój problem, Bosman.

– Cicho, nie słyhać, co mówią! – uciszyła ich syknięciem kobiecina z siatką.

– ...ja nie twierdzę, że tego rodzaju wypadki się nie zdarzały, ale... – mówiła coraz szybciej dziewczyna z włosami koloru pszenicy, widząc, jak facet z mikrofonem zerka na zegarek.

– Co to za szopka? – Podkomisarz Mariusz Kaługa wyszedł na sąsiadujący z synagogą parking komendy powiatowej, gdzie stała już grupka współpracowników. Wszyscy patrzyli na to, co się działo po drugiej stronie ogrodzenia.

– Telewizory przyjechały.

– Czegoś od nas chcieli?

– Nie.

– Nie? – zdziwił się Kaługa.

– Nie bój się, Mariusz – zaśmiał się szczupły policjant z przedziałkiem i dwudniowym zarostem, jeden z funkcjonariuszy przysłanych przez komendę wojewódzką. – Oni tu przyjechali gadać o jakichś starych kościach, a nie o twoich błędach przy sprawie Węzyka i o wojence z panią prokurator.

Kaługa zmrużył oczy i wycofał się do budynku.

Dorota Seweryn próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale reporter przerwał jej, wskazując na zegarek, pomachał i pobiegł do samochodu.

– Prawie uwierzyłem, że to Hogwart, a nie miasteczko Salem – mruknął do kamerzysty i trzasnął drzwiczkami. – I że wszyscy tu bardzo kochają czarownice.

Bastian odetchnął pełną piersią. Nic mu się nie śniło. Pamiętał, że coś usiłowało go obudzić, ale strząsnął z siebie przez sen tę zmore, która znów ładowała mu się na pierś. Sięgnął po telefon, ale aparat był rozładowany. Dziwne, przecież ładował go wieczorem. Wstał i ziewając, wyszedł z sypialni.

Ostre światło uderzyło go między oczy jak pięść. Zaklął pod nosem, gdy zobaczył, że jest wpół do dwunastej. Widocznie tego mu było trzeba, żeby odzyskać spokój – wyrzucić to z siebie i się wyspać.

Wpiął ładowarkę do telefonu i ugryzł suchą bułkę, jedyną jadalną rzecz, jaką znalazł. Przełknął kęs z wysiłkiem, gdy zobaczył listę nieodebranych połączeń. Jakieś nieznanne numery po kilka razy. Paru kolegów dziennikarzy. Prokurator Kogut, bodajże Zdzisław. Bogdan. Wiolka. Anka. Może telefon się rozładował dlatego, że wszyscy chcieli się do niego dodzwonić. Tylko – dlaczego? Papież umarł? Powtórka ze Smoleńska? Ale czemu wszyscy dzwonią do niego?

Zastanowił się, do kogo oddzwonić najpierw. Wybrał numer, nie musiał długo czekać.

– Bastian, to była tylko moja hipoteza! – wycedziła. – A ty piszesz o tym, jakbyś...

Ani „cześć”, ani „dzień dobry”. Bastian zacisnął zęby.

– Anka, przepraszam, że nie dałem przypisu – przerwał jej,

kiedy złapała oddech. – I owszem, hipoteza była twoja, ale podwórko jest moje, więc pozwól mi...

– Akcent był nie na „moja”, ale na „hipoteza”. – Teraz to ona mu przerwała. – Hipoteza, czyli teza robocza, którą stawiamy po to, żeby ją zweryfikować. A nie po to, żeby trąbić o niej na całą Polskę, jakbyś już wszystko wiedział. Przecież nie mamy żadnych dowodów, tylko przypuszczenia. Pamiętasz, jak to się ostatnio skończyło?

– Potrafisz jeszcze czytać ze zrozumieniem, czy już ci się metodologia na mózg rzuciła? – zdenerwował się. – W moim tekście akcent był nie na twoją hipotezę – parsknął – tylko na moje emocje. Emocje, rozumiesz to pojęcie? To takie coś, co czują ludzie, kiedy przeżywają sytuacje, które są dla nich ważne.

– Świetnie, że wreszcie zaczynasz zdradzać objawy posiadania uczuć, ale opublikowałeś to jako Bastian „Jestem Dziennikarzem” Strzygoń na portalu www.raportstrzygonia.pl, a nie jako blogger na stronie www.subiektywneemocjebastiana.pl albo anonimowy internauta w serwisie www.wspomnieniazdziecinstwa.pl – syczała do telefonu. Chyba nadepnął jej na odcisk. – Tak długo powtarzałeś ludziom, że u ciebie znajdują informacje, nie opinie, że nie dziw się, że w to uwierzyli i traktują cię poważnie.

– Ale z czym ty masz w ogóle problem? Coś się stało, jakiś profesor się obraził? Przecież tam nawet nie ma twojego nazwiska!

– To ty nie wiesz, co narobiłeś? – zdziwiła się.

W jego żołądku skryzalizowała się bryła lodu.

– Dobra, nie teraz – rzucił i się rozłączył.

Już otwierał przeglądarkę, słysząc w uszach własny puls, gdy telefon zawibrował mu w dłoni.

– Sorry za wczoraj – mruknął, przypomniawszy sobie, jak potraktował Wiołkę.

– Jezu, Bastian, wreszcie odebrałeś! – Zero focha, zarejestrował z ulgą. – Wszyscy walą do mnie, bo nie mogą się do ciebie dodzwonić! Telewizja już jedzie, pytali, czy nagrasz im setkę. Weź do nich oddzwon, bo może już nawet są na miejscu...

– Wiołka, spokojnie. – Przetarł twarz dłonią. – Co się dzieje? Czego oni ode mnie chcą?

– Wszyscy cię cytują, od ambasady Izraela po Cejrowskiego. Zobacz sobie, ile masz udostępnień, retweetów, kto cię podał dalej i z jakim komentarzem. Może jeszcze rok temu nikt by nie zauważył, ale po tej aferze z ustawą o IPN to teraz temat bomba!

Bastian jęknął. Znowu bułka stanęła mu w ustach.

– A w ogóle to cię podziwiam. – Oczami wyobraźni Bastian zobaczył, jak Wiołka się czerwieni. – Nie wiedziałam, że potrafisz tak pisać. Tak...

– Jak? – mruknął.

– Tak od siebie. Nie wiedziałam, że tak to przeżyłeś. Teraz rozumiem, dlaczego ostatnio byłeś taki nie do życia. Trzeba było powiedzieć, to mogłabym ci jakoś...

Jeszcze tego brakowało, żeby ona próbowała leczyć jego poranioną duszę.

– Muszę kończyć – rzucił, bo nie miał pomysłu, jak z tego wybrnąć.

Ledwie się rozłączył, telefon znowu ożył. Dziennikarz zaklął.

– Panie Sebastianie, co ja panu mówiłem?! – pieklił się Zdzisław Kogut. – Żeby pan zachował spokój! Co ja w ogóle mówię, przecież ja panu nic nie powiedziałem! Nic! A pan wyciąga jakieś bezpodstawne, daleko idące wnioski, z których będę się teraz tłumaczyć...

Bastian chętnie by mu odpowiedział, ale właśnie usłyszał łomot. Przycisnął telefon ramieniem do ucha i podszedł do drzwi. Przez wizjer zobaczył faceta w krótkich spodenkach, koszuli z krawatem i marynarce. W ręce mężczyzna trzymał mikrofon z kostką z logotypem stacji.

– Muszę kończyć. – Bastian przerwał potok słów prokuratora i uchylił drzwi.

– Cześć, Bastian, kopę lat! – Facet sztucznie się uśmiechnął. Bastian go znał. Dawid, mówili na niego „Dawcio”. Przewinął się przez *Raport Strzygonia* jakieś pół roku temu. Oj, dał mu ten Dawcio w kość. – Znowu jesteś na fali, a my już stawialiśmy na tobie krzyżyk. I w ogóle nie wiedziałem, że jesteś ze wsi.

– Wszyscy jesteśmy ze wsi – warknął dziennikarz. – Czego?

– Pokażesz nam to miejsce, gdzie znalazłeś kości, a potem nagramy setkę, okej? Tylko się ubierz, nie będziemy cię kręcić w majtach – zaśmiał się Dawid.

– Bez komentarza – powiedział Bastian przez szparę w drzwiach tak wąską, żeby nie dało się w nią wsunąć buta.

– Ogarnij się, my sobie skręcimy ten wykop, a potem...

– Jak was zobaczę z kamerą na mojej posesji, to wzywam policję. – Bastian czuł, że jeśli będzie musiał go znosić jeszcze sekundę dłużej, to wepchnie mu tę kostkę do gardła.

– Dobra, okej, ale się zastanów, możemy wrócić po południu...

– Won!

– A możemy przynajmniej nagrać, jak nas wyrzucasz?

Bastian zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Najgorsze, że sam go tego uczył. Znowu rozległ się łomot. Przekręcił zamki i podszedł do okna. Wyjrzał zza zasłony, zobaczył wóz transmisyjny i kamerzystę z papierosem. Sąsiadka stała na swoim posterunku przy płocie, Dawid już do niej podchodził, ściskając

mikrofon jak berło, niczym królewicz srebrnego ekranu. Bastian potrafił sobie wyobrazić, jak w reakcji na jego telewizyjny uśmiech kobiecie miękną kolana.

Telefon znowu zaczął wibrować. Bogdan. Bastian odrzucił połączenie. Nie teraz. A więc tak to jest, kiedy wsiadają na ciebie dziennikarze. Doprawdy, powinien się cieszyć, że ma taki talent do ściągania uwagi mediów. W kilka dni jego samotnia, jego kryjówka przed światem zamieniła się w oblężoną twierdzę.

Na palcach podszedł do stołu i ostrożnie podniósł klapę laptopa, jakby miał spod niej wyskoczyć diabeł.

Ciężko opadł na krzesło i zaczął czytać.

– Pójdiesz ze mną na obiad do rodziców? – zapytała Anka.

– A muszę? – westchnął Gerard, nawijając na widelec makaron z sosem pomidorowym.

– Nic nie musisz. – Energicznie odstawiła kieliszek z winem na stół. – Tylko powiedz, z czym masz problem.

Gerard przygarbił atletyczne plecy.

– Jak chcesz, to pójdę. A problem jest taki, że twój stary mnie nie lubi.

– Nie przejmuj się. – Anka posmutniała. – Mnie też nie lubi.

Nic nie powiedział. Sięgnęła po telefon i wybrała numer. Dzwoniła cały dzień, bez skutku.

– Nie odbiera – mruknęła.

– Pewnie ma zapierdol na fejsie. – Gerard uśmiechnął się kącikiem ust.

– To nie jest śmieszne. To są poważne sprawy.

– Wyłumacz mi, o co to całe halo. Ja byłem w mat.-fizie i chyba coś mnie ominęło.

– Druga wojna światowa. Słyszałeś o niej? – Uniosła brew.

– Słyszałem. Pani nie pozwoliła mi mówić wierszyka na akademii pierwszego września, bo miałem dziadka w Wehrmachcie. A może ciebie odpytać z fizyki?

Zmrużył oczy, a Anka nie wiedziała, czy on żartuje, czy nie.

– Serio? – zapytała.

– Pradziadka. – Gerard dokończył makaron i wytarł usta chusteczką.

Westchnęła. Może to ona jest przewrażliwiona, a może to on nic nie rozumie.

– Więc co to jest to *Judenjagd*? Nigdy o tym nie słyszałem.

– Polowanie na Żydów – odparła.

– Znam niemiecki – mruknął.

– Niemcy nie zamordowali wszystkich Żydów od razu – zaczęła. – W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku ledwie pozbyli się „swoich” Żydów, kiedy po podbiciu Polski pod ich władaniem znalazła się populacja Żydów o wiele liczniejsza i dużo mniej zasymilowana. A kiedy ruszyli na Związek Radziecki, sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała. Więc najpierw Żydom odebrano prawa, przesiedlono ich do gett. Tam ginęli z głodu, od chorób, byli zmuszani do pracy ponad siły, wydani na brutalność Niemców. To była pierwsza faza Zagłady, pośrednia. Początek.

Gert obserwował, jak Anka przechodzi w tryb akademicki. Jak rozszerzają się jej źrenice, zmienia się głos.

– Decyzję o przejściu do następnej fazy podjęto na konferencji w Wannsee – kontynuowała. – „Ostateczne rozwiązanie”, czyli eksterminację, określono kryptonimem „Reinhardt”, na cześć zamordowanego przez Czechów Reinhardta Heydricha. Getta brutalnie likwidowano, pociągi towarowe ciągnęły do obozów

zagłady: Bełżca, Sobiboru, Treblinki, Majdanka i Auschwitz. W ten sposób, przy wysiedleniu i w komorach gazowych, zginęło prawie dwa miliony osób. Ale to nie koniec. Tysiące ludzi przetrwało likwidację gett, ukryło się. W lasach, u ludzi po aryjskiej stronie. I to na nich urządzono polowanie. Czasem intensywniej, jak tuż po wysiedleniach czy w ramach akcji Erntefest. Czyli „Dożynki”. A czasem opieszalej. Polowanie trwało do końca wojny. Prowadzili je żandarmi i pomocnicze policje. Ale przy udziale miejscowej ludności. Chłopów.

Zamrugął.

– Tak. – Zauważyła jego minę. – Bez ich znajomości terenu, bez wiedzy, co się dzieje u sąsiadów, polowanie byłoby trudne. Do wytropionych Żydów wzywało się niemiecką żandarmerię, polską granatową policję albo odstawiało ich na posterunek. A czasem załatwiało się sprawę we własnym zakresie. – Chrząknęła, zawstydzona tym, jak bezdusznie to zabrzmiało.

Gerard wyciągnął przed siebie dłoń.

– Czekaj. Byłem w mat.-fizie, ale miałem historię i pierwszy raz o tym słyszę. Coś mi się obilo o uszy w związku z tą aferą z IPN, chociaż w sumie się nią nie interesowałem. To wyglądało jak jeszcze jedna medialna nawalanka, jak w przypadku tego Grossa. A ty mówisz o tym, jakby to była udokumentowana wiedza naukowa. Są na to jakieś badania? Skąd to wiadomo?

– Ostatnio ukazało się mnóstwo wyników badań. One nie mówią już o wyjątkach, tylko o regułach – odparła. – Ale naprawdę dużo pisano o tym tuż po wojnie, były procesy, w których skazywano... – zawahała się, bo zdała sobie sprawę, że tych sąsiadów Zagłady nie nazwano nigdy żadnym konkretnym słowem, więc nie istnieli w przestrzeni językowej – ...takich ludzi. Potem dyskutowano jeszcze parę razy. A w końcu jakoś przestano.

– A wiadomo, dlaczego ci ludzie to robili? – spytał.

– Mówi się, że ze strachu. Za ukrywanie Żydów groziły kary, odpowiedzialność zbiorowa, więc uważano, że ci, co ukrywają Żydów, narażają na niebezpieczeństwo całą wieś. Wierzono, że czerpią z tego korzyści, a ryzykuje cała gromada. Z punktu widzenia zbiorowości było to dla nich nie fair. Inna sprawa, że żandarmeria na wieś docierała nieczęsto, chyba że dostała donos. A kto donosił, jeśli nie sąsiedzi? Chodziło też o zysk, bo Niemcy oprócz kar stosowali także nagrody. Czasem to był cukier, wódka, a czasem ubranie po trupie. No i powszechnie wierzono, że ukrywający się Żydzi mają przy sobie dolary, złoto. A skoro Żyd i tak był cywilnie martwy, to majątek Żyda należał w zasadzie do nikogo. Do tego wojna, znieczulica. Ludzie wracali do najpierwotniejszych podziałów na swoich i obcych. A Niemcy sączyli swoją antysemityczną propagandę. Nie pytaj mnie o odpowiedzi. – Wykładowa poza się załamała. Anka ciężko westchnęła. – Mogę ci opowiedzieć co, bo czytałam historyczne opracowania. Ale jak i dlaczego... I teraz Bastian boi się, że jego rodzina też...

Telefon nagle ożył na stole, wyświetlając na ekranie zdjęcie twarzy o dziecięcych rysach, z uśmiechem od ucha do ucha, z grzywką i dołeczkami. Gerard wstał i zebrał talerze.

– Pogadaj z nim. – Pocałował ją w przedziałek. – Ja pozmywam.

*

Dawid wyszedł ze sklepu Frykas i odkręcił butelkę coli zero. Czatowali pod posesją Bastiana Strzygonia, aż pogasły światła. Reporter spróbował po ciemku sforsować ogrodzenie, ale tylko potłukł sobie tyłek. A w hotelu się nie wyspał.

Że też znowu musiał trafić na Strzygonia. A obiecywał sobie,

że nigdy więcej tego typu. Facet jest nie z tej epoki. Nie rozumie, że świat się zmienił, więc zmienić się muszą też media. Że nie da się pieścić miesiącami z jednym materiałem. Że ludzie nie lubią monokultury, że trzeba szukać nowych tematów i im je dawać, dawać, dawać. Trudno uwierzyć, że jeszcze niedawno był z niego niezły młody pistolet, jak o nim mówili. Szybko zdiadział. Nabawił się skrupułów, a to choroba kwalifikująca dziennikarza do wcześniejszej emerytury. Szkoda też, że na odchodne Dawid nazwał Bastiana „pieprzonym, wypalonym dinozaurem”. Może gdyby nie to, Bastian nie wyrzuciłby go z podwórka.

– Dobra, zwijamy kramik i spadamy z tej dziury gdzieś, gdzie dla odmiany coś się dzieje – mruknął do kamerzysty, który zmaterializował się koło niego z paczką wafli ryżowych.

– Czekaj. – Kamerzysta zamarł z waflem w ustach i kiwnął głową w stronę synagogi. Zbierali się tam ludzie.

Wolontariuszka, z którą wczoraj rozmawiali, krążyła z telefonem przy uchu. Ktoś robił zdjęcia komórką. Od strony komendy zbliżało się dwóch policjantów.

– Łap kamerę i wracamy do gry – rzucił Dawid i ruszył w stronę zbiegowiska.

Wolontariuszka zobaczyła dziennikarza i zbladła. Sprawiała wrażenie, że wolałaby uciec. Ochroniarz na jego widok napiął ramiona, stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach, jakby chciał bronić ściany za sobą, jakby próbował ją zasłonić. Z ruchu warg policjantów Dawid wyczytał przekleństwo.

Już stąd było widać – wielkie, czerwone, koślawe niczym dziecięce litery, które na kremowej elewacji bożnicy wyglądały jak świeże sznyty na białej skórze.

„Krew jego na was i na dzieci wasze”.

– W trybie natychmiastowym podjęliśmy działania mające na celu wykrycie sprawcy lub sprawców odpowiedzialnych za zniszczenie mienia... – dukał do kamery podkomisarz Mariusz Kaługa.

– ...i szerzenie mowy nienawiści – dopowiedział Dawid. Oko kamery rejestrowało, jak podkomisarz przełyka ślinę. – Na tle religijnym.

Na parkingu zebrali się pracownicy komendy, obserwujący, jak Kaługa przestępuje z nogi na nogę. Ubrany był tak przepisowo, jak gdyby wizytował ich wiceminister spraw wewnętrznych. Wyprężony, przystojny, mówił starannie, wciągając brzuch i wypinając szeroką klatę.

Za ogrodzeniem synagogi kręcili się policjant z psem tropiącym i technicy w kamizelkach odblaskowych. Jeden zdrapywał do woreczka foliowego próbkę farby, drugi podążał za psem. Brama Ośrodka Spotkania Kultur zagrodzona była policyjną taśmą.

– To cytat z Ewangelii – chrząknął policjant. – Chciałbym zwrócić uwagę, że w Dąbrowie nie dochodzi do antysemickich wybryków, nie mamy tutaj grup radykalnych, w mieście prężnie działa Ośrodek Spotkania Kultur, odwiedza nas młodzież z Izraela i nigdy nie było żadnych...

Nie dokończył, bo kątem oka zauważył zamieszanie. Dziennikarz zmełł w ustach przekleństwo i podążył za jego wzrokiem. Nie ma jak bohater drugiego planu przy wejściu na żywo. Zwrócił się do kamery i nabrał powietrza, żeby zacząć coś szyć, aż sytuacja się uspokoi. Nie zdążył.

– Przepuście mnie! – odezwał się piskliwy kobiecy głos.

– Proszę poczekać, pani Wężykova, teraz telewizja, kręcą... – Jakaś policjantka próbowała uciszyć pięćdziesięcioletnią ubraną

na czarno kobietę z reklamówką, z której wystawała wiązanka goździków. Kobieta miała podkrążone oczy, usta drżały jej ze zdenerwowania.

– Nawet po śmierci człowiekowi spokoju nie dadzą! Zamordowali! Przejechali samochodem! A teraz jeszcze to! – denerwowała się Wężykowa. – Co mnie obchodzi telewizja, sprofanowano grób mojego męża! Czerwoną farbą!

Dawidowi krew zaszumiała w głowie. Dał znak kamerzyście i rzucił się z mikrofonem do kobiety.

– Proszę pani, co się stało? – zwrócił się do niej z zatroskaną miną, ale na tyle głośno, żeby przejąć inicjatywę. – Porozmawiajmy z tą mieszkanką Dąbrowy Tarnowskiej, bo wszystko wskazuje na to, że ciągle pojawiają się nowe wątki – powiedział do obiektywu. Kobieta poprawiła siwiejące włosy, umilkła. – Sprofanowano? Czyli do czego konkretnie doszło?

– Do tego! – Kobieta wyjęła z kieszeni telefon i podsunęła mu pod nos.

– Jasna cholera – mruknął Mariusz Kaługa, gdy razem z dziennikarzem nachylili się nad ekranem.

– Pokażmy widzom – zakomenderował reporter. Kamerzysta przepchnął się przed policjanta i wyostrzył obraz.

Widzowie porannego pasma zobaczyli to, co przed chwilą Kaługa, a pasek zmieniał właśnie kolor na żółty. Na grobie Władysława Wężyka czerwona farba zakrzepła niczym krew, długimi jęzorami. Rozrzucone wieńce leżały dookoła. Szare lastryko znaczyła wielka czerwona gwiazda Dawida. Na szubienicy.

– Zbezczeszczono grób ofiary niedawnego zabójstwa. Może pan skomentować, czy ma ono jakiś związek z eskalacją antysemitycznych nastrojów, jakiej świadkiem stała się Dąbrowa

Tarnowska ostatnimi czasy? – zapytał z profesjonalnym oburzeniem Dawid, odwracając się do policjanta.

– W Dąbrowie nie doszło do żadnej eskalacji antysemitycznych nastrojów. W naszym mieście nie ma przyzwolenia na tego rodzaju zachowania. To działanie wymierzone w dobro całej wspólnoty. Ktokolwiek jest odpowiedzialny za te incydenty, niech wie, że go znajdziemy.

Dawid był zadowolony. Gliniarz przestał wreszcie gadać jak rzecznik prasowy. Rozszerzone nozdrza, ściągnięte brwi i odsłonięte zęby przywodziły na myśl psa gończego.

– I ja osobiście tego dopilnuję. – Mariusz Kaługa intensywnie wpatrywał się w obiektyw.

*

Bastian siedział na schodach z laptopem na kolanach. Z puszki po gulaszu angielskim służącej za popielniczkę wyrastał kalafior petów. Przed momentem zadzwoniła Wiolka.

– Włącz telewizor, właśnie w radiu mówili, że coś się dzieje w Dąbrowie! – przekrzykiwała silnik przez zestaw głośnomówiący. – Ja już tam pędzę, jestem przy zjeździe w Mościcach, pojedę prosto pod synagogę.

Oglądał, pałąc, i dopisywał w głowie kolejne pozycje do listy powodów, za które miał ochotę kopnąć się w tyłek.

Kości z sadu jego dziadka. Jego tekst w Raporcie. Napis na synagodze. Gwiazda Dawida na grobie tego Wężyka.

Na grobie Wężyka – za to miał ochotę kopnąć się w tyłek najmocniej. Bo wyszło na to, że Wiolka miała nosa.

Ale skąd, do cholery, mógł w ogóle przypuszczać, że Żydzi i Wężyk jakoś się łączą? A może powinien się kopnąć właśnie za

to, że tak bardzo pochłoneła go sprawa z własnego podwórka, że stępiła mu słuch? Najpierw pojawiają się żydowskie kości. Potem w tym samym małym i sennym miasteczku pojawia się nagle trup, w dodatku okazuje się, że to mord upozorowany na wypadek. A on uznał, że to zbieg okoliczności?

„Co się z tobą stało, Bastian?”, brzmiało mu w uszach.

W powtórce wracał najazd na sfatygowanego smartfona ze zdjęciem świeżego grobu Władysława Wężyka pomazanego czerwoną farbą. Jeśli miał jeszcze wątpliwości, czy hipoteza Anki wiążąca kości z jego sadu z *Judenjagd* jest słuszna, to właśnie się one rozwiewały.

Coś miękkiego pacnęło tuż obok. Jakaś lepka substancja chlapnęła mu na goleń. Rozejrzał się zdezorientowany. Ze schodów ściekał sok z pomidora. Dostrzegł ruch przy bramce. Odstawił laptopa, zerwał się i podbiegł do ogrodzenia. Mostkiem w stronę ulicy, ku odstawionemu tam rowerowi, odchodził chudy mężczyzna koło sześćdziesiątki z reklamówką w ręce.

– Ej! – wrzasnął Bastian. Tamten zatrzymał się i odwrócił, ściskając ucho reklamówki. To był sąsiad z przeciwnej strony ulicy. Patrzył teraz na niego wyzywająco. – Ty żeś to rzucił? – krzyknął dziennikarz, wążąc w dłoni resztki pomidora.

Porwał je ze schodów, żeby cisnąć nimi w napastnika. Ale zatrzymał się, zaskoczony brzmieniem własnego głosu. Gdyby ktoś go zapytał, jak ludzie tu mówią, nie potrafiłby tego opisać, upierałby się, że tu nie ma dialektu. Zdumiało go echo własnego zaśpiewu, idącej w górę melodii, w którą rozciągnęła się ostatnia, mocno zaakcentowana sylaba, wydobytej z jakichś zakurzonych pokładów pamięci. Mężczyzna z pochyloną naprzód głową ruszył ku niemu.

– A tak, ja! – wycedził. – Za to, żeś morderców z nas zrobił!

We wojnę Żydów zabijali Niemcy, a Polacy ratowali! A wy, media, to już nie macie o czym pisać? Tylko jątrzyć i oczerniać!? – krzyczał, celując w niego palcem. – A ty co możesz o wojnie wiedzieć, szczył taki? I hipokryta fałszywy! – Wziął oddech. – Przecież my z ulicy wszyscy widzieli, jak żeś tam po nocy kopał! Pewno za żydoskim złotem!

Bastiana замуrowało. Zamachał rękami, próbując coś powiedzieć.

– A skąd wy niby mieli na takie remonty? Że karingtona se budują z basenem w miejsce dziadowej bidy? Cóżście w tym domu znaleźli? A jak żeście znaleźli, to znaczy, że wy tacy sami jak ci mordercy, o których piszesz. – Potrząsnął kułakiem. – Stary Świętek to się w grobie przewraca. – Splunął na ziemię.

Odwrócił się, wsiadł na rower i ruszył, zostawiając ogłuszonego Bastiana pod bramką.

Telefon zadzwonił melodyjką z *Domowego przedszkola*. Ustawiła taką, bo Bastian traktował ją jak przedszkolaka. I przypomniała sobie, jakiego dzwonka używał on sam w czasach „Flesza”.

Stała między rzędami grobów – tych starszych, z przybrudzonego lastryko, i tych najnowszych, lśniących czarnym granitem jak karoseria mercedesa. W poszerzonej części dąbrowskiego cmentarza nie rosły jeszcze drzewa, a ziemia nie zdążyła stwardnieć, przez co Wiolka miała wrażenie, jakby stała na placu budowy. Wraz z grupką gapiów przyglądała się, jak w miejsce ekipy policyjnej, która zbadała każdy skrawek nagrobka Władysława Wężyka, wkroczyli pracownicy firmy kamieniarskiej ze szczotkami.

– Cześć, dzięki, że oddzwoniasz. – Dziennikarka odebrała dyskretnie, przysłaniając telefon dłonią. – Dzwoniłam, bo

wspomniałaś, że Wężyk chciał wam pomagać przy synagodze, tak? – spytała półszepcetem Doroty Seweryn. Gwiazda Dawida zniknęła powoli z płyty grobowej. – Nie? – zdziwiła ją odpowiedź.

Słuchała.

– A możesz zapytać w synagodze, przepraszam, w Ośrodku Spotkania Kultur, czy ktoś by ze mną o tym nie pogadał? Z nami – poprawiła się, gdy usłyszała krótki sygnał w słuchawce i rzuciwszy okiem na wyświetlacz, zobaczyła połączenie oczekujące od Bastiana.

Miotał się po podwórzu. Telefon Wiołki wciąż był zajęty. Anka też nie odbierała. Wcześniej przysłała SMS-a, że jedzie, pewnie nie może odebrać na motorze. Oto dwie kobiety cwałują mu na ratunek, parsknęły.

Na podjeździe zawarczał silnik. Zobaczył czerwone auto, ale to nie było punto Wiołki. Trzasnęły drzwi, skrzypnęła bramka. Na podwórze wkroczył Bogdan. Dziennikarz przewrócił oczami. Jeszcze mu brakuje zjazdu rodzinnego.

– Niech zgadnę – odezwał się do kuzyna. – Chcesz mi powiedzieć, że niesprawiedliwie was opisałem, bo we wojnę Polacy pomagali Żydom, tak? Ja tylko chciałem dać wyraz...

Ale Bogdan nie zamierzał niczego mówić. Spojrzał w twarz niższemu o głowę Bastianowi. Miał w oczach coś czułego, jak starszy brat. Zacisnął usta w wąską kreskę.

I zdzielił dziennikarza pięścią w szczękę.

Podwórko huknęło zaskoczonych Bastiana w plecy, wybijając mu powietrze z płuc. Pociemniało mu w oczach, skulił się i niezgrabnie dźwignął na kolana. Pulsujący ból w szczęce powoli do niego docierał i rozlewał się po twarzy. Rozbłyśki przed oczami przygasały. Otarł przedramieniem usta, rozmazując

krew z rozciętej wargi. Wstał chwiejnie. Zobaczył kuzyna, który odwrócił się i odchodził.

– Boguś... – sapnął. – Ale gdzie idziesz?

I runął na niego bykiem. Dziennikarz był drobnej postury, ale impet zrobił swoje. Bastian złapał Bogdana wpół, pchnął, przewrócił, przygwoździł do ziemi. „Szczył, hipokryta fałszywy”, dzwoniło mu w uszach. Facet plujący mu pod nogi, własny kuzyn walący go w zęby. Wiolka mająca rację. Bella mająca go w dupie. Czaszka w wykopie pod basen. Oblężenie we własnym domu. A nie, właśnie, że nie własnym. Zamachnął się, zdzielił próbującego mu się wyślizgnąć Bogdana w zęby. Raz a porządnie. I odskoczył, rozcierając kłykcie. Kuzyn też się podniósł. Splunął. Błyszcząły mu oczy.

– Przestańcie natychmiast, chłopcy! Ale już!

Dźwięczny alt zabrzmiał nad podwórzem. Obaj zareagowali instynktownie, gombrowiczowsko, prostując się i odwracając w stronę, z której dobiegał głos.

Sam się o to prosiłeś, miał zamiar powiedzieć Bastian, kątem oka patrząc na kuzyna.

– Ty żeś zaczął – stwierdził.

Trzasnęły drzwi po stronie pasażera. Patrzyła na nich groźnie, jak zawsze dostojna, i tylko dużo głębsze zmarszczki i przygarbiona, wiotka sylwetka zdradzały, ile już czasu minęło, odkąd widział ją ostatni raz. Odkąd ostatni raz ochrzaniała go za podwórkową bójkę. Ciotka Wera.

Usiedli we dwoje w kuchni. Kuzyn, naburmuszony i opuchnięty, zamknął się w aucie. Bastian przyciskał sobie do twarzy woreczek z lodem. Ciotka rozejrzała się po pomieszczeniu, z niezadowoleniem pokręciła głową i przestawiła krzesło do pustego teraz kąta. Tam gdzie siadywała zawsze.

Kiedyś.

– Dobrze, miejmy to za sobą. Byłem niesprawiedliwy, splamilem honor rodziny i jak wy się teraz ludziom pokażecie, tak? – warknął. – O czymś zapomniałem? Aha, piore publicznie rodzinne brudy. Tylko że ja nawet nie wiem, czy to są rodzinne brudy i co to za brudy, bo nikt mi nigdy nie powiedział, że w ogóle są tu jakieś brudy. I co miałem zrobić?! Co zrobić z...

Urwał, bo spojrzał na ciotkę. Nie marszczyła czoła, nie miotła wzrokiem gromów ani nie patrzyła z wyrzutem, tak jak tylko ona potrafiła. Spoglądała na niego z troską.

– Co się z tobą stało, Bastian? – zapytała.

Nabrał powietrza. Zacisnął powieki. Odetchnął. Szczęka paliła go jak jasna cholera.

– Boję się – odparł cicho. – Miało tu być tak jak zawsze. Bezpiecznie. A teraz... nie mam pojęcia, co się tu dzieje... co się tu kryje... Kurwa mać, z przeproszeniem cioci, nawet nazwać tego nie umiem.

Przyglądała mu się, jakby jej oczy były starsze niż ona sama. Przysiadłszy na krześle w kącie, w półbutach, prostej spódnicy i brązowym żakiecie, wyglądała jak sowa.

– Tak bardzo się bałeś, że w tym miejscu w końcu wybuchnie pożar – powiedziała – więc sam je podpaliłeś?

– Podpaliłem? – zachnął się. – Czy wy nie rozumiecie, że pisałem o swoich emocjach? To ja znalazłem te kości, to na mnie pierwszego patrzyła ta czaszka, mam prawo do zadawania takich pytań! Mam prawo!

Milczała.

– To pytaj – odparła wreszcie. Chłód przebiegł mu po kręgosłupie. Przykucnął przed nią. Ujął jej szorstką dłoń.

– Czyje to mogą być kości, ciociu? Wiesz coś? Cokolwiek?

Z bliska patrzył w jej oczy, wyblakłe, jakby czas pokrył je półprzezroczystą błoną. Może tak się dzieje ze starymi ludźmi, pomyślał, po to żeby ich wrażliwiejące z upływem lat oczy chronić przed światłem? A może, skoro oczy są zwierciadłem duszy, dzieje im się tak, żeby chronić resztki intymności ich dusz? Sarknął na siebie w duchu, wyszydając kłębiące mu się w myślach banały. A ciotka pokręciła głową.

– Ja się urodziłam w czterdziestym piątym, Bastianku, jak ja mam pamiętać? – powiedziała nieswoim głosem. – Mamie i tatowi żadnych pytań o tamte czasy się nie zadawało, bo się i bez tego wiedziało, jakie były straszne. Czuło się, że starszych nie wolno o to pytać. Wystarczyło na nich popatrzeć i już się wiedziało, że nie wolno. Wisiała groza między ludźmi, nienazwana. Ale ja byłam dzieckiem, nic nie pamiętam. A potem już przyszło życie.

– Życie na tajemnicy – powiedział raczej, niż zapytał. Zerknęła na niego z błyskiem w wilgotnych oczach. – Nigdy później ciocia o to nie pytała?

Delikatnie, lecz stanowczo wyjęła dłoń z jego dłoni. Wyprostował się. Przytknął z powrotem worek z na wpół rozpuszczonym lodem do policzka. Syknął.

– Trza uważać, jak się zadaje pytania – oznajmiła znów swoim dźwięcznym altem – bo można usłyszeć odpowiedź. Tobie, Bastianku, zachciało się kopać głęboko, a każdy wie, że wtedy ściany mogą się na takiego kopacza zawalić. Są takie pytania, których się nie stawia bezkarnie. Wiem, że nie chciałeś, ale obudziłeś upiory. Podпалиłeś to miejsce, więc musisz je teraz ugasić.

– Jak? – szepnął.

– Mówiłeś, że masz prawo zadawać pytania. Myślę, że teraz

masz obowiązek poszukać odpowiedzi. O tych kościach. O Władku. O nich.

Podniosła się. Sięgnęła po coś do wewnętrznej kieszeni zakietu i położyła to na stole. Na niewielkim przedmiocie zatańczyły poblaski światła. Podszedł. Spojrzał pytająco na ciotkę. Ujął przedmiot w dwa palce.

To był złoty pierścionek, czy raczej damski sygnet. Z wąską, lekko przygiętą w jednym miejscu obrączką i spłaszczoną, owalną tarczą obwiedzioną misternym wzorkiem w kwiaty z linii i kropek. Metal mocno pociemniał, a sfatygowana powierzchnia domagała się przeszlifowania.

Pociągnięty czarnym wypełnieniem grawer przedstawiał nieco wydłużony półokrąg, który z miejsca skojarzył mu się z macewą. Miał szeroką, niedomkniętą z lewej strony podstawę i wąskie boki, jego szczyt z prawej strony grubiał znowu na kształt grzebienia, a z lewej wyrastał zeń jakby listek.

– Mama podarowała mi ten pierścionek w dniu mojego ślubu – oznajmiła ciotka Wera. – Powiedziała, że jestem jej najstarszą córką. A on ma mi przypominać, żem ja stąd.

II

Olesno koło Dąbrowy Tarnowskiej,
grudzień 1943 roku

To dziwne, że można się nudzić i bać naraz, pomyślał chłopiec.

Patrzył w sufit, na którym w świetle księżyca kołysał się cień konaru. Siostrzyczka chłopca, skulona pod pierzyną, przebierała nogami przez sen jak śpiący szczeniak. Niemowlę w kołysce spało bezgłośnie. Pociągnął nosem – musiało mieć pełną pieluchę.

Wcześniej matka wciągnęła go nagle do pokoju, łając, przebrała w nocną koszulę i zaciągnęła do łóżka. Kazała mu odwrócić się do ściany i spać, a w jej oczach zobaczył coś, co sprawiło, że zamiast protestować, że jest już duży, posłuchał i skulił się, wstrzymując oddech. Dobiegały go stłumione głosy rodziców i ledwie słyszalne zawroźnienie, jak skuczenie dzikiego zwierzęcia złapanego we wnyki. Potem zapachniało gotowanymi ziemniakami, aż mu ślinka pociekła. Ale leżał cicho, jak kazała matka.

Odkąd pojawili się oni, nauczył się, że czasem lepiej zniknąć, nie rzucać się w oczy, rozmyć w tle. Nie podchodzić za blisko, bo można zostać zauważonym albo za dużo zobaczyć. Jak wtedy, kiedy poszli na cmentarz w Dąbrowie, schowali się za drzewami

i widzieli, jak strzelają Żydów. Garstka, która została po tym, jak resztę wsadzili do pociągów i wywieźli, posłusznie kładła się na ziemi. Potem padły strzały i już się nie ruszali. Od tamtej pory omijał ten cmentarz. Wydawało mu się, że oni muszą tam być, że jeśliby tam poszedł, oni wyciągnęliby po niego spod ziemi ręce.

Na co dzień rzadko się ich widywało, chociaż ich obecność ciążyła nad Dąbrową, Olesnem, Gruszowem i Szarwarkiem jak gradowa chmura. Mówiąc „Niemcy”, ludzie ściszyli głos i rzucali dookoła czujne spojrzenia. Chociaż jeden chłopak, który z nim pasał krowy, opowiadał, że raz Niemiec dał mu cukierka.

Pamiętał też dobrze, jak żandarm uderzył jego ojca, nie wiedział za co, pewnie za nic. Ludzie na ulicy udawali, że nie widzą, ojciec podniósł z ziemi czapkę, otarł krew spod nosa, uklonił się i odszedł. W domu nakrzyczał na niego i na siostrę, ale od tej pory chłopiec słuchał się ojca jakoś mniej.

Do łóżka poszedł głodny, dostał tylko skórkę ciemnego chleba, którą żuł długo, bo wtedy robiła się słodka, i wyobrażał sobie, że to cukierek, może taki, jaki chłopak od krów dostał od Niemca. Wysunął bose stopy spod pierzyny, zatrzeszczały deski podłogi. Poczował chłód ciągnący od okna. Bezszelestnie podszedł do drzwi, kucnął. W szparze zobaczył rąbek spódnicy matki siedzącej na zydlu i nogi ojca.

Gdzieś za nimi był jeszcze cień.

– Już czas – powiedział ojciec.

Matka wstała, skrzypnęły drzwi. Mignął blask buzującego pod kuchnią ognia. Po chwili ojciec wrócił i usiadł przy stole. Milczeli oboje. Matka usiadła obok.

– ...mamy dzieci... – dochodziły strzępy ich rozmowy.

– ...przecież wiesz, co by z nami zrobili...

– ...ni wiadomo, kto patrzy...

- ...ani mój brat, ani swat...
- ...ale tak na mróz...
- ...umrze...
- ...wszyscy umrzemy...
- ...jeszcze nie teraz...
- ...zapomnij...
- ...nie da się...

Matka wstała, zamknęła drzwiczki pieca, zrobiło się ciemniej. Widział zgarbione plecy ojca, łokcie ciężko oparte o blat, drżące ramiona matki. Na ścianie za nimi majaczył święty obraz, Matka Boska patrzyła łagodnie, chociaż wzrok miała smutny, nieprzenikniony.

– Ni mo prawa żyć... – rozległ się głos ojca – ...ale my to przejdziemy...

Zapadła cisza, aż z drżenia matczynych ramion nagle wyrwał się pisk. Pochyliła się, pokręciła głową, zgięła się wzdłuż.

– Ale jak ona mogła nas prosić o coś takiego!

Nie mógł słuchać tego płaczu, bo też zaczynała mu się trząść broda, więc na palcach wycofał się spod drzwi. Podszedł do okna, chuchnął, przetarł szybę rękawem koszuli. W świetle księżycy skrzył się świeży śnieg, leżał białym pokrowcem na polu, obciążał gałęzie drzew, przykrywał czapami majaczące w oddali zabudowania. Już niedługo święta, pomyślał. Znowu usiądą do wigilii i będą jeść, dużo i smacznie jak dawniej. Może nawet dostanie prezent. Będą śpiewać kolędy. Zostawią nakrycie dla niespodziewanego gościa.

Nagle jakiś ruch zwrócił jego uwagę. Przez białą pustynię śniegu sunął cień. Powoli, z trudem, zatrzymując się co chwilę. Chłopiec wstrzymał oddech. Słyszało się o takich cieniach. Mara, mówiła matka i kazała mu odwracać oczy.

Śledził cień oddalający się w stronę lasu. Jego oddech zostawiał na szybie obłoczek pary, zamarzający w liście, pióra, anielskie włosy. Nagle cień przystanął i się odwrócił. Jeżeli cień ma oczy, to można by przysiąc, że patrzył teraz prosto w jego okno. Chłopiec zatrzymał powietrze w płucach, bał się poruszyć, złapany tym niewidzialnym wzrokiem, przykuty nim do cienia jak łańcuchem. Niemowlę poruszyło się, zakwiliło przez sen. Zaskrzypiały deski podłogi.

Zamrugął, a kiedy znów popatrzył na polanę pod lasem, niczego tam nie było.

Dąbrowa Tarnowska-Ruda,
grudzień 1998 roku

Boże, jak strasznie mu się nudziło.

Dziadek przysypiał przed telewizorem na filmie familijnym. Matka z ciotką Werą poszły do kuchni, żeby pozmywać i poobgadywać rodzinę, Bella schowała się do pokoju z podręcznikiem do makroekonomii i udawała, że się uczy. Tylko on nie miał dokąd uciec. Próbował czytać kolejny tom sagi o wiedźminie, który znalazł pod choinką, ale trajkoczący na cały regulator telewizor nie dawał mu się skupić. Kiedy próbował go ściszyć, dziadek wybudzał się z drzemki i protestował, że ogląda, po czym po minucie znowu chrapał.

Pod choinką nuda jak co roku. Książka. Skarpety. Szalik i rękawiczki w nieokreślonym kolorze. Ciotka Wera na pewno zrobiła je własnoręcznie, ale musiałby zwariować, żeby włożyć to do szkoły. Przynajmniej „Wiedźmin” był trafiony, chociaż sam sobie zażyczył taki prezent, zwalniając siostrę z obowiązku zaprzątania sobie głowy potrzebami młodszego brata.

Kiedy w telewizorze znowu rozległa się salwa śmiechu – akurat w momencie, gdy Geralt dobierał się do Yennefer – pomyślał, że dłużej nie wytrzyma. Ani do kogo pójść, ani zadzwonić, bo telefon jest w kuchni i pod obserwacją. Ani komputera, ani nawet głupiego game boya, już nie mówiąc o odrobinie prywatności, żeby podelektować się książką z momentami.

– Idę się przejść – mruknął i wstał z fotela. Nikt mu nie odpowiedział.

Do walkmana włożył kasetę Kazika, wyrzwał za okno i wziął sweter. Spod drzwi wrócił się jeszcze po bury szalik i rękawiczki i wyszedł w noc.

Śnieg skrzył się w świetle księżyca, jasno było prawie jak w dzień. Mróz ścinał oddech w chmurkę. Bastian poprawił szalik, wcisnął w uszy słuchawki i uruchomił kasetę. Kiedy wychodził z podwórka w pole, popiół zaskrzypiał mu pod stopami. Poczł woń węgla. Bastian naciągnął na głowę kaptur, wsadził ręce do kieszeni i rażnym krokiem ruszył przed siebie, niesiony słowami piosenki. Kiedy światła domu zniknęły mu z oczu, poczuł ukłucie niepokoju, ale zaraz się roześmiał. Co złego może się stać w Wigilię?

„Bo ona się bała pogrzebów, jak pajak po twarzy pełzył strach, gdy chude jak szczapy szły złe kare szkapy z czarnymi kitami na łbach...”, nucił. Miał wrażenie, że z każdym krokiem staje się lżejszy. Odbiło mu się barszczem. Musi tylko przetrwać dwa dni świąt i wróci do Krakowa. Zanim zacznie się szkoła, umówi się z chłopakami na granie, wysepi od matki kasę na pizzę i w spokoju doczyta „Wiedźmina”. Nikt nie będzie go przestawiać z kąta w kąt, komentować jego stylowy i wmuszać w niego jedzenia.

Wyszedł z za zakrętu na otwartą przestrzeń i wiatr uderzył go w oczy. Zerwała się zadymka, do tego kasetę zaczynała zwalniać, jakby wyczerpywały się baterie, głos Kazika zrobił się głębszy i niższy, gitary zaczęły zawodzić, perkusja traciła rytm.

W wirującej w powietrzu kurzawie pociemniało. Rozejrzał się i zaklął.

*Nie szukaj drogi, znajdziesz ją w sercu,
smutna jest knajpa byłych morderców.
Niech cię nie trwożą, gdy do niej wkroczysz,
płonące w mroku morderców oczy.*

Wdusił w kieszeni przycisk Stop i muzyka się urwała. Zrobiło się cicho, tylko wiatr gwizdał w koronach drzew. Coś zamajaczyło w oddali. Cień. Bastian zwolnił. Cień też się zawahał. Ktoś szedł naprzeciw niemu. Co tu robi? Pewnie idzie na pasterkę. Bastian nasunął kaptur na czoło.

Minął go starszy mężczyzna, zbliżając się ostrożnie, jakby obchodził dzikie zwierzę; rzucił mu spojrzenie próbujące przeniknąć mrok kaptura. Bastian bezwiednie skinął mu głową. Tamten tylko opuścił wzrok, przeżegnał się i ruszył dalej.

Bastian obejrzał się za nim w ciszy, która zaczęła mu ciążyć.
Las nagle wydał mu się pełen cieni.

*Wy, którzy wynurzycie się z odmętu
Kiedy my już w nim przepadniemy
Wspomnijcie
Mówiąc o naszych słabościach
Mroczne czasy,
Co was ominęły.*

Bertold Brecht, Do urodzonych już potem
(przeł. Jakub Ekier)



ROZDZIAŁ 5

Przyjechały. Jedna na czerwonym motorze, druga w czerwonym punciaku. Siedziały z zatroskanymi minami przy stole, dwie przedszkolanki nad rozlanym mlekiem. Wiolka opieprzyła go za przepędzenie telewizji, Anka za brak dystansu. Czekał, aż któraś postawi go do kąta. Szkoda, że żadna nie raczyła skomentować jego obitej twarzy. Okiennice od strony ulicy były zamknięte. Nie żeby się bał, że ktoś będzie rzucał kamieniami. Skądże.

– Koniec rozkminy – stwierdził. Nie wiedział, czy mówi to do nich, czy do siebie. – Pora zabrać się do roboty. Co wiemy o tym całym Wężyku?

– Jakbyś mnie słuchał, Bastian... – zaczęła z wyrzutem Wiolka.

– Miałaś rację – przerwał jej teatralnie. – Możemy już przejść do konkretów?

Anka przenosiła wzrok to na Wiolkę, to na Bastiana. Zaraz wystawi mu ocenę, pomyślał.

– Był w Dąbrowie dość znany – podjęła Wiolka. – Moja informatorka, wolontariuszka w Ośrodku Spotkania Kultur, go kojarzy. Działacz, przedsiębiorca, ale szemrany.

– Miał coś wspólnego z Żydami? – zapytał Bastian.

– Nie mam pojęcia. Ona wspominała, że interesował się synagogą. Ale nie wiem, czy to ważne, bo ta synagoga to tutaj wielkie halo.

– Trzeba z nią pogadać. I trzeba się przejść na cmentarz. –

Bastian dotknął policzka i syknął.

Wiolka ze zniecierpliwieniem przeczesła palcami włosy.

– Nic tam nie zobaczysz, bo już wszystko zmyli – powiedziała. – Ale nie bój się, byłam i zrobiłam fotki.

Położyła smartfona na stole. Wszyscy troje pochylili się nad zdjęciami rodzinnego grobowca Wężyków wysmarowanego czerwoną farbą. Bastian o mało nie pochwalił Wiolki. Sfotografowała nie tylko sam nagrobek, ale i zebranych dookoła gapiów.

– Kto to? – zapytał, wskazując postać stojącą najbliżej grobowca. Chłopak, zwiesiwszy głowę, podpierał się pod boki, podczas gdy dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach atakowali lastryko szczotkami.

– Jego syn – odparła Wiolka.

– Gadałaś z nim?

– Nie chciał.

– A z tym pięknišem? – Bastian przyglądał się wysokiemu mężczyźnie ubranemu jak na pokaz policyjnej mody, który stał wyprostowany i pokazywał coś palcem.

– Nie, spławił mnie, był wściekły. Chyba go wkurzył twój kolega z telewizji.

– A ktoś w ogóle chce tu z tobą gadać? – Nie zdążył ugryźć się w język.

– A z tobą, Bastian? – wypaliła. – Z tego, co widzę, rodzina rozmawia z tobą na migi.

Dotknął policzka i opuścił wzrok.

– Ja przynajmniej mam tę Seweryn – mruknęła Wiolka. – Lepsze to niż nic.

– Umów nas z nią jak najszybciej – rzucił pojednawczo.

Sięgnęła po telefon, palce śmignęły po ekranie.

– A kości? – zapytała Anka. – Dowiedziałeś się czegoś nowego?

Bastian się zawahał. Włożył rękę do kieszeni i długo obracał coś w dłoni. Popatrzył w kąt, w którym niedawno siedziała ciotka Wera. Może to była kwestia światła, ale z zamkniętymi okiennicami pomieszczenie wyglądało inaczej, jakby widział je pierwszy raz w życiu.

– Nie wiem – powiedział. – Ale oprócz fangi w ryj od rodziny dostałem jeszcze to.

Anka wzięła od niego ostrożnie pierścionek i zmarszczyła brwi. Stare złoto zalśniło w świetle lampy, zamigotało na przekór zmatowionej powierzchni pokrytej siatką drobnych rys.

– Skąd to się tutaj wzięło? – zapytała.

– Ja dostałem go od ciotki Wery. Ona dostała od babci, a babcia zapewne od dziadka. Skąd miał go dziadek, nie mam pojęcia.

– Wiesz, co to jest? – Głos Anki zabrzmiał poważnie.

Bastian wzruszył ramionami.

– Co?

Anka zamilkła. Zerknęła na Wiołkę, która kończyła pisać SMS-a. Potem na Bastiana. Wiołka zorientowała się i rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Wiołka, możesz nas na chwilę zostawić? – powiedział.

Dziewczyna prychnęła, zerwała się z krzesła i wyszła. Anka i Bastian zostali sami.

– I co to za tajemny pierścień przeznaczenia, profesorze Langdon? – Dziennikarz uśmiechnął się z wysiłkiem. – Co ta litera znaczy w kabale?

– Nie o to mi chodziło. – Anka pokręciła głową. – To jest – ściszyła głos – żydowskie złoto.

Zaszumiało mu w uszach, bo przypomniały mu się słowa faceta, który obrzucił go pomidorami. Karingtona sobie za ten pierścionek nie postawi. Ale to nie unieważniało pytania, skąd się wziął.

– Skąd takie cacko w chłopskiej, przepraszam, rodzinie? – zapytała, jakby czytając mu w myślach. – Mógł tu trafić na wiele sposobów. Może twój dziadek nabył go po wojnie, dostał w zamian za coś albo zgodził się go przechować. Ale... – Patrzyła na niego z troską, jakby zastanawiała się, czy jest gotowy na to, co ma do powiedzenia. – Dużo czytałam ostatnio o tym, jak to się odbywało. Kiedy do złapanego Żyda wzywano Niemców, żandarmerię albo granatową policję, to oni zabierali wszystkie kosztowności, pieniądze, wartościowe rzeczy znalezione przy ofierze. Tym, którzy go złapali, dostawały się najwyżej ciuchy. Ale kiedy chłopci brali sprawę w swoje ręce – zająknęła się – najcenniejszy łup dostawał zwykle ten, kto...

– Wystarczy – przerwał jej głucho.

– Nie chcę powiedzieć, że... – Zamachała rękami, jakby wystraszyła się swoich słów.

– Nic już nie mów. – Ukrył twarz w dłoniach. – Proszę.

Wiolka opierała się o elewację, przesuając palcem po ekranie smartfona, kiedy stuknęły drzwi. Anka wyszła na podwórko, spojrzała w granatowiejące niebo, niezadowolona, że będzie jechać po ciemku, i ruszyła w stronę motocykla.

– Sucz ogrodnika. – Dziennikarka nie podniosła głowy nad telefonu, więc Anka nie zobaczyła wyrazu jej twarzy, tylko cień włosów podświetlony światłem ekranu.

– Słucham? – Anka przystanąła.

– Zajmij się swoim ślicznym architektem. – Wiolka podeszła do niej i z bliska popatrzyła jej w oczy. Anka zaczerwieniła się po koniuszki uszu i cofnęła o krok. – Poszperaj w jakimś archiwum, poanalizuj teksty źródłowe, przecież to lubisz. A Bastiana zostaw w spokoju.

– Wiolka, ja... – Anka gwałtownie wciągnęła powietrze. – Ja nie chciałam, żeby tak wyszło, serio, nie musisz być zazdrosna! Ja w ogóle bardzo wam kibicuję. Jak chcesz, to mogę z nim pogadać, żeby...

– Wystarczy, że nie będziesz się wpierdalać, okej? – syknęła Wiolka i odwróciła się na pięcie. Trzasnęły drzwi wejściowe.

Anka ponownie spojrzała w niebo, obracając kask w dłoniach. Tak właśnie powinna zrobić. Poszperać w jakimś archiwum. Tak robi. To potrafi.

Nigdy nie przestawało go dziwić, że istnieje życie poza metropoliami. Tarnowski Rynek był otoczonym kolorowymi kamienicami cacuszkiem, którego klimat u dołu budowały podcienia, a z góry wieńczyły renesansowe attyki. W normalnych ogródkach piwnych siedzieli normalni ludzie, jedząc normalną pizzę i popijając normalnym piwem. Bastian najchętniej przysiadłby się do nich, zawiesił wzrok na kroplach spływających po oszronionym kuflu i niezobowiązująco podsłuchiwał ich rozmowy. Przyspieszył kroku i skręcił w biegnącą od Rynku uliczkę.

Kamieniczny chłód niósł ulgę od skwaru, ale dziennikarzowi po skroni spływała nieznośna strużka potu. W półmroku pracowni czekał już godzinę. Wokół w gablotach pyszniły się kolie, obrączki, pierścionki i łańcuszki. Ścianę nad kontuarem pokrywały dyplomy i certyfikaty: Stowarzyszenie

Rzeczoznawców Jubilerskich, HRD Antwerp, International Gemological Institute. Gdy Bastian oglądał oprawione w ramkę wzory cech probierczych, w głowie wciąż kołatały mu dwa słowa.

„Żydowskie złoto”.

Jubiler wynurzył się zza kotary. Był to wiekowy łysy mężczyzna o sympatycznej twarzy, z ciasno zawiązanym krawatem ze spinką i białą koszulą pod kamizelką, jakby przeniósł się w czasie. Przetarł szmatką pierścioneł ciotki Wery, przyjrzał się mu i ułożył na miękkiej podkładce na kontuarze. Teraz przyglądał się Bastianowi.

– Piękna rzecz – stwierdził. – Jak wykazało badanie na kamieniu probierczym, to osiemnastokaratowe złoto. Stop ze srebrem i z miedzią, czyli klasyczne żółte złoto. Wzór rytowany i wykończony techniką niello. Niestety, cecha jest zatarta i nieczytelna. Daty, o którą pan pytał, też nie widać. Patrząc na styl, oceniłbym go na lata dwudzieste dwudziestego wieku. – Ściągnął brwi. – Pamiątka rodzinna?

– Właśnie odkryta – uciął dziennikarz. – Czy może mi pan powiedzieć coś więcej? Ten wzór...

– To jest, proszę pana, litera alfabetu hebrajskiego. Coś panu pokażę.

Jubiler zniknął na zapleczu, a po chwili wynurzył się, dzierżąc sfatygowany album. Otworzył go przed Bastianem. Dziennikarz zobaczył powiększenie obrączki z płaskiego paska złota z załamaniem u szczytu, tworzącym prostokątne pole. Wśród siateczki delikatnych, kreskowanych zdobieł widniały dwie podobne do siebie hebrajskie litery.

– Na tym zdjęciu widzi pan piękną obrączkę ślubną z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Te dwie litery to *mem*

i *tet*. Wie pan, co oznaczają?

Bastian spojrział nań wyczekująco.

– *Mazel tov*. Na pewno pan wie, co to znaczy. – Starszy pan się uśmiechnął.

– Życzenia szczęścia – powiedział Strzygoń. – Sądzi pan, że to też pierścionek ślubny? Zaręczynowy?

– Niewykluczone, ale niekoniecznie. – Jubiler ujął pierścionek w dwa palce. – Żydowskie pierścionki zaślubinowe często ozdabia motyw dachu albo wręcz całego budynku. To tradycyjne nawiązanie do zakładania przez parę młodą nowego domu, a według niektórych także do świątyni jerozolimskiej. Tutaj niczego podobnego nie ma, a poza tym na pańskim pierścionku jest tylko jedna litera. *Mem*.

– *Mem* – powtórzył dziennikarz.

– Może to znaczy po prostu *mazel*, czyli szczęście, a może to coś zupełnie innego, choćby inicjał. Nie przypominam sobie, żeby to był jakiś szczególny motyw wśród judaików.

Bastian wziął pierścionek, a jubiler wypisał certyfikat rzeczoznawczy.

– Mam szczęście, że na pana trafiłem, skoro specjalizuje się pan w judaikach – zagadnął raptem Bastian.

Jubiler przerwał pisanie. Odetchnął.

– Proszę pana, w moim wieku, przez tyle lat w tym zawodzie i w tym kraju człowiek widział już trochę takich obiektów – powiedział, ważąc słowa jak drobinki cyrkonii. Spojrzął nad ramieniem dziennikarza, jakby się upewniał, czy salon jest pusty. – Zacząłem pracę w latach sześćdziesiątych. Ciągle się wtedy pojawiały.

– Pojawiały?

– Ludzie przynosili. – Jubiler uciekł wzrokiem. – Bizuterię,

numizmaty, czasem większe utensylia. Brało się to wszystko, bo co było robić, trza było żyć. I jeszcze panu powiem... – Zamilkł. – Albo niech pan sobie lepiej sam sprawdzi. W internecie, na tym olyksie, jak mówi mój wnuk. Piękne judaika czasem można tam trafić. Myśli pan, że skąd?

– Skąd?

– Czasem ktoś dom remontuje albo sprząta rzeczy po zmarłym dziadku. Albo, tak jak pan, nie informuje skąd. – Skończył pisać i przybił pieczętę.

Dziennikarz wbił PIN na terminalu, mamrocząc pod nosem coś między „dziękuję” a „do widzenia”. Zawahał się jeszcze, a potem ruszył ku drzwiom.

– Życzę szczęścia – rzucił za nim jubiler z cieniem troski w głosie. – Może przynajmniej panu ten pierścionek je przyniesie.

Prokurator Judyta Franz, popijając kawę, patrzyła w zeszyt, w którym wynotowała informacje na temat Władysława Wężyka. Zebrali je dla niej policjanci wezwani z komendy wojewódzkiej do prowadzenia czynności.

Władysław Wężyk, lat pięćdziesiąt pięć. Pochodził z Olesna koło Dąbrowy. Wykształcenie wyższe niepełne, skończył studia, ale pracy magisterskiej nie obronił. Historyk. W chwili zgonu bez zatrudnienia, próbował pośredniczyć w handlu samochodami z nabywcami z Ukrainy. Długa lista byłych pracodawców: od urzędu miejskiego po sklep z używaną odzieżą. Jedna adnotacja o zwolnieniu dyscyplinarnym. Trzy firmy: handel materiałami budowlanymi, reklamy, szyldy i banery oraz usługi transportowe. Nienotowany. W banku kredyt konsumpcyjny w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy złotych, spłacany regularnie. Żonaty z Janiną. Syn, Maciej, również bezrobotny, mieszka z rodziną.

Wężyk popijał, ale bez ekscesów. Nie awanturował się. Żadnego punktu zaczepienia.

Nie udało się odtworzyć ostatnich godzin życia Władysława Wężyka. Wszelki słuch po nim zaginął, gdy tamtego wieczoru wyszedł z domu przy ulicy Oleśnickiej. Telefon, jak zgodnie zeznali żona i syn, zostawił na stole w kuchni, więc rutynowo zamówione dane lokalizacyjne z BTS-ów były bezużyteczne. Żona nie wiedziała, dokąd się udał, podobnie syn, który zeznał, że wrócił do domu około dwudziestej drugiej i nie spotkał ojca. W knajpie U Bosmana, gdzie Wężyk bywał, nikt go wtedy nie widział. Krótco po tym, jak wyszedł z domu, złapały go kamery monitoringu drogowego nad skrzyżowaniem Kościuszki z Grunwaldzką. A stąd mógł pójść gdziekolwiek.

– Jakies przemyślenia, panowie? – zapytała.

Jacek Wielicki i Leszek Bąk wymienili zakłopotane spojrzenia. Kręcili się po Dąbrowie od kilku dni i odbijali się od tego miejsca jak muchy od szyby. Nie mieli nawet pomysłu na motyw. Znajomi Wężyka odpowiadali ogólnikami, że Władek był narwany, ale w sumie równy gość, i że im go bardzo żal.

– Może zacznijmy od tych jego firm – podsunęła. – Chcę wiedzieć, czy płacił podatki, czy nie zalegał z VAT-em, czy miał długi. Tam, gdzie jest szara strefa, tam można znaleźć powiązania z niemiłymi ludźmi. Sprawdźcie jego kontrahentów, klientów. Może ktoś albo coś zwróci waszą uwagę.

Wielicki, szczupły brunet z przedziałkiem, zapisał to w notesie.

– Dalej, rodzina. – Przyłożyła do ust końcówkę długopisu.

– Rozmawiałem z nimi. Biedna kobieta ledwo się trzyma na nogach, a chłopak to jakaś totalna sierota – wtrącił Bąk.

– Wie pan, rodzina to nie tylko żona i syn. – Prokurator Franz

zmierzyła go wzrokiem. Bąk opuścił głowę i coś zanotował. – Chcę wiedzieć o wszystkich konfliktach o miedzę, o spadek, o narzeczoną. Trzy pokolenia wstecz.

Postanowiła zmilczeć minę Bąka. Spojrzała w zeszyt.

– A może to zwykła pijacka burda? – rzucił Wielicki.

– Wężyk to nie był zwykły alkoholik – zaprzeczyła. – Pił, chociaż nigdzie nie ma w papierach, żeby był uzależniony. Miał kłopoty? Zapijał problemy? Mało prawdopodobne, żeby grupka pijaczków po burdzie starannie pozorowała wypadek. Ale słuszna uwaga, nie jest to hipoteza, którą powinniśmy odrzucić. Zajmie się pan tym, panie Jacku.

Teraz to Wielicki zrobił ukradkową minę do Bąka. Jak dzieci, westchnęła do siebie. Jak dzieci we mgle.

Bastian pchnął furtkę w obrośniętym dzikim winem ogrodzeniu i wszedł na podwórko. Typowy piętrowy klocek polski o poszarzałej elewacji. Stare okna z łuszczącą się stolarką. Na klombiku trochę kwiatów. Na trawniku, którego od dawna nikt nie kosił, przekrzywiony grill na trzech nogach. W oknie poruszyła się firanka.

Bastian długo zastanawiał się, skąd wziąć adres Wężyka. Aż przypomniał sobie książkę telefoniczną, którą znalazł na strychu. Była stara, ale przecież to Dąbrowa, ludzie nie zmieniają tu domów co kilka lat. Nie mógł się nadziwić, jakie to proste. Chwila kartkowania i miał adres rodziny Wężyków. Mieszkali przy Oleśnickiej.

Oczywiście miał też numer telefonu. Zadzwoił.

Głos kobiety był zrezygnowany. Wysłuchała go, nie rozłączyła się od razu. A teraz stał przed jej drzwiami.

– To pan – powiedziała i wpuściła go do środka. W jej ruchach

było coś sennego, mówiła powoli, przeciągając samogłoski.

Na ławie czekały ciasto i talerzyk. Jeden. Bastian obrzucił wzrokiem meblościankę z lat dziewięćdziesiątych. Na ścianie koń z udrapowanej skóry, bluszcz i wyblakłe zdjęcie mężczyzny ściskającego dłoń Lecha Wałęsy. Usiadł na kanapie, ona po drugiej stronie ławy, w fotelu. Zauważył listek tabletek i szklanekę z wodą. Przez gęsto utkaną firankę sączył się upał.

– Proszę wziąć sobie ciasta, dobre. Maciek przyniósł z cukierni. – Nałożyła mu na talerzyk.

– Dziękuję, że zgodziła się pani porozmawiać ze mną o mężu – bąknął. Nigdy nie wiedział, jak zagaić w takich okolicznościach. Przez telefon wytłumaczył jej, że jest dziennikarzem. O dziwo, nie zrobiło to na niej wrażenia. Teraz już wiedział, że nic na niej nie robiło wrażenia.

– To ja się cieszę, że pan przyszedł. – Sięgnęła po na wpół pusty już kieliszek odstawiony na parapet i upiła łyk koniaku.

Zastanawiał się, czy Janina Węzyk była kiedykolwiek piękną kobietą albo chociaż ładną dziewczyną. Dzisiaj wyglądała jak cień.

– Tutaj nikt nie zagląda. I nikt nie chce rozmawiać o moim mężu. A ja bym mogła rozmawiać o nim godzinami. – Zapadła się głębiej w fotel, a Bastian pomyślał, że nie jest dobrze. Kobieta jest chyba na lekach. – Tylko nikt nie chce mnie słuchać, nawet Maciek.

– Syna nie ma w domu? – zapytał, żeby sprowadzić rozmowę do konkretnego.

– Poszedł gdzieś – westchnęła. – Kiedyś tak nie wychodził, siedział ze mną, oglądał telewizor. Teraz zaczął się włóczyć jak ojciec. – Zebrała się w sobie, zacisnęła dłonie na podołku, jej oczy załśniły przytomniej. – No dobrze, to co by pan chciał

napisać o moim Władku?

– Chciałbym napisać, kto go zabił. I dlaczego. – Nachylił się do niej i spróbował pochwycić jej rozbiegane spojrzenie. – Dlatego muszę zadać pani kilka pytań.

– Ja nic nie wiem. – Błysk w jej oku zgasł. – To już policja pytała. Ja nie wiem, kto mógłby chcieć... Nie wiem, co on tam ostatnio robił, już od dawna nie byliśmy blisko. Łaził gdzieś, pewnie się z kimś spotykał, ale ja nie wiem z kim i po co. Szlajał się po knajpach.

– A mąż miał wrogów? – wszedł jej w słowo Bastian.

– Pewnie i miał – odpowiedziała. – Władek nie lubił ludzi, więc ludzie nie lubili jego.

– Co ma pani na myśli?

– Zawsze taki był, nawet w szkole. Wiecznie sam przeciwko wszystkim. I Maciek też taki jest. Tylko Władek to się potrafił postawić, skoczyć z pięściami, a Maciek nie.

– Czyli mąż był konfliktowy? – sprecyzował Bastian.

– Można tak powiedzieć – potwierdziła, wzdychając.

– A ma pani jakieś podejrzenia, skąd na jego grobie wzięła się gwiazda Dawida? Czy mąż miał żydowskie korzenie?

Rozejrzał się po pokoju za krzyżem, portretem papieża, świętym obrazkiem.

– Nie – odparła. – Pochodził z katolickiej rodziny, z Olesna. Do Żydów nic nie miał. Pan pewnie nie wie, ale to mój mąż pierwszy wpadł na pomysł, żeby ściągać Żydów do Dąbrowy. – Bastian zrobił zdziwioną minę i zachęcająco pokiwał głową. – To było w latach dwutysięcznych. Kupił autobus, chciał wozić wycieczki z Krakowa. Ale wtedy tu nic nie było, synagoga ledwo stała, mogli sobie co najwyżej popatrzeć na nią przez płot, jak niszczeje. Na kirkucie parę przewróconych macew, izba pamięci

w mieszkaniu tego Rotha, gdzie się dawniej Żydzi modlili. I nie przyjeżdżali. Ludzie się śmiali, że byłby tu pierwszy, któremu Żydzi dali na sobie zarobić. A dzisiaj proszę się przypatrzeć, ilu ludzi z tych wycieczek żyje.

Zapisał w notesie tę anegdotę.

– Czyli interesował się tematyką żydowską?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Studiował historię.

– Czy ostatnio zachowywał się inaczej? – spytał Bastian.

– Co to znaczy ostatnio? – jęknęła kobieta. – Co to znaczy inaczej? Nerwowy był już od dawna. Zły, opryskliwy. Niedobrze było, ale mnie już nie o siebie chodzi. Na Maćku się wyżywał. Gdzie on jest, ten Maciek? – Raptem rozejrzała się po pokoju. – Ja się o niego boję. Że jak pójdzie gdzieś, to nie wróci, jak Władek. Władka ojciec też tak chodził, tak mówili, włóczył się po polach nie wiadomo za czym. Niech pan powie, czy wierzy pan, że istnieje coś takiego jak przeznaczenie? Że chodzimy po śladach swoich ojców i nie ma od tego ucieczki?

Bastian pokręcił głową i nic nie powiedział, bo zaschło mu w ustach. Pomyślał, że musi stąd wyjść, że jest mu duszno w tym domu. Może Władysław Wężyk czuł tu to samo.

– Ja nawet bym z nim poszła na taką terapię, na ustawienia, ale w Dąbrowie nie było możliwości – dokończyła. – I on też nie chciał. Źle się pan czuje, panie Sebastianie?

– Nie, wszystko w porządku. – Bastian przesunął dłoń po spoconym czole. W ustach czuł słodki, mdlący smak ciasta. – Muszę już iść.

Wstał chwiejnie, wytarł ręce w spodnie.

– Ale przyjdzie pan jeszcze porozmawiać o moim mężu? – zapytała natarczywie Wężykowa.

Cofnął się, jakby spodziewał się, że kobieta złapie go za rękę, żeby go zatrzymać.

– Nikt nie chce ze mną rozmawiać o moim mężu. Nawet Maciek.

Wiolka siedziała na kanapie, popijając sok pomarańczowy. W kącie pokoju leżały porozrzucone zabawki, klocki i miśki. Na ekranie telewizora widać było okładkę płyty The Klezmatics, skoczna, klezmerska muzyka płynęła z głośników. Przez otwarte na taras drzwi sączyło się gorące powietrze. Wesołe kolory, kwiatki w doniczkach, dużo książek.

Kiedy umawiała się z polonistką, zdziwiła się, że kobieta zaprosiła ją do siebie. Potem pomyślała, że przecież i tak nie miałyby dokąd iść. Nieduży dom z katalogu, spory ogród, zapach szarlotki. Prawie zapomniała, w jakiej sprawie tu przyszła.

– Masz dzieci? – zapytała Wiolka, wskazując zabawki pod ścianą.

– Tak, synka – uśmiechnęła się nauczycielka. – Jest u moich rodziców.

– Fajny dom – pochwaliła Wiolka. Chciała być miła.

– Dzięki. – Dorota Seweryn założyła za ucho kosmyk włosów. – Wielu ludzi pyta, czemu stąd nie wyjechaliśmy.

Jakby czytała Wiolce w myślach. Dorota była wykształcona, znała języki. Co ona jeszcze robi na tej prowincji?

– Ale czy w dużym mieście z pensji dwojga nauczycieli, bo mąż uczy niemieckiego, moglibyśmy mieć taki dom? – ciągnęła Dorota. – A tutaj ziemia została po dziadkach, szwagier ma firmę budowlaną, więc pomógł się wybudować. I życie jest tańsze. Nigdy nie chciałam stąd wyjeżdżać. Tutaj wszystko jest prostsze. Muszę zostawić z kimś małego? Dwa domy dalej mieszka moja

mama. Żeby coś załatwić w mieście, nie trzeba stać w korkach. Do pracy jadę dziesięć minut. I popatrz na ten ogród!

Wiolka bez przekonania pokiwała głową. Zastanawiała się, czy Dorota Seweryn naprawdę tak myśli, czy się przed nią tłumaczy.

– Ale ty miałaś jakieś pytania. – Nauczycielka dołała jej soku.

– Tak. – Wiolka wyjęła notes. – Wspominałaś, że Wężyk interesował się synagogą i chciał z wami pracować, ale nic z tego nie wyszło. Możesz powiedzieć coś więcej?

– Pan Władek – zaczęła Dorota, a Wiolce zrobiło się głupio, że tak obcesowo potraktowała ofiarę morderstwa – był historykiem. To znaczy prawie, bo dyplomu nie miał. W historii naszego regionu są dwa tematy, którymi można się interesować: Żydzi albo rabacja. Nie dziwię się, że wybrał Żydów. Kiedy byłam dziewczynką, działał w harcerstwie. Chciał nawet kiedyś załatwić, żeby wpuścili nas razem z nim do bożnicy, ale nie zgodzili się ze względu na stan budynku. Opowiadał nam wtedy, że jak był dzieckiem, to sam tam wchodził i buszował.

– Czyli znałaś go całkiem nieźle! – podchwyciła Wiolka.

– Tylko przelotnie. – Dorota uniosła dłonie. – Nawet nie był moim drużynowym. Potem brał udział w różnych miejskich inicjatywach. Tak było z Ośrodkiem Spotkania Kultur, chciał tam działać jako wolontariusz. Ucieszyłam się, bo skoro studiował historię, to miał wiedzę, mógłby się przydać. Ale kierowniczka nie była zachwycona. W końcu odrzuciła jego aplikację, oficjalnie przez angielski.

– A nieoficjalnie?

Dorota uciekła spojrzeniem.

– Mówiła, że nie chce, żeby taki człowiek z nami pracował. Że już raz się na nim przejechali i ona nie pozwoli mu się tu wkreślić, o cokolwiek jej chodziło. Pan Władek w ogóle miał nie

najlepszą opinię. – Zamyśliła się. – Trochę pił. Potrafił być nieuprzejmy, miewał humory. Nie chciałabyś, żeby taka osoba oprowadzała wycieczki. Poza tym bywały różne... – szukała słowa – kontrowersje. Parę lat temu pracował w urzędzie miejskim, ale go wyrzucili. Miał firmę, ale splajtowała. Podobno urząd skarbowy o coś się przyczepił. Nie pytaj mnie o szczegóły, ja się na tym kompletnie nie znam.

Dorota sięgnęła po szklanę. Za oknem rozległo się wycie kosiarki do trawy.

– A możesz nas umówić z waszą kierowniczką, żebyśmy mogli zapytać, o co poszło? – Wiolka zobaczyła, że Dorota zaczęła się wiercić na kanapie.

– Jasne.

Wiolka się zastanowiła.

– Wiesz, tylko lepiej nie mów jej, o czym chcemy rozmawiać. Powiedz, że piszemy o Wężyku i zbieramy wspomnienia o nim. Okej?

Nauczycielka skinęła głową ze zrozumieniem.

– Mówiłaś, że były kontrowersje, że miał złą opinię. Co ty o nim myślałaś? Lubiałaś go? – podjęła Wiolka.

– Nie, raczej nie – odpowiedziała po namyśle Dorota.

– Dlaczego? – zapytała dziennikarka.

– Przez Maćka.

*

Bastian wyszedł przed bramkę i drżącymi palcami wygrzebał z paczki papierosa. Musiał odetchnąć, jakby wizyta w tym dusznym domu odebrała mu zdolność jasnego myślenia. Sąsiad z naprzeciwka mył na podwórku starego opla, na posesji obok bawiła się na trampolinie para dzieciaków. Bastian się uspokajał,

słuchając szumu wody i radosnych pokrzykiwań. Już miał ruszyć w drogę powrotną, gdy zobaczył, jak od strony miasteczka nadchodzi zgarbiona postać. Rozpoznał człowieka ze zdjęcia – wątle ramiona i włosy za uszy. Wrzucił niedopałek do rowu. Czekał.

– Pan Maciej Wężyk? – zapytał, stając pomiędzy nim a bramką. – Nazywam się Sebastian Strzygoń. Jestem dziennikarzem. Właśnie rozmawiałem z pana matką.

Błysk w oku chłopaka zdradził, że wie, z kim ma do czynienia.

– I co panu powiedziała? – rzucił. Głos miał cichy, bez wyrazu, jak cała jego postać.

– Nie za wiele. – Bastian pokręcił głową. – Chyba nie jest w najlepszym stanie.

– Dziwi to pana?

Bastian posłał mu przepaszający uśmiech. Młody Wężyk przestąpił z nogi na nogę.

– A pan? Zgodzi się pan pomówić ze mną o ojcu? – zaczął delikatnie Bastian.

– Nie. – Bezbarwny głos nagle zadźwięczał. Facet od opla podniósł głowę, dzieciaki przestały skakać. – Już mówiłem, nic nie widziałem, nic nie wiem. Nie chcę rozmawiać o ojcu.

Bastianowi znowu przed oczami stanęła twarz Janiny Wężyk. Nikt nie chce rozmawiać.

– Rozumiem, że pana relacje z ojcem były napięte – powiedział Bastian – ale jeżeli chcemy się dowiedzieć, co się dzieje w tym mieście...

– Nic panu do moich relacji z ojcem – warknął tamten i wcisnął ręce w kieszenie. – A jak chce się pan dowiedzieć, co się dzieje w tym mieście, to nie tędy droga.

– A którą?

– Powiedzieć panu coś o moim ojcu? – zapytał chłopak. Bastian nadstawił ucha. – Mój ojciec był pijakiem.

– To znaczy? – Dziennikarz za wszelką cenę nie chciał wypuścić go z rąk.

– To znaczy, że pił. – Maciek Wężyk precyzyjnie przycisnął się obok niego w bramce i wszedł na podwórko.

Bastian patrzył za nim, wydawało mu się, że zanim chłopak nacisnął kłamekę, zawahał się, przygarbił, jakby wejście do domu sprawiało mu trudność. W końcu zniknął za drzwiami. Nie obejrzał się.

– Do trzeciego pokolenia. – Leszek Bąk łyknął kawy. – Z kobitą sam gadałem, nic nie wie. Synuś też nie.

W pomieszczeniu socjalnym komendy powiatowej w Dąbrowie Tarnowskiej rozległ się dzwonek kuchenki mikrofalowej. Podkomisarz Mariusz Kaługa wyjął z mikrofalówki plastikowy pojemnik z zupą i opadł na krzesło.

– Taki sam udany jak tatuś, a może nawet jeszcze większa sierota – odpowiedział zażywny facet z drogowki. – Jak to Wężyki.

– Czyli to nie tylko moje wrażenie – zaśmiał się Bąk, ale oczy mu zabłyśły. – A tatuś co? Też sierota?

– Władek to był, jak to się teraz mówi, luzer. – Tamten wykonał widelcem nieokreślony gest. – Kręcił swoje biznesy i nic z nich nie wychodziło.

– A Wężyki? – pytał dalej Bąk. – Co z nimi nie tak?

– Nieudacznicy. Taka rodzina.

– Czyli jaka? – Bąk nie dawał za wygraną.

– Nie wiem, tak się mówiło, nawet jak byłem dzieckiem, bo ja też jestem z Olesna. Że z taką rodziną się nie gada. – Policjant

z drogówki podrapał się za uchem.

– Dlaczego?

– A bo ja wiem? – Rozłożył ręce. – Tu są tacy ludzie, że ktoś mógł się z kimś jeszcze przed wojną pokłócić o miedzę, więc do dzisiaj drą koty, chociaż sami nie wiedzą dlaczego.

Bąk postukał paznokciem w kubek. Do trzeciego pokolenia wstecz.

Wielicki uśmiechnął się do zgarbionego nad talerzem podkomisarza.

– Mariusz, a jak z tymi bazgrołami?

– Wysłali my próbki do labu do Krakowa, żeby sprawdzili, czy na bożnicy i na grobie była ta sama farba. – Kaługa otarł brodę. – I zabezpieczyli my monitoring z kilku miejsc na Rynku. Teraz będę musiał to wszystko obejrzeć.

– Wiesz, że to nie jest Netflix? – Wielicki klepnął Kaługę w plecy. – Sam to musisz oglądać? Nie nudzi ci się?

– Obiecałem, więc muszę. – Podkomisarz zmrużył oczy.

– Komu żeś obiecał? – zaśmiał się ten z drogówki.

– Społeczeństwu – mruknął Kaługa. – W telewizji.

– Przynajmniej popcorn sobie kup, żebyś miał przyjemniej. – Bąk przepił do niego kawą. – I żeby było mało – wrócił raptem do rozmowy z prokuratorką – to jeszcze nam kazała sprawdzić miejscowych pijaczków.

– To też da się uprzyjemnić. – Kaługa odsunął od siebie talerz. – Może wieczorem chodźmy na piwo, co? Poopowiadam wam, jak to tutaj wszystko wygląda. Wy nie jesteście stąd, przydam się wam. I mi się jak cholera tego bieda-Netflixa nie chce oglądać.

– Mariusz chce się zrehabilitować. – Policjant z drogówki

puścił do nich oko. – Szepnijcie prokuratorce przy najbliższej okazji dobre słowo o nim, że pomocny, to was ozłoci.

– Nie. – Kaługa zacisnął pięści. – Nic nie mówcie tej starej francy, w dupie ją mam. Po prostu chciałbym się przydać. Bo to Władek. Znajomy był.

Zdzisław Kogut, dopinając marynarkę, wyszedł z budynku. Nucił pod nosem, bo od obiadu dzieliło go tylko kilka minut drogi. Grzało popołudniowe słońce. Idąc w stronę parkingu, szukał kluczyków po kieszeniach spodni. Wreszcie wdusił przycisk pilota i zielona skoda octavia zaćwierkała przyjaźnie. Opadł na fotel kierowcy.

– Jezus! – krzyknął, gdy chrupnęła kłamka po drugiej stronie i na fotelu pasażera zmaterializował się dziennikarz. – Mało zem zawału nie dostał!

– Nie odbiera pan telefonów ode mnie, panie prokuratorze. – Bastian Strzygoń błysnął uśmiechem, prezentując dołączki. – Nie podrzuciłby mnie pan na Rudę?

Urzędnik ani myślał uruchamiać silnik. Patrzył spode łba, jak dziennikarz bawi się zapachowym wisiorkiem o aromacie lawendy, przyczepionym przy lusterku.

– Okej, może postąpiłem pochopnie z tym artykułem – powiedział Strzygoń. – Ale stało się i teraz, po tym napisie na synagodze i po gwieździe Dawida na grobie, nie może pan już odwlekać ujawnienia, co udało się ustalić w sprawie szkieletu z mojej posesji. Opinia publiczna się niecierpliwi. – Wskazał na zaparkowany nieopodal wóz transmisyjny.

Prokurator Kogut milczał, jego twarz nabiegała ciemną czerwienią od podbródka aż po czubki uszu.

– Ja nie mogę?! – sapnął wreszcie. – Najpierw żeś pan

narozrabiał, a teraz będziesz mi pan mówił, co ja mogę?!

– To nie tak. – Bastian podniósł ręce. – Uważam, że ujawnienie stanu wiedzy w tej sprawie mogłoby trochę uspokoić...

Zamilkł, słuchając samego siebie. Wiedział, że bredzi. Że tak naprawdę chodzi mu o to, żeby samemu się dowiedzieć. Spojrzał na minę prokuratora i wiedział już, że spieprzył to koncertowo.

– Uspokoić – wycedził urzędnik – to ja mogę pana za pomocą środków przewidzianych kodeksowo.

– Mogę zażądać wglądu w akta śledztwa w trybie dostępu do informacji publicznej – spróbował dziennikarz.

– Niech pan sobie najpierw przejrzy orzecznictwo NSA. – Prokurator wyszczerzył się pod wąsem. – I sprawdzi, czy akta postępowania przygotowawczego są objęte regulacjami o dostępie do informacji publicznej. Oszczędzi pan sobie mnóstwo czasu.

– Mogę też wystąpić o zgodę sądową. Stoi za mną wyższy interes publiczny.

– A panu się wydaje – przerwał mu prokurator – że ja siedzę na świeżutkiej opinii biegłych i gram panu na nosie z czystej złośliwości? Nie sądzi pan, że ja też chciałbym już ją mieć w ręce? Pan się orientuje, ile to trwa? Pan sobie zdaje sprawę, że ja też mieszkam w Dąbrowie i też suszą mi o to głowę przełożeni, rzeczniczka prasowa, rodzina i kumple przy grillu? Jeszcze pana mam znosić? Niechże się pan, do cholery, wynosi z mojego samochodu!

Dziennikarz patrzył za odjeżdżającą skodą z poczuciem, że się wygłupił. „Pan się orientuje, ile to trwa?”, brzmiało mu w uszach. Sięgnął po telefon. Wybrał numer starego znajomego z krakowskiej komendy wojewódzkiej.

– Proszę, proszę, pan redaktor – usłyszał jowialny głos komisarza Wiesława Rysia.

Po krótkich uprzejmościach pełnych aluzji do podhalańskiej sprawy, przy której się poznali, dziennikarz wyłożył policjantowi, co go spotkało.

– A ty mnie pytasz o czas przygotowania opinii czy o czas oczekiwania? – wtrącił w pewnym momencie policjant. – Bo biegle będzie pracował maksymalnie z tydzień, ale zanim się weźmie do pracy, minie z pół roku. W instytucie są naprawdę długie kolejki. Sądowe młyny mielą powoli.

Dziennikarzowi zadzwoniło w uszach. Pół roku?

– Ale czy ty nie masz za sobą potęgi czwartej władzy? – zapytał ze śmiechem komisarz. – Wykombinuj coś.

Potęga czwartej władzy. Bastian zaklął na parkingu prokuratury. Mógłby codziennie tworzyć pełne oburzenia na opieszałość organów publicznych wpisy, a i tak byle powiatowy prokuratorzyna będzie się czuł w prawie wywalać go na zbity pysk. Przez pół roku.

Trzeba ściągnąć posiłki. Znów podniósł telefon i wybrał numer.

– Dawcio? – rzucił radośnie. – No hej, stary. Słuchaj, głupio wyszło. Wszystko przez te nerwy. Zaczniemy od początku. Dalej chcesz skrócić setkę przy wykopie?

– Co się stało? – zapytała Anka.

– Nic – odpowiedział. Nóż zazgrzytał o marchewkę.

Anka pomyślała, że Gerard zaraz przekroi bambusową deskę na pół.

– Jak to nic? – Wydłubała z cukinii pełen pestek wodnisty środek. – Ojciec?

Gerard z impetem przesypał pokrojoną w talarki marchewkę do garnka i oparł czoło o front szafki.

– Mógłby nie mówić do mnie „chłopcze” przy ludziach – rzucił przez zęby. – Jak chce mnie zjechać, to niech to zrobi na osobności. W biurze wszyscy mają ubaw.

– Mam z nim pogadać?

– Nie. – Chwycił kolejną marchewkę, odgryzł kawałek i zmiażdżył zębami, po czym rzucił się na nią z nożem. – Mamie też kazałem się nie wtrącać.

Ruchy miał szybkie, zaciskał szczęki, pod opiętym podkoszulkiem zagrały mięśnie.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Podobno z wiekiem ludzie się upodabniają do swoich rodziców – mruknął. – Powiedz mi, że nigdy nie będę taki jak on.

– A czy ja się zachowuję jak moja matka? – Anka się uśmiechnęła.

– Nie. Jak twoja matka nie.

Czy nie mógłby choć raz powiedzieć jej tego, co ona chce usłyszeć? Wyjął z szafki talerze i postawił na blacie.

– Mogę to sprzątnąć? – spytał, wskazując walające się na stole papiery.

Zaczęła, jak nakazuje metodologia, od planu. Wypisała sobie, czego chciałaby się dowiedzieć i gdzie mogą się kryć odpowiedzi. Szukała informacji jak najbliżej źródła: i w czasie, i w przestrzeni, i w liczbie pośredników. Interesowały ją losy osób, które przeżyły likwidację getta w Dąbrowie, ale potem ślad się po nich urywał.

Wyszło na to, że musi zacząć od Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego, gdzie przechowywane są relacje ocalałych, i instytutu Yad Vashem. Okazało się, że to raptem

osiemnaście relacji – zmieściły się w aneksie do historycznego opracowania Jana Grabowskiego. Zabrała się do przeglądania tych strzępów ludzkiej pamięci, wynotowując najważniejsze rzeczy, rysując grafy, tabelki, powiązania między źródłami.

Potem rozbolała ją głowa i dla odmiany zajęła się referatem na konferencję z metodologii. Zaczęła od rozłożenia na stole wszystkich kserówek, slajdów i notatek, żeby nie dało się przejść obok nich bez wyrzutów sumienia. Gerard zebrał je w kupkę, wyrównując brzegi.

– Widzisz? – Roześmiała się. – Już się upodabniasz do Huberta z tym jego szmerglem na punkcie porządku.

Gerard miał minę, jakby wcale nie był pewien, czy to zabawne.

– Tamten Gert z piwnicy miałby gdzieś, że to tu leży – mówiła dalej ze śmiechem. – Tamten Gert...

Wyrzucił kartki w powietrze, szybowały przez ułamek sekundy, żeby opaść na stół, na podłogę, na kuchenkę, jedna nawet skończyła w zupie. Przyciągnął Ankę do siebie i pocałował, aż zakręciło jej się w głowie. Smakował marchewką i czymś metalicznym, a może to jej własna krew, bo znów ugryzł ją trochę za mocno. Uniósł ją jak piórko, oparł o lodówkę, uderzyła plecami o chłodny metal, straciła oddech.

– Ale zupa... – zaczęła, gdy uwolnił jej usta i wpił się wargami w jej szyję.

– Niech świat płonie. – Miał w oku ten wariacki błysk, gdy sunął palcami po jej bokach, krzesząc iskry, wyzwalając miliony elektrycznych ładunków gęsiej skórki, zostawiając na jej skórze różowe ślady po paznokciach.

Zanim zdarł z niej stanik, zdążyła wyciągnąć rękę i zgasić gaz pod garnkiem. Anarchia anarchią, ale byłoby głupio, gdyby to całe krzesanie iskier i podpalanie świata skończyło się

puszczeniem mieszkania z dymem.

W promieniach zachodzącego słońca reporter balansował nad krawędzią wykopu, ściskając w dłoni bezprzewodowy mikrofon. Przed nim cofał się kamerzysta, sobie tylko znanym sposobem unikając wpadnięcia do dziury. Bastian pomyślał, że pewnie podczas studiów operatorskich w Łodzi na wuefie uczą ich, jak chodzić tyłem z okiem przytkniętym do kilkukilogramowego balastu na ramieniu. Pachniało wilgotną ziemią. Dawid świdrował wzrokiem obiektyw, dramatycznie gestykulując wolną ręką.

– Antysemickie graffiti, tajemnicza śmierć. W tej małej podtarnowskiej miejscowości panuje szok i wzburzenie – mówił, akcentując każde słowo. – A w tym wszystkim niezidentyfikowane kości i spekulacje *Raportu Strzygonia*, że mogą one należeć do ofiary wojennych polowań na Żydów. Czy chociaż tę zagadkę można by rozwikłać, żeby ujawniając prawdę, ulżyć znękaney dąbrowskiej społeczności?

Zrobił teatralną pauzę. Bastian palił papierosa, obserwując go zza kadru. Może za wcześnie Dawcia spuścił. Zdolna bestia.

– Można by, gdyby nie procedury, za których sprawą, jak się dowiadujemy, ekspertyzy biegłych nie należy się spodziewać wcześniej niż za pół roku. Co się może wydarzyć do tego czasu? Czy tu, w Dąbrowie, dojdzie do eskalacji emocji? Jak zareaguje społeczność międzynarodowa, wyczulona na kwestię żydowską po feralnej nowelizacji ustawy o IPN? Może świat znowu nas zapyta, czy nie próbujemy czegoś przemilczeć?

Zatrzymał się, hipnotyzując wzrokiem kamerę. Bastian mógłby przysiąc, że Dawid puścił właśnie oko do polityków i speców od ich wizerunku, którzy będą oglądać wieczorne wydanie. Temat stanowił pole minowe. A Bastian rękami swojego ucznia właśnie

rzucał w nie kamieniami.

Wóz transmisyjny zniknął za zakrętem drogi i nad Rudę nadciągnął zmrok. Bastian siedział na brzegu wykopu. W palcach obracał złoty pierścionek.

– To już nie masz o czym pisać, synku? – Głos po drugiej stronie drżał.

Bastian ścisnął telefon, aż pociła mu się dłoń. Długo się zbierał do tej rozmowy.

– To jest litera *mem*, mammo. Hebrajska. Skąd dziadkowie mogli go mieć?

– Ja nie wiedziałam, że hebrajska. Nigdy się nie przyglądałam.

– Jak to? – zdziwił się. – Nie byłaś ciekawa? Przecież taki pierścionek to musiało być coś wyjątkowego w takim domu jak wasz. – Urwał i zaklął w duchu. – To znaczy, mam na myśli, że u was, wtedy, chyba nie nosiło się zbyt wiele biżuterii...

– Nie – odparła. – Nie było biżuterii u nas, w tym biednym, wiejskim domu.

Wymamrotał coś nieokreślonego o innych rzeczach, które są cenne, ale słowa wymykały mu się spod kontroli.

– Więc cię nie interesował? – wrócił w końcu do sedna.

– Nie chciałam się mieszać, to był Wery pierścionek, nie mój – ucięła.

– Mammo, ale przecież każda rodzinna pamiątka ma jakąś historię – próbował jeszcze. – Dziadek ani babcia niczego nie opowiadali? Nie ściemniali, że Święty Mikołaj zostawił go w kapuście?

– Sebciu – usłyszał westchnienie. Mówiła spokojnie, powoli i długo: – Tak, pierścionków u nas nikt nie nosił, ja go pierwszy raz zobaczyłam, jak Wera go założyła do ślubu. Nic nie wiedziałam, bo u nas się nie zasiadało przy kawie do rodzinnych

opowieści. Nie spędzało się czasu na rozmowach przy niedzielnym obiedzie, tak jak wtedy, gdy wy byliście mali, ty i Izunia. Pracowało się od rana do wieczora. Mój tato, jak poszedł o świcie do zwierząt, a potem siadał na rower i jechał na pociąg do zakładów w Niedomicach, tak przyjeżdżał po południu, robił w polu i do domu wracał po nocy, żeby było co jeść. A mama musiała ogarnąć gospodarstwo i nas. My szliśmy do szkoły, potem zadanie domowe, nauka i pomoc mamie. Jak sam powiedziałaś, to był biedny, wiejski dom. To nie tak jak dzisiaj, że można żyć z pisania bloga. Kto miałby siły i czas na to, żeby sobie siedzieć i wspominać? Nie rozmawiało się o takich rzeczach jak wojna. A ja to się urodziłam już dawno po wojnie. Boże mój, ale kości? Jak ty się musisz denerwować, dziecko! A Izunia nie przyjedzie? Jak ona się dopiero musi denerwować, biedna...

– Muszę kończyć, mamó. – Przełknął ślinę i się rozłączył.

Poświata zmierzchu gasła nad horyzontem. Rozkopana czeluść pod stopami Bastiana nie przypominała ani trochę Marsa z jego dzieciennych zabaw. Sadu, w którym zbierał wywracające podniebienie na lewą stronę papierówki, kwaśne jak ocet i słodkie jak miód. Nie czuł za plecami ciepła, drogi powrotnej nie oświetlała jasność z okien. Przypomniały mu się wymieniane nad stołem przez matkę i jej siostrę spojrzenia, na które nigdy nie zwracał uwagi. Szorstkie, sękate ręce starego człowieka.

Powiódł wzrokiem po podwórku, gdzie ostatnie czerwone poblaski zachodzącego słońca tańczyły na trawie. Przypomniało mu się świniobicie, krew na śniegu, który wciąż zalegał, choć było tuż przed Wielkanocą, ścieg małych czerwonych kropek prowadzący do stodoły. Kiedy już wolno mu było wejść, patrzył na rozplątane zwierzę, na dymiące wnętrzości, na krew w miednicy zebraną na kaszanke i salceson, na dziadka

w poplamionym fartuchu. Woń wierciła w nosie, odurzała. Nie podchodził za blisko, jakby zdjęty sakralnym lękiem, ale patrzył z fascynacją na to, co jeszcze przed godziną biegało po chlewiku, a teraz stało się już tylko wartościowym przedmiotem.

Zawsze był dumny z tego, że nie histeryzował, że nie robiło to na nim wrażenia. Że zamiast spazmować nad biedną świnką, z ciekawością przyglądał się wątrobie, zwojom jelit, sercu. Ale teraz, gdy zamknął oczy i pozwolił pamięci działać, kiedy uchylił w wyobraźni drzwi stodoły, zobaczył nie wiszącą na haku świnię, ale rodzinę Ślebodów zaszlachtowaną we własnym domu. Swastykę wymalowaną na ścianie krwią ofiar. Emocje, które szarpnęły go za żołądek, nie miały nic wspólnego z ciekawością czy fascynacją. Zapach krwi, który poczuł w nozdrzach, nie skojarzył mu się z kaszanką czy salcesonem, ale z poderżniętym gardłem nastolatki.

Co ty zrobiłeś, dziadku? – pomyślał i przez ciemność, po omacku, ruszył do domu.



ROZDZIAŁ 6

Bastian łyknął piwa i wyobraził sobie, że naprzeciwko niego siedzi ktokolwiek inny, byle nie Dawcio. Nie miał ochoty go oglądać, lecz w ten wieczór towarzystwo dawnego wychowanka, a dzisiaj medialnego przeciwnika, potraktował jak wybawienie.

– Myślałem, że to ty mi powiesz – Dawid siorbnął solidnie i oparł łokcie o stół – gdzie tutaj można iść na piwo. A nie że trafimy tu przypadkiem, po wyjściu z tej knajpy, co jest pod sztiblem, bo ją zamykali.

– Pod czym? – mruknął Bastian.

– Pod sztiblem. – Chłopak umościł się na krześle. – Piszesz o Żydach, to myślałem, że wiesz. Sztibl, miejsce modlitwy. W domu tego Rotha, ostatniego dąbrowskiego Żyda.

Bastian nie odpowiedział. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Bar był obskurny. Metalowe krzesła z siedziskami pokrytymi dermą, lepkie od rozlanego piwa stoły, telewizor w kącie, plansza do gry w rzutki. Za barem postawny facet o aparycji pirata na emeryturze z niewzruszoną miną polewał klientom. Knajpa dla lokalsów. W gruncie rzeczy tego potrzebował najbardziej.

– Sam mnie tego uczyłeś, Bastian – zaśmiał się Dawid. – Dowiedzieć się najpierw jak najwięcej, choćby z Wikipedii. A potem ruszać w teren.

Bastian uśmiechnął się kwaśno.

– Ale nie zawsze się tak da. – Dawcio pokiwał głową. – Wtedy

nam się zdawało, że wszystko dzieje się za szybko, ale to, co jest teraz... Chłopie, dopiero byś się zdziwił. Byłem chwilę w portalu, który oczekiwał trzech tekstów śledczych dziennie. Rozumiesz? Trzeba nadążać.

Bastian go nie słuchał, tylko wodził wzrokiem po ścianach. Kilku chłopaków grało w rzutki, w kącie siedziało trzech facetów, jednego skądś znał, chyba ze zdjęć Wiołki. Ktoś w telewizorze strzelił gola, mężczyźni podnieśli wzrok, nikt nie zaczął krzyczeć „hurra!”, nikt się nie ucieszył, nikt nawet nie wznosił toastu.

Miał wrażenie, że wszyscy się na nich gapią. Zastanawiał się, czyja gęba jest tu bardziej rozpoznawalna. Obawiał się, że nie jego. Dawcio perorował na cały głos, brakowało tylko, żeby zaczął wymachiwać mikrofonem z logo stacji.

Wreszcie reporter czknął, przeprosił i ruszył chwiejnie na tyły speluny, gdzie na drzwiach ktoś napisał markerem „WC”. Bastian przyglądał się znad kufła trzem mężczyznom siedzącym dwa stoliki dalej. Wreszcie skojarzył, skąd zna jednego z nich. To był ten dąbrowski policjant, który tak pięknie mówił do kamery o zobowiązaniach wobec społeczeństwa. Dwóch pozostałych, z którymi dzielił stolik, to też na sto procent gliniarze, i to jacyś lepsi. Nie chodziło o szerokie bary, karki czy czarne T-shirty. Jeden był w koszuli w kratę i nosił fryzurę z przedziałką, drugi miał kilkudniowy zarost i popielatą bluzę z kapturem. Demaskowało ich co innego. Głowa nieco za bardzo wciągnięta między napięte barki. Miejsca, które zajęli przy stoliku: obaj siedli w kącie, tyłem do ściany, żeby obserwować całą salę, w efekcie lokalny policjant miał resztę knajpy za plecami. I głosy. Słowa dąbrowskiego stróża prawa dziennikarz rozróżniał bez wysiłku, ale tamtych dwóch mówiło niemal bezgłośnie, ledwie otwierając usta, aż ich towarzysz musiał kilkakrotnie

prosić o powtórzenie. Bastian uśmiechnął się w głąb kufła. Każdy ma jakieś zboczenia zawodowe.

Skupił się. Umiejętność selektywnego słuchania w tłumie nazywa się efektem cocktail party. Nazwa za nic nie pasowała do tego miejsca. Ważne, że efekt działał i udało mu się wyłapać słowa gliniarza z Dąbrowy.

– ...te jego interesy. Wszyscy my się zastanawiali, skąd on bierze na to pieniądze.

Jeden z jego towarzyszy wymamrotał coś na granicy słyszalności.

– Co?

Tamten nachylił się i zaczął mamrotać dobitniej.

– Ludzie różne rzeczy gadali. Nawet, że on coś kiedyś znalazł, jakieś...

Gol. Znowu nie było okrzyków. Ale lekko podniesione głosy, komentujące piłkarskie wysiłki na ekranie, skutecznie zagłuszyły rozmowę.

– ...ale ja mam opinię, że pozadłużany był.

Mamrotanie.

– Co?

W mamrotaniu pojawiła się nutka irytacji.

– Raczej, że nie w banku. Są tu tacy różni. Ale za rękę nikt nigdy nikogo...

– Dżizas, jaki syf w tym kiblu! – Dawcio zniecka pojawił się przed Bastianem, tak że ten omal nie upuścił piwa. Chłopak poprawił rozporek i klapnął na krzesło. – Pijesz coś jeszcze?

Strzygoń pokręcił głową. Starając się zasłonić kuflem i wtopić w ścianę, patrzył, jak dąbrowski gliniarz odwraca się, dostrzega Dawida i mówi coś do tamtych, po czym wszyscy trzej podnoszą

się od stolika i odmaszerowują niczym kompania reprezentacyjna.

Prokurator Zdzisław Kogut ścisnął smartfona. Jego i tak czerwona zwykle twarz przybrała teraz barwę siniejącej purpury, jakby ktoś nagle zacisnął mu węzeł krawata.

– Tak, też oglądałem wieczorne wydanie – wycedził. – Pracujemy, materiał jest u biegłych. W zależności od ich oceny...

Przerwał. Słuchał chwilę.

– Przecież sam wydałeś dyspozycję, żeby słać do Krakowa – podniósł głos. Prokuratury chętnie zamawiały ekspertyzy w krakowskim instytucie ze względu na jego niekwestionowaną renomę. W dodatku nie ponosiły kosztów, bo jako jednostka budżetowa zlecenia prokuratur wykonywał bezpłatnie. A że robiły się kolejki? Trupom się nie spieszy.

Po drugiej stronie naczelnik Prokuratury Rejonowej w Dąbrowie Tarnowskiej zaczął mówić bardziej gorączkowo.

– Ależ oczywiście, że u prywatnego biegłego byłoby szybciej. – Kogut uśmiechnął się do telefonu. – A ty byś podpisał fakturę?

Przygryzł wąż.

– Zawsze są jakieś okoliczności. A ta góra, która tak cię ciśnie, nie mogłaby skontaktować się z Krakowem i poprzestawiać im priorytety?

Naczelnik prokuratury zadzwonił do niego pierwszy raz pięć minut po tym, jak odebrał telefon z biura prokuratora generalnego, ale prokurator Kogut po wyjściu z pracy zwykle wyłączał komórkę. Do naczelnika zatelefonowano pięć minut po emisji materiału z Dąbrowy, w którym reporter nad wykopem w sadzie Strzygonia robił to, co dziennikarze lubią najbardziej,

czyli zarzucał organom ścigania opieszałość.

Razem dziesięć minut. Trzeba przyznać Strzygoniowi, że jest pokurcz jeden, skuteczny. Prokurator Kogut uśmiechnął się szerzej.

– Oczywiście, że zrobię wszystko, żeby przyspieszyć bieg spraw – sapnął. – Ale ty też podziałaj, bardzo cię proszę. Aha? To wspaniale.

Odłożył smartfona i odchylił się na krześle. Młody asesor obserwował go z zazdrością wypisaną na twarzy.

– Szczęściarz – mruknął.

– A może ty chcesz medialną sprawę z wątkiem żydowskim i politycznymi naciskami z góry? Rzeczpospolita nie może w aktualnych okolicznościach, jak to ujął pan naczelnik, pozwolić sobie na jakiegokolwiek wątpliwości w sprawach, w których pojawia się choćby sugestia, że może chodzić o zbrodnie na Żydach. Głupi jestem, że sam na to nie wpadłem. – Zadowolony z siebie Kogut nagle zrobił się rozmowny. – Biedaczyny ciągle próbują z powrotem upchnąć do szafy tego trupa, zagrzebać pod ziemią nieszczęsną próbę nowelizacji ustawy o IPN, która miała penalizować przypisywanie narodowi polskiemu winy za hitlerowskie zbrodnie. Ale mleko się rozlało i teraz można się na nim nieźle poślizgnąć.

– No wiesz, intencje mieli dobre – obruszył się tamten. – Przecież chodziło tylko o karanie za sformułowania typu „polskie obozy śmierci”. Chociaż to i prawnie wątpliwe, i nie do wyegzekwowania za granicą.

– A w świat poszedł komunikat, że chcemy zamykać do więzień za cień przypuszczenia, że Polacy nie zasługują na całą puszcę drzewek w Yad Vashem – skonstatował Kogut. – Ja tam nie mam nic do starozakonnych, ale ci legendarni amerykańscy

Żydzi naprawdę muszą być skuteczni. – Zatarł dłonie. – Ich niewidzialne ręczki sięgają nawet do prokuratury w Dąbrowie Tarnowskiej. I właśnie załatwiły mi przyspieszenie śledztwa.

Anka rozłożyła się na kanapie z papierami. Gert zniknął rano, nie obudziła się, kiedy wychodził, musiało być naprawdę wcześnie. A teraz nie odbierał telefonu. Przebiegła wzrokiem swoje notatki. Na podstawie materiałów źródłowych i opracowań historyków stworzyła prowizoryczną mapę żydowskich losów. I czuła, że utknęła. Znowu sięgnęła po komórkę. Tym razem Gerard odebrał po kilku sygnałach.

– Coś ważnego?

– Nie, nic, chciałam ci się tylko pożalić, bo siedzę od rana w tych papierach i...

– Nie mogę teraz rozmawiać. – Rozłączył się.

Jest bardzo zajęty, wytłumaczyła sobie. Ona też nie odbiera, kiedy prowadzi wykład. A może on już wcale nie ma ochoty z nią rozmawiać. Teraz, kiedy zaangażował się bez reszty w to, co go fascynuje, może stracił zainteresowanie nią. Ale przecież wczoraj... Uśmiechnęła się do siebie.

Pewnie coś mu wypadło, a wrażenie zepsuł jego zero-jedynkowy interfejs. Nie pomogło jej to zatrzeć poczucia, że nie jest już nikomu potrzebna. Nawet Bastian świetnie sobie radzi, mając do dyspozycji Wiołkę.

Wzięła do ręki kartkę. Może jej miejsce jest tu, w świecie zadrukowanego papieru. Spróbowała się skupić.

Po ostatecznej likwidacji getta w Dąbrowie Żydzi mogli przeżyć tylko w ukryciu. Część z nich uciekła, innym już wcześniej udało się ukryć u miejscowych gospodarzy. Niektórzy próbowali żyć wśród Polaków, posługując się lewymi

dokumentami, czyli na tak zwanych aryjskich papierach, ale było to niezwykle niebezpieczne, szczególnie między swoimi. Pewną strategią był obóz pracy – w Mielcu, w Pustkowie, w Cyrance, gdzie w obozie Czekań zarządzanym przez firmę Bäumer und Lösch panowały jakoby znośne warunki. Ale obozy pracy zawsze likwidowano, a ich więźniowie kończyli w pociągach do fabryk zagłady. Zresztą, każda z tych strategii była skuteczna tylko do czasu.

Ci, którzy uciekli w pola czy w ostępy Belerytu i lasu duleckiego, cierpieli z powodu głodu, a zima stanowiła dla nich śmiertelne zagrożenie. Żeby przeżyć, musieli oduczyć się cywilizacji, niczym zwierzęta kopać jamy, jeść surowe pokarmy, nauczyć się być niewidzialnymi. Kradli żywność, co ściągało na nich gniew miejscowych. Łatwo ich było wytropić, więc często padali ofiarą nagonek. Ci, którzy zorganizowali się w rodzinne bunkry, przetrwali dłużej, ale znowu – do czasu.

Niektórzy opłacili się gospodarzom, nie zawsze jednak dobrze zainwestowali. Kiedy kończyły im się pieniądze albo kiedy gospodarze nie mogli już znieść strachu o własne bezpieczeństwo, Żydzi musieli opuszczać kryjówki i ruszali w tułaczkę po wsiach, przepędzani, przyjmowani na dzień, dwa. Często bez wiedzy chłopów ukrywali się w stodołach czy stogach siana. Czasem ginęli z ręki swoich gospodarzy, czasem razem z nimi z rąk Niemców, częściej wywlekani z kryjówek przez okupacyjnych żandarmów lub granatową policję, bo ktoś doniósł. Najwięcej szczęścia mieli ci nieliczni, którzy trafili do domów ludzi nieładających od nich pieniędzy, lecz kierujących się porywem serca. Jak bracia Abraham i Avigdor Weitowie, przechowani przez rodzeństwo Pagosów z Gruszowa.

Bywali tacy, którym udało się – nierozpoznanym – wyjechać na roboty do Niemiec albo ukryć wśród partyzantów. Ale to

pojedyncze przypadki.

Kim była kobieta z Bastianowego sadu? Czy ukrywała się u Świątków, ale coś poszło nie tak? Czy tułała się od gospodarza do gospodarza, czy chroniła się w lesie? Mogła nawet nie być z Dąbrowy. Mogła tu przyjść, klucząc od wsi do wsi. Mogła pochodzić z Tarnowa, z Krakowa, z Wiednia, skądkolwiek. Jak duch, pomyślała Anka.

Zadzwoił telefon.

– Przepraszam – powiedział Gerard. – Byłem na spotkaniu z klientem.

– To po co w ogóle odbierałeś?

– Myślałem, że coś się stało. Dzwoniłaś cztery razy, aż ojciec mnie kopął pod stołem. – Teraz to jej zrobiło się głupio. – Co tam?

– Ech, nic – westchnęła. – Chciałam się tylko pożalić, że siedzę od rana w tych historiach, przeczytałam, co miałam, i nie wiem, co dalej. To wszystko jest wstrząsające, ale nie przybliżyła mnie do odpowiedzi na pytanie, kim była ta kobieta.

– Nie możesz z kimś pogadać? – zapytał.

– Napisałam maila do ŻIH-u, rozpuściłam wici po znajomych na uczelni, czy ktoś nie zna tych naukowców z PAN-u, ale jak dotąd nic.

– Myślałem o kimś starym z Dąbrowy. Nie ma tam Bastian jakiejś praciotki albo prawujka?

Anka pacnęła się w czoło.

– Może i ma – odparła. – Ale czy oni będą chcieli rozmawiać?

– A próbowaliście?

– Nie.

– To spróbujcie.

Rozłączył się, jak to on. Bez żadnych czułości, bez pożegnania, bez „kocham cię, skarbie”, bez „tęsknię za tobą”, bez „do zobaczenia”. Inżynier, cholerka.

Może i bez czułości, ale za to z najprostszym pomysłem, na jaki nie wpadła.

Prokurator Judyta Franz przeglądała notatki, zapisane w zeszycie kolorowymi długopisami, które odpowiadały wiodącym wątkom śledztwa. Bąk i Wielicki skupili się na wątku gospodarczym, zielonym. Wątek rodzinny oznaczyła kolorem czerwonym – tutaj było więcej znaków zapytania niż odpowiedzi. I jeszcze wątek niebieski – żydowski. Tu nie miała kompletnie nic.

Ściągnęła usta, przykładając do nich czubek niebieskiego długopisu. Czy ten wątek w ogóle miał sens? Nie miałby, gdyby nie te napisy. Wyjęła z teczki zdjęcia. „Krew jego na was i na dzieci wasze” – duże, dokładne, jakby dziecinne kanciaste litery. Jak gdyby ktoś, kto to napisał, nie miał doświadczenia w malowaniu po ścianach i bardzo uważał, żeby nie zdradzić swojego charakteru pisma. To nie był spontaniczny akt agresji, wyraz wściekłości, a jego autor nie był wandalą. Musiał to przemyśleć, zaplanować i wykonać. Inaczej wyglądała gwiazda Dawida na grobie Wężyka. Tutaj zamaszyste linie zdradzały, że w grę wchodzi emocje.

Judyta Franz wstała z fotela i ruszyła korytarzem prokuratury rejonowej, ściskając w dłoni zdjęcia. Do pokoju asesora ledwie udało jej się wcisnąć. Na jednym z biurków stały talerze z ciastem, wazon z kwiatami i szklanki, w których musowało coś o słomkowym kolorze. Gwar ucichł i spojrzenia powędrowały w jej stronę. „Kto ją tu zapraszał?”, dobiegło jej uszu. Znajdowali się tu chyba wszyscy pracownicy prokuratury, łącznie

z sekretarkami i chłopakami z ochrony.

– Pani Judyto, świetnie, że pani przysłała, ciasta? – Niewysoka blondynka w okularach bez oprawek rzuciła się w jej stronę.

– Nie jem słodczy. – Franz się skrzywiła, widząc, że tamta już sięga po talerzyk. – Alkohol? – spytała, marszcząc brwi na widok szklanek.

– Nie, nie! – Asesorka zamachała rękami. – To taki szampan dla dzieci, właściwie gazowany soczek – zachichotała. – Imieniny, wie pani...

– Możemy porozmawiać chwilę o sprawie, którą pani prowadzi? – przerwała jej Franz i otworzyła drzwi zapraszającym gestem.

Kobiety wyszły na korytarz, zostawiając w pokoju osłupiałych gości. Na korytarzu było cicho, zza zamkniętych drzwi dochodził tylko stłumiony szum głosów.

– Napisy. – Judyta Franz pokazała zdjęcie gwiazdy Dawida na szubienicy. – Co udało się pani ustalić, pani asesor?

– Jeszcze nic, pan komisarz Kaługa pracuje intensywnie w kierunku artykułu dwieście osiemdziesiątego ósmego kk... – zaczęła kobieta.

– Pan komisarz Kaługa jest niekompetentny – prychnęła Judyta Franz. – Czy wiadomo, że napisy wykonała ta sama osoba?

– Ustalamy. Czekamy na wyniki z labu.

– Monitoring?

– Komisarz Kaługa sprawdza...

– Proszę mnie informować o postępach prac – ucięła Franz. – Nie muszę pani mówić, że to dochodzenie, jakkolwiek formalnie niedające się połączyć ze śledztwem w sprawie zabójstwa Władysława Wężyka, jest dla mnie niezwykle ważne.

– Oczywiście, dam znać. Proszę do nas dołączyć, chociaż na chwilę. – Kobieta wskazała na drzwi, za którymi ktoś głośno się śmiał. – Będzie mi bardzo miło.

– Muszę wracać do pracy. – Judyta Franz odwróciła się na pięcie i odeszła, stukając obcasami.

– Wszystkiego najlepszego – mruknęła asesorka i nacisnęła kłamkę.

– Mnie to nie pasuje, Bastian. Bo jeśli tak, to co by znaczyła ta gwiazda Dawida?

Siedzieli w czerwonym punto Wiolki. On głośno myślał, ona krytykowała. Ale miała sporo racji. Po tym, co dziennikarz podsłuchał wczoraj w rozmowie policjantów, przyszło mu do głowy, że może sprawa jest banalna. Miałoby to sens, gdyby nie gwiazda Dawida na grobie.

– O Wężyku wiemy tyle, że był nielubiany, trochę pił, miał kiepskie relacje z żoną i z synem, nie wychodziły mu interesy, mógł mieć długi, wyleciał z pracy w urzędzie miejskim i kiedyś czepiała się go skarbówka – podsumował Bastian.

– No i interesował się tym – dokończyła Wiolka, wskazując palcem na monumentalną bożnicę, pod którą zaparkowali. Byli umówieni z kierowniczką Ośrodka Spotkania Kultur.

Kobieta czekała na nich w obszernym przedsionku, przy kontuarze recepcji. Miała na sobie zielony żakiet i przywitała się, wskazując im ławkę przy ścianie. Sama przystawiła sobie krzesło.

– Dorotka mi mówiła, że państwo piszą o Władku Wężyku – zaczęła. – Mój Boże, straszna tragedia. Tylko obawiam się, że ja naprawdę niewiele potrafię o nim powiedzieć.

– Wiemy, że kiedyś państwo współpracowali –

podpowiedziała Wiolka.

– Owszem. – Kobieta się zająknęła. – Ale krótko, na etapie przygotowań do renowacji synagogi. Kiedy to było? W dwa tysiące dziewiątym roku. Pamiętam, bo mi się wtedy wnuk urodził. Władek pracował w urzędzie miejskim i z uwagi na jego doświadczenie w branży budowlanej oddelegowano go do tego projektu – oznajmiła, a oni pokiwali głowami.

– Jaki był?

– Sumienny, przedsiębiorczy. – Kierowniczką skierowała wzrok ku sklepieniu. – Proszę państwa, naprawdę nie łączyły nas szczególne relacje.

– Dowiedzieliśmy się od jego rodziny – skłamał Bastian, żeby chronić Dorotę Seweryn – że nie przyjęła go pani do ośrodka jako wolontariusza.

Jej twarz stężała.

– Miałam swoje powody, ale, wybaczcie państwo, nie będę o nich rozmawiać.

– Fascynowała go historia, wiedział mnóstwo o tej synagodze i dąbrowskich Żydach – drażyła Wiolka. – Byłby chyba dobrym przewodnikiem?

– Też mi to wtedy mówił, bo z jakiegoś powodu bardzo mu na tym zależało. Ale nie znał angielskiego i nie miał formalnego wykształcenia, nic nie mogłam zrobić.

– To ono jest wymagane? – zdziwił się Bastian. – Przecież pani Dorota też nie ma magisterium z historii.

– Proszę państwa – zachnęła się kobieta, szukając wzrokiem pomocy. Raptem znalazła. Nachyliła się do nich i zmieniła ton na konfidencjonalny: – Przecież on popijał.

– Tak? A nie chodziło o te same powody, przez które wyleciał wtedy z pracy w urzędzie miejskim? – zapytał niewinnie

dziennikarz.

– Proszę państwa, ja nie będę...

– Proszę pani, to może być ważne. Co wtedy zaszło? – przerwała jej Wiolka.

– Muszą państwo o to spytać w urzędzie – odparła, podnosząc się z krzesła. – To byłoby co najmniej niestosowne z mojej strony.

Pożegnała się i stukot jej obcasów poniósł się echem po synagodze.

– No to dupa – stwierdziła Wiolka, gdy wyszli przed budynek. – Dalej nic nie wiemy.

– Wiemy, że z uwagi na doświadczenie w branży budowlanej oddelegowano go do projektu w urzędzie miejskim – powiedział Bastian, naśladując głos kierowniczkę. Zapalił papierosa. – A przecież urząd miejski nie zajmował się mieszaniem cementu. Więc czym?

– Czekaj, oni mają historię tej renowacji opisaną na stronie internetowej. – Wiolka uruchomiła smartfona. – Zobacz, urząd występuje do ministerstwa i sejmiku o fundusze, potem kolejny wniosek o dofinansowanie. – Przewijała ekran. – Czyli ściągają pieniądze na ratowanie zabytku. W dwa tysiące dziewiątym roku występują o fundusze z unijnego programu operacyjnego.

– Fundusze unijne, tu w grę wchodzi gruba kasa. – Bastian zaglądał jej przez ramię.

– Trzeba by się dostać do dokumentacji projektu, a wcześniej do wszystkich wniosków do ministerstwa, przecież my przez rok tego nie przerobimy – jęknęła.

Na twarzy Bastiana pojawił się uśmiech z dołeczkami.

– Nie musimy kopać we wszystkim. Kierowniczka podała rok: dwa tysiące dziewiąty.

Wiolka powiodła palcem po ekranie smartfona.

– Umowa na wykonanie została zawarta w październiku dwa tysiące dziewiątego roku. Czyli możliwe, że Wężyk nie pracował przy pozyskiwaniu funduszy.

– Tylko przy ich wydawaniu – dokończył Bastian.

Leszek Bąk i Jacek Wielicki przecięli Rynek, lawirując tak, żeby trzymać się cienia. Gdy skręcili w Berka Joselewicza, nie było już ucieczki przed upałem. Policjanci milcząco rozdzielili między siebie role.

Ze sklepu spożywczego Frykas wyszła grupka nastolatków, wrywając sobie paczkę chipsów, za nimi kobieta z chlebem i facet o ogorzałej twarzy, który ścisnął w każdej dłoni po puszcze najtańszego piwa. Drugi, rozwalony na ławeczce przed sklepem, ożywił się na jego widok. Policjanci zaszli ich z dwóch stron. Ten na ławeczce zobaczył ich i zerwał się na równe nogi.

Wielicki pobiegł za nim, znikając w uliczce. Ogorzały przystanął, otwierając usta, ale Bąk już kładł mu dłoń na ramieniu.

– Usiądzie pan? – Wskazał mu ławeczkę z uśmiechem, któremu się nie odmawia. Menel usiadł grzecznie. – Co kolega taki nerwowy?

– Ma uczulenie – zachrypiał ogorzały. – Na psią sierść.

Jacek Wielicki wpadł w uliczkę. Przed nim było pusto, ale kątem oka zobaczył ruch w bramie, kiwające się drzwi, wirującą w powietrzu ulotkę. Mrok i chłód otumaniały go na chwilę, musiał zamrugać, żeby przyzwyczać oczy. Z podwórka wybiegł naburmuszony kocur i minął go wyniośle. Wielicki ruszył tam, skąd umknął kot. Stanął na szeroko rozstawionych nogach w podwórzu przed kubłami na śmieci.

– Wyłaż, dziadu – warknął. – Poważnie myślałeś, że mi uciekniesz?

Leszek Bąk obserwował faceta, który próbował okazywać nonszalancję – otworzył sobie piwo, beknął i rozparł się na ławce.

– Na co czekamy? – zapytał menel.

– Na pańskiego kolegę. – Bąk się uśmiechnął. – O, już idą.

Wielicki przyprowadził drugiego pijaka pod ramię. Pchnął go na ławeczkę. Tamten klapnął niezgrabnie, a Wielicki wytarł rękę w spodnie.

– Nie wygląda to dobrze – zatroskał się Bąk. – Są zgłoszenia, że panowie nagabują przechodniów.

– Ucieczka przed funkcjonariuszem – syknął Wielicki. – Stawianie oporu. Ty wiesz, co za to jest?

– Konsumpcja alkoholu w miejscu publicznym – ciągnął Bąk. – Trzeba będzie doprowadzić jak nic.

Mężczyźni spoglądali to na nich, to na siebie. Ogorzały powoli odstawił puszkę na chodnik.

– Żeby było jasne. – Wielicki nachylił się nad nimi, marszcząc nos. – Na razie wasze pijackie sprawy gównem nas obchodzą. Ale jak nie będziecie grzecznie odpowiadać na pytania, to zmienimy zdanie.

– Węzyk – podjął Bąk. – Znaliście go? Przychodził tu po alkohol?

– Wiedziało się, który to – zaczął z ociąganiem pijak. Jego kolega rozcierał bolące ramię. – Ale to biznesmen, panisko, tacy nie piją pod sklepem.

– A gdzie pił?

– A chuj go wie – prychnął ten drugi.

– U Bosmana, jak wszyscy. Czasem się go widziało, jak lazył do Tesco albo na BP, a potem wracał z browcem. – Ogorzały był bardziej rozmowny, więc Bąk skupił się na nim. – Wężykiem wracał. – Zaczął się śmiać, ale natychmiast przestał, gdy zauważył wzrok Wielickiego.

– A tego dnia, kiedy zginął, w piątek, widzieliście go?

– Nie. – Ten drugi porwał z chodnika puszkę piwa należącą do kolegi i otworzył. Piana poląła mu się po palcach.

– Czekaj, mozem go nawet widział, po drodze do Tesco, jak zwykle.

Wielicki z Bąkiem wymienili spojrzenia. To by się zgadzało: mógł pójść do Tesco, a potem dalej, drogą na Szczucin. Tam spotkała go śmierć.

– Pierdolisz – przerwał mu kompan. – To było dzień wcześniej. Nie pamiętasz, boś już był najebany po meczu.

– No, racja. – Pijak pokiwał głową. – To było dzień wcześniej. I najebany byłem, ale pamiętam, że potem widziałem tylko tego jego synalka, jak lazył do Tesco albo na BP, ale zaraz nam sklep zamykali i żeśmy se poszli.

Wielicki notował, rzucając groźne spojrzenia znad notesu. Bąk odwrócił się i popatrzył na synagogę.

– A to? – Wskazał ręką na świeżo zamalowany napis na murze bożnicy. Czerwone litery wciąż prześwitywały przez warstwy białej farby. – Kto to zrobił?

Menel dopił i zgniótł puszkę.

– A pewnie jakiś gówniarz.

– Oczywiście, że tak – rzucił Bastian do telefonu, zaskoczony, że wcześniej nie przyszło mu to do głowy. – Tylko musiałbym popytać ciotki albo wujka, kto z nich jeszcze żyje.

Przecież ich pamiętał, rodzeństwo dziadka i babci. Bywali na rodzinnych imprezach, ślubach, chrzcinach i pogrzebach, najpierw dawali mu miętowe cukierki, a potem razem z resztą rodziny zadawali żenujące pytania: czy ma już dziewczynę, kiedy się żeni, czy zostanie lekarzem. Trudno powiedzieć, co było gorsze – cukierki czy pytania.

Nie miał pojęcia, co się z nimi stało. Podskakując na kolejnym wyboju, pomyślał też, że musi się pilnie spotkać z ciotką Wera i kuzynem Bogdanem. Z ciotką, żeby porozmawiać o rodzinie. Z kuzynem, żeby się pogodzić. Potrzebował od tego rodzinnego samochodziarza czegośkolwiek, co nie będzie rozklekotanym punto. Z Wiolką za kierownicą.

– A co u was? – zapytała Anka.

– Nic ciekawego. – Bastian dostrzegł, że Wiolka się skrzywiła. – Coś śmierdzi w historii Wężyka. Coś z unijnymi pieniędzmi na renowację synagogi. Obiecujące, ale w takim wypadku zabójca nie malowałby mu gwiazdy Dawida na grobie, bo to tak, jakby się podpisał. Chyba że z jakiegoś powodu chciał wskazać paluchem, czemu zabił, ale to absurdalne. Albo to nie zabójca namalował. Nie wiem, cholera, od czapy ta gwiazda.

– A może było inaczej? – zaczęła Anka. – W dyskursie antysemitycznym dochodzi do utożsamienia Żyda z wrogiem. To działa w obie strony. Żyd jest wrogiem z definicji, a wróg z definicji staje się Żydem. Może to akt agresji symbolicznej, naznaczenie wroga jako Żyda, upokorzenie przez atak na jego symbole? Wtedy nasz sprawca byłby antysemitą, ale nie miałyby to związku z motywem samego zabójstwa.

– A ten napis na synagodze? To jest wymierzone wprost w Żydów, a nie w Wężyka – zauważył Bastian.

– Masz rację, bez sensu. – W głosie Anki znowu zabrzmiała

rezygnacja. – Nie potrzebujesz mnie tam, na miejscu?

– Nie – rzucił. – Dam znać jakby co.

Rozłączył się i syknął, gdy przy hamowaniu przed czerwonym światłem poleciał bezwładnie do przodu.

– Przyjedzie? – zapytała Wiolka.

Bastian pokręcił głową, bo stracił oddech, przyduszony przez pas bezpieczeństwa.

– I bardzo dobrze – mruknęła.

Maciej Wężyk oparł się o balustradę schodów. Bąk z Wielickim woleli nie wchodzić do środka, żeby nie denerwować Wężykowej, która sprawiała wrażenie, jakby w każdej chwili mogła ich uwięzić w nieskładnym monologu.

– Tak, poszedłem go wtedy szukać, mówiłem już, matka mi kazała – powiedział chłopak. – Najpierw do Tesco, ale go nie było, ani na hali, ani pod sklepem. Potem nad Breńkę i na ławeczki pod kościołem. Tam jest ładnie, lubił tam siedzieć.

– U Bosmana pan sprawdzał? – zapytał Bąk.

– Tak, zaglądnąłem, ale go nie było, to poszedłem.

Władysław Wężyk wyszedł z domu wieczorem, około dziewiętnastej trzydzieści. Od tamtej pory nikt go nie widział. Ani widu, ani słyhu, kogokolwiek by zapytali.

– Długo pan szukał? – rzucił Wielicki.

– A ja wiem, czy długo. – Młody Wężyk wydał wargi. – O dziesiątej już byłem w łóżku, matka może potwierdzić.

Wielicki notował, gdy wzdłuż porośniętego dzikim winem ogrodzenia powoli przejechało czarne nisko zawieszona bmw. Już miało się zatrzymać przed bramką, ale odjechało z wyciem silnika.

– Kto to? – zapytał, wskazując głową na odjeżdżający samochód.

– A bo ja wiem – odpowiedział chłopak.

– Wystraszyliśmy jakiegoś ptaszka? – zapytał Bąk, gdy wsiadali do auta.

– Sępa. – Wielicki trzasnął drzwiczkami i zapiął pas.

Gdy się obejrzał, zobaczył, że Maciej Wężyk wciąż stoi przed drzwiami.

*

W Referacie Inwestycji i Zamówień Publicznych urzędu miejskiego wszyscy byli bardzo uprzejmi i chociaż Bastian z Wiolką, spodziewając się dyskusji, przygotowali sobie amunicję z argumentów o ustawowej jawności zamówień publicznych, okazało się to zbędne. Segregatory przyniósł im czterdziestoletni urzędnik w sportowej marynarce.

– My naprawdę jesteśmy z tej renowacji bardzo dumni – powiedział. – A państwo z *Raportu Strzygonia*, tak? Czytam was. Ale część ludzi w Dąbrowie ma żal za to, coście napisali.

– Pan nie wygląda, jakby miał pan żal – uśmiechnął się Bastian.

– No bo mnie to nie dotyczy – odparł tamten swobodnie. – Trzeba mówić o trudnych sprawach. W bożnicy też mogą państwo przeczytać, że historia była trudna, ale przecież zdarzali się i dobrzy ludzie. My tu naprawdę niczego nie ukrywamy – dodał i poklepał skoroszyty. – Zresztą to było dawno. O przyszłości trzeba myśleć. A mogę zapytać, czego państwo szukają?

– Badamy pewien wątek – uciął Bastian. – Niezwiązany bezpośrednio z ośrodkiem, to znaczy z synagogą. – Otworzył

zamaszyście pierwszy segregator.

– Dobrze, gdyby mnie państwo potrzebowali, to ja tam siedzę.

Zbliżała się godzina zamknięcia urzędu, pracownicy co jakiś czas kręcili się koło nich pozornie bez celu. Dziennikarze zrobili telefonami setki zdjęć papierów, bolały ich oczy i mieli wrażenie, że tracą czas, bo do tej roboty trzeba by co najmniej działu ekonomicznego dużej redakcji i miesiąca pracy. W papierach wszystko wyglądało idealnie. Żadnych anulowanych przetargów, żadnych machinacji przy specyfikacji. I ani śladu podpisu albo nazwiska Władysława Wężyka.

Jeśli rzeczywiście pracował przy renowacji synagogi, to najwyżej przy wkładaniu papierów do koszulek.

– Musimy zamykać – odezwał się przeprasząco urzędnik w sportowej marynarce. – I jak tam państwa wątek?

Bastian popatrzył na niego tak, że mężczyzna szybko przeniósł wzrok na Wiołkę.

– Czy mogę tu wrócić jutro? – zapytała, a Bastian odwrócił się do niej i ze zdziwienia otworzył usta.

Anka wypiła łyk kawy. Na stoliku rozłożyła swoje papiery, które teraz zawsze miała pod ręką, jakby odpowiedź na czające się w nich pytanie mogła ją zaskoczyć w najmniej oczekiwanym momencie.

– Jak dobrze panią widzieć! – Krzesło zgrzytnęło. Anka od razu wiedziała, z kim ma do czynienia: sukienka w czerwone róże nie pozostawiała cienia wątpliwości. – Przepraszam za spóźnienie, ale widzę, że pani nie próżnuje – szczebiotała Róża Wiśniewska, sadowiąc się za stolikiem. – Pracuje pani nad czymś? – Wzięła do ręki jeden z wydruków. – Jakaś kolejna straszna historia?

Anka bąknęła „dzień dobry”, zaczerwieniła się i zaczęła zbierać swoje notatki. Nie, to nie jest jakaś kolejna straszna historia.

Wiśniewska zamówiła kawę i zaczęła opowiadać o awarii klimatyzacji w pendolinie, o chamskim taksówkarzu, o korkach. Anka słuchała jej, uśmiechając się nerwowo.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedziała wreszcie dziennikarka, sięgając po notatnik. Popatrzyła Ance w oczy, ta cofnęła się instynktownie, wcisnęła plecy w oparcie krzesła i zastygła w oczekiwaniu. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani to robi.

– Co robię? – Anka zdziwiona uniosła brwi.

– Angażuje się pani w kryminalne śledztwa. Jest pani naukowcem, wykłada pani i prowadzi badania. I nagle decyduje się pani na taki krok. Coś musi za tym stać.

– To wcale się nie wyklucza – zaczęła Anka po namyśle. – Dla naukowca, tak jak dla śledczego, liczy się przede wszystkim prawda. Jest ona wartością samą w sobie, a w przypadku śledztwa dochodzi jeszcze kwestia sprawiedliwości. Śledczy, podobnie jak naukowiec, pragnie uporządkować świat, zaburzony przez zbrodnię. Jeżeli ja, interpretując pojawiające się w jej otoczeniu konteksty kulturowe czy społeczne, mogę się przydać w dojściu do prawdy, to moim obowiązkiem jest...

– Jasne. – Róża Wiśniewska wydawała się niezadowolona. – Ale nie każdy naukowiec bierze się do szukania morderców. Dlaczego pani? Co chce pani udowodnić? Że to, co pani robi, jest ważne? – Zawiesiła głos, a Anka gwałtownie wciągnęła powietrze. – Czego pani szuka? Mocnych wrażeń?

– Moje intencje są czyste. – Anka wyciągnęła przed siebie rękę. – Pierwsze dochodzenie, w którym brałam udział, wzięło się z przypadku. Potem już proszono mnie o pomoc. Moim

obowiązkiem jako naukowca było zaangażować się nie tylko w odkrycie prawdy, ale i w wytłumaczenie jej społeczeństwu. Stąd nasza książka, *Pionek*. I udział w medialnych projektach Sebastiana Strzygonia. – Miała dziwne wrażenie, nazywając projektami sprawy, które za każdym razem omal nie kosztowały jej życia.

– A nie czuje się pani trochę hieną cmentarną? – zapytała Róża Wiśniewska, obserwując reakcję rozmówczynie. – Lansuje się pani na ludzkiej tragedii.

– Tu nie chodzi o mnie. – Anka skubała brzeg serwetki, czubki jej uszu płonęły. – To jak wewnętrzny przymus, żeby coś wyjaśnić. Dojść do prawdy...

– Prawda, prawda. – Wiśniewska machnęła dłonią. – Wielkie słowa. A ludzie? Co w tym wszystkim znaczą dla pani ludzie?

Anka popatrzyła w głąb filiżanki i przed oczami stanęła jej twarz Babońki z figlarnym błyskiem w oku, w którym gdzieś głęboko czał się smutek. Wylęknione spojrzenie Normana Pionka, Wampira z Szombierek, na przekór jego wyszczerzonym w złowrogim uśmiechu zębom. Nieobecny wzrok Reginy, chłód jej domu na skraju rromskiej osady. Musnęła palcami ekran smartfona. Wyświetlił zegar na tle zdjęcia z pierwszej wspólnej motocyklowej wycieczki: Anka na czerwonym suzuki i Gert z czarną yamahą, który uśmiechał się nie kącikiem ust, ale szeroko, jakby pogodził się już z blizną na swojej twarzy, pamiątką po tamtej śląskiej historii.

– Ludzie są najważniejsi – szepnęła.

Dziennikarka się skrzywiła.

– To nad czym pani teraz pracuje? – zapytała Róża Wiśniewska bardziej oschle.

– Obawiam się, że nie mogę powiedzieć. – Anka zapragnęła

jak najszybciej wrócić do domu i zabrać się do referatu z metodologii badań społecznych. Wydało jej się to nagle najbardziej fascynującym zajęciem na ziemi.

– Wyłącznie dla *Raportu Strzygonia*? – Dziennikarka założyła ręce na piersi. – Wszyscy wiedzą, że on teraz pisze o Żydach. Wyeksploatowany temat, więc nie wiem, co by pani musiała tam wygrzebać, żeby to było warte tej tajemnicy.

W jej tonie Anka usłyszała drwinę.

– Muszę już iść. – Zaczęła się pakować. Papiery, które wcześniej wcisnęła do torby, wypadły na podłogę. Niezgrabnie schyliła się, żeby je pozbierać.

Róża Wiśniewska obserwowała ją z nieprzeniknionym uśmiechem.

– Proszę pozdrowić prawdę – rzuciła za nią, gdy Anka odeszła od stolika.

Chciała coś odpowiedzieć, ale nie wiedziała co.

Bastian poprawił się na barowym stołku. Pomyślał, że to, co robi, jest żałosne. Obok niego kiwał się facet, siorbiąc tyskie na jego koszt.

– Drużynowy... Tak, pamiętam. Nasz Pan Samochodzik – zabełkotał.

– Mówili, że interesował się synagogą – podsunął Bastian.

– No coś tam się interesował. Nawet się śmialiśmy z chłopakami, czego on tam szuka. Skarbu? Żydowskiego złota?

– I czego szukał? – ponaglił Bastian, bo gość zawiesił się nad kuflem i ani myślał kontynuować.

– A bo ja wiem?

Żałosne, powtórzył w myślach Bastian. Wiolka poszła na

ploteczki ze swoją nową przyjaciółką z Ośrodka Spotkania Kultur, Dawcio wyjechał gdzieś, gdzie właśnie działa się historia, a on nie wiedział, co ze sobą zrobić. Skończył w barze dla lokalsów, próbując wypytywać miejscowych o Wężyka, jak w jakimś tanim kryminale.

– Wyjebali go w końcu z harcerstwa i się skończyło.

– Dlaczego? – Bastian nadstawił ucha. – Lubił małe dziewczynki? Albo chłopców? Za dużo pił?

– Pić to tam wszyscy piją. – Typ beknął. – Jakiś szwindel z kasą zrobił na obozie, lewe rachunki, faktury, nie wiem.

Dopił piwo, bąknął coś pomiędzy „dzięki” a „sorry” i chwiejnym krokiem oddryfował do kibla. Bastian był przekonany, że na stołek obok niego już nie wróci. Pochwyił spojrzenie barmana – mężczyzna krążył za barem z obojętnym wyrazem twarzy wszystkich barmanów, którzy nie widzą nic, a widzą wszystko, którym można powiedzieć wszystko, a którzy nigdy nic nie słyszeli.

– Jeszcze jedno – mruknął dziennikarz. Facet za kontuarem bez słowa przyniósł mu piwo i postawił na podkładce. – Znałeś go?

– Kogo?

– Wężyka. Bywał tu. Musiał cię znać.

– Wszyscy miejscowi pijacy mnie znają – powiedział beznamyślnie barman. – Co nie znaczy, że ja ich wszystkich znam.

– Co mógłbyś o nim powiedzieć?

– Często pił na kreskę – odparł i zabrał kufel Bastianowego rozmówcy.

Dziennikarz pomyślał, że wyciągnięcie czegoś z barmana jest prawie tak samo trudne jak namówienie księdza do złamania

tajemnicy spowiedzi. Zrezygnowany, pociągnął łyk. Wężyk miał lepkie ręce i pieniądze się go nie trzymały. Też odkrycie.

– A Żydzi? – zapytał Bastian.

– Co Żydzi? – Barman popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Czy Wężyk miał coś wspólnego z Żydami?

– A skąd mam wiedzieć? – Facet przetarł ścierką bar. – Żydzi. Kogo to w ogóle obchodzi? Dajcie spokój z tymi Żydami, już nie macie o czym pisać.

Bastian skulił się nad kuflem. Dwa do zera. Nie zdążył się zdołować, kiedy klepięcie w plecy wypchnęło mu powietrze z płuc. Poczul na karku czyjaś dłoń. Przeszło mu przez myśl, że tylko jedna grupa zawodowa ma tak ciężkie ręce.

– Przepraszam, że tak bezpośrednio, ale takie miejsca zbliżają ludzi. – Postawny mężczyzna w koszulce polo błysnął uśmiechem. – Ja wiem, kim pan jest, panie Strzygoń. Ma pan może papierosa?

Bastian sięgnął do kieszeni po paczkę, tamten poczęstował się i wsunął papierosa w usta. Napotkał karcący wzrok barmana i westchnął z rezygnacją.

– Wyjdzie pan ze mną?

Bastian poszedł za nim na tyły knajpy i dalej, przez zaplecze na podwórko. Śmierdziało smażeniną z wentylatora i śmieciami z kubła, w którym buszował wyliniały kot. Spłoszony uciekł na dach garażu, w ciszy poniosło się dudnienie łap o blachę falistą. W kącie piętrzyły się kartony, skrzynki na butelki. W klepisko wdeptane były pety i kapsle.

– Mariusz Kaługa, jestem z policji – przedstawił się mężczyzna i podał Bastianowi ogień. – Desperacja, co? Wypytywać w knajpie o człowieka.

Bastian tylko chrząknął.

– Spoko, my też tak czasem robimy – zaśmiał się policjant i zaciągnął głęboko.

– Nie prowadzi pan sprawy Wężyka? – zapytał Bastian. Wcale nie po to, żeby się zemścić, pomyślał.

– Nie. – Kaługa długo wydmuchiwał dym. – Ale to ja żem go znalazł. To znaczy ja miałem wtedy dyżur. Teraz sprawę prowadzi wojewódzka. Może to i lepiej. – Bastian żałował, że nie widzi dobrze jego wyrazu twarzy. – Chciałem coś panu powiedzieć, bo pan jesteś chłop stąd i dobrze panu życzę. Zostaw pan tę sprawę fachowcom. Już wystarczająco żeście namieszali, wy, dziennikarze. Pan i ten pana pomagier z kamerą – prychnął, a Bastian spuścił wzrok. – Wam się wydaje, że to jest ciekawe. Skarby, Żydzi, tajemnice. Ja nie wiem, co się tam stało. Jak znam życie, to będzie bardzo nieciekawa historia, taka jakich tysiące w kraju. Zwykła ludzka tragedia, nudna i banalna. To już se pan pisz o tych Żydach, jak nie masz pan o czym. Ale nie rób pan sensacji z ludzkiej tragedii.

– Ludzie mają prawo wiedzieć – bąknął Bastian.

– Wiedzieć to mają prawo jego żona i syn. – Kaługa cisnął niedopałek w pył podwórka. – Zrobisz pan, co pan zechcesz. A to na wszelki wypadek, jakbyś pan potrzebował pomocy. – Podał Bastianowi wizytówkę z numerem telefonu. – I nie jestem pana źródłem.

Odwrócił się i zniknął w drzwiach knajpy. Kot wrócił, wygrzebał sobie coś ze śmietnika i pałaszował zapamiętałe. Bastian popatrzył w niebo, na którym zapaliła się Droga Mleczna. Gdzieś tam musiała być jego szczęśliwa gwiazda. Uśmiechnął się do siebie.

To nie był stracony wieczór.



ROZDZIAŁ 7

– Ciocia Janeczka... – zaczęła ciotka Wera, mieszając herbatę.

– Dziesięć lat temu Pan uwolnił ją od ciężkiej choroby, a nas od jej ciętego języka – dokończył wuj Marian.

Bastian skreślił jej imię. Wiolka z samego rana pojechała do urzędu miejskiego, a on umówił się z rodziną. W domu ciotki Wery niewiele się zmieniło. Te same meble w kuchni, te same marmurkowe płytki, ten sam imbryk do herbaty i puszka z ciastkami. Na blacie pojawiły się tylko kuchenka mikrofalowa i mały telewizor LCD, który zastąpił gdaczące przez cały dzień radio. W kuchni pachniało plackiem drożdżowym i kawą. To też się nie zmieniło, placek był tak samo obłądny jak kiedyś.

Ciotka, ubrana w luźną letnią sukienkę odsłaniającą pomarszczone ramiona, wachlowała się programem telewizyjnym. Wuj Marian opierał dłonie na gałce laski. Koszulę z krótkimi rękawami miał zapiętą pod szyję, w oku figlarny błysk. W sposobie, jaki trzymali głowy, było coś podobnego, coś, co Bastianowi przypominało dziadka. Musi sprawdzić, czy on też tak robi.

– Wuj Łukasz. – Ciotka Wera oblizwała łyżeczkę.

– Ze dwadzieścia lat będzie, odkąd porzucił nas dla swojej ukochanej – wuj Marian chrząknął – ziemi. To był niezrównany rolnik, jakby zobaczył, jak dzieci i wnuki podzieliły i posprzedawały jego dziedzictwo, toby mu serce pękło. Cóż, i tak pękło, więc może to żadna różnica.

Bastian skreślił.

– Ciotka Helenka.

– Pan jej w dzieciach wynagrodził męża pijaka, szkoda, że połowa z tych dzieci też pije. Nie dziwota, że się zamartwiła na śmierć. – Wuj Marian wzniosł oczy ku sufitowi.

– Ciocia Wiesia! – ożywiła się ciotka Wera.

– Najlepszy przykład na to, że praca i modlitwa konserwują lepiej niż alkohol i papierosy. – Wuj Marian dźgnął palcem powietrze. – Jedyne znany mi przykład – dodał w zamyśleniu.

– Ciocia Wiesia żyje? – Bastian podniósł głowę znad notesu.

Pamiętał najmłodszą siostrę babci, cichą kobietę o mysich, ciasno zaplecionych w warkoczyk włosach. Spotkał ją może kilka razy w życiu, ale zapadło mu w pamięć jej żywe spojrzenie.

– W czasie wojny była dziewczynką – wyjaśniła ciotka Wera. – Ale może powie ci więcej, niż nam powiedzieli rodzice. Zadzwonię do Krysi, jej córki, i cię umówię. Tylko obchodź się z nią ostrożnie.

– I jakbyś wyciągnął od niej sekret długowieczności, to pamiętaj o mnie. – Wuj Marian puścił do niego oko.

Bastian przeliczył, ile lat musiałaby mieć siostra jego babci, żeby zapamiętać coś z tamtych czasów. Wyszło mu dziewięćdziesiąt. Miało to sens.

– Ciocia Wiesia jest ostatnia z ich pokolenia – powiedziała, wzdychając, ciotka Wera. – A z naszego już też odchodzą.

– Niedługo nikt nie będzie pamiętał. – Wuj Marian spoważniał. – Spiesz się, chłopcze, bo niedługo wszyscy będą nadawać morsem przez talerzyk.

Na podwórku Bastian wreszcie zauważył zmiany. Zniknęły chlewiki, obora, zagroda dla kur, pozostałości po zabudowaniach gospodarstwa teściów ciotki Wery. W rogu obejścia stał za to

potężny garaż. Świeżo skoszony trawnik pachniał sianem, pod starym orzechem stał stolik ogrodowy i ratanowe fotele. Dziś była to przestrzeń odpoczynku i przyjemności, a nie pracy i codziennego znoju.

Dalej, za ogrodzeniem, znajdował się warsztat samochodowy Bogdana. Kuzyn szedł do Bastiana, machając całkiem przyjaźnie.

Bastian odruchowo napiął mięśnie. W dzieciństwie często się przepychali, szarpali, tarzali po ziemi. Zwykle chodziło o przydział drożdżówek, które piekła babcia. Dostawali potem burę, a Bogdan jeszcze czasem obrywał kuchenną szmatą. Kuzyn regularnie zabierał mu jego porcję. Bastian myślał wtedy mściwie, że w Krakowie ma słodyczy do woli: żelki, mieszankę krakowską, czekoladki z Wawelu. Nie musi się zabijać o jakieś durne bułki z marmoladą. Dziś oddałby wszystkie alkohole świata za jedną babciną drożdżówkę.

– Jesteśmy kwita, co nie? – przywitał się kuzyn, obserwując twarz Bastiana. Sam miał jeszcze trochę spuchniętą szczękę.

– Powiedzmy – uśmiechnął się dziennikarz.

– Zareagowałem, jak to się mówi, żywiołowo. – Bogdan włożył ręce do kieszeni.

– Ja też. – Bastian patrzył gdzieś ponad jego ramieniem. – Nie gadajmy już o tym. Myślałeś o aucie dla mnie?

Przeszli na posesję Bogdana. Z wnętrza warsztatu dochodziły dźwięki stukania i wycie narzędzi. Zapachniało smarem i olejem silnikowym. Na podwórku czekały dwa samochody – skoda octavia i wysłużone zielone seicento.

– Coś się znajdzie, tylko musisz mi powiedzieć, czego potrzebujesz.

– Może być małe i obciachowe, byle było tanie – mruknął Bastian.

– Może to? – Bogdan wskazał na seicento.

Samochód miał najbrzydszy kolor świata. Ni to wypłowiwała zieleń, ni to pistacja. Na przyklejonej do szyby kartce wydrukowana była cena. Bastian przeczytał i auto przestało mu się aż tak bardzo nie podobać.

– Jeździ? – zapytał.

– Samochód klasy WRC: warczy, ryczy, ale ciągnie – zaśmiał się Bogdan. – Daj nam dzień, dwa.

Bastian kopnął lekko felgę. Auto wydało głuchy dźwięk, jakby miało się za chwilę rozlecieć. Odwrócił się do kuzyna. Chciał coś powiedzieć, ale wstrzymał się, widząc wzrok Bogdana.

– Podobno wypytujesz o Wężyka – zaczął kuzyn. – A wiesz, że ja go znałem.

– Serio? – Bastian szeroko otworzył oczy. Może niepotrzebnie wysiadywał w knajpie i szukał po omacku, skoro to przecież Dąbrowa. Tutaj ludzie się znają.

– Jeździłem u niego przez chwilę, jak miał firmę transportową. Byłem kierowcą wesołego autobusu.

– Wozileś Żydów? – Bastian obserwował prostolinijną twarz Bogdana. Nie wyrażała niczego szczególnego.

– Raz czy dwa. To był poroniony pomysł. Władek kupił wypasiony autobus, bo Żydzi z Ameryki czy Izraela byle jakim sanem nie pojedą. Opracował plan wycieczek, atrakcje. Ale wtedy nic tu nie było, nawet knajpy, gdzie by mogli dostać to swoje jedzenie, a bożnicę to wtedy wstyd było komukolwiek pokazywać; nawet mówili na mieście, że w gruncie rzeczy Wężyk robi Dąbrowie antyreklamę. I w końcu tym swoim luksusowym autobusem woził szkolne wycieczki. Ja żem był wtedy młody, więc żem tylko stracił z nim trochę czasu. Ale ten drugi, jego wspólnik, to wtopił kupę kasy. Choć chyba się

wygrzebał, bo dzisiaj ma spożywczaka w samym centrum, naprzeciw bożnicy. No dobra, to ja ci tego fiacika odpicuję jak dla znajomych. – Popatrzył na zegarek. – I robocizną policzę też jak dla znajomych. – Tu Bastianowi przez myśl przeszło, czy go na to stać. – A Władka szkoda. Zawsze było mi go żal.

– Dlaczego? – zdziwił się Bastian. Bogdan był pierwszą osobą, która szczerze wyraziła się pozytywnie o Wężyku.

– On był nieszczęśliwy, jakby chciał uciec, ale nie mógł. Coś nad nim wisiało.

Bastian nie podejrzewał kuzyna o taki poziom refleksji.

– Wiesz – ciągnął Bogdan – są tacy ludzie, co niby chcą dopierdolić wszystkim dookoła, a tak naprawdę to chcą dopierdolić tylko sobie.

– I jak idzie, pani Wiolu? – Urzędnik oparł się o futrynę i patrzył na dziennikarkę zza szkieł eleganckich okularów. Miał na sobie błękitną koszulę i sportową marynarkę z chusteczką w kieszonce. Ładnie szpakowaciał na skroniach, a kurze łapki w kącikach oczu tylko dodawały mu uroku. Przystojniak, pomyślała.

Zaglądał do niej kilka razy, rano przyniósł jej kawę, w południe jabłko.

– Chyba nie za dobrze – westchnęła. – I jeszcze rozboleł mnie kręgosłup... – Wygięła się do tyłu z teatralnym grymasem bólu. Zauważyła, jak jego spojrzenie prześlizgnęło się po jej biuście pod obcisłą bluzką. Sprawilo jej to przyjemność.

– To może zrobi sobie pani przerwę? – Podszedł do niej. – Dostałem kiedyś na imieniny różne herbatki owocowe. Może miałyby pani ochotę?

– To bardzo miłe. – Zatrzepotała rękami. – Ale im szybciej

coś znajdę, tym szybciej przestanę panu zawracać głowę.

– Ależ to żaden problem! Może mi pani zawracać głowę tak długo, jak pani chce.

– Na pewno ma pan ważniejsze sprawy niż mnie niańczyć. – Założyła nogę na nogę. Spódnica podwinęła się, odsłaniając kształtne udo i brzeg samonośnej pończochy. Uśmiechnął się tak, jakby miał ochotę właśnie na to, żeby trochę ją poniańczyć. – Ale patrzę w te dokumenty i nic nie widzę. – Wydeła wargi.

– Panią interesuje postać Władysława Wężyka. – Urzędnik przysiadł na stole, patrząc na piętrzące się przed nimi segregatory z dokumentacją przetargu, i zaczął gładzić się po kolanie.

Wiolka obserwowała go. Nie powiedzieli tego wprost, ale pewnie w Dąbrowie takie wiadomości szybko się rozchodzą.

– Wiem, że pani patrzy w te papiery i nic nie widzi. – Zagadkowy uśmiech błędził po jego ustach. – Bo może nie wszystko jest w papierach.

– Rzeczywiście coś z tym Wężykiem było nie tak – powiedział Leszek Bąk. – Proszę popatrzeć, pani prokurator. – Dźgnął palcem kartkę papieru. – To się kupy nie trzyma. Wszystkie biznesy Władysława Wężyka to pasmo niepowodzeń. Luzer, jak o nim mówią na mieście, ale uparty.

Judyta Franz poprawiła na nosie okulary i w skupieniu śledziła palec policjanta sunący przez komórki tabeli.

– Pierwszy biznes Wężyka, firma transportowa, to spektakularne fiasko. Duże inwestycje, ale prawie żaden zwrot. W końcu firma zostaje zamknięta, luksusowy autobus sprzedany na poczet długów. Ale Wężyk się nie poddaje. Firma budowlana pomaga mu wyjść na prostą i zaczyna prosperować, kiedy przychodzi kryzys dwa tysiące ósmego roku i wszystko bierze

w łeb. Wężyk próbuje ją ratować, ale znowu popada w długi, pojawiają się problemy z urzędem skarbowym i wreszcie Wężyk zamyka firmę. Wtedy idzie po rozum do głowy i robi najmądrzejszą rzecz w swojej karierze. Przeczeka kryzys na państwowej posiadzie, w ciepłym grajdołku w urzędzie miejskim.

Prokuratorka popatrzyła na niego przeciągle. A więc ludzie uznają pracę na państwowym za ciepły grajdołek.

– Długo tam nie popracował – kontynuował Bąk – i w dwa tysiące dziewiątym roku został zwolniony dyscyplinarnie. Potem...

– Dlaczego? – przerwała mu Franz.

– Nie stawiał się do pracy, tak jest w papierach. – Bąk przekartkował swoje notatki. – Poza tym wiemy już, że był konfliktowy. Więc Wężyk odchodzi z urzędu i zakłada kolejną firmę. I tu pewne zaskoczenie.

Bąk zawiesił głos. Prokuratorka ponagliła go ruchem dłoni.

– Tym razem jego firma, zajmująca się szyldami i bannerami, odnosi sukces. Pojawiają się regularne przychody. Firma funkcjonuje bez zarzutu, płaci pensje, podatki, ZUS. I nagle dzieje się coś dziwnego. W dwa tysiące czternastym Wężyk sprzedaje udziały w świetnie prosperującym przedsiębiorstwie wspólnikowi i po dwóch miesiącach zatrudnia się w sklepie z używaną odzieżą. W nic nie inwestuje, nie zakłada kolejnej firmy; od tamtej pory pracuje w przypadkowych miejscach, ma przerwy w zatrudnieniu, bierze kredyt, który spłaca z trudem. Znowu zostaje luzerem. Popija.

Co to był za facet, ten Wężyk? – pomyślała Judyta Franz. Jego życie zawodowe to pasmo niepowodzeń, a w sytuacji, kiedy coś mu się udawało, wycofywał się i znowu osuwał w marazm. Los, przeznaczenie czy autodestrukcja? Jakieś fatum porażki wisiało

nad tym człowiekiem, jakby wszystko, czego się dotknął, obracało się w popiół. Król Midas à rebours, pomyślała.

– Co się stało z pieniędzmi ze sprzedaży firmy? – zapytała prokuratorka. – Nabył coś? Nieruchomość, drogi samochód, ziemię.

Bąk pokręcił głową.

– Nie. Nawet remontu w domu nie zrobił.

– Kredyty w bankach spłacił wcześniej – wtrącił Wielicki. – Ale Kaługa sugerował, że Wężyk mógł mieć długi gdzie indziej. Nieoficjalnie.

Judyta Franz prychnęła, słysząc nazwisko podkomisarza.

– Proszę się na tym skupić. – Wyprostowała się, dając znać, że posiedzenie uważa za zakończone. – Wrócić do żony, syna. I rozpytać współnika. I przyjść z konkretami. Insynuacje pana Kaługi mnie nie interesują.

Bastian uniósł głowę znad laptopa. Wyjrzał przez okno. Przy ulicy zatrzymała się granatowa astra. Nie skrzyła na mostek. Stała chwilę z włączonym silnikiem, potem otworzyły się drzwi po stronie pasażera i z samochodu wysiadła Wioletka. Pochyliła się do kierowcy, coś mówiła.

Znajome mrowienie zdradzało go przed nim samym. Wioletka, w krótkiej spódniczce, nachylona mocno w stronę auta. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Z samochodu wysiadł kierowca, stanął blisko niej. Zrobił gest, jakby chciał dotknąć jej twarzy. Wioletka stała za daleko, żeby Bastian mógł zobaczyć jej reakcję. Dziennikarz od razu poznał przystojniaka z urzędu miejskiego.

Do mrowienia dołączyło zaciśnięcie szczęk.

Pomachała mu i odeszła, ostentacyjnie kołysząc biodrami. Facet patrzył za nią, po czym wsiadł do auta i dynamicznie

ruszył.

Bastian nie podniósł się z miejsca, gdy chrupnęła klamka i obcasy zastukały o posadzkę w sieni. Wiolka stanęła w drzwiach, triumfalnie uśmiechnięta. Zdawała się aż lśnić. A bez wątpienia lśniły jej oczy.

– Próbował mnie skurwiel upić – zaśmiała się. – Aż musiałam zostawić auto w mieście.

Podeszła i usiadła obok Bastiana. Pachniała winem i perfumami.

– Nawet niezłe jedzenie, oczywiście nie przez przypadek zaprosił mnie do restauracji w hotelu. Zamówił butelkę wina i polewał mi, jakby mu się spieszyło. Bo pewnie się spieszyło. – Zachichotała, oparła się łokciami o stół, zbliżając twarz do twarzy dziennikarza. Patrzył na jej wargi, ześlizgnął się wzrokiem ku dekolтови. – Bastian – powiedziała zniżonym głosem, uśmiechając się szeroko – wiem, za co wywalili Wężyka!

– Wow! – Niemal odskoczył, starając się brzmieć entuzjastycznie. I po to, żeby ochłonać. – Mów!

Podał jej paczkę papierosów. Zapalili. Wiolka założyła nogę na nogę, spódniczka wysoko odsłoniła udo.

– Więc dałam mu – zaciągnęła się – zaprosić się na obiad, bo tak na mnie leciał, że aż było mi go żal. I opowiedział mi co i jak, nawet nie musiałam go szczególnie ciągnąć – rzuciła na dziennikarza ukradkowe spojrzenie – za język. W tych papierach przetargowych długo byśmy Wężyka szukali. On tam niczego nie podpisywał, był za małym misiem, zwykłym referentem. Ale miał dostęp do wiedzy o przetargu. A w szczególności do specyfikacji istotnych warunków zamówienia. Domyślasz się?

Wyjął piwo z lodówki.

– Specyfikację się przecież publikuje, to żadna tajemnica, wręcz przeciwnie.

– Ale na etapie ogłoszenia przetargu przez zamawiającego – przerwała mu. – I nie podaje się w niej ceny maksymalnej. A to cenna wiedza, bo wtedy wiesz, czy nie przestraszisz albo czy nie dasz podejrzanie niskiej ceny kosztem innych parametrów, które też przecież są ważne. Gdyby startujący do przetargu znał tę cenę...

– Mógłby tak ustawić ofertę, żeby wygrać? – dokończył Bastian.

Wiolka wycelowwała w niego palec.

– I tu pojawia się nasz nieodżałowanej pamięci Władzio Wężyk. Piotrek, ten urzędnik, powiedział, że Wężyka przyłapali na próbie wyjawienia zastrzeżonych informacji pewnej firmie. Wiesz, jak głupio wpadł? Jego szef wszedł do gabinetu, kiedy Wężyk nawijał o tym przez telefon. I wywalili go, zanim w ogóle ogłoszono przetarg. Nie ma o tym nic w papierach. Wszystko było na gębę.

– A wiadomo, do kogo wyciekły te informacje?

– Oficjalnie nie – odparła, gasząc papierosa. – Ale mój nowy przyjaciel opowiedział mi, co się w urzędzie mówiło. Lokalna firma budowlana, która zresztą byłaby kiepskim wykonawcą, bo nie miała doświadczenia w pracach konserwatorskich, po tej aferze nie wzięła udziału w przetargu, chociaż wszyscy wiedzieli, że ostrzy sobie na niego zęby. Wężyk kręcił się koło tej firmy jeszcze w czasach swojej działalności w budowlance. W takim miasteczku wszyscy wiedzą, kto z kim pije i kto kogo dyma.

Bastian wypił łyk piwa.

– Ta firma to spółka córka biznesów niejakich braci Babiarskich – mówiła dalej Wiolka. – Piotrek zaklinał, żebym

nikomu nie zdradziła, skąd wiem. Więc jakby co chronimy źródło, Bastian – dodała poważnie. – Z tego, co opowiadał, to jakieś lokalne szemrane typy. Zrobiłam szybki risercz. W KRS-ie ich biznes jest zarejestrowany w Dąbrowie przy Warszawskiej.

Wyciągnęła przed siebie smartfona. Zdjęcie z Google Street View przedstawiało olbrzymią willę z gipsowymi lwami przy bramie i barokowymi tralkami na balkonach.

– Ulica Warszawska to droga na Szczucin – zauważył Bastian. – To przy niej znaleźli Wężyka, tylko dalej. O kurde.

– Prawda? – Wiolka pokraśniała.

– To ma sens – stwierdził. – Ufasz temu swojemu przyjacielowi? Piotrowi, tak? Nie ściemnił cię tylko po to, żebyś się odczepiła od papierów i dała po obiedzie zaprowadzić na pięterko?

Dziennikarka nie odezwała się od razu.

– Tak, ufam mu – odparła chłodno. – To ma sens, tak jak mówisz. Gdyby chciał odciągnąć mnie od papierów, powiedziałby, że nie wie, w dokumentach nic bym nie znalazła i mieliby spokój. A sprzedając mi informacje, w pewnym sensie świadczył na swoją niekorzyść. Logika, Bastian.

– Albo na korzyść osobistą – mruknął w głąb puszek z piwem.

– Idę – zachnęła się Wiolka. – Bo oszaleję w tym zaduchu w pończochach.

Minęła go, chwiejnie zmierzając do łazienki. Nie wytrzymał.

– Mam nadzieję, że mimo wszystko popołudnie miałaś stosunkowo udane? – rzucił.

Odwróciła się.

– O, jesteśmy zazdrośni, panie redaktorze? Uczę się od najlepszych. Kto to w czasach „Flesza”, jak głosiła stugębna plotka, słynął z ruchania informaterek?

Nabrał powietrza, ale nic nie powiedział, wypuszczając je tylko przez zaciśnięte zęby.

– Nie bój się. – Posłała mu całusa. – Mam wysokie standardy dziennikarskie. Zatrudniasz tylko tak nieskazitelnych, jak ty sam, prawda?

Zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. Rozpięła zamek spódnicy, zsunęła ją i pozbyła się pończoch. Zdjęła bluzkę i spojrzała do lustra. Czarna koronkowa bielizna zdradzała, że wychodząc dziś do urzędu, Wiolka rozważała różne scenariusze. I miała straszną ochotę na seks, a Piotrek był naprawdę fajny.

Poszłaby z nim do łóżka, gdyby nie to, że czegoś od niego potrzebowała. Wiedziała, jak by się czuła po takiej akcji. Spojrzała na siebie w biustonoszu i majtkach, na spódniczkę i pończochy na podłodze. I się roześmiała.

A tak, cóż, czuła się źle tylko trochę.

Dobrze przynajmniej, że Bastian był zazdrosny.

Zrzuciła bieliznę i zanim wskoczyła pod prysznic, przyglądała się sobie jeszcze przez chwilę. Strzygoń, Strzygoń, ty pieprzony idioto.

Dorota Seweryn sięgnęła po dzem truskawkowy, przeczytała skład i odstawiła słoik z powrotem na półkę. Od mamy dostanie lepszy. Cóż z tego, skoro mały i tak wolał te ze sklepu. Może gdyby przykleiła na domowych słoiczkach kolorowe etykiety, nie zauważyłyby różnicy? Zawahała się nad zestawem do sushi, ale znowu jej się przypomniało, że mały tego nie tknie. Odłożyła na półkę.

Zobaczyła go z daleka. W koszyku miał gotowe dania. Stał przed półką z piwem, obracając w dłoni puszkę tatry. Zgarbiony, chudy, z łopatkami sterczącymi pod wyciągniętym

podkoszulkiem, nerwowym gestem zakładał przetłuszczone włosy za ucho. Takiego go zapamiętała, kiedy przemykał przez korytarze szkoły średniej, jakby chciał być niewidoczny. Nie reagował na zaczepki, że luzer jak wszystkie Wężyki. Zawahała się. Zobaczył ją i odwrócił głowę. Podeszła do niego.

– Nie rób tego – odezwała się cicho. – Nie bądź taki jak on.

Wiele razy jej to mówił. Że nigdy nie będzie taki jak ojciec. Że marzy o tym, aby uciec stąd, od niego, gdzieś daleko, gdzie ludzie będą go poważać. Że najbardziej nienawidzi tego momentu po dwóch piwach, kiedy ojciec jeszcze nie zdążył się wyluzować, a już puszczały mu hamulce. Jak wtedy syna szturchał i wyzywał od nieudaczników.

– Co, już nie mogę sobie kupić piwa jak normalny facet? – warknął Maciej Wężyk i natychmiast się zreflektował. Spuścił wzrok, jakby wiedział, że ona też to usłyszała. Tę zaczepkę w głosie, która tak bardzo przypominała ton Władysława Wężyka na lekkim rauszu. – Przepraszam – szepnął i zgarbił się jeszcze bardziej.

– To ja przepraszam. – Dorota miętoszyła w palcach listę zakupów. – Nie odzywałam się, bo nie wiedziałam, co powiedzieć.

To nie była do końca prawda. Nie odzywała się, bo od dawna nie mieli ze sobą nic wspólnego. Kontakt się urwał, kiedy on poszedł do seminarium. A ona wcale tego kontaktu nie szukała. Wyjechała na studia, zaczęła chodzić z Grześkiem, planowali ślub. Obciachowy kolega z liceum był ostatnią osobą, której towarzystwa potrzebowała. Kiedy wystąpił z seminarium i wrócił do Dąbrowy, wcale nie próbował odświeżyć znajomości. Nie dziwiło jej to. Wiadomo, jak ludzie postrzegają niedoszęłego księdza. Ale przyjęła jego zachowanie z ulgą, miała już wtedy swoje życie.

– Trzymasz się jakoś? – zapytała.

– Mamą się muszę zająć – odpowiedział zachrypniętym głosem. – Ojciec zostawił nam w banku tylko długi. Był jaki był, ale kasę potrafił załatwić spod ziemi, a ja nie.

Zapadło milczenie. Kiedyś byli sobie bliscy. Dorota Seweryn czuła, że powinna mu coś powiedzieć, że nie może po prostu odejść między nabią a wędliny.

– Myśl o tym, co było dobre – zaczęła. – Wybacz i pozwól mu odejść.

Popatrzył na nią oczami tak przekrwionymi, jakby nie spał wiele nocy. Jakby upiór ojca dalej dręczył go zza grobu. Chciała mu poradzić, żeby sobie też wybaczył swoją nienawiść. Ale nic nie powiedziała, wolała nie dawać mu do zrozumienia, że to widać. Wiedziała, że on zawsze głęboko chował swój ból, a dzisiaj ma ten ból wypisany na twarzy.

– On nawet umrzeć musiał w taki sposób, żeby mi dopierdolić. – W głosie Maćka znowu zadźwięczało coś groźnego. – Umarł i teraz nic już nigdy się nie zmieni.

– Pomyśl, że dał ci życie. – Dorota wiedziała, że to kolejny komunał. Ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. – Że odziedziczyłeś po nim dom.

– Jedyne, co po nim odziedziczyłem, to kłopoty – rzucił i kółka wózka zgrzytnęły o posadzkę.

Patrzyła za nim, jak odchodzi, powłócząc nogami.

Przyjazd Anki Bastian powitał z ulgą, chociaż nie dało się nie zauważyć, że Wiolka ma z tym problem.

Ich relacje wyglądały normalnie – dyskutowali, kreślili szkice wersji śledczych, zastanawiali się, jak to wszystko się łączy. Ale ta pozorna normalność nie zmieniała faktu, że od tamtej

rozmowy w kuchni, nie wiedzieć czemu, czuł się jak pieprzony idiota.

– Cholera, piwa nie kupiłem – mruknął, starając się trzymać pasa ruchu. Ścisnął kierownicę seicenta, które trzęsło się i warczało dyszkantem niczym znerwicowany chihuahua.

Auto ochrzcił imieniem Brzydał. Okazało się, że Bogdan rzeczywiście jest magikiem motoryzacji, a Brzydał trząsał się i prycał, ale ciągnął jak złoto. Bastianowi nie pasowało w nim jedynie to, że kiedy seicento stało na podwórku obok i tak nie najefektowniejszego fiata punto Wiolki, wyglądało przy nim jak ubogi krewny.

– Uważaj – rzuciła Anka, uwieszona uchwyty nad drzwiami pasażera.

Dziennikarz wduśił pedał hamulca i pistacjowe auto stanęło dęba przed przejściem dla pieszych, na które wtoczył się odświętnie ubrany tłumek dąbrowiaków wracających z kościoła.

– Po mszy na zakupy. Sacrum i profanum, co nie? – zapytał. Nigdy tak naprawdę nie nauczył się prowadzić auta, a Anka, też świeży kierowca, prowadziła w głowie razem z nim.

– Nie dziś. Niedziela bez handlu.

– To skąd ja piwo wezmę? – jęknął. – I czekoladki dla cioć by wypadało przynieść, na osłodę po tylu latach olewania rodziny.

– Nie ma tu małego spożywcza? Takiego, w którym sprzedaje właściciel?

Bastiana tknęło i w ostatniej chwili zamiast w prawo, w stronę Tarnowa, skręcił na światłach pod sądem w lewo. W stronę bożnicy.

– Szybko coś sprawdzimy. – Przyspieszył, nabierając pewności siebie.

Sklep naprzeciwko bożnicy, tak powiedział Bogdan.

W niedzielę niehandlową właściciel może sam stać za ladą. Idealna sposobność, żeby przy okazji namierzyć byłego Wężykowego wspólnika od wożenia Żydów.

Dąbrowskie spożywczeni kojarzyły się Bastianowi z tapetowanymi wnętrzami zastawionymi skrzynkami na butelki, z zakratowanymi witrynami oklejonymi logo Chio Chipsów i lodów Schöllera, z pojemnikiem gum Super Heroes na paździerzowej ladzie. Ale ten sklep był wzorowany na franczyzowych sieciówkach. Biel, nowoczesne regały, kraftowe piwa – znaki czasów. I tylko nieśmiertelny terminal Lotto znamionował jakąś ciągłość.

Sklep był pusty, widać Dąbrowa przywykła dzień święty święcić. Bastianowi przypomniało się, że w niedzielę warsztat dziadka ceremonialnie zamykano na kłódkę. Za ladą stał krępy, gładko ogolony mężczyzna w przyciasnym czarnym firmowym fartusku z wyhaftowaną złotą nicią nazwą sklepu: „Frykas”. Był po pięćdziesiątce i miał minę zagorzałego zwolennika zakazu handlu w niedzielę. Bastian postawił przed nim karton corneliusa apy i pudełko czekoladek Merci. Anka wślizgnęła się między regały, studiując asortyment kabanosów w promocji.

– Taki zestaw poproszę. – Dziennikarz uśmiechnął się w wystudiowany sposób. – Rozumie pan, artykuły pierwszej potrzeby.

Sklepikarz wyrozumiale pokiwał głową. Przyjrzał się nadrukowi na karcie płatniczej Bastiana i ledwie zauważalnie ściągnął brwi.

– Tak przy okazji. – Strzygoń oparł się o ladę. – Jestem dziennikarzem. Przygotowuję materiał o śmierci Władysława Wężyka. Mógłby mi pan o nim trochę opowiedzieć?

Mężczyzna milczał tym rodzajem milczenia, które

u hydraulików i mechaników samochodowych nieodmiennie powoduje, że ich klient czuje się coraz bardziej niekompetentny.

– Niby co konkretnie? – zapytał.

– Ja wiem, że panowie się znaliście. – Bastian obserwował jego twarz. – Jeszcze viceroye light poproszę. Wierzę, że może pan wiele o nim powiedzieć. Przecież to był pana wspólnik.

Mężczyzna odwrócił się do regału z papierosami.

– Żydzi – rzucił dziennikarz niby od niechcienia w stronę jego pleców. – Z Izraela i USA. Autobusem. Tam. – Wskazał głową za okno, chociaż bożnica stała nieco dalej. Sklep właściwie znajdował się naprzeciwko biało-różowego budynku komendy policji.

Sprzedawca położył przed nim paczkę papierosów.

– Przepraszam, zatkało mnie, to ciągle szok – odpowiedział schrypniętym głosem. – Oczywiście, żeśmy się z Władkiem znali. Nie wyszło mu, nam, wtedy. Teraz, jak patrzę na te wycieczki, to aż mi się łza w oku kręci. Ja sobie poradziłem, ale jego to zdrowo kosztowało. Niezaradny był biznesowo. Tego niech pan nie pisze. Niech pan napisze, że to był w głębi duszy dobry człowiek.

– Pan też się interesował żydowską przeszłością Dąbrowy? – zapytał Bastian.

– Słucham? – Mężczyzna wyglądał jak obudzony ze snu.

– Żydowską przeszłością. Tak jak Węzyk. Bożnicą, dawnymi czasami.

– Ach – sapnął sklepikarz. – Władek się interesował. To prawda. Bardzo się interesował.

– A pan?

– Mnie, proszę pana, interesował zarobek. Dlatego ja sobie w biznesie poradziłem.

– A z wożenia żydowskich wycieczek zarobku nie było? – dodał Bastian lekkim tonem.

Sprzedawca popatrzył na niego.

– To było za wcześnie. Taką dziurą jak Dąbrowa nikt się wtedy nie interesował. A poza tym – nachylił się – pan wie, jakie Żydki są. Ja nic przeciwko nim nie mam. Ja podziwiam ich głowę do pieniędzy. Jakbyśmy my, Polacy, mieli taki talent, toby Unia Europejska chciała należeć do Polski. Oni mieli własne biura podróży, autobusy z obstawą, pilotów, żeby w Polsce grosza nie zostawić, i wszystko, co wydali, wróciło za nimi do Izraela. Ale tego niech pan nie pisze, wie pan, jak jest. Coś jeszcze podać?

Dziennikarz wyciągnął przed siebie rękę.

– Pewnie jeszcze się spotkamy. – Błysnął zębami. – Nie przedstawiłem się, przepraszam. Strzygoń. Sebastian Strzygoń.

– Wiem – powiedział mężczyzna, spoglądając na jego dłoń. Wreszcie ją ujął.

– Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać, panie... – Bastian nie puszczał ręki sklepikarza.

– Żabka – wycedził mężczyzna. – Roman Żabka. Przepraszam, klienci czekają.

Wyszli przed sklep. Bastian odfoliował papierosy, zapalił chciwie.

– Wszyscy tu tego Wężyka bardzo kochali – stwierdził, patrząc w stronę bożnicy.

– Ktoś go musiał zabić z najwyższą przykrością. – Anka uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Widziałeś jej minę, wtedy jak się okazało, że Mariusz miał rację? – Bąk poprawił okulary przeciwsłoneczne, odrywając rękę od kierownicy.

– Jakbyś jej kazał zjeść żabę – zaśmiał się Wielicki. – Ale w sumie to równa babka. Od razu klepnęła założenie im techniki.

W nieoznakowanym szarym fordzie mondeo szumiała klimatyzacja, za oknem żar lał się z nieba wprost na dojrzewające na polach zboże.

– Co za tandeciarze. – Bąk pokręcił głową, patrząc, jak czarne nisko zawieszone bmw znika za zakrętem. Zwolnił, zatrzymał się na skrzyżowaniu, przepuścił skręcający z naprzeciwka samochód i pojechał tropem bmw. – Bandit Motor Wagen. Równie dobrze mogliby przykleić sobie na zderzaku naklejkę „Jestę gangsterem”. Może by się ktoś wystraszył.

Dawny wspólnik Wężyka, właściciel wciąż niezłe prosperującej firmy reklamowej, powiedział im, że kupił od Wężyka udziały w przedsiębiorstwie, bo tamten pilnie potrzebował pieniędzy. Dlaczego? Musiał oddać dług niejakim braciom Babiarskim. Jaki dług? Wspólnik nie wiedział. Sprawy z dawnych czasów. Zresztą, jeśli pożyczył pieniądze od Babiarskich, to pewnie na coś, czym nie chciał się chwalić. Żony informacja o długu nie zdziwiła, bo długi były u Wężyków na porządku dziennym, ale nie umiała podać szczegółów. Nie zastanawiała się, co się stało z pieniędzmi ze sprzedaży firmy, bo mąż powiedział jej, że przedsiębiorstwo i tak było na skraju upadku. Biorąc pod uwagę jego wcześniejsze „sukcesy” w biznesie, takie rozumowanie ze strony Wężykowej miało sens. Syn nic nie wiedział, w tamtym czasie był w seminarium duchownym.

Okazało się, że bracia Babiarscy są znani miejscowej policji, a wypłynięcie ich nazwiska w sprawie o zabójstwo zostało przyjęte z entuzjazmem. Kaługa się ucieszył, że może wreszcie uda się coś znaleźć na wymykających się wymiarowi sprawiedliwości królów szarej strefy, którzy poruszali się po

drogach krajowych swoim rydwanem ciemności marki BMW.

Rydwan ciemności wjechał tymczasem na przedmieścia Tarnowa, niewiele sobie robiąc z przepisów ruchu drogowego.

– Moglibyśmy go zwinąć, zebrał już tyle punktów lojalnościowych, żeby mu zatrzymać okładki – uśmiechnął się Wielicki.

Kołyszące się na resorach bmw puło przez Tarnów, a Bąk kłął pod nosem, próbując dotrzymać mu tempa.

– Zaraz to nas ktoś zwinie – mruknął.

W końcu w ślad za samochodem Babiarskich zjechali na parking centrum handlowego Gemini Park.

– Po cholere jadą do centrum handlowego w niedzielę bez handlu? – zapytał zdeorientowany Bąk.

– Może do kina? – podsunął Wielicki.

Skęcili w alejkę, nie tracąc z oczu czarnego bmw. Udali, że przymierzają się do parkowania. Tymczasem bmw objechało cały plac i zaparkowało na miejscu dla niepełnosprawnych. Z auta wysiadł niczym niewyróżniający się pięćdziesięciolatek w koszuli z krótkimi rękawami wpuszczonej w spodnie. Wytarł czoło chusteczką i ruszył do wejścia.

– Nie wierzę – odezwał się Wielicki. – Taki prezent.

– Jacek, wołaj hienę. – Bąk zgasił silnik i zapalił światła awaryjne. – Zwozimy go na parking. Ale się chłop zdziwi.

Wielicki przyłożył smartfona do ucha, żeby wezwać patrol z lawetą.

– Zdziwi się dopiero, jak mu pięknie podkręcimy w tym gracie elektronikę.

– Proszę siadać, herbatę już robię. – Niewysoka kobieta

zaprowadziła ich do pokoju, gdzie na przykrytym serwetą stole czekał talerz z ciasteczkami. – Wera mówiła, że przyjedzie Sebastian, pani się nie spodziewałam, ale już daję talerzyk.

Okazało się, że ciotki Wiesia i Krystyna doskonale pamiętają Bastiana, chociaż on miał trudności z przypomnieniem sobie czegokolwiek o nich. Wiedziały, co u niego słyhać, co robi i gdzie mieszka. Zastanawiał się, w ilu jeszcze takich obiegach informacji funkcjonuje.

Kobieta położyła czekoladki Merci na stole. Anka przedstawiła się jako doktor z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wcześniej przebrała się u Bastiana z motocyklowych ciuchów w sukienkę i czólenka, spięła włosy w koński ogon. Brakowało jej tylko okularów.

Ciotka Krystyna zniknęła, a oni usiedli. W kącie pokoju stał piec z brązowych kafli, na ścianie wisiał obraz przedstawiający Świętą Rodzinę. Honorowe miejsce na meblościance zajmowały ramki ze zdjęciami dzieci w różnym wieku, od niemowlaków po nastolatki. Bukiet piwonii w wazonie roztrzącał mdlący zapach. Tykał zegar. Czarno-biały kocur patrzył na nich z parapetu, mrużąc oczy.

U dziadków Bastiana też zawsze był jakiś kot albo kocica. Nie potrafił przypomnieć sobie ich imion, chociaż dobrze pamiętał, jak wabiły się psy. Koty zawsze chodziły swoimi drogami. Pamiętał, że gdy kocica miała rodzić, zniknęła gdzieś i babcia nie chciała mu powiedzieć gdzie. Bogdan opowiadał mu, że małe koty wyglądają jak potworki, są ślepe, wiszą im pępowiny i całe są w śluzie. Nie wierzył mu. Po tygodniu dziadek przynosił puszystego kociaka lub dwa o oczkach jak niebieskie paciorki i mościł kocicy miejsce w pudełku. W któreś wakacje Bastian odkrył, że kocica chowa się do stodoły. Leżała z sześciorgiem kociąt wielkości myszy, tulących się do jej brzucha. Kilka dni

później w pudełku pojawił się jeden. Bastian pytał o resztę. Przecież je widział. Płakał.

Szczury je czasem zżerają, tłumaczył mu wuj Marian. Może były słabe i zdechły, wzdychała ciotka Wera. Dziadek potopił, po co tyle kotów w domu, wyjaśnił mu Bogdan.

Ciotka Krystyna wróciła, prowadząc pod rękę drobną staruszkę. Anka i Bastian poderwali się z krzesel.

– Siadajcie, siadajcie. – Głos cioci Wiesi był zadziwiająco dźwięczny. – Ja też sobie siednę.

Córka pomogła matce usiąść i podsunęła jej talerzyk.

– Nasz Sebcio – powiedziała głośno, nachylając się do staruszki – i pani doktor. Z uniwersytetu. Chcieli z tobą porozmawiać o wojnie.

Przez twarz cioci Wiesi przemknął cień. Bastian pomyślał, że niewiele się zmieniła, tylko skurczyła się i zmaląła. Jej żywą, ale jakby zapadniętą do środka i pooraną zmarszczkami twarz okalały siwiuteńkie włosy splecione w cienki warkoczyk. To też się nie zmieniło. Uwagę zwracały lśniące, chociaż zasnułe mgiełką oczy.

Anka słuchała, jak Bastian gawędzi z ciocią o rodzinie. Dowiedziała się, że Bożena, matka Bastiana, jest na emeryturze i ma problemy z kręgosłupem, że jego siostra Izabela pracuje w banku inwestycyjnym i wyjechała do Stanów, że ojca boli noga. Nie przerywała, bo wiedziała, że to ważne.

– Ale wy chcieliście pytać o wojnę – powiedziała wreszcie ciocia Wiesia. Ciotka Krystyna obserwowała ją, wypatrując u matki oznak zmęczenia.

– Tak – włączyła się do rozmowy Anka. Położyła łokcie na stole. – Czy pamięta pani Żydów sprzed wojny?

Staruszka skinęła głową.

– A co mam nie pamiętać.

– Proszę nam o nich opowiedzieć.

– Były Żydki. – Anka musiała się powstrzymać, żeby nie skrzywić się na to określenie. – Dużo ich było. Ci starzy to wyglądali inaczej, ale ci młodzi to się za wiele od nas nie różnili. Między sobą mówili po żydowsku. Były u nas w szkole dziewczynki, Żydóweczki. Fajne, miłe.

– Przyjaźniła się pani z nimi? – zapytała Anka.

Po chwili namysłu staruszka pokręciła głową.

– Nie.

Bastian słuchał w skupieniu. Myślał o tym, że nigdy nie odbył takiej rozmowy ze swoimi dziadkami.

– Dlaczego? – Anka wypowiedziała na głos jego pytanie skierowane do samego siebie.

– One były... – ciocia Wiesia szukała słowa – inne. Miały swoje święta, nie mogły jeść tego, co my, nie chodziły do szkoły w sobotę. Nie wierzyły w Pana Jezusa. Wie pani, swój to jednak swój. – Rzuciła Ance przepaszające spojrzenie. – A obcy jest obcy.

– Gdzie były żydowskie domy?

– Wszędzie. – Staruszka wzruszyła ramionami. – Niektóre jeszcze stoją, inne nie, takie liche budy, nie dziwota, że rozebrali.

– Kto tam teraz mieszka?

– A nie wiem. Ludzie.

– A synagoga? – pytała dalej Anka. Chciała ożywić jej pamięć, wprowadzić ją w obszar, gdzie kryją się odpowiedzi. – Była tam pani kiedyś?

– Nie, ja nie byłam. – Ciocia Wiesia pokręciła głową. – Bo i po co? Ja tylko słyszałam zawołanie w te ich święta i widziałam,

jak się światła pałą. Całe miasteczko wtedy pachniało inaczej. Oni też w nasze święta nam się nie naprzykrzali.

– Dlaczego?

– Może żeby im się nie oberwało od judaszów.

Bastian obserwował twarz ciotki Krystyny, która z kolei wpatrywała się w twarz matki.

– Mówiła pani, że żydowskie domy były liche. A mieszkali tu bogaci Żydzi? – zmieniła temat Anka.

– Mieszkali – przytaknęła staruszka. – Były sklepiki po mieście, chociaż dużo się wtenczas mówiło, żeby nie kupować u Żyda. Ludzie mieli pretensje, że sprzedają. Ale Żydki mieli smykałkę do handlu, a Polacy nie. Więc pretensje mogli mieć tylko do siebie. A reszta to taka sama bida jak wszędzie.

– A pamięta pani, gdzie było getto? – ostrożnie zapytała Anka.

– Pamiętam. – Staruszka kiwnęła głową. – Zaczynało się tam, gdzie teraz urząd gminy, i dalej na wschód. Był parkan i drut kolczasty, ale jak kto chciał, to dało się przejść. Ino nikt nie przechodził, bo i po co.

Anka wstrzymała oddech.

– I co się tam wtedy działo, w czasie wojny?

Staruszka nagle przyłożyła dłonie do oczu i się skuliła.

– Straszne rzeczy – szepnęła. – Straszne.

– Co ci jest? – zapytały równocześnie Wioletka i Dorota Seweryn.

Siedziały naprzeciwko siebie w pizzerii, od paru minut zalegała między nimi cisza.

– Nic, przepraszam. – Nauczycielka uśmiechnęła się smutno. – Martwię się o kogoś.

– A ja martwię się kimś – mruknęła Wioletka i popatrzyła na telefon. Odkąd przyjechała Anka, Bastian nie dawał znaku życia.

Na stole pojawiła się pachnąca oregano pizza margherita, ale żadna nie sięgnęła po kawałek.

– Chciałaś o coś zapytać – powiedziała Dorota.

– Tak. – Wioletka odłożyła smartfona. – Mówi ci coś nazwisko Babiarscy?

– Babiarscy? – powtórzyła głośno nauczycielka. Wioletka miała wrażenie, że w wypełnionej w niedzielne popołudnie pizzerii nagle zrobiło się cicho. – Coś słyszałam. Tacy biznesmeni z Dąbrowy. Chyba nie do końca uczciwi. Myślisz, że mogą mieć coś wspólnego ze śmiercią pana Władka? – szepnęła, reagując na ostrzegawcze syknięcie Wioletki i pochylając się do niej.

– Nie wiem. – Dziennikarka sięgnęła po pizzę. – Ale dobra ta margherita, nie? – dodała głośno i odgryzła solidny kawałek. – Świetne ciasto, prawie jak włoskie!

– Nie ma się do czego przyczepić. – Mężczyzna w białym kombinezonie wychylił się z wnętrza czarnego bmw. Jego głowa, przybrana foliowym czepkiem kryjącym dredy, przypominała turban.

– To chyba dobrze, Czesiu? – mruknął Bąk, który w rękawiczkach przeglądał zawartość schowka samochodu.

– Nie, kurwa. Nie ma się do czego przyczepić z nadajnikiem, bo to pudło jest tak przerdzewiałe, że jak mocniej nacisnę, to wyjebię w dachu dziurę na pięść.

– Wyrażaj się, w gościach jesteśmy – rzucił Wielicki znad otwartego bagażnika.

W świetle jarzeniówek po garażu komendy miejskiej w Tarnowie niosło się echo. Beemwica Babiarskich zjechała tu

na lawecie w kilka minut po tym, jak stanęła na miejscu dla niepełnosprawnych.

Technik z krakowskiej komendy wojewódzkiej, z powodu swoich dredów zwany Mopem, już czekał na miejscu. Gdy skończył pruć podsufitkę auta, zastał tam kozuch pleśni i pęcherze rdzy po wewnętrznej stronie dachu. Krakowscy policjanci przeglądali schowki, zaglądali pod dywaniki, sondowali tapicerkę. Samochód wydawał się czysty. Choć była to zarazem ostatnia rzecz, jaką można było powiedzieć o sfatygowanym bmw Babiarskich.

Do hali garażowej wszedł tarnowski dyżurny komendy.

– Właściciel dzwonił – uśmiechnął się dyżurny. – Trzy razy pytał, czy wiemy, kim on jest.

– Tylko mu nie mów, że wiemy. – Wielicki wynurzył się z bagażnika. – Poinformuj, że zgodnie z procedurą auto z policyjnego parkingu będzie do odebrania jutro. I przypierdol mu mandat z góry widełek.

– Sam se przypierdol, kolego, ja nie jestem z drogówki, a ty z FBI – wyszczerzył się dyżurny i ruszył ku bramie garażu.

– Zawsze możesz być! – zawołał za nim Wielicki. Policjant, nie odwracając się, pokazał mu środkowy palec. Bąk rechotał nad schowkiem.

Kończyli. Najbardziej podejrzaną rzeczą, jaką znaleźli w aucie, był wydruk z badania zbieżności kół pokazujący prawidłowy wynik. Technik skończył mocować podsufitkę i pieczołowicie klinował między dachem a siedzeniami listewki, które miały ją utrzymać do rana, zanim wyschnie klej. Wytał ręce, zdjął czepek, poprawił dredy i ściągnął jednorazowe rękawiczki.

– Okej, technika siedzi na swoim miejscu – powiedział. – Mają mikrofon nad głowami, będzie ładnie zbierał. Bateria obleci

tydzień na czuwaniu, ale podpiąłem się z dodatkowym zasilaniem do akumulatora. Nadaje przez GSM, więc możecie go słuchać nawet do podusi. To jest teraz najbardziej wartościowy element wyposażenia tego rżęcha. Co to za gangster nim jeździ?

– Skromny, Mopiku – odparł Bąk. – Skromny.

– Pamiętam – ciocia Wiesia przełknęła ślinę – jak chłopak się ukrył w życie. Znaleźli go i odprowadzili z powrotem do gietu.

Anka z Bastianem zamarli, starając się nie spłoszyć staruszki. Tylko ciotka Krystyna poruszyła się niespokojnie na krześle.

– Kto? – zapytała cicho Anka.

– Ludzie – odpowiedziała głucho ciocia Wiesia.

– Niemcy? – pytała dalej Anka.

– Nie. Ludzie.

– Co się z nim stało? – zapytał Bastian.

– Z kim? – Ciocia Wiesia przeniosła na niego szkliste spojrzenie.

– Z chłopcem.

– Zginął. Żandarm go tam pod gietem zastrzelił.

Ruchy staruszki zrobiły się nerwowe. Splatała dłonie na podołku, spojrzenie szukało czegoś na ścianie. Czekoladki leżały na stole nierozpakowane.

– A co z tymi, którzy uciekli z getta? – podjęła Anka. – Gdzie się ukryli?

– U ludzi. Albo w lesie.

– Przeżyli?

– A to różnie. Byli tacy, co przeżyli. Ale my wtedy nie wiedzieli, bo to była wielka tajemnica, kto trzyma Żyda.

– Dlaczego? – spytała łagodnie Anka.

– Bo się ludzie bali, że ściągną niebezpieczeństwo, jak na tych Mędałów z Szarwarku. I że ktoś doniesie, bo ludzie byli zazdrosne, że się kto na Żydkach dorobi. Ale i tak wiedzieli. Pamiętam... – zaczęła staruszka, ale ciotka Krystyna nagle wstała i pochyliła się nad matką.

– Mama zmęczona, mama chce się położyć?

– Nie, ja nie jestem zmęczona. Pamiętam...

– To może herbaty? – przerwała jej ciotka Krystyna.

– Daj mi, dziecko, powiedzieć! Pamiętam, że kobieta jedna ukrywała Żyda, ale się ludzie dowiedzieli i przyszli po Żyda i po nią, żeby ich zaprowadzić do Niemców. I ich prowadzili przez wieś, a ona prosiła tylko, żeby się za nią modlić. I zastrzelili ich oboje. I kobietę, i Żyda. Ja wiem, którzy to po nich przyszli, ja bym mogła pokazać, tylko po co to teraz komu.

Ciocia Wiesia pobladła, coraz szybciej poruszała palcami spoczywających na podołku dłoni.

– Mamo, co też mama opowiada! Wiadomo, straszne rzeczy się działy – zwróciła się do Bastiana i Anki ciotka Krystyna – ale to był margines. Jakies męty.

– Wcale nie – weszła jej w słowo ciocia Wiesia. – Gospodarze. Ja wiem którzy, tu z Zazamcza. Tak jak wiem, który to Żydków za cukier wymieniał, z Bagienicy. Sam tropił, sam szukał. Ale na co to teraz komu.

– A moi dziadkowie? Aniela, cioci siostra, i jej mąż Adam? – odezwał się Bastian. Czekał przez całą tę rozmowę, żeby zapytać. – Jak im się w czasie wojny powodziło? Mieli coś z Żydami do czynienia?

– Nie wiem. – Ciocia Wiesia podniosła drżącą dłoń do czoła. – Wszyscy my się bali, co przyniesie przyszłość. Bieda była straszna, ale jakoś żyli. Ona miała małe dziecko, Marianka,

a Adam starał się rodzinę utrzymać. Za Żydkami nie chodził, ale kiełbasy robił i się starał nie narażać, bo za to też można było drogo zapłacić. Smutny był jakiś, ale kto wtedy smutny nie był. Bał się. Ale kto się wtedy nie bał.

– A ci, co uciekli z getta? Pani wie, kto to był? – Anka starała się wrócić do tematu.

– Nie pamiętam już – staruszka masowała sobie skroń, przesuwała ręką po włosach – ani nazwisk, ani imion. Koleżanka ze szkoły z rodziną uciekła w pola. Słyszało się potem nieraz, że ich ktoś widział. Co się z nimi stało, to nie wiem. Jak im było? – Zapatrzyła się na chwilę zamglonym wzrokiem w żyrandol. – Nie pamiętam. Żyd to wtedy nie miał prawa żyć. A jedną rodzinę ludzie, co ich wzięli na przechowanie, to sami siekierami zamordowali. Tak było.

– Mamo! – przerwała jej ciotka Krystyna. – Co mama opowiada? To się w głowie nie mieści! To nie może być prawda!

– Ale tak było, dziecko, tak było. – Ciocia Wiesia złapała się krawędzi stołu i podniosła lekko z miejsca.

– To dlaczego mama nigdy nic nie mówiła? – Ciotka Krystyna nie patrzyła już ani na Bastiana, ani na Ankę. Wbiła spojrzenie w matkę.

Staruszka puściła stół i opadła wyczerpana na krzesło.

– Bo mnie nikt nie pytał.



ROZDZIAŁ 8

– Weź się pan nie interesuj, bo za takie wypytywanie to można w mordę dostać.

Facet, któremu Bastian postawił piwo, zerwał się z krzesła, kiedy tylko padło nazwisko Babiarskich. Na wszystkie poprzednie pytania: czy ma ochotę na piwo, czy chce pogadać, reagował pozytywnie.

Dziennikarz został sam z kubkiem paluszków. Wcześniej dowiedział się tylko od Bogdana, że Babiarscy jeżdżą bmw, w którym jest pęknięta tylna sprężyna zawieszenia, a we wrześnie trzeba będzie zmienić olej.

Na ekranie telewizora po boisku ganił się piłkarze, barman w milczeniu nalewał piwo. Po rozmowie z ciotką Wiesią Bastianowi coraz trudniej było wysiedzieć w domu. Wszystko go drażniło, nie mógł spać, śnił mu się dziadek. Wychodził więc i spacerował, żeby pomyśleć. Złapał się na tym, że się włóczy bez celu. Zupełnie jak Wężyk.

– Jak tam idzie? – Na krzesło naprzeciwko niego klapnął Kaługa. Poczęstował się paluszkami.

– Całkiem nieźle. – Dziennikarz przywołał na twarz wyćwiczony uśmiech.

Kaługa upił łyk piwa.

– Odkrył pan coś ciekawego?

– A pańscy koledzy? – Bastian uniósł brew.

– Nawet jakbym wiedział, to nic nie mógłbym panu powiedzieć. – Kaługa rozłożył ręce. – To co tam pan wygrzebał?

– Badam pewien obiecujący wątek. – Bastian przybrał zagadkową minę. Jeśli koleś nie chce mu nic powiedzieć, to okej, mogą rozmawiać aluzjami.

Kaługa patrzył na niego spod półprzymkniętych powiek. Wsunął sobie w usta kolejnego paluszka.

– Dotyczący...?

– A panowie? – Bastian nachylił się do niego.

– ...finansów – dokończył Kaługa po chwili milczenia.

Bastian w duchu przybił sobie piątkę.

– Nie miał chłop szczęścia do partnerów w biznesie – odwzajemnił się i przepił do policjanta, który siedział z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Bastian wziął do ręki kilka paluszków i zaczął je uważnie oglądać. Kaługa milczał. W końcu wstał z krzesła.

– Proszę na siebie uważać – powiedział i odszedł, zanim Bastian zdążył go zapytać o Babiarskich.

Dziennikarz dopił piwo i podrzucił paluszka, łapiąc go w powietrzu ustami. Bingo, pomyślał.

Krystyna Serafin wyniosła do kuchni wazę po zupie i nad stołem zawisła cisza. Gerard nic nie mówił, mieszał łyżeczką w kompocie. Gnał na ten wieczór do Krakowa prosto z pracy, zdążył tylko przebrać się w świeżą koszulę i pojechali do rodziców Anki. Na pierwsze danie rzucił się tak wygłodniały, że aż było jej trochę wstyd, ale domyślała się, że znowu nie miał czasu na lunch.

Chemii między Gerardem a Antonim Serafinem nie było od początku. Była za to matematyka. Podczas pierwszej wspólnej

kolacji emerytowany profesor urządził ówczesnemu studentowi egzamin z całkowania. Na koniec Gerard zapytał półzartem, chociaż kącik ust drgał mu nerwowo, czy zdał. „Cztery minus”, wymruczał Serafin, a Anka wiedziała, że to u jej ojca niezła ocena. Profesorowi chyba się to nie podobało.

– Jak wam, dzieci, mijają wakacje? – zapytał Antoni Serafin, wycierając usta serwetką.

– Ja nie mam wakacji – odparł Gert. Po cieniach pod jego oczami można było poznać, że od dawna nie odpoczywał.

– Ach tak – mruknął profesor. – A ty, Aniu?

– Pracujemy z Bastianem – powiedziała bez przekonania. Zawsze się zastanawiała, czy jej ojca naprawdę to obchodzi. – Nowa sprawa, chodzi o ofiarę *Judenjagd*.

– Ofiarę czego? – Antoni Serafin pogłaskał się po łysinie.

– Polowań na Żydów. – Anka nałożyła sobie porcję ziemniaków, a Gerard rzucił się na mięso.

Między kęsem pieczeni a porcją surówki opowiedziała o ich poszukiwaniach, dziwiąc się, jak nieskładnie jej to idzie. Ojciec słuchał jej, marszcząc czoło. Minę miał nieprzeniknioną, a ona płatała się, jakby wygłaszała cudzy referat na konferencji z obszaru, na którym się nie zna. Wreszcie skończyła, a Antoni Serafin odsunął od siebie talerz na znak, że teraz to on będzie mówił.

– Pamiętajcie tylko, że w takich sprawach zawsze jest jakaś druga strona, która też ma swoją historię – oświadczył.

– To znaczy? – zapytała Anka.

– Pomożecie mi, dzieci? – Krystyna Serafin zerwała się od stołu i zaczęła zbierać naczynia.

Gerard zmiął serwetkę i wstał, zabierając półmisek. Anka i ojciec zostali sami.

– Ja nie mówię, że takie rzeczy się nie działy, ale miały charakter marginalny – kontynuował profesor. – A biorąc pod uwagę to, jak wyglądały stosunki polsko-żydowskie przed wojną, Żydzi nie byli tutaj zupełnie bez winy.

Anka usłyszała pluskanie wody w zlewie i śmiech matki. Jak zwykle najlepsza część imprezy przeniosła się do kuchni.

– Tato, ale my jeszcze nic nie wiemy. Ani kto, ani co, ani dlaczego. Mamy tylko martwą kobietę i złoty pierścionek, który ewidentnie zmienił właściciela.

– Niemniej uczulam, żebyście zachowali zdrowy dystans. – Ojciec znowu pogładził się po łysinie. – I nie kalali własnego gniazda. Nie chciałbym się za ciebie wstydzić przed kolegami z uczelni.

– Jeżeli nasze przypuszczenia okażą się prawdziwe, to uczucie wstydu będzie zupełnie uprawnione – rzuciła wojowniczo.

– Tylko po co to komu? – Profesor wzruszył ramionami. – Już wystarczająco dużo pomyj wylano na nas zupełnie niesprawiedliwie za granicą, żebyśmy jeszcze dokładali sobie sami. Powinniśmy promować pozytywne przykłady tych, którzy ratowali z narażeniem życia. To są prawdziwi przedstawiciele narodu, a nie męty i kryminaliści, którzy przecież są wszędzie. O tym powinniście napisać.

– Ale my nie chcemy pisać o narodzie – prychnęła. – Tylko o tej konkretnej kobiecie, którą ktoś najprawdopodobniej zabił. W tym momencie nie wiemy, co powinniśmy napisać, bo nie wiemy, co się wydarzyło. Badamy sprawę, musimy dopiero dojść do prawdy.

– Tylko nie dajcie sobą manipulować. – Antoni Serafin spojrział z troską na córkę. – Jeśli ktoś wam będzie coś mówił, pomyślcie, jaki ma w tym interes.

Anka zastanowiła się, jaki interes miała w mówieniu ciocia Wiesia.

– Jesteście młodzi – dodał – nie wiecie, jak było...

– A ty wiesz? – Ance nie podobało się to, co się z nią działo. Zaczął drżeć jej głos, trzęsły się ręce. – Pamiętasz okupację?

– Nie, ale przecież wiadomo...

– Nie wiedziałam, że interesujesz się historią współczesną. – Wydeła wargi, przesuając wzrokiem po grzbietach książek za jego plecami. Większość z nich zawierała w tytule wzory lub symbole matematyczne.

– I po co ta agresja, córeczko? – Antoni Serafin patrzył na nią pobłaźliwie, a ona pod tym wzrokiem dygotała ze złości. – Ania zawsze taka nabzdyczona? – zapytał Gerarda, który właśnie wnosił do pokoju filiżanki.

Chłopak usiadł.

– Nie. Chyba że ktoś ją wkurzy. Niedouczeni studenci albo niekompetentni koledzy.

Antoni Serafin poczerwieniał i już otwierał usta, kiedy w drzwiach pojawiła się Krystyna z dzbankiem.

– Komu herbaty? – zaszczębiotała. – O czym tam sobie rozmawialiście?

– O niczym istotnym. – Profesor ze zniecierpliwieniem machnął ręką i odchylił się na krześle.

Anka zwiesiła głowę. Nic nie powiedziała.

Bastian rzadko tam zaglądał.

Trolle zwykły się wyżywać na Facebooku i Twitterze, bo wyłączył w serwisie możliwość komentowania artykułów – gdy to ogłosił, reszta medialnej branży pukała się w głowę, a po cichu

szczerze mu zazdrościła. W mediach społecznościowych starał się nie wdawać w dyskusje z hejterami albo w ogóle nie czytać ich komentarzy. Te najbardziej ekstremalne Wiolka zgłaszała do administratora, który za każdym razem stwierdzał, że propozycje wysyłania całych grup wyznaniowych czy etnicznych do gazu lub wieszania przeciwników politycznych na latarniach nie naruszają standardów społeczności.

Skrzynka, do której trafiały wiadomości wysyłane przez formularz „Napisz do redakcji”, pełna była maili od oszołomów. Każdy taki strumień świadomości zawierał minimum trzy teorie spiskowe. Czasem trafiały się maile od zatroskanych obywateli, że Bastian musi natychmiast zająć się ich sprawą, albo od kanapowych krytyków rzeczywistości, którzy mieli w zanadru rozwiązanie każdego problemu: od kromki chleba spadającej masłem do dołu po globalne ocieplenie. Ci zwykle podpisywali się imieniem i nazwiskiem, a nierzadko tytułem naukowym.

Odkąd opublikował swój tekst o Dąbrowie, hejterzy, trolle, oszołomy, zatroskani obywatele i wujkowie dobra rada się uaktywnili, więc nie zdziwił się, widząc nieprzeczytaną wiadomość.

Wiem coś, co chciałbyś wiedzieć o Wężyku. Spotkaj się ze mną w sobotę o północy. Daj mi znać, że będziesz, czytam twojego bloga. Boję się.

Bastian wyprostował się gwałtownie.

Podpisu nie było, były za to koordynaty GPS. Wbił je w Google Maps. Czerwony wskaźnik ustawił się w środku zielonej pustki między Dąbrową a Szczucinem. Gdzieś tam zginął Węzyk, pomyślał Bastian i zrobiło mu się nieswojo. Przełączył mapę na zdjęcie satelitarne. Zieleń zafalowała i straciła jednolity kolor. Przecinały ją ledwie widoczne linie – drogi gruntowe.

Wstał od stołu i zaczął się przechadzać, przeczesując palcami włosy. Dąbrowa to małe miasto. Wszyscy wiedzą, że on prowadzi dziennikarskie śledztwo w sprawie Wężyka, a od paru dni wypytuje o Babiarskich. Musiało się rozejść.

Ktoś coś wie. Ktoś dostał sygnał. Ktoś się boi. Może dlatego chce się spotkać w takim miejscu. A może to pułapka?

Wężyk zadał się z szemraną rodziną Babiarskich. Chcieli się na nim odegrać za porażkę przy przetargu czy zwindykować dług? To przecież dla nich próbował majstrować przy zamówieniach publicznych na prace przy odnowie synagogi. Synagogi, na której ktoś wysmarował antysemitki napis, a na grobie Wężyka gwiazdę Dawida. Czytelne połączenie.

Nagle wszystko zaczęło się Bastianowi zgadzać. Napisy pozostawił po sobie nie morderca, lecz ktoś, kto coś wie, tyle że nie może albo nie chce tego głośno powiedzieć. I ten ktoś, widząc, że Bastian trafił na trop, postanawia nawiązać kontakt.

Musi tam pójść. Ale to skrajna nieostrożność. Nie wjedzie Brzydalem na drogę gruntową, a samotny spacer przez las o północy to szaleństwo. Nie może iść sam. Nie weźmie jednak Wiolki ani Anki, naraziłby je na niebezpieczeństwo. Poza tym, jakby coś się działo, to on musiałby je ratować. A potrzebował kogoś, kto w razie problemów obroni jego.

Przyszła mu do głowy jedna osoba. Ale Anka go zabije.

– Czy ja wiem? – Facet oparł się o ogrodzenie i podrapał po karku. – Nic nie mam do ujawnienia. Kupiłem tę ziemię piętnaście lat temu, jak starzy Wężykowie poumierali. Taka podupadająca, wiejska chałpa tu stała, tom zburzyłem i wybudowałem to.

Machnął w stronę domu. Biały tynk odcinał się od ciemnego

lasu. Zraszacz rozpaczliwie próbował ratować wyschnięty trawnik.

– Rodzina? Chyba wszyscy powyjeżdżali. Władek był najstarszy, wyprowadził się do Dąbrowy, do teściów, brat wyjechał do Ameryki, drugi brat, co z rodzicami mieszkał, wziął pieniądze za dom i też się gdzieś wyniósł. Stara Wężykowa była z Lisiej Góry, a Wężyk stąd. Miał chyba brata i siostrę, oboje też gdzieś wyjechali. A bo ja wiem gdzie.

Bąk z Wielickim bez entuzjazmu kiwali głowami. Rozpytanie w Oleśnie przyniosło niewiele. Rodzina Wężyka rozpierchła się po świecie, sąsiadów nie mieli, bo samotny dom pod lasem nie graniczył z niczyją posesją. Wszyscy ich kojarzyli, ale mało kto miał coś ciekawego do powiedzenia. Nie cieszyli się powszechnym szacunkiem. We wsi mieli opinię mruków i odludków.

– Tak, pamiętam go ze szkoły. Rwał się z pięciami, jak mu tylko ktoś podskoczył. Ale to wszyscy w rodzinie tak mieli. Z dziada pradziada chłopstwo, galicyjska bida, żydowskie wujki, a honorne takie, że można by pomyśleć, że szlachta jakaś – parsknął facet. – Wiecie panowie, z gołym tyłkiem, ale w ostrogach, jak to się mówi.

– Wężykowie pochodzili z Żydów? – zainteresował się Wielicki.

Bąk popatrzył na zegarek. Tracili tu tylko czas.

– Nie, Boże broń. – Facet zamachał rękami. – Mówiłem, z dziada pradziada chłopstwo. Tak się u nas po prostu mówiło.

– Ale Władysław Wężyk interesował się Żydami? – drążył Wielicki.

– Interesował, jakby już nie miał czym – przyznał tamten niechętnie. – Podobno chodził kiedyś i liczył żydowskie domy.

Jeden gospodarz go pogonił widłami i się skończyło. Nie wiem, skąd mu się to wzięło, czy na studiach w Krakowie i na tych pejsatych festiwalach mózg mu wyprali, czy go jakiś żydowski dybuk opętał, jak za dzieciaka włóczył się po cmentarzu w Dąbrowie i włamywał do synagogi.

Facet odprowadził ich wzrokiem znad płotu, gdy wsiadali do auta.

– Co za porażka – mruknął Bąk. – Franca znowu będzie niezadowolona. Ciekawe, za co ją odwołali z tej Bydgoszczy: za politykę czy może nikt z nią nie mógł wytrzymać. A nas pogoni, jak jej szybko czegoś nie przyniesiemy.

– Zaczynam wierzyć, że tego Wężyka zatłukł i przejechał jakiś żydowski dybuk – stwierdził Wielicki, błędząc wzrokiem po polach, które kończyły się ścianą lasu. – Zatłukł i rozpułynał się w powietrzu.

*

Granatowe rozgwieżdżone niebo zniknęło z zasięgu wzroku, gdy szosa na Szczucin powiodła w las i zamknął się nad nimi czarny baldachim liści. Bastian nie czuł chłodu, chociaż miał na sobie tylko kurtkę do biegania. Od środka grzała go ekscytacja. Złapał się uchwytów, gdy Gerard skręcił na drogę gruntową. Motorem zatrzęsło, silnik zawył. Zrobiło się chłodniej, z leśnego poszycia wstawała mgła.

Gdy przyszedł czas, Bastian z ulgą wsiadł na motor i odjechał, zostawiając w Dąbrowie obrażoną na Gerarda Ankę i obrażoną na niego Wiołkę, dodatkowo poobrażane na siebie nawzajem. Miał wrażenie, że większym niebezpieczeństwem jest zostawić je razem w jednym domu niż spotykać się z Bóg wie kim w środku lasu.

Wcześniej pojechali obejrzeć w dziennym świetle miejsce,

w którym się umówił. Trzeba było wdrzeć się głęboko w las, zboczyć z drogi gruntowej na ścieżkę, będącą w zasadzie dwiema koleinami. Ścieżka wiodła na polanę ze stosem drewna. To tam.

Po ciemku wszystko wyglądało inaczej. Sunęli tunelem żłobionym przez motocyklowy reflektor w chropowatej ścianie drzew, z której wystawały gałęzie. Gerard prowadził śmiało, ale dawało się wyczuć, że jest ostrożny. W pęknięciach tunelu nad ich głowami można było dostrzec gwiazdy. Dziennikarz poczuł mrowienie w palcach, ogarnęły go złe przeczucia. Jakby zmierzał w serce ciemności. Niełatwo będzie stąd uciec.

Wreszcie mrok się rozproszył i w świetle reflektora Bastian zobaczył stos drewna. Gerard zwolnił i zatrzymał motor. Dziennikarz zdjął kask, zeskoczył na miękkie poszycie. Gerard zgasił silnik. Zrobiło się cicho. Gdzieś nad nimi zerwał się nocny ptak, zatrzepotały ciężkie skrzydła. Grunt tutaj musiał być podmokły i buty zapadły się Bastianowi w wilgotną trawę. W koleinach stała woda. Wymacał w kieszeni dyktafon. Adrenalina pompowała krew. Usłyszał własny puls. Rozejrzał się.

Wtedy potężna jasność uderzyła go między oczy. Zaklął, zasłonił twarz ręką, zacisnął powieki i zobaczył siatkę czerwonych żyłek. Kiedy znów otworzył oczy, zorientował się, że w oddali, po drugiej stronie polany, długimi światłami celuje prosto w niego samochód terenowy. Drzwi były otwarte, ktoś za nimi stał, ale sylwetka ginęła w mroku.

Wyciągnął rękę i pomachał, postać odmachwała mu przyjaźnie. Strzygoń odwrócił się do Gerarda, który gestem zapytał go, czy ma iść z nim. Dziennikarz pokręcił głową i ruszył w stronę auta.

– Bastian! – usłyszał krzyk z za pleców. Rozbłysnął reflektor motoru. Zawył silnik. – Gleba!

Pierwszy strzał odbił się echem po lesie jak wybuch. Dziennikarz przypadł do ziemi, plasnął czołem w błoto, wczepił się palcami w trawę. Drugi strzał wyrwał go z szoku. Coś śmignęło koło niego, zaryło w poszycie. Gerard podjechał do dziennikarza, osadził motocykl i obrócił w miejscu jak konia na rodeo. Bastian zerwał się i na czworakach skoczył w jego stronę. Czuł, że w świetle reflektorów jest widoczny na polanie jak kawałek pieczeni na talerzu. Tylko go nabić na widelec.

Kątem oka zobaczył, jak postać za drzwiami samochodu znowu składa się do strzału. Myśliwy. Strzelba. Polowanie.

Wskoczył na motor. Ruszyli z kopyta, popędzili wąską koleiną w wilgotną ciemność lasu.

– Szybciej! – Bastian ujrzał, jak drzewa z przodu nagle rozjaśnia potężne światło halogenu. Terenówka ruszyła za nimi.

– To nie jest crossowy motor! – krzyknął Gerard, ale przyspieszył.

Maszyną zachybotalo. Bastian wyjrzał zza pleców Gerarda. Przed nimi w zawrotnym tempie śmigały ostro zakończone włócznie gałęzi. Motocykl trzymał się koleiny, rozbryzgując błoto na boki. Gerard balansował całym ciałem, żeby utrzymać równowagę. Zwalniał przed bryłami ziemi, omijał kamienie i leżące na drodze konary. Bastian nie mógł na to patrzeć. Odwrócił się. Samochód niebezpiecznie zmniejszył dystans. Huknął kolejny strzał, gdzieś nad ich głowami. Bastian skulił się i przywarł do Gerarda. Facet strzela, jadąc, czy jest ich dwóch? – pomyślał.

Zrobiło się jaśniej, wypadli na szerszą gruntową drogę. Bastian odetchnął z ulgą. I szybko zmienił zdanie. Bo uwolniony z błotnistych kolein samochód pognał szybciej, nic sobie nie robiąc z wykrotów i korzeni, które dla nich były śmiertelnym

zagrożeniem. Gerard jeszcze przyspieszył. Motocykl chwiał się, ślizgał, skakał. Tylko cudem jeszcze jechali. Bastianowi serce waliło jak zajęcowi osaczonemu przez nagonkę.

Motor nagle zarył przodem i obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni. Bastian wrzasnął, widząc, jak zbliża się auto. Ale wtedy Gerard pochylił się nisko i motocykl jak pocisk śmignął między drzewa.

– Zabijesz nas! – ryknął mu do ucha dziennikarz.

Gerard odkrzyknął coś, co brzmiało jak: „I tak nas zabijają!”.

Ominęli dużą kałużę, świecącą w mroku czarnym światłem jak plama ropy, i mozolnie parli wąską ścieżką naprzód. Światła przygasły, Bastian usłyszał wycie silnika na wysokich obrotach. Obejrzał się. Samochód forsował kałużę, chlapiąc fontanną błota. Huknął za nimi jeszcze jeden strzał, bardziej na wiwat i ze złości. Pogłos poniósł się echem po lesie. Potem znowu rozległo się rżenie silnika.

Bastian poczuł, jak coś ciepłego płynie mu po twarzy. Pot czy łzy?

Gerard się rozluźnił. Znów wyjechali na drogę gruntową. Skręcili w lewo, przejechali jeszcze kilkadziesiąt metrów i stanęli. Gerard zeskoczył i wprowadził motor w krzaki. Zdjął kask i wyjął smartfona z kieszeni kurtki.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – mruknął.

Pochylili się nad ekranem. Wyglądało na to, że zbczyli daleko od asfaltowej szosy i są już blisko Podborza.

Bastian podzwaniał zębami. Ubłocone ciuchy były przemoczone, a jego ciałem wstrząsały dreszcze.

Gerard wyjął z kufra bluzę.

– Masz.

– Ty nie chcesz? – zapytał dziennikarz.

– Nie, wożę ją dla Anki. Jej jest wiecznie zimno, ale nigdy nie chce się ciepło ubrać, więc potem chodzi z rękawami do kolan.

Bastian wciągnął na siebie bluzę. Zrobiło mu się cieplej, znajomy zapach perfum Anki pomógł się uspokoić. Oddech powoli wracał do normy.

Gerard nagle zgasił ekran smartfona.

– Cicho – szepnął.

Nasłuchiwali. Najpierw dobiegł ich pomruk silnika, potem zobaczyli poświatę we mgle. Wskoczyli w krzaki, Gerard ściągnął kurtkę i zarzucił ją na tylne światło odblaskowe motocykla, żeby ich nie zdradziło. Przypadli do ziemi i zamarli.

Samochód, zielony łazik, jechał wolno, świecąc halogenami. Bastian starał się dojrzeć zza krzaków tablicę rejestracyjną, ale była zachlapaną błotem. Za kierownicą siedziała ciemna postać w czapce z daszkiem. Z daleka można by pomyśleć, że to leśnik. Kiedy auto ich mijало, Bastian wstrzymał oddech, aż zrobiło mu się czarno mu przed oczami. Miał ochotę zapaść się pod ziemię, zakopać w liście, wtopić w ściółkę. Samochód minął ich i pojechał dalej, ale on jeszcze chwilę leżał bez ruchu.

W końcu odwrócił się na plecy i popatrzył w niebo. Oddychał, wciągając głęboko w płuca mgłę i zapach butwiejących liści. Nad nim kołysały się konary, przez nocne niebo sunęła chmura. Żył. Nagonka przeszła bokiem.

Gerard wstał i otrzepał spodnie.

– Mamy towarzystwo. – Wskazał głową zarośla obok drzewa, gdzie lśniły odbitym światłem dwa okrągłe punkciki. Postąpił krok ku nim. Z krzaków śmignął lis, zamiatając kitą.

Gerard oparł się o drzewo. Poklepał się po kieszeniach i zrezygnowany opuścił ręce.

Bastian wyjął zamkniętą paczkę papierosów i wyciągnął

przed siebie.

– Dzięki, rzuciłem – mruknął Gerard.

– Anka cię zmusiła? – zaśmiał się Bastian i wsunął sobie papierosa w usta. Drżącymi palcami skrzesił ogień zapalniczką.

– Nie, ojciec. Wyliczał, ile czasu w pracy spędzam na fajce. Czekałem, aż zaczniesz mi potrącać z pensji.

Bastian wypalił papierosa w ekspresowym tempie. Dalej drżały mu ręce. Oczy wciąż skanowały ciemność, słuch próbował wyłapać wśród odgłosów nocy pomruk silnika.

– To był zły, zły pomysł – wymamrotał. – Dlaczego mnie nie powstrzymałeś?

– I tak byś pojechał. – Gerard wzruszył ramionami. – Ja też jestem głupi. Zachciało mi się wyrwać z kieratu i poganiać po lesie – rzucił ze złością. – No to i nas pogonili. Jak zwierzynę.

– Powiemy Ance? – Bastian wsunął ręce w kieszenie bluzy.

– Musimy.

– Wścieknie się.

Gerard pokiwał głową.

– No. Porażka.

– Niezupełnie – uśmiechnął się Bastian. – Dowiedzieliśmy się, że ruszyłem coś, co bardzo się komuś nie spodobało. To znaczy, że wędzimy w dobrym kierunku.

Jeszcze nigdy tak się nie ucieszył, widząc przed sobą majaczące w ciemnościach zabudowania, latarnie, samotną topolę. Kiedy wyjechali z lasu, miał ochotę krzyknąć ze szczęścia. Na polach w świetle księżyca kołysało się zboże. Wilgoć lasu zastąpił odurzający zapach stygnącej ziemi.

– Chewie, jesteśmy w domu! – wrzasnął.

Gerard nie odpowiedział, ale od szczerego śmiechu zatrzęsły

mu się plecy.

Judyta Franz zajrzała do kubka, na którego dnie zaschła warstwa fusów. Popatrzyła na komórkę – było po północy. Mężowi napisała, że wróci późno. Potem wymienili kilka SMS-ów, kiedy będzie, ostatni, że on idzie spać.

Obok leżał jej pokreślony kolorowymi długopisami zeszyt. Podśluch w aucie Babiarskich na razie nic nie wnosił. Szemrani bracia nie snuli planów przejęcia władzy nad światem, korumpowania polityków ani nawet rozmyślnego i celowego oszukiwania urzędu skarbowego. Narzekali na rozrzutne żony, leniwych zięciów, długie terminy oczekiwania na usługi w NFZ, ocieplenie klimatu i niesatysfakcjonującą ofertę programów w telewizji publicznej.

Miała wrażenie, że rozwiązanie sprawy Węzyka jest na wyciągnięcie ręki. Że coś przegapiają. Wszystko dlatego, że jest tutaj obca, zezłościła się. Jednak w poprzednim mieście pracowała przez piętnaście lat i dalej była tam obca. Może to z nią jest coś nie tak?

Zaburczało jej w brzuchu. Zjadła obiad, potem była już tylko kawa. Zupełnie o tym zapomniała. Zamknęła zeszyt i pustym korytarzem prokuratury rejonowej ruszyła do wyjścia. Pustą o tej porze ulicą Stefana Wyszyńskiego poszła do pobliskiego Tesco. Zakłęła pod nosem – zamknięte. W normalnych miastach było czynne dwadzieścia cztery godziny na dobę. Powędrowała więc na stację benzynową BP. Zjadła tam hot doga, zużywając pół paczki chusteczek, popiła kawą.

W połowie drogi powrotnej zorientowała się, że ktoś za nią idzie. Zwolniła, wsłuchując się w odgłosy za plecami. Ktoś, kto szedł za nią, też zwolnił. Poczowała mrowienie w czubkach palców. Wsunęła rękę do torebki – telefon został na biurku. Wymacała

chusteczki, kluczyki do samochodu, portfel. Nic, czym mogłaby się obronić. Przyspieszyła. Tamten też przyspieszył. Przystanąła. Kroki zwolniły, w końcu ucichły.

Wiedziała, że nikt normalny by się tak nie zachował, ale wiele razy słyszała, że jest nienormalna. Powinna rzucić się do ucieczki z nadzieją, że jako pierwsza dobiegnie do budynku prokuratury. Powinna krzyżeć. Nie pobiegła. Nie krzyżała.

Powoli się odwróciła.

Anka zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Wrócili, gdy miały już z Wiołką dzwonić na policję, brudni, jakby czołgali się po lesie.

Bastian przemknął przez dom i dopadł do okien od strony ulicy. Kuląc się przy framudze, zatrzasnął okiennice. Przyskoczył do drzwi, odsunął Ankę, zamknął antywłamaniowe zamki. Złapał telefon. Odłożył go. Znowu chwycił. Opadł na krzesło.

Anka nie powiedziała ani słowa, pozwoliła Gerardowi się wykapać i gestem zaprosiła go do sypialni. Bastian pokazał mu ukradkiem, że trzyma kciuki. Skąd taka nagła komitywa? – pomyślała.

– Gert, po co ci to było? – zapytała, zakładając ręce na piersi.

– Prosił mnie o pomoc. Jakby poszedł sam, toby nie wrócił.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Patrzyła na niego z troską pomieszaną ze złością. – Nie chcę, żebyś się narażał.

– A jak wozilem cię do Kamienia, to było okej?

– To co innego. – Zmieszała się i spuściła wzrok.

– Dlaczego?

Tu ją miał. Nie chciała przyznać sama przed sobą, że panicznie się o niego bała. To z jej powodu zwykle wpadał w tarapaty. Czowała się dobrze, kiedy miała go na oku, gdy byli we dwoje

w domu, czytali coś, oglądali filmy, rozmawiali. Wtedy wszystko znajdowało się na swoim miejscu, a ona była spokojna. Czasem tylko pojawiała się obawa, czy aby jemu też takie spędzanie czasu wydaje się ideałem wspólnego życia.

– Nie o mnie teraz rozmawiamy. – Uciekła od tematu. – Co się dzieje? Brakuje ci czegoś? Nudzi ci się ze mną?

– Te same pytania mógłbym zadać tobie. – Popatrzył jej z wyrzutem w oczy.

– Odpowiedz, proszę.

Usiadł na łóżku i podparł głowę dłońmi.

– Każdy dzień jest podobny do poprzedniego. Kawa, motor, biuro, zjeba. A wszystko kręci się w takim tempie, że nie mam nawet czasu zatrzymać się i pomyśleć, czy ja tego chcę.

Przysiadła obok niego, udo w udo, położyła mu dłoń na kolanie.

– Wydawało mi się, że jak już skończę te cholerne studia i stanę się samodzielny, to będę... – przetarł twarz dłonią – nie wiem, robił jakieś ciekawe rzeczy, realizował się. Nie słuchaj, *sorry*, chyba uwierzyłem w jakieś motywacyjne bzdety z internetu i teraz mam za swoje. A tak to z powrotem jestem małym chłopcem, który próbuje zadowolić tatusia.

– Myślałam, że to kochasz – powiedziała cicho.

– Co? – Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Projektowanie.

– Kocham – odparł z ociąganiem. – Ale to są momenty. Jak wpadam na pomysł, nieważne gdzie, przy biurku, w kiblu, na motorze, i muszę natychmiast go narysować, zanim mi ucieknie. Jak widzę potem, jak ten pomysł nabiera ciała. Ale na co dzień to jest kierat, aż ci oczy wypływają i kręgosłup napieprza.

Położył się na łóżku, wpatrując się w sufit, i zaplótł dłonie pod

głową.

Rozumiała go. Dla niej uczelnia była źródłem codziennych frustracji i odświeżających olśnień.

– Anka? – odezwał się nagle. – Czy da się do tego przyzwyczaić?

– Do czego?

– Do tej – chwilę szukał słowa, głos zawibrował mu wściekłością – stresującej nudy. A stary? Czy on kiedykolwiek będzie ze mnie zadowolony?

Położyła się na boku koło niego, wsunęła mu dłoń pod podkoszulek i zaczęła skubać złoty puszek, który wyrastał mu poniżej pępka.

– Da się – odparła. Miała w tym niezłą praktykę. Swego czasu do stresującej nudy przyzwyczaiła się tak bardzo, że pomyliła ją z życiem. – A ojciec? Nie wiem. Ja ciągle czekam.

Nie odpowiedział, tylko ją objął i dalej patrzył w sufit.

– Tęsknię za tobą, Gert – szepnęła.

– Wiem – westchnął. – Ale przetrwamy to, a potem...

– A potem co? – zapytała, bo urwał.

– A potem jakoś to będzie.

– Nie chcę, żeby było jakoś. – Głos jej zadrżał. – Chcę, żeby było dobrze.

– Panie komisarzu, dlaczego pan za mną idzie? – zapytała Judyta Franz.

Mariusz Kaługa podszedł i ukłonił się z przepaszającym uśmiechem.

– Chciałem dopilnować, żeby nic się pani nie stało. Jest środek nocy. A sprawa, którą pani prowadzi... Babiarscy to

niebezpieczni ludzie – zaplątał się.

– Inwigiluje mnie pan? – Zdążyła już ochłonać. Pogardliwie wykrzywiła wargi, patrząc na podkomisarza; z reklamówką z zakupami wyglądał bardziej jak spóźniony klient, który nie załapał się do Tesco, niż jak kryminalny śledczy.

– Też żem siedział dzisiaj do późna w pracy, oglądałem nagrania z monitoringu – zaczął. – Wracalem do domu, pomyślałem, że zatankuję i coś kupię na wieczór. Zobaczyłem panią przy kasie i nawet bym podszedł i zagadał, ale mi się głupio zrobiło. – Spuścił wzrok. – Wiem, co sobie pani o mnie myśli. Nie wiedziałem, co powiedzieć, to żem chciał przynajmniej się upewnić, że bezpiecznie dotarła pani do biura.

Poprawiła włosy i rozluźniła palce, którymi kurczowo ścisnęła torebkę. Nie zwróciła wcześniej uwagi, że prokuratura w Dąbrowie graniczy z odludziem. Niedaleko zaczyna się droga na Szczucin – tam zginął Wężyk. Powinna kupić sobie gaz.

– Przyjdę do pani, jak już będę miał coś konkretnego, to porozmawiamy – kontynuował Kaługa. – Może inaczej pani wtedy...

– W sprawie napisów proszę się kontaktować z panią asesor – przerwała mu i ruszyła niespiesznie w stronę prokuratury. Poszedł za nią.

– Ale nie zaprzeczy pani, że to się wiąże! – mówił szybko. – A ja bardzo bym się chciał przydać do rozwiązania sprawy śmierci Władka Wężyka, naprawić swoje błędy. Dlatego żem tyle siedział po nocach, obiecałem sobie, że złapię łobuza od tych napisów, choćby my mieli obejrzyć monitoring z całego powiatu!

Co za żaloszny typ, pomyślała. Teraz się podlizuje, a za plecami pewnie wyraża się o niej gorzej niż bracia Babiarscy o NFZ.

– Nie potrzebuję opieki. – Jej wzrok prześlizgnął się bez

zainteresowania po twarzy Mariusza Kaługi. Skinęła mu głową, odwróciła się i różnym krokiem skierowała się w stronę wejścia do prokuratury. Drzwi zamknęły się za nią z cichym szcęknięciem.

– Dziękuję – mruknął za nią. – I do widzenia.

Bastian długo stał pod prysznicem, patrząc, jak drobiny piasku znikają w odpływie. Umył zęby, plując piaskiem, wyszorował paznokcie. Gorąca woda spływała mu po karku, pomagała się odprężyć. Owinięty w ręcznik, przeparadował przez salon, odprowadzany spojrzeniem Wiolki, i zamknął za sobą drzwi sypialni. Przebrał się w dres i położył. W oczach ciągle miał poblaski od światła reflektora. W uszach strzał i wizg pocisku. Co teraz? – pomyślał. Ma odtąd siedzieć ufortyfikowany w domu? Wracać do Krakowa?

Uciec?

Zza ściany dobiegały odgłosy rozmowy. Nie słyszał słów, ale znał ten ton Anki, kiedy jest zła i wydaje jej się, że ma rację. Gerarda prawie nie słyszał.

Dotarło do niego, co się wydarzyło. Gert zorientował się chwilę przed nim. Krzyknął. I zapalił długie światło w motorze, oślepiając nim strzelca.

Uratował mu życie.

Za ścianą w końcu wszystko ucichło, ale w ciszy można było wyłapać inne odgłosy. Bastian wstrzymał oddech i wytężył słuch. Zrobiło mu się cieplej i ogarnęła go irracjonalna złość, zupełnie jak wtedy, kiedy w tym pokoju podczytywał „Wiedźmina”. Wstał energicznie z łóżka i otworzył drzwi. Przecież nie będzie podsłuchiwał, jak Anka Serafin uprawia seks.

W salonie wciąż paliła się lampa, a Wiolka siedziała po

turecku na kanapie. Podniosła głowę, gdy go zobaczyła.

– Nie śpisz? – zapytał, otworzył lodówkę i sięgnął do środka po piwo.

– Nie, zaparzyłam sobie kawę, jak pojechaliście, więc teraz nie mogę spać.

Zrobiła mu miejsce na kanapie. Usiadł. Bolała go głowa, z napięcia, a może od tych ewolucji na motorze. A może to duchota, która wisiała w tym domu i żaden wentylator nie dawał jej rady. W dusznym półmroku po ścianach pełzały cienie.

– Trzeba zawiadomić policję – stwierdziła Wioletka.

– Wiem – odparł słabo. – Ale powoli. Muszę pomyśleć, czy informacji o tym, co się stało w lesie, nie da się na coś z policją przehandlować. Albo z prokuraturą. – Ścisnął palcami nasadę nosa. – A teraz nie mam siły.

– Wiem. Bastian?

– Co?

– Jezu, jak ja się o ciebie martwiłam. – Przysunęła się do niego.

Powinien warknąć, przewrócić oczami, powiedzieć coś, co ją zrani, żeby trzymała się z daleka. Ale właściwie dlaczego? – przeszło mu przez myśl. Dlaczego tak się przed nią broni? Zawsze mu się podobała, zgrabna czarnula w jego typie. Dlaczego żyje tutaj jak pustelnik? Dla kogo ten celibat, bo chyba nie dla niego samego? Dzisiaj mógł zginąć. Należy mu się coś od życia. A przecież ona też tego chce. I niedoczekanie, żeby Anka miała bardziej udane życie erotyczne od niego.

– Dzięki – powiedział i popatrzył jej w oczy.

Nie musiał nic mówić, zrozumiała. Uśmiechnęła się i usiadła mu na kolanach, obejmując udami. Nachyliła się i podała mu usta. Smakowała pastą do zębów, pachniała balsamem do ciała.

Włożył ręce pod jej bluzkę, zgrabne, szczupłe ciało zareagowało dreszczem na jego dotyk, wyprężyło się, zafalowało. Wsunęła mu palce we włosy, uniosła się na udach, odchyliła głowę. Poczul gorący oddech na swojej skroni, pulsującą ciepłem tętnicę szyjną pod językiem. Podążył za nią aż do obojczyka, sforsował go i zsunął się niżej, w bezpieczną, miękką dolinę, aż napotkał skraj obcisłego topu, pod którym nie było stanika. Podciągnął jej bluzkę, otworzył oczy.

Zobaczył skupioną twarz Wiolki, drobne piersi, gęsią skórkę. Ujrzał okno, za którym kołysało się drzewo, a w szybie odbijała się poświata lampy. Dobrze znał ten widok, dokładnie tak odbijał się kiedyś w szybie telewizor. Jakby słyszał babcię, gdy z dezaprobatą parskiała: „Wyłączcie tę goliznę”, kiedy w filmie pojawiały się momenty. Pocałunek. Kobieta w bieliźnie. Naga męska klata. Ich dwoje w świetle lampy. Widział obrzydzenie w jej otoczonych siatką drobnych zmarszczek oczach.

Potrząsnął głową. Miał wrażenie, że cienie na ścianie poruszają się niezależnie od ich rytmu. Że patrzą na nich z każdego kąta.

Wiolka wyczuła, że coś jest nie tak, bo jej dłonie zsunęły się niżej, między jego uda. Zamknął oczy i spróbował się skupić, chociaż w jego ruchy wkradła się fałszywa nuta. Ścisnął jej pierś, aż jęknęła, ale jej język dalej błędził z zapamiętaniem w jego ustach. Starła się. Bardzo. Znów poczul irytację. Wyobraził sobie czerwoną wersalkę Karoliny Engel. Prysznic w łąckim pensjonacie. Pomogło.

Ugryzła go w wargę, otworzył oczy. Zza zasłony jej włosów zobaczył lodówkę, kąt kuchni, gdzie kiedyś stał piec. To tam dziadek kazał jemu i Bogdanowi spalić „te świństwa”, kiedy znalazł pod łóżkiem zaczytany – jeżeli o czytanie w tej gazecie chodziło – numer „Twojego Weekendu”, który studiowali wtedy

z kuzynem niczym atlas geograficzny przed daleką podróżą. Bastianowi przypomniawszy się drżący, pełen wyrzutu głos, gdy dziadek mówił o Bogu, który widzi wszystkie ludzkie śmiertelne grzechy, nawet te najgłębiej ukryte. A różowe ciała modelek na papierze kurczyły się przy tym i czerniały, popielejąc w ogniu.

Uwolnił usta z jej pocałunku, oddychał ciężko. Jego dłonie machinalnie krążyły od jej bioder do piersi, ale coś się ulotniło, zwiędło, rozpląnęło się. Jak miał się z nią kochać, gdy ten cień na niego patrzy?

– Bastian, wszystko w porządku? – zapytała.

– Chodźmy stąd. – Prawie zrzucił ją z siebie i wstał z kanapy. – Chodźmy się przejść.

Poprawiła bluzkę, odszukała bosymi stopami japonki. Nie odezwała się, zasłoniła twarz włosami. Boże, żeby tylko się nie rozplakała, pomyślał. Był na siebie wściekły. Za to, że zaczął. Za to, że nie skończył. Za to, że w ogóle tu był.

Wyszli w ciemność, ramię w ramię, nie mówiąc ani słowa. Minęli wykop pod basen, poszli dalej w pola. Poczęstował ją papierosem, wypaliła w milczeniu. Szli blisko siebie, czuł ciepło jej ciała, dotyk jej ramienia muskającego jego ramię. W ciemności jej profil lśnił jak egipski posąg. Nie oglądał się za siebie, gdy minęli zagajnik tam, gdzie ścieżka zakręca, i światło domu zniknęło im z pola widzenia.

– Bastian – zabrzmiało to, jakby nie miała zamiaru pozwolić sobie przerwać, kiedy będzie to wreszcie z siebie wyrzucać – kiedy cię poznałam, byłeś znany z tego, że dymasz wszystko, co się rusza i na drzewo nie ucieka: zalane w trupa małolaty z klubów dla studentów, najgorsze wywłoki na branżowych imprezach. Więc powiedz mi teraz z łaski swojej, co jest ze mną nie tak, że mnie nie chcesz? Nie obrażę się i dam ci spokój, tylko

mi powiedz. Chodzi o Ankę?

Przystanął i odwrócił się do niej. Błyszczały jej oczy, drżały wargi. Chwycił ją za rękę.

– Nie – odparł. – Chodzi o ten dom.

Chciała coś powiedzieć, ale zamknął jej usta pocałunkiem. Zsunął ramiączka jej topu, poddała mu się, osunęła między łany dojrzałego zboża, w bruzdę ziemi, w zapach schnącej na słońcu słomy, wśród jej chropowatości raniącej skórę prawie do krwi, w żyto, w życie. Zlizywał sól z jej policzków, wdychał zapach ziemi, gdy ziarna sypały się im we włosy z nabrzmiąłych kłosów. Po polu niosły się ich rwane oddechy, jęki, a wreszcie wspólny krzyk.

Odwrócił się na plecy i drugi raz tej nocy popatrzył w niebo. Gwiazdy wirowały mu przed oczami. Odetchnął głęboko, do oporu, do dna napił się powietrza. Ustąpił opór w płucach, jakby wreszcie, przynajmniej na chwilę, to, co siedziało mu na piersi, odleciało spłoszone.

Sól, ziemia, krew, pot, łzy i nasienie. Na ofiarę, myślał, na odczynienie uroku. Na przekór zmorze z martwego domu.



ROZDZIAŁ 9

Pistacjowe seicento zadygotało i zgasło. Bastian wyszarpnął kluczyk ze stacyjki i podniósł wzrok na klocek polski z poczerńiałej cegły. Pchnął bramkę. Skrzypnęła. Ogród zdawał się wyszarzały, wyblakły, wysuszony na wiór. Postąpił ścieżką z płyt chodnikowych poprzerastanych kępami traw. Mocował się z przyciskiem dzwonka w stwardniałej ze starości wodoodpornej obudowie. Usłyszał za drzwiami daleki terkot.

Miał nadzieję, że Janina Wężyk będzie w stanie rozmawiać. Chciał jej zadać kilka pytań. Zastanawiał się, jak jej nie spłoszyć. Jeśli do gry przystąpiły lokalne szemrane typy, może być różnie. Ale czasem sposób, w jaki ktoś ukrywa prawdę, może wiele powiedzieć.

Za drzwiami rozległy się posuwiste kroki. Szczęknęły zamki. Janina Wężyk miała jeszcze ciemniejsze wory pod oczami niż ostatnio.

– To pan – powiedziała z rozczarowaniem. – Myślałam, że to Maciek wrócił.

– Syna nie ma? – odparł. – Mogę wejść?

W korytarzu czuć było wilgocia i rozgotowanym ryżem. Niepytany skierował się do salonu i przysiadł na skraju wersalki. Na ławie stał kieliszek koniaku, leżały tabletki i zeszyt „500 krzyżówek panoramicznych”.

– Pani Janino – zaczął, gdy kobieta usiadła w fotelu. Obok

krzyżówek położył dyktafon, na który nie zwróciła uwagi. – Ustaliliśmy pewien wątek z przeszłości pani męża. Pamięta pani – zagaił ostrożnie – jak pracował w urzędzie miejskim?

Jej twarz złagodniała.

– To był dobry czas – powiedziała miękko. – Władek wychodził na ósmą, wracał o siedemnastej, nie kombinował, zrelaksowany był. Robił swoje. Nie walczył.

Zamilkła.

– Czy mówi pani coś nazwisko Babiarscy? – zapytał.

Jej rozmyte lekami uspokajającymi spojrzenie na chwilę się wyostrzyło.

– Policjanci też się o nich pytali. I o dług.

Dziennikarz się wyprostował. Podszłuchał w knajpie U Bosmana, gdy Kaługa dzielił się swoimi podejrzeniami z gliniarzami z wojewódzkiej, że Wężyk był zadłużony. Nie w banku. „Są tu tacy różni” – dobrze skojarzył, że w „wątku finansowym”, który według przecieku wyduszonego od Kaługi bada teraz policja, chodziło o Babiarskich. Wszystko się zgadzało.

Wężyk obiecał Babiarskim, że pomoże ich firmie wygrać przetarg. Musiał za to dostać sporą kasę. Naobiecował, ale się nie udało, wyleciał z hukiem z projektu. Normalne, że bracia Babiarscy zażądali zwrotu pieniędzy.

A co, jeśli on zdążył te pieniądze wydać? Czy szemrani dąbrowscy biznesmeni posunęliby się do zabójstwa? Według oszczędnych informacji prokuratury Wężyk został pobity na śmierć, a potem upozorowano wypadek. Może wierzyciele chcieli go przycisnąć, spuścili mu łomot i coś poszło nie tak? Może któryś cios okazał się zbyt mocny?

Dziwne było tylko to, że od przetargu minęło dziesięć lat.

Czekaliby tak długo?

Ale po wydarzeniach w lesie jeszcze jeden element układanki znów przestawał mu pasować: gwiazda Dawida na grobie i graffiti na bożnicy. Czy mordercy ogłaszaliby tak ostentacyjnie, za co został zabity? – myślał Bastian gorączkowo. A może właśnie cała Dąbrowa miała się dowiedzieć, że Wężyk nie dotrzymał słowa i zginął za synagogę? I to akurat wówczas, gdy odkryto u niego pod sadem kości?

Coś go tknęło. A może jest jeszcze inaczej? Może napisy to jedna wielka zmyła? Może kości z dziadkowego sadu spadły mordercom z nieba? Sprawca wymyślił, że jeśli śmierć Wężyka skojarzy się wszystkim z kośćmi i wszyscy będą myśleli, że to zbrodnia z nienawiści, że chodzi o Żydów, to nikt nigdy nie wpadnie na to, że poszło o zaległy dług sprzed lat?

– A potem sami Babiarscy też u mnie byli – dokończyła kobieta. Bastian się ocknął. – Ale my już jesteśmy z nimi kwita – dodała.

Trzasnęły drzwi. Wężykowa odwróciła się gwałtownie.

– Maciuś, to ty? – Wyciągnęła szyję w stronę korytarza. Przygarbiony chłopak stanął w drzwiach pokoju i obrzucił Bastiana ponurym spojrzeniem.

– Co on tu robi?

– Martwiłam się o ciebie, Maciuś, gdzie ty chodzisz?

– Co on tu robi, pytam się?

– Maciuś, zachowuj się, pan jest gościem. Niech pan nie zwraca na niego uwagi, jest podenerwowany. O czym to ja...

– Że Babiarscy byli u pani – podpowiedział Bastian półgębkiem, żeby Maciej Wężyk nie dosłyszał. Ale dostrzegł, że tamten zmienia się na twarzy. – I że już jesteście kwita.

– No tak, bo ja im oddałam resztę długu.

– Jak to? – zapytali jednocześnie Bastian i Wężyk.

– Z tego, com znalazła w ojca rzeczach – dodała, nie wiadomo, czy do dziennikarza, czy do syna.

– Co pani znalazła? – naciskał Bastian.

– W tatowych rzeczach?! – wychrypiał Maciek.

– Ratę.

– Jezu, mammo!

– Pani Janino. – Bastian nachylił się do niej, kładąc rękę na jej dłoni i kątem oka obserwując, jak Maciej Wężyk gwałtownie chwyta się za włosy. – Proszę opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Zamglonym wzrokiem patrzyła w podłogę, z półotwartymi ustami.

– Po policjantach przyszli Babiarscy. Bardzo grzeczni. Że współczują. Że Władkowi pomagali tyle lat. I że byli umówieni, miał im oddać ostatnią ratę. I czy ja coś wiem. Ja im na to, że nie wiem, bo mi nigdy nic Władek nie mówił. Na to oni, żebym poszukała, a oni wrócą. Bo jak pieniądze się nie znajdą, mówili, to będzie kłopot, i że wtedy Maciek będzie musiał zapłacić, tak powiedzieli.

Przycisnęła przedramię do czoła.

– Tom poszukała. I były, w torbie, schowane w jego szafie, głęboko. I wtedy co oni wrócili, tom im oddała wszystko, żeby już więcej nie pytali o Maćka.

– W takiej sportowej torbie?! – ryknął nagle chłopak. Bastian aż się wzdrygnął.

– Ojciec był im winien! – Jej głos rozmazywał się i dławił, a twarz poczerwieniała, gotowa do płaczu.

– Trzydzieści tysięcy! – zawył Maciej. – Jezu Chryste!

– Mówili, że inaczej ty byś za to zapłacił! – krzyknęła

przytomnie.

– Jezu!

– Jak żeś ty je też znalazł, to czemuś mi nie powiedział?! – wyjęczała. – Może by się co wcześniej okazało?

– Kurwa! – krzyknął. Porwał z półki figurkę konia stojącego dęba, cisnął nią w witrynę z książkami. Trzasnęło szkło. Kopnął stojący przy ławie puf, aż potoczył się na środek pokoju. – Kurwa! – wrzeszczał, zrzucając z półki książki Normana Daviesa i zdjęcie ojca z Wałęsą. – Czy on musi mnie wkurwiać, nawet jak już zdechł i go nie ma?!

– Maciek!

– Tak, znalazłem! Mówię sobie, będzie na nowy start! Coś się zacznie nowego, wyjedzie się!

Bastianowi w uszach świdrowały łkanie i wrzask, brzęk szkła i hurgot spadających na ziemię przedmiotów. Maciej Wężyk, ze skurczoną, purpurową twarzą, szalał.

– To były nasze pieniądze! Twoje pieniądze!

– Ojca pieniądze! – próbowała mu przerwać. – Pożyczył!

– I moje pieniądze! – Nie słuchał jej. – Byłby przynajmniej raz pożytek z tego trupa! A teraz co?! Co?!

Zatrzymał się, skulony, z paznokciami wbitymi we własne policzki. Podniósł wzrok. Najpierw na matkę.

A potem na Bastiana, który właśnie zabierał z ławy włączony dyktafon.

Stała pod kolumnami wspierającymi portyk monumentalnego kościoła, o którym w Dąbrowie mówiło się „nowy”, choć liczył już przeszło pół wieku. To dla odróżnienia od starego kościoła, drewnianego, osiemnastowiecznego cudeńka o trzech nawach, w którym Anka z Gerardem spędzili wcześniej godzinę. Młody

architekt stał pośrodku z szeroko otwartymi oczami i poruszał nozdrzami, jakby próbował się nauczyć smolno-kadzidlanego zapachu świątyni na pamięć. Przez chwilę wyglądał, jakby był religijny.

Nowy kościół był inny. Triumfalna kopuła wyrastająca z czterech portyków wieńczyła szczyt parkowego wzgórza niczym symbol zwycięstwa. Może nad komunistycznymi władzami, bo Anka wyczytała, że kościół powstał w głębokim PRL-u systemem gospodarczym, wzniesiony gołymi rękami dąbrowiaków. Może nowego nad starym, bo stał na miejscu barokowego pałacu Lubomirskich, strawionego pożarem w roku rabacji galicyjskiej. A może jeszcze innego zwycięstwa: monumentalna synagoga w centrum miasteczka domagała się równie monumentalnej odpowiedzi.

Msza się skończyła i z zakrystii wyszli ministranci, z odzianych na biało cherubów przedzierzgnięci na powrót w łobuzów. Dwoje młodych ludzi, pewnie w sprawie ślubu. Starsza pani o wyrazie twarzy tak spokojnym, jak gdyby właśnie wykupiła bliskiemu zmarłemu polisę na wieczny odpoczynek. Gerard stał z dala, przy ogrodzeniu, i rozmawiał przez telefon. Jak można było sądzić po gniewnej zmarszczce między brwiami – z ojcem. Oparta o kolumnę Anka na widok wychodzącego z zakrystii księdza wyprostowała się i przybrała uniwersytecką minę.

– Dobry wieczór, jestem doktor Anna Serafin, antropolożka kulturowa z uniwersytetu. Razem z dziennikarzem Sebastianem Strzygoniem zajmujemy się sprawą kości znalezionych niedawno w Dąbrowie. Po tym, jak pojawiły się te napisy...

– Tak, słyszałem o was – przerwał jej ksiądz. – Ludzie mi się skarżyli. Trudne słowa padały. – Odchrząknął, nie patrząc jej w twarz.

Miał rzednące włosy, wydatną szczękę i zmarszczki wokół ust. Liczył sobie na oko koło pięćdziesiątki. Anka kalkulowała scenariusze. Najgorszy przewidywał antysemickie docinki i wyrzucenie jej, zanim zdąży powiedzieć, z czym przychodzi.

– A miałem nadzieję, że państwo na zapowiedzi. – Uśmiechnął się blado, wzrokiem wskazując na Gerta. – To pan redaktor?

– Nie. – Anka się speszyła. – To mój...

Przyłapała się na tym, że dobiera słowa. Partner? Narzeczonny?

– ...przyjaciół. Proszę księdza, szukam informacji o wojennej przeszłości Dąbrowy. Pomyślałam, że gdzie jak gdzie, ale w kościele takie tematy muszą...

– Pani chodzi o Żydów, tak? – Głos księdza ochłódł.

– Tak – odparła, patrząc mu w oczy. – I o Polaków.

Ksiądz ruszył ze schodów, kierując się ku plebanii. W dłoni ścisnął brewiarz. Podążyła za nim, aż wreszcie zatrzymał się i odwrócił do niej. W jego wzroku spodziewała się wrogości. Znalazła w nim smutek.

– Wie pani, we wrześniu będzie rocznica likwidacji dąbrowskiego getta – powiedział. – W zeszłym roku młodzież szkolna przygotowała z tej okazji przepiękne przedstawienie. Moja uczennica, która śpiewa u nas w scholi, wykonała *Grajmy Panu Anny Szalapak*, zna to pani?

– Znam.

– A potem chór zaśpiewał *Anatewkę ze Skrzypka na dachu*. *What do we leave, nothing much...* – zanucił. – Zna to pani?

– Znam.

– I wie pani, ja miałem wtedy łyzy w oczach i widziałem, ilu ludzi też miało. Nauczycieli, rodziców. I młodzież w tym roku chce to powtórzyć. Są wakacje, ale oni już ćwiczą. To są świetne dzieciaki, naprawdę. Byłem na próbie. Pościgali nagrania

z koncertów „Szalom na Szerokiej” w Krakowie, pewnie też to pani zna.

– Znam.

– I się uczą. Mamy w liceum zespół muzyczny. Grają standardy rockowe, Perfectu, Phila Collinsa, Pink Floydów. Ale jak oni fantastycznie wykonują utwory The Klezmatics! Zna pani?

– Znam.

– To o co wam jeszcze chodzi? – Zrobił w jej stronę energiczny krok. Nie cofnęła się. Zobaczyła kątem oka, że Gerard drgnął, opuściwszy smartfona. – Za mało robimy, źle pamiętamy? Synagoga odremontowana, taka piękna. Cmentarz posprzątny. Ja sam się modliłem w synagodze z rabinem, co do nas przyjechał z Krakowa. W styczniu, w święto Holokaustu. Tabliczki są, upamiętniające bandycki margines, który mordował, nikt tego nie ukrywa. Więc o co wam jeszcze chodzi? Przecież wszystko jest wreszcie w porządku!

Zrobił gwałtowny gest, brewiarz upadł na ziemię. Przykucnęli oboje, żeby go podnieść. Spomiędzy skórzanych okładek wypadły obrazki. Matka Boska Częstochowska. Święta Rodzina. Błękitnooki Jezus z gorejącym sercem. Ksiądz chwycił brewiarz, Anka pozbierała obrazki, podała mu. Schował.

– Udzieliłby ksiądz rozgrzeszenia bez żalu za grzechy? – zapytała cicho.

– Żal jest, proszę pani – odparł stłumionym głosem. – Zna pani taki żal, który chwyta nagle nie wiadomo skąd? Ja jak tylko koło tej bożnicy przechodzę...

– Znam – odpowiedziała. – A rozgrzeszyłby ksiądz bez wyznania win?

I moje pieniądze! – skrzeczał głos z miniaturowego głośnika dyktafonu, zagłuszając wieczorny koncert świerszczy za oknem. *Byłby przynajmniej raz pożytek z tego trupa! A teraz co?! Co?!*

– Babiarscy teoretycznie mogli załatwić Wężyka – zaczął Bastian – nawet przypadkowo, gdy próbowali go przycisnąć, a potem jak gdyby nigdy nic zgłosić się po kasę do jego odurzonej psychotropami żony. Ale to...

– Naciągane – odezwała się Anka.

– Dzięki – sapnął. – Za to młody dostał szau, jakby na te pieniądze miał własny plan. Ale czy zabił ojca? Sam? Też naciągane. Czy to w ogóle ma jakieś znaczenie?

– Bastian, teraz najważniejsze jest, żebyś opowiedział o leśnej strzelaninie policji – nie odpuszczała Anka.

– Właśnie – dodała nagle Wiolka. Anka nie usłyszała w jej głosie kpiny, raczej wolę sojuszu. Jakby dziennikarka zmieniła do niej stosunek o sto osiemdziesiąt stopni. Tamtej nocy, gdy Gert otworzył szeroko okno, wsłuchiwali się razem w głosy niosące się z pola. Chichotali długo, kibicując obojgu. Rzeczywiście, tamta noc wiele zmieniła. Być może nawet o sto osiemdziesiąt stopni.

– Myślę o tym – uciął Bastian.

– Jeśli tak, to dobrze wiesz, że wszelkie ślady zdążył szlag trafić – zauważyła Anka.

– Ale co mi to da? – zirytował się. – Prokurator Kogut ma mnie gdzieś, Kaługa sobie ze mną pogrywa, dostarczę im informacji, a co dostanę w zamian? Zresztą on nawet nie prowadzi tej sprawy.

– A może to nie z nimi trzeba gadać? – wtrąciła się Wiolka. – Jest jeszcze ta Franz. To ona prowadzi sprawę Wężyka, nie Kogut.

– I co to da? – westchnął.

– Nie wiem, ale może jest tak, że ty coś wiesz, oni coś wiedzą...

– Wiedzą. – Bastian zacisnął zęby. – Głupia ekspertyza szkieletu zajmuje im pół roku.

– O, właśnie – odezwała się Anka. – Znalazłam nowe źródło w tej sprawie.

Bastian z miejsca zapomniał o Wężyku.

– Czy Władysław Wężyk kiedykolwiek wspominał o tym, że Babiarscy mu grozili? – zapytał Wielicki, biorąc do ręki folder reklamowy sklepu z oponami.

Mężczyzna za biurkiem się zamyślił. Bąk zawiesił wzrok na kalendarzu ilustrowanym zdjęciami wózków widłowych wiszącym za jego plecami. Zmarszczył czoło. Coś mu się w tym kalendarzu nie zgadzało. Wentylator z logo popularnego środka od bólu głowy miał gorące powietrze. Gdy wrócili tu na dodatkowe rozpytanie, przedsiębiorca zaprosił ich do biura swojej firmy reklamowej, mieszczącego się na parterze jego domu. Ciasne biuro przypominało muzeum gadżetów.

– Trudno powiedzieć – Paweł Blacharz, dawny wspólnik Wężyka, łyknął porannej kawy. – On potrzebował tych pieniędzy dla Babiarskich. Niby nie mówił wprost, że ktoś mu grozi. Ale musiało mu się pod dupą palić, bo podpisał wszystko, nawet się nie wczytywał, chociaż zawsze każdą umowę negocjował, bo podejrzewał, że ktoś go chce w ciula zrobić. Tylko wiedzą panowie, ja znam Babiarskich, robiłem im kiedyś długopisy, kubki, takie tam. Wiem, co to za typy. Pół roku się z nimi bujałem, zanim mi fakturę zapłacili. Ale jak im ktoś wisi pieniądze, to nie ma zmiłuj. W każdym razie mnie Władek

wprost nic nie mówił – zakończył i złożył dłonie na blacie biurka w oczekiwaniu, że tamci już sobie pójdą.

Wielicki pokiwał głową i popatrzył na Bąka, który z dziwną miną wpatrywał się w kalendarz, jakby szukał objawienia wśród wózków widłowych.

– Panie Pawle, pan dobrze znał Wężyka? – zapytał. Znowu miał wrażenie, że tylko tracą czas.

– Czy ja wiem. – Przedsiębiorca wzruszył ramionami. – Jak mu na coś zależało, to pracował jak szatan. Wódki z nim nie piłem. Wie pan, gdzie pieniądze, tam nie ma przyjaźni. A Włodek też był skryty, niełatwy, kłótniwy. W sumie jedyne, co nas łączyło, to piłka.

– Piłka? – zdziwił się Wielicki.

– Włodek był kibicem Wisły, jeszcze z czasów, kiedy studiował w Krakowie. A tak się składa, że ja też Białą Gwiazdę noszę w sercu. – Paweł Blacharz położył dłoń na kieszeni koszuli i spuścił wzrok, zarumieniony po tym wyznaniu.

– Dlaczego ma pan zaznaczoną w kalendarzu datę śmierci Wężyka? – odezwał się nagle Bąk. Wielicki popatrzył najpierw na niego, potem na wózki widłowe i otworzył usta.

Przedsiębiorca zakręcił się gwałtownie na obrotowym fotelu i wytrzeszczył oczy, gapiąc się na ścianę.

– Panowie, to czysty zbieg okoliczności – wyjąkał i poluzował kołnierzyk. – Tego dnia Wisła Kraków grała z Wisłą Płock. Dwie Wisły w czwartej kolejce ekstraklasy, rozumiecie panowie? Zresztą popatrzcie, inne też mam zaznaczone. – Przewrócił kartkę kalendarza na lipiec, chociaż trzęsły mu się ręce. – O, proszę zobaczyć, pierwsza kolejka, tu grali z Arką Gdynia. Strasznie nudny mecz, zero zero było. O, a tu, we wrześniu, będą dwie perełki: Śląsk Wrocław i Lechia Gdańsk. W obu

obstawiłem, że Wisła wygra. Naprawdę w to wierzę.

– Pan mówił, że Węzyk kibicował Wiśle – podchwycił Wielicki. – I że łączyła was piłka. Czy Węzyk mógłby przegapić taki mecz? Oglądał go z panem? W ten wieczór, kiedy zginął.

– Nie, od lat nie miałem z nim kontaktu – odpowiedział szybko Blacharz. – Kłanialiśmy się sobie na ulicy. Ale oglądać razem mecz? Mecz by nie przegapił, to pewne, ale żeby ze mną? Żona może potwierdzić, oglądaliśmy mecz u nas, ze szwagrem, szwagier też może potwierdzić!

– Sprawdźmy to – przerwał mu Bąk. – Na razie dziękujemy.

Wstali.

– Może chcą panowie smyczkę? – Mężczyzna poderwał się od biurka, żeby otworzyć im drzwi. – Albo kubeczek? Notes? Bidon? Cokolwiek?

– Nie – uciął Wielicki. – Lepiej, żeby pan nie proponował prezentów policji.

– Najmocniej przepraszam. – Blacharz giął się w ukłonach. – Do widzenia!

– Jeszcze jedno. – Bąk się odwrócił, kiedy tamten już zamykał drzwi. – Pamięta pan, jaki był wynik tego meczu z Wisłą Płock?

– Jeden jeden – jęknął Blacharz. – A co?

„Pan Zaręba”, powiedział jej wczoraj ksiądz. „Spróbujcie porozmawiać z nim. A teraz niech już pani idzie”.

Anka trzymała się z tyłu. Wiele razy jeździła w teren, prowadziła pogłębione wywiady na tematy tak traumatyczne, jak choćby pamięć o akcji „Wisła”. Ale tamto było umówione. Opracowane. Akademickie. Nawet gdy jeździła do Normana Pionka, do czasu ich ostatniej rozmowy czuła, że asekuruje ją system.

Wciąż nie radziła sobie z dziennikarską techniką Bastiana: dzwonek do drzwi, a kiedy się otworzą, krok w przód, żeby nie dało się ich już zatrzasać. Dzień dobry, jestem dziennikarzem, przyszedłem pruć wam flaki, porozmawiajmy.

Wersalka była przykryta kapą w kwiaty, leżała na niej sterta poduszek bez poszewek. W witrynie lśniącej, mahoniowej meblościanki wystawa obrazków z kolędy, zdjęć Jana Pawła II i Karoliny Kózkówny. Stół był zasłany białym obrusem. Stała na nim patera z pomadkami i wazon z rżniętego szkła z bukietem chabrów.

– Prawnusia mi nazbierała. – Wzrok Jakuba Zaręby na moment załśnił. Bastian patrzył w jego zapadnięte oczy, na łysą czaszkę pokrytą brązowymi plamkami, wystającą grdykę i drżące dłonie zaciskające się rytmicznie na lasce. Na zaprasowane w kant spodnie i pistacjową koszulę, która wyglądała na nim jak nienadmuchany balonik. Dziennikarz zastanawiał się, czy tak by dziś wyglądał jego dziadek.

Dom był wyremontowany. Nowiutki tynk, plastikowe okna. Anka, przekraczając próg, przyglądała się futrynie, przyłapując się na tym, że szuka śladu po mezuzie. Nic z tego. Drzwi już dawno temu wymieniono na antywłamaniowe.

Tylko pan Jakub, siedzący na skraju wersalki, wyglądał na swoje dziewięćdziesiąt pięć lat. Przystawili sobie krzesła. Korpulentna córka starszego pana, sama mocno po sześćdziesiątce, przysiadła pod kafłowym piecem. W drzwiach cisnęła się gromadka dzieci. Jedno z nich musiało być prawnuczką, która nazbierała chabrów.

– Znał pan Adama Świątka? – Bastian wyprzedził całą precyzyjnie zaplanowaną rundę wstępną Anki. Staruszek przekrzywił głowę.

– A pon jesteś Adamowy syn? – zapytał z półuśmiechem.

– Wnuk.

– Od razu żem się spostrzegł. – Dłonie na zagięciu laski klasnęły. – Takiś pon do niego podobny. Pewno, żem Adama znoł, co żem miał nie znoć. Toć sunsiad. Kunia żem mu pożyczoł. A ón mię cyrkularki. Ino żeby mi Ponbóg doł spokojniej umrzyć niż jemu.

– Chcieliśmy pana zapytać – Anka pochyliła się w stronę staruszka, nie dając Bastianowi szansy podrażnić, co gospodarz miał na myśli – o Żydów sprzed wojny. Pamięta ich pan?

– Żydów? – Staruszek utkwiał wzrok gdzieś ponad jej głową. – A pewno, że pamiętom. Tylu ich przecie było. Do jednego żem som woził zimioki. A jak się ich zjechało na targ na Rynku, to, pani... – Machnął ręką, ciepły wyraz nie zniknął z jego twarzy. Uśmiechał się do Żydów czy do wspomnień młodości?

– Znał się pan lepiej z którymś z nich? – pytała dalej Anka. – Z tym, do którego pan woził ziemniaki?

– Eee, pani. – Jakub Zaręba znów machnął ręką. – My to się wszyscy znoli. Jemu było Józef, jako i mojemu bratowi.

– I co się z nim stało? – wtrącił Bastian. Anka rzuciła mu spojrzenie biologa, któremu asystent zachlapał drugim śniadaniem szalkę Petriego.

– No a co się miało stoć. – Staruszek odwrócił się do Bastiana, wciąż z półuśmiechem. Jego córka pod piecem poruszyła się czujnie. – Przyszły Niemce i potem już żodnygo Żydka nie było.

– A... – zaczęła Anka.

– Dwa te Niemce to nawet u nos mieszkali – ciągnął pan Jakub. – Takie postawne chopy, jedyn był z zawodu szewc i pamiętom, jak bratowi nareperowoł buty. A potem, jak się już wycofywali, to pamiętom, jak oficer przyjechoł na kuniu,

podziękować mojemu tatowi za kwaterę. Pani, to do dziś pamiętom, jak się tato prawie że popłakoł.

– A... – wtrącił Bastian.

– A z Żydami to roz tak było – mówił pan Jakub, jakby czytał ze ściany ponad nimi. Do jego córki pod piecem podbiegł kilkuletni chłopiec i usadowił się na podłodze u jej stóp. – Nom, pani, sołtys kazoł iść na obławę, bo oni tu siedzieli pod Olesnem po lasach. Takie mieli, pani, porobione kryjówki w ziemi, tak siedzieli jak zwierzęta.

– Wiedzieliście o nich? – zapytała Anka.

– Ano pewno, że my wiedzieli – odparł. – Toć nieroz który przychodził po nocy, to się mu i coś tam dawało, byle nikt nie widzioł. I ten sołtys naroz gado, że będzie obława i że mają iść wszystkie chopy. A ja na to, że nigdzie nie idę, bo trza kosić, a on mi na to, że jak nie, to przyjado Niemce. To zem poszedł, ale zem se siednoł w krzakach i zem przeczekoł. Bo jak się było, pani, w straży, to nie było, że ten.

Przełknął ślinę.

– Pan był w straży nocnej? – zapytała Anka.

– Musiołem – odpowiedział.

– Musiał pan – podchwycił Bastian.

– Pewno, że musiołem. – Staruszek wciąż patrzył ponad nich, ponad córkę, ponad piec.

– Pan został w krzakach, ale inni poszli – powiedział raczej, niż zapytał Bastian, w nadziei, że staruszek będzie kontynuować.

Pan Jakub skinął głową, a jego sine źrenice się rozmyły.

– Panie, ze czterdziestu chopa od nos ze wsi – podjął. – Sami poliżli w lasy i wnet wszystkich ich wyłapali, a inni wtenczas, panie, polecieli do miasta Żydków zdać. I przyjecholi policjanci, chopy od nos, z Dąbrowy.

– I co? – zapytał Bastian.

Spojrzenie starca spelzło ze ściany i wbiło się w dziennikarza. Wąskie wargi koloru skóry zadrgały. Dłoń uniosła się znad laski. Rozprostował dwa palce, wycelował w Bastiana i kilka razy szarpnął dłonią.

– Niech ojciec lepiej przestanie – odezwała się kobieta spod pieca. – Ma już słabą pamięć – zwróciła się do Anki.

– Tak było – wyszeptał staruszek.

– Wystarczy, po co takie rzeczy gadać. Ojciec może nie pamięta. – Podniosła się z krzesła, szerokim gestem wskazując drzwi.

– Ty mię, Ewa, nie mityguj, bo ja wszystko pamiętom. Tako była prawda.

– Dzieci tylko ojciec straszy. Idźcie się bawić na pole, no już! – huknęła do gromadki w drzwiach izby. Dzieci ani drgnęły. Kobieta opadła na krzesło. Przywołała kilkuletniego chłopca i powiedziała mu coś na ucho. Chłopiec wymknął się z izby.

– Jak pan myśli, dlaczego oni wszyscy poszli na obławę? – zapytał Bastian.

– Panie! A jagby się Niemce dowiedzieli, że w lesie są Żydki? Żyd, panie, to wtenczas nie miał prawa żyć! A jagby się Niemce dowiedzieli, że my im tych Żydków nie zdali, toby, panie, wystrzeloli wszystkich, cało wieś. Cało!

Anka otworzyła usta.

– A jakby nikt o nich Niemcom nie powiedział?

Wszyscy odwrócili się ku drzwiom. Pytanie zadała dziesięcio-, może jedenastoletnia dziewczynka z burzą czarnych, kręconych włosów, w bluzce z księżniczką Elszą z Disneyowskiej bajki Frozen.

– Co? – Staruszek nachylił się do niej, unosząc krzaczaste

brwi.

– Jakby nikt nie poskarżył Niemcom, że oni są ukryci w lesie – powtórzyła dziewczynka. – To co by było?

– Zuzia! – krzyknęła na nią babka. – Jak ty się zwracasz do dziadzia?!

– Toby... – Staruszek poruszał wargami, patrząc w podłogę. Zacisnął dłonie na lasce. – Toby...

Anka i Bastian skupili wzrok na jego ustach.

– Toby kto inny powiedział. – Półuśmiech na dobre zniknął z twarzy Jakuba Zaręby.

– Kto? – zapytała Anka.

– Kto inny. Zawsze ktoś. Pani, gdzieby nikt nie powiedział. Gdzieby...

Huknęły drzwi.

– Co to, kurwa, ma być?! – ryknął od progu postawny mężczyzna w dzinsach, zaciskając pięści. Zza jego pleców wyglądał chłopiec, który chwilę wcześniej wymknął się na zewnątrz. Staruszek zamilkł.

– Szymon, dobrze, żeś jest, oni tu dziadka męczą o straszne historie! – wykrzyknęła kobieta spod pieca.

Bastian wstał z krzesła, pojednawczo trzymając dłonie na wysokości twarzy.

– Jestem dziennikarzem, pan Jakub zgodził się z nami porozmawiać.

– Ale ja sobie nie życzę! – Mężczyzna uniósł pięść. – A to jest mój dom! Więc ja sobie żadnych mediów nie życzę!

– Pan Jakub...

– To jest mój dom, nie pana Jakuba – powtórzył Szymon. Anka wstała, ujęła Bastiana za ramię. – Więc mi stąd

wypierdalać!

Wychodząc, Strzygoń się odwrócił. Zobaczył pięść. I dzieci. I kobietę. I chabry. I dziewięćdziesięciopięcioletniego Jakuba Zarębę o wyczekującym spojrzeniu.

– On na sto procent miał jeszcze coś do powiedzenia. – Bastian wcisnął ręce w kieszenie. – Znał mojego dziadka, musi coś wiedzieć! Gdybyś mi się nie wcinała ze swoimi pytaniami...

– Ja?! – Anka stanęła na środku chodnika. – A to nie ten facet wygrażający pięściami nam przerwał?!

Bastian machnął ręką i zapalił. Grzywka opadała mu na oczy, które lśniły niezdrowym blaskiem.

– Poza tym to ja go namierzyłam.

– Ale i tak wszystko szlag trafił. – Bastian kopnął kamyk. – Masz jeszcze jakieś pomysły?

– Wiesz, może twoja dziewczyna mogłaby... – zaczęła.

– Kto? – przerwał jej Bastian.

– Jak to kto? No, może Wioletta mogłaby...

– Wioletta nie jest moją dziewczyną – warknął przez zęby.

– A ona o tym wie? Zachowuje się, jakby była. A ty nie wyprowadzasz jej z błędu.

– Jej sprawa. – Wzruszył ramionami. – I jej problem.

– Wiesz, to trochę nie fair.

– Boże, Anka, przeleciałem ją, to mam się z nią ożenić? – Przewrócił oczami. – Wiem, że jestem ze wsi, ale bez przesady.

– Ale nie rozmawiacie o tym, co was łączy? To chyba ważne wiedzieć, na czym się stoi.

– A z wami jak było? Gerard gruchnął na kolana przed twoim ojcem i zapytał, czy może z tobą chodzić? – fuknął, precyzyjnie

wymierzywszy cios.

Zamilkła. Pamiętała ten sam rodzaj niepewności, który towarzyszył jej w czasie, kiedy odwiedzała Gerarda w szpitalu, a potem w domu w Gliwicach, gdzie wrócił lizać rany po nożu. To niewypowiedziane pytanie wisiało między nimi nawet wtedy, kiedy zaczęła zostawać u Kelerów na noc, a potem na cały weekend. Gdy wyjeżdżał na Kubę, była pewna, że to koniec. Rzuciła się wtedy w wir pracy nad książką, żeby nie myśleć, nie czuć żalu ani nadziei. Ale wrócił.

W hotelu Qubus w Katowicach, kiedy już obejrzel zdjęcia, nagadali się, nakochali i nacieszyli sobą, długo nie mogła zasnąć. On też nie spał. Wiedziała, bo nie poruszał się, oddychał bezgłośnie. Zdążyła się nauczyć, że sen miał niespokojny, rzucał się, śnił, miał koszmary.

– Nie śpisz – odezwał się wtedy wreszcie.

– Ty też.

– Mam jetlag jak stąd do Hawany. O czym myślisz? – zamruczał jej do ucha.

– Tak się zastanawiam, czy my... czy my jesteśmy – nie mogło przejść jej to przez usta – razem?

Nie odpowiedział od razu.

– A chciałybyś?

– Tak – rzuciła, zanim wszystkie wątpliwości zdążyły wypłynąć na powierzchnię. Różnica wieku. Różnica temperamentów. Odległość z Krakowa do Gliwic. Jego traumy i depresyjne zjazdy. Jego społeczne wygnanie i piętno, udosłownione przez bliznę na twarzy. Jego perwersja. Nic z tego nie okazało się nigdy problemem. Problemy czały się gdzie indziej.

– To jesteśmy – odpowiedział.

Zasnęła.

Teraz popatrzyła uważnie na Bastiana. Mogłaby mu odwinąć, ale po co.

– Jak się od niej opędzałem, to było źle – kontynuował dziennikarz. – Teraz ją przeleciałem i też niedobrze. Chociaż nie. Właśnie tak jest dobrze. Nikt o nic nie pyta, nikt niczego nie obiecuje. Nie mam siły jeszcze do tego rozkminiać, gdzie w tym wszystkim Wiolka. Tak, w tym momencie jest dobrze i proszę cię, nie spierdol tego i się nie wtrącaj.

– Chciałam tylko powiedzieć, że może Wiolka mogłaby przez Dorotę Seweryn wprowadzić nas do Ośrodka Spotkania Kultur – przerwała mu. – Może próbujemy wyważyć otwarte drzwi? Jeśli ktoś coś wie na temat dąbrowskich Żydów, to na pewno oni.

– Słuchaj, a właściwie dlaczego tam pracujesz? – zapytała Anka. Wróciła z Dąbrowy z bolącą głową. Oszołomiona jazdą, wybuchem Bastiana, teraz musiała wysłuchać litanii skarg na Huberta Kelera. Była podminowana i nie pomagało nawet wino.

– Jak to dlaczego?

Gerard popatrzył na nią, jakby jego przyszłość – że zostanie architektem i będzie pracował u ojca – zdecydowała się, kiedy lekarz na porodówce ogłosił: „To chłopiec!”.

– Jest najlepszy. A jak się uczyć, to od najlepszych

– Serio nie ma na świecie nikogo innego, od kogo mógłbyś się uczyć? Naprawdę to twój jedyny plan na życie?

Zamarł w pół gestu, sięgając po ser.

– To wyjedźmy gdzieś. – Wyprostował się, a na jego usta wypłynął rozmarzony uśmiech. Wydał jej się jeszcze wyższy niż jego metr dziewięćdziesiąt dwa. Młody, silny, pewny siebie. Nie do zatrzymania. Przygarbiła się, wyciągając rękę po kieliszek. –

Do Niemiec, do Francji albo może do Stanów. Daleko od mojego ojca, od tych dziadów u ciebie na uczelni.

Spięła się i zacisnęła usta. Dlaczego? Przecież zawsze o tym marzyła. Żeby wyjechać gdzieś daleko od ojca i dziadów na uczelni. Był taki moment, kiedy traktowała to jak plan, pod koniec liceum i na początku studiów. Pamiętała rozmowy przy niedzielnym stole, kiedy ze wzrokiem wbitym w pływające w rosole oka pozwalała odbierać sobie marzenia.

– I co byś wtedy robił? – Przełknęła wino.

– Uczył się od najlepszych. – Mimowolnie uniósł kącik ust. – Masz rację, na Zachodzie jest więcej światowej sławy architektów, duże studia projektowe.

– *I myślisz, że to takie proste? – Antoni Serafin wytarł brodę serwetką. – Wiem, że jesteś najlepsza w humanistycznej klasie, ale jeśli chcesz startować na Sorbonę, to może być za mało. A obawiam się, że tam ci nie pomogę, na ich humanistycznych wydziałach pewnie nikt nie słyszał o algorytmice, o mnie nie wspominając.*

– I myślisz, że to takie proste? – zapytała. – Przyjdiesz do nich i powiesz, że właśnie skończyłeś Politechnikę Śląską w Gliwicach i nazywasz się Keler? Myślisz, że ktoś tam słyszał o twoim ojcu?

– Jak mnie wyrzucą drzwiami, to wrócę oknem. – Wzruszył ramionami.

– A z czego będziesz żył?

– Coś wymyślę. W razie czego starzy mi pomogą.

– *Wiesz, jakie to są koszty? – Antoni Serafin bawił się solniczką. – My ci oczywiście pomożemy na tyle, na ile nas stać, ale musisz zdawać sobie sprawę z faktu, że wiecznie nie będziemy cię utrzymywać.*

– Wiesz, jakie to są koszty? – Pokręciła głową. Gerard przestał się uśmiechać i patrzył na nią spod opadającego na czoło kosmyka płowych włosów. – Myślałam, że chodzi ci o to, żeby być samodzielnym. Ojciec nie będzie cię wiecznie utrzymywał.

Nic nie powiedział, przełknął ślinę i odwrócił wzrok.

– A ja? Co ja miałabym robić? – drążyła, chociaż czuła, że powinna się zamknąć.

– Wykładać – warknął.

– *A język? – zapytał z troską Antoni Serafin. – Płacimy za twój dodatkowy angielski, ale jeśli chcesz studiować w Cambridge, powinnaś chodzić na lekcje pięć razy w tygodniu i weekendami się uczyć, a nie szwendać i słuchać tej okropnej muzyki. A jeśli to ma być Sorbona albo Heidelberg, to nie znasz francuskiego, a niemiecki masz w szkole na poziomie średnio zaawansowanym. Wiem, że masz za to z polskiego piątki i szóstki, ale tam raczej nikogo nie będzie to interesowało.*

– A język? – prychnęła.

Płynnie czytała i pisała po angielsku, ale wiedziała, że mówi z polskim akcentem i robi błędy, bo kalkuje rodzime konstrukcje gramatyczne. Ona nie miała w przedszkolu angielskiego z native speakerem, nie jeździła na obozy językowe. A Gerard mówił biegle po angielsku z ładnym amerykańskim akcentem ze Wschodniego Wybrzeża, co zawdzięczał korepetytorowi z Bostonu, który uczył go przez całe dzieciństwo. Niemiecki miał opanowany na poziomie konwersacyjnym, w końcu chodził do szkoły na Śląsku. A teraz uczył się hiszpańskiego we własnym zakresie.

– Poza tym antropologia wsi polskiej. Kogo by to na Zachodzie interesowało – westchnęła.

– Nieważne, głupi pomysł, zapomnij. – Wyłamał palce i zaczął

drapać się po policzku.

– *Ale dlaczego się denerwujesz? – Antoni Serafin zmrużył oczy. – Ja cię o to wszystko pytam, bo traktuję ciebie i twoje plany poważnie. Jak chcesz sobie pofantazjować, to idź do koleżanek.*

– *Ale dlaczego się denerwujesz? – Anka podniosła głos. – Możemy rozważyć wyjazd, ale jeżeli to ma być na poważnie, to musimy zadawać sobie takie pytania. Chyba że chciałeś sobie pofantazjować, to przepraszam, że popsułam ci zabawę.*

– *Tak, właśnie chciałem sobie pofantazjować. Żeby przez chwilę nie myśleć o tym, że jutro znowu muszę tam iść i dać sobą pomiatać. – Zerwał się z kanapy. Trzasnęły drzwi łazienki.*

– *Zachowuj się dojrzałe, jeśli chcesz, żeby cię tak traktować. – Antoni Serafin się skrzywił. – Mówię ci to wszystko, bo znam życie trochę lepiej niż ty.*

Anka została sama. W ustach czuła kwaśny smak wina, w żołądku drzenie.

– *Poza wszystkim innym – Antoni Serafin patrzył smutno – tutaj są wszyscy, których kochasz. Jeśli wyjedziesz, to już tam zostaniesz. A wierz mi, nie przesadza się starych drzew.*

Kałużę bolały oczy, jakby pod powiekami miał gruboziarnistą sól. Siedział nad tą układanką z nagrań z kolejnych kamer przez wiele dni. I właśnie dotarł do ślepego zaułka.

Scenę, którą uwieczniła kamera monitoringu zamontowana na północno-zachodnim węgle synagogi, oglądał dziesiątki razy. Zniekształcona w szerokokątnym obiektywie ściana od strony ulicy Berka Joselewicza. Godzina trzecia siedemnaście. Ziarnisty, czarno-biały obraz. Od strony Rynku pojawia się na chodniku ciemna sylwetka w kapturze naciągniętym na czapkę z daszkiem,

którego cień całkowicie zasłania twarz. Postać zatrzymuje się za przystankiem autobusowym. Rozgląda się, chwyta za pręty ogrodzenia, wskakuje na murek i ląduje po drugiej stronie. Z kieszeni wyjmuje puszkę farby w sprayu. Niknie częściowo za pilastrem, porusza się tylko nieznacznie. Maluje swoje graffiti.

Obraz rozbiła się od reflektorów samochodu nadjeżdżającego od Warszawskiej. Postać kuca, chowa się w arkadzie. Auto nie zwalnia. Numeru rejestracyjnego nie widać, zresztą kierowca i tak nie miał szans dostrzec intruza. Postać się podnosi. Kaługa kilka razy oglądał ten moment klatka po klatce, z nadzieją, że w którymś momencie na twarz sprawcy padnie nieco światła. Nic z tego. Godzina trzecia dwadzieścia dwie. Sylwetka znowu chowa się za pilastrem, kreśli litery, które Dąbrowa miała ujrzeć nazajutrz. Wreszcie cofa się o krok.

Trzecia dwadzieścia sześć. Postać wciska puszkę farby do kieszeni, wspina się na płot, skacze.

Sprawdzili to miejsce. Przy ogrodzeniu od strony synagogi znaleźli odpruty strzęp kieszeni dzinsowych spodni – gnojek rozdarł gacie, skacząc przez parkan. Pies tropiący obwąchał strzęp, złapał trop, pociągnął na ulicę, ale tu się zatrzymał, podreptał obiecująco wzdłuż Berka Joselewicza, a potem podkulił ogon i zaskomlał, zagubiony w setkach ludzkich woni, które od tamtej pory osadziły się na chodniku. Ślad wandalą się urwał.

Następne były kamery komendy: ta przed parkingiem i obie na fasadzie od strony ulicy uchwyciły po drugiej stronie ulicy zgarbioną postać, kroczącą szybko, jakby powstrzymywała się przed puszczaniem się pędem. Gdyby nie przeszedł na drugą stronę, może któraś kamera uchwyciłaby jego twarz.

Tutaj ani starostwo powiatowe, ani sklep Frykas, ani usługi bankowe nie miały kamer na zewnątrz. Nie miał ich też pawilon

handlowy za komendą.

Kilkadziesiąt sekund później kamera nad wejściem do banku złapała przygarbioną sylwetkę człowieka przechodzącego na drugą stronę jezdni, na Rynek. Tu już mógł łatwo zniknąć między drzewami parku i przepaść w jednej z wielu ulic odchodzących od centralnego punktu miasta. Podkomisarz sprawdził nagranie z kamery na tyłach urzędu miejskiego. Wyłapała łobuza dwie sekundy po poprzedniej, zdawał się iść prosto wzdłuż Berka Joselewicza. Nie pojawił się w kamerze znad sklepu obuwniczego. Może dał nura między drzewa i dalej poszedł którąś z ulic: Małą, Kościelną, Jagiellońską albo Piłsudskiego. Kolejne rozgałęzienia, kolejne kamery do sprawdzenia. Prywatny Netflix Kaługi rozciągał się w niekończącą się opowieść.

Sekundy później zakapturzona postać pojawia się w kamerach monitoringu drogówki nad skrzyżowaniem z Grunwaldzką. Idzie z rękami w kieszeniach i z pochyloną głową, nie widać twarzy. Kieruje się prosto, w Kościuszki.

Na nagraniu z kamery nad parkingiem sądu rejonowego dalej idzie prosto. I teraz, choć ulica Kościuszki biegnie tu mocno z góry, zaczynają się schody. Bo po prawej jest park, a po lewej szkoła i prywatne domy, żadnych kamer. A droga się tu rozwidła. Podkomisarz przejrzał nagranie z kamer Groszka przy ulicy 1 Maja. Ani śladu zakapturzonej postaci. A jeśli minął tę kamerę i doszedł do osiedla, to szukaj wiatru w polu. Przy drugiej z możliwych tras kamera była dopiero na nowym bloku przy Kościuszki, kawał drogi. Oczywiście, gdyby gnojek miał trochę oleju w głowie, skręciłby w park, schował się między drzewami, zdjął kaptur i mógłby spokojnie wypłynąć gdzieś na Zazamczu.

Ale to, jak przeparadował przed monitoringiem komendy, sugerowało, że oleju w głowie to on za wiele nie miał. Albo był zbyt zdenerwowany, albo zbyt pewny siebie. Tak czy inaczej –

amator.

Kaługa przewijał poklatkowo nagranie z kamery na bloku przy Kościuszki 14A. Kamera obejmowała głównie parking, a nie ulicę, dało się zobaczyć ledwie skrawek chodnika. Obraz był zaszumiony, ciemny, piksele tańczyły mu przed oczami.

Zatrzymał się. Cofnął.

Na trzech klatkach coś zamajaczyło. Trójkątny kształt w rogu kadru.

Kaptur.

Kaługa wynotował timing, zrzucił obraz z kilku kolejnych klatek. Przeliczył odległości. Czas się zgadzał z tempem szybkiego marszu. Powiększył stop-klatkę.

Kaptur i kawałek daszka. Czyli ten zaułek nie był jednak ślepy.

Co dalej? Facet mógł skrócić nad Breńkę, pójść w stronę starego dworca i wzdłuż torów, by zniknąć wśród pól. Ale nic nie wskazywało, żeby w ogóle przyszło mu do głowy, ile kamer go otacza.

Dokąd szedł? Po prostu do domu?

Podkomisarz przeniósł wzrok na mapę. Kawałek dalej od ulicy Kościuszki odchodziła Oleśnicka.

Oleśnicka.

– To ty żeś jest, gnoju?

*

Skrzypnęły wrota, odszukał włącznik światła na porowatej ościeżnicy. Żółte światło przedarło się przez drobinki kurzu wzbudzone niespodziewanym poruszeniem drzemiącego tu od lat powietrza. Bastian wszedł do stodoły.

Przypominały mu się słowa z zapomnianego języka. Sąsiek. Snopek. Zwózka. Powróšlo. Wewnątrz unosił się zapach

rozgrzanego kurzu, butwiejącego drewna i ziemi. W tej chłopskiej świątyni przetrwania było cicho.

Przyszedł tu, szukając ciszy. Próbował się wyluzować, wlał w siebie dwa piwa, ale nie pomogło. Wyszedł na podwórze oświetlone tylko przez rozgwieżdżone niebo, zapalił. Raptem zatrzymał się przed wrotami stodoły.

Przypomniawszy sobie, jak bawili się tam z Bogdanem. Dorośli powtarzali, żeby uważać na widły, które sami tam zostawiali, jak pułapkę na dzieciństwo zastawioną w sianie. Bastian zadarł głowę. Zobaczył błysk stali. Kosa wisiała na swoim miejscu, zahaczona o belkę.

Niespodziewany chrobot przyprawił go o łomot serca. Wciągnął powietrze, woń zbutwiałej słomy wwierciała się mu w zatoki. Jako dzieciak nasłuchiwał się o tym, jak wspaniale śpi się na sianie. Kiedy przeczytał w którejś z chłopięcych lektur o nocujących na sianie partyzantach, zaczął się domagać, żeby jemu też pozwolono przenocować w stodole. Prosił, męczył i nudził tak długo, aż któregoś razu dziadkowie się zgodzili.

Zawinięty w śpiwór, odurzony kurzem, podrapany stwardniałymi, wysuszonymi źdźbłami, wsłuchiwał się z szeroko otwartymi oczami w skrzypnięcia, stuki i trzaski, w chrobot myszy i piski nietoperzy. Wiatr miotał wierzba na zewnątrz, a przez szpary w deskach blask księżyca wywoływał w środku tańce cieni. Szmery i cienie, i pustka, i mrok.

Wytrzymał do północy. Dygocąc, zszedł po omacku z sąsiedka po drabinie. Blade światło latarki miotano się po ścianach stodoły. Dopadł do wrót, jakby ścigała go ciemność. Biegł przez podwórko w samej piżamie, chłód siekł go po skórze. Zaciskał zęby, żeby się nie rozpłakać. Zatrzymał się, gdy nad drzwiami do domu zapaliła się lampa.

Na schodach siedział dziadek. Czekał. Popatrzył na chłopca z poważnym, łagodnym uśmiechem. „Sen mara, Bóg wiara” – powiedział tylko po swoim, wziął go za rękę i zaprowadził do łóżka.

Bastian wyszedł ze stodoły, zatrzasnął wrota, przekręcił skobel. Nie oglądał się za siebie, bo przecież wiedział, że nic nie będzie go ścigać. Sięgnął po papierosa. Zamrugął, bo coś podrażniło mu oczy, zakłuło pod powiekami. Zapalił. Spojrzał na wyświetlacz smartfona. Matka chyba jeszcze nie śpi.

Odwlekał ten telefon przez cały dzień. Godzinę temu przekonał sam siebie, że już jest za późno, że jutro. Zaciągnął się i wybrał numer.

„Ino żeby mi Ponbóg doł spokojniej umrzyć niż jemu” – słowa starca z sąsiedztwa dzwoniły mu w uszach.

– Cześć, mamó.

Nie spała. Powiedziała, że rozmawiała z Izunią, która martwi się o dom. Przynajmniej tak to ujęła matka.

– Bo wiesz, Sebcu, żebyś ty sobie i wszystkim nie ściągnął na głowę kłopotów, o to tylko cię proszę.

– Mamó, znasz Jakuba Zarębę? – zapytał, patrząc w światło nad drzwiami do domu.

– Znam. To już musi być staruszek, jego córka przychodziła do dziadka do opieki pod koniec życia, myślałam, że pamiętasz.

Rzeczywiście, gdy dziadek leżał po wylewie, rodzina wynajęła kogoś do pomocy.

– Nie pamiętam. Wiesz, wtedy mało tu przyjeżdżałem.

– Miałeś swoje ważne sprawy – dopowiedziała szybko.

– Mamó. – Zaciągnął się papierosem. – Jak to było?

– Co takiego, Sebcu?

– Kiedy dziadek... no wiesz. Umierał.

Tak, miał wtedy mnóstwo ważnych spraw. Toczył pierwsze medialne wojny, zdobywał przyczółki, triumfował w bitwach. W razie gdyby ktoś go zapytał, mógł powiedzieć, że nie przyjeżdża, bo zmienia świat.

Matka milczała.

– Nie było to łatwe, co ci będę mówić – zaczęła wreszcie. – Wylew był rozległy. Tatuś nas nie poznawał. Więc gdybyś przyjechał, pewnie i tak by cię nie poznał. Mówił z trudnością, nie dało się go zrozumieć. Szkoda gadać, po co masz się tym zadrećzać, Sebciu.

Ścisnął palcami nasadę nosa.

– Powiedz.

– Wściekał się. Próbował coś mówić, a nie mógł. Brzmiał jak... – Urwała.

Przestraszył się, że matka nie będzie chciała kontynuować, że będzie chciała mu tego oszczędzić. Ale mówiła dalej:

– Było coraz gorzej. Tato majaczył. Miał koszmary. Akurat wtedy przy nim byłam, przed samą jego śmiercią. Później lekarz mi tłumaczył, że w takim stanie mózg się gubi, człowiekowi miesza się teraźniejszość z przeszłością, prawda z majakami, przychodzą lęki, wracają złe wspomnienia. Dobrze, że cię przy tym nie było, Sebciu.

– Wracają lęki – powtórzył Bastian.

– Widać było, że się bał, że widział jakieś mary. – Głos matki kruszał, zaczynał drapać i kłuć. – Krzyczał niewyraźnie, bełkotał cały wieczór, pamiętam do dziś, wciąż to samo.

– Co?

– Powtarzał – przełknęła ślinę – „Mara! Mara!”.



ROZDZIAŁ 10

– Pani szuka przodków? – zapytała Dorota Seweryn, kładąc na stoliku album ze zdjęciami.

Bastian bębnił palcami w blat.

– Ja? – zdziwiła się Anka. – Nie. Pomagam *Raportowi Strzygonia* ustalić tożsamość kobiety pogrzebanej w sadzie.

– W każdym razie jesteśmy dumni, że możemy pomóc. – Nauczycielka spuściła wzrok. – To bardzo piękne patrzeć, jak państwo wspólnie pochylają się nad historią dąbrowskich Żydów na przekór trudnej przeszłości, stereotypom i podsycanej przez media atmosferze konfliktu.

– A, pani chodzi o to, czy jestem Żydówką? – zorientowała się Anka i potrząsnęła głową. – Nie, nie jestem.

– Przepraszam – zmieszała się Dorota. – Myślałam... Te rude włosy, biblijne nazwisko... Nie chciałam pani urazić.

– Ależ to nie jest żadna obraza. – Anka zasłoniła twarz włosami, żeby ukryć rumieniec zakłopotania, i otworzyła album, ucinając temat.

Dorota zakręciła złotym warkoczem i wyszła z pokoju, zostawiając ich samych. Bastian wziął do ręki jeden z leżących na stoliku skoroszytów. Zobaczył wyblakłe maszynowe pismo, przekartkował i zaklął pod nosem.

– I jeszcze trochę materiałów sprzed wojny. – Wolontariuszka Ośrodka Spotkania Kultur wróciła z kolejnym segregatorem. –

Będziecie państwo mieli co robić przez cały dzień.

– Świetnie – parsknął Bastian. – A nie macie tu jakiegoś dyżurnego starego Żyda, który mógłby to wszystko opowiedzieć? Gdzie była koszerna jatka, gdzie piekarnia i gdzie się nosiło czulent, żeby nie wystygł? Która panna była najpiękniejsza i biegali za nią wszyscy chłopcy z jesziwy, ale ona wołała polskiego kawalera; oczywiście nic z tego nie wyszło, bo rodzina wydała ją za kantora, a kawaler nigdy się nie ożenił i zawsze płakał, jak słyszał Hawa nagila? Gdzie mieszkał krawiec, co najlepiej umiał szyć weselny strój?

– Nie, nie mamy – odpowiedziała Dorota chłodno. – Ostatni umarł w dwa tysiące piątym roku.

Zostali sami.

– Co to miało znaczyć? – zapytała Anka.

– Nie mam całego życia, żeby to wszystko czytać. – Bastian wytarł dłonie w spodnie. – Może ciebie bawi to gmeranie, ale mnie zegar odlicza czas, aż oficjalnie dostanę pierdolca.

Szurnęła krzesłem i usiadła naprzeciwko niego. Popatrzyła w jego przekrwione oczy, pod którymi siniała napuchnięta od braku snu skóra. Oparł łokcie na kolanach, zgarbił się.

– Bastian, popatrz na mnie – powiedziała poważnie.

– Co? – warknął, ale popatrzył.

Poczuła zapach papierosów z lekką nutką przetrawionego alkoholu. Zmarszczyła nos.

– Spałeś dzisiaj w ogóle? Jadłeś śniadanie?

– Nie, mam. Nie spałem i nie jadłem.

Pogrzebała w torebce i podała mu zbożowy batonik.

– Ty nie chcesz? – zapytał, ale chwycił batonik łapczywie. W domu miał tylko piwo i papierosy.

– Nie jem takich rzeczy. Noszę to dla Gerta. On jest wiecznie głodny, a jak jest głodny, to marudzi.

Pochłonał batonik, cukier pomógł mu utrzymać w górze opadające powieki.

– Dobra, to co mam robić?

– Możesz zająć się tym. – Podała mu album, a sama wzięła do ręki skoroszyt.

Kopiując kolejne strony na biurowym kombajnie, zaczął odzyskiwać spokój. Przewracał kartki, patrząc na wyblakłe zdjęcia, pamiątki z innego świata, czytał podpisy. Zawodnicy FC Maccabi: Szymon Kincler, Szaul Singer, Mosze Kalman, Kiel Blumen, Juda Schindler, Hirsch Grinfeld, Natan Wolf, Alter Wind, Schaptai Singer, Noifeld i dwóch Keglów. Wiceburmistrz Józef Chill i miejscowi radni, Izaak Beer Rappaport, Józef Wieczerek, doktor Karol Horn i doktor Jakub Weissberg, przedstawiciele adwokatury.

Miejskie gimnazjum. Dziewczęta w Żydowskiej Bibliotece. Młodzi syjoniści z Gordonii i socjaliści z Bundu. Rodzinne portrety, niektóre z nich już znał, szkolne zdjęcia. Spoglądał na dostojne żony lekarzy, monokle adwokatów, widły rolników i fartuchy rzeźników. Nazwiska wirowały mu przed oczami: Cukierman i Chmielnicki, Gluksmann i Gruszow, Pinkas i Pasternak, Margulies i Miodownik, Rosenberg i Ruda, Stieglitz, Süss, Szachen, Weissbard, Wildfajer, Zupnik i Zehwald. Imiona: Abram i Adam. Menachem i Mieczysław. Szymon i Szaja. Estera i Ewa. Amalia i Achsa. Lidia i Lea. Aron. Baruch. Chaim.

Popatrywał na Ankę, która siedziała w skupieniu nad skoroszytem i powoli przewracała kartki. Miał wrażenie, że się nie porusza. Od czasu do czasu zapisywała coś w notatniku, telefon leżał na stole i chociaż popiskiwał czasami, ani razu na

niego nie spojrziała. Od pół godziny nawet nie zmieniła pozycji. Jego szlag by trafił po dziesięciu minutach.

Skopiował ostatnią stronę i nie zdążył się zastanowić, do czego najpierw się zabrać, kiedy zawibrował telefon w jego kieszeni.

– Bastian, nie uwierzysz, jacy z nich tchórze – usłyszał podekscytowany głos Wiolki. – Gdyby nie to, że śledzę na bieżąco ich stronę, tobyśmy się dowiedzieli po fakcie!

– Wiolka, spokojnie. Co się stało?

– Będziesz miał swoją ekspertyzę. Konferencja w prokuraturze za godzinę.

Nie odpowiedział, wybiegł, nie oglądając się na Ankę. Pewnie nawet nie zauważyła.

*

Wielicki ominął na schodach prokuratury dziennikarzy, wylegitymował się i podążył prosto do gabinetu prokurator Judyty Franz. Zapukał i nauczony doświadczeniem poczekał na zaproszenie. Poprawił przedziałek i wyjął zza pleców teczkę z dokumentami.

– Stenogram z techniki w aucie Babiarskich – poinformował. – Wreszcie zaczęli rozmawiać o Wężyku.

Od wielu dni słuchali na przemian tyrad o cenach gruzu i kosztach wyprawienia wnuka na wakacje, planów na grilla, politycznych uwag natury ogólnej i historii z życia rodzinnego. Żadnych złowieszczych projektów, gróźb karalnych ani mowy nienawiści. Nawet za rozmowę przez telefon w czasie jazdy nie można było się przyczepić, bo korzystali z zestawu głośnomówiącego. A co najgorsze, nie rozmawiali o Wężyku. Raz tylko pojawił się obiecujący wątek, gdy rydwan ciemności z braćmi na pokładzie przejeżdżał ulicą Berka Joselewicza koło

synagogi.

Głos 1: *I tylko się syfu medialnego narobiło.*

Głos 2: *E, syfu. Pogadali i przestali, jak zwykle. Tylko żal eleganckiej ściany. Nogi z dupy bym powyrywał.*

Głos 1: (śmiech) *Jak mówili w telewizji, że ten, że nam tu wybuchną niepokoje społeczne.*

Głos 2: *Widziałeś, żeby się kto przejmował?*

Głos 1: *Już nie mają o czym pisać.*

Ale w tym miejscu temat się skończył, nie padło nawet imię „Władek”.

Aż do dzisiaj. Wielicki podał Judycie Franz stenogram rozmowy. Prokuratorka przeczytała i odłożyła wydruk na ascetyczne biurko. Spojrzała na policjanta znad okularów.

– Naprawdę tak mówili?

– Nie ma wątpliwości, pani prokurator. Mam nagranie, gdyby pani chciała odsłuchać.

Zrobiła odmowny gest i zapadła się w obrotowy fotel.

– To mamy problem – powiedziała.

Anka przekartkowała tylko materiały sprzed wojny, większości z nich i tak by nie zrozumiała, bo były w jidysz. Przejrzała wycinki prasowe z tarnowskiego „Tygodnika Żydowskiego” i antysemitycznej diecezjalnej „Naszej Sprawy”, pisma urzędowe, okupacyjną gadzinówkę „Nowiny” z ostrzeżeniem przed roznoszącymi tyfus Żydami. Bastian ma rację, życia by nie starczyło, żeby przestudiować to wszystko. Jaka fascynująca codzienność musiała kryć się w tych papierach, pomyślała, odkładając je z ciężkim sercem na brzeg stolika.

Wzięła do ręki skoroszyt z pokserowanymi relacjami

ocalających, cieniutką książeczkę, do której przestudiowania wystarczyła co najwyżej godzina.

Relacja Adeli Gold, która w dąbrowskim getcie zostawiła w łózkach dzieci, gdy zbudził ją alarm, że idą Niemcy. Ukryta za ścianą piwnicy, usłyszała tylko, jak mówią: „*Kinder, Kinder*”. Nie znaleźli jej. Dzieci nigdy więcej nie zobaczyła. Po likwidacji getta tułała się z siostrą po wsiach. Pewna biedna kobieta, która kiedyś pracowała u rodziny Adeli, zgodziła się je przyjąć. Gdy wrócił jej mąż, wyrzucił siostry, mówiąc, że nie chce widzieć Żydów nawet za miliony. Relacja urywa się, jak zaprotokołowano, z powodu choroby świadka.

Relacja Feli Grün z Radgoszczy, przechowanej przez rodzinę Franciszka Sołtysa, którego wielokrotnie nękali nasłani przez donosicieli Niemcy. Ani groźby, ani obietnice nagrody, ani brutalne bicie nie złamały jego oporu.

Relacja Cyli Braw, która miała pięć lat, kiedy uciekła wraz z matką z pierwszej akcji likwidacji getta. Reszta rodziny zginęła. Biegając przez żyto, dziewczynka została postrzelona w plecy. Pierwszy spotkany Polak, policjant, puścił Cylę i jej matkę wolno. Drugi, chłop, odmówił pomocy, bo bał się o swoje dzieci. Trzeci krzyczał: „Łapać Żydów!”. Potem tułaczka, ziemianka w Dulczy, nieustanne obławy i walka o przetrwanie aż do końca, gdy ostatnia grupa dwudziestu pięciu ludzi ukrywających się w lesie postanowiła się przedrzeć przez front do zbliżających się Rosjan. Złapani w podwójny ogień, giną. Przeżyje tylko pięć osób.

Znała dobrze te historie. O obławach – tych zarządzanych przez Niemców i tych, na które chłopci chodzili spontanicznie. Wstrzymała oddech, czytając o obławie urządzonej w Wielkim Tygodniu w Brzeźnicy, na którą chłopci poszli prosto z kościoła, żeby złapać ukrytych w wiklinie ocalańców.

O żandarmie Engelbercie Guzdku, volksdeutschu ze Śląska, zwanym „krwawym upiorem” i „katem Powiśla”, który zbudował w Radgoszczy szubienicę. O granatowym policjancie, noszącym ironicznie – lub proroczo – brzmiące nazwisko Niechciał. To po polską policję posyłano najczęściej w przypadku złapania Żyda. Swój, choć przedstawiciel okupacyjnej władzy, był zawsze bardziej przewidywalny niż Niemiec – groźny, chociaż daleki, jak jakieś podziemne bóstwo. Problem rozwiązywało się strzałem gdzieś za winklem. Wódka przed i wódka po. Wódka na odwagę i na wyrzuty sumienia.

O Amonie Goecie, o którym ocalona z Płaszowa Giza Beller mówiła w swoim zeznaniu: „piękny mężczyzna, ale zbrodniarz”. O tym, jak w getcie w Tarnowie Goeth sam strzelał do dzieci. O złotowłosym chłopcu wyciągającym do zbrodniarza lusterko i ołówek, oddającym mu wszystko, co ma. I chociaż zbrodniarz mówi do niego: „*Komm, komm, ich tue dir nichts*”, historia ta nie skończy się dobrze. Obserwująca tę scenę z ukrycia Erna Landau pomyśli, że jeśli ma umrzeć, to niech strzela do niej Goeth. Bo strzela celnie.

Anka opadła na oparcie krzesła. Znała dobrze te opowieści – kręciła się w kółko. Nie znalazła tu nic więcej niż w archiwum ŻIH-u, niż w historycznych opracowaniach Zagłady Żydów powiatu dąbrowskiego. Zorientowała się, że nie ma z nią Bastiana. Wyszedł, a ona nawet tego nie zauważyła. Spojrzała na swój notatnik – nie zapisała ani jednej nowej informacji.

Może doszła do ściany? Może archiwa nie powiedzą jej nic więcej, a naoczni świadkowie poumierali, zanim ktoś zdążył ich zapytać? Pomyślała o cioci Wiesi i panu Jakubie, którzy niedługo zabiorą do grobu tajemnicę tego, co widzieli. Poczowała, że powinna zaraz biec do nich i pytać o to wszystko, czego nie było w aktach. Jak to jest patrzeć na śmierć nieprzeznaczoną dla

ciebie.

Będzie musiała mu powiedzieć, że tak się nie da. Że uganiają się za duchem. I o tym, jak wiele podobnych duchów tuła się po zagrodach, miedzach i zagajnikach Dąbrowy, Powiśla, Polski.

Jest jeszcze jedno miejsce, gdzie musi pójść, zanim mu powie, że odpowiedzi nie będzie.

Jeszcze jedna szansa.

Prokurator Kogut się postarał. Informacja o konferencji prasowej została opublikowana w ostatniej chwili, więc nie dotarł prawie nikt. Duże media, nawet gdyby chciały, nie zdążyłyby przysłać reporterów.

Ale dziennikarz miał wrażenie, że nie chciały. Spodziewał się, że wozy transmisyjne założą w Dąbrowie camper park, że sprawa z jego ogródka stanie się serialem na żywo, że echa nie będą milknąć, a internauci zapalają oburzeniem. Nic podobnego. Dawcio z ekipą się zwinęli, Dąbrowa zniknęła z nagłówków tak szybko, jak się pojawiła. Widział to w statystykach *Raportu Strzygonia*. Na dzisiejszą konferencję nie dojechali nawet lokalni dziennikarze. Na schodach prokuratury stał tylko grubasek w wędkarskiej kamizelce i dziewczyna z kołonotatnikiem.

Bastian domyślał się, że polityczna presja na przyspieszenie sprawy, którą zorganizował przy pomocy Dawcia, miała też swój rewers. Nie bez przyczyny prokuratura schowała konferencję pod korcem. Sprawa miała zostać błyskawicznie rozwiązana – i uciszona. Tak, żeby nikt się nie przyczepił, ale też żeby o niej nie mówiono.

Bastian i Wiolka czekali ze smartfonami w pogotowiu, gotowi do transmisji live na Facebooku, do zadawania niewygodnych pytań. Za sobą mieli pusty plac z betonowych płyt. Przed sobą –

puste schody pod trójkątnym daszkiem z pleksi w kolorze fotochromowych okularów.

To była najdziwniejsza siedziba prokuratury, jaką Strzygoń w życiu widział. Urządzono ją na parterze kilkupiętrowego brzoskwińskiego bloku mieszkalnego. Parter, zajmowany przez urząd reprezentujący majestat państwa i prawa, pomalowano na różowo, jakby ktoś chciał stawiającym się na przesłuchania przestępcom poprawić humor. W oknach wisiały łososiowe wertykale i nie trzeba było wchodzić do środka, żeby sobie wyobrazić, jak musi tam być ciasno. Całości dopełniała lokalizacja na skraju miasteczka. Żeby się dostać do wejścia, trzeba było z osiedlowego parkingu przejść między ścianą bloku a łąkami oddzielającymi miasto od ściany lasu.

Szczęknięły drzwi wejściowe. Na szczycie schodów stanął prokurator Zdzisław Kogut, a za nim rzeczniczka prasowa prokuratury.

– Witam państwa, choć w takim kameralnym gronie – zaczęła. – Pan prokurator osobiście przedstawi państwu opinię biegłego w prowadzonej przez Prokuraturę Rejonową w Dąbrowie Tarnowskiej sprawie szczątków osoby N.N. ujawnionych na posesji prywatnej na Rudzie oraz decyzję prokuratury w przedmiotowej sprawie. Panie prokuratorze, bardzo proszę.

Wiolka wyciągnęła przed siebie smartfona, łapiąc w kadr twarz prokuratora. Relację na żywo oglądało czternaście osób. Bastian też filmował. Miał nadzieję, że Dawcio weźmie kawałek jego nagrania do programu. Dźwięk z komórki był fatalny, przydałby się mikrofon kierunkowy. Do tego światło – pod daszkiem wszystko robiło się żółtawe.

– Dziękuję, pani rzecznik – rozległ się tubalny głos Koguta. – Pragnę podkreślić, że prokuratura jest świadoma szczególnych

emocji wiążących się ze sprawą – zwrócił się do Strzygonia. – Dlatego podjęliśmy starania, by opinię biegłego, niezbędną do podjęcia dalszych kroków w śledztwie, pozyskać jak najszybciej. Mówię to, ponieważ byliśmy świadkami wywierania presji medialnej na prokuraturę i suponowania związków z tematyką szczególnie drażliwą dla naszego społeczeństwa oraz stosunków międzynarodowych – dodał na jednym oddechu.

Rozłożył trzymaną w dłoni kartkę i beznamiętnie zaczął czytać:

– Biegły w zakresie antropologii sądowej ustalił, że kości ujawnione na posesji w Dąbrowie Tarnowskiej stanowią szczątki ludzkie należące do dorosłej kobiety w wieku nie wyższym niż dwadzieścia lat. Biegły ocenił czas zalegania kości w miejscu ujawnienia na pięćdziesiąt do stu lat, z całą stanowczością więcej niż trzydzieści. – Prokurator zawiesił głos.

A zatem mogła zginąć w czasie wojny, pomyślał Bastian. Wiolka ćwiczyła dziennikarską podzielność uwagi, równocześnie tańcząc ze smartfonem przed twarzą prokuratora, sprawdzając statystyki lajfa i łowiąc każde słowo urzędnika.

– Co istotne, w obrębie miejsca zalegania kości nie znaleziono żadnych przedmiotów ani resztek ubioru – ciągnął prokurator. – Biegły stwierdził w obrębie kośćca liczne uszkodzenia powstałe okołomiernie, z których część sugeruje bezpośrednią przyczynę zgonu. Chodzi głównie o liczne obrażenia głowy, a zwłaszcza ujawnione na kościach płaskich czaszki wgłobienia, czyli – uniósł wzrok znad kartki i poruszył węsami – takie wklęśnięcia. A także złamania w zakresie oczodołu i podstawy czaszki et cetera.

Bastian pobladł.

– Wraz z innymi ujawnionymi uszkodzeniami kośćca, takimi

jak złamania żeber i kości długich oraz obrażenia obronne w obrębie kości przedramion i dłoni, wskazują one, że bezpośrednią przyczyną zgonu były ciężkie obrażenia głowy spowodowane nieustalonym narzędziem tępokrawędzistym działającym punktowo.

Na chwilę zrobiło się całkiem cicho.

– Z uwagi na szczególne zainteresowanie mediów prokuratura czuje się w obowiązku podkreślić z całą stanowczością – Kogut podniósł głos, nie dając sobie przerwać – że nie sposób powiązać przyczyny śmierci kobiety N.N. z działaniami wojennymi, a w szczególności z wydarzeniami określanymi jako trzecia faza Zagłady bądź *Judenjagd*.

– Słucham? – odezwał się dziennikarz.

– Nie ujawniono bowiem, jak to już zostało powiedziane, żadnych przedmiotów mogących sugerować tożsamość ofiary, żadnych łusek bądź kul ani też śladów użycia broni palnej – dokończył prokurator Kogut.

– Panie prokuratorze... – jęknął Bastian.

– Proszę pozwolić panu prokuratorowi dokończyć – przerwała mu rzeczniczka. – Później będzie czas na pytania.

– Z uwagi na przepis zawarty w artykule siedemnastym paragraf pierwszy punkt szósty kodeksu postępowania karnego oraz artykuł sto pierwszy paragraf pierwszy kodeksu karnego Prokuratura Rejonowa w Dąbrowie Tarnowskiej podjęła decyzję o umorzeniu sprawy z powodu przedawnienia karalności – powiedział prokurator i złożył kartkę na pół.

– Czy są jakieś pytania? – zaszcebiotała rzeczniczka.

– Tak – wyrwał się Bastian. – Sebastian Strzygoń, *Raport Strzygonia*. Panie prokuratorze, naprawdę? Nie da się powiązać jej śmierci z *Judenjagd*? Przecież nie jest wiedzą tajemną –

przypominał sobie słowa Anki – że ofiary często okradano ze wszystkiego, nawet z bielizny, brak śladów może być tu śladem, a czas śmierci się zgadza.

– Panie redaktorze – Kogut spojrział na niego wyrozumiale – co się zgadza? Słyszał pan: od pięćdziesięciu do stu lat, więc to całkiem obszerny przedział czasu. To tak nie działa, ja muszę opierać wnioski na konkretnych śladach, a tu ich po prostu nie ma. Ona nie została rozstrzelana, a przecież, jak pan powiedział, nie jest wiedzą tajemną, jak to się odbywało. Wołano niemieckich żandarmów albo policję. W toku postępowania analizowaliśmy dostępną literaturę i tak z niej wynika. A tym bardziej, panie redaktorze – zacisnął zęby – po szkielecie nie ustalimy, czy ona była Żydówką. Tego nie widać po kościach.

Grubasek w kamizelce zarechotał.

– Nie można dokładniej ustalić czasu, kiedy ta dziewczyna została pogrzebana? – drążył Bastian.

– Nie ma takiej możliwości – odparł Kogut.

– A czy...

– Proszę pozwolić też innym zadać pytania – przerwała rzeczniczka.

– Wioletta Kozyra, *Raport Strzygonia* – podjęła natychmiast Wiolka. – Dlaczego nie próbują państwo ustalić sprawcy ani nawet tego, ilu ich było?

– Pani redaktor. – Kogut rozłożył ręce. – Kodeks przewiduje w takich sytuacjach umorzenie.

– A jeśli... – zaczął Bastian.

– Proszę pozwolić też innym. – Rzeczniczka zrobiła minę, jakby Strzygoń głęboko ją zasmucił. – Bardzo proszę, czy ktoś z państwa ma pytania?

Zapadła cisza.

– Mogę? – syknął Bastian. – Dziękuję. Czy to już wszystko, co ustalili biegły?

– Wszystko, co jest potrzebne do uzasadnienia decyzji prokuratury. – Kogut wzruszył ramionami. – Trudno, żebym zarzucał teraz państwa detalami technicznymi, które tylko zaciemnią obraz sprawy.

– O ile się nie mylę, zbrodnie wojenne nie ulegają przedawnieniu – spróbował jeszcze dziennikarz. – Czy brał pan pod uwagę...

– Panie redaktorze, na miłość boską – nie dał mu dokończyć prokurator. – Czy pan nie rozumie? Na jakiej podstawie? Tam nic nie ma, panie Strzygoń. Rozumie pan? Nie ma tam pańskiej odpowiedzi.

Schody opustoszały. Bastian odprowadził wzrokiem plecy prokuratora Koguta. Za sąsiednim oknem z odsuniętymi wertykalami mignęła mu prokuratorka od sprawy Wężyka. Miał wrażenie, że mu się przyglądała, ale gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, odsunęła się od szyby i zniknęła. Wiolka czekała na betonowym placu, sprawdzając statystyki transmisji na żywo. W szczytowym momencie były sto siedemdziesiąt trzy osoby. Nieźle. Średni czas uczestnictwa czterdzieści trzy sekundy. Szesnaście lajków. Osiem zdziwionych buziek. Trzy złe. Ktoś kliknął nawet serduszko.

Bastian patrzył w smartfona. Ostatnie słowa prokuratora Koguta dźwięczały mu w uszach.

Nie ma tam odpowiedzi.

Dorota zamknęła drzwi i obserwowała zaskoczona, jak doktorka z Krakowa wsiada na czerwony motor i odjeżdża. Będzie musiała dopytać Wiolkę, co to za jedna. Poprawiła

torebkę i ruszyła w stronę samochodu.

– Możemy porozmawiać? – Zaskoczył ją, gdy otwierała drzwiczki. Nieogolony, w przepoconym podkoszulku.

– Jasne. – Strzeliła klamką. Nie chciała, żeby wszedł do samochodu, jakby bała się, że się go stamtąd nie pozbędzie.

– Pomożesz mi? – zapytał. Patrzył na nią ogromnymi oczami, jak kiedyś.

– Oczywiście – powiedziała, chociaż cofnęła się o krok. – Potrzebujesz wsparcia? Terapeuty? Mogę zapytać psychologa ze szkoły, czyby z tobą nie rozmawiał.

– Nie, nie o to chodzi. – Maciej Wężyk rozejrzał się, przeczesał włosy. – Chodzi o mamę. Jakby coś mi się stało, to ktoś musi się nią zająć. Ona teraz...

Dorota gwałtownie pokręciła głową.

– Nawet o tym nie myśl, nie waż się, nie pozwalam ci! – Zaciśnęła pięści i przyłożyła je do skroni.

Tylko jej wtedy powiedział, tylko jej się zwierzył ze swojej próby samobójczej w ostatniej klasie liceum. Skończyło się na rzyganiu przez całą noc i rozstroju żołądka. Wołała nie myśleć, jak mogłoby skończyć się teraz. Wtedy ich problemy wydawały się nie do przejścia. Z rówieśnikami. Z rodzicami. Z nauką. Z miłością. Z przyszłością. Dziś to wszystko budziło jedynie uśmiech. Dziś ich, jego problemy były całkiem inne.

– Nic nie rozumiesz. – Odepchnął się od samochodu i wcisnął ręce do kieszeni.

– Wytłumacz mi.

– Nie będę ci się tłumaczył – warknął. Zrozumiała: po tylu latach nie ma prawa żądać od niego wglądu w jego duszę, którą porzuciła. – Obiecay tylko, że jej pomożesz.

– Dobrze. – Kiwnęła głową.

– Dzięki – mruknął i odszedł zgarbiony.

Wsiadła do auta i oparła czoło na kierownicy.

– Bastian. – Wiolka wstała z sofy i podeszła do niego, podsuwając mu laptopa. – Zobacz.

Zobaczył. I nie uwierzył własnym oczom.

Zaraz po konferencji zadzwonił do Dawcia, nakręcony jak zegar z kukułką. Ale Dawcio nie rzucił wszystkiego i nie popędził do wozu transmisyjnego. Powiedział tylko, żeby Bastian podesłał mu filmik.

Oddzwonił po godzinie.

– Stary, nie obraź się, to jest nieemisyjny materiał, światło z dupy, wiatr dudni w mikrofon i wszystko się kiwa. Ale spoko, wysłałem to do redakcji portalu, to się akurat nadaje do netu, na pewno dadzą.

Dali.

Prokuratura: to nie była ofiara polowań na Żydów – przeczytał nagłówek.

Czytał i klął.

Zdaniem biegłych nic nie wskazuje na to, żeby kości znalezione w Dąbrowie Tarnowskiej (woj. małopolskie), o których informował nasz reporter Dawid Wojciechowski, należały do ofiary tak zwanego Judenjagd, czyli ostatniego etapu Holokaustu. Żydzi ukrywali się po likwidacji gett przy wsparciu polskich Sprawiedliwych (przypomnijmy: Polacy mają najwięcej, bo 6620 drzewek w Yad Vashem) i ścigani byli przez Niemców wspieranych przez donosy kryminalnego marginesu. Równocześnie nie potwierdziły się obawy, że w miasteczku dojdzie do wystąpień antysemitycznych. Śledztwo w sprawie napisów na niedawno odremontowanej synagodze trwa, ale podobne

zdarzenia się nie powtórzyły. Doniesienia Raportu Strzygonia wydają się więc przesadzone.

Zgarbił się nad laptopem. Na ścianie rozklejone były kopie zdjęć z Ośrodka Spotkania Kultur. Poważne rodzinne portrety. Roześmiana młodzież. Rozmyte sylwetki. Zaglądały mu przez ramię, gdy czytał, jak bardzo przesadza.

Tym bardziej przesadą wydaje się pytanie Strzygonia, czy to była zbrodnia wojenna.

Bastian wstał. Wyszedł bez słowa.

– Bzdury – wypluła, a Wielicki skurczył się na krześle i zaczął kartkować swoje notatki. Bąk z nieobecny wyrazem twarzy oglądał swoje paznokcie.

Judyta Franz przechadzała się po gabinecie, stukając obcasami. Rano kazała przygotować od nowa plan śledztwa i hipotezy robocze. Dała im czas do końca dnia. A teraz słuchała z rosnącą irytacją dowodów ich bezradności.

– Rozpytamy żonę i szwagra współnika – bąknął Bąk.

– Jeszcze panowie tego nie zrobili? – Zmrużyła oczy.

– Przygotowywaliśmy...

– Wystarczy – przerwała mu. – Odkąd panowie się tu pojawili, nie udało się panom nawet zrekonstruować, jak wyglądały ostatnie godziny ofiary. Proszę ustalić, gdzie Władysław Wężyk oglądał mecz i z kim się tak upił. Przypominam, że poleciłam panom dowiedzieć się jak najwięcej o jego rodzinie. A teraz proszę wyjść.

Wielicki podniósł się z krzesła. Był od niej o głowę wyższy, ale pod jej wzrokiem skulił się jak uczeń. Bąk wykrzywił wargi w wymuszonym uśmiechu.

– To wszystko? – zapytał z ręką na klawecie.

– Proszę jeszcze wrócić do śladów kryminalistycznych – nakazała. – Odciski opon, ślady na asfalcie, obrażenia ciała, monitoring. Żeby się upewnić, że niczego panowie nie zaniedbali. Jesteśmy w punkcie wyjścia.

Miała ochotę spuścić ich ze schodów i odesłać z powrotem do Krakowa z pisemną reprimendą. Ale zanim znowu narobi sobie wrogów, musi odetchnąć.

– Jak sprawa napisów? – zapytała, mijając na korytarzu młodą asesorkę w okularach.

– Jeszcze nic nie wiadomo, ale podkomisarz Kaługa jest bliski przełomu, tak twierdzi – rzuciła za nią kobieta, widząc, jak po „nic” prokuratorka traci nią zainteresowanie i odchodzi.

Judyta Franz zbiegła po schodach i wyszła na parking przed prokuraturą. Pożałowała nagle, że nie pali, miałyby pretekst. Przed budynkiem było pusto, tylko prokurator Kogut przechadzał się wzdłuż chodnika z komórką przyklejoną do ucha. Stała w pewnej odległości od niego i odetchnęła. Odkąd znalazła się w Dąbrowie, miała wrażenie, że wszyscy starają się sabotować jej pracę. Niekompetentna policja. Ślamazarna prokuratura. Ciągające się w nieskończoność postępowania. Opieszale sądy. Chociaż nie, to wrażenie miała już wcześniej, towarzyszyło jej, odkąd skończyła studia.

Obejrzała się na Koguta. Bumelant, pomyślała. Łowiła strzępy jego rozmowy. Tłumaczył się jakiemuś dziennikarzowi z umorzenia sprawy kości na Rudzie. Pewnie jest szczęśliwy, jeszcze parę telefonów i kolejna sprawa do szuflady. A potem tylko piwko, karkóweczka z grilla i spokojny sen sprawiedliwego.

– Wszystko w porządku, pani prokurator? – Głos wyrwał ją z zamyślenia.

– Tak – odpowiedziała. Kogut obracał w palcach smartfona i patrzył na nią zatroskany. Zirytowało ją to. – Proszę wracać do swojego postępowania, panie Zdzisławie. Telefon się urywa.

– Wie pani, na czym polega pani problem? – Kogut uśmiechał się do niej, a ją ogarniała wściekłość. – Nie daje sobie pani pomóc.

– Nie wiem, jak mógłby mi pan pomóc – prychnęła.

– Ja też nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale jak pani zapyta, to się zastanowię.

Zahamował gwałtownie, dusząc silnik pistacjowego seicenta. Zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł z auta tuż przed miejscem, gdzie mostek trochę zbyt stromym progiem włączał się w ulicę Grunwaldzką. Coś czarnego leżało na skraju drogi. Jeśli to kamień, ryzykowałby rozwalenie miski olejowej.

Bastian podszedł. To był martwy kot.

Czarny kocur rozjechany przez samochód. Z futrem pozlepianym krwią i różowymi, obsiadłymi przez muchy serpentynami kiszek. Dziennikarz zmarszczył nos. Już śmierdziało. Ale nie było go tu przecież, gdy dopiero co wracali z miasta.

Rozejrzał się.

Po drugiej stronie ulicy kryło się w głębi mostka dwóch podrostków. Kilka kroków od nich stał z założonymi rękami starszy chudy mężczyzna. Ktoś się przyglądał, przerwawszy koszenie ogródka. Stojąca nieopodal korpulentna kobieta, ściskająca za rękę kilkuletnią dziewczynkę, śmiała się głośno, wskazując palcem to na niego, to na kota.

Nie przestała się śmiać, gdy ruszył ku niej.

– Dziecko patrzy i się uczy – powiedział.

– I tak powinno być! – rzuciła, poważniejąc. Nikt nie drgnął, ale Bastian poczuł, jakby wszyscy gwałtownie się przybliżyli, zacieśniając krąg. – Przypatrz się, Malwinko – zwróciła się do dziewczynki kobieta. – Tak wygląda medialny kłamca.

– Proszę?

– A tak, kłamca! Słyszeli my w telewizji, że o tych kościach to wszystko kłamstwo, coście nawypisywali! Powiedzieli, że prokuratura ustaliła, że to nie była żadna sprawa z wojny! Nie wstyd ci teraz?

– Nie ma bezpośrednich dowodów, że była, ale to nie znaczy, że nie mogła...

– Wstydzilibyś się! – przerwała mu kobieta, a jej twarz ściągnęła się w grymasie odrazy. – I to jeszcze ty, Adamowy wnuk. Tak swoje miejsce oczerniać. Wstydzilibyś się.

– Kłamca – pisnęła dziewczynka.

Ogródek przy Dolnych Młynów tętnił życiem. Wieczór przynosił orzeźwienie. Anka siedziała przy stoliku, obserwując sączącą kraftowe piwa młodzież. W radosnym zgiełku mieszała się muzyka z kilku różnych knajp, śmiechy i nawoływania. Pachniało sosem barbecue z food trucka, wszystkie leżaki były zajęte. Ale ona nie potrafiła się wyluzować. Jej myśli krążyły wokół Dąbrowy, a naprzeciwko niej siedziała Róża Wiśniewska.

– A więc fascynuje panią zbrodnia – powiedziała dziennikarka, zakładając nogę na nogę.

– Nie. – Anka potrząsnęła głową. – Nie zbrodnia. Interesuje mnie człowiek, ze wszystkimi jego zawłościami.

– To dlaczego tropi pani morderców?

– Jestem antropologiem. W sytuacji kiedy dochodzi do zbrodni, dzieje się coś takiego, jakby otworzyła pani powłoki

człowieka i mogła zajrzeć do środka. Zbrodnia to trzęsienie ziemi, fasady i dekoracje rozpadają się w gruzy. To taki moment, kiedy...

– Jasne – przerwała jej Róża Wiśniewska i pociągnęła drinka przez słomkę. – Wykorzystuje pani tę swoją socjologiczną i antropologiczną wiedzę, żeby ich rozszyfrować, prawda? Nic się nie ukryje przed analitycznym spojrzeniem doktor Anny Serafin.

Anka nie odpowiadała, zastanawiając się, czy kobieta sobie z niej kpi, czy tylko żartuje, próbując przełamać lody. Od początku rozmowa się nie kleiła, Anka była zamyślona i miała wrażenie, że Róża Wiśniewska ją prowokuje.

– Ma pani stuprocentową skuteczność – podchwyciła dziennikarka, widząc, że Anka ociąga się z odpowiedzią. – Każda z pani interwencji to spektakularny sukces. Drżycie, złoczyńcy, przed siłą nauki – zachichotała.

– Nauka to nie jest magiczna różdżka – Anka napięła mięśnie ramion – ani serum prawdy. Nauka daje narzędzia do rozumienia, ale są takie sytuacje, kiedy jest – zająknęła się – bezradna.

– Na przykład kiedy? – zainteresowała się Róża Wiśniewska.

– Kiedy mamy za mało danych. Kiedy nie ma czego analizować. Wtedy możemy jedynie z pewnym prawdopodobieństwem potwierdzać lub wykluczać hipotezy. Nic więcej.

– Jakże to nudne – stwierdziła dziennikarka. – Czytelnicy chcą wiedzieć: to ten zabił albo nie zabił. Lepiej niech mi pani powie: czy istnieje zbrodnia doskonała?

Ktoś upuścił kufel, brzęk szkła i chóralny śmiech odbiły się echem po podwórku zamkniętym murami dawnej fabryki papierosów.

– Zbrodnia, jak każde dzieło człowieka, który sam jest niedoskonały, nie może być doskonała – odparła Anka.

– Czyli, powtórzę: drzyjcie, złoczyńcy? – Róża Wiśniewska się uśmiechnęła. – Nic nie ujdzie na sucho?

– Nie wiem. – Anka wzruszyła ramionami. – To, że nie istnieje zbrodnia doskonała, znaczy również, że nie istnieje doskonały śledczy.

– Poprzednim razem tyle pani opowiadała na temat prawdy. A teraz mówi mi pani „nie wiem”. To jak to jest?

– Nie wiem – powtórzyła swoją mantrę Anka. – Czasem można wiedzieć, ale nie rozumieć. A czasem się rozumie, ale trzeba się pogodzić z tym, że nie będzie się wiedzieć wszystkiego.

– Czego się pani boi? – Dziennikarka próbowała zmienić temat.

– Właśnie tego – odpowiedziała Anka. – Że będę musiała pogodzić się z tym, że nie wiem. Że doszłam do ściany i dalej nie ma nic.

– Myślałam, że powie pani coś o odgłosie kroków w ciemnej uliczce.

Anka otrząsnęła się z zamyślenia.

– Myślałam, że pyta mnie pani jako naukowca.

– Nie, to pytanie do pani jako do kobiety.

Anka oplotła palcami szklankę z mojito. Nie, jako kobieta bała się czegoś innego. Powiodła wzrokiem po tych dziewczynach bez staników pod luźnymi bluzkami, z ramionami lśniącymi od potu. Przychodziła tu czasem z Gertem, on lubił takie miejsca. Ona nauczyła się ich nie nie-lubić. Widziała ciągnące się za nim powłóczyście spojrzenia i miała nadzieję, że on ich nie widzi. Widziała też rozczarowanie w jego oczach, gdy o północy,

ziewając, oświadczyła, że chce iść do domu. Przypomniała jej się dziwna panika, w którą wpadła, gdy ostatnio wspomniała o wyjeździe za granicę. Teraz, kiedy on chce rozwinąć skrzydła i dopiero się rozpędza, ona najchętniej wolałaby trochę zwolnić, osiąść i zamiast walczyć o więcej, cieszyć się tym, co ma.

– To jak idzie projekt z *Raportem Strzygonia*? – zapytała dziennikarka, kiedy milczenie Anki zaciążyło nad stolikiem. – Nie chcę się wtrącać, ale jeśli rzeczywiście chcecie państwo pisać o Żydach, to musicie się liczyć z tym, że wielu czytelnikom się to nie spodoba, nieważne, co napiszecie. To grząski grunt, wielu już w nim utonęło. Zresztą po co jątrzyć, wszyscy teraz potrzebujemy spokoju.

– Wszyscy potrzebujemy spokoju – powtórzyła Anka i nagle poczuła się bardzo zmęczona. – Przydałoby się coś do poduszki – westchnęła. – Coś ekscytującego, ale usypiającego.

– Bajka na dobranoc – roześmiała się perliście Róża Wiśniewska.

Bogdan zaszedł mu drogę, gdy Bastian wjeżdżał na podwórze. Wyglądał na dumnego z tego, jak odpicował Bastianowe seicento. Ale gdy dziennikarz zgasił silnik i wysiadł, okazało się, że nie o to chodziło.

– Nie przejmuj się, kuzyn – przywitał go Bogdan, ściskając mu mocno rękę. – Każdy ma prawo coś w życiu zjebać. Ale powiedz – przytrzymał jego dłoń i spojrzał dziennikarzowi w oczy – to musi być jednak żenada, tak zjebać przed milionami ludzi, co? Jak to jest?

– Boguś – Bastian wyzwolił się z uchwytu kuzyna – ale o co ci chodzi?

– No jak o co? – Teraz to Bogdan zrobił zdumioną minę. –

O te bzdury, co żeś popisał o tym szkielecie, jak się okazało.

Bastian zapalił papierosa, starając się opanować. Zawiesił wzrok na perfekcyjnie wystrzyżonej trawie między domem ciotki Wery a chawirą, którą na posesji rodziców postawił Bogdan. Na samochodach zaparkowanych przed garażem. Czerwony opel astra ze zdemontowanym pasem przednim, duży dostawczak z zabudowaną paką i logo w kształcie kotwicy na burcie, które przysłała czarna toyota rav4.

– To nie były żadne bzdury, Boguś – odparł.

Kuzyn założył ręce na piersi.

– Ja żem nic nigdy nie miał do Żydów – burknął. – Nie interesowałem się specjalnie, byli to byli, teraz ich nie ma. Straszna tragedia, ale ja się za to obwiniać nie będę, bo żem nikomu nic nie zrobił. Więcej, też byłem w bożnicy i nawet tam piszą, że w samym dąbrowskim powiecie było ośmioro Sprawiedliwych.

Bastian się uśmiechnął.

– To nawet nie dziesięciu, jak w Sodomie.

– Gdzie?

– Nieważne.

– A całe to twoje niby polowanie na Żydów – ciągnął Bogdan – to przecież urządzili Niemcy. Najwyżej angażując, jak to w muzeum napisali, lokalnych pomocników.

– Właśnie – potwierdził Bastian.

– A dziwisz się? Przecież wiadomo, że Żydzi się cieszyli, kiedy od wschodu weszli Ruscy i witali Armię Czerwoną. Potem ludzie mogli chcieć odwetu.

– Tu, w Dąbrowie, witali? Tu Armia Czerwona weszła na sam koniec wojny i witali ją wszyscy.

– I Żydzi szli do UB.

– Ale UB powstało po wojnie.

Bogdan machnął ręką.

– Jak będziesz taki mądry, to nigdy się nie dogadamy. My tu w Dąbrowie pierwsi wyciągnęli rękę na zgodę, odremontowali my bożnicę za polskie pieniądze, chociaż tyle lat stała i mogli sobie Żydzi z Ameryki wyremontować, ale widać nie chcieli. Może ich zapytaj, dlaczego czekali, aż za nasze, unijne, będzie remont. I teraz jeszcze mam się czuć winny za jakąś zbrodnię, co jej nie było?

Bastian dokończył papierosa i zdeptał niedopałek na świeżo skoszonym trawniku.

– Chcę się dowiedzieć, co to za dziewczyna leżała w dziadkowym sadzie. Ciotka nie śpi?

– A wal się, Bastian. – Bogdan odwrócił się na pięcie. – Zresztą ty żeś zawsze rodzinę miał w dupie, to i mała strata.

Dziennikarz zapukał i wszedł do wnętrza pachnącego naleśnikami i musem jabłkowym. Ciotka Wera siedziała w fotelu przed telewizorem. Sięgnęła po pilota, żeby ściszyć. Przysiadł obok niej na wersalce. Z kieszeni wyjął pierścionek z literą *mem*.

Ciotka odezwała się pierwsza:

– Co to znaczy, to, co mówili w telewizji?

– Że to była młoda dziewczyna, która nie została zastrzelona, tylko zatłuczona na śmierć. Nie było żadnych guzików, sprzączek, resztek ubrań, czyli wrzucono ją do dołu zmasakrowaną, nagą i zakopano.

– Ale jak nie była zastrzelona – ciotka Wera przyłożyła opuszki palców do warg – znaczy, że to nie Niemcy ją zabili. – Zaczęła to zdanie jak pytanie, skończyła jak odpowiedź. Bastian przytaknął skinieniem głowy. – A oni mówią, że nie ma

dowodów, że to była Żydówka.

– Bo nie wiedzą o tym – dokończył, unosząc otwartą dłoń, na której leżał pierścionek. – Jeśli to był jej pierścionek...

Zamilkł.

– Mów, Bastian.

– Moja – zawahał się – przyjaciółka z uniwersytetu twierdzi, że najwartościowsze trofea zabierali ci, co...

Nie dokończył. Nie zachęcała go już więcej.

– Dziadkowie ci nie powiedzieli, skąd go mieli?

Ciotka pokręciła powoli głową.

– A ty nie pytałaś, tak?

Potaknęła.

– Tato radził, żeby go kiedy sprzedać – powiedziała. – Że będzie z niego na życie, tak mówił. Albo że jeszcze kiedy będzie z niego życie, jakoś tak, już nie pamiętam. Nigdy go nie nosiłam, widzisz, co na nim jest. Jak się w nim pokazać ludziom?

– Dlaczego się tu przeprowadziłaś? – zapytał nagle.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Twój wujek, a mój mąż chciał być na swoim. Jego rodzice mieli ziemię, to pobudował dom. Wygodniejszy. Tam na Rudzie to wiesz, jak było. Bida. Jak tu żyć w takim domu?

– Wszyscy stamtąd uciekliście.

Spojrzała na niego.

– Moja mama do Krakowa, ty tutaj, wujek Marian w wesoły świat wujka Mariana. Tylko Bella postanowiła tu wrócić, jakby jej nikt nie zadał pytania, jak tu żyć w takim domu – powiedział głuchym tonem.

– Ty też uciekłeś, Bastian – zachnęła się ciotka.

– Ja? – Dziennikarz wyprostował się na wersalce.

– Tak, ty. Jak dziadek umierał, to byłeś tu może ze dwa razy.

– Przecież to nie miało sensu – mruknął bardziej do siebie niż do niej. – On mnie już nie poznawał. Nie było z nim kontaktu.

– Jak to nie poznawał? – Ciotka pokręciła głową. – Te dwa razy, jak żeś tu wtedy był, to tak mu oczy błyszczały! Wodził za tobą wzrokiem, na nikogo innego nie patrzył, tylko na ciebie. A jak pojechałeś, to był niespokojny, pobudzony. Dopiero po jakimś czasie znów wpadł w swoją apatię. To, że nie mógł ci nic powiedzieć, nie znaczyło, że cię nie poznawał. Ani że nie miał ci nic do powiedzenia.

Bastian oblizał spierzchnięte wargi.

– Nie mogłem częściej, zresztą nawet nie wiedziałbym, jak pomóc. I miałem wtedy mnóstwo ważnych spraw. – Popatrzył na swoje paznokcie. Komu się tłumaczy? Jej? Sobie? Dziadkowi?

– Skoro tak twierdzisz. – Ciotka splotła dłonie na podołku.

– Myślisz, że mnie to nie gnębi? – Odważył się popatrzeć jej w oczy. – Że się nie zastanawiam, jak to było? Mama nie chciała mi opowiadać. Zrobiła to dopiero teraz, jak ją zapytałem.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – przerwała mu ciotka.

– Tak. – Przełknął ślinę. – Powiesz mi?

– Wiesz, jak było? Cholernie ciężko, każda pomoc by się przydała, nawet jak ktoś nie wiedział jak – wyrzuciła z siebie, ale zaraz opadła na oparcie wersalki.

Zacisnęła kościste dłonie.

– Tato po tym wylewie nie mógł się normalnie ruszać, jeść bez pomocy, chodzić, nawet do ubikacji. Trudno nam było, bo tatuś był postawny chłop, ale jak żeś go musiał zabrać do łazienki, to... – Ciotka Wera otarła oczy wierzchem dłoni. – Bardzo się tego wstydził, złościł się. Ale w największej rozpacz był, że nie dawał rady nic powiedzieć, że my go wszyscy nie rozumieli.

Jakby tyle nam chciał jeszcze powiedzieć, a nie mógł. Żadne dziecko, nawet jak jest starą babą jak ja, nie może patrzeć, jak jego tato płacze, wiesz?

Popatrzyła na niego szklistymi oczami.

– Ale był jeden moment... Siedziałam z nim kiedyś, a on tak się strasznie miotał, jakby się czegoś bał. Więc wzięłam go za rękę i mówiłam do niego, opowiadałam jakieś historie, co mi ślina na język przyniosła, wspomnienia z dzieciństwa. A on nagle tak się popatrzył na mnie, tak głęboko, i...

Wargi ciotki Wery zatrzęśły się, na posiwiałych rzęsach zatańczyły łzy.

– ...powiedział do mnie tak jak wtedy, kiedy byłam dziewczynką – wyszeptaną. – „Mała, mała”.



ROZDZIAŁ 11

Nie znosiła Krakowa w lecie. Nad brukiem drżało powietrze, w kanionach kamienic żar bił od rozgrzanych murów. Tramwaje, pozbawione klimatyzacji, zamieniały się w szybkowary, w których gotowała się wieloskładnikowa potrawka o aromacie ludzkiego potu, metalu i czegoś kwaśnego, czego pochodzenia Anka wolała nie dociekać. Chłód i ciszę budynku Archiwum Państwowego w Krakowie przy ulicy Orzeszkowej przyjęła z ulgą. Swojski zapach zawilgoconych, kamienicznych murów z ledwie wyczuwalną nutką starego papieru przypomniał jej, że jest u siebie.

Chłopak w czytelni akt uśmiechał się do niej. Speszyła się, bo nigdy nie wiedziała, jak się zachować, kiedy ktoś ją podrywał. A może po prostu mu się nudziło, bo oprócz niej nie było tam nikogo. Cóż, akademickie wakacje.

– Oj, to chyba jesteśmy skazani na to, żeby się zaprzyjaźnić, pani Aniu – zaśmiał się, gdy przedstawiła się i wyjaśniła, o co chodzi.

– Pani doktor – poprawiła go chłodno. – Jestem zajęta – dodała, bo zawsze chciała móc to powiedzieć.

– Nie dziwię się, pani doktor. To musi być duży projekt badawczy. – Nie zrozumiał, a Ance zrobiło się przykro. – Sierpniówki, poważna sprawa. Trochę tu sobie pani posiedzi.

Zajęła miejsce przy stoliku i wyjęła swoje notatki z dotychczasowych lektur. Czterdzieści pięć spraw dotyczących

powiatu dąbrowskiego, dwustu oskarżonych, ponad tysiąc świadków. Ogarnęły ją złe przecucia. Ile zapisanego papieru mogli wyprodukować śledczy w latach czterdziestych? Wiedziała, że akta są rozproszone. Część, szczególnie akta sądowe i prokuratorskie, jest w IPN-ie, te z apelacji – tutaj, w Archiwum Państwowym. Od czegoś trzeba zacząć.

– Pierwsza dostawa. – Chłopak położył przed nią trzy wyblakłe teczki. Zapachniało kurzem. – Jak będzie pani gotowa, to proszę podejść, przyniosę następne.

Jęknęła. Do tej pory cierpiała raczej na niedobór źródeł, tutaj ma do czynienia z klęską urodzaju. Westchnęła, rozsypała delikatnie wiekowe sznureczki i zaczęła czytać.

Wydany 31 sierpnia 1944 roku *Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców Narodu Polskiego* obejmował również postępowania przeciwko podejrzanym o zbrodnie na Żydach. Sposób, w jaki te postępowania prowadzono, to inna sprawa. Szybko, niechlujnie, przymrużając oko na winy podsądnego, z cichą sympatią – zależało to od sędziego. Wyroki też nie były wysokie, często uchylano je w apelacjach.

Wzięła teczkę z wierzchu. Pierwszych kilka stron przestudiowała dokładnie, potem już tylko kartkowała. Długie linijki wykrętów, usprawiedliwień, sąsiedzkich złośliwości. Świadcstwa moralności wystawiane przez sąsiadów, zapewnienia o znikomej szkodliwości dla socjalistycznej ojczyzny, rozplywające się w „może”, „gdyby” i „podobno” zeznania obciążające, powtarzane już bez doniosłych szczegółów w apelacji.

Oskarżony sołtys wezwał granatowych policjantów do

złapanej Żydówki, bo ta domagała się odstawienia do getta. Wezwał, co miał zrobić, skoro odpowiadał głową za porządek we wsi? Kto złapał Żydówkę, gdzie jej szukał i po co? Padają nazwiska. Co się stało z Żydówką? Zginęła.

Sołtysi za okupacji mieli ciężkie życie. Z dnia na dzień bez możliwości zrzeczenia się tej funkcji stawali się przedstawicielami okupanta, osobiście odpowiedzialnymi za wykonywanie postanowień władzy, dostarczanie kontyngentów, siły roboczej, organizowanie obław, pilnowanie porządku, podwody. Sytuacja się komplikowała, gdy w okolicy pojawiali się partyzanci. Albo ukrywający się Żydzi. A jeszcze bardziej – kiedy przychodziła nowa władza i postanawiała ich z posłuszeństwa wobec poprzedniej władzy rozliczyć.

Zamknęła teczkę. Znała tę historię. Czyżby tu też nie było niczego nowego?

Bastian koczował na wąskim przejściu między blokowiskiem, w którym mieściła się siedziba prokuratury, a polami rozciągającymi się na północ, w stronę lasów, gdzie znaleźli Wężyka. I gdzie ktoś do niego strzelał.

Siedział na krawężniku i palił papierosa. Podsumował, co wiedzieli w obu sprawach: Wężyka i kości z sadu. Sprawach, których nic by nie łączyło, gdyby ktoś nie wymalował czerwoną farbą połączenia na ścianie synagogi i grobie ofiary. Kalkulował całą noc. Wyszło mu, że potrzebuje sojusznika.

– Dzień dobry – usłyszał nad sobą. Bastian podniósł głowę i osłonił oczy od słońca. Stał nad nim Kaługa, próbujący ukryć zaskoczenie. – A na co pan tu czeka?

Dziennikarz wstał, otrzepując spodnie, i podał mu rękę.

– Muszę porozmawiać z prokuratorem Franzem – odpowiedział. –

To diabelnie ważne i pilne.

Dąbrowski policjant przyjrzał mu się uważnie.

– Może pan będzie w stanie pomóc mi się z nią skontaktować? – ciągnął dziennikarz. – Pytałem na ochronie, ale powiedzieli, że nie wiadomo, kiedy będzie.

Kaługa oparł ręce na biodrach i nachylił się nad niższym od niego dziennikarzem.

– Wie pan – powiedział półgłosem – pani prokurator Franz nie jest łatwa w rozmowie, jak to się mówi. Nie wiem, co pan tam dla niej ma, ale jest spore prawdopodobieństwo, że pana nie posłucha. Może ja mógłbym coś poradzić?

Bastian zacisnął wargi. Wystukał z paczki kolejnego papierosa, zapalił.

– Muszę to przekazać bezpośrednio pani prokurator. – Wydmuchał dym. – Koniecznie.

Policjant popatrzył na zegarek.

– Nie mam pojęcia, kiedy ona tu będzie. Ale policja jest z prokuraturą w stałym kontakcie w tej sprawie. Może mi pan po prostu powie, co żeście ustalili, a my jej to przekazemy jako służba. Wtedy na pewno się z panem skontaktuje. Inaczej to sobie pan z nią nie pogada. Ja ją znam, to naprawdę wredne babsko. – Mrugnął do dziennikarza i zrobił zapraszający gest. – Chodźże pan, podrzucę pana, weźmiemy po drodze kawę na BP i opowiesz mi pan wszystko.

Bastian się zawahał. Na parking z betonowych płyt zajechała srebrna toyota yaris. Kaługa się uśmiechnął.

– No, chodźmy.

Z auta wysiadła prokurator Judyta Franz. Bastian zdeptał papierosa. Policjant podążył za jego wzrokiem, odwrócił się i ukłonił sztywno prokuratorce.

– Proszę tu nie śmiecić – usłyszał Bastian, zanim zdążył otworzyć usta.

Dziennikarz przykucnął, podniósł niedopałek i ukrył w dłoni.

– Pani prokurator – stęknął, prostując się – nazywam się Sebastian Strzygoń, jestem...

– Wiem, kim pan jest – stwierdziła, mijając go.

– Proszę zaczekać! – krzyknął za nią. – Mam niecierpiące zwłoki informacje dotyczące zabójstwa Władysława Wężyka!

Uchwycił jeszcze spojrzenie Kaługi, rozłożył ręce i pokręcił głową, przyznając policjantowi rację, pomachał mu w podzięcie i popędził za urzędniczką.

– Pani prokurator!

Odwróciła się doń na schodach.

– Panie redaktorze. – Wycelowwała w niego palec. – Jeśli posiada pan wiedzę o faktach istotnych w sprawie, proszę się zgłosić zgodnie z procedurą, wówczas zostanie pan wezwany celem przesłuchania. Obecne pańskie zachowanie muszę uznać za co najmniej napastliwe.

– Pani prokurator. – Bastian przywołał swój uśmiech z dołeczkami i pożałował, że nie wziął czapki, bo mógłby ją teraz dla efektu miętosić w dłoniach. – Prowadzę niezależne dziennikarskie śledztwo środkami gwarantowanymi przez prawo prasowe, zapewniające mi również prawo do tajemnicy dziennikarskiej i ochrony tożsamości źródeł.

Podziałało, nie przerwała mu. Na moment miał jej uwagę.

– Dlatego nie mogę wystąpić w charakterze regularnego świadka, jestem natomiast świadom swoich obowiązków względem społeczeństwa, a organów ścigania w szczególności. Przecież chodzi nam o to samo, prawda?

Wciąż mu nie przerywała.

– Proszę panią o kilka minut rozmowy. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Proszę.

– Pięć minut – powiedziała, przepuszczając go w drzwiach prokuratury.

Obejrzał się i na rogu zobaczył Kaługę z szeroko otwartymi oczami.

Chłopak w czasie przerwy obiadowej zaproponował jej wspólny lunch, ale Anka odmówiła. Na niedalekim Kazimierzu w towarzystwie hałaśliwej izraelskiej wycieczki zjadła falafel z humusem, wspominając czasy, kiedy dało się tu zjeść tylko zapiekanki z okrągłaka na placu Nowym, a zejście z turystycznego szlaku, krótkiego odcinka od synagogi Starej do synagogi Remu, groziło utratą torebki.

Historię z drugiej teczki też znała. Opowieść o złapanym przez straż nocną i odstawionym na posterunek żandarmerii obnośnym sprzedawcy nici. Szybko okazało się, że złapany nie jest Żydem, co nie przeszkodziło żandarmom zastrzelić go za posterunkiem.

Godziny mijały, światło w czytelnicy się zmieniało, a Ance ciążyły powieki. W końcu chłopak dał jej znać, że będą zamykać, ale że ma nadzieję zobaczyć się z nią nazajutrz. Przytaknęła i pozbierała notes i ołówki. Upał oszołomił ją, gdy opuściła pachnące starymi papierami mury i zagłębiła się w uliczki Kazimierza. Może prawdziwe życie jest tutaj? – pomyślała, mijając parę robiącą sobie ślubne zdjęcia na dziedzińcu kościoła Bożego Ciała. Na Józefa dziewczyna zapamiętała fałszowała na skrzypcach Ajde Jano. Z ogródków i spod przeciwsłonecznych parasoli unosił się wielojęzyczny gwar.

Znajomy zgrzyt tramwajowych szyn przynosił ukojenie. Wsiadła na placu Bohaterów Getta i przystanąła, jakby zaskoczyły ją nagle nazwa przystanku i puste krzesła rozstawione

po placu.

Prawie pół życia mieszka na terenie byłego getta. Weszła w bramę przy Józefińskiej, dotknęła wyslizganej poręczy, która musiała być tutaj od zawsze. Ile rąk jej dotykało? Kto to był? Gdy ruszyła do góry, skrzypnęły schody, echo podchwyciło i poniosło ten dźwięk wysoko pod powałę. Ile cieni, ile mar, ile duchów kryje się w załomach muru tej kamienicy? Dlaczego nigdy nie zastanawiała się nad tym, że mieszka na cmentarzu? Może tylko w ten sposób – bez zastanawiania się – da się tu mieszkać?

Z bólem głowy wtoczyła się do mieszkania. Rozłożyła na stole w kuchni swój notatnik. Cały dzień w archiwum i jedna strona notatek, które nic nie wnoszą. Przecież nie jest pierwsza. Przecież historycy z PAN-u przeanalizowali te papiery od deski do deski i gdyby było tam cokolwiek o dziewczynie zatłuczonej pod sadem, to Anka na pewno by o tym wiedziała. Gdzieś musi być granica, pomyślała i zaczęła od początku kartkować swój zeszyt.

Z pięciu i pół, może sześciu tysięcy Żydów z Dąbrowy wojnę przeżyło około stu pięćdziesięciu–dwustu osób, z czego ze sto przeczekalo Zagładę w Związku Radzieckim. Inne szacunki mówią o pięćdziesięciu–sześćdziesięciu ocalałych. Jeżeli już na poziomie liczb nie ma zgodności i można mówić tylko o wartościach „około”, to jak ma się spodziewać, że wszystkie te historie da się odtworzyć? Albo że to ona będzie miała szczęście i zrekonstruuje tę historię, chociaż inni do niej nie dotarli? Historycy przeanalizowali dostępne w zeznaniach i relacjach ocalałych biografie dwustu siedemdziesięciu siedmiu Żydów ukrywających się po likwidacji getta w Dąbrowie. Tylko tyle i aż tyle. Dzięki nim dwieście trzydzieści dziewięć ofiar nie popadło w zapomnienie. Mają swoje imiona, nazwiska, losy.

A co, jeśli dalej nie ma nic? Jeśli za późno jest, by pytać,

a papier już niczego więcej nie zdradzi? Co jej teraz po metodologii, po narzędziach analitycznych, kiedy nie ma czego analizować? Co, jeśli tylko taką odpowiedź będzie mogła dać Bastianowi?

Że być może. Że prawdopodobnie. Że do pewnego stopnia. Że generalnie. Że statystycznie. Że będzie musiał żyć bez odpowiedzi.

Bez odpowiedzi, za to z duchem.

U żadnego urzędnika nie widział nigdy takiego porządku na biurku. W pokoiku Judyty Franz pachniało piżmowymi perfumami. Usiadła na obrotowym fotelu i złożyła palce w wieżyczkę.

– Słucham – powiedziała głosem jego nauczycielki nauczania początkowego.

Niezaproszony, usiadł na jedynym krześle dla gości. Przyczółek zdobyty.

– Pani prokurator, chodzi nam o to samo – zagaił. – Pani ma swoje środki, my mamy swoje. Czasem prokuratura jest trochę bliżej prawdy, czasem media. A czasem – uśmiechnął się z dołeczkami – może warto porównać notatki, żeby się znaleźć jeszcze bliżej? Na przykład postawa prokuratora Koguta nie przybliżyła nas za bardzo do prawdy, zgodzi się pani?

– Nie rozumiem, co ma z tym wspólnego prokurator Kogut – odparła.

– Prokurator Kogut ujawnił opinii publicznej tyle, ile musiał, żeby uzasadnić umorzenie i żeby przekazać ludziom, że kości z mojego sadu to nie żadna historia z wojny. Że nikogo ta sprawa nie dotyczy – wyjaśnił Bastian. – On chciał się dowiedzieć, czy sprawa jest do umorzenia. A ja chcę się dowiedzieć, co się

wydarzyło – podkreślił ostatnie słowa. – Jestem pewien, że pani prokurator tak łatwo by nie odpuściła. – Błysnął zębami.

– Dalej nie rozumiem. A pan ma jeszcze trzy i pół minuty.

Bastian nabrał powietrza.

– Przekażę pani, co ustaliliśmy w sprawie Węzyka. Prokuratura Rejonowa w Dąbrowie Tarnowskiej mogłaby mi się odwdzięczyć szerszym wglądem w opinię biegłego na temat kości.

– Panie redaktorze – przerwała mu. – Proszę przestać mnie kokietować i proponować mi układziki, bo będę zmuszona wezwać ochronę. Ma pan jeszcze dwie minuty, żeby mnie przekonać, że nie popełniłam błędu, marnując na pana czas.

Klął w duchu, wymyślając seksistowskie i ageistowskie obelgi. Jeśli jej powie, co wie, straci kartę przetargową. Ale z drugiej strony na żadną transakcję i tak się nie zapowiadało. Może tylko liczyć, że zaskarbi sobie jej wdzięczność. Zaryzykował.

– W dwa tysiące dziewiątym roku Władysław Węzyk, pracując w urzędzie miejskim, usiłował pomóc w wygraniu przetargu na renowację synagogi firmie braci Babiarskich – oświadczył z powagą onkologa. – Wyleciał za to z pracy. Dyscyplinarnie. Podejrzewam, że wziął od braci łapówkę za zobowiązanie, z którym nie dał sobie rady, i musiał ją potem spłacić. Pani wie, że Węzyk miał długi. Termin spłaty ostatniej raty właśnie minął.

Zamilkł. Popatrzył na prokuratorkę. Nie takiej miny się spodziewał. Wydymała wargi.

– I tyle pan ustalił w tym swoim dziennikarskim śledztwie?

– Nie – zachnął się teatralnie. Amunicja szybko schodzi, pomyślał, odpalając kolejną rakietę. – Ktoś jeszcze miał ochotę na ostatnią transzę długu, która miała trafić do Babiarskich.

Wyjął z kieszeni dyktafon. Wdusił przycisk Play.

Łkanie, wrzask, brzęk szkła, hurgot. Krzyki:

– *To były nasze pieniądze! Twoje pieniądze!*

– *Ojca pieniądze! Pożyczył!*

– *I moje pieniądze! Byłby przynajmniej raz pożytek z tego trupa! A teraz co?! Co?!*

– To kłótnia Macieja Wężyka z matką tuż po tym, jak zwróciła ostatnią ratę Babiarskim – powiedział, gdy zapadła cisza. Obserwował urzędniczkę. Teraz rozciągnęła wargi w szyderczym uśmiechu.

– Doprawdy? Sądzi pan, że to ten człowiek zadał ojcu tak rozległe obrażenia, a potem upozorował wypadek? A może mamy w Dąbrowie wojnę mafii Babiarskich z mafią młodego Wężyka? No, panie redaktorze, gdy pana słucham, do reszty tracę wiarę w media.

– A kiedy zacząłem rozpytywać na mieście o Babiarskich, ktoś do mnie strzelał! – przerwał jej, zagrywając ostatnią kartę.

Spoważniała.

– Kiedy dokonał pan zgłoszenia?

Potrząsnął głową.

– Jakiego zgłoszenia?

– Że ktoś do pana strzelał.

– Ja... nie dokonałem zgłoszenia, ale, cholera jasna, jakie to ma teraz znaczenie? Dostałem anonimową propozycję spotkania w lesie od kogoś, kto twierdził, że ma informacje o Wężyku. Pojechałem na to spotkanie i strzelano tam do mnie! Gonił mnie – to znaczy nas z kolegą, przyjechaliśmy na motorze – ktoś w terenowym aucie i strzelał ze strzelby! – Dziennikarz mówił coraz szybciej i wyżej.

– A więc ktoś do pana strzelał, a pan nie poszedł z tym na

policję? I ja mam w to uwierzyć?

Zbaraniał.

– Panie redaktorze, pański czas się skończył. Proszę mi teraz przekazać to nagranie wraz z urządzeniem nagrywającym, a jeśli uznam to za konieczne, zostanie pan wezwany w charakterze świadka. W stosownym terminie. Tymczasem proszę mnie więcej nie nachodzić.

Wsunął dyktafon z powrotem do kieszeni. Spojrzał na nią spode łba.

– Jeśli, jak pan twierdzi, to nagranie jest dowodem w prowadzonej przeze mnie sprawie o zabójstwo, prawo prasowe nie daje panu żadnych możliwości bawienia się ze mną w gierki. Jako prokurator jestem we władzy zwolnić pana z tajemnicy dziennikarskiej tam, gdzie jest to niezbędne dla dobra wymiaru sprawiedliwości, a okoliczność nie może być ustalona na podstawie innego dowodu – wyrecytowała, wstając z fotela. – To artykuł sto osiemdziesiąty paragraf drugi kodeksu postępowania karnego. Ponadto w sprawach dotyczących przestępstw wymienionych w artykule dwieście czterdziestym kodeksu karnego, czyli także zabójstwa lub ciężkiego uszkodzenia ciała, ma pan obowiązek powiadomić prokuraturę o swoich ustaleniach. A z tym dość długo pan zwlekał. Więc teraz niech mi pan lepiej odda to nagranie. Dla własnego dobra.

Wyciągnęła przed siebie dłoń. Uniósł głowę i błysnął zębami.

– Ale to przecież nie jest żaden dowód w sprawie o zabójstwo, jak pani twierdzi – powiedział. – Najwyżej w wojnie dąbrowskich mafii, prawda? Więc niech pani spróbuje mnie zmusić. Albo poczeka i odsłucha sobie nagranie w naszym serwisie, gdy je opublikujemy. W stosownym terminie.

Odwrócił się i szarpnął klamkę.

– Panie Strzygoń, niech pan nie robi głupot – rzuciła za nim.
Trzasnął drzwiami.

Bastian wpadł do domu, a Wioletta zerwała się z kanapy i wybiegła mu na spotkanie. Oczy błyszczały jej z ciekawości, miał wrażenie, że dziewczyna ledwie się powstrzymuje, żeby nie przebierać nogami.

– I co? Udało ci się coś załatwić w prokuraturze?

– Nie – warknął przez zęby. – Pieprzona stara nietoperzyca. Założę się, że rano wypija duszkiem filiżankę formaliny, potem przez cały dzień przekłada papiery z prawej strony biurka na lewą i z powrotem, a w przerwach układa pasjansa na komputerze z Windowsem dziewięćdziesiąt osiem. I dostaje za to co miesiąc pensję z moich podatków!

– Ale czekaj, po kolei – przerwała mu Wioletta. – Co ci powiedziała?

Ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę, to tłumaczyć się Wioletcie ze swojej porażki.

– Nic, kurwa. Wysłuchała tego, co mam do powiedzenia, z miną egipskiej mumii i kazała mi spierdalać tak fachowo, że aż się ucieszyłem na myśl o czekającej mnie podróży.

– I co teraz?

– Nie wiem. – Usiadł przy stole i podparł twarz pięściami. Naprawdę nie wiedział.

Położyła mu dłonie na ramionach i zaczęła masować kark.

– Spokojnie – zaczęła kojącym głosem. – Zaraz się zastanowimy. A teraz się wyluzuj. Będzie dobrze, tylko się nie denerwuj. Nie fiksuj się na tym, co negatywne, rozwiązanie pewnie jest na wyciągnięcie ręki, tylko go nie widzisz.

– Co ty pierdolisz, Wioletta? – Strącił jej rękę. – Jestem bardzo,

bardzo spokojny. Baba zostawiła mnie z niczym, ale spoko, nie przejmuję się. Zaraz się wyluzuję, czekaj, zrobię sobie drina i pomyślę pozytywnie.

Wstał od stołu i zamasyżuje otworzył lodówkę. Wiolka przestąpiła z nogi na nogę. Objęła się ramionami.

– Sprawiasz mi przykrość – powiedziała. – Naskoczyłeś na mnie. Chciałabym, żebyś mnie przeprosił.

Wyjął z zamrażalnika butelkę wódki, postawił na blacie i oparł się czołem o lodówkę. Czy naprawdę jego największym problemem ma być to, że ponieważ ktoś spuścił go ze schodów i odebrał mu ostatnią nadzieję, on sprawił Wiolce przykrość? Chciał zostać sam, wykrzyzczyć, wykląć z siebie tę wściekłość, a nie cackać się teraz z Wiolką. Nie potrzebował jej rad rodem z poradnika *Udane życie w weekend*. Nie chciał się wyluzować. Chciał komuś przypierdolić.

– Nie patrz tak na mnie, Bastian. – Chyba się wystraszyła, że przeszarżowała, pomyślał. – Chodź, usiądź. Pomogę ci. Wymasuję ci plecy, może zrobię ci jeszcze coś miłego – uśmiechnęła się zalotnie. – A potem rozkminimy to razem. Jesteśmy w tym razem, to razem coś wymyślimy, prawda?

Co ją to wszystko w gruncie rzeczy może obchodzić? – przeszło mu przez myśl. Świetnie się bawi, zbiera punkty do portfolio i jeszcze dostaje za to pieniądze. A on robi na sobie wiwisekcję bez znieczulenia.

– Wiolka, zrozum, nie ma żadnego „jesteśmy”! Żadnego „my”! Żadnego „razem”! – Wykrzywił usta, a ona cofnęła się o krok, potykając się o swoje japonki. – Chcesz mi pomóc? To idź, zrób coś miłego Kogutowi, wymasuj mu plecy czy cokolwiek innego, tobie to świetnie wychodzi, a ja, wyobraź sobie, nie potrafię.

– Myślałam... – zaczęła płaczliwie.

Jezu, jak on nie znosił tego tonu.

– Źle myślałaś – przerwał jej.

– Nie pozwolę się tak traktować.

Zaraz się rozryczy, pomyślał. Wzruszył ramionami.

– Nie musisz. Nie martw się, wystawię ci referencje. Za bzykanko w trawie też.

Żachnęła się, zarzuciła włosami. Zaczęła zbierać swoje rzeczy. Okulary przeciwsłoneczne, telefon, krem do opalania. Potem zniknęła w łazience, usłyszał hurgot spadających na podłogę kosmetyków. Stała w drzwiach, z plecakiem przewieszonym przez ramię. Obserwował ją, czując, jak gdzieś głęboko w nim zbiera się zimno, niczym kostka lodu pod mostkiem. Będzie tego żałował. Ale jeszcze nie teraz.

– Masz tu stowę, mała, i spadaj? – Popatrzyła na niego, zupełnie spokojnie. Andżela, pomyślał. Andżela Śleboda miała nawet ten sam płaczliwy zaśpiew. Już wiedział, dlaczego to go tak denerwuje u Wiolki.

Marzył tylko o tym, żeby wreszcie zamknęła za sobą drzwi, żeby wreszcie został sam ze swoją wściekłością.

Stuknęła klamka. Pociągnął wódki z gwinta, na dnie było może ze dwa łyki. Przechylił butelkę do dna, po czym cisnął ją na podłogę, szkło rozprysło się na kafelkach.

Andżela, pomyślał. Świat zatoczył koło. Jesteś gnojem, Bastian.

– Maciej Wężyk, panowie – powtórzyła prokurator Franz, stukając pomalowanymi na karmazynowo paznokciami o blat biurka. Bąk siedział na krześle, Wielicki przycupnął na parapecie. – Przecież powtarzałam: rodzina. Rodzina to

statystycznie najbardziej niebezpieczne dla zdrowia i życia otoczenie. To są podstawy. Że podejrzanych szuka się w pierwszym rzędzie wśród członków najbliższej rodziny.

– Nie było motywu – odezwał się spod okna Wielicki.

– Teraz już jest.

– Słaby – wtrącił Bąk.

– Proszę pana, ludzie zabijają się o pięćdziesiąt złotych.

– Naprawdę sądzi pani, że taki pierdoła załatwiłby ojca i jeszcze upozorował wypadek? – Wielicki powtórzył dokładnie to pytanie, które ona wcześniej zadała Strzygoniowi. – Przecież on nawet nie ma prawa jazdy.

– Enki w więzieniach są pełne pierdołów – odparła.

Dziennikarza chciała tym pytaniem trochę zmylić, trochę zmobilizować. Ale nie pozwoli funkcjonariuszowi na to samo wobec niej.

– Musiał mieć współnika. Były ślady przytrzymywania, sam ojca nie pobił, ktoś musiał mu pomagać.

– Tylko kto? – mruknął Bąk. – Jego tu chyba nie lubią bardziej niż Tuska i Kaczyńskiego razem wziętych.

– Piszemy nową wersję śledczą, uwzględniającą jakąś, powtarzam: jakąś rolę Macieja Wężyka. I go sprawdzamy. Panie Bąk, pan ściągnie billingi i logowania jego komórki z tamtej nocy, kiedy zginął jego ojciec. Nie zrobiliśmy tego, prawda?

– Nie, bo nie było motywu – bąknął policjant.

– I monitoring, jeszcze raz, od początku – wyliczała. – Jak to jest, że taki Kaługa siedzi nad setkami nagrań z dziesiątków kamer, a my nie mamy ani jednego?

– Bo nie da się jednocześnie wisieć na podsłuchu u Babiarskich i latać za kamerami. – Bąk wyraźnie zaczynał się

irytować. – I tak musieliśmy wziąć miejscowych chłopaków do słuchania, bo bez tego nic innego byśmy nie zrobili.

– A właśnie, co z tą sprawą napisów? – zapytał Wielicki, żeby nie dopuścić do sprzeczki. – Może to by nas popchnęło, przecież to musi się jakoś wiązać z naszym denatem, nie?

Prokuratorka zamilkła. Zgadza się, musi, wiedziała to od początku. Ale hipotezy, jakoby to sprawca zostawił napisy, nie traktowała poważnie, bo brzmiało to jak z taniego kryminału.

– Jeszcze się z tym męczą. – Zrobiła nieokreślony gest w stronę drzwi. – I pewnie idą na umorzenie z powodu niewykrycia.

– To może byśmy to przejęli? – ożywił się Bąk.

– Spokojnie. – Prokurator Franz uniosła dłonie. – Przypominam, że póki między sprawami nie ma materialnego związku poprzez sprawcę lub przedmiot, nie ma formalnych podstaw do ich łączenia.

– Jest poprzez ofiarę – podsunął Wielicki.

– Nie rozpraszajmy się – przerwała mu. – Proponuję na początek założyć delikatną obserwację Maciejowi Wężykowi. A przede wszystkim skonfrontujemy logowania komórki z jego zeznaniami na temat tego, gdzie był tamtej nocy. I rozpytajcie o niego. Coś nam umyka.

Policjanci wyszli. Prokurator Judyta Franz zapadła się w głąb obrotowego fotela. Coś im umykało. Coś przegapiła.

Siedział przy stole i z krótkiej listy skreślał kolejne nazwiska osób, które mogłyby mu pomóc.

– Chłopie, nawet jakbym znał tego biegłego, tobym mu w życiu takiego dealu nie zaproponował – śmiał się Wiesiek Rysiek z komendy wojewódzkiej, mimo że propozycja była

poważna, choć rozpaczliwa. – Daj spokój, nikt nie będzie dla ciebie ryzykował kariery.

Hej, ptaszku, mam wiadomość złą, twój dom się pali, a dzieci same są,

Hej, ptaszku, mam wiadomość złą, twój dom się pali, a dzieci same są.

Kazik zawodził z playlisty, jakby zacięła mu się płyta. Pogłos motocyklowego silnika wyrwał Bastiana z zamyślenia. Nawet się ucieszył. Skoro przyjechała, to może ma coś do powiedzenia.

Minę miała zamyśloną, coś ją gryzło. Zrobił jej herbaty i usiedli przy stole.

– Gdzie Wiolka? – zapytała.

– Wróciła do Krakowa – mruknął.

– Dlaczego?

– Sprawilem jej przykrość – prychnął. Żeby tylko Anka nie chciała o tym gadać.

– Chcesz o tym pogadać? – spytała.

– Nie. – Przetarł twarz dłonią, a w żołądku znowu poczuł znajome łaskotanie zniecierpliwienia.

– A co z tą ekspertyzą? Udało ci się do niej dotrzeć?

– Też nie. – Łaskotanie dotarło do gardła. – Miałem nadzieję, że może ty masz coś dla mnie.

Objęła dłońmi kubek i zawiesiła wzrok na galerii zdjęć z ośrodka, które poprzyklejał do ściany. Wszyscy oni patrzyli na nią wyczekująco, zupełnie jak Bastian.

– Wiesz, właściwie to chciałam z tobą porozmawiać, bo... – Zająknęła się. Wstrzymał oddech. – Bo ostatnio dużo o tym

myślałam i doszłam do wniosku, że to się tak nie da.

– Co się tak nie da? – Zacisnął pięści.

– Myślałam, że jak podejść do sprawy metodycznie, to prędzej czy później znajdę coś, co doprowadzi mnie do prawdy. – Zamilkła, zawstydzona wielkimi słowami. Słowo „prawda”, którego ostatnio chyba nadużywała, zaczynało smakować gorzko. – Wydawało mi się, że możliwe jest stworzenie listy wszystkich Żydów z Dąbrowy sprzed likwidacji getta, z której potem można by wykreślać kolejne osoby: wywiezieni do Bełżca, zmarli w getcie, ocaleli w Związku Radzieckim, przechowani w kryjówkach u ludzi. A pozostali to ofiary *Judenjagd*. I że na końcu zostanie parę nazwisk, z których wykreślimy wszystkich mężczyzn, dzieci, stare kobiety, a zostanie nam ona. Twoja dziewczyna z sadu.

Tak, dokładnie na to miał nadzieję.

– Ale to niemożliwe – dodała. – Nie ma i nie będzie takiej listy. Dostaniemy tylko statystycznie istotne liczby, wiele konkretnych historii, które przetrwały w relacjach, do tego czyjeś wspomnienia z dzieciństwa, obserwacje kątem oka. Poznamy zjawiska, procesy, skalę. Ale nie będziemy wiedzieć wszystkiego. Wierz mi, Bastian, nie przesłucham wszystkich staruszków z Dąbrowy, nie dam rady przestudiować wszystkich akt sądowych rozproszonych po archiwach w całej Polsce. Zresztą byli już tacy, co to robili, zrekonstruowali, co się dało, i tam też jej nie ma, Bastian. Nie podam ci jej na tacy. Przepraszam. Nie dam rady. Musisz się pogodzić z tym, że to wszystko, co ustaliłam do tej pory, to tylko hipotezy.

Zaczerpnęła powietrza.

– Również to, że to w ogóle była ofiara *Judenjagd* – dodała.

– Czeka, Anka. – Starał się być bardzo spokojny. – Chcesz mi

powiedzieć, że najpierw wmówiłaś mi, że na moim podwórku leży Żydówka, a mój dziadek jest mordercą...

Pierwszy raz powiedział to głośno i przez ułamek sekundy miał wrażenie, że świat, ten świat, jego świat, zatrzymał się na chwilę, po czym ruszył z cichym zgrzytem trochę inną trajektorią.

– ...a teraz mi mówisz, że *sorry*, może jednak nie, ale w sumie to nie wiadomo i nigdy się nie dowiesz, ha, ha?

– Niczego ci nie wmawiałam. – Oparła łokcie na stole i popatrzyła mu w oczy. – Podzieliłam się z tobą moją najlepszą wiedzą i sformułowałam hipotezę, która jest prawdopodobna. Co nie znaczy, że musi koniecznie być prawdziwa. Póki nie potrafię jej udowodnić, póty musi pozostać hipotezą. Tak działa nauka.

– Za trudna krzyżówka, co, pani doktor? – prychnął. – Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się bawiłaś.

Otworzyła szeroko oczy.

– Co? Bastian, dla mnie to też nie była zabawa!

– Jasne. Twój jurny budowlaniec zdradzał cię z kielnią i lady Chatterley się nudziło. Więc jaśnie pani wzięła kotka, rozkroiła mu brzusek, żeby zobaczyć, co kotek ma w środku, ale okazało się, że nie ma tam nic ciekawego, więc zostawiła kotka i teraz szuka sobie czegoś nowego.

– Nie mam zamiaru tego tak zostawiać – rzuciła ostrzej. – Po prostu mówię ci, co może, a czego nie może dać nauka. Nieracjonalne byłoby oczekiwanie czegoś innego.

– Nauka to, nauka tamto. – Zerwał się od stołu. – Rzygać mi się chce od tej twojej nauki! Spróbuj być czasem trochę nieracjonalna, czasem coś poczuć, zamiast tylko badać. Może zrozumiesz wtedy, jak to jest, kiedy ci na czymś zależy.

Jej bladą twarz zalał rumieniec. Zniknęły wszystkie piegi, usta

zamieniły się w wąską kreskę, zielone oczy zalśniły. Mogłoby to być nawet urocze, gdyby nie to, że miał ochotę tylko na to, żeby stąd wyszła, jak Wiolka.

Odetchnęła głęboko.

– Wiem, że mówisz to dlatego, że jesteś wściekły. Ale jeśli przyjrzyj się temu na chłodno i weźmiesz pod uwagę suche fakty...

– Na chłodno, ja pierdołę! – Potrząsnął głową. – Królowa Śniegu się znalazła. Suche fakty, weź, proszę! Porozmawiaj ze mną raz jak człowiek, a nie jak sztuczna inteligencja. Okej, Google – powiedział głośno – opowiedz mi historię dąbrowskich Żydów od siedemnastego wieku do końca drugiej wojny światowej. Odbiór!

– Bastian, uspokój się i nie zachowuj jak dziecko – syknęła.

Na moment zobaczył świat w czerwieni. Zaraz postawi go do kąta, każe mu klęczeć na grochu, da do czytania „Małego Gościa Niedzielnego” albo innego Lévi-Straussa. Zabierze mu drożdżówkę i pośle na głodniaka do łóżka.

– Zła odpowiedź, Google. – Zatrzymał się i zaparł dłońmi o krzesło. – Do dupy ta twoja wyszukiwarka. Wiesz, Anka, jaki jest twój problem? Na dłuższą metę nikt nie wytrzyma ze słownikiem. To dlatego ciągle jesteś sama.

– Błąd, Bastian – weszła mu w słowo. – To ty ciągle jesteś sam, nie ja.

– A *sorry*, zapomniałem. – Palnął się w czoło. – Każdy ma to, na co zasłużył. Królowa Śniegu i jej *zombie boy*, chłopiec bez serca, za to z wielkim soptem.

– A ty na co zasłużyłeś, Bastian?

Otworzył usta. Anka powoli wstała od stołu.

– Po prostu wyjdź – powiedział słabo. – I daj mi spokój.

– Już mnie nie ma, już uciekam. – Zarzuciła na ramiona kurtkę. – Ale jak mnie stąd wyrzucisz, to wiesz, kto ci pozostanie?

– Kto? – burknął.

– Oni. – Wskazała głową galerię zdjęć za jego plecami.

Odwrócił się. Napotkał łagodny wzrok adwokata. Kobieta z włosami zaczesanymi na bok i ułożonymi w delikatne fale uśmiechała się dobrotliwie. Małżonkowie z nastoletnią córką i małym brzdącem z rodzinnego portretu patrzyli nieco w bok, jakby wskazywali wzrokiem Ankę. Piłkarze klubu sportowego FC Maccabi zdawali się kibicować. Komu – jemu? Jej? Mały chłopiec wyciągał do niego zabawkę, siedząc na kocu, za sobą miał namalowany na desce krajobraz – tło. Jakby chciał go pocieszyć.

Skrzypnęły drzwi. Został sam. Z nimi.

Pędziła na złamanie karku, aż zorientowała się, że przez zaparowaną szybkę mało co już widzi. Zjechała na pobocze, zdjęła kask, przetarła oczy. Wyjęła telefon, zadzwoniła. Nie odebrał. Nie mogę rozmawiać. *Będę późno. Nadgodziny*, przeczytała SMS-a i pociągnęła nosem.

– Pozdrów kielnię – mruknęła do siebie.

Minęła ją ciężarówka, Anka poczuła na twarzy powiew pachnącego rozgrzanym asfaltem powietrza. Wiedziała, że Bastian przecież nie chciał jej skrzywdzić, musiał tylko wyżyć się na kimś, kogoś skopać, a ona była pod ręką. To dlaczego tak okropnie, tak fatalnie się czuje?

Odpowiedź znalazła na billboardzie po drugiej stronie drogi. Kobieta z powiększonym w Photoshopie uśmiechem patrzyła na nią z politowaniem, prezentując swoje idealne ciało bez wieku,

bez zmarszczek i bez żadnej skazy.

„Ponieważ jesteś tego warta”.

Może nie bolałoby tak bardzo, gdyby nie znała tak dobrze tych słów, które sama wykrzyczała kiedyś, w czasach, kiedy jeszcze jej zależało, ojcu w twarz. Że jest bez serca. I że nie da się wytrzymać z kalkulatorem.

Bastian dopił ostatnie piwo i z impetem cisnął butelkę do śmieci. Nie poczuł się od tego ani trochę lepiej.

Nie pomogły zastrzyki,

Recenzje i pomniki,

Ni kwaśne mleko:

Przyszedł szarlatan – szuja,

Obejrzał go, pobujał:

– Dementia praecox!

Został wreszcie sam w towarzystwie Kazika z playlisty, starego kumpla z młodości, chociaż cały czas miał wrażenie, że ktoś patrzy mu przez ramię. Dawcio spławił go, że *sorry*, stary, ale temat się wyczerpał, zadzwoń, jak będziesz miał coś nowego. Jego nazwisko znajdowało się na końcu listy, poniżej cienkiej czerwonej granicy upokorzenia. Dalej nie było już nic.

Wszystkie jego drogocenne kontakty w policji i służbach okazały się nic niewarte. Koledzy z mediów z mściwą satysfakcją rozkładali ręce. Ankę sam wyrzucił. Kogut przestał odbierać od niego telefon. Do Doroty Seweryn i Ośrodka Spotkania Kultur dojścia miała Wioletka, a nie on. Bogdan kazał mu się walić, bo przecież zawsze miał w dupie rodzinę. Franz spuściła go ze schodów. Kaługa tylko przebiera nogami, żeby coś od niego

wyciągnąć, co znaczy, że sam nic nie wie.

*Wszyscy stanęli kołem
Z czołem bardzo wesołem.
Prasa, kuzyni;
I szacowne to grono
Orzekło unisono:
– Dobrze tak świni!*

Co za ironia, że akurat w tym miejscu, jego miejscu, został sam z niczym. Że odbił się od tego miejsca jak piłka. A może to ono go odrzuciło? Za co? Co, gdzie, kiedy poszło nie tak? Gdzie zawiódł?

*Po co dziewczki uwodził,
Nocą domy nachodził,
Sen rwąc dzieciątek;
I po co Pod Zegarem
Lał w brzucho wino stare
Świątek i piątek?*

Nie, ani dziadek, ani reszta rodziny nie byliby z niego dumni. Nie został adwokatem, lekarzem ani księdzem, nie poszedł w szanowany zawód, nie awansował w mieszczaństwo, nie przywdział jak munduru garnitur, marynarki ani białego kołnierzyka. Nigdy nie potrafił nawet dobrze im wytłumaczyć, czym tak naprawdę się zajmuje. Jakkolwiek by tłumaczył, zawsze wychodziło, że ubrany w kolorowy trykot, żongluje płonącymi żagwiami, zachwala przed cyrkiem kobietę z brodą albo handluje wyciągniętymi komuś spod łóżka sekretami. Nie

ożenił się, nie przyprowadził po błogosławieństwo płoczej złotowłosej z krzyżykiem na szyi. Nie spłodził gromadki dzieci, które mógłby dobrze wychować. Nie posadził drzewa. Nie zbudował domu.

Przeglądał po raz kolejny swoje notatki na temat Wężyka. Reakcje Franz wskazywały, że ze wszystkimi rewelacjami trafił jak kulą w płot. Zresztą, co go obchodzi Wężyk? Dlaczego on w ogóle się tym interesuje? Żeby zająć czymś myśli w oczekiwaniu na opinię biegłego, której miał nie zobaczyć? Bo obiecał ciotce Werze posprzątać po sobie, niegrzeczny chłopiec?

Usłyszał opony na podjeździe, pomruk silnika. Zamknął oczy. Kto czegokolwiek od niego chce? Czy jeszcze się ich wszystkich nie pozbył?

Szczęknęła furтка. Rozległ się gong. Nie ruszył się z miejsca, zastygł przy stole.

Kto to może być? Bogdan, żeby znowu dać mu w ryj? Wiolka, która stwierdziła, że jednak go kocha i chce go ratować przed nim samym? Anka, której się przypomniało, że nie podzieliła się z nim jeszcze jedną ciekawą hipotezą? Pretorianie starej nietoperzycy po dyktafon i jego notatki? Sąsiedzi z widłami?

Gong rozległ się jeszcze raz.

– Nikogo nie ma w domu – mruknął pod nosem i wsunął sobie papierosa w usta. Nie powinien tu palić. Miał to gdzieś. Sięgnął po zapalniczkę.

Coś szczęknęło. Patrzył z otwartymi ustami, jak rygiel w zamku przesuwa się raz, potem drugi i drzwi otwierają się na oścież.

Myślał, że już nie może być gorzej. Zgasił w popielniczce papierosa i zaczął ręką wachlować niedopałek, z którego wciąż unosiła się nitka dymu. Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

*Tak to nadobne grono
Radziło unisono
W śmiertelnej sali.
A że lico miał bladsze
Orzekli: – Pewnie nadszedł
Koniec kanalii!*

Najpierw do sieni wtoczyła się walizka oklejona naklejkami United Airlines. Potem reklamówka Duty Free.

A potem Bella.

Nad lepkiem barem ktoś kiwał się niebezpiecznie, choć na zewnątrz dopiero niedawno się ściemniło. Słomkowe piwo lało się do kufli. Bosman puścił gałkę nalewaka, resztkę rzadkiej piany ześlizgnęła się po ścianie. Kaługa rzucił na bar dwudziestozłotowy banknot.

– Ty, nie chrczuj tak tego piwa, bo ci założę o to sprawę – uśmiechnął się. Mężczyzna za barem zrobił niewinną minę. – Czyli co, potem już go tu nie było, tak? – zapytał policjant. Bosman pokręcił głową.

Podkomisarz wziął oba kufle i poszedł do stolika. Jeden postawił przed Krystianem Papą.

– W naszej sprawie jest tak, jak żem ci mówił. – Kaługa usiadł naprzeciw niego. – Na gnoja mam już wszystko, zrealizuję go raz-dwa i będzie nasz, nie wyłga się. Kiedy masz służbę?

– Pojutrze.

– Super. Tylko pan redaktor dalej nie chce współpracować. – Mariusz Kaługa potarł wysokie czoło. – Poszedł do Francji. Bez sensu.

Papa upił głęboki łyk.

– Jeśli nie przejawia obywatelskiej postawy, to zaapelujemy...

Papa urwał. Podkomisarz się obejrzał. Do baru U Bosmana weszli Bąk z Wielickim. Zauważyli ich od razu i się ucieszyli. Po krótkim rytuale unoszenia tyłków z krzesel i ściskania rąk wojewódzcy policjanci przysiedli się do powiatowych.

– Mariusz, jak ci idzie z Netflixem? – Bąk oparł się łokciami o stolik, aż zachwiały się kufle. – Masz coś z tymi bazgrołami? Przydałoby nam się.

– Będę miał lada chwila – odparł Kaługa. – A co?

– A śledztwo. Ty, à propos kamer to powiem ci, że jest cholera, jakiś burdel w materiałach, które od was przejęliśmy. Franca nas dojeżdża o monitoring, a my nie możemy...

– Wszystko my przekazali, masz w protokole – obruszył się Kaługa, podnosząc wzrok na Papę. Ten potwierdził skinieniem głowy. – Jakby co, to oczywiście wam pokażę, ale...

– Luz – przerwał Bąk, widząc, że Wielicki nadciąga z kuflami. – Zostajecie, chłopaki, na mecz?

– *Sorry*, obowiązki niecierpiące zwłoki – odparł Kaługa, kilkoma haustami dopijając piwo. Wytarł usta mankietem i popatrzył na Papę.

– Służba jutro – dodał Papa, dźwigając się z miejsca.

– Ej, nie pali się – roześmiał się Wielicki.

– Ale syf. – Zmarszczyła nos i zrzuciła ze stóp czółenka. – Nawet podłoga się lepi.

– Jakbym wiedział, że wpadniesz, tobym posprzątał. – Bastian rozłożył ręce. Spodziewałby się prędzej hiszpańskiej Inkwizycji.

Stanęli naprzeciwko siebie, on wykonał jakiś urwany gest, ona

tylko poprawiła włosy. Odrobinę od niego wyższa, włosy miała obcięte krótko nad uszami, ufarbowane na kasztanowy brąz ze złotymi refleksami. Jej policzki były okrągłe i rumiane, z dołeczkami, zupełnie jak u Bastiana, ale drobne zmarszczki wokół ust i oczu zdradzały, że jest od niego siedem lat starsza. Miała na sobie luźną bluzkę w stylu boho i wygniecione w czasie atlantyckiego rejsu lniane spodnie.

– Przytyłaś – zauważył, otaksowawszy wzrokiem jej figurę.

– A ty zmizerniałeś – odparowała i ruszyła do lodówki. – Nie masz nic do jedzenia? – skrzywiła się. – I co tu tak wódą jedzie?

Pozbierał szkła, ale podłogi nie chciało mu się umyć. Podrapał się po karku. Jej stąd nie wyrzuci. W końcu to jej dom.

– Sorry – mruknął.

– Jezu, brat, myślałam, że zostawiam chałupę dorosłemu człowiekowi. A tu pety i wóda jak w studenckim mieszkaniu. Ale skąd ty masz wiedzieć, co to jest studenckie mieszkanie.

To ona wyjechała na studia do Warszawy, na SGH, kuźnię kadr transformacji. Mieszkała po akademikach i kątem u znajomych, zarabiała najpierw w McDonaldzie, potem dawała korki, robiła tłumaczenia, aż wreszcie zaczęła się w banku i w świecie wielkiej finansjery już została, pnąc się po szczeblach kariery. Zawsze wypominała bratu, że do trzydziestki to mama gotowała mu obiadki, rosółek na kaca, naleśniczki na śniadanie. I to z tym jej chorym kręgosłupem. Jeszcze na studiach dostawał kieszonkowe, żeby „nie musiał tyrać jak Izunia w Warszawie”. Chyba to bolało ją najbardziej.

Podniosła w dwa palce dymiącego jeszcze peta i zaprezentowała Bastianowi.

– Po cholere pozamykałeś okiennice? I skąd wytrzasnąłeś tę skorupę? – Odłożyła niedopałek z powrotem do zielonej,

szklanej, utłuczonej popielnicy, którą Bastian znalazł na strychu. – Wygląda jak ze śmietnika.

– Należała do dziadka – warknął dziennikarz. – Nie pamiętasz?

– A to co? – zapytała, stając przed porozklejanymi na ścianie kopiami zdjęć.

– Żydzi – odpowiedział bez zastanowienia, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Pobrudziłeś ścianę. – Dotknęła palcem tłustego odbicia kciuka obok piłkarzy z FC Maccabi. – Co te zdjęcia tu robią?

– Mam inne pytanie. – Nie miał siły roztrząsać z nią teraz tego wszystkiego. – Dlaczego w całym domu nie ma ani jednego zdjęcia dziadków?

– Bo... – zaczęła, zaskoczona nagłą zmianą tematu. – Bo to jest mój dom, Bastian. Dom, a nie izba pamięci.

Dziennikarz wziął się pod boki i rozejrzał teatralnie, obejmując spojrzeniem pluszowe poduszki w stonowanych kolorach, designerską lampę, dwa abstrakcyjne plakaty, wazon z suszonymi kwiatami.

– Mnie bardziej przypomina hotel. – Wydął wargi.

– I co w tym złego, że to miejsce ma na siebie zarabiać? – Wzruszyła ramionami. – Przez większość roku będzie tu AirB&B albo moja samotnia na ucieczki od korpo. Wieś, normalni, prości, uczciwi ludzie, przyroda, zwierzęta. A w przyszłości może się tu przeprowadzę. Zamieniam tę konającą ruinę w moje miejsce, brat. Po mojemu. Na własnych warunkach.

– Jakby dziadek to słyszał, toby mu serce pękło – syknął.

– I kto to mówi? Bastian Nie-Każcie-Mi-Tam-Więcej-Jeździć Strzygów? – Przewróciła oczami. – Nie rozumiem dlaczego. Lepiej, żeby niszczało, aż wreszcie za parę lat położyłby na tym wszystkim łapę Bogdan, sprzedał i kupił sobie za to używanego

SUV-a z silnikiem do remontu? To chyba lepiej, że coś się tu dzieje. A właśnie, co tu się, do cholery, dzieje? – przypomniała sobie i znowu odwróciła głowę w stronę jego galerii. – I co ci wszyscy Żydzi robią na mojej ścianie?

Zrezygnowany, usiadł przy stole. Odsunęła krzesło i zajęła miejsce naprzeciwko niego, zupełnie jak jeszcze niedawno Anka. *Déjà vu*, pomyślał. I zaczął opowiadać.

Słuchała go z miną dyrektora czytającego niewróżące niczego dobrego wyniki finansowe swojego przedsiębiorstwa.

– Czekaj – przerwała mu nagle. – Czyli wiadomo tylko, że ten szkielet leży w ziemi przynajmniej od pięćdziesięciu lat i że należał do kobiety?

Przytaknął.

– Człowiek na chwilę wyjedzie z tego polskiego piekielka i zapomina, jak to działa. – Pokręciła głową. – Jak to jest, Bastian: wystarczy, że z jakiejś szafy wypadnie niezidentyfikowany trup, a nam od razu się wydaje, że to Żyd, jakbyśmy tylko na to czekali? Żyd, a dlaczego nie pohańbiona przez pana białoruska dziewczka, wypędzony Niemiec albo wybatożony na śmierć ukraiński chłop?

– Bo tu jest Galicja, Bella – powiedział poważnie i sięgnął po papierosy.

Napotkał wzrok siostry i podszedł do okna, uchylił okiennicę, żeby przewietrzyć. I zastygł z papierosem w ustach.

Ulicą szli ludzie. Zobaczył sąsiadkę z kulą, jak wytaczała się z mostka na drogę. Ktoś biegł, taszcząc coś w rękach, nawoływał tych z tyłu. Ktoś nawet miał w rękach widły, dostrzegł w migotliwym świetle. Bastian szybko ukrył się za zasłoną.

Zbierali się, widział to, przed jego domem. Błąd, jej domem. Czegoś chcieli.

Dobrze wiedział, czego chcieli. Poczuł na twarzy powiew powietrza. Zapachniało spalenizną, ogniskiem, benzyną i płonącym drewnem. Pochodnie przynieśli, pomyślał, ale zapach był zbyt wyraźny.

Zamknął oczy. Nie. To niemożliwe.

Pachniało dymem z dopalającej się świeczki, perfumami Emporio Armani i ich wspólnym potem. Dłonie Anki ścisnęły rogi poduszki, na której lśniły jej rozsypane włosy. Na wznak, z kręgosłupem wygiętym w łuk i napiętymi udami płynęła, chłonęła, płonęła.

Ogień. Pragnienie i lęk. Bezpieczeństwo i groza. Dom i wojna. Miłość i śmierć. Krzyknęła głośno.

Gert uniósł się na muskularnych ramionach. Otarł brodę. Uśmiechnął się zbójcko, patrząc na nią podkrążonymi oczami. Skuliła się na boku, podciągając kolana.

– Pozycja „na kielnię”? – mruknął, żeby ją rozśmieszyć. Uniosła kącik ust, zmierzwiła mu włosy. Ale wcale nie zrobiło jej się weselej.

Leżeli rozbudzeni w świeżej pościeli. Anka oddychała głęboko. Nie, po tym wszystkim nie miała ochoty na seks. Gdy wróciła na Józefińską, chciała tylko zaszyć się w kącie. Nawet odpisała Gertowi, żeby nie przyjeżdżał. I tak przyjechał.

– Wiołki szkoda – powiedział jej do ucha, otaczając ją ramieniem.

– Wiem – odparła. – Wróci. Wrócą jeszcze do siebie.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Mam nadzieję. Tylko...

Zatrzymała się. Nie wiedziała, co „tylko”. Tylko Bastian musi przeżyć swoją żałobę? Przestać umierać razem z dziadkiem?

Razem z tą dziewczyną, której ciało ktoś kiedyś zakopał w sadzie?

Ciało, pomyślała. Tak jak ogień: i miłość, i śmierć.

Ktoś załomotał do drzwi. Bastian rzucił się przez pokój, Bella, pobladła, wstała z krzesła. Przyłożył oko do wizjera. Zobaczył sąsiada, który wtedy ciskał w niego pomidorami, i dwóch podrostków, tych, którzy podrzucili mu na mostek zdechłego kota. Trzymali coś w garściach.

Zapał się plecami o drzwi. Swąd spalenizny się wzmagał.

A więc przyszli po niego, pomyślał. Przyszli sąsiedzi, ukrzyżować go na drzwiach stodoły. Spalić. Nie ma to jak skończyć w epickim stylu.

Nie, nie da się tak łatwo. Skoczył z powrotem, złapał komórkę. Wyszukał numer, który dostał jakiś czas temu. Myślał, że przyda mu się do czegoś innego. Drząc, przyłożył telefon do ucha.

Kaługa odebrał natychmiast.

Bastian wycharczał, co się dzieje. Dudnienie w drzwi rozległo się znowu.

– Proszę nikomu nie otwierać – powiedział podkomisarz poważnie. – Ściągnę policję i straż pożarną. I już jadę.

Bastian nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie szczęknął zamek. Patrzył, jak Bella otwiera drzwi, jak luna oświetla zacięte, chłopskie twarze sąsiadów. Zaklął bezgłośnie, złapał nóż z kuchennego blatu i rzucił się do przedpokoju.

– Panie! Stodoła wam się poli! – krzyknął do niego dziad od pomidorów. – Bierz pon wiadro!

Zdezorientowany Bastian zobaczył, że facet ma w rękach gaśnicę. A w oczach odbijają mu się płomienie.

– Mam jedną w samochodzie! – Bella wybiegła na podwórko,

zanim zdążył ją powstrzymać.

„Proszę nikomu nie otwierać”. Za późno.

– No rusze się pon! – wrzasnął do niego dziad. Dwaj młodzi, najwyraźniej jego wnukowie, zniknęli ze schodów.

Bastian odrzucił nóż, szarpnął się za włosy. Wiadro! W tym domu jest wszystko, jest ogrzewanie podłogowe i lodówka na wino, ale czy jest wiadro? Rzucił się pod zlew, wywalił śmieci na środek kuchni i napełnił kosz wodą.

Na podwórku gorzało piekło.

Było jasno jak w dzień i jeszcze goręcej niż za dnia. Nic nie widział w kłębach dymu. Zakrył ramieniem usta, kaszłąc. Wysezonowane na amen, bezcenne, jak mówił Gerard, deski płonęły, strzelając w niebo gejzerami iskier. Wnukowie dziada od pomidorów właśnie uruchomili gaśnice. Strumień piany liznął ścianę płomieni. Fontanna bieli szybko się wyczerpała, ustępując pola czerwieni.

Bella biegła od strony samochodu z kolejną gaśnicą. Sąsiad – ten, co z balkonu obserwował go z piwem – odebrał ją od niej i pobiegł w stronę stodoły.

Bastian podbiegł do płonących wrót i chlusnął wodą z kosza na śmieci. Płomienie tylko zasyczały. Patrzył niczym urzeczony, jak zapada się dach. Wulkan iskier tańczył mu przed oczami. Żar smażył twarz.

Wrota piekieł, przeszło mu przez myśl, gdy ktoś go odciągnął. Baba z kulą zarzuciła mu koc na ramiona. Słyszał jej łkanie, jej mamrotane pod nosem modlitwy.

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny”.

W oddali rozległo się wycie syren.

Zobaczył, że ludzie zadzierają głowy, pokazują coś sobie. Podążył za ich wzrokiem. To zerwał się wiatr. Rozczesał grzywę

płomieni, przylizął je na lewo. W stronę domu.

Bastian się obejrzał, zobaczył Bellę, jak taszczy walizę z powrotem do samochodu. Popędził do domu. Tu też powietrze było już sine. Złapał swój notatnik, zaczął zrywać ze ściany zdjęcia. Adwokat. Dzieci. Piłkarze. Usłyszał głuchy odgłos, jakby coś się zapadło. Za oknem pojaśniało.

*Niech buchnie ogień, huknie grom,
Niech płonie trędownych dom!
Zamglony świat niech zetnie mróz,
Na niebie świecił będzie i tak Wielki Wóz...*

Trzasnął klapą laptopa i głos Kazika się urwał. Wybiegł na zewnątrz. Jedna ściana stodoły się zawaliła. Widział przez nią sprzęty dziadka, zapomniane od lat, ożywające ostatni raz. Wóz strażacki i dwa radiowozy zahamowały z impetem na ulicy. Coś gorącego spadło mu na nos.

Osunął się na kolana, ściskając w objęciach laptopa.

Ktoś położył mu dłoń na ramieniu. To była Bella. Nie odwzajemnił gestu, tylko odchylił głowę do góry. W powietrzu wirowały białe płatki. Jak gorący śnieg. Dym zasnuwał niebo, tak że nie było widać Drogi Mlecznej. Zamrugął załzawionymi oczami, przed którymi tańczyły tysiące iskier.

Usłyszał, jak syczy strumień wody ze strażackiego węża. Zaszumiło, iskier przybyło, aż opadły, migocząc niczym fajerwerki. Wciąż patrzył w górę, jak iskry gasną, jak pochłania je odwieczny granat nieba. Jak wśród dymu pozostaje na niebie tylko niezmienny od tysięcy lat, obojętny na wszystkie ludzkie dramaty, na głód, ogień i wojnę – Wielki Wóz.

– Chodźmy stąd, Bastian! – rozległ się krzyk siostry. –

Uciekajmy stąd!

Posłuchał.

III

Dąbrowa Tarnowska-Ruda,
marzec 1944 roku

Kobieta poderwała się, gdy zaskrzypiały drzwi. Zastygła pośrodku kuchni, w półmroku słabo rozświetlonym lampą naftową. Dłonie przycisnęła do ust. Nasłuchiwała. Ale w sieni nie zadudniły obcasy, nikt nie podniósł głosu, nie wrzeszczał ani w stworzonej do krzyku mowie okupanta, ani w zdolnej do skowytu – własnej. Dobiegło ją tylko szuranie zmęczonych stóp.

Siedziała na zydlu przy oknie przez kilka godzin, wyglądając zza firanki. Nic nie widziała, więc tylko starała się coś usłyszeć. Okrzyki gdzieś w oddali, nawoływania. Ujadanie psów. Potem wibrujący krzyk. I jeszcze jeden dźwięk, który zdał się wszystko przeorać.

Wycie.

A potem cisza, której nie ośmieliły się zakłócić nawet ptaki. Dopiero pod wieczór rozdarły ją błędzące nad horyzontem gromy zwiastujące pierwszą wiosenną burzę.

Nie ruszała się spod okna, bo tak jej kazał. „Zostań tu”, powiedział, wybiegając na podwórze.

Kroki w sieni ucichły. Drgnęła, gdy w uchylonych drzwiach sąsiedniej izby mignęła twarz synka. W mroku lśniły jego

szeroko otwarte oczy.

– Tata? – zapytał czterolatek.

– Idże, Maryś, do łóżka, ale już! – Przyskoczyła do niego, uchylając drzwi, i na moment mocno go przytuliła. A potem pchnęła w głąb izby, ku posłaniu, stanowczo i miękko zarazem, jak tylko matka potrafi. Zamknęła drzwi. Odwróciła się.

Stał w progu, oparty o framugę. Cisnął w kąt jakiś tobolek i znieruchomiał, zgarbiony, z opuszczoną głową. Kalosze były oblepione grudami ziemi. Ziemię miał też na portkach i kapocie. Ziemię i czarnobrunatne mokre plamy. Gdzieniegdzie duże i lśniące, gdzie indziej drobne i układające się we wzór jak krople na posadzce w kościele, gdy ksiądz przejdzie z kropidłem. Stał tak i patrzył na swoje czarne od ziemi dłonie. Plecy mu drżały.

Grom zamruczał donośniej, o parapet zadzwoniły krople deszczu. Burza postanowiła przyjść na sam koniec.

Ostrożnie podeszła do męża. Uniósł głowę. Rysy miał jak zdrewniałe, włosy rozczochrane. Próbowała w ciemności dostrzec jego oczy, ale one jakby się zapadły, zaciągnęły mgiełką, zmętniały, przekrwione i zagasły. Choć dopiero co skończył dwadzieścia siedem lat, wydał jej się starym człowiekiem, jak gdyby wszystko, co dobre, było już poza nim. Jakby dziś zaczęła się reszta jego życia.

Położyła dłoń na jego policzku, poczuła chropowaty zarost, pot i przyklejoną do skóry glinę.

– Cóżem ja mógł zrobić!? – rzucił gardłowo przez zaciśnięte zęby i popatrzył na nią tak, że aż się odsunęła. – Anielka! No cóżem ja miał zrobić!?

Dąbrowa Tarnowska-Ruda,
marzec 1987 roku

– Nie bójże się, to tylko aniołki toczą beczki z wodą! – roześmiała się ciotka, widząc nietęgą minę czterolatka. Chłopiec bardzo się starał ukryć strach, ale zdradzały go szeroko otwarte oczy i spojrzenia, które słał za kuchenne okno przy każdym rozbłysku wieczornego nieba.

Szła burza.

Płonne okazały się nadzieje na pierwszą słoneczną sobotę tej wiosny, dla której przyjechali tu z Krakowa. Już od południa snuły się chmury. Wieczorem najpierw wiatr zamiótł deszczem, ciskając grube krople o szyby. Potem błysnęło i potoczył się pierwszy grom. Chłopiec przerwał zabawę i niespokojnie rozejrzał się za matką.

– I zdjęcia robią! – Ciotka nachyliła się nad nim. Mówiła głośno, zerkając za okno. – To dlatego się błyska.

– To przecież czterej pancerni strzelają – włączył się wujek. – Pamiętasz, jak oglądaliśmy? Zobacz, trzeba wydać rozkaz – perorował, wyczekując na błyskawicę. – Odłamkowym! – Zawiesił głos, odliczając bezgłośnie. – Wystrzał! – wykrzyknął i natychmiast trzasnął grom. – Przeciwpancernym! – komenderował niebu, gdy błysnęło znowu. Robił to tak zapamiętale, jakby samego siebie też próbował przekonać, że burza jest zabawna. – Wystrzał!

Wtem zgasło światło, a Dziennik Telewizyjny skurczył się do małej kropki pośrodku ekranu, po czym zniknął.

– Mamo?! – zawołał chłopiec i zatrzęsała mu się broda.

– Jasna cholera! – pieklił się dziadek przed martwym telewizorem.

Wszyscy zamilkli. Ciotka po omacku przetrząsała szuflady w poszukiwaniu świeczek. Wuj zniknął w sieni, mamrocząc, że w kieszeni kurtki ma latarkę.

Niebo rozbłysło pajęczyną błyskawic, trzasnęło niemal natychmiast. Blisko.

– Niech tata się wyraża przy dziecku, bo syn mi się tego uczy. – Niski mężczyzna z opadającą na czoło grzywką wziął chłopca na rękę. – Już raz wypalił to tatowe „jasna cholera” w autobusie pełnym ludzi. Bastek, nie bój się, przecież to tylko burza – powiedział łagodnym tonem i rozczochrał synkowi czuprynę. – To działa tak: światło jest szybsze niż dźwięk, więc najpierw widzimy błyskawicę, a potem słyszymy grom. Jeśli policzysz, ile sekund upłynie od błysku do grzmotu, możesz oszacować, jak daleko...

– Lucek, nie mąc dziecku w głowie – jęknęła matka. – Sebciu, kromeczkę ci zrobię.

– Ja mu mącę, tak? – zdenerwował się ojciec. – A nie gadanie, że aniołki zdjęcia robią?

Ale chłopiec już nie zwracał na nich uwagi. Patrzył na odbicia w szybie, na rodziców, ciotkę i wujka skupionych wokół niego. Patrzył, jak odbicia znikaly, gdy ciemność bielała od błysku. Patrzył, jak pośród nich pełgały poblaski świec, jak spoza nich wynurzało się odbicie płomyka jeszcze jednej świecy. A za nim – twarz babci, której zmarszczki i głęboko osadzone oczy nikły w wizerunku odbitym w oknie, sprawiając wrażenie, jakby

z oblicza staruszki wyzierał mrok.

Obojętna na kuchenny harmider babcia postawiła na stole gromnicę. Postacie w szybie zmiękły w ciepłym świetle świecy. Bastian przyglądał się naklejonym na wosku kolorowym aniołom, które wcale nie robiły zdjęć, purpurowemu krzyżowi i dziwnym literom pośrodku. Strużki wosku popłynęły aniołom po twarzach, a wokół knota zrobiło się zagłębienie, jaśniejące żywą żółcią.

Spierzchnięte wargi babci poruszały się miarowo. Nie słyszał jej głosu, zagłuszanego przez sprzeczkę rodziców, pomstowanie dziadka i dyrygującego burzą wujka.

Gdy piorun walnął tuż obok, a grom trzasnął jak łamana gałąź, wszyscy na moment ucichli. Chłopiec zobaczył, jak odbłask błyskawicy ożywia nagle zmętniałe oczy babci, jego uszu dobiegł jej ledwie słyszalny szept:

– ...ognia i wojny wybaw nas, Panie.

*Nie nazywajcie mnie Naemi, nazwijcie mnie Mara,
bo przyczynił mi Wszechmocny goryczy wiele!
Bogatam ja wyszła, ale próżną przywiódł mnie
Wiekuisty:
Czemu macie nazywać mnie Naemi, gdy Wiekuisty
mnie zgnębił,
a Wszechmocny mnie utrapił.*

Księga Rut 1,20–21
(przeł. Izaak Cyłkow)



ROZDZIAŁ 12

– Przykro mi – powiedział, zapatrzony w światła samochodów.

Opel insignia z wypożyczalni sunął przez autostradę. W aucie czuć było spalenizną.

– Wiem. Mnie też – odparła Bella. Prowadziła, mrużąc oczy, Bastian miał nadzieję, że nie zaśnie za kierownicą. Przetarła twarz, skupiła wzrok na drodze.

Odkąd przyjechała straż pożarna, która szybko zabezpieczyła dom i ugasiła stodołę, odkąd z radiowozów wysypali się policjanci, odkąd Kaługa klepnął Bastiana w plecy i trzymając spoconą dłoń na jego karku, coś mu zawzięcie tłumaczył, dziennikarzowi towarzyszył przez cały czas niewypowiedziany niepokój. Bastian nie pamiętał, co Kaługa do niego mówił, jakie pytania mu zadawał, co zeznał. Pozwolił Belli zaprowadzić się do samochodu i teraz jechali, sam nie wiedział dokąd.

– Powiedz coś, siostra. – Walnął pięścią w drzwi. – Wydrzyj się, wkurw się na mnie. Powiedz, że to wszystko moja wina, że nie miałem prawa, że wszystko spierdoliłem. Że zniszczyłem dziadkowe dziedzictwo, że sprzeniewierzyłem...

– To nie twoja wina – przerwała mu. – Nie będę się na ciebie drzeć. Jestem zbyt zmęczona.

Przyłożył pięść do ust. Niech ktoś nim potrząśnie, da mu w twarz, żeby się wreszcie obudził. Pragnął się nad sobą poznać, wychłostać, poczuć w ustach smak własnej krwi.

Bólem zagłuszyć poczucie winy.

– Trzeba oszacować straty – powiedziała.

A ona wiecznie tylko o pieniądzach. Przypomniało mu się, co o wartości stodoły mówił mu Gerard. Rozważył, czy nie użyć tego przeciwko Belli, ale się rozmyślił. Pewnie doskonale zdaje sobie sprawę z tego, ile straciła. Zresztą dlaczego miałyby się mścić na niej za to, do czego sam doprowadził.

Jak to ujęła ciotka Wera? „Tak bardzo się bałeś, że w tym miejscu w końcu wybuchnie pożar, więc sam je podpaliłeś”. Zawsze przeczuwał, że ciotka ma jakiś dar. Cholerny dar prorokowania.

– Gdzie my właściwie jedziemy? – zapytał.

– Nie wiem, do Krakowa. Do domu.

– Jak nas matka zobaczy w środku nocy w takim stanie, to dostanie zawału – mruknął.

Pomyślał, że będzie musiał opowiedzieć to wszystko raz jeszcze. Że znowu ktoś będzie się nad nim użalał. Że matka zagada go, zagłaszcze, zatrząsie się nad nim. I będzie powtarzać, że to nie jego wina i że nic nie mógł. I że powie to w taki sposób, aby wiedział, że to jego wina i że mógł. Nie zniesie tego.

– I nie da nam żyć – dodał.

– Fakt – zgodziła się z nim siostra. – Wyszukaj w necie jakiegoś Radissona, czy co tam teraz w Krakowie jest na poziomie.

– Jak chcesz, to mogę ci znaleźć hotel. – Sięgnął po smartfona. – Ale dzięki, ja nie skorzystam.

Zastanawiał się, co robić. Iść do knajpy jak kiedyś, rzucić się w wir młodych ciał, kolorowych drinków i zagłuszającej myśli muzyki, przesiedzieć tam do rana. Ale przyszło mu do głowy, że nikt go nie wpuści do klubu – śmierdzącego dymem, bez grosza

przy duszy i z objawami szoku. A nawet jeśli, to i tak zasnęłyby na barze.

– Daj spokój, zapłacę za ciebie.

Zacisnął zęby. Niech ta noc jak najszybciej się skończy.

Jest jedno miejsce, jedna osoba, która zrozumiałaby, jak on się teraz czuje. Ale tam na pewno dostanie w zęby.

*

Dźwięk SMS-a wyrwał ją z płytkiego snu. Prokurator Judyta Franz wzięła telefon i natychmiast usiadła wyprostowana na łóżku.

– Co znowu? – jęknął mężczyzna w pasiastej piżamie, podnosząc głowę.

– Muszę coś załatwić – odparła, wstając.

– Ale...

Nie słuchała go już. Cicho zamknęła drzwi sypialni. W gabinecie przysiadła na biurku i oddzwoniła do Wielickiego.

Coś złego się z nią dzieje, pomyślała, gdy skończyła rozmowę. Popełnia błędy. Daje się ponosić.

Spuściła tego dziennikarza ze schodów, bo pogrywał sobie z nią jak absolwent kursu „Sztuka manipulacji w pięciu krokach” i proponował układ niezgodny z wszelkimi procedurami. Nie mogła się na to zgodzić. Poza tym w jego rewelacjach nie było prawdziwej bomby.

Więc dlaczego ktoś podpalił mu stodołę?

Wielicki powiedział, że nie ma wątpliwości. Na pogorzeliisku kryminaliści znaleźli na wpół stopione dwa plastikowe kanistry, porzucone w dwóch przeciwległych rogach budynku. Troje sąsiadów zeznało, jak wyglądał wczesny etap pożaru: zobaczyli, że budynek płonie jednocześnie po obu bokach. Ogień

był żółty, a dym biały, co wskazuje na benzynę. Technicy potwierdzili, że wzór rozprzestrzeniania się ognia, układający się w charakterystyczne V na zgliszczach ścian, sugerował, że pożar zaczął się w przeciwnych narożnikach stodoły. Ręczny analizator zasygnalizował obecność benzyny w niedopalonym drewnie i w kilku miejscach na ziemi. Próbki pojechały do laboratorium kryminalistycznego, podobnie resztki kanistrów, żeby sprawdzić, czy nie zachowało się w nich trochę niezwiędniętej benzyny. Świeża benzyna potwierdziłaby, że pojemniki posłużyły podpalaczowi – albo podpalaczom. Nie było burzy, a jedyna żarówka w stodole wisiała na jej środku. Przy żadnym z rogów, gdzie zaczął się pożar, nie było instalacji elektrycznej.

Słowem – podpalenie.

Judyta Franz zorientowała się, że nawet nie ma numeru telefonu do dziennikarza. Przyłożyła do ucha komórkę. Zmęczony bas z poczty głosowej oświadczył urzędowo, że prokurator Zdzisław Kogut nie może w tej chwili rozmawiać i prosi o pozostawienie wiadomości. Kolega ceni sobie zdrowy sen i na noc wyłącza telefon, pomyślała i rzuciła aparat na biurko.

Odnalazła w zeszycie notatki, które zrobiła po wizycie dziennikarza. Zaczęła je przeglądać, uwzględniając to, co się wydarzyło tej nocy.

O długu u Babiarskich wiedzieli, nowością była tylko informacja o przetargu. Przy okazji wyjaśniło się, dlaczego Wężyk wyleciał z urzędu miejskiego – Bąk z Wielickim potwierdzili wersję Strzygonia w kadrach. Dawny szef przyznał, że zwolnił Wężyka dyscyplinarnie, ale oszczędził mu zarzutów za majstrowanie przy przetargu, bo nie robi się takich rzeczy znajomym. Jako przyczynę wpisał niestawienie się w pracy.

Pojawienie się na scenie Macieja Wężyka było dla niej

zaskoczeniem. Młody Wężyk wydawał się tak nijaki, że rozplątywał się w postępowaniu, przemykał niezauważony. Poleciała Bąkowi i Wielickiemu go sprawdzić. Nie wniosło to wiele nowego. Introwertyczny, zamknięty w sobie młody mężczyzna. Pracował dorywczo, mieszkał z matką. W życiorysie nieukończone seminarium duchowne. Miał opinię mruka i niedojdy. Nie łączyły go z ojcem bliskie relacje. Ale nie było motywu. Aż do teraz.

Podpalenie? To by do niego pasowało. Tchórzliwy, niecny czyn. Brak konfrontacji. Ot, nabroić i uciec. Taka osoba jak młody Wężyk mogłaby dokonać podpalenia, nasmarować coś na ścianie, ale zabić? Brutalnie, na odlew, bić ojca prosto w twarz? Patrzyć mu w oczy, gdy umierał?

I jeszcze strzelanina w lesie, którą gotowa była wziąć za stworzoną naprędce konfabulację. Ale w obliczu podpalenia stawało się jasne, że ktoś rzeczywiście poluje na Strzygonia. Młody Wężyk? Zagalopował się, wybuchnął w obecności dziennikarza, zdradził się, że wie o pieniądzach, które mogłyby od biedy stanowić motyw. Nie za takie pieniądze ludzie się zabijają. Wiedział, że dziennikarz wie. Ale przecież ktoś gonił Strzygonia po lesie samochodem, a Maciej nawet nie ma prawa jazdy. Broń, strzelanina – znowu jej skojarzenia poszły w kierunku gangsterskim. A więc jednak Babiarscy? Ale jacy z nich gangsterzy! Małomiasteczkowi kanciarze w stuningowanym gracie. Poza tym technika w ich aucie wykazała, że z zabójstwem Wężyka nie mieli nic wspólnego.

Ktoś jednak strzelał do Strzygonia. Czują, że to coś nowego. Coś, co mogłoby pomóc ruszyć z martwego punktu. Broń. Kto w tej cholernej dziurze ma dostęp do broni?

Znowu złapała za telefon. Wielicki, o dziwo, odebrał, zapisała mu w pamięci plusika za dyspozycyjność.

– Broń – powiedziała, gdy usłyszała zmęczony głos. – Chcę wiedzieć, kto tutaj ma broń albo dostęp do broni. Tak, może być jutro – westchnęła, słysząc reakcję. – Rano. – I się rozłączyła.

Patrzył w blat stołu, przeczesując palcami mokre włosy. Zjadł zupę, sam nie wiedział jaką, ważne, że była ciepła. Pysznic pomógł mu się rozluźnić, zmyć swąd spalenizny. Bastian pachniał teraz obcym szamponem i nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Po drugiej stronie stołu siedziała Anka szczelnie owinięta frotowym szlafrokiem. Z różowych zwojów wystawała tylko stopa w pluszowym kapciu i zaczerwieniony nos. W głębi kuchni, oparty o blat, stał Gerard w samych bokserkach i czekał, aż zagotuje się woda w czajniku. On dla odmiany sprawiał wrażenie, jakby gacie wciągnął z najwyższą niechęcią.

– ...i stałem tak, i patrzyłem, jak płonie niczym jakaś pieprzona metafora – dokończył swoją opowieść Bastian. – Jak upiorny, kiepski żart. Nic nie mogłem zrobić.

Słuchała go, przecierając zapuchnięte oczy.

– A najgorsze, że ja wiem, że to moja wina. To ja podpaliłem tę stodołę. Zniszczyłem, sprzeniewierzyłem dziedzictwo dziadka.

Anka pokręciła głową.

– To tylko deski. Dziedzictwo twojego dziadka to chyba coś więcej.

– Na przykład co?

– Na przykład ty.

Opuścił głowę i znowu wsunął palce we włosy. Bulgot wrzącej w czajniku wody wyrwał go z zamyślenia.

– Ja już nawet nie jestem pewien, kim on był. Mój dziadek. I czy ja go znałem. I czy on mnie znał. I czy gdyby on mnie znał,

to czy byłby... – zaplątał się i urwał.

– A dlaczego miałyby nie...?

– Jego świat był prosty. Liczyła się praca, Pan Bóg i rodzina. A mój? – prychnął. – Zresztą, co ja wiem o jego świecie. Może właśnie był bardziej skomplikowany, niż mi się wydawało.

– A może nie jesteście znowu tak bardzo daleko od siebie? – Anka nachyliła się do niego. – Nie znam wielu ludzi, którzy pracują tak ciężko jak ty.

Gert energicznie postawił kubek przed Bastianem i wrócił na swoje miejsce przy blacie.

– A jeśli zdefiniować Boga jako najwyższą prawdę, to... – kontynuowała.

– Błagam, Anka, nie dzisiaj. Oszczędź mi swoich skądinąd błyskotliwych interpretacji – jęknął Bastian.

Zamilkli.

– Nieważne – mruknął. – Wzięło i spłonęło. To miejsce. I nagle go nie ma.

– A może to jest tak – zaczęła ostrożnie – że to miejsce... chociaż chyba nie o miejsce ci chodzi, prawda?... odeszło, skończyło się, spłonęło dawno temu? Tylko ty się z nim nie pożegnałeś?

Zapatrzył się w głąb kubka, łyknął herbaty.

– Ono nie spłonęło – rzucił cicho. – Ono się rozpadło. Zwietrzało jak wyerodowana skała, rozsypało się w proch. Kiedyś, nie pamiętam kiedy. Wiesz, był taki moment, że zorientowałem się, że tam nic się nie zmienia. Przyjeżdżałem co parę miesięcy, w moim życiu tyle się działo. A tam – *déjà vu*. Rutyna, te same słowa padały w tych samych momentach, nawet jedzenie smakowało tak samo. Byłem w stanie przewidzieć, w której chwili dziadek wybuchnie z tym swoim „jasna cholera”,

kiedy babcia zacznie ziewać, że jest zmęczona, znałem na pamięć dowcipy wuja Mariana.

Przebiegał palcami przez włosy.

– Czas tam zwalniał jak na krawędzi czarnej dziury – ciągnął. – Wszystko działało się wolniej, zastygało w bezruchu. Raz wieczorem próbowałem czytać jakiś komiks. Babcia z dziadkiem siedzieli w kuchni przy stole. Ha, właśnie mi się to przypomniało, to było megadziwne. – Pokręcił głową i uśmiechnął się do siebie. – Babcia z rękami na podolku, dziadek z podpartą głową. – Zademonstrował, opierając policzek na dłoni. – Nic nie mówili, tylko tak siedzieli. I pamiętam, że jak zaczynałem czytać ten komiks, to oni tak siedzieli. I jak skończyłem, to też. Nie wiem, ile to trwało. Dla mnie chwilę. A dla nich?

Podniósł na Ankę pytający wzrok. Nie odpowiedziała, słuchała w skupieniu.

– Więc zaczynałem się tam dusić – podjął. – Jak przyjeżdżałem, to ogarniał mnie niepokój, że ten bezruch mnie wciągnie i uwięzi, że zarazę się tą niemocą. Czułem się tam coraz bardziej obcy. I to nie była wina tego miejsca, tam w końcu nic się nie zmieniało. To ja byłem inny. Rozumiesz mnie, Anka?

– Rozumiem – odpowiedziała.

– Teraz zaczynam dostrzegać te drobne oznaki rozkładu. Babcia zastygała najpierw przy kuchennym stole, potem przed telewizorem, aż w końcu zastygła w łóżku i już się z niego nie podniosła, zastygła na dobre. I niby dalej nic się nie zmieniało, tylko od czasu do czasu zauważałem obłuzowane drzwiczki jakiejś szafki, coś od czegoś odpadało, zapadało się, zarastało, bladło. Najpierw dziadek pozbył się konia Mośka, potem krów, potem prosiaków. Najdłużej ostały się kury, ale po śmierci babci

i one zniknęły. Zdziczał sad, wybujala trawa na łące. A potem dziadek sam... – Bastian urwał. – Bałem się tego. Tego zatrzymania, tej stagnacji, niemocy. Wiesz, o czym mówię? – Popatrzył na nią błagalnie. – Jest na to jakieś mądre, naukowe określenie?

Kiwnęła głową.

– Jest. Tanatos.

– Ale rozumiesz mnie, Anka? – jęknął rozpaczliwie. – Rozumiesz, dlaczego uciekłem?

– Rozumiem – powtórzyła. – Uciekamy z miejsc, w których zalega się śmierć.

– I co ja mam teraz zrobić? – zapytał głucho.

– Nie wiem. Nie powiem ci, nie mam odwagi. Może pożegnać tych, co odeszli. I pogodzić się z tym, że nie ma już Dąbrowy twojego dziadka, jest Dąbrowa twojego kuzyna Bogdana. I że nie o Dąbrowę tu chodzi. To „miejsce” jest w twoich wspomnieniach i nikt ci go nie zabierze. Ale przestań go szukać na mapie, bo go nie znajdziesz.

Zwiesił głowę. Dopił herbatę.

– To będzie bolało – mruknął.

– Wiem – westchnęła. – Pościelę ci.

Zebrała poły szlafroka pod szyję i wstała z krzesła. Przechodząc koło niego, na moment położyła mu dłoń na ramieniu. Niedotykalska Anka Serafin, która nawet na powitanie pierwsza nie wyciągała ręki.

Uśmiechnął się z wysiłkiem. Zrobiło mu się cieplej.

Zorientował się, że Gerard dalej stoi oparty o blat i patrzy na niego. Bastian zawsze się zastanawiał, co takiego Anka w nim widzi, ale właśnie zaczynał rozumieć ją lepiej. Dostrzegł grubą, białą bliznę na jego brzuchu, jedyną niedoskonałość na

atletycznym torsie, i syknął. Kto by przypuszczał, że pani doktor poleci na ciało. Ciało obiektywnie całkiem ładne, pomyślał dziennikarz, tylko ta dziara tandetna. Głupio mu było tak się gapić, więc energicznie przechylił kubek.

– Powinienem dać ci w ryj – odezwał się młody architekt.

Bastian zaparł się o stół. Ochota na to, żeby ktoś go sponiewierał, przeszła mu, kiedy umył głowę.

– Moja kobieta przez ciebie płakała.

Bastian już otwierał usta, żeby zacząć się tłumaczyć, lecz nie zdążył.

– Ale skoro wpuściła cię w środku nocy do domu, nakarmiła i jeszcze dała ci moją piżamę do spania...

To wiele wyjaśniało. Bastian odruchowo poprawił gacie, które mu spadały. Całe szczęście, że miały porządną gumkę.

– ...to znaczy, że tego właśnie chce i nic mi do tego.

– Sorry – mruknął dziennikarz. – Za tę kielnię również.

Był pewien, że nie omieszkała mu wychłapać.

– Gorsze rzeczy o mnie mówili. – Gerard wzruszył ramionami.

– Nie byłem sobą. Trafiła na najgorszy moment, a sam wiesz, jaka ona potrafi czasami być.

Gdzieś między nimi przeskoczyła iskra zrozumienia.

– Wiem – powiedział Gerard. – Ale ja ją kocham, więc jest mi łatwiej.

Wielicki zalał sobie gorący kubek. W pomieszczeniu socjalnym dąbrowskiej komendy powiatowej cisnęli się z aspirantem Papą czekającym, aż w mikrofalówce odgrzeją się pierogi. W drzwiach stał Kaługa.

– Trochę tego jest – sapnął Bąk, kartkując wydruk z bazy

danych.

– Czego? – zainteresował się podkomisarz.

– Musimy sprawdzić okolicznych posiadaczy pozwoleń na broń pod kątem alibi na jedną noc. – Wielicki siorbnął zupę z proszku. – Ktoś strzelał do tego dziennikarza, Strzygonia. W lesie, z długiej broni.

– O cholera – wtrącił Papa. – Strzelał? Nieźle.

– Jest prawdopodobieństwo, że facet kłamie – dodał Wielicki. – Ale po tym, jak ktoś mu wczoraj zjarał stodołę, to prawdopodobieństwo zmalało, nie?

– No, w sumie – zgodził się Kaługa.

– I teraz musimy rozpytać wszystkich uzbrojonych dąbrowiaków, ilu by ich było. – Bąk zacisnął zęby. – Jakbyśmy, kuźwa, byli trepami z wiejskiego komisariatu. Bez urazy. – Odchrząknął, omijając wzrokiem obu lokalnych stróżów prawa.

– Pokaż – powiedział Kaługa, wyjmując Bąkowi wydruk z ręki. Przejrzał go, popatrzył na Papę. – Krystian, a może byś chłopakom pomógł? Sporo tu twoich kumpli z koła łowieckiego, znasz teren, będzie ci łatwiej. Weź sobie dwóch ludzi do pomocy, machniecie to raz-dwa.

– Jasne. – Papa kiwnął głową. – Zmontuję ekipę i załatwimy wam to rozpytanie. Powiedzcie tylko, co chcecie wiedzieć.

– Dzięki – mruknął Bąk. – Nie wiem, jak byśmy to sami ogarnęli. Musimy połączyć za młodym Wężykiem, odgrzebać ten pieprzony monitoring, a teraz jeszcze to. Przynajmniej nie musimy już słuchać pierdolenia Babiarskich.

– O, a co z młodym Wężykiem? – zapytał Kaługa.

Wielicki westchnął.

– Wyszły nowe fakty. I trochę się skomplikowało.

– Od początku wiedziałam, że to nie jest dobry pomysł. – Bożena Strzygoń przyłożyła dłonie do oczu.

– Daj spokój, mamó. – Bella próbowała ukryć zniecierpliwienie.

– Tak wszystko zmieniać, rozwalać, rozkopywać... To musiało się źle skończyć. Ale co ja tam wiem, ja już nic nie mówię.

Bastian mieszał herbatę, Bella wierciła się na krześle.

– Jasne, jak to w rodzinie – prychnęła. – Nie ruszać, nie pytać, nie drążyć, bo jeszcze się okaże, że nie jest tak różowo.

Pomyślał, że nic się nie zmieniło. To ona nigdy nie bała się mówić, co myśli, iść pod prąd po to, co sobie zaplanowała. On, zamiast walczyć, wolał błyszczeć.

– Co ty mówisz, Izuniu – jęknęła matka. – A ty, Sebciu, dobrze się czujesz? I po co ci to było, synku? A dlaczego nie przyjechaliście do mnie wczoraj? Przecież to wasz dom!

– Nie chcieliśmy robić kłopotu. – Dopił herbatę.

– Ale po co było pisać, po co było jątrzyć, wywlekać...

– I bardzo dobrze się stało. – Bastian nie zdążył otworzyć ust, gdy odezwała się Bella. – Jeśli tam jest coś nie tak, to ja chcę o tym wiedzieć. Lubię mieć pewność, na czym stoję, bo wtedy mogę podjąć dobre decyzje.

– Jakie decyzje? Co ty chcesz zrobić, Izuniu? – Bożena Strzygoń znowu przyłożyła ręce do oczu, jakby nie chciała widzieć tego, co podpowiedziała jej wyobraźnia. – Dziadzius już nie żyje, po co to komu?

– Mamó, to też jest nasza historia – powiedział wreszcie Bastian. – Dlaczego mamy nie pytać?

– Ja już nic nie mówię – powtórzyła matka. – Przyniosę wam ciasta.

Wstała od stołu i zniknęła w kuchni.

– Co ty chcesz zrobić? – warknął Bastian do siostry.

– Moja ziemia, moja sprawa. – Bella wzruszyła ramionami. – Miało być fajnie. Chociaż raz po mojemu. Miał być basen, hamak i miejsce na ognisko. Tam, gdzie babcia mnie uczyła, jak się przerywa marchewkę i piecze drożdżówki. Ale nie, musiałeś tam wleźć z buciorami. Ja, ja, ja, Sebastian Strzygoń, patrzcie na mnie, ja, mnie, mój, moje!

Bastian odchylił się na krześle.

– Sama mnie tam ściągnęłaś. A ciebie nie obchodzi, co to za szkielet leżał przynajmniej pół wieku u dziadka pod czereśnią? Bo w końcu hamak, basen i ognisko?

– Oczywiście, że mnie obchodzi – powiedziała zimno. – Ale nie widzę potrzeby, żeby robić z tego widowisko.

Matka zmaterializowała się w pokoju, przynosząc patereę z ciastem i talerzyki.

– Takie jak lubisz, Izuniu, z wiśniami! – Nałożyła córce dwa kawałki. – A dla ciebie, Sebciu, dołożyłam bitej śmietany.

Bastian rozgrzebał ciasto widelczykiem, patrząc, jak smugi wiśniowego soku barwią śmietanę na czerwono. Gorycz na chwilę zniknęła pod kopczykiem matczynej bitej śmietany. Ale zaraz wróciła na swoje miejsce.

– Na pewno nic nie słyszałyście? – zaczął znowu drążyć. – O tym szkielecie albo o pierścionku ciotki Wery.

Matka pokręciła głową. Ale Bella nagle się wyprostowała.

– Pierścionku ciotki Wery? – Bastian podniósł głowę. – Tym ślubnym, co dostała od babci? – upewniła się.

– Tak – potwierdził. – Tym z hebrajską literą.

Bella się zamyśliła, a Bastian wstrzymał oddech. Kto miał

najlepszy kontakt z babcią? Kto łąził za nią na pole po nowalijki, kto piekł z nią drożdżówki, obierał groszek, a nawet skubał kurczaki na rosół?

– Pamiętam, że kiedyś robiłyśmy placek, ja zagniatąłem ciasto, i babcia kazała mi zdjąć pierścionek – powiedziała Bella. – To był taki zabawkowy pierścionek z odpustu, straszne badziewie, ale babcia zaczęła komentować, że pannica się ze mnie zrobiła. Zapytałam ją wtedy, czy ona ma jakąś biżuterię. Odpowiedziała, że oprócz ślubnej obrączki to miała w życiu jeden pierścionek, ale go nigdy nie nosiła. Na pytanie „dlaczego?” machnęła ręką, że gdzie ona, wiejska baba, miałyby pierścionek nosić, i to jeszcze taki. A jak spytałam, od kogo go dostała, to powiedziała, że dał jej go dziadek, kiedy urodziła się ciocia Wera. Zaraz jak się wojna skończyła. Mówił, że co było, to było, ale teraz jest życie, nowe życie. I że kiedyś będzie dla dziewczynki. Tyle.

– I nic więcej? – zapytał Bastian.

A więc jednak pierścionek był w rodzinie od wojny.

– Nic – ucięła Bella.

– I o nic już nie pytałaś? – zirytował się.

– A skąd miałam wiedzieć, że to ważne?

Prokurator Judyta Franz przyglądała się mapie stacji bazowych telefonii komórkowej na ekranie laptopa. W rękę trzymała dostarczony jej przez Bąka i Wielickiego wykaz logowań telefonu Macieja Wężyka.

Chłopak zeznał, że szukając ojca, zajrzał do baru U Bosmana i do Tesco, a o dwudziestej drugiej był już w domu przy Oleśnickiej. Jak pokazywał wykaz logowań z poprzednich dni, jego telefon łąpał zwykle sygnał ze stacji BTS przy ulicy Żabieńskiej, na południowym zachodzie miasta. Tej samej, do

której przez całą noc był zalogowany telefon jego ojca pozostawiony na kuchennym stole.

Franz przeniosła wzrok na wykaz.

W porze, kiedy w świetle własnych zeznań chłopak miał zajrzeć do baru, rzeczywiście złapała go stacja bazowa na północ od Dąbrowy. Problem w tym, że trzymała go do godziny zero czterdzieści siedem. Wtedy przejęła go stacja przy Żabińskiej.

Te informacje jeszcze nie wskazywały na to, co Maciej Wężyk robił w centrum Dąbrowy i czy się przemieszczał, czy spędził cały czas w jednym miejscu. Logowania do BTS-ów mogły dawać w miarę precyzyjną lokalizację w wielkich miastach, gdzie stacji bazowych jest cała masa. Na prowincji sprawy miały się inaczej – jedna stacja odpowiadała za duży obszar.

Chłopak mógł w tym czasie poruszać się po okolicy w zakresie wycinka koła, który pokrywała antena stacji. Ale na pewno nie wrócił do domu o dwudziestej drugiej.

A przynajmniej nie wrócił tam jego telefon. Jedno było pewne. Nie powiedział im prawdy.

Maciej Wężyk.

– Zwariowałaś? – Bastian stanął jak wryty, patrząc, jak siostra otwiera okiennice.

– Skoro się boisz, to czemu nie zostałeś w Krakowie? – rzuciła Bella i na oścież otworzyła okna.

– A jak ten, kto strzelał... A jak ten, kto podpalał...

– Nie będę siedzieć w tym zaduchu. – Wyciągnęła z torby laptopa. – Zaraz poszukam, komu można zlecić uprzątnięcie podwórka, tylko najpierw muszę się wdzwonić na jedno spotkanie. – Podłączyła do komputera zestaw słuchawkowy i usadowiła się wygodniej na krześle. – Co tak stoisz? Zajmij się

czymś.

Bastian rozejrzał się po pomieszczeniu. Wrócił, bo coś go tutaj ciągnęło. Bo nie potrafił odpuścić. Bo, jak mówiła Anka, musiał zamknąć ten rozdział. Ale teraz, gdy znowu tu był, zaczynał czuć ten sam niepokój, co kiedyś, jakby brakowało mu powietrza, jakby upiór siedział mu na piersi i kradł oddech. A do tego dochodziła całkiem realna obawa. Mara to jedno. Strzelec i podpalacz – to drugie.

W kuchni na podłodze wciąż leżał rozbebeszony worek ze śmieciami, roztaczając wokół mdlący zapach. Bastian zawiązał go i wyszedł na podwórko.

Czerwone audi właśnie parkowało przed bramą. Dziennikarz jęknął w duchu. Bogdan wysiadł z auta i pomachał do niego. Bastian wrzucił worek do kubła i poczekał przy bramce.

– Cześć, kuzyn – zagaił Bogdan. Wyglądał na przejętego. – Tak żem chciał wpaść, zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

Ruszyli w głąb podwórka i po chwili stanęli przed pogorzeliiskiem. Zamilkli.

– To twoje? – odezwał się wreszcie Bogdan, wskazując głową insygnię.

– Nie, Izki – rzucił Bastian. – Z wypożyczalni.

– Jaki to ma silnik?

– Nie mam pojęcia.

– Ale benzyna czy diesel? – drążył kuzyn.

– A skąd mam wiedzieć? – warknął dziennikarz.

– Pamiętam, jak na całej ulicy były może ze dwa samochody. – Spojrzenie Bogdana powędrowało gdzieś w dal. – Czaja na końcu ulicy miał poloneza. A Rybak, jak sobie kupił używanego golfa z Niemiec, to sam żem biegał z chłopakami popatrzeć na to

auto przez siatkę.

Dziennikarz przetarł dłonią twarz. Co on, do cholery, gada? Świat ich dzieciństwa rozpada się na kawałki, a ten pieprzy o samochodach? Już miał powiedzieć, że musi wracać do domu, sprzątać, ugotować siostrze kolację, zrobić na drutach szalik dla ciotki Wery, żeby tylko nie musieć tego słuchać. A potem przyszło mu do głowy, że Bogdan po prostu próbuje za wszelką cenę nie mówić o tym, co obaj właśnie mieli przed oczami.

– A potem wuj Marian kupił malucha, pamiętasz?

Bastian pamiętał. Autko było małe jak puszka sardynek, a kiedy osiągało prędkość dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, miało się wrażenie, że zaraz zmieni geometrię lusterek i oderwie się od ziemi.

– Dupa była z niego, a nie kierowca – uśmiechnął się Bogdan. – Strach było z nim wsiadać do auta. Całe szczęście, że nikomu z nas nigdy krzywdy nie zrobił. Chociaż... Pamiętasz Azora?

Bastian kiwnął głową.

– Pamiętam. – Widział go całkiem niedawno, a przynajmniej to, co z niego zostało, pozbierane do plastikowego worka techników policyjnych. – Wybiegł za bramkę i samochód go przejechał. Dziadek się wściekał, że jakby dorwał gnoja, toby zabił na miejscu.

– Zaraz potem wujek mnie poprosił, żebyśmy z chłopakami z technikum wyklepali mu fiacika – kontynuował kuzyn. – Opowiedział bajeczkę o słupku, co go niby skosił. Dużo machał rękami i puszczał oko. Prosił, żebym nie mówił dziadkowi. Pomyślałem, że co dziadkowi do tego auta, w końcu wujo go kupił za własne pieniądze. A potem wzięli my tego malucha na warsztat i mogę się założyć, że to wujo sam biednego Azora

skasował.

– Skąd wiesz? – zainteresował się Bastian.

– To są bardzo charakterystyczne uszkodzenia. – Bogdan nagle przybrał fachowy ton. – Słupek jest twardy i niewielki, więc szkody są, jak to się mówi, punktowe, ale głębokie. A takie psisko jak Azor duże i miękkie, ale swój gabaryt ma. A w ogóle na zderzaku zostało trochę sierści.

Bastian mógłby przysiąc, że nagle poczuł mrowienie na zwojach mózgowych. Spróbował się skupić, ale kuzyn paplał dalej:

– Nic żem nie powiedział, zrobili my mu auto na cacy. Był tak zadowolony, że pozwolił mi potem przy nim grzebać. Urządziłem sobie warsztat w stodole. Gdzieś tam chyba. – Machnął ręką w stronę czarnej wypalanej dziury. Przełknął ślinę. – Wujco polecił mnie swoim kumplom. I tak żem zaczął naprawiać samochody, zanim żem jeszcze mógł zrobić prawko. No i przypatrz się. – Podrzucił w dłoni kluczyki od audi. – Kiedyś żem rozkręcał duże fiaty i skody w dziadkowej stodole, a dzisiaj do mojego serwisu wali pół Dąbrowy.

Bastian znowu poczuł, jak w głowie zapala mu się czerwona lampka.

– Słuchaj – zaczął. – Skoro do ciebie wali pół Dąbrowy, to może pamiętasz, czy po zabójstwie Wężyka nie zgłosił się do ciebie ktoś z podejrzenie uszkodzonym samochodem. Jak po potrąceniu człowieka.

Bogdan napiął mięśnie karku i zamrugał, wyęzając pamięć.

– A wiesz, że... – zaczął. Bastian wstrzymał oddech. – Eee, chyba nie.

Dziennikarz wypuścił powietrze z płuc.

– Zastanów się. Skasowany przód, rozwalony reflektor,

pogięty zderzak. – Wbił spojrzenie w kuzyna.

– No może... – zastanawiał się Bogdan. – Kądzielawa przyjechał z qashqaiem, przedni zderzak miał do wymiany, w skrzynki w garażu wjechał, bo go czujnik parkowania zrobił w ciula. Ale to bym się zorientował, a kaszalot miał pięknie odgnieciony wzorek, jak od linijki. I jeszcze... Ale nie, to głupie.

– Ale co? – nie dawał za wygraną Bastian. – Wszystko może być ważne!

– Kto zmienia opony w środku lata? Z letnich na letnie. I to były całkiem dobre opony, sam żem mu zmieniał na wiosnę, prawie nowe, drugi sezon.

– Na miłość boską, Bogdan, komu zmieniałeś?

– Transitowi.

– Ale czyjemu? – Bastian złapał go za ramiona.

Bogdan oderwał wreszcie wzrok od czerniejących zgliszcz dziadkowej stodoły i obdarzył kuzyna swoim prostolinijnym spojrzeniem.

– Bosmana.

Anka wzięła do ręki poźółkłą teczkę i przetarła oczy. Wczorajszy dzień i wczorajsza noc zostawiły jej pod powiekami piasek. Bolała ją głowa – z emocji, od płaczu, z niewyspania. Nie musiała wstawać razem z Gertem, ale kiedy pojechał, już nie mogła zasnąć. Zjadła z Bastianem śniadanie. W milczeniu, bo w nocy powiedziane zostało wystarczająco dużo. Pożegnał się i pojechał do rodziców, a ona została w domu sama z kotem. Musiała czymś zająć myśli.

I wcale nie miała zamiaru się poddawać.

Cisza i chłód archiwalnych murów sprzyjały skupieniu, pomagały wyciszyć karuzelę emocji. Chociaż Bastian ją

przeprosił, chociaż przyznał, co sama sobie powtarzała na pocieszenie, że wcale tak nie myśli, nie mogła pozbyć się poczucia, że gdzieś głęboko ma rację, przynajmniej w jakiejś części.

– Okej, Google – mruknęła, otwierając teczkę. – Przeszukujemy.

Uważnie przeglądała zawartość, próbując wyłapać słowa kluczowe. Po chwili jej umysł wszedł na właściwe obroty. To był ten moment, w którym świat mógłby zniknąć. Nie zauważała upływającego czasu, skoncentrowana na poszukiwaniu znaczących powiązań, na wyłapywaniu prawidłowości. Czy tak czuje się jej ojciec w świecie liczb? – przeszło jej przez myśl i zgubiła wątek.

Wyszła na korytarz, napiła się wody. Światło się zmieniło, zmiękło popołudniowo. Zaraz będą zamykać, pomyślała.

Wróciła do stolika. Ostatnie pół godziny. Zaraz stąd wyjdzie, pójdzie na rzemieślnicze lody. Jakaś część jej świadomości już wybierała smak: solony karmel, mięta z czekoladą czy lukrecja?

Sięgnęła po kolejną teczkę z jasnozieloną okładką. Grzegorz Koza, syn Wojciecha i Rozalii. Teczkę rozpoczął protokół przesłuchania podejrzanego. Z wypełnionego ręcznie formularza można było się dowiedzieć, że Koza jest rolnikiem i ma ukończonych sześć klas szkoły powszechnej. Rzymski katolik, według własnych słów niekarany, nieżonaty. Majątku nie posiada. Spisany schludnie na maszynie protokół był miejscami popodkreślany. Przelatywała tekst oczami, zatrzymując się na podkreślonych albo oznaczonych kolorem fragmentach. Na koniec podpis przesłuchiwanego oraz prowadzącego przesłuchanie oficera śledczego Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Dąbrowie Tarnowskiej.

Przeszła do kolejnego protokołu. Oblizwała wargi, poprawiała się na krześle i pochyliła, żeby sprawdzić, czy na pewno dobrze widzi. Przeczytała raz jeszcze.

Puls zaszumiał jej w uszach. Zrobiła zdjęcie komórką. Przeczytała uważnie zeznanie do końca. Wyszła na korytarz, wybrała numer.

– Bastian, znalazłam – wyszeptała.

Była tu sama, ale nawyk ściszenia głosu w czytelniach, bibliotekach i archiwach był silniejszy od ekscytacji.

– Jak to gdzie? W sierpniówkach! Nie, nie dziewczynę z sadu – przerwała potok słów po drugiej stronie. – Nie zgadniesz.

Stała naprzeciwko okna, popatrzyła w niebo. Uśmiech uniósł jej kąciki ust. Całkiem niezła z niej wyszukiwarka.

– Wężyka.



ROZDZIAŁ 13

W ciszy, która zapadła przy stole, słychać było tylko wycie maszyn i pokrzykiwania robotników na zewnątrz. Dyrygentem całego zamieszania była Bella. Gromadka facetów w kombinezonach słuchała się jej jak kierownika budowy. Budowlanego bluzgu używała równie skutecznie, jak biznesowego angielskiego na transoceanicznych callach.

– To cenne informacje – rzuciła Anka. – Tylko jak się mają do siebie?

Bastian postukał długopisem w obudowę laptopa. Z jednej strony oddałby każdą bombę na temat Wężyka za cień czegokolwiek o szkielecie. Ale z drugiej – to nie z powodu dziewczyny z sadu ktoś strzelał do niego w lesie i spalił mu stodołę. Grzebał przy sprawie śmierci Wężyka, co bardzo się komuś nie podobało.

Jeżeli chce odzyskać spokój, musi się dowiedzieć komu. I dlaczego.

Anka trafiła na nazwisko Węzyk w aktach sprawy mieszkańca Olesna, obywatela Kozy Grzegorza, sądownego na mocy dekretów sierpniowych. Bastian po raz kolejny przeglądał zrobione przez Ankę zdjęcia akt. Protokół przesłuchania świadka liczył stronę maszynopisu.

Dąbrowa Tarnowska, dnia 6/X.1946 r.

Trzmiel Zygm. funkcj. Pow. Urzędu Bezp. Publ.

w Dąbrowie T. przesłuchał w charakterze świadka nizej wymienionego uprzedziwszy go w myśl art. 64 K.W.P.K. o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie z art. 14 K.K.

Węzyk Leon s. Tomasza i Władysławy, ur. 29/IX.1914 r. w Oleśnie, zam. Olesno pow.Dąbr. polak, rzym-kat, rolnik, 6 klas szk. pow., żonaty, 1,5 ha majątku, ze słów nie karany, stosunek do podejrzanego obcy.

Dalej formuła, w której świadek zobowiązuje się mówić szczerą prawdę. I zeznanie.

Ja w czasie okupacji niemiec. widziałem znanego mi z racji zamieszkania w Oleśnie ob. Koza Grzegorza, jak złapał w lesie nieznanego mi Żyda lat ok. 30 i sam związanego drutem odwiózł on furmanką do Dąbrowy zdać tego Żyda na żandarmerię. Ja słyszałem jak ten Żyd głośno krzyczał ludzie już po moje życie już po moje życie. Ja słyszałem jak ob. Koza powiedział do tego Żyda że ma cicho siedzieć bo po co ma żyć. Wiadomym mi jest, że po zastrzeleniu tego Żyda na żandarmerii w Dąbr. ob. Koza otrzymał kilo cukru, wódkę i ubranie po Żydzie, bowiem głośno było o tym słyhać pomiędzy ludnością. Nadmieniam że zeznać co niniejsze zgłosiłem się sam.

Na koniec sakramentalna formuła:

To, co zeznałem, jest zgodne z prawdą, przed podpisaniem zostało mi odczytane, co stwierdzam własnoręcznym podpisem.

Potem w teczce były akt oskarżenia, wyrok. Koza wychodzi z więzienia po półtora roku.

Bastian policzył: Władysław Węzyk – jak wyczytał na zdjęciu jego nagrobka – urodził się w 1963 roku, więc Leon, urodzony w 1914, mógł być raczej jego dziadkiem niż ojcem.

– Myślisz, że fakt, że dziadek Węzyka zeznawał w procesach

sierpniowych, coś w tym wszystkim zmienia? – zapytał dziennikarz. – Zemsta rodu Kozów?

Anka potrząsnęła głową, rude włosy rozsypały się jej po ramionach.

– Współwystępowanie nie świadczy o związku przyczynowo-skutkowym. – Nie zamierzała nabrać się na coś takiego po raz drugi.

– Anka, zlitujże się, mów po ludzku – jęknął dziennikarz. – Okej, Google?

– Okej. – Odpowiedziała mu ostrożnym uśmiechem. – Gdyby chcieli się mścić, mieli na to kilkadziesiąt lat. Zresztą ten Koza odsiedział niewiele ponad rok.

– Rok nie wyrok – mruknął Strzygoń.

– Ale zmienia się teraz kontekst napisów – podjęła Anka. Jej oczy lśniły, jakby mózg dostał świeże paliwo. – Kolejność jest taka: odkrywacie szkielet, ukazuje się twój tekst wsadzający kij w mrowisko, a potem pojawiają się napisy. Oskarżające Żydów bazgroły na synagodze i atak na żydowskie symbole na grobowcu rodziny Wężyków.

Wstała. Przechadzała się po kuchni, gestykulując, jakby rysowała dłońmi w powietrzu.

– Może rzeczywiście wywołałeś antysemitckiego demona, a obiektem jego agresji stała się, po pierwsze, bożnica jako najczytelniejszy wyraz żydowskiego dziedzictwa Dąbrowy, a po drugie, grobowiec Wężyka – mówiła. – I wszyscy założyliśmy, że chodzi o Władka. A tymczasem może obiektem tej symbolicznej napaści był nie zamordowany, tylko jego dziadek, który zeznawał na korzyść Żydów przeciwko swoim polskim sąsiadom?

– Ale czy ludzie pamiętaliby po tylu latach? – zapytał Bastian.

– Ty mi powiedz. To twoja mała ojczyzna.

Bastian zapisał coś w notesie i zakreślił wokół notatki zamaszyste kółko.

– Mogę się mylić, ale to pierwsza hipoteza na temat tych napisów, która nie wydaje mi się od czapy – skonkludowała Anka.

– A jak to się ma do śmierci Wężyka? – Bastian przyłożył długopis do ust.

– Właśnie nie wiem. Może być powiązanie, a może go nie być. Może wszystko po prostu zbiegło się w czasie? Do tego ten Bosman...

Usiadła i podparła głowę rękami. Za oknem ktoś zaklął siarczyście. Śmiech Belli przebił się przez wycie silnika. Coś trachnęło.

– To też może nic nie znaczyć – zaczął Bastian. – Ale to rzeczywiście podejrzane. Węzyk pijał u Bosmana. Myślisz, że to zwykła pijacka burda?

– Pijaczki od Bosmana nie ganiałyby cię, was, po lesie ze strzelbą. Ktoś wkłada za dużo wysiłku w to, żeby cię uciszyć. To musi być bardziej skomplikowane.

– Ale ta knajpa mi się nie podoba – ciągnął Bastian. – Coś się tam wydarzyło.

Wstał i zaczął krążyć po pomieszczeniu, pstrykając palcami. Anka zamyśliła się, gładząc leżący na stole motocyklowy kask.

– Oni się tam kompletnie замуrowali. Nie wiem, czego by trzeba, żeby się do nich przebić – głośno myślał Bastian. – Chyba wrzucić granat. Masz jakiś pomysł?

Pokręciła głową, stukając paznokciem w kask.

– A ja mam – uśmiechnął się nagle.

Bąk był wściekły jak osa. Przez cały dzień kolędował od drzwi do drzwi, zadając idiotyczne pytania. Czy ma pan ważne pozwolenie na broń, czy posiada pan broń długą, co pan robił tamtej nocy. Rozważał pytanie: „Czy gdyby strzelał pan w lesie do Strzygonia, toby nam pan powiedział?”.

Zaczęli od miasta, gdzie, po odliczeniu policjantów, zostawało około stu sztuk zarejestrowanej broni. Żeby to ogarnąć, skupili się na posiadaczach broni długiej, bo dziennikarz mówił o strzelbie. Krystian Papa wziął na siebie rozpytanie blisko trzydziestu członków koła łowieckiego, Bąkowi zostało jeszcze kilku kolekcjonerów, wojskowych, entuzjastów i biznesmenów. Wytypowali w pierwszej kolejności tych, którzy mają też auto zdolne do jazdy po lesie, ale w czasach, gdy SUV parkuje przed co drugą stodołą, na niewiele się to zdało.

Od kolejnego delikwenta z wzorowym alibi Bąk wychodził z czarną wizją rozszerzenia rozpytań na cały powiat. Usiadł za kierownicą służbowego mondeo. Kto mógł chcieć odstrzelić dziennikarza? Może jednak mimo wszystko Babiarscy? Na chłopski rozum pasowali, jeśli podpalaczy faktycznie było dwóch, jak dwóch braci. Na liście dąbrowskich posiadaczy pozwolenia na broń ich jednak nie było. Mogli mieć lewą. Może Franz by się zgodziła zrobić im wjazd na chatę? Tylko na jakiej podstawie, skoro ich wykluczyli?

A Maciej Węzyk? Chłopina zrobiłby sobie krzywdę samym wyciorem, o strzelbie nie wspominając. I nie miał prawa jazdy.

Koło Anonimowych Antysemitów? W Dąbrowie nawet porządnych nazioli nie było.

Bąk zaklął. To miasteczko, gdzie wszystko zwalniało i grzęzło, nie było byle dziurą.

Było czarną dziurą.

Na kościelnym parkingu w Oleśnie, pustej połaci polbrukowego rózu kontrastującej absurdalnie z pistacjowym seicentem Bastiana, dziennikarz odruchowo się przygarbił i wciągnął głowę między ramiona. Na otwartej przestrzeni wciąż czuł się jak cel strzelecki. Podążył ku kancelarii parafialnej.

– Koza? – Ksiądz zmarszczył brwi. – Nie kojarzę takiej rodziny. A pan w jakiej sprawie?

– Piszę o historii regionu, pochodzę z Dąbrowy, to dla mnie po części opowieść autobiograficzna. – Bastian uznał, że w zasadzie nie jest to kłamstwo. – A czy może ksiądz sprawdzić, czy tacy ludzie tu mieszkali? Tuż po wojnie, w latach czterdziestych.

Kapłan z ociąganiem dźwignął się zza biurka.

– Wie pan, w epoce RODO to sam nie wiem, co ja mogę – zamruczał, ale otworzył szafę, zastanowił się i sięgnął po jedną z ksiąg. Ułożył ją na biurku, pochylił się nad tabelami pełnymi liter kaligrafowanych wyblakłym atramentem. Długo sunął palcem przez wpisy. – O, proszę – ucieszył się. – Tu jest adnotacja o wysłaniu świadectwa chrztu parafianina Grzegorza Kozy do parafii w Szczecinie, czterdziesty dziewiąty rok. Ale wcześniej nie było nic. Przykro mi.

Wyglądało na to, że inkryminowany Koza po odsiadce wyjechał na Ziemię Odzyskane, a skoro potrzebował świadectwa chrztu, to pewnie się tam ożenił. Ksiądz sprawdził jeszcze dokumenty cmentarza i stwierdził, że spoczywają na nim Rozalia i Wojciech Kozowie, zmarli odpowiednio w 1950 i 1956 roku. Mogli to być rodzice Grzegorza. Ród Kozów zniknął z Olesna niedługo po wojnie.

Bastian szedł przez wieś i rozglądał się za kimś, kogo mógłby zaczepić. Stodoły z pustaków, domy obłożone sidingiem, tynkowane na pastelowo lub zdobione szarym żwirkiem. Dalej

urząd gminy, którego nieciekawą bryłę próbowała rozweselić zalipiańska dekoracja. Skwerek. Producent polbruku musiał tu zrobić interes życia. I dalej wieś, podobna do tej, którą pamiętał z dzieciństwa, tylko dogęszczona i bardziej zarośnięta, wybujała. Zamiast jabłoni i śliw za ogrodzeniami pyszniły się tuje i jodły kaukaskie.

– Koza? – Zagadnięty przy ogrodzeniu staruszek w swetrze zawiesił głos. Gdy usłyszał, że Bastian jest dziennikarzem, uśmiechnął się, jakby za Strzygoniem stał przynajmniej wóz transmisyjny. – Ano był tu taki, ale dawno. Ale ja to, panie, nie wim.

– Wyjechał stąd?

– A może. Pewno tak. Chyba z Pomorza miał babe, ale kto by takie rzeczy pamiętał.

– Ten Koza to podobno siedział po wojnie.

Staruszek machnął ręką.

– E, panie, stare dzieje, żeby to on jeden za komuny siedział.

– A wie pan za co?

– Panie, kto by takie rzeczy pamiętał. Za komuny to, panie, ludzie siedzieli za bele co. Pan żeś jest młody, to co pan tam wiesz. – Staruszek zaczął odchodzić.

Strzygoń rozgryzł w ustach niewidzialną gorzką pestkę. Nikt nic nie wie i nie pamięta. Wyglądało na to, że rodziny imć Kozy nie ma co w Oleśnie szukać.

– A Węzyk? Leon Węzyk. Był tu taki? – rzucił za nim.

Staruszek się zatrzymał.

– Leon? Ten, co jego wnuka w Dąbrowie zabili?

Wrócił.

– Oni to, panie, też wszystkie stąd wyjechali. Może to i dobrze.

– Dlaczego?

– E, panie, kto by takie rzeczy pamiętał. Idź pan.

Strzygoń zacisnął pięść w kieszeni. Odbijał się od swojej własnej, jak to ujęła Anka, małej ojczyzny jak emigrant po latach, który nie poznaje miejsc i nie rozumie języka. Zderzał się z nią niczym z szybą.

– Żydoskie wujki – usłyszał nagle za sobą. – Taka to była rodzina.

*

– Żydowskie wujki? Tak powiedział? – zapytała Anka.

– Tak. – Bastian otworzył bramę. – I poszedł. Nie zdążyłem zapytać, co to znaczy.

– Powiem ci, co to znaczy. – Uśmiechnęła się triumfalnie.

Popołudniowe słońce rzucało na podwórko długie cienie. Pogorzelsko po stodole było częściowo posprzątane. Bella już zaczęła planować, że wybuduje tam piec do pizzy. I że będzie piekła w nim drożdżówki.

– To znaczy, że oni pamiętają. – Anka ściszyła głos. – Tak się nazywało za okupacji tych, którzy pomagali Żydom z różnych pobudek, najczęściej finansowych. Albo, jak się mówiło, „sprzyjali Żydom”.

– Czyli miałybyś rację z tymi napisami – przytaknął Bastian.

Wyjrzał na drogę. Czarny motor zbliżał się od strony miasteczka, wreszcie zwolnił i wjechał na podwórko.

Gerard skinął mu na powitanie głową.

– To do czego się mogę przydać?

– Chciałem ci postawić piwo – powiedział Bastian i uśmiechnął się, kierując kąciki ust w dół.

Wielicki kliknął ostatni znacznik, zaplótł dłonie na karku i się przeciągnął. Właśnie skończył nanosić na mapę Dąbrowy pozycje kamer monitoringu, które zarejestrowały tamtej nocy Władysława Wężyka, wraz z timingami. Zobowiązał się w duchu, że kupi Kałudze i jego ludziom skrzynkę piwa. Słabo mu się robiło na myśl, że miałby to przeglądać sam. Na szczęście dąbrowska komenda pomogła.

Wieczorny spacer Wężyka układał się w bezsensowny zygzak. Złapała go kamera przy hurtowni na Oleśnickiej, potem długo nic, wreszcie kamera z prywatnej posesji przy Niecałej, a niedługo później kamery z pływalni i hali sportowej. Na koniec Wężyk załapał się jeszcze na monitoring gazowni przy drodze na cmentarz. I szukaj wiatru w polu.

Zgadzało się to z zeznaniami rodziny i znajomych: Wężyk lubił się wałęsać. Może z Oleśnickiej poszedł na starą stację kolejową, a stamtąd, wzdłuż dawno nieczynnych torów, do Niecałej i z Piłsudskiego skręcił w Sportową, żeby przejść się aż pod cmentarz? Z niczym się ta trasa nie wiązała, nie mieszkał przy niej nikt istotny dla śledztwa.

Bezpośrednio przed szacowanymi godzinami śmierci, czyli między dwudziestą pierwszą trzydzieści a pierwszą trzydzieści, nie pojawił się nigdzie. A z miejsca, gdzie po raz ostatni zarejestrowała go kamera, do drogi na Szczucin, gdzie go znaleziono, można dojść na kilkanaście sposobów – jeśli szedł osiedlem domów jednorodzinnych na wschód od starego kościoła i centrum miasteczka. Sprawdzili wszystkie kamery z prywatnych domów w tej okolicy, jakie udało im się ustalić.

Wężyka nigdzie nie było.

Mógł nie trafić przed żaden obiektyw, mógł zostać przewieziony, bo przecież nie przefrunął. Najgorsze, że nie mieli żadnego nagrania między centrum miasta a miejscem ujawnienia

zwłok Węzyka, kiedy bladym świtem, o piątej dziesięć, dąbrowska policja otrzymała wezwanie.

Wielicki na powrót przysunął się do ekranu i przetarł oczy. Franca miała rację. Coś przegapiali. Coś ważnego.

Czarny motor zaparkował przed barem U Bosmana. Motocyklista zdjął kask i przeczesał palcami włosy. Klepnął się po kieszeniach, po czym zrezygnowany opuścił ręce. Pchnął drzwi knajpy i rozejrzał się w półmroku. Kilka głów się odwróciło, ktoś otaksował go spojrzeniem.

Obcy.

Kupił przy barze piwo i usiadł przy ostatnim stoliku. Nie lubił piwa, odbijało mu się po nim. Wyjął z kieszeni komórkę, starego iPhone'a z pękniętą szybką, żeby sprawdzić, która jest godzina. Zegarek kazali mu zostawić, był za drogi. Kazali też zrobić na podwórku dwadzieścia pompek, tak żeby się spocił, bo stwierdzili, że śmierdzi armanim na kilometr. Pociągnął nosem i już wiedział, że niepotrzebnie. W tym zaduchu czuć było tylko smażeninę z zaplecza i pety, bo zakaz palenia respektowany był wybiórczo. Zmarszczył nos, odkąd rzucił palenie, smród dymu zaczął mu przeszkadzać.

Za barem uwijał się zwalisty, łysy typ ze ścierką przewieszoną przez ramię. Pod ścianą tarczę do rzutek okupowało kilku chłopaczków, co do których nie miał pewności, czy mogą legalnie kupować piwo. Przy stoliku niedaleko baru siedział gładko ogolony facet i przeglądał papiery. Dwóch koleś przy barze bez entuzjazmu śledziło mecz w zawieszonym pod sufitem telewizorze.

Wiercił się na krześle. Sprawdził czas. Minęło pół godziny. Dopił piwo, ruszył po następne.

Oparł się o bar.

– Jeszcze jedno – mruknął i sięgnął do kieszeni po portfel. Przechylił go i wysypał drobne na blat. Zadzwięczało. Odliczył i przesunął monety w stronę barmana. – Małe.

Za plecami usłyszał śmiech. Odwrócił się.

– Taki duży chłopiec i takie małe piwko? – zaśmiał się wpatrzony w telewizor amator piłki nożnej.

Motocyklista się wyprostował. Metr dziewięćdziesiąt dwa robiło wrażenie. Podszedł blisko do faceta i wysyczał mu w twarz:

– Coś ci się, kurwa, nie podoba?

W barze nagle zrobiło się cicho. Poczuli, jak spojrzenia wbijają mu się w plecy. Dobrze. Tamten zamilkł i skulił się nad piwem.

Zabrał kufel i wrócił na swoje miejsce. Wypił połowę. Pomyślał, że dobrze by było, gdyby nikt mu dzisiaj ryja nie obijał, bo kiepsko będzie wyglądał w biurze. Popatrzył na telefon, postukał nim w stolik. Wreszcie wstał i znowu ruszył do baru. Przedstawienie czas zacząć.

– Sorry – zagadał do barmana. – Znasz Władka Wężyka?

Bosman podniósł na niego przekrwione spojrzenie.

– Nie no, na pewno znasz. Mówił, że wszyscy go tu znają – powiedział motocyklista. – Nie widziałeś go? Nie wiesz, gdzie jest?

– Słucham? – wycharczał barman.

– Głuchy jesteś? – warknął głośniej Gerard. Miał nadzieję, że mały smartfon, schowany w wewnętrznej kieszeni kurtki, dobrze zbiera i Anka z Bastianem słyszą wszystko. – Gdzie jest Wężyk? Zapierdalałam tu cały dzień, żeby się z nim spotkać, a buca nie ma. Więc chcę wiedzieć, gdzie jest.

Odniósł wrażenie, że powietrze w barze nagle zgęstniało.

– Chuj ci do tego. – Barman wzruszył ramionami. – Nie ma go, to go nie ma. Nie twój interes.

– Mój. Jak się koleś ze mną na interes za kupę kasy umawia, to chcę wiedzieć, gdzie jest albo co się stało. Już mi wisi za benzynę.

– To ty nie wiesz? – włączył się ten, który śmiał się z jego małego piwa. – Władek nie żyje. Zamordowali go. I przejechali samochodem, wszystko jest w gazetach!

– Pierdolisz! – Gerard wytrzeszczył oczy. – Ale jak to?

Wyciągnął z kieszeni iPhone'a i otworzył przeglądarkę. Wyszukał, czytał przez chwilę.

– O kurwa, rzeczywiście! – wykrzyknął. – Ale jazda! Wychodzi, że wypił tutaj ze mną browca i go zajebali!

Bastian mówił, że według komunikatów prokuratury nie udało się ustalić, co robił Władysław Wężyk w ostatnich godzinach swojego życia. Dziennikarz podejrzewał, że był tutaj.

Obserwował twarz Bosmana, szukał oznak zdenerwowania, kropelek potu na czole, nagłego rumieńca na policzkach. Barman milczał.

– Może ja będę w stanie pomóc? – Gerard poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się. Gładko ogolony patrzył na niego z uprzejmym uśmiechem. – Władek był moim przyjacielem. Zapraszam, proszę usiąść.

Gerard zawahał się i pozwolił zaprowadzić się do stolika. Nowość. Miał przecież sprowokować barmana. Usiedli.

– Tak, niestety, straszna tragedia się stała – powiedział facet, nabił frytkę na plastikowy widelec i włożył sobie do ust. Przełknął. – I nie ma już z nami Władka. Mogę zapytać, o jaki interes chodzi? Bo może będę w stanie jakoś pokierować.

– Auto miałem odstawić na Ukrainę – wyjaśnił Gerard.

Bastian mówił, że według jego kuzyna Węzyk handlował samochodami.

– Audicę. Dwa kafle za weekend roboty. Ale chyba po ptokach.

– Oj, to raczej nie pomogę, – Facet pokręcił głową i odsunął od siebie talerz. Gerard tęsknym spojrzeniem obrzucił frytki. Znowu nie zdążył zjeść lunchu, musiała mu wystarczyć bułka z bananem. Dieta polskich sportowców. – Chyba nic tu po tobie.

– A ja ciebie tutaj nie widziałem? – zapytał Gerard, mrużąc oczy. Zrzucił wędkę. – Wtedy, jak tu siedziałem z Władkiem i nagrywaliśmy ten interes. Wtedy, co zginął.

– Coś ci się musiało pomylić. – Tamten pokręcił głową. – Nie było mnie tu wtedy. I jego też tu nie było.

– Jak to nie? – drążył Gerard. – Mecz leciał, my gadaliśmy. Pełno ludzi było.

– Kto cię tak oszpecił? – Facet zmienił temat.

Gerard się skrzywił, precyzyjnie trafiony w czuły punkt. Bezwiednie powiódł palcem wzdłuż blizny na policzku.

– Nie twój interes – warknął. – Pamiątka z pudła.

Bezwiednie sięgnął po frytkę i zaraz cofnął rękę.

– Głodny jesteś? – Tamten nie skomentował, tylko podsunął mu talerz.

– Nie – prychnął Gerard. – Nie będę jadł po nikim resztek.

– Bosman! – zawołał facet. – Podajże jeszcze jedne frytki dla kolegi!

Gerard jęknął. Jeśli będzie musiał to zjeść, to się chyba porzyga. Ale może to i dobrze. Zasada wzajemności, jak to mówi Anka. Facet pomyśli, że jak postawi mu obiad za trzy

pięćdziesiąt, to już ma go w kieszeni.

– Dumny jesteś, co? Jadłeś coś w ogóle dzisiaj? – zatroskał się tamten. – Coś ci powiem, młody człowieku: jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj. Jak się w ogóle nazywasz?

Gerard się zawahał. Nie zakładał, że będzie musiał się przedstawiać.

– Co, języka w gębie zapomniałeś? – Facet od razu się rozluźnił. Anka się nie myliła.

– Nie, *sorry*. – Gerard przetarł twarz. – Imię mam obciachowe. Tamten rozłożył ręce.

– Mów, pośmiejemy się.

– Ernest – bąknął Gerard. – Ernest Gewara.

– To będę ci mówił Erni – uśmiechnął się facet.

– A ty? – zapytał Gerard. Tamten nie odpowiedział.

Na stół wjechał plastikowy talerzyk ze smętną kupką przesmażonych frytek. Gerard sięgnął po sztucce i pochłonął frytki w kilku ruchach, żeby mieć to za sobą.

– Dobra rada, Erni – ciągnął facet. – Znikaj stąd w podskokach. Nic tu po tobie. Nie ma Władka, nie ma audicy, nie ma interesu na Ukrainie. Nigdy cię tutaj, chłopcze, nie było, ani w tamten wieczór, ani nigdy. Masz tu stówę na paliwo i wracaj, skądżeś przyjechał.

– Stówę? – Gerard zerwał się od stolika. Wziął banknot w dwa palce i podsunął facetowi pod nos. Miał wrzucić granat do szamba i zobaczyć, co się stanie. – W chuja sobie lecisz, gościu? Miał być interes na dwa koła, a ja mam wziąć stówę i spadać? A Władka zamordowali? Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje?

Kątem oka zobaczył, że bar nagle opustoszał. Chłopaki od rzutek wyparowały. Barmana nie widział.

Ale poczuł. Uderzenie w tył głowy.

Świat zawirował i nagle z bliska zobaczył podłogę.

Dorota Seweryn nastawiła wodę na herbatę, obserwując przez drzwi, jak jej synek bawi się z Grześkiem kolejką Piko. Była przekonana, że mąż tak naprawdę kupił ją dla siebie. I trzeba z nim pogadać, że dom to nie szkoła i żeby nie mówił do małego po niemiecku. Ostatnio synek wyskoczył do jej babci z rymowanką *Eins, zwei, drei, vier, hinter dem Klavier, da sitzt eine Maus, die muss heraus*. Babcia strasznie się zdenerwowała, bo jej się przypomniała wojna. Nakrzyczała na nią potem, że nie będzie do niej jej własny prawnuk mówić „*raus!*”.

Wczoraj znowu go spotkała, szedł drugą stroną ulicy. Oglądał się za siebie jak ścigane zwierzę. Nie zauważył jej. Od dawna powinna to komuś powiedzieć. Jak kiedyś w liceum ukradł z pracowni chemicznej jakieś odczynniki i próbował otruć ojca. Wężyk dostał tylko niestrawności, ale Maciek miał straszne wyrzuty sumienia. To wtedy zdecydował, że pójdzie do zakonu albo do seminarium. Tłumaczyła mu, że przecież nikomu nic się nie stało. On na to, że liczą się intencje.

Coraz częściej o tym myślała. Nie chciała go oceniać, ale nie chciała się też oszukiwać. Maciek był dziwny, odkąd go znała. Ale czy był zdolny, żeby... Nie dokończyła, nie mogła. Sięgnęła po smartfona.

– Cześć, długo się nie odzywasz, wszystko w porządku? – rzuciła do telefonu z udaną lekkością. – A, jesteś w Krakowie.

Słuchała, kiwając głową.

– Szkoda, bo chciałam z tobą pogadać. O Wężyku. Chyba to ważne, chociaż sama nie wiem. – Urwała. – Dobra, to wyślij. I powodzenia na rozmowie kwalifikacyjnej.

Odłożyła telefon, chwilę potem ekran rozświetliła wiadomość tekstowa z numerem. Dorota zadzwoniła. Adresat natychmiast odrzucił połączenie. Odczekała, spróbowała ponownie. Znowu to samo.

– Mamo, mamo! – Synek przybiegł i złapał ją za kolana. – Chodź się z nami pobawić! Ja zostałem konduktorem, a tata właśnie buduje dworzec!

– Ojej, a ja nie mam biletu. – Zmierzwiała chłopcu włosy i pozwoliła zaciągnąć się do salonu.

Telefon został na blacie.

– Co ty odpierdalasz? – dobiegło go.

– Słyszałeś? On wie o... – zaczął głośno i urwał.

Gerard zaczął podnosić się z podłogi, gdy ktoś go złapał za ramiona i wykręcił mu ręce do tyłu. Dostał w szczękę. Ból przyniósł otrzeźwienie. Zobaczył, jak gładko wygolony bierze zamach, i natychmiast wyciągnął przed siebie nogę, opierając ją napastnikowi na brzuchu. Odepchnął. Facet poleciał do tyłu, przewrócił się na krzesło.

– Pojebało was?! – wrzasnął Gerard. – Za co mnie, kurwa, bijesz?!

Miał nadzieję, że Anka z Bastianem dobrze go słyszeli. Nie podobało mu się, że przeciwników jest dwóch, a jeden właśnie wykręca mu ręce do tyłu. Był duży i silny. Dałby sobie z jednym radę, gdyby nie musiał uważać na tego drugiego, który klnąc, właśnie wstawał z podłogi.

– Oj, Erni, chyba się nie polubimy – syknął facet i zaczął ostrożnie podchodzić.

Gerard znowu się wyprężył i machnął mu nogą przed nosem. Tamten już wiedział, czego się spodziewać, uchylił się i dopadł

go, pakując mu pięść w wątrobę.

– Idę tam! – Anka chwyciła za klamkę.

Z głośniczka w smartfonie dochodziły odgłosy kotłowania.

– Wszystko zepsujesz. – Bastian złapał ją za rękę. Popatrzyła na niego tak, że od razu puścił. – To był element planu i akceptowane przez wszystkich ryzyko. Spodziewaliśmy się awantury.

– Przez wszystkich?! – krzyknęła. – Ich jest co najmniej dwóch, a on jest sam! Nie mam zamiaru tu siedzieć i słuchać, jak go biją!

– ...nie podskakuj, bo stąd nie wyjdiesz w jednym kawałku... – usłyszeli.

– Idę. Jak za dziesięć minut nie wyjdziemy, to wzywaj policję.

Trzasnęły drzwiczki pistacjowego seicenta. Zaklął. Komplikacje. Cóż, kiedy sam pomysł był po bandzie. Ale nie spodziewał się po Ance takiej determinacji. Patrzył, jak bez wahania kieruje kroki w stronę knajpy. Lwica gotowa bronić swojego lwiątko. Nie powinien jej na to pozwolić. Teraz w niebezpieczeństwie są już dwie osoby. Ale gdyby do tego na scenie pojawił się on, katastrofa byłaby gotowa. Zerknął na zegarek.

– ...ja pier... – zawołał ktoś i urwał wśród trzasków.

Telefon zawibrował, wyświetlając nieznany numer. Bastian natychmiast odrzucił połączenie. Nie teraz. Wytężył słuch, żeby wśród szumów i hałasów wyłapać coś sensownego. Telefon znów zawibrował. Bastian z furią przeciągnął czerwoną ikonkę słuchawki.

Poczuł suchość w ustach. Ryzykuje życie faceta, który niedawno sam go uratował.

Wyszukał numer do Kaługi i jeszcze raz spojrzął na zegarek.

Zobaczył, co robi napastnik, więc napiął mięśnie brzucha, żeby wyprzedzić uderzenie. Jęknął, wypuszczając powietrze, i kopnął tamtego w goleń. Facet zawył i się złożył, Gerard poprawił z kolana w brzuch. Poczuł, że ucisk na ramionach zelżał, więc zamachnął się głową do tyłu. Barman, który trzymał go za ręce, był od niego niższy, więc Gerard trafił w jego czoło zamiast w nos. Polecieli do tyłu.

Gładko wygolony, czerwony na wykrzywionej grymasem twarzy, porwał krzesło. To dopiero będzie bolało, pomyślał Gerard. I zostaną ślady, koniec z chodzeniem z ojcem na spotkania biznesowe.

Drzwi knajpy się uchyliły, w powietrzu zamigotały drobiny kurzu. Do środka weszła kobieta, założyła rudy lok za ucho i przestąpiła z nogi na nogę. Gładko wygolony opuścił krzesło. Barman znieruchomiał i puścił Gerarda, który strząsnął jego ręce ze swoich ramion, wytarł krew z rozciętej wargi.

Nagle Gerard zbladł, a blizna na jego twarzy zapulsowała gorącem.

Srebrna toyota yaris zjechała z wylotówki na Tarnów i potoczyła się po wąskiej drodze. Prokurator Judyta Franz rozglądała się po numerach nowych domów z przystrzyżonymi trawnikami, huśtawkami ogrodowymi i dobrymi samochodami na podjazdach.

Bąk i Wielicki przyszli do niej zawstydzeni własną niemocą. Rozpytanie posiadaczy broni nic nie wniosło. Wściekła się na nich, że na bank coś przegapiają. Że na pewno nie dotarli do wszystkich. Ludziom tutaj zależy chyba tylko na świętym spokoju, pomyślała. Nikogo nie obchodzi martwy pijak,

małomiasteczkowy wyrzutek, niespełniony historyk, domorosły przedsiębiorca bankrut, nieszczęśliwy mąż średnio udanej żony i nieszczęśliwy ojciec średnio udanego syna. Niby dlaczego tylko jej miałyby zależeć?

To dlatego puściły jej nerwy. Najpierw wybrała numer. Nie spodziewała się niczego innego, więc po chwili opuściła telefon i ruszyła wąskim, wyludnionym korytarzem prokuratury. Zajrzała do kadr, ale nikogo tam nie było. Otworzyła szafę. Poukładane w teczuszkach leżały dane personalne. Znalazła, odpisała na żółtej karteczce adres. Mogła poczekać z tym do rana. Ale nie chciało jej się czekać.

Zaparkowała na ulicy i pchnęła furtkę. Wysadzaną bratkami alejką ruszyła do drzwi, zza których dobiegało szczekanie psa. Nacisnęła dzwonek, rozległ się dystyngowany gong, a potem ciężkie kroki.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich prokurator Zdzisław Kogut w fartuchu w grochy narzuconym na koszulę z krótkimi rękawami. W ręku trzymał pomidora.

– Dobry wieczór, nie przeszkadzam? – zapytała słodko Judyta Franz. – Musimy porozmawiać.

– Przepraszam, czy jest tutaj toaleta? – Kobieta uśmiechnęła się nieśmiało.

– Prosto i w prawo – wymamrotał barman jak obudzony ze snu.

Kobieta przemknęła przez opustoszałą salę i zniknęła za drzwiami, na których ktoś markerem napisał „WC”. Wszyscy trzej odprowadzili ją wzrokiem.

Anka zamknęła się na haczyk i przyciskając przedramiona do brzucha, oparła się plecami o ścianę. Z obrzydzeniem obrzuciła

wzrokiem obsikana podłogę. Śmierdziało źle zamontowaną kanalizacją. Serce waliło jej w piersi, w żołądku coś drżało. Nasłuchiwała. Odczekała chwilę i przez papier toaletowy pociągnęła za spłuczkę. W rurach zaszumiała woda, spadła wodospadem do pękniętej muszli, chlapnęła na podłogę. Anka odskoczyła. Poczwała, że musi natychmiast umyć ręce, ale jak na złość umywalki nie było.

– Gównu mnie obchodzi, o co w tym wszystkim biega – warknął Gerard, kątem oka obserwując drzwi do toalety. – Walcie się. Napiwek za serwis opcja full leży na podłodze.

Wskazał głową stowę, która w zamieszaniu wylądowała pod stołem. W nagłej ciszy usłyszał skrzypnięcie zawiasów i niespiesznie ruszył do wyjścia.

– Panie przodem – mruknął do Anki, kiedy się zrównali.

– Dziękuję panu – bąknęła.

Przytrzymał jej drzwi i rzucił facetom jeszcze jedno spojrzenie.

– Spierdalaj i nie wracaj – syknął barman.

Pokazał im środkowy palec i wyszedł. W milczeniu wskazał ruchem głowy zaparkowany przed knajpą motor. Anka potrząsnęła burzą rudych loków, pokazując brodą na stojące po drugiej stronie ulicy seicento. Wymienili spojrzenia, Anka zamrugowała, jakby coś wpadło jej do oka. Gerard uśmiechnął się kącikiem ust. Odwrócił się i ruszył w stronę motoru. Może na krótkim dystansie na Rudę nikt nie każe mu dmuchać w balonik.

Bastian właśnie wybrał numer do Kaługi, gdy zobaczył, że Anka z Gertem wychodzą. Nikt ich nie ścigał, wymachując krzesłem. Sygnał w smartfonie przywołał go do rzeczywistości. Popatrzył na wyświetlacz i musnął palcem czerwoną słuchawkę. Chrupnęła klamka. Anka usiadła na fotelu i podparła czoło rękami.

– Wszystko w porządku? – zapytał dziennikarz. Ruszył z piskiem opon, autkiem zatrzęsło. – Jezu, udało się!

– Nic już nie mów, Bastian – odezwała się wibrującym głosem. – Proszę, zamknij się i nic więcej nie mów.

Siedział na łóżku, a ona przykładła mu mokry wacik do rozciętej wargi. Rude pukle muskały jego nagi tors. Śmierdzący petami i starym olejem do smażenia podkoszulek leżał na podłodze.

– Następnym razem, jak zadzwoni, to po prostu nie odbieraj telefonu, okej? – powiedziała Anka ze źle skrywaną irytacją.

– Jeśli nie chciałaś, żebym tam szedł, to dlaczego nic nie mówiłaś? – Gerard syknął, gdy dotknęła jego szczęki. – Jakbyś powiedziała: „Proszę cię, nie idź tam”, tobym nie poszedł. Mogłaś też sama mu wybić z głowy ten pomysł.

– Nic nie rozumiesz.

– Dokładnie. Nic nie rozumiem. Miałem się domyślić? Ale wydaje mi się, że ty też chciałaś, żebym tam poszedł. A teraz, jak się porobiło, to moja wina.

Opuściła głowę, bo znowu trafił w czuły punkt.

– Minałeś się z powołaniem, Erni. – Płynnie zmieniła temat. – Powinieneś zostać aktorem.

– Ty też byłaś niezła. – Podniósł kącik ust. – Przyznaj się, też cię to kręciło, co?

Ujął ją za podbródek i popatrzył jej w oczy. Nie mogła zaprzeczyć, że nie. Zaróżowiła się.

– Wiedziałem. Mnie kręciło, przynajmniej na początku, zanim zaczęli mnie bić. Ale ja jestem ćpunem. I wiesz co? Ty jesteś takim samym ćpunem jak ja. – Położył dłonie na jej biodrach.

Miał rację i dlatego tak ją to wkurzało. Nie wiedziała, jak

zakończyć tę rozmowę, więc nachyliła się i pocałowała go w usta. Smakował krwią, włosy pachniały mu papierosami, a skóra potem i adrenaliną. Zdziwiła się, jak szybko jej ciało zareagowało. Może rzeczywiście jest ćpunką.

– Bzykać się będziecie potem. – Do pokoju wparował podekscytowany Bastian z komórką w ręku.

Anka odskoczyła od Gerta, poprawiła bluzkę. Pod rumieńcem zniknęły wszystkie jej piegi, a w oczach zabłysła furia.

– Ubieraj się, comandante, zaraz będziemy mieli gości – zawołał dziennikarz. – Właśnie dzwoniła Franz. Jedzie do nas, będzie tu za chwilę.

Wpuściła ją do domu kobieta z włosami sięgającymi za uszy, zestawem słuchawkowym na głowie i laptopem w dłoni. Na ekranie zmieniały się wykresy. Kobieta uśmiechnęła się przepaszająco, wskazując na słuchawki, w których szumiały głosy w obcym języku, i zaprowadziła ją do środka. Sama zniknęła za drzwiami sypialni.

Dziennikarz podał jej rękę. Przedstawił drugą kobietę pełnym tytułem naukowym i nazwą katedry. Tamta z zakłopotaniem przeczesła dłonią rude włosy. Wysoki chłopak ze spuchniętą szczęką skinął jej głową na powitanie i stanął z tyłu, opierając się o parapet. Założył na piersi muskularne ramiona.

Widać było, że wewnątrz domu jest świeżo wyremontowane i urządzone z gustem. I nie był to gust małomiasteczkowy. Nowoczesne, minimalistyczne meble w kuchni, plakaty, ale też kilka drobiazgów, które musiały być tutaj od wieków. Obtłuczona szklana popielniczka. Drewniany kastlik. Malowana w kwiaty, wyszczerbiona na rancie miska na owoce pełna świeżych wiśni.

Dziennikarz wydawał się rozluźniony. Jest na własnym terytorium, pomyślała. Wyglądał, jakby zapomniał, że niedawno do niego strzelano. Nie próbował jej nadskakiwać, porzucił teksty z kursu „Sztuka manipulacji w weekend”. Jak gdyby już nie musiał. Jak gdyby coś wiedział. Usiadł przy stole, zakładając nogę na nogę.

– Panie redaktorze, popełniłam błąd, że pana nie wysłuchałam – zaczęła Judyta Franz, strzepując ze spódnicy nieistniejący pyłek.

Miała wrażenie, że ledwie zauważalnie przewrócił oczami.

– To prawda – uśmiechnął się, eksponując dołeczki w policzkach.

Gdzieś zniknął jego nerwowy słowotok. Obserwował ją, czekał, aż odkryje karty.

– Nie wierzyłam panu. – Stwierdziła, że najlepiej będzie zagrać wprost. – Szczególnie że pan pierwszy zagrał ze mną nie fair.

Dziennikarzowi nie drgnął w twarzy ani jeden mięsień. Dołeczki wciąż były na swoim prominentnym miejscu.

– Ale to, co się wokół pana dzieje, pozwala mi żywić przekonanie, że pan coś jednak wie – kontynuowała. – Panie redaktorze, mnie nie obchodzą lokalne układy i układziki. Kto się z kim lubi i kogo nie można ruszać. Nie boję się miejscowych szemranych typów, gangsterów z bożej łaski w rozpadającym się samochodzie, Zenonów Zawodowców z flintą po dziadku, chłopów z widłami.

Wciąż zachowywał powagę, ale oczy mu rozblęły.

– I zależy mi tylko na jednym – mówiła coraz głośniej. – Na prawdzie. Chcę znaleźć zabójców Władysława Wężyka. Nie dlatego, żebym żywiła wobec niego jakieś szczególne uczucia.

Dlatego – zawiesiła głos – że takie jest prawo, które istnieje po to, żeby nas chronić przed losem Władysława Wężyka.

Przyglądała się temu dziwnemu zgromadzeniu. Dziennikarz spoważniał. Doktorka słuchała w skupieniu. Gladiator pod oknem ani drgnął.

– Dlatego – wzięła oddech, zapewniając sobie efektowną przerwę – wzywam pana do współpracy.

– Pani prokurator, to nie sala sądowa – odparł. – Nie musi mnie pani przekonywać. Ja natomiast próbuję dowiedzieć się czegokolwiek o dziewczynie z mojego sadu. I mógłbym panią zapytać o jej prawa. Prawo do tego, żeby nie leżeć w plastikowym worku w magazynie, ale w grobie z krzyżem albo gwiazdą Dawida, zależnie od tego, co ustalimy. O sprawiedliwość nie pytam, rozumiem, trzydzieści lat minęło jak jeden dzień.

Franz słuchała. I nie chodziło tylko o to, że był w tym równie dobry, jak ona. W ciszy, która na moment zapadła, wybrzmiało coś jeszcze.

– Nam chodzi o to samo – podjął dziennikarz. – O prawdę. Możemy sobie pomóc. Ale ja już powiedziałem, co to oznacza.

Rzucił rudowłosej spojrzenie, żeby się nie wtrącała, i raptownie schłodził ton.

– Dostęp do opinii krakowskich biegłych za naszą wiedzę na temat Wężyka – oświadczył. – Na pewno jest pani w stanie to załatwić.

Zacisnęła wąskie wargi. Poszukała wzrokiem wsparcia u doktorki z uniwersytetu, ale ta wyglądała, jakby się umówili, że to dziennikarz będzie mówił, chociaż jej mowa ciała wyrażała przynajmniej wątpliwości.

Judyta Franz podniosła głowę i popatrzyła na gladiatora, który

rozluźnił ramiona i oparł się o parapet, przestępując z nogi na nogę, jakby go coś bolało. Przyglądała mu się długo, aż zrobiło jej się niezręcznie. Jemu też. Zaczął się drapać po twarzy, przesuając palcami wzdłuż blizny na policzku.

Dziennikarz chrząknął, doktorka wstrzymała oddech. Pewnie sobie pomyśleli, że zagapiła się stara baba na ładnego chłopca. Ale ona patrzyła na co innego.

Na świeże, dojrzewające dopiero czerwone podbiegnięcia na jego ramionach. Widziała niedawno podobne. W kostnicy Zakładu Pogrzebowego „Ultima”.

– Dobrze – powiedziała, intensywnie kalkulując. – Ale rozumie pan, że dla mnie to ryzyko. Dlatego proponuję: przysługa za przysługę. Załatwię panu tę opinię biegłego, a pan spełni obywatelski obowiązek. Ale będę oczekiwać, że się pan odwdzięczy.

– Jak? – zapytał dziennikarz. Oczy mu błyszczały, przełknął ślinę. Był gotowy.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała prokuratorka i wstała z krzesła.

Zawahał się. Bezgłośnie poruszył wargami. Na moment zacisnął powieki. Wstał.

– Zgoda.



ROZDZIAŁ 14

Szary ford mondeo stał zaparkowany na Oleśnickiej, nieopodal piętrowego klocka polskiego z ogrodzeniem porośniętym dzikim winem. Wielicki przeciągnął się za kierownicą. Bolały go plecy, zeszywniały kolana i chciało mu się sikać. Dochodziła piąta trzydzieści. Za półtorej godziny zmieni go Bąk.

Młody Węzyk wrócił do domu po osiemnastej i od tej pory nigdzie się nie ruszał. Nikt też do niego nie przychodził, nie kręcił się tu jak ostatnio wehikuł Babiarskich. Ale się bracia zdziwią, gdy po zamknięciu śledztwa policjanci zapukają do nich i poproszą o zwrot zabawek, zaśmiał się do siebie Wielicki. Przepisy nakazywały przywrócenie pojazdu do stanu sprzed podjęcia działań operacyjnych, więc starego strucla czekał remont na koszt prokuratury.

Szum silnika wyrwał policjanta z zamyślenia. Po drugiej stronie ulicy zaparkowały trzy samochody. Nieoznakowana kia. Srebrna furgonetka. I granatowe seicento. Wielicki się wyprostował.

– Przecież to nasi – mruknął do siebie.

Złapał telefon. *Realizujemy młodego???* – napisał do Bąka.

Z seicenta wysiadł facet w czapce z daszkiem i otworzył bagażnik. Ze środka wyskoczył dorodny wilczur. Z kii, z takim samym jak pies entuzjazmem, wyskoczył Kaługa. Był po cywilnemu, poprawił kaburę pod wiatrówką. Z furgonetki wysiadł mężczyzna w bluzie z kapturem, i sprężystym krokiem

ruszył w stronę forda mondeo. Wielicki przycisnął blachę do okna. Nieumundurowany policjant rozluźnił się i przyłożył dwa palce do czoła. Wielicki go poznał, mijali się nieraz w wydziale kryminalnym dąbrowskiej komendy.

– Cześć, co ty tu robisz? – rzucił tamten.

– Ja? Powiedz mi, co wy tu odpierdalacie?

– Mariusza się spytaj. Niezła akcja będzie.

Wielicki wyskoczył z auta i Kaługa go zobaczył. Spiał się, zaskoczony, ale zaraz potem się uśmiechnął. Pewnie go nie poznał, po nocy w aucie Wielicki wyglądał tak samo źle, jak na zdjęciu w legitymacji służbowej. A może nie chciał kolejny raz odstępować show komendzie wojewódzkiej?

Technik otworzył foliowy woreczek i podsunął psu pod pysk.

– Patrz. – Kaługa się rozpromienił. Pies zamierdał ogonem i pociągnął przed siebie. Smycz się naprężyła. Przewodnik ruszył za zwierzęciem.

Prosto ku bramce na posesję Wężyków.

– Wychodzi, zem miał rację! – zwrócił się do Wielickiego.

– Mariusz, a za przeproszeniem, czemu ty się nam wpierdalasz w nieswoją sprawę? – mruknął.

Kaługa spojrział na niego ze zdumieniem.

– Przecież to ja prowadzę sprawę napisów.

Wielicki kaszlnął.

– Napisów?

– To – wskazał Kaługa technika z woreczkiem na dowody – jest strzęp kieszeni dzinsów, którą my wtedy znaleźli przy synagodze. Zobaczyłem sprawcę na monitoringu, jak szedł w stronę Oleśnickiej. Przyszło mi do głowy, że to mógłby być Maciek. I zobacz, już psisko trop złapało. Chłopaki – rzucił do

policjantów. – Jest już szósta? Trzeba gnoja obudzić. Wchodzimy z orkiestrą.

Pchnęli bramkę, ruszyli ku drzwiom. Dwóch umundurowanych funkcjonariuszy prewencji poszło na tył domu, dwóch stanęło przy bramce, dwóch podążyło za kryminalnymi.

Wielicki wybrał numer. Kaługa zadudnił w drzwi.

– Pani prokurator? – zamruczał do telefonu krakowski policjant, gdy głos po drugiej stronie odezwał się już po pierwszym sygnale. – Powiatowi właśnie wyjmują nam młodego Wężyka.

Dudnienie.

– Otwierać! Policja!

O piątej pogodził się z tym, że nie zaśnie. Całą noc myślał o tym, co dostanie od Franz. Czy całość opinii biegłych powie mu cokolwiek więcej niż kilka zdawkowych informacji, które przekazał Kogut? Dla niego to ważniejsze niż wszystkie tajemnice śmierci wszystkich Wężyków tego świata.

Przypomniał sobie, że o szóstej otwierają legendarną piekarnię Lisiaka. Dotarło do niego, że babcia po ten chleb jeździła rowerem grubo przed świtem, żeby ustawić się w kolejce. Zawsze gdy się budził, chleb po prostu był. Bastian nie znał tamtych realiów. Świt. Kolejka. Kartki.

Pomyślał, że teraz to on przywiezie ciemny, okrągły, żytni bochen. Anka doceni etnologiczną wartość takiego chleba. Siostra – smak dzieciństwa po amerykańskich gumowych tostach. A Wiolka... Odegnął tę myśl, która zapiekła go wstydem, zakłuła w żołądku.

Wciągnął dres, zawiązał adidasy. Wymknął się z domu. Kiedyś próbował biegać, bo taka była moda, ale nigdy się nie doczekał

wyrzutu mitycznej adrenaliny biegacza. Zamiast tego zawsze się czuł, jakby przed czymś uciekał. Może to dobry moment, żeby spróbować znowu?

Na mostku zrobił kilka wymachów ramionami. Ruszył wzdłuż chodnika. Trzy kroki i wdech. Trzy kroki i wydech. Ostre powietrze, liliowe światło świtu. Nieźle.

Z tyłu dobiegł go dźwięk basującego nieszczęlną rurą wydechową silnika. Nie odwrócił się, ale przecucie podniosło mu włoski na przedramionach. Wyprzedził go czarny samochód. Zwolnił, wjechał przed nim dwoma kołami na chodnik. Bastian się zatrzymał.

Z obu stron czarnego wiekowego bmw otworzyły się drzwi. Na chodniku pojawił się siwy mężczyzna w lotniczych okularach przeciwsłonecznych i czarnej koszulce polo. Jego bliźniacza kopia w białym polo wysiadła od strony kierowcy, opierając o dach dłoń z papierosem.

– Panie redaktorze – odezwał się Babiarski w czarnym polo. – Pan wsiada, podrzucimy pana.

Pierwsza myśl – uciekać, wreszcie znalazłaby się motywacja do biegania. A jeśli mają broń? Odstrzelą go na ulicy? Wsiadać? Wywiozą go gdzieś. I – przeszło mu przez myśl – upozorują wypadek.

– Dziękuję. Wszedłem pobiegać, a w aucie biega się znacznie trudniej – rzucił dziennikarz. – Jeśli panowie mają mi coś do powiedzenia, chętnie posłucham. Tutaj.

Mężczyzna zacisnął usta.

– Chyba nie mieli my okazji się poznać – powiedział. – Jestem Damian Babiarski, to jest mój brat, Kosma.

Ten w białym nieznacznie skinął mu głową.

– Domyśliłem się – odparł Bastian. Gdyby ich matka miała

córki, dałaby im imiona Perpetua i Feliccyta.

– Pan się nami interesował – wycedził Damian Babiarski.

– Taka praca – powiedział dziennikarz, starając się ignorować pełznącą mu po plecach stróżkę potu.

– Może pan redaktor jednak się z nami przejedzie? Porozmawiamy. Warto rozmawiać. – Babiarski zachęcającym gestem wskazał otwarte drzwiczki.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Panie redaktorze. – Damian Babiarski odetchnął. – Pan się będziesz śmiał, ale my naprawdę tędy przejeżdżali przypadkiem i jak żeśmy pana zobaczyli, tośmy pomyśleli, że jest okazja, żeby porozmawiać. Ale żeś się pan widać nasłuchiwał o nas nie wiadomo czego.

– Powodzi się nam, to i ludzie na nas gadają – mruknął Kosma Babiarski.

– W każdym razie – Damian podrapał się po szerokim karku – chciałem, żebyś pan wiedział, że my naprawdę nie mieli ze śmiercią Władka nic wspólnego. Skrewił sprawę, mniejsza, o co poszło, ale wtedy my mu dług po starej znajomości rozłożyli maksymalnie, miał tylko raz na rok spłacać ratę. Żeby jego rodzina nie ucierpiała.

Dziennikarz przyglądał mu się uważnie.

– Dlaczego żeście mu dali takie fory?

Damian Babiarski nie odpowiedział od razu.

– Bo o nim ludzie też źle gadali. Tak jak o nas – odparł wreszcie.

– Co ludzie gadali o Wężyku? – Bastian przeszedł w tryb operacyjny. – Co do niego mieli?

– Kto tam ludzi zrozumie. – Babiarski machnął ręką. – O co

chodziło, to chyba nikt nie pamięta. Ciągnęło się za nim, że jego rodzina jest jakaś lewa. Jak my byli w szkole, to się za nimi wołało – zająknął się, jakby się zawstydził – „Wężyki-sprzedawczyki”. Na jego ojca ludzie gadali, a wcześniej na dziada. A powiedz pan, można syna winić za grzechy ojców i dziadów? Można?

– Jezu! Maciuś! Jezu!

Wężykowa wyła. Gdy szczęknęła zasuwka w drzwiach, Kaługa naparł na klamkę, odpychając kobietę w szlafroku. Policjant przyparł ją do ściany, podsuwając jej pod nos blachę. Zaczęła krzyczeć. Wielicki wszedł za nimi z myślą, że Mariusz powinien być poczekać, aż kobieta weźmie leki.

Nie rozumiał, co tu jest grane.

Na piętrze się zakotłowało. Wielicki z dłonią na kaburze wskoczył na schody. Nie zdążyli przygwoździć Macieja Wężyka w łóżku. Obudzony krzykiem matki chłopak w samych slipach wyszedł na korytarz. Zobaczywszy policjantów, skoczył w głąb domu. Kaługa runął na niego całym ciężarem, przydusił do wykładziny, wykręcając mu chude jak patyk ramię. Młody Wężyk wrzasnął. Skuli go.

– Nie! – ryczał. – Zostawcie mnie! Mamo!

Wielicki przylgnął do ściany, gdy go mijali, sprowadzając chłopaka po schodach.

– Puście! Musicie! Pomocy! – wykrzyczał mu Wężyk prosto w twarz. – Pomocy!

Bella wyszła na podwórze w pasiastej piżamie New York Yankees i japonkach. Dłońmi obejmowała kubek rozpuszczalnego kakao. Zobaczyła Bastiana, jak siedział na

kawałku osmolonej podmurówki z pustaków, pośrodku częściowo uprzątniętych zgliszcz. Przed sobą miał pokryte warstwą sadzy klepisko. Obok leżały cztery obalone wczoraj przez robotników szerniałe filary stodoły. Nieopodal ułożono to, co ocalało z pożaru: ostrze kosi, dwoje wideł, żelazne koło od sieczkarni. Pył wirował w porannym świetle, poruszone płatki sadzy spływały na trawę, na klepisko i na Bastiana. Jego adidas i dresowe spodnie były brudne. Opierał ręce o kolana i patrzył na swoje uwalane sadzą dłonie.

Różowe japonki zatrzymały się tuż przed linią spaleniżny. Uśmiechnęła się z dołeczkami, mrużąc oczy.

– Cześć, brat. Co robisz? – zapytała.

Wyprostował się.

– Poszedłem pobiegać, ale się wróciłem, nieważne, stanąłem tu – zaczął nieskładnie. – I pomyślałem, że poszukam. Że ogień mógł coś odsłonić. Klapę pod sąsiekiem. Piwnicę. Podwójną ściankę w chlewiku. Rozumiesz, że może jednak...

– Nie rozumiem.

– Że może ten pierścionek ktoś im dał z wdzięczności. Albo chociaż nim zapłacił. Jakby tu była jakaś kłapa, skrytka albo piwnica...

– Z jakiej wdzięczności? Za co zapłacił? – Bezradnie podniosła rękę.

– Za ukrywanie. – Bastian przetarł dłonią twarz, rozmazując sadzę na policzku. – Że może on jednak ukrywał. A nie że, wiesz...

Zgarbił się.

– A nie że zabił. – Zamilkł i słychać było tylko szpaki w sadzie. – Ale tam nic nie ma, Bella. Niczego nie znalazłem.

Różowe japonki ostrożnie przestąpiły linię spaleniżny. Niskie,

poranne słońce kładło na zgliszczach kanciaste cienie.

– Można winić dzieci za grzechy ojców i dziadków? – spytał głucho.

– Nie wiem. Raczej nie. Chyba. Może. Zależy. Nie znam się na tym – odpowiedziała. – Ale między „ukrywał” a „zabił” jest jeszcze...

– ...patrzył? A jeśli nie zrobił nic, to znaczy, że nic nie zrobił?

– Bastian, ja jestem bankowcem, a nie historykiem czy psychologiem.

– Ja się czuję winny, Bella. Za co? – Pociągnął nosem. – Dlaczego?

Podąła mu kubek. Dotknęła jego ramienia.

– Nie wiem. Wiem tylko, że w finansach jest tak, że dziedziczy się nie tylko majątek. Długi też.

Na dole pozwolili mu włożyć dresowe spodnie, koszulkę i buty, zarzucili mu kurtkę na głowę. Zaciągnęli do vana. Zgarbioną, pokraczną figurę obutą w rozczłapane adidasów doprowadzili wzrokiem zbudzeni zamieszaniami sąsiedzi.

Co to za szopka? – myślał Wielicki, wspominając wszystkie swoje zatrzymania. Nigdy nie widział takiej ekipy na jednego chudego gówniarza.

Policjanci weszli do dusznego pokoju młodego Wężyka. Na podłogę poleciała zawartość szuflad, wybebeszyli szafki. Na półce stały Pismo Święte, albumy i przewodniki po Tatrach, Pieninach i Bieszczadach. Obok zdychający, przykurzony kaktus. Na ścianach tylko pamiątka Pierwszej Komunii Świętej nad drzwiami. Pokój był tak samo ponury i bez wyrazu, jak jego mieszkanie.

– Mariusz, patrz – powiedział policjant w bluzie. Dłońmi

w lateksowych rękawiczkach wywlekał na lewą stronę kieszeń znoszonych dżinsów. Ziała w niej dziura. Kolor podszewki był taki sam jak barwa strzępu znalezionej pod bożnicą.

– Do labu do Krakowa, niech zbadają włókna i potwierdzą, że to gacie z tej samej chudej dupy zdjęte. – Podkomisarz promieniał.

Sprawdziwszy szafki, podnieśli tapczan. W głębi leżał zwinięty czarny foliowy worek na śmieci. Kaługa zajrzał pierwszy. W środku były dwie puszkę czerwonej farby w sprayu, jedna napoczęta.

– I co, Jacek? – Kaługa trzepnął w ramię Wielickiego.

– Mariusz, te dowody wskazują na syna ofiary zabójstwa. A to znaczy, że...

Podkomisarz spowaźniał.

– ...że te sprawy się łączą – dokończył. – Mówiłem Franczy, że się łączą, co nie? – rzucił. – Teraz niech se pisze swoje prokuratorskie pisma, a ja będę robił swoje.

Wielicki wyszedł za nim przed budynek i odetchnął. Panujący wewnątrz zaduch zaczynał go mdlić. Zapalił i patrzył na Kaługę, który wciąż uśmiechał się triumfująco.

– A nie mówiłem, że się wam przydam. – Podkomisarz się przeciągnął, z kciukami zawieszonymi na pasku, jakby się kłaniał publiczności, która wisiała na płotach na Oleśnickiej. – Zobacz, jakie społeczeństwo zadowolone.

Judyta Franz ścisnęła nasadę nosa. Obudził ją telefon od Wielickiego, który donosił o akcji na Oleśnickiej. Natychmiast wstała, ubrała się i pojechała na Wyszyńskiego, kiedy tylko była pewna, że ją wpuszczą.

Wczoraj kładła się spać z poczuciem, że jutro będzie miała coś

nowego. Nie spodziewała się, że nowości wydarzy się aż tyle.

Maciej Wężyk. Nie zdziwiło ją, że to on okazał się autorem napisów. Tylko dlaczego to zrobił? Pewnie już go o to pytają. Żałowała, że to nie ona prowadzi tę sprawę. Zakwalifikowaną zresztą jako zniszczenie mienia, a nie mowa nienawiści – dla uproszczenia procedur. Po przesłuchaniu młodego Wężyka, w zależności od jego wyniku, należałoby włączyć sprawę napisów do jej śledztwa. Dlatego poleciła Wielickiemu, żeby był przy tym przesłuchaniu.

Karuzelę myśli przerwało przyjście tych dwojga. Dziennikarz aż podrygiwał z podniecenia, rudowłosa doktorka przycupnęła na krawędzi krzesła.

– Słucham – powiedziała prokuratorka.

– Chcę mieć pewność. – Sebastian Strzygoń zmrużył oczy.

– Ach, nie wierzy mi pan – westchnęła Franz i wzięła w dłoń smartfona. Napisała SMS-a i minutę później drzwi się uchyliły. Pojawiło się w nich wąsate oblicze.

– Judytko, prosiłaś. – Prokurator Kogut podał jej teczkę. – Zostawiam na chwilkę.

– Dzięki, Zdzisiu. – Franz zatrzepotała rzęsami. – Kochany jesteś!

Drzwi się zamknęły i promienny uśmiech zniknął z twarzy prokuratorki, która przybrała swój naturalny, zasadniczy wyraz. Teczka spoczęła na biurku, dziennikarz obrzucił ją tęsknym spojrzeniem. Judyta Franz położyła dłoń na szarej tekturze i postukała karminowym paznokciem.

– No to proszę zaczynać.

Dorota Seweryn schowała się z telefonem za węglem domu. Jej uszu dobiegały radosne dziecięce piski i śmiech męża.

Potrzebowała piętnastu minut, żeby zadzwonić do kilku koleżanek ze szkoły. Siliła się, żeby jej głos brzmiał naturalnie i wesoło, ale wcale nie było jej do śmiechu. Nie miała czasu na wspominki. Chciała załatwić sprawę. Wreszcie się opłaciło.

Wybrała numer i ścisnęła mocniej telefon. Ciekawe, czy odbierze. Bo dziennikarz nie odebrał.

Pamiętała go ze szkoły, chodzili do tej samej podstawówki, potem do gimnazjum. Nie przyjaźnili się, chociaż raz tańczyła z nim na szkolnej dyskotecie wolny kawałek Edyty Bartosiewicz. Zgasło światło i nastoletnie pary zaczęły się całować. Nie oni. Piosenka się skończyła, on podziękował. Podobał jej się wtedy i jakby tylko chciał się z nią całować, to nie miałyby nic przeciwko temu.

– Cześć, Krystian, nie wiem, czy mnie pamiętasz – zaczęła. – Dorota Seweryn. Tak, dokładnie, to ja, no właśnie, kopę lat. Wiesz, dzwonię w sprawie Maćka Wężyka.

Głos po drugiej stronie nagle ochłódł.

– Wiem, że nie możesz mi nic powiedzieć, ale rozmawiałam z jego matką, opowiedziała mi, co się wydarzyło.

Dorota kucnęła, przytuliwszy plecy do elewacji.

– Chciałam ci powiedzieć, że Maciek nie jest złym człowiekiem. On jest tylko bardzo nieszczęśliwy. I zagubiony. I jeśli zrobił coś ojcu, to musiało być z desperacji – Słowa nie słuchały się jej. – Boję się o niego. Że on się załamie, pęknie. I że sobie robi krzywdę. Powiedz, że go dobrze pilnujecie!

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Nie możesz rozmawiać, rozumiem.

Wielicki stał pod ścianą po prawej od drzwi, z rękami wciśniętymi w kieszenie, i w milczeniu obserwował krążącego

wokół stolika Kaługę. Po lewej stronie w identycznej pozie stał Papa i też patrzył na szefa. Na krześle siedział Maciej Wężyk, pocierając czoło, na którym wyrastał czerwony guz. Kiedy pakowali go do radiowozu, nie asekurowali mu głowy i przydzwonił czołem w dach.

Nie patrzył nikomu w oczy, tylko co jakiś czas spod opadających na twarz włosów rzucał spłoszone spojrzenia po pomieszczeniu.

Kaługa krążył wokół Wężyka jak młody bokser wokół worka. Odślaniał zęby, napinał ramiona. Górował nad skulonym chłopakiem, który drżał na całym ciele i ukradkiem wodził wzrokiem za Kaługą, jak schwywane we wnyki zwierzę śledzi nadejście myśliwego.

– Ty żeś nasmarował te napisy? – warknął podkomisarz. – Co ja się głupio pytam, oczywiście, że ty. – Nie dał Wężykowi dojść do słowa. – Mamy twoje podarte gacie, farbę i nagrania z monitoringu. Powiedz teraz, po coś to zrobił.

Maciej Wężyk poderwał głowę, milcząco poszukał wsparcia u Wielickiego, który zachował kamienną twarz. Spojrzenie młodego Wężyka przeniosło się na Papę, który nawet nie drgnął.

– Pytam o coś. – Kaługa podniósł głos.

– Nie twoja sprawa – pisnął Wężyk.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji – burknął Kaługa. – Bo jak nie zrobisz, o co prosimy, to pożałujesz.

Wielicki uśmiechnął się do siebie. Jakby za bazgranie po ścianach groziła nie grzywna, ale galery albo piętnaście lat w kamieniołomie. Te prowincjonalne krawężniki naoglądały się za dużo filmów Patryka Vegi, pomyślał. Wreszcie miały okazję pobawić się w duże misie, pokrzyczeć na kogoś, poszturczyć. Co z tego, że siedział przed nimi chuderlawy chłopina z puszką farby

w sprayu, a nie gangster trzęsący połową Warszawy.

Ale Wielicki się nie wtrącał. Już raz Kaługa miał rację, więc może wie, co robi. A może po prostu bardzo chce zabłysnąć?

Chłopak milczał. Wielicki poczuł wibracje w kieszeni i wyjął telefon. SMS od Bąka. Przespał akcję i teraz ma pretensje, że nic nie wie.

– Leć, Jacek – rzucił Kaługa. – Damy sobie radę.

– Spoko, poczekam. – Wielicki schował telefon i założył ręce na piersi.

Kaługa odwrócił się, niezadowolony. Pewnie jeszcze miał ochotę chłopakowi przyłożyć.

– Po prostu chcemy zrozumieć – powtórzył. – Wytlumaczysz i wrócisz do mamusi, która pewnie odchodzi od zmysłów. Na twoim miejscu – oparł się kłykciami o stół – bym się o nią martwił.

Węzyk na moment jakby się w sobie zapadł. Wciągnął powietrze, oddychał chrapliwie. Potem poprawił się na krześle. Podniósł głowę, oczy zalśniły mu niezdrowym blaskiem. Wielicki pierwszy raz zobaczył w nich coś niebezpiecznego.

– Mój ojciec był skurwysynem, który miał więcej serca dla jakichś starych ruin niż dla własnej rodziny. Był żalonym pijakiem, a i tak się go bałem – syczał. – Furiatem, co ściągał czapkę przed Babiarskimi, a w domu darł się na wszystkich. Tchórzem, co za swoje porażki wyzywał się na... – Urwał. – Pieprzonym żydofilem, który zawsze musiał iść nie tam, gdzie wszyscy. A ja? Ja też jestem tchórzem. Więc jak już nie mógł mi nic zrobić, wyzyłem się na jego grobie i na tej jego bożnicy. Zadowolony? Mogę iść do domu?

Wszyscy trzech policjanci zastygli z niedomkniętymi ustami.

– Czekaj. – Wielicki oderwał plecy od ściany.

Kaługa rzucił mu złe spojrzenie. Wielicki uśmiechnął się do niego uśmiechem mówiącym: „Oddaj zabawki starszemu koledze”. Nachylił się do Wężyka.

– Jeszcze ja będę miał parę pytań.

Bastian spoglądał tęsknie na teczkę, gdy Judyta Franz w milczeniu obracała w palcach długopis.

– No tak. Knajpa – powiedziała, wysłuchawszy opowieści o oponach Bosmana i o prowokacji z Gertem w roli głównej. – Można było się tego domyślić. Dokąd mógł pójść pijak, żeby obejrzyć ważny mecz swojej ukochanej Wisły Kraków z Wisłą Płock, tak żeby potem w kostnicy cuchnąć alkoholem na kilometr?

Dziennikarz drgnął, iskra przeskoczyła mu pod czaszką, ale zaraz uciekła. Teczka kusiała, chrzęściła obiecująco pod czerwonymi paznokciami Judyty Franz.

– Władysław Wężyk przed śmiercią pił U Bosmana – kontynuowała prokuratorka. – Jego zwłoki zostają rozjechane ciężkim autem, żeby upozorować wypadek. A Bosman niedługo później zmienia opony w swoim dostawczaku. Po co? Boi się, że zostały na nich ślady biologiczne?

Napisała SMS-y do Bąka i Wielickiego. Auto trzeba natychmiast zabezpieczyć.

– Ale w barze – mówiła dalej – nikt go nie widział. Jakim cudem? Przecież do tej speluny chodzi pół miasteczka, nawet Bąk z Wielickim.

– I ja też – dodał Bastian. – Chociaż to knajpa dla lokalsów. Brudne stoliki, chrzczone piwo i zatkany kibel.

Anka nagle wyprostowała się i przyłożyła palec do ust.

– Właśnie wypowiedziałeś słowo klucz – zaczęła.

– Kibel? – zdziwił się Bastian.

Judyta Franz przeniosła na nią swoje spojrzenie jaszczurki, a Anka się zaróżowiła.

– Knajpa dla lokalsów. – W głosie Anki wykładowy ton walczył z ekscytacją. – Wychodzi na to, że mógł zostać pobity U Bosmana. Co się tam dokładnie wydarzyło, nie wiemy. Wiemy jedno. – Dźgnęła palcem powietrze. – Na pewno byli tam wtedy ludzie. Bar jest otwarty do późna i zawsze ktoś w nim siedzi, a jak mówi pani prokurator, wtedy był jeszcze ważny mecz. Ci wszyscy, którzy tam byli, musieli go widzieć. Dlaczego kłamią, że go nie było?

Zapadła wyczekująca cisza.

– Bo wiedzą, co się tam stało – odpowiedziała sama sobie i opadła na oparcie krzesła.

– Wiedzą – podchwyciła Judyta Franz – I nic nie mówią.

– Bo się boją – powiedziała Anka. – Ktoś ich zastrasza albo nie chcą się narazić komuś potężnemu. Może uważają, że dobrze się stało, że Wężyk zginął, kibicowali sprawcom, jak w linczu. Chociaż społecznie i psychologicznie to mało prawdopodobne, żeby nikt nie czuł choćby dyskomfortu, patrząc na czyjąś śmierć. A może to rodzaj wynaturzonej lojalności ze sprawcami? Bo to kumple od kieliszka, lokalsi, przyjaciele, sąsiedzi. A Wężyk to był nielubiany wyrzutek. Jest takie zjawisko, szeroko opisane w naukach społecznych...

– Tak, wiem, Zrębin niedaleko, a Szczucin jeszcze bliżej – przerwała jej prokuratorka. W nieruchomej twarzy Franz nic się nie zmieniło, ale jej oczy rozbliły, jakby udzielił jej się entuzjizm Anki. – Zmowa milczenia.

W ciszy, która zawisła w gabinecie, nawet teczka z ekspertyzą na chwilę przestała wołać Bastiana, śpiewać mu swoją syrenią

pieśń prosto do ucha.

– A Maciej Wężyk? – podjęła Franz. – Którego notabene dzisiaj zatrzymał Kaługa. Są dowody, że to on namalował graffiti na synagodze i grobie ojca.

Anka i Bastian popatrzyli po sobie. Dziennikarz poczuł kolejną iskrę pod czaszką. Brał to już pod uwagę, ale odrzucił jako absurdalne. Po co Maciek miałby to robić?

– Maciej Wężyk, który odkrył pieniądze ojca, przygotowane na spłatę ostatniej transzy długu – powiedział.

– I który kłamał, kiedy pytaliśmy go, o której był w domu – dodała prokuratorka. – Jego telefon logował się w centrum Dąbrowy prawie do pierwszej w nocy. Maciej Wężyk mówił, że zajrzał wtedy do Bosmana, ale ojca tam nie zastał. Też kłamał?

– To możliwe. – Anka kiwnęła głową. Ona też intensywnie analizowała nową informację. – Więc albo to wszystko ma jeszcze jakieś trzecie dno – ciągnęła, nawijając pukiel rudych włosów na palec – albo młody Wężyk też jest w zмовie. I jest albo jej osi, albo najsłabszym ogniwem.

Bastian lubił obserwować Ankę w tym stanie, kiedy świat stawał przed nią jak skomplikowane równanie, które właśnie zaczynała rozwiązywać. Wyciągnąć niewiadomą przed nawias, odjąć to, co nieistotne, skrócić ułamki, sprowadzić do wspólnego mianownika. I nagle w chaosie symboli i działań pojawiała się metoda. Wyobrażał ją sobie wtedy z kredą skrzypiącą po zielonej tablicy. Ale nie dzisiaj.

– To może panie porozmawiają sobie o Wężyku. – Wyciągnął rękę przed siebie. – A ja zajrzę...

Judyta Franz czerwonym paznokciem przesunęła teczkę na skraj biurka. Puściła.

– Wiemy, że tamtej nocy nie wróciłeś do domu. O dwudziestej drugiej nie było cię w łóżku. Zaprzeczają temu dane z BTS-ów i dwa pijaczki spod Frykasa, które widziały cię, jak łąziłeś po mieście, kiedy zamykali sklep. A wodopój zamykają o północy – mówił cicho, ale stanowczo Wielicki. Nie chciał się na niego drzeć. – Gdzie byłeś? Dlaczego nie powiedziałaś nam prawdy?

Maciej Wężyk znowu zaczął pocierać czoło. Wielicki go nie poganiał. Przeczuwał, że chłopak może się zaciąć. Telefon zawibrował mu w kieszeni. Przeczytał SMS-a, przełknął ślinę. Wbił w Wężyka wyczekujące spojrzenie.

– Gdzie byłem? – powtórzył chłopak. – Nie pamiętam. Matka kazała mi go szukać, to chodziłem po mieście. Nawet niespecjalnie szukałem, tylko tak mnie nogi niosły. Nie chciało mi się wracać do domu. Trochę rozumiałem ojca, że też tak łąził, że nie mógł tam wytrzymać.

Zamilkł.

– Matka mi głowę suszyła – ciągnął – żeby tylko przed dziesiątą wrócił, jakbym był jakimś szczyłem licealistą, a mnie nie chciało się z nią dyskutować, to jej rano powiedziałem, że byłem w łóżku o dwudziestej drugiej. Ona już spała, jak przyszedłem. A potem jak policja pytała, to pomyślałem, że lepiej nie mieć kłopotów, w końcu mnie na tym mieście nikt nie widział, a matka wierzyła, że byłem w domu.

– A dlaczego sądziłeś, że mógłbyś mieć kłopoty? – pytał dalej Wielicki.

– Bo... – Wężyk się zamyślił.

Wielicki zastygł w oczekiwaniu, Kaługa za jego plecami również. Papa dalej stał przy drzwiach. Skrzypiało krzesło pod Maćkiem.

– Bo przecież wszyscy wiedzieli, że my tośmy się nie

kochali – dokończył zmęczonym głosem.

– A U Bosmana długo wtedy byłeś? – zapytał Wielicki.

– Nie wiem, parę minut.

– I dużo było ludzi?

– Trochę było, jak zwykle, może trochę więcej.

– Kto?

– A to nie wiem dokładnie, ja tam ich nie znam, ci, co zwykle chyba.

– I co było dalej? – włączył się głośno Kaługa. – Gdzie dalej żeś poszedł?

– Na Rynek, potem na cmentarz żydowski, potem do Tesco, potem pod szpital.

– Czekaj, powoli – przerwał mu podkomisarz, zapisując, co Wężyk mówi, w notesie. – Sprawdzimy wszystko po kolei. Która była godzina?

– Nie pamiętam, człowieku! Dajcie mi spokój. – Maciej Wężyk ukrył twarz w dłoniach i zaczął się kiwać na krześle. W jego głosie, który zaczynał osuwać się w dyszkant, pobrzmiwała histeria. – Powiedziałem, co chcieliście, mogę iść do domu? Mogę?

– Proszę pani, ja naprawdę nie mogę nic dla pani zrobić – powtórzył dyżurny policjant.

Na początku był uprzejmy, potem zatroskany, teraz zaczynał się irytować. Dorota Seweryn wyszła przed komendę i usiadła na schodkach. Próbowwała znowu dzwonić do Krystiana Papy, ale ten odrzucał jej połączenia. Podparła głowę dłońmi i patrzyła na mijających ją ludzi, spieszących ruchliwym chodnikiem. Co ją tu przygnało? Co ona tu robi?

Przecież od lat już prawie nie rozmawiała z Maćkiem. Mijali się na ulicy, a ona za każdym razem czuła się od niego coraz bardziej odległa. Im lepiej powodziło się jej, tym bardziej wydawał jej się zgarbiony, zaniedbany i – żaloszny. Tym bardziej od niego stroniła, tym szybciej o nim zapomniała.

Lubiła swoje życie. Dom ze ścianami pomalowanymi na wesołe kolory, rozbrzmiewający śmiechem dziecka i pachnący plackiem z jabłkami. Pracę nauczycielki i oprowadzanie wycieczek po żydowskiej Dąbrowie. Rodzinę – pięcioletniego małego księcia, przystojnego męża, wspierających rodziców i nawet zrędną babcię. Lubiła swoich przyjaciół, z którymi jeździli na wakacje do Chorwacji i urządzali sylwestry i kinderbale. Lubiła swoje miasto. I tylko kiedy spotykała Maćka Wężyka, w jej idealnym życiu nagle robiło się jej niewygodnie.

A przecież nie zawsze tak było. Pamiętała siebie, zbyt pulchną dziewczynkę z aparatem na zębach, zawstydzoną, że sepleni, uśmiechając się przeprasząco do innych dzieci, tych zwinniejszych, ładniejszych, bardziej wygadanych. I jego, smutnego, chudego chłopca w szarych swetrach z łatami na łokciach. Wtedy narodziła się między nimi nic porozumienia. Ale kiedy spotkali się znowu w liceum w tej samej klasie, ona była już kobieco, chociaż troszkę zbyt zaokrągloną nastolatką z szerokim uśmiechem i ze złotym warkoczem. Wyrastała z brzydkiego kaczątka w – musiała sama to przyznać – całkiem ładnego łabędzia. A on – wręcz przeciwnie.

Wyrósł i zrobił się tyczkowaty i niezgrabny. Rzadkie włosy opadały mu na pokryte trądzikiem czoło. Nie był już nieśmiały – stał się skryty, mrukliwy i gniewny. Dorota Seweryn całe swoje życie chciała czynić dobro, czuła się najlepiej, kiedy mogła chociaż na chwilę uczynić świat lepszym miejscem. Dlatego wzięła Maćka pod swoje skrzydła, wierzyła, że swoją przyjaźnią

może go naprawić. Kiedy kończyli szkołę, już nie była tego taka pewna.

Zaczynał jej ciążyć. Ona miała koleżanki, zaczynali się nią interesować chłopcy, uczyła się nieźle i miała szanse na dobre studia. Chciała się bawić, śmiać, chodzić na randki. Nie mogła wszędzie ciągać za sobą chmurnego i wiecznie obrażonego na cały świat Wężyka. I, co tu dużo mówić, wstydziła się go.

Na początku lawirowała. Jej przyjaciele nie mieli ochoty na towarzystwo „tej sieroty”, więc spotykała się z nim sama. Nie chciała, żeby zaczął sobie coś wyobrażać, więc w końcu zaczęła go unikać. Zaczynały ją męczyć jego depresyjne jazdy, nie miała odpowiedzi na jego dylematy, jego problemy były dla niej abstrakcyjne. Jak czarna dziura wyciągał z niej energię, odbierał codzienną radość, mieszał w głowie. Czowała – chociaż nie chciała się przed sobą do tego przyznać – że poniosła porażkę. Potem wyjechali z Dąbrowy, napisali do siebie jeszcze kilka listów. Na jeden nie odpisała, bo akurat miała sesję. I tak już zostało.

Dorota Seweryn lubiła swoje życie, uważała, że jest całkiem udane, a ona sama nie powinna mieć sobie niczego do zarzucenia. Oprócz jednego – porzuciła przyjaciela w potrzebie. To dlatego widok jego zgarbionych pleców gdzieś po drugiej stronie ulicy sprawiał, że odwracała wzrok. Jakby jego nieszczęście kładło się cieniem na jej domu ze ścianami pomalowanymi na wesołe kolory.

Sama nie wiedziała, po co tu przyszła i co zamierza zrobić. Ale jeśli jej się nie uda mu pomóc – to przynajmniej tu będzie, z nim, dla niego. Do końca. A potem wróci do domu, może odzyska spokój, pozbędzie się uwierającego jak kamyk w bucie poczucia winy i będzie mogła cieszyć się tym, co ma.

Dorota Seweryn całe życie chciała czynić dobro i właśnie nadarzała się ku temu okazja.

Leszek Bąk w towarzystwie młodego policjanta z Dąbrowy wszedł w mrok baru U Bosmana i zamrugał.

– Zamknięte jeszcze – mruknął barman i oparł się na mopie.

A więc ktoś tu jednak sprząta, przeszło przez myśl Bąkowi. Wnętrze knajpy w dzień i bez ludzi wyglądało jeszcze bardziej obskurnie. Krzesła pozakładane były nogami do góry na stołach, na środku stało wiadro z burą wodą i odrobiną piany. Drzwi na zaplecze były otwarte, zaklejone reklamami piwa okna uchylone. Wietrzyło się, ale woń papierosów i oleju do smażenia była nieusuwalna. Telewizor był wyłączony, wiatrak się nie kręcił. W uszach dzwoniła cisza.

– Luz, my służbowo. – Bąk podszedł do niego i podparł się pod boki.

Bosman się wyprostował. Oczy miał podkrążone, a nasadę nosa spuchniętą.

– Czego chcecie? – burknął.

Bąk się zmieszał. Jeszcze przedwczoraj po czterech piwach zwierzał się temu typowi ze swoich wątpliwości. Dziewczyna naciska na ślub, a on wcale nie jest pewien, czy to ta jedyna. Barman popatrzył na niego przekrwionymi oczami i zapytał: „To jak nie wiesz, to po cóżeś się oświadczał?”. Bąk nie brnął dalej, bo sam nie potrafił odpowiedzieć sobie na to pytanie.

– Sprawa wyszła – zaczął, drapiąc się po karku. – Rutynowo sprawdzamy wszystkie samochody, które po śmierci Wężyka przechodziły poważniejsze naprawy. Wychodzi nam, że musimy pożyczyć twojego dostawczaka.

– Coś musiało się wam popierdolić. – Bosman potrząsnął głową, ale Bąk zauważył, jak napiął mięśnie ramion. – Transita odstawiłem do naprawy tydzień temu, bo padł rozrusznik. Nie

wiem, co to ma wspólnego z Wężykiem.

– A opony? – dodał od niechcienia Bąk.

Bosman nie odpowiadał.

– No chyba że opony. – Kiwnął wreszcie głową. – Ale nie pamiętam, kiedy to było.

– Z naszych obliczeń wychodzi, że się załapałeś – wyszczerzył się Bąk. – Swoją drogą, po cholere zmieniałeś opony w sierpniu?

Twarz Bosmana była bez wyrazu. Nie pobladł, nie poczerwieniał, jego ziemista cera doskonale pasowała kolorem do wody w wiadrze.

– Miałem bicia na kierownicy, a potem się okazało, że jedna guma jest zwichrowana i skacze, to musiałem wymienić wszystkie – mruknął barman. – Ale i tak auto jest niesprawne, stoi u mechanika. Nic tu po was.

– Luz, laweta przyjedzie na koszt państwa – zaśmiał się znowu Bąk, obserwując barmana. – I jeszcze cię muszę zapytać, gdzie byłeś tej nocy, kiedy zginął Wężyk?

– Jak to gdzie? – naburmuszył się Bosman. – Tutaj. Zawsze tu jestem. Każdej nocy.

– Fakt. – Bąk pokiwał głową. – I serio nie było go tu wtedy? Wężyka?

– Nie. – Bosman przestąpił z nogi na nogę i zabełtał w wiadrze, zniecierpliwiony.

– Jesteś pewien? Przecież tu się przewija kupa luda.

– On zawsze wszystkich wkurwiał, więc na pewno ktoś by zapamiętał. A przecież młody Wężyk też mówił, że zaglądał, ale starego tu nie było.

Bąk nadstawił ucha. Skąd on wie, co powiedział policji Maciej Wężyk? Uzgodnili zeznania?

Rzucił ukradkiem spojrzenie drugiemu policjantowi, który przyglądał się kurzącym się nad barem butelkom.

– O, to on tu przychodzi? Nigdy go tu nie widziałem – zdziwił się Bąk.

– Nie, nie przychodzi. – Bosman przejechał mopem po podłodze tuż przed stopami policjantów. – Coś jeszcze? Bo muszę posprzątać.

Bąk nie skomentował, co to da. Za to z tylnej kieszeni džinsów wyjął notes.

– Weź nam jeszcze powiedz, kto tu wtedy siedział, żeby potwierdził to, co powiedziałaś.

Bosman wyprostował się i zacisnął dłonie na kiju od mopa.

– Stary, myślisz, że ja ewidencję prowadzę? – Wykrzywił wargi. – Siedziały te pijaki, co zwykle, do tego zbieranina z całego miasta, bo mecz leciał, a u mnie jest Eurosport. Skąd ja ci wezmę teraz, kto konkretnie? Poza tym, jakby w piątek U Bosmana było nieczynne albo jakby U Bosmana nie było Bosmana, to byłby taki skandal, że miejscowe gazety by o tym pisały.

– Wiem – westchnął Bąk. – Ale weź, chociaż parę nazwisk.

Gdy wyszli, Bosman jeszcze przez parę minut pedantycznie mył podłogę. Gdy ucichły ich kroki, wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer.

– Romek, przyjdą do ciebie – powiedział. – Sorry, musiałem im kogoś wystawić. Ty będziesz wiedział, co masz mówić.

Prokurator Judyta Franz rzuciła kontrolne spojrzenie przez uchylone drzwi. Dziennikarz czytał w milczeniu, fotografując każdą stronę. Doktorka zaglądała mu przez ramię.

– Pani prokurator, to wszystko odbyło się w mgnieniu oka –

wiła się asesorka. – Pan komisarz Kaługa dokonał przełomu i uzasadniał, że musimy działać szybko i odizolować Macieja Wężyka, bo zachodzi obawa matactwa. Dlaczego w taki sposób zatrzymany? Przecież sama pani mówiła, że chociaż ta sprawa oficjalnie nie łączy się ze sprawą śmierci Wężyka, to jednak istnieje powiązanie. A pan komisarz Kaługa podkreślał, że te sprawy się wiążą i że już w przypadku zabójstwa przedsięwzięte środki byłyby adekwatne.

– To ja będę decydować, co się wiąże, a co nie, ze sprawą śmierci Wężyka. – Judyta Franz wyduła wargi. – A nie pan komisarz Kaługa. I jakie środki są adekwatne.

– Ale nie może pani zaprzeczyć, że jednak miał rację – broniła się asesorka.

Franz odprawiła ją gestem i została sama na ciasnym korytarzu. Odebrała telefon od Bąka, który streścił jej rozpytanie Bosmana. Wszystko nagle zaczęło się zgadzać.

Zmowa.

Była przekonana, że gdzieś tam właśnie ruszyła lawina.

– Przepraszam, że kazałam państwu czekać – powiedziała, na powrót sadowiąc się w obrotowym fotelu.

Dziennikarz był duchem nieobecny. Tylko skinął głową znad papierów. Anna Serafin wbiła w nią wyczekujące spojrzenie.

– To co teraz, pani prokurator? – zapytała.

– Trzeba przełamać znowę. – Judyta Franz postukiwała paznokciami w blat stołu.

– Jeśli mogę. – Anka powiodła dłońmi po udach, jakby chciała wygładzić spódnicę, ale miała na sobie dzinsy. – W sytuacjach znowy milczenia można obserwować podręcznikowe przejawy działania podstawowych mechanizmów społeczno-psychologicznych. Maćka Wężyka trzeba odizolować. Żeby

odciąć go od wywierającej nacisk grupy, osłabić siłę uzgodnień, przywrócić prawidłowy kontekst aksjonormatywny. Ofiara była jego ojcem, więc musi on odczuwać silne emocje, dużo silniejsze niż pozostali. W emocjach o wiele trudniej utrzymać pozory. I dla jego własnego bezpieczeństwa również.

– Maciej Wężyk przebywa obecnie na policyjnym dołku w Dąbrowie – mruknęła prokuratorka. – Ale nie możemy trzymać go wiecznie.

– Tylko że tam też nic wam nie powie. Ciągłe jest wśród swoich.

Mogłabym spróbować załatwić przeniesienie go do aresztu śledczego w Tarnowie, pomyślała Franz.

– Zmowa jest skuteczna, póki nie zaczną na niej powstawać rysy – kontynuowała Anka. – Póki nikt nie pyta, póty wszyscy siedzą cicho. Ale jest statystycznie niemożliwe, żeby ktoś się wreszcie nie wyłamał. Trzeba im tylko dać dobry powód.

Judyta Franz słuchała jej z uwagą. Mówiąc „trzeba przełamać znowę”, miała na myśli organy ścigania i wymiar sprawiedliwości. Zamierzała doktorce przerwać i odesłać tych dwoje z powrotem na ich miejsce. Zrobili już, co do nich należało.

Ale rudowłosa kobieta mówiła do rzeczy.

– Takie układy raczej nie pękają w centrum, tam gdzie wszystkim bardzo zależy na ukryciu prawdy. Na pewno pierwsi nie złamią się ci, którzy mają krew na rękach. Trzeba poszukać na peryferiach. Wśród tych, co wiedzieli, widzieli, słyszeli. Oni nie spalili za sobą mostów, nie mają aż tyle do stracenia. Mogą mieć poczucie winy, wyrzuty sumienia. Nie chcą iść na dno razem ze sprawcami.

– Trzeba im tylko dać dobry powód – powtórzyła Franz.

– Oni też ryzykują. – Anka gestykulowała. – Kalkulują powagę konsekwencji i ryzyko, czyli prawdopodobieństwo wpadki. Trzeba ich przekonać, że to ryzyko się nie opłaca. Przelicytować sprawców.

– A co z Babiarskimi? – Dziennikarz podniósł głowę znad papierów. – Już nie są podejrzani?

– Nie są już od pewnego czasu – odparła prokuratorka.

Strzygoń się wyprostował.

– Dlaczego?

– Nie wiecie tego państwo ode mnie, ale w toku działań operacyjnych ustaliliśmy, że nie mieli ze śmiercią Wężyka nic wspólnego.

– Czyli? – zapytała Anka.

– W toku działań operacyjnych – powtórzyła dobitnie Judyta Franz – poznaliśmy treść ich rozmowy, w której zastanawiają się, kto mógł Władka stuknąć, jak zechcieli to sformułować. I w sobie właściwym języku wyrazili żal z powodu jego śmierci. Ale jest to wiedza operacyjna, której nie możecie państwo ujawniać pod rygorem konsekwencji karnych – zakończyła surowo.

Dziennikarz znów pochylił się nad teczką.

– Cokolwiek pani prokurator teraz będzie chciała zrobić – Anka wróciła do tematu – proszę nie angażować w to miejscowych. Zawsze coś wypłynie, nawet przez przypadek. Teraz musi być pani bardzo ostrożna.

– Mam nie ufać nikomu? – Prokuratorka uśmiechnęła się z przekąsem. Musi zabrać młodego Wężyka jak najszybciej z Dąbrowy. – Niech pani będzie spokojna, nie ufam.

*

Bąk ruchem głowy odprawił dąbrowskiego policjanta, a ten włożył dłonie w kieszenie i zaszył się między blaszakami w takim miejscu, żeby mieć dobry widok na otoczenie knajpy. Drugi policjant siedział w nieoznakowanym aucie na parkingu supersamu. Barman miał od tej pory założoną obserwację 24/7. Franz postawiła sprawę konkretnie: w nowym planie śledztwa Bosman awansował właśnie do roli osoby podejrzanej. Prokuratorka zaczynała się Bąkowi podobać: miała tę rzadką cechę, że nie żałowała na środki operacyjne. Uruchomiła maszynę, a sama pewnie zaszyje się ze swoimi kolorowymi długopisami i będzie analizować powiązania między Bosmanem a młodym Wężykiem, którego miał na oku Wielicki.

Zawibrowała komórka Bąka. Odebrał. Technika operacyjna siedziała już na billingach Bosmana i Bąk właśnie dostał informację, że barman przed chwilą zadzwonił. Do człowieka, którego nazwisko podał mu w czasie rozpytania. Zrobił dokładnie to, na co liczyli. Coś w zatęchłym powietrzu knajpy drgnęło.

Policjant ruszył energicznie do szarego mondeo. Wybrał po drodze numer.

– Cześć, Mopie, jak tam? – rzucił.

Technik z komendy wojewódzkiej odsłonił ucho spod białego czepka spowijającego mu dredy.

– Pan mechanik się tu zdziwił. – Popatrzył na zbaraniałego właściciela serwisu, Bogdana Wójcika, któremu na posesję wjechały przed chwilą radiowóz na bombach, srebrna furgonetka z przenośnym labem kryminalistycznym i laweta. – Potwierdził, że ma auto twojego człowieka i niedawno zmieniał mu opony. Nie, stare opony zabrał tamten. Ale obejrzymy sobie jeszcze to auto na miejscu, zanim je zabierzemy. Na wszelki wypadek, żeby nam coś po drodze nie odfrunęło.

Bogdan z mętlikiem w głowie przyglądał się pracy techników, jak rozkładają płachtę pod białym dostawczakiem z wymalowaną na boku kotwicą. Jak wsuwają się w białych ochronnych uniformach pod podwozie.

– Mopie, chodź no! – zawołał jeden z nich spod auta. Czesław zwany Mopem pochylił się i podtrzymując chroniący fryzurę czepek, usadowił się pod samochodem, po przeciwnej stronie prawego przedniego koła. I aż zamruczał.

Między fałdami uszczelki przegubu prawej półosi widniała niewielka ciemna grudka. Musiała się tu uchronić przed zmyciem i zalepieniem przez brud. Gdy przyjrzel się bliżej, zobaczyli mniejsze podobne grudki w sąsiednich załomach uszczelki. Mop musnął grudkę wymazówką. Obaj wygramolili się spod auta.

– Daj hexagon – polecił drugiemu technikowi, który z walizki kryminalistycznej wydobyl fiolkę z zakraplaczem. Odkręcił, a Mop odciął kawałek wymazówki i wrzucił go do fiolki. Zakręcił ją, potrząsnął, odłożył na chwilę. Tymczasem ułożył pasek płytkowego testu immunochromatograficznego Hexagon OBTI na zamkniętej walizce. Nakropili płyn na płytkę.

Popatrzyli najpierw na pasek, na którym pojawiły się dwie czerwone linie. Potem po sobie. Czesław bez słowa sięgnął po komórkę. Odszedł na bok. Zadzwoił do Bąka.

– Ucieszysz się – powiedział cicho. – Krew mamy. Ludzką.

Wiolka stukała obcasami. Zła była na siebie, że tak się wystroiła, umalowała i jak idiotka robiła maślane oczy do faceta, który mógłby być jej ojcem. I nic nie załatwiła. Dawny szef z „Flesza” na początku kręcił i kluczył, ale w końcu wyduślił z siebie – nie ma szans na powrót na dawne stanowisko. Redakcja już w zasadzie nie istniała. Z całego zespołu zostały trzy osoby, a likwidacji oddziału regionalnego spodziewali się

najpóźniej do końca roku. Nie było dokąd wracać. On sam radził Wiołce wyprowadzkę do Warszawy albo przekwalifikowanie. Polecał zawód programisty albo analityka danych.

Co jej się wydawało? Że jeśli przyklei się do Strzygonia, to uniknie losu znajomych dziennikarzy, którzy musieli schować do kieszeni zawodową dumę i zostać media workerami albo pożegnać się z pisaniem? Jak Fryderyk z działu *Rozrywki*, dawniej *Kultury*. Dawny kolega jeździł teraz food truckiem pod biurowce i udając Gruzina, sprzedawał lawasz. Teraz ona sama też została na lodzie.

W tramwaju wyjęła smartfona i odruchowo sprawdziła *Raport Strzygonia* – od paru dni nic się tam nie działo. Ani pół nowej informacji, ani jednej zmiany chociażby kolejności linków. Pomyślała, że mogłaby zadzwonić do Doroty Seweryn, zapytać, czy udało jej się skontaktować z Bastianem, co powiedział, czy śledztwo posunęło się do przodu.

Po tym wszystkim ona ciągle czekała na telefon. Co by zrobiła, jeśliby zadzwonił, od niechcienia zapytał, czyby nie przyjechała, rzucił wymuszone „sorry” albo udał, że nic z tego, co się stało, się nie stało?

Zła na siebie, przyznała, że wsiadłaby w punto i pojechała do Dąbrowy.

Musi się pogodzić z tym, że on nie zadzwoni. Przestać krążyć myślami wokół tej sprawy. Patrzyła na wyświetlacz, pogładziła palcem zieloną słuchawkę pod numerem Doroty Seweryn. Schowała telefon do kieszeni.

Może nie powinna oglądać się za siebie. Może to koniec pewnej epoki w jej życiu. A może początek następnej.

Wielicki poczęstował się papierosem Marlboro Light

i pozwolił, żeby Kaługa mu przypalił. Ucichło człapanie pozbawionych sznurówek butów Maćka i ciężkie kroki Krystiana Papy, który odprowadził chłopaka na dół, do izby zatrzymań.

Policjanci palili w oknie, milcząc.

– Cwany jest, szczeniak – odezwał się Kaługa. – Gładko kłamie, ładnie to sobie wymyślił. Że wyżył się na tatusiu dopiero, jak go ktoś stuknął.

Wielicki palił bez słowa.

– Nieraz żem takich widział. – Podkomisarz się roześmiał. – Teraz jest mocny w gębie, ale po nocce na dołku będzie mięciutki jak gówno na słońcu.

– Jak się okaże, że młody ma coś wspólnego ze śmiercią starego, to zapunktujesz u Francy – powiedział Wielicki, oparty o parapet.

Kaługa patrzył przez okno w dal, uśmiech błędził na jego wargach.

– Po mojemu to było tak, że gnojek uknuł śmierć ojca, skołował sobie pomagierów, a potem wymalował te bazgroły dla zmyły – stwierdził. – Jutro wyciśniemy z niego szczegóły, jak przechlipie nockę na pryczy i zmięknie. Widziałeś, jaki posrany jest. Załamie się, zobaczysz, i wszystko wyśpiewa.

Wielicki spojrział na zegarek.

– Idziesz na piwo poświętować? – zapytał.

Kaługa pokręcił głową.

– Nie mogę, zamienił żem się dziś na dyżury. Też tu przechlipię nockę. – Zgasił papierosa o zewnętrzny parapet i pstryknął petem tak, że niedopałek wylądował tuż obok pszenicznowłosej dziewczyny siedzącej przy wejściu do komendy.

– Uważaj – zaśmiał się Papa, który właśnie wrócił.

– O cholera – mruknął Kaługa. – Przepraszam! – rzucił głośno, gdy dziewczyna obejrzała się na niego.

– A to nie jest ta wolontariuszka z synagogi, co się wypowiadała do kamery, jak się pojawiły napisy? – spytał Wielicki, przyglądając się kobiecie.

Papa wzruszył ramionami. Kaługa przyjrzał się dokładniej.

– Tyłek sobie na tych schodach przeziębi – wyszczerzył się. – Szkoda by było.

Niewiele do niego docierało z rozmowy Anki z prokuratorką. Przerzucał stronice opinii biegłego antropologa, fotografował jedną po drugiej, wstrzymując oddech, żeby nie poruszyć zdjęcia. Łowił pojedyncze słowa. Obrażenia. Kości długie. Nasada. Metafiza. Wgłobienie.

Zatrzymał się tylko raz, gdy napotkał spojrzenie.

Patrzyła na niego ze szkicu *en face* młoda, poważna dziewczyna o dużych oczach. Dziennikarzowi zakołatało się w piersi, adrenalina zaszumiała mu w tętnicach. Patrzył i nie śmiał drgnąć.

– Jezu – wyszeptał.

– Tak, zrobili też rekonstrukcję wyglądu przyżyciowego. – Głos prokuratorki go otrzeźwił. – Ma pan jeszcze pięć minut.

Przyspieszył.

Miał tę twarz przed oczami, gdy tkwił na krześle w kuchni mieszkania na tarnowskim osiedlu Niepodległości, do niedawna XXV-lecia PRL, z widokiem na wieżę ciśnień, która wyglądała, jakby ktoś z uporem godnym lepszej sprawy próbował ze stali zbudować balon. Kubek z herbatą stał przed nim nietknięty. Naprzeciwko siedział doktor medycyny sądowej Bartłomiej Skrzyniarz, do którego zamiary po długich nagabywaniach dała

mu Franz.

Medyk przeglądał zdjęcia ekspertyzy na jego laptopie, a dziennikarz śledził każde zmrużenie jego oczu, zmarszczenie czoła, poruszenie warg. W głowie, jak tańczący w powietrzu rój, wirowały mu słowa. Czekały niecierpliwie, aż będą mogły zacząć się splatać, osiadać, układać w tekst.

Tytuł: Kim byłaś

Za krótki do internetu. Zmieni się później.

Autor: Sebastian Strzygoń

– To po kolei. – Młody medyk sądowy odwrócił laptopa tak, żeby obaj mogli widzieć ekran. – Tu jest ogólny opis stanu dostarczonych do ekspertyzy kości. Już pan wie, że to kości ludzkie, należą do jednej osoby, nie są przemieszane z innymi i tak dalej. Tutaj – przeklikał dalej – biegły określa czas zalegania w ziemi, czyli *post mortem interval*. Kości są brunatnoszare, łamliwe i lekkie, czyli stare. „Przeprowadzono próbę luminolową i wodną”. Im kości starsze, tym wolniej toną w wodzie. Starsze niż sto lat wręcz pływają. A gdyby pokrycie przekrojonej kości luminolem wywołało świecenie, mogłoby to świadczyć, że kości są młode, bo luminol w charakterystyczny sposób świeci w obecności żelaza, a więc także krwi. „Nie znaleziono szczątków owadzych”. To też ważne, bo w młodych kościach znajduje się w jamach czaszki poczwarki much czy pokrywy żuków gnojarzy – wyjaśnił. – Dalej biegły pisze: „przy przecinaniu brak wyczuwalnej frakcji białkowej”. Podczas krojenia młodszych kości czuje się charakterystyczny zapach. Wie pan, jak czuć opalaną kurę?

Bastian przytaknął. Babcia opalała oskubane kury nad płomykiem z denaturatu nalanego na pokrywkę od słoika.

– Właśnie tak. Starsze mają zapach bardziej mineralny. Biegły

konkluduje, że kości zalegały w ziemi długo, pięćdziesiąt do stu lat. „Z całą stanowczością więcej niż trzydzieści”. To informacja specjalnie dla prokuratora, magiczna trzydziestka.

– Przedawnienie sprawy o zabójstwo – mruknął dziennikarz.

– Zgadza się. I tu często prokuratorzy kończą lekturę opinii – uśmiechnął się medyk. – Dalej ma pan określenie wieku i płci. Biegły opisuje kości jako drobne, stosunkowo delikatne i sądząc po kościach długich, wskazujące na niewielki wzrost. Tu biegły wylicza jaki. Analizuje też kształt miednicy: talerze biodrowe, kąt łuku podłonowego, i jeszcze kilka jej cech. Stwierdza, że „zarówno opisowo-morfologicznie, jak i pomiarowo kości należały do osoby płci żeńskiej”. Wskazuje też na to czaszka.

Była drobną, filigranową dziewczyną, mierzyła około metra sześćdziesięciu. Miała duże oczy, wyraziste kości policzkowe. – W głowie Bastiana układał się artykuł. – Jeśli się uśmiechała, to był to piękny uśmiech, perlisty i promienny. Musiał zwracać uwagę...

– ...złotym zębem – powiedział medyk.

Dziennikarz się wzdrygnął.

– Słucham?

– No tak, miał pan prawo nie zauważyć. Ząb dwa-dwa, czyli lewa górna dwójka, został za życia dziewczyny zeszlifowany w charakterystyczny sposób. Przygotowany do założenia korony. Niech pan przeczyta tu, panie Sebastianie.

Podsunał mu laptopa. We wskazanym akapicie biegły poświęcił temu zębowi wiele uwagi.

„Ząb przyżyciowo zeszlifowany w celu zamocowania uzupełnienia protetycznego”, przeczytał dziennikarz. „Z dużą dozą prawdopodobieństwa złotej korony, założonej zapewne wskutek obszernego próchniczego zniszczenia tkanek zęba, co

sugeruje obecność wypełnień amalgamatowych także w sąsiadujących zębach 23 i 24...”

– Niech pan czyta dalej – powiedział doktor Skrzyniarz.

„Na trzonie utworzonym z naturalnej korony zęba 22 zachowane resztki materiału cementującego. Trzon w części górnej ukruszony okołośmiertnie, o czym świadczy ostra krawędź uszkodzenia. W dolnej części zęba 22 widoczne poprzeczne przemiażdżenia sugerujące użycie twardego narzędzia oraz rysy sugerujące przyłożenie siły ukierunkowanej ku górze”.

– Poprzeczne przemiażdżenia? Narzędzie?

– Podejrzewam, że obcęgi – wyjaśnił medyk. – A te rysy świadczyłyby, że...

Wyrwano jej złoty ząb.

Medyk mówił, a z szumu w głowie Bastiana krystalizowały się kolejne słowa.

Biegły napisał „z dużą dozą prawdopodobieństwa”, ale to akurat jasne. Ktoś przyniósł obcęgi. Złapał. Pociągnął. Gdy już nie żyła. Albo gdy konała.

Czy zginęła za ten złoty ząb?

– Wiek – ciągnął tymczasem medyk – określono na podstawie kilku cech. Przede wszystkim ocenia się tak zwaną linię metafizy. Wraz z wiekiem elementy nasad kości stopniowo się zrastają, a strefa zrostu to właśnie metafiza, która oddziela element trzonu, czyli diafizę, od tego, co przyrasta, czyli od epifizy. Biegły ocenia stopień zrostu i samą metafizę, zestawia też ze stopniem zrostu innych elementów, które w ludzkim szkielecie przyrastają w różnym wieku. Konkluduje, że ta osoba miała poniżej dwudziestu lat. Poza tym biegły dokonał sekcji nasady bliższej kości ramieniowej, żeby sprawdzić, jak głęboko sięga komora

szpikowa. Im kość starsza, tym głębiej komora wchodzi w nasadę kości. O młodym wieku świadczy też brak zmian zwyrodnieniowych kręgosłupa, wysokość trzonów kręgów i ich pofalowana powierzchnia. Im ktoś starszy, tym bardziej kręgosłup mu siada, prawda?

Puknął w panel dotykowy, przeskakując do kolejnego zdjęcia.

– Za to tu ma pan ciekawą informację – ożywił się. – Wyizolowali z materiału kostnego DNA i zrobili podstawowy panel genetyczny do identyfikacji. A przy okazji, na potrzeby rekonstrukcji wyglądu przyżyciowego, zrobili test genetyczny na kolor oczu i włosów.

– To tak się da? – zdumiał się Bastian.

– Już od lat. – Medyk wzruszył ramionami. – Dzisiaj to standard. Może pan napisać, że ofiara miała czarne włosy i prawdopodobnie także czarne oczy.

„W rekonstrukcji graficznej uwzględniono przeciętne jak na warunki wiejskie z pierwszych dekad XX wieku odżywianie się osoby, której twarz odtwarzano”, napisał biegły. „Przyjęto średnią grubość tkanek miękkich i ustalony w toku badań genetycznych metodą HIrisPlex kolor włosów, oczu i prawdopodobny odcień cery”.

Miała osiemnaście do dwudziestu lat – pisał w myślach dziennikarz. Musiała pochodzić z dobrze sytuowanej rodziny, bo nie każdy w przedwojennej Dąbrowie mógł sobie pozwolić na złoty ząb. Czy wstydziła się go odsłaniać i przez to rzadko pozwalała sobie na uśmiech? Czy wydawała się przez to poważna, tajemnicza, z chmurną twarzą okoloną czarnymi włosami i spojrzeniem dużych, ciemnych oczu?

Aż tyle o życiu można wyczytać z kości.

– Dalej biegły opisuje uszkodzenia – podjął doktor Skrzyniarz.

Ale teraz czas, żeby czytać o śmierci.

– I oczywiście się wkurzył, jak zobaczył rano moją obitą mordę. – Gerard nadział na widelec ostatnie raviolo. – Znowu będzie mi mówił, jak mam wyglądać, jakbym był w gimnazjum.

– Serio mówił ci, jak masz wyglądać? – zdziwiła się Anka.

– To był ten moment, kiedy zaczął się mnie czepiać i wszystkiego mi zabraniać. Nic mu się we mnie nie podobało: z kim się zadaję, co robię, a czego nie robię, nawet to, jak wyglądam. Wyrosłem wtedy bardzo, spodnie miałem wiecznie za krótkie, podobnie rękawy. Garbiłem się. Nabrał zwyczaju, żeby walić mnie z zaskoczenia otwartą dłonią w plecy i wołać: „Wyprostuj się!”. Naprawdę, czekałem, aż zabroni mi rosnąć.

– A co ty na to? – zapytała.

– To, co zwykle, czyli zrobiłem mu na złość. – Wzruszył potężnymi ramionami. – Teraz znowu czekam, aż walnie mnie między łopatki. Ale ty mnie chyba nie słuchasz.

Otrząsnęła się i popatrzyła na niego.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Spoko, nic ważnego – mruknął.

– Słuchaj, powiedz mi... – zaczęła, goniąc uciekające myśli. Od rana jej uwaga krążyła wokół rozmowy z prokuratorką. – Wtedy, kiedy zginęła Miśka... Dlaczego siedzieliście cicho? Dlaczego nikt nic nie powiedział?

Milczał o ułamek sekundy za długo, żeby zwiódł ją jego beznamiętny ton.

– Grozili mi śmiercią – powiedział, wycierając bagietką sos pomidorowy. – A poza tym... Pal sześć jeśli chodzi o mnie. W pewnym momencie było mi już wszystko jedno, co się ze mną stanie. Ale bałem się o innych. Jeśli ja bym pękł, to innym

groziło niebezpieczeństwo.

Zacisnął pięści, aż na dłoniach wyszły mu żyły.

– A mnie wystarczyło, że mam już jedno życie na sumieniu.

– Biegły przyglądał się przełomom kości. – Nad tarnowskim osiedlem zapadał zmrok, a doktor Skrzyniarz wciąż prowadził Bastiana przez ekspertyzę. – Te, które powstały przy wyciąganiu kości z ziemi, są jaśniejsze w miejscu uszkodzenia. Gdybyśmy z kolei patrzyli na uszkodzenie zażyciowe, nosiłoby ono ślady gojenia. Uszkodzenia powstałe okołomiernie mają wyraziste krawędzie, ale są pociemniałe jak reszta kości... – Zawiesił głós. – Trochę ich tu jest.

Była delikatna. Krucha. Wiele kości pękło, gdy wzburzyliśmy miejsce, w którym spoczywała, zdarliśmy znad niej ziemię. Ale te kości pękały i kruszyły się, jedna za drugą, gdy jej to zrobiono.

– Liczne okołomiernie złamania żeber. Gdy biegły ułożył zebra w kolejności, stwierdził liniowy przebieg pęknięć od obojczyka i pierwszego prawego zebra w przedniej części do piątego i szóstego w tylnej...

Sprawca...

Poprawił w myślach.

...oprawca stanął z jej prawej strony. Miał długi, wąski kij, może stylisko, okładał ją po klatce piersiowej i brzuchu. Wiła się, próbowała odwrócić.

– Po lewej stronie mamy inny wzór obrażeń: czwarte i piąte żebro wielokrotnie i na znacznej powierzchni...

Drugi z oprawców stał po jej lewej stronie. Kopał.

– Liczne wgniecenia i pęknięcia kości przedramion. Potwierdzone mikroskopowo złamania i zmiżdżenia kości śródreńca.

Od jednych i drugich ciosów próbowała się osłaniać rękami.

– Kluczowymi obrażeniami są wgłobienia na kościach płaskich czaszki. – Doktor Skrzyniarz się zatrzymał. – To miejsca, gdzie pod wpływem uderzenia wąską częścią narzędzia tępokrawędzistego, działającego punktowo, kość nie została przebita, tylko wklęśła od zewnątrz – starannie dobierał słowa – a po wewnętrznej stronie czaszki się uwypukliła. Zdaniem biegłego, i ja bym się z tym zgodził, z uwagi na penetrację do wnętrza mózgowiczaszki mogło to doprowadzić do urazu mózgu i stanowić bezpośrednią przyczynę śmierci. Do tego są jeszcze złamania u podstawy czaszki i w zakresie oczodołu, kości łzowej.

Wreszcie zaczęli okładać ją po głowie. Tak żeby zabić. Po kolejnych ciosach jej czarne pukle sklejała krew. Aż przestała krzyczeć. Znieruchomiła.

– I to już pan też wie. – Doktor odsunął od siebie laptopa. – Nie stwierdzono obecności żadnych przedmiotów w obrębie miejsca pochówku.

Zdarli z niej ubranie. Do ostatniego łachmana. Wyrwali jej złoty ząb. I zakopali nagą, ograbioną i zatłuczoną na śmierć...

– ...na mojej rodzinnej ziemi – dokończył na głos Bastian.

Maciej Węzyk znowu się potknął. Wielicki zaklął i podciągnął go za ramię do pionu. Chłopak ręce miał skute kajdankami na plecach.

– Gdzie mnie zabieracie? – jęknął.

– Na wycieczkę – zaśmiał się Wielicki. – Daleko stąd.

Korytarzem komendy powiatowej w Dąbrowie Tarnowskiej poniosło się szuranie pozbawionych sznurówek adidasów Maćka Węzyka, przebierającego niezgrabnie nogami w opadających spodniach od dresu.

– Co to ma, do cholery, znaczyć? – Kaługa wyszedł im na spotkanie. Za nim, jak jego nieodłączny cień, zmaterializował się aspirant Papa. Podkomisarz podparł się pod boki, wypiął pierś.

– Zabieramy go do aresztu śledczego – odparł Bąk i przystanął. – Decyzja Franczy, połączyła sprawy.

– Do pierdła za bazgranie po murach?! – zdenerwował się Kaługa.

– O co ci chodzi, Mariusz? – zdziwił się Wielicki. – Przyznała ci rację i zawnioskowała o areszt tymczasowy. Ciesz się, wracasz do łask.

Kaługa zrobił się jeszcze bardziej czerwony na twarzy. Wężyk spode łba obserwował czwórkę policjantów.

– W dupie mam Francę – wysyczał podkomisarz. – Nie będę się jej podlizywał. Jej się wydaje, że się tu zdesantowała nie wiadomo skąd, będzie nas rozstawiać po kątach i wprowadzać swoje faszystowskie metody! Jak go stąd zabierzecie do pierdła, to rano nie będzie co przesłuchiwać. Wiesz, co z nim zrobią inni osadzeni? Tak go przecwela, że jutro zostanie z niego kupa jęczącego gówna i niczego się nie dowiesz.

Wężyk napiął mięśnie, poderwał głowę. Szarpnął się. Wielicki poprawił chwyt pod pachą chłopaka. Docisnął. Wężyk stęknął. Na policzki wypełził mu rumieniec.

– Dobra, idziemy – ponaglił Bąk.

Wielicki ruszył. Wężyk zaparł się nogami.

– Nie rób scen. – Policjant go pociągnął, ale Wężyk znowu się szarpnął, zaplątał w języki od butów, opadające spodnie i walnął kolanami o podłogę.

Dźwignęli go pod ramiona. Oddychał ciężko.

– Weź mu gacie popraw, bo go rzeczywiście zaraz przecwela, jak tak będzie dupą świecił – syknął Wielicki.

Bąk bezceremonialnie podciągnął chłopakowi spodnie od dresu i ściągnął sznurek w pasie.

– Co jest, zabraliście mu sznurówki, a zostawiliście sznurek w gaciach? – Popatrzył spode łba na Kaługę. Zaczynał rozumieć Franz, która nie darzyła miejscowej komendy wielką estymą.

– To musieli chłopcy przegapić, jak przyjmowali na dołek – zmieszał się podkomisarz.

– Panie doktorze?

Bastian odwrócił się w drzwiach. Medyk sądowy spojrział na niego pytająco.

– Czy da się na podstawie kości stwierdzić, rozumie pan – zająknął się dziennikarz – czy była Żydówką? – Nie patrzył mu w oczy, jakby to było niestosowne pytanie.

– Wie pan, jeszcze niedawno niektórzy polscy biegli robili pomiary czaszki i odnosili je do typologii rasowych, jak w latach trzydziestych – odparł medyk. – Na szczęście od ponad dekady uznaje się to za nienaukowe. Już prędzej można by na podstawie badań genetycznych określić haplogrupę i odnieść do danych biogeograficznych. Akurat w przypadku tak wyizolowanej grupy jak Żydzi aszkenazyjscy mogłoby to dać obiecujące wyniki. Widziałem kiedyś w „Nature” badania nad dystrybucją mitochondrialnego DNA w populacji środkowoeuropejskich Żydów.

Dziennikarz patrzył na niego bezradnie.

– Panie Sebastianie, dużo by można zbadać. – Doktor Skrzyniarz odetchnął. – I to nie tylko w genetyce. Można by poszukać na trzonie zęba pozostałości złota dentystycznego i przeanalizować skład stopu, odnosząc do przedwojennych danych; koledzy pracowali kiedyś nad takim przypadkiem.

Można by stworzyć model 3D obrażeń i na jego podstawie odtworzyć przebieg mordu, robi się dziś takie rzeczy. Tylko że...

Zamilkł.

– Co to zmieni? Sprawa przedawniona, sprawcy pewnie dawno nie żyją. W biogeograficznych bazach danych nie znajdzie pan adresu ani nazwiska. A do określenia, co i kiedy się jej przytrafiło, wystarczyła zwykła opinia antropologa. Tu wchodzi w grę ekonomia procesowa. I poza tym – westchnął – komuś decyzyjnemu musiałoby bardzo zależeć. Choćby dlatego, że to wszystko kosztuje, trwa albo jedno i drugie. A niech pan sam powie...

Popatrzyli sobie w oczy.

– Komu na tej sprawie zależy?

Dociągnęli chłopaka do wyjścia z komendy. Kaługa z Papą poszli pierwsi. Podkomisarz rozmawiał z dyżurnym, aspirant wyglądał przez drzwi.

– Mediów nie ma? – rzucił do niego Bąk.

– Nie, tylko ta laska z synagogi – odparł Papa. – Koczuje na schodach. Ale spoko.

Wężyk nagle się wyprostował, oczy mu zapłonęły.

– Leszek, wjedź na parking, wyprowadzimy chłopaka bokiem – powiedział Wielicki.

– Za późno, już się spostrzegła i wstała. – Papa wymownie zerknął na zewnątrz. – Jak teraz będziesz wyjeżdżał, to poleci za tobą na teren komendy i narobi syfu.

– Dobra, Leszek, idź do auta i bądź gotów do jazdy, ja pomogę Jackowi – zakomenderował Kaługa. – Przejdziemy raz-dwa. Krystian, ty pilnuj drzwi.

Rozbiegane spojrzenie Macieja Wężyka nagle się skupiło.

Nogi przestały odmawiać posłuszeństwa. Podniósł głowę, posłusznie ruszył przed siebie, asekurowany przez Wielickiego i Kaługę. Wyszli na schody. Wężyk zmrużył oczy i rozejrzał się desperacko. Nikogo nie było. Zgarbił się, jego oczy przygaskły. Kaługa szarpnął. Ruszyli po schodach na ulicę, gdzie stało szare mondeo. Bąk odpalił silnik. Ostatnia prosta.

Wtedy ją zobaczył: złoty warkocz, niebieskie dzinsy opięte na nieco zbyt obfitych biodrach. Odchodziła, szukając czegoś w torebce.

– Dorota! – wrzasnął. – Dorota! Ratunku!

Wielicki szarpnął go za ramię. Zaklął. Kaługa zamarł. Dorota Seweryn powoli się odwróciła.

Już dała sobie spokój, już odchodziła, przekonując samą siebie, że zrobiła wszystko, co mogła. Grzesiek wydzwaniał, pytał, gdzie ona się podziewa. Mówił, że mały o nią pyta. I że zakupy trzeba zrobić. Uznała, że jutro rano spróbuje dotrzeć do kogoś w prokuraturze poprzez kierowniczkę ośrodka.

– Maciek! – krzyknęła. Energicznie ruszyła ku niemu.

Wężyk wyrывał się z siłą, jakiej Wielicki się po nim nie spodziewał. Zawył, rzucając się na boki. Kaługa szarpnął go z całej siły. Zaczęli się szamotać. Wielicki poczuł, jak chłopak się wyślizguje.

– Trzymaj go, Jacek! Bo ucieknie! – wrzasnął Kaługa i znów szarpnął, zataczając ramieniem obszerny łuk, stracił równowagę, zachwiał się. Wężyk, chudy i kościsty, wywinął się jak piskorz, podrobił do przodu i czując, że nikt go nie trzyma, zgiął się wpół i chwiejnie wyrwał przed siebie.

Wprost ku Dorocie Seweryn.

Wielicki zobaczył niczym w zwolnionym tempie, jak chłopak biegnie niezgrabnie, ze skutymi rękami. Ona stoi.

– Ucieka! – ryknął Kaługa.

– Stój, bo strzelam!

Wielicki odwrócił się ku drzwiom komendy.

Huknął strzał. W powietrze, ostrzegawczy.

Ludzie na ulicy zamarli. Ktoś skulił się przy murze komendy.

Maciej Wężyk dopadł Doroty. Ta cofnęła się o krok, ale zaraz położyła mu dłonie na ramionach. Zachwiał się. Objęła go. Coś jej szepnęła do ucha.

– Stój, bo strzelam!

– Nie! – wrzasnął Wielicki.

Drugi strzał.

Dwa ciała upadły na chodnik.

Dobiegli do nich. Wielicki, Bąk, który wyskoczył z auta, potem Kaługa. Ktoś zaczął krzyczeć. Na kostce brukowej leniwie rozlewał się czerwony wzór.

– Dorota! Dorotka! – łkał Wężyk. Wielicki z Bąkiem złapali go pod ramiona. Odciągnęli. Wierzgał. Wił się. – Dorotaaa!

Leżała na wznak. Patrzyła szeroko otwartymi oczami w czerwieniejące zmierzchem niebo. Poruszała ustami. Bluzka nasiąkała krwią. Kaługa doskoczył do niej. Ucisnął. Dłoń zagłębiła się w mokre od krwi płótno jak w gąbkę.

– Karetkę! – ryknął.

Z komendy wybiegli policjanci. Wielicki wcisnął Wężyka do auta. Trzasnęły drzwi. Od strony nowego kościoła dobiegło wycie syren. Kaługa odwrócił się powoli. Napotkał spojrzenie Bąka, które powędrowało ku drzwiom komendy. Stał w nich aspirant Krystian Papa. Wciąż z bronią w wyciągniętej ręce.

Po jego bladej twarzy płynęły łzy.



ROZDZIAŁ 15

Śniła mu się ta twarz.

Ile razy już zapadał w drzemkę, gdy materializowała się z mroku pod jego powiekami i patrzyła na niego. Uwierzyłyby, gdyby ktoś zaczął mu wkręcać, że ona czegoś od niego chce, jak w tanim horrorze.

Nad ranem wstał, zrobił sobie kawę i usiadł przy stole. Świt ledwie przełamywał półmrok, barwił ściany na różowo. Bastian obrzucił spojrzeniem salon z aneksem, który powstał po wyburzeniu ścianek między kuchnią, przedpokojem i jednym z pokoi. Wszystko inaczej. Wszystko nie tak.

Sprzęty do tego domu wybrała i kupiła Bella, a to, co jej nie pasowało, wyrzuciła albo upchnęła na strychu. Poprzestawiała ściany, przekopała ogród. Nic tu nie zostało po dziadkach i nic nie zostanie po nim, kiedy wreszcie skończy to śledztwo i stąd wyjedzie.

Złapał się na tym, że pierwszy raz o tym pomyślał. Jak to wszystko się skończy? Co wtedy zrobi? Będzie mógł stąd odejść.

Będzie wolny.

Podszedł do ściany, gdzie wisiały zdjęcia, których nie zdążył poodklejać, kiedy stąd uciekali. Zaczął je zdejmować. Starszy mężczyzna z brodą. Rabin i dwóch młodych chasydów przed synagogą. Młodzież w plenerze. Rodzina w studiu fotograficznym.

Zatrzymał się przy tym zdjęciu. Wyraźnym, pamiątkowym zdjęciu, starannie retuszowanym przez fotografa. Mężczyzna miał krótko przystryżoną, elegancką brodę i kołnierzyk ze stójką. Kobieta przy kości trzymała na kolanach chłopczyka w ubranku z marynarskim kołnierzem. Za nimi stała nastoletnia dziewczyna, jeszcze dziecięco zaokrąglona na buzi, z włosami do szyi i grzywką, spod której patrzyły poważnie duże, czarne oczy.

Może to spojrzenie go zatrzymało.

Zerwał się i przyniósł do kuchni laptopa. Odnalazł wśród zdjęć opinii biegłego rekonstrukcję twarzy dziewczyny z sadu. Oparł kserokopię fotografii o ekran. Patrzył.

Czy...?

Rysownik inaczej wyobraził sobie fryzurę. Falujące, ciemne włosy, gęste jak u aktorki z reklamy szamponu, opadały na ramiona. Ale ten owal twarzy, kości policzkowe, te głęboko osadzone, duże oczy...

Dziewczynka ze zdjęcia miała pełniejsze policzki, usta po dziecinnemu ściągnięte w ciup. Musiała być młodsza niż ta z rekonstrukcji. Spojrzał na podpis. „Lato 1939 roku”. Od ostatniego takiego lata, lata 1939 roku, do lata roku 1942, kiedy z getta w Dąbrowie do Bełżca ruszyły pierwsze pociągi, minęło trzydzieści sześć miesięcy. Do początku 1945 roku, kiedy ze wschodu szła radziecka ofensywa, przynosząc koniec wojny i nowe czasy, minęło kolejne dwa i pół roku. Musiałaby przetrwać wywózkę, uciec z likwidowanego getta, a potem ukrywać się gdzieś w okolicy, dopóki nie spotkało jej to, co drobniaczkowo opisał krakowski biegły. W tym czasie mogłaby się przeistoczyć z dziewczynki w kobietę.

Przyjrzał się podpisowi. „Lato 1939 roku. Rodzina Szachen”.

Zaszumiało mu w uszach. Spojrzał w oczy dziewczynie

z rekonstrukcji.

– To ty? – powiedział głośno. – To ty i twoja rodzina?

Zerknął na zegarek. Siódma rano. Za wcześnie, żeby biec do cioci Wiesi. Wpisał „Szachen” w kilku kombinacjach w Google. Nie znalazł nic wartościowego.

Ale ma przecież lepszą wyszukiwarkę.

Chwycił komórkę i się zawahał. Może już nie śpi, szykuje kanapki do pracy dla swojego stachanowca, przypina mu kokardę do motocykla jak Matka Polka z obrazów Grottgera. Wysłał jej SMS-a.

Chrupnęła klamka w drzwiach sypialni i stanęła w nich Bella w piżamie New York Yankees. Zobaczyła go i zdziwiona przeczesła palcami rozczochrane włosy. Bastian się uśmiechnął. Wyglądała dokładnie jak on, kiedy się budził. Zebrał ze stołu papiery, żeby zrobić jej miejsce. Przyniosła sobie miskę płatków i zalała mlekiem. Wstała, przyniosła drugą i postawiła przed Bastianem. Zmiotł płatki od razu. Zapomniał już, co to śniadanie. Ostatnimi czasy żywił się mrożonymi zapiekankami i piwem.

– Dzięki – mruknął.

– Tobie zawsze trzeba było podstawić pod nos – burknęła i odniosła miski do zlewu.

Ona potrafi zepsuć nawet takie momenty, zirytował się w duchu Bastian.

Zrobiła sobie kawy i usiadła koło niego.

– To ona? – zapytała, gdy jej spojrzenie padło na ekran komputera.

– Tak. Chyba. Miała na nazwisko Szachen – powiedział. – Może. Zobacz.

Podsunał jej zdjęcie. Pochyliła się nad nim, przyjrzała się z powrotem szkicowi.

– Trochę podobna – zgodziła się. – Nawet całkiem podobna. Ładna.

Długo patrzyła to na rekonstrukcję, to na zdjęcie, popijając kawę.

– Tylko tyle? – Bastian potrząsnął głową. – I co masz zamiar z tym zrobić?

– Z czym?

Bez makijażu, z potarganymi włosami i w wymiętej piżamie wyglądała wreszcie na swój wiek. Drobne zmarszczki wokół ust, odrosty w kolorze popiołu poprzetykane siwizną. Worki pod oczami.

– Z nią. – Wskazał na portret. – Schowasz na strychu razem z babcią i dziadkiem? Na wieczne zapomnienie?

– A ty? Ty pewnie będziesz o niej pisać.

– I co w tym złego? Tak to przepracuję.

– Jasne. – Wydęła wargi. – Uwaga, Bastianek przeżywa: patrzcie i podziwiajcie głębię jego przemyśleń! Zawsze robiłeś wokół siebie show i nic się nie zmieniło.

– Ja przynajmniej coś przeżywam – syknął. – A po tobie wszystko spływa jak po Złotej Kaczce.

– A kto powiedział, że ja nie przepracuję?

– Niby jak? – prychnął.

– Właśnie tak! – Podniosła ręce i gestem objęła kuchnię, salon i przedpokój. – Myślisz, że dlaczego akurat tutaj? Mogłam wybudować sobie daczę nad jeziorem, w górach albo nad morzem. A wybrałam to miejsce.

– Setki pięknych wspomnień?

Podciągnęła boscie pięty pod pośladki.

– Coś w ten deseń. Pamiętam na przykład, jak pierwszy raz

dostałam okres.

Bastian uciekł wzrokiem w swoje papiery. Nigdy nie rozmawiał z siostrą na takie tematy.

– To było tutaj, w wakacje przed siódmą klasą. Babcia nie miała podpasek, więc dała mi watę, zaparzyła jakieś ziółka, bo bardzo bolał mnie brzuch. I powiedziała, że musi boleć, bo Pan Bóg tak ukarał kobietę. Za to, że dała się zwieść wężowi, kobieta będzie w bólu rodzić dzieci. Babcia mówiła, że moje ciało się teraz zmieni, że będzie mnie wystawiać na próbę, stanie się źródłem wstydu i pokusy. Że mężczyźni będą na mnie patrzeć, a ja teraz muszę bardzo uważać, bo będą chcieli mnie wykorzystać, zbałamucić, sprowadzić na złą drogę. Że jeśli ustąpię na krok, to mogę skończyć sama, z brzuchem, na ulicy. Słuchałam i miałam wrażenie, że bycie kobietą to spacer po polu minowym.

Mieszała łyżeczką w kubku z kawą.

– Dzisiaj nie mam do niej żalu – dokończyła innym tonem. – Tak wyglądał świat, kiedy to ona stawała się kobietą. Była wojna, najgorszy czas dla kobiety.

Bastian pomyślał o dziadku, który spalił w piecu jego pierwszą gazetkę z gołymi babami. Co wtedy widział, kiedy patrzył, jak ciała modelek trawi ogień? Czy ciało swojej żony, Anielki, nieśmiałej dziewczyny od sąsiadów, którą poślubił jako młody chłopak i z którą natychmiast spłodził syna? Czy może ciała bezwstydných kusiołek, które – jak czasem każdemu mężczyźnie – śniły się, wijąc się przed nim lubieżnie?

A może ciało dziewczyny w dole pod czereśnią? Nagie, zakrwawione zwłoki, które, łopata za łopata, powoli pokrywa ziemia?

– Jak chodziłam do podstawówki, to nie było Bravo, gdzie

pisali, co to jest orgazm albo prezerwatywa – mówiła dalej Bella. – W domu nikt nie rozmawiał ze mną o miłości, pożądaniu i seksie partnerskim. Miałam tylko książkę do biologii z przekrojem układu rozrodczego, który zawsze przypominał mi krowi łeb. Trochę mi zajęło, zanim doszłam do wniosku, że moje ciało nie jest moim wrogiem.

Dlaczego ona o tym mówi? – myślał.

– Wiesz, dlaczego tak nie lubiłam, jak nazywałeś mnie Bella? – Uśmiechnęła się, a w jej policzkach pojawiły się dołeczki.

Bastian potrząsnął głową.

– Jest taka marka podpasek.

– O kurde – mruknął. – *Sorry*.

– Ty przepracowujesz, pisząc. – Odstawiła pusty kubek na stół. – A ja próbuję ukształtować po swojemu miejsce, które ukształtowało mnie. Może po to, żeby móc...

Nie dokończyła.

– Muszę wracać do Nowego Jorku. Już mają pretensje, że mnie nie ma.

– Jasne. – Było dla niego jasne, że chociaż zrobiła z tym miejscem, co chciała, to dalej z niego ucieka. – Zajmę się wszystkim.

Wstała od stołu i ruszyła do łazienki. A on zdecydował, że nie będzie już więcej mówił na nią Bella. Musi wymyślić coś nowego, bo „Izka” nie przejdzie mu przez gardło. Może Isabelle? Izyda? Izis? Zachciało mu się śmiać. Marka podpasek. Nieźle. Ale się nie roześmiał.

Rozłożył przed sobą zdjęcia z fotografią rodziny Szachen pośrodku. Patrzył na podpis wykonany starannym, przedwojennym, kaligraficznym pismem.

Natan i Perła Szachen z dziećmi Mojżeszem i Amalią.

Powiedział to najpierw cicho, do siebie. Potem na cały głos.

– Amalia Szachen.

Imię wybrzmiało, odbiło się echem od podłogi z olejowanych desek i hiszpańskich płytek w kuchni. Wróciło do niego.

I zostało.

– Wracamy do podstaw – powiedziała Judyta Franz. – Motyw. Najpierw finansowy. Wężyk, jak się okazuje, miał pieniądze, ratę dla Babiarskich. Ktoś mógł mieć wobec tych pieniędzy inne plany.

Poranne światło sączyło się przez łososiowe wertykale. Prokuratorka z dezaprobatą patrzyła na wymięte twarze policjantów. W powietrzu czuć było delikatną nutkę kaca.

– Maciek – mruknął Bąk.

Franz kiwnęła głową.

– Właśnie. Chyba że jest jeszcze jakiś inny dług, o którym nie wiemy. – Prokuratorka rozłożyła przed sobą zeszyt. – Dalej. Porachunki. Być może Wężyk wszedł swoimi interesami na czyjś obsikany teren, naraził się komuś.

– On nie prowadził ostatnio żadnych interesów – odezwał się Wielicki. – Pomógł tylko sprzedać samochody dwóm znajomym i załatwić formalności nabywcom z Ukrainy. Dostał za to tysiąc złotych. Nic wielkiego i nic nielegalnego.

Judyta Franz zapisała coś na marginesie i przewróciła kartkę.

– Zemsta. – Uniosła czerwony długopis. – Doktor Serafin ustaliła, że dziadek Wężyka zeznawał po wojnie przeciwko sąsiadowi oskarżonemu o wydanie Żyda. Od tamtej pory rodzina Wężyków została skazana na ostracyzm. Co ja panom mówiłam? Do trzeciego pokolenia wstecz.

Wielicki z Bąkiem wymienili spojrzenia.

– Niemniej rodziny owego sąsiada już w okolicy nie ma, a ludzie nie pamiętają, o co poszło – podjęła. – Co nie znaczy, że motyw zemsty należy wykluczyć. Mogło chodzić o jakiś nieudany interes sprzed lat albo, nie wiem, o kobietę. Ludzie nie lubili Wężyka. Ale czy ktoś go nienawidził?

– Maciek – powtórzył Bąk.

Kiwnęła głową.

– Dalej. Wiadomo, że Wężyk miał wybuchowy charakter i był skonfliktowany z połową miasteczka. Do tego pił w barze U Bosmana. Mogło dojść do awantury i eskalacji przemocy. W świetle ostatnio ujawnionych przesłanek należy traktować tę hipotezę bardzo poważnie. Tylko o co poszło? Nikt nic nie mówi. Zmowa? Nie wierzę, że to Bosman tak ich trzyma za twarz. I wreszcie, nie wykluczam takiej ewentualności, ale traktuję ją bardzo ostrożnie: śmierć Wężyka mogła mieć coś wspólnego z faktem odkrycia na posesji Strzygonia ludzkich szczątków z czasów wojny.

– Ale co? – westchnął Wielicki.

– Jeszcze nie wiem. Koincydencja czasowa wydaje mi się jednak nieprzypadkowa. – Prokuratorka przyłożyła końcówkę długopisu do ust. – Jak tam nasi bohaterowie? – Wróciła do rzeczowego tonu.

– Maciek nie chce gadać – powiedział Bąk.

Byli w Tarnowie z samego rana. Wrócili z niczym.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparła.

– Trzeba mu dać trochę czasu, chłopak jest w szoku – dodał Wielicki. – Wie pani, po tym, co wczoraj...

– Jak dziewczyna? – Prokuratorka poprawiała się w fotelu.

Bąk oparł łokcie o kolana i popatrzył przez okno gdzieś

w przestrzeń. Sam nie zniósł najlepiej wczorajszych wypadków. Na adrenalinie zdążyli odwieźć Wężyka do aresztu śledczego do Tarnowa, a potem wrócili i pili do późna w nocy zamknięci w pokoju. Dzisiaj rano dmuchał w alkomat, żeby sprawdzić, czy może wsiadać za kółko. Nie mógł, ale musiał.

– Żyje. Jeszcze się nie obudziła, ale powinna z tego wyjść – odpowiedział.

Musiał, bo najpierw trzeba było pojechać do dąbrowskiego szpitala i sprawdzić, co z Dorotą Seweryn. A potem do komendy, gdzie czekał już na nich wydział wewnętrzny. Papy nie było, został zawieszony. Kaługa ich unikał, też miał siną cerę i podkrążone oczy.

– A Bosman? – pytała dalej, jakby nic się nie stało.

Bąk się skrzywił. Nie zapytała, jak oni się czują, jak czuje się Krystian Papa, w którego skórze najbardziej nie chciałby się znaleźć.

– Z obserwacji wynika, że robi to, co zwykle, czyli nalewa piwo i smaży frytki. Za to na aucie na bank jest ludzka krew. Zwijamy go czy czekamy na wyniki DNA?

– Nie chce mi się czekać. – Postukała długopisem w blat biurka. – Sprawdźcie jeszcze na monitoringu, czy gdzieś w istotnych dla śledztwa okolicach w godzinach odpowiadających czasowi śmierci Wężyka nie jeździło jego auto. Jeśli jeździło, to zwijamy. Jeśli nie, to wróćcie do mnie i zdecydujemy. Rozpytaliście wskazanych przez niego ludzi?

– Tak – odparł Wielicki. – Wszyscy potwierdzili jego wersję. Bosman cały wieczór stał za barem, a Wężyka nie było.

– Ten Żabka też? – zdziwiła się. Na nagraniu z prowokacji dziennikarza Roman Żabka, czyli według słów Strzygonia „pan Frykas”, wyraźnie mówił, że go w ten wieczór w knajpie nie

było. Komu skłamał? I po co?

– Tak – powtórzył Bąk.

– Wszyscy mówią jednym głosem. – Pokiwała głową. – Wszyscy kłamią. To jest do przewidzenia. Potrzebujemy na nich innych metod.

– Jakich? – Wielicki rozłożył ręce.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

– Naukowych.

Bastian wychodził od cioci Wiesi, kiedy zadzwonił telefon.

Był rozczarowany, bo niczego się nie dowiedział. Staruszka była w nie najlepszej formie, zaskoczył ją porannym najściem, a mama, jak stwierdziła ciotka Krystyna, nie lubiła niespodzianek. Czuła się nieprzygotowana do przyjmowania gości, skrzępowana, że nie ma go czym poczęstować, a w dużym pokoju nieposprzątane. Dała się jednak namówić na obejrzenie zdjęcia i szkicu.

Patrzyła długo. A potem podniosła na Bastiana stalowe oczy i potrząsnęła głową.

– Nie poznaję – powiedziała, walcząc z chrypką. – Nie znam tych twarzy.

Nazwisko Szachen też nic jej nie mówiło. Amalia, jeśli to ona, musiała być od niej starsza. Posiedział jeszcze chwilę, wypił herbatę, pogadał o pogodzie i poszedł. Jeden zero.

Popatrzył na wyświetlacz smartfona. Zaklął cicho.

– No co tam, Dawcio?

– To ja się pytam, co tam – zaśmiał się głos po drugiej stronie. – Co się tam odstawia w tej twojej Dąbrowie? Strzelanina jak na amerykańskich filmach. I to oberwała ta laska z synagogi,

z którą rozmawiałem. Ale zbieg okoliczności!

– Serio? – zdziwił się Bastian.

– To ja tu dzwonię, żeby się czegoś dowiedzieć, a ty nic nie wiesz?

– Byłem zajęty czym innym – mruknął.

– Sprawdź sobie lokalne portale. A jakbyś się czegoś dowiedział, to pamiętaj o mnie, dobra? Jak się urodzi coś ciekawego, to może wpadniemy z kamerą. Mam ją skreconą, jak gada, nie weszło w całości do materiału, to może teraz się przyda.

Rozłączył się, a Bastian szybko wyszukał informacje z poprzedniego dnia.

Przy próbie ucieczki zatrzymanego Macieja W. doszło do oddania strzałów przez policjanta. Ranna została przypadkowa osoba.

Próba ucieczki? Maciej W.? Czy na pewno o tym samym Macieju W. mowa? Czy Dorota Seweryn to w tej sprawie przypadkowa osoba? Powinien dać znać Wiolce. To jej koleżanka.

Zawahał się. Powinien.

Podjechał seicentem nieopodal mostka domu Zarębów. Czekał. Obserwował, chociaż miał ochotę wyskoczyć z Brzydala i biec. Wreszcie się doczekał. Na ulicę wyjechała żółta mazda. W środku siedział pan „nie życzę sobie” z małżonką.

Bastian ruszył, uzbrojony w swój uśmiech z dołeczkami i dużą dozę wyuczony bezczelności. Przywitał się z prawnukami pana Zaręby jak ze swoimi siostrzeńcami. Czarnowłosa dziewczynka go poznała. Wahala się, bo przecież jej mówili, żeby nie wpuszczać obcych do domu. Ale on się nie zachowywał jak obcy, poza tym przecież już tu był i powtórzył to z dziesięć razy. Poprowadziła go do pokoju, gdzie Jakub Zaręba siedział na

wersalce dokładnie w takiej pozie, w jakiej ostatnio go tu Bastian zostawił.

Przeszło mu przez myśl, że on tak siedzi całymi dniami. Siedzi i czeka.

– Wróciłeś pon. – Staruszek się uśmiechnął pustymi dziąsłami. Miał na sobie wyprasowaną koszulę zapiętą pod szyję. Na jego policzkach widać było krótką siwą szczecinę.

– Wróciłem – powtórzył za nim Bastian. – Mam jeszcze kilka pytań.

Nie miał czasu bawić się we wspominki. Musi załatwić sprawę, zanim wróci tu krewki wnuk Zaręby i wyrzuci go na zbity pysk. Wyciągnął z kieszeni smartfona i wyświetlił na ekranie rekonstrukcję wyglądu dziewczyny z sadu. Podsunął staruszkowi pod nos.

Ten najpierw się odchylił, potem przysunął. Na stoliku przy wersalce wymacał dłonią grube okulary. Założył.

– Kto to jest, panie Zaręba? – zapytał dziennikarz.

– A jo wiym? – Zaręba przysuwał i odsuwał od siebie telefon, poprawiając okulary. – No chyba żem ją znoł. Ale kto to?

Bastian wydobyl z kieszeni zdjęcie. Podał Zarębie.

– A teraz?

Pomarszczona twarz staruszka stężała. Rozchylił usta. Spoglądał to na zdjęcie, to na telefon. I nagle, ku zdumieniu dziennikarza, szczerze się ucieszył.

– No, cobym ją miał nie znoć? – Klepnął się po udach. – To przez te włosy żem jej nie poznoł. Jakieś dziwne mo na tym obrazku. Tak się ona nie cesała.

Bastian nachylił się do niego, aż poczuł zapach niemodnej wody kolońskiej i starego człowieka. Wbił weń spojrzenie.

– Panie Zaręba – powiedział, starając się opanować. – Kto to jest?

– No, dziewczuszka od krawców! – zawołał staruszek. – Jak im było? Od Szachenów.

Dziennikarz odetchnął. Ukrył twarz w dłoniach.

– Amalia Szachen.

– Jak? Amalia? – Jakub Zaręba przechylił głowę, nadstawiając ucho. – A może i Amalia. Ja żem jej z imienia nie znoł. Jej ojciec był krawiec, ale taki lepszy. Szył bratowi garnitur do ślubu, to z tej racji żem ich znoł.

– Wie pan, co się z nią stało? – zapytał Bastian przez ściśnięte gardło.

Staruszek wpatrywał się w punkt na ścianie nad piecem, jakby tam znajdowała się księga, której dawno zapomniana karta otwarła się przed nim, gdy zobaczył szkic i starą fotografię.

– Szacheny byli bogate – odparł.

Bastianowi przypomniało się, jak babcia – albo jej rodzeństwo – potrafiła długo opowiadać, komu z ulicy się powiodło albo zmarło, kto się ożenił albo owdowiał, kto kogo, kto komu, kto z kim, o kim i dlaczego. W mimice zmarszczek Zaręby drgała teraz ta sama fala pamięci długotrwałej.

– Mówiło się, że Szacheny się wykupili z gieta i ukryli u ludzi – zaczął staruszek. – Potem ktoś widział, że krawca wnet złapały żandarmy. Gdzieś w lesie. I zastrzeliły, jak wszystkich. Co się stało z babą i z dziećmi, to nie wim. Ale mówiło się też, że kto je znajdzie, będzie bogaty. Piniądze na pewno miały. Żyd, ponie, to ni miał prawa żyć. A ta mała nie dosyć, że była Żydówką, to miała złotego zęba.

Bastian gwałtownie poderwał głowę.

– Co pan powiedział? – wyszeptał.

– No, zęba złotego – powtórzył zaskoczony staruszek.

Bastian spojrział na szkic wciąż wyświetlony na jego smartfonie. I na zdjęcie.

Jeśli nawet bał się do tej pory, że Zarębie ze starości coś się pomyliło, to właśnie się upewnił.

Amalia Szachen. To byłaś ty.

Staruszek za to się zmieszał. Złożył kościste dłonie, opuścił głowę, zapatrzył się w dywan pod swoimi stopami.

– No takie czasy były – dodał. – Tak niektóre ludzie myśleli. Niemce, ponie, to robiły takie rzeczy, że ludzie patrzyli i wierzyli, że jak tak...

Zaręba przełknął ślinę i podniósł na dziennikarza udręczone spojrzenie.

– ...to wszystko wolno.

*

Anka dorobiła sobie herbaty. Po porannym SMS-ie od Bastiana poszła prosto do archiwum. Sympatyczny chłopak wydawał się rozczarowany, że tym razem przegląda tylko inwentarze. Nazwiska Szachen nie było w żadnym z dokumentów, a próbowała go szukać w kilku wariantach.

Sprawdziła dla pewności jeszcze raz nazwisko dziadków Bastiana – Świątek. Wężyka znalazła tylko w jednym dokumencie, który dobrze znała, w aktach postępowania przeciwko obywatelowi Kozie. Z ciekawości zaczęła sprawdzać inne nazwiska, które przewijały się w sprawie: Zaręba, Seweryn, Wójcik, Żabka. Sprawdziła w KRS-ie, że przedsiębiorstwo małej gastronomii U Bosmana w Dąbrowie należy do niejakiego Marcina Sochy. Założyła, że Socha to Bosman, ale jego nazwiska

też tam nie było.

Wróciła do domu i z kotem na kolanach zaczęła jeszcze raz, mozolnie przeglądać swoje kserówki. Pochwaliła się w duchu za to, że wcześniej zaznaczała nazwiska żółtym zakreślaczem. To dlatego poszło jej tak sprawnie, ale znowu nie znalazła nic. Ani śladu po Szachenach. A także Wężykach, Żabkach, Świątkach i innej drobnicy.

Z kubkiem świeżej herbaty zasiadła do komputera, który na jej kolanach zajął miejsce kota. Obrażony Pluto wyżył się, drapiąc fotel. Zaczęła od Unites States Memorial Holocaust Museum. Znajdował się tu dokument, do którego zabierała się już kilka razy, szukając inspiracji.

Pamiętnik Melanii Weissenberg, dziewczynki z Krakowa ukrywającej się w Dąbrowie, był pisany starannym pismem dobrej uczennicy, z początku piękną, egzaltowaną polszczyzną zdradzającą, że autorka czytała dużo literatury młodzieżowej. Zeskanowany pamiętnik można było bez problemu odczytać po latach. Dwunastoletnia Mela, podobnie jak pokolenia dziewczynek przed nią i po niej, powierzała pamiętniczкови swoje nastoletnie troski i zmartwienia. Ale były to troski i zmartwienia nieznane innym pokoleniom małych dziewczynek.

Bo która zapisałaby w swoim pamiętniczku: *Ach, Boże, mam taki wielki żal do Ciebie!?*

Anka zastygła przed komputerem. Łowiła słowa dziewczynki. Patrzyła, jak walczy z rozpaczą, ze smutkiem, kreśli kwieciste zdania, gdy dookoła palił się cały jej świat. Zamarła, kiedy znalazła fragment o Dąbrowie:

Mam złe przeczucie. Jakaś czarna, ogromna chmura wisi nad nami i napewno spadnie. Bo po co sobie wmawiać, że nie, że już było dość i nic nie będzie. Wszak Dąbrowa nie jest innym,

lepszym miastem od innych! Są w niej tak samo różni ludzie jak wszędzie, tak samo dobrzy i niedobrzy, zazdrośni i litościwi, biedni i zamożniejsi, szczęśliwi i nieszczęśliwi. Więc po cóż sobie wmawiać, że zanim zdążą coś złego zrobić, cud się stanie. Przecież cuda gdyby istniały, to by już wcześniej coś się widziało. Bo tyle już złego było i jest nadal! I cuda, gdyby istniały i mogły coś dobrego zrobić, to by z pewnością nie patrzyły obojętnie na cierpienia ludzkie, które są przecież bez granic. A wnet już nie będzie miał kto cierpieć!

Pod koniec pamiętnika nie było już kwiecistych zdań, inwokacji do utraconej przyjaciółki, filozoficznych rozmyślań o Bogu i ludzkim cierpieniu. Od pewnego momentu to sucha, beznamiętna litania na przemian strachu i nudy, głodu i pożądania. Na to, co ona i ukrywająca się wraz z nią kuzynka robiły na sianie z gospodarzem, Melania wymyśliła własne słowo: „lutanie”. To była jej waluta i jej potrzeba. Sposób na wykupienie się od śmierci i na pozostanie człowiekiem. Litania lutania, pomyślała Anka. Eros i tanatos.

Na końcu znalazła wykaligrafowaną listę nazwisk, bez żadnego komentarza. Co oznaczają? Czy tych, którzy przeżyli, czy tych, którzy zginęli? Potem jeszcze kilka stron adresów, zapisywanych latami. Był tu cały świat: Stany Zjednoczone, Szwajcaria, Izrael. Niektóre były poprzekreślane po latach innym długopisem.

Ale żadnego z nazwisk, jakie ją interesowały, ani jakiegokolwiek wzmianki o krawcu i jego rodzinie tam nie było.

Odetchnęła głęboko i przeskoczyła do Yad Vashem. Tu było trudniej, bo zapisy ustne znajdowały się w transkrypcjach na hebrajski. Jedynie te odręcznie sporządzone w języku polskim były dla niej przydatne. Ale nie było ich dużo. Wyczerpana pamiętnikiem Melanii, skanowała je tylko oczami. Już nie

spodziewała się wiele. Robiła to po to, żeby nie mieć sobie do zarzucenia, że coś przeoczyła.

Nie spodziewała się więc, że jednak coś znajdzie.

I nie spodziewała się akurat tego nazwiska.

Z wielkim poświęceniem i w wielkiej tajemnicy, albowiem obawiali się o swe życie, trzymali jeszcze Żydów Felicjan Żabka z żoną swoją do końca wojny. Nie chcieli oni zapłaty, a jedynie prosili o modlitwę w świętym mieście Jeruzalem. Podopieczni ich, dwaj bracia, młodzi chłopcy, dotarłszy do Palestyny prośbie ich zadość uczynili.

Bąk po raz kolejny przeszukał folder z plikami nagrań z monitoringu. Otworzył mapę i zbliżył na ulicę Warszawską, tam gdzie na leśnym zakręcie drogi 73 znaleziono ciało Wężyka. Biały transit z kotwicą na burcie musiał złapać się na jakąś kamerę. Wcześniej, gdy na nagraniach szukali wałęsającego się Władka, mogli zwyczajnie nie zwrócić uwagi. Bąk cofał się metodycznie od miejsca znalezienia ciała w kierunku miasta. Droga wiodła przez las, po czym z wolna zaczynały się pola i samotne, a potem coraz gęstsze domy jednorodzinne. W końcu okolica przypominała przedmieście małego miasteczka. Logo Tesco. Stacja BP.

Zatrzymał się. Gdzie jak gdzie, ale na stacji muszą być kamery, a któraś na pewno złapała to, co dzieje się na drodze. Zaklął zirytowany, bo nigdzie w folderze nie mógł znaleźć plików z BP. Sprawdzał jeden po drugim. Nagrania nie było.

Podniósł się z krzesła i ruszył przed siebie korytarzem komendy.

Zastał Kaługę opierającego głowę na rękach. Podkomisarz wbił łokcie w blat biurka, na którym stała puszka z napojem

energetycznym i leżał listek tabletek od bólu głowy. Nie ruszył się, gdy Bąk stanął mu za plecami.

– Mariusz, słuchaj, nie wiesz, gdzie jest nagranie z BP? – spytał.

– Co? – Kaługa podniósł głowę. Oczy miał podpuchnięte, patrzył nieprzytomnie.

– Monitoring z BP. Z tego wieczora, co zginął Wężyk. Musimy to jeszcze raz obejrzeć.

– Wszystko, co my mieli, jest w tym współdzielonym folderze – sapnął Kaługa.

– Jak jest, jak nie ma? – zirytował się Bąk.

– Nie wiem, stary, *sorry*. Nie dzisiaj, okej? – Kaługa przetarł dłonią twarz. – Może Krystian by wiedział. Ale go nie ma.

– Ale zabezpieczyliście to w ogóle? – Bąkowi było głupio cisnąć Kaługę w takim momencie, ale czuł, że powinien jak najszybciej wyjaśnić kwestię brakującego nagrania.

– Co? Tak, no chyba tak, chyba tam nic nie było. – Podkomisarz sięgnął po puszkę z energetykiem. – *Sorry*, Lesiu, nie jestem dzisiaj w najlepszej formie.

Bąk poklepał go tylko po plecach i już miał wychodzić, gdy do pokoju wsadziła głowę sekretarka komendanta.

– Panie Leszku, wszędzie pana szukam – szepnęła konspiracyjnie. – Ci panowie z wewnętrznego chcą z panem rozmawiać!

Judyta Franz znowu popatrzyła na telefon. Ileż może trwać sprawdzenie jednego nagrania? Odkąd sprawa drgnęła, prokuratorka zrobiła się niecierpliwa, najchętniej już by kazała zwijać Bosmana. Ale w rękę miała jeszcze bardzo mało. Dla sądu – za mało. Ludzka krew na samochodzie nie dowodzi

jeszcze, że to Bosman zabił Wężyka. Bez zeznań, popartych solidnymi, materialnymi dowodami, nic nie działo. Facet pójdzie w zaparte. Ma za dużo do stracenia, a była przekonana, że za nim stoi ktoś większy. Maciej Wężyk, jeżeli rzeczywiście jest w zмовie, też za bardzo się boi, żeby zacząć mówić.

Potrzeba zeznania. Świadców, którzy rzuciliby światło na to, co się wydarzyło.

Jeżeli rzeczywiście mają tu do czynienia z czymś w rodzaju zмовy milczenia, to czekało ją żmudne śledztwo, docieranie do bywalców knajpy U Bosmana, wielokrotne przesłuchania, łapanie za słówka, tropienie nieścistości, udowadnianie kłamstw, drobiazgowo analizowanie, kto kłamie, przekonywanie, łamanie oporów, przeciąganie na jasną stronę. Będzie potrzebowała do tego bardzo dużo czasu i zastępów Bąków i Wielickich, bo z oczywistych względów miejscowych nie można w to zaangażować.

Ciągle myślała o tym, co powiedziała jej doktor Serafin. Powaga konsekwencji kontra prawdopodobieństwo wpadki. Trzeba dać im do zrozumienia, że ryzyko się nie opłaca. Przelicytować. Przekonać, że już i tak wszystko wiadomo, więc prawdopodobieństwo wpadki dąży do pewności, dlatego nie ma sensu dalej kłamać. A ci, którzy sami z siebie powiedzą prawdę, mogą liczyć na taryfę ulgową. Jak to mówiła doktor Serafin, jest statystycznie niemożliwe, że nikt tam nie ma wyrzutów sumienia, wątpliwości, nie bije się z myślami. Trzeba im pomóc rozwiązać równania i dylematy.

Tylko jak do nich dotrzeć, kimkolwiek są? Oplakatować miasteczko obwieszczeniami? *Achtung, Achtung*, tu prokurator Judyta Franz, znam wasze nieczne sprawki. Wtedy dopiero zewrą szeregi. I na pewno nie uwierzą. Nie, tu trzeba zagrać subtelniej.

Podniosła telefon do ucha.

– Panie Sebastianie? – rzuciła, kiedy odebrał. – Mam dla pana propozycję nie do odrzucenia.

Bastian zaklął głośno. Miał ochotę rzucić telefonem o ścianę. Pieprzona stara nietoperzyca. Co go zaćmiło, gdy zgadzał się, jak w baśni braci Grimm, w zamian za przysługę oddać czarownicy coś, o czym jeszcze nie wie, że to ma?

W baśni – a także w opowiadaniu o wiedźminie – chodziło o dziecko przeznaczenia. Iza powiedziała, że podpisał weksel *in blanco*. Więc teraz niech się nie dziwi, że musi oddać coś, co ma najcenniejszego.

Prawdę.

Mógłby kazać prokuratorce iść ze swoim cyrografem do diabła. Ale to by znaczyło, że jego słowo jest nic niewarte. Jak miałby dalej pracować słowem?

Jak to mawiała babcia? Nie wzywaj diabła, bo do ciebie przyjdzie.

Popatrzył w oczy Amalii Szachen, której samotny portret zajął miejsce zdjęć z ośrodka. To przez ciebie. To dla ciebie.

Musiał być strasznie naiwny, wierząc, że to nie będzie kosztować. A przecież odziedziczył dług.

A więc tego ode mnie chcesz? – zapytał ją. To mam poświęcić?

Po takiej akcji nie będzie już dziennikarzem ze swoich wyobrażeń. Nigdy więcej nie spojrzy bez wstydu w lustro.

Wziął w dłoń telefon. Popatrzył na ostatnie połączenia.

Chyba że udałoby się to załatwić cudzymi rękami.

– Cześć, Dawcio – rzucił lekkim tonem. – Słuchaj, jest parę ciekawych informacji. Ale to nie na telefon.

Zwalisty menedżer zmiany na stacji benzynowej BP zadeklarował współpracę i poprowadził Bąka do kantorka, gdzie stało biurko z komputerem. Jeden z monitorów wyświetlał podgląd na żywo z kamer monitoringu. Na biurku stał kubek z parującą kawą, leżał nadgryziony batonik.

Bąk był zdezorientowany. Rozmowa z policjantami z wydziału wewnętrznego nie należała do najprzyjemniejszych. Smutni panowie słuchali z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jak opowiadał o swoich relacjach z Krystianem Papą. Wypytywali o zatrzymanie Wężyka, o stawiane mu zarzuty i o to, czy jest niebezpieczny. Bąka nie było przy akcji na Oleśnickiej, ale z tego, co opowiadał Wielicki, i z ich pytań wywnioskował, że można mieć do decyzji dąbrowskich stróżów prawa uzasadnione zastrzeżenia. Bąk zdążył polubić Papę, milczącego chłopaka z sąsiedztwa, który nie filozofował, tylko robił swoje. Ale po pytaniach panów z wewnętrznego zaczynał się zastanawiać, czy to aby na pewno była dobra robota.

– O, o ten widok mi chodzi. – Bąk dotknął palcem obszaru monitora, gdzie widać było poruszające się ulicą Warszawską samochody. Z takiej odległości i z takiego kąta na pewno nie dałoby się odczytać tablic rejestracyjnych, ale dostawczak Bosmana był charakterystyczny. – Głupia sprawa, gdzieś nam to nagranie zginęło albo ktoś zaniedbał i go nie zabezpieczył.

Po raz kolejny usłyszał dziś słowo „zaniedbanie”. Poczł się jak ostatnia łajza.

– Martwimy się, żeby nie przepadło. – Bąk przełknął ślinę. Jeśli okaże się, że tego nagrania nie ma, Franca zje go na kolację bez musztardy.

– Nie ma problemu. – Facet ugryzł batonika. – U nas kopie wszystkich nagrań są zapisywane na zdalnym serwerze. Jak mi pan powie, o który dzień panu chodzi, i da parę minut, to zaraz je

panu zorganizuję.

Bąk odetchnął. Czyli istnieją w tym miasteczku instytucje, w których dla odmiany jest porządek. Patrzył, jak facet gdzieś dzwoni i przyciskając ramieniem słuchawkę do ucha, zaczyna na przemian klikać i klepać w klawiaturę. Podziwiał jego umiejętność jednoczesnego trzymania telefonu, obsługi komputera i jedzenia batonika. Wreszcie menedżer się rozłączył.

– Wysłać na maila? – Uśmiechnął się. – Czy wypalić na płytce?

Bąk podyktował mu adres mailowy i sprawdził na komórce, czy przyszło. Uratowany, pomyślał. Miał ochotę kupić facetowi w prezencie kilo batoników.

– A jest pan w stanie sprawdzić, czy wydawaliście komuś to nagranie?

Facet zaczął grzebać w szufladzie. Wśród papierów znalazł cukierka i wsunął sobie w usta. W końcu odgrzebał odpowiedni zeszyt i zaczął go kartkować.

– Jest. Wydano urządzenie rejestrujące... – czytał.

– Komu wydano? – przerwał mu Bąk. – Całe urządzenie rejestrujące? A nie po prostu plik?

– Mam tutaj, że policji. – Tamten przepaszająco wzruszył ramionami.

– A komu konkretnie? – nie odpuszczał Bąk.

Facet wyjął z szuflady inny zeszyt. Znowu sięgnął po telefon.

– Kaziu, ty żeś miał nockę z trzeciego na czwartego sierpnia? – rzucił głośno do słuchawki. – No wtedy, co z policji byli po zapis z kamery?

Słuchał.

– Kolega, co wtedy pracował, mówi, że było ich dwóch –

poinformował, gdy się rozłączył. – Młody Papa, Krystian, z tym swoim szefem. I że dostali kawę na wynos.

*

Wszystko się zmieniło.

Po zgliszcach stodoły nie było śladu. Ściągnięta przez Izę ekipa wywiozła zwęglone belki, uprzątnęła pogorzelisko, resztę popiołów zaorano. Druga ekipa rozwinęła w tym miejscu trawę z rolki, ciesząc się, że na ziemi zmineralizowanej popiołem będzie rosła jak szalona. „Taka będzie piękna i świeża – mówili – że zaraz pani o tym nieszczęściu zapomni”.

Bella – Izka, poprawił się w myślach Bastian – musiała wydać na to majątek. Teraz krążyła po nowym trawniku. Po zniknięciu stodoły rozciągał się z niego widok aż po drzewa nad Breńką, nad którymi zachodziło słońce.

– Szwedzka czerwień – mówiła, wskazując na pobielony już chlewik z pustaków, który został po wypalonym sąsieku. – Albo elewacja z sezonowanych desek, żeby nawiązać do stodoły. Ścieżka? Podkłady kolejowe! Pamiętasz, jak tu kiedyś jeździł pociąg, jak się w lecie włóczyło wzdłuż torów? Nie zapomnę tego zapachu. Prostota i nostalgia.

Pośrodku niedawnego pogorzeliska Iza poleciała urządzić miejsce na ognisko. Bastian musiał przyznać, że siostra ma jednak poczucie humoru. Właśnie udało mu się podpalić stosik wysuszonych szczap. Pomarańczowy żar buzował. Dziennikarz odpalił sobie od niego papierosa. Anka siedziała obok na pieńku. Milczeli.

Na mostku zawarczał silnik, opony zazgrzytały o żwir. Bastian się podniósł. Reflektory samochodu zgasły. Trzasnęły drzwi. Iza przerwała rozważania, czy w chlewiku będzie sauna, czy

magazynek. W krąg światła lampy nad drzwiami weszła prokurator Judyta Franz. Zatrzymała się. Bastian uniósł brwi. Miała przyjechać, żeby omówić z nim strategię wykonania swojej niemoralnej propozycji, bo przecież trudno, żeby takie pomysły obgadywać w siedzibie prokuratury. Ale to miało być jutro.

Z ciemności za nią wynurzyli się dwaj mężczyźni: jeden z włosami na jeża i zarostem, w bluzie z kapturem i ze sportowym plecaczkiem na ramieniu, drugi z przedziałkiem i w dżinsowej kurtce. Jeden trzymał ręce w kieszeniach, drugi za plecami.

– Dobry wieczór. To są panowie Bąk i Wielicki z Małopolskiej Komendy Wojewódzkiej Policji – oznajmiła rzeczowym altem prokuratora. – Panie redaktorze, mała korekta planów, pojawiły się nowe okoliczności. Wszystko, co sobie od tej pory powiemy, pozostaje ścisłą tajemnicą i bez mojej wyraźnej zgody nie może to stanowić treści publikacji prasowych.

Odetchnęła.

– Są nam państwo potrzebni.

– Jakbym wiedział, że jest ognisko, tobym gitarę przywiózł – powiedział ten w bluzie, Bąk.

– Mam łyskacza w bagażniku – odparł ten drugi, Wielicki. – Pani prokurator, można?

Judyta Franz obejrzała się na niego.

– Dobrze.

Bąk podszedł do Strzygonia i na tablecie wyświetlił zdjęcie. Dziennikarz zobaczył ziarnisty obrazek z kamery monitoringu, powiększony i podkreślony cyfrowo. Przedstawiał widziane z boku i nieco z góry dwa jadące jeden za drugim samochody. Pierwszy jechał biały dostawczak, na którego burcie widniała czarna kotwica. Blisko za nim sunął stary łazik na grubych

terenowych kołach. Była jeszcze data i godzina. Czwarty sierpnia, trzydzieści sześć minut i szesnaście sekund po północy.

– Rozpoznaje pan?

Dziennikarz wyjął papierosa z ust.

– To furgonetka Bosmana. A to – dodał, przełykając ślinę – to jest taka terenówka, jaką nas z Gerardem gonili po lesie.

Anka poderwała się z miejsca i doskoczyła do tabletu.

– Noc, w którą zginął stary Wężyk – wyszeptała, zobaczywszy datę.

– Ulica Warszawska, monitoring ze stacji benzynowej – dodała Franz. – Droga na Szczucin, jadą w kierunku miejsca ujawnienia zwłok.

– Wiozą go – powiedziała Anka.

Dziennikarz wyprostował się, wyszarpnął smartfona z kieszeni i zanim prokuratorka zdążyła zaproponować, wybrał numer.

– Cześć, kuzyn, *sorry* za porę, ale pilne pytanie mam. Wiesz może, kto w Dąbrowie jeździ takim fajnym, starym klasycznym łązikiem?

Milczał chwilę.

– Nie no, co ty! Z tą furgonetką też w nic cię nie wrobiłem, nie moja wina, że policja się nią zainteresowała. Twoja przecież też nie. Spokojnie. – Gestykulował dłonią z papierosem i przeklinał się w duchu, że nie wpadł wcześniej na to, żeby zapytać o ten samochód Bogdana. – Kolega z telewizji go przyuważył, jak tu był, i właśnie mnie o niego pyta, bo będą robić program o historii motoryzacji, a to podobno jakiś kolekcjonerski model, no i pomyślałem, że kto będzie wiedział, jak nie ty, najlepszy mechanik w Dąbrowie...

Franz pomyślała, że on nie uczestniczył w weekendowym kursie manipulacji. On mógłby go prowadzić.

– Aha? – mruknął dziennikarz. – Dzięki.

Opuścił powoli telefon.

– Krystian Papa – powiedział. – Tak się nazywa właściciel łazika. Jest myśliwym, jeździ nim na polowania. Kto to?

Franz, Bąk i Wielicki, który wrócił z butelką whisky, popatrzyli po sobie.

– Przydupas Kaługi – mruknął Bąk.

Dziennikarz gwizdnął przez zęby.

Dorota Seweryn poruszyła wargami. Poczła ciepło w okolicy barku, sztywność całego ciała, pieczenie pod powiekami. Nie wiedziała, czy siedzi, czy leży, unosiła się w przestrzeni kołysana w rytm bicia własnego serca. Usłyszała ciche, rytmiczne popiskiwanie, poczuła chemiczny, wiercący w nosie zapach.

Poruszyła się. W tym momencie obudził się ból. Rozlał się falą od barku przez pierś, kręgosłup, szyję, do głowy i niżej, aż po palce u stóp. Gdzie ona jest? Co to za miejsce? I skąd ten ból?

Zaczynała sobie przypominać. Twarde schodki komendy. Zirytowany dyżurny. Czekanie. Wreszcie Maciek. Szarpanina, jego szeroko rozwarte w błaganiu, przerażone oczy. Podbiegł do niej, położyła mu dłonie na ramionach.

„Ratuj”, szepnął. „Ratuj, bo mnie zabiją”.

Patrzył na nią spojrzeniem, w którym skupiły się lata upokorzeń, pomiatania przez ojca, porażek i samotności. Zawsze bała się tego jego bólu, zaczęła od niego stronić. I zostawiła go samego.

Aż w jednej chwili ten ból do niej wrócił.

Szarpnął, wdarł się w jej ciało. Ugięła się pod nim, straciła równowagę. Uwiesiła się na Maćku, uderzyła kolanami o kostkę brukową. Poszukała wsparcia w jego twarzy, ale po policzkach

pływały mu łzy bezradności. Nie był w stanie jej utrzymać, bo ręce miał skute kajdankami.

A więc tak to jest, pomyślała. I potem była już ciemność.

Uniosła powieki. Piekły ją oczy. Nad sobą zobaczyła lampę. Przesunęła wzrok w lewo. Łóżko, na nim jakiś kształt podpięty do kłębiącej się nad nim aparatury. Potem podłoga z płytek. Krzesło. I postać na krześle.

Postać miała bluzkę zapiętą pod szyję, grube rajstopy, zamknięte oczy. Można by pomyśleć, że w ogóle się nie porusza, gdyby nie paciorki różańca, które w jej pooranych bruzdami dłoniach przesuwały się metodycznie.

Babcia.

– Nigdy nie pozwolę panu tego zacytować – zwróciła się do Bastiana Judyta Franz. Siedziała na krawędzi leżaka przy ognisku, ze szklanką whisky w dłoni, wpatrzona w trzaskające płomienie. – Ale dałam się nabrać jak dziecko.

– Wszyscy daliśmy się nabrać – mruknął Wielicki.

– Za dużo było błędów, ślepych uliczek, urwanych wątków, brakujących nagrań – podjął Bąk. – A gdzie się człowiek w tej sprawie nie obrócił, wszędzie wyskakiwał Mariusz Kaługa. Sympatyczny i pomocny. A za nim, jak cień, równy gość, Krystian Papa.

– Sądziłam, że próbuje się zrehabilitować po wpadce przy ujawnieniu zwłok Wężyka. – Franz odchrząknęła. – Więc go ignorowałam. A on mnie w tym czasie ogrywał.

– Wtedy kiedy do pani przyszedłem – wtrącił Bastian; marszczył czoło, próbując odtworzyć sobie w głowie przebieg wydarzeń – spotkałem Kaługę na parkingu. Powiedziałem mu... o Jezuu.

Wszyscy na niego popatrzyli.

– Powiedziałem mu, że mam dla pani ważne informacje. Namawiał mnie, żebym przekazał je jemu. Potem krzyczałem do pani, że to w sprawie Wężyka, na pewno to słyszała. A zaraz później...

Dziennikarz przycisnął pięść do ust.

– Zaraz później ktoś podpalił stodołę.

– Dwa kanisterki benzyny – przypomniał Wielicki.

– Dzwoniłem wtedy do Kaługi. – Bastian wstał. – Powiedział, że mam nie wychodzić z domu, a on wezwie policję i straż pożarną.

– To się da sprawdzić – podchwycił Bąk.

Franz przytaknęła i podjęła:

– Kaługa i Papa pojawili się na miejscu ujawnienia zwłok Wężyka. Forsowali wersję o wypadku samochodowym. Kaługa postarał się, żeby zwłoki szybko spakowano do worka, potem naciskał na wydanie ich rodzinie. Przekonywał mnie, że robił to z szacunku dla dobrego znajomego.

– Porozmawiałem z panią Wężyk – powiedział Bąk. – Zaprzeczała, żeby jej męża cokolwiek łączyło z Kaługą. Na pewno nie byli kumplami.

– Z nim nikt się tu nie kumplował – dodał Wielicki. – Też to od początku wiedzieliśmy.

Franz wypięła łyk whisky. Może się wreszcie rozluźni, pomyślał Bastian.

– Kaługa miał pecha, że akurat wtedy miałam dyżur i zaczęłam drażyć – stwierdziła. – Gdyby udało mu się załatwić to po swojemu i wykorzystać rutynę i omijanie procedur, do dziś szukalibyśmy auta, które potrafiło Wężyka, kiedy swoim zwyczajem włączył się po pijanemu wokół miasteczka.

– Prosto z miejsca sfingowanego wypadku Kaługa z Papą pojechali na stację benzynową przy Warszawskiej – podjął Bąk. – Wiedzieli, że tam złapał ich monitoring, więc przejęli nośnik z nagraniem. Nie wiedzieli, frajerzy, że backup nagrań idzie na centralny serwer.

Musnął palcem tablet. Pokazał im kolejne zdjęcia. O pierwszej czterdzieści sześć pojawił się wracający do Dąbrowy dostawczak. Czterdzieści trzy minuty później w tym samym kierunku jechał łazik Papy.

– A nad ranem, gdy o piątej dziesiąt przyszło zgłoszenie o wypadku, nasi chłopcy wrócili na miejsce radiowozem, niedługo po drogówce i karetce, żeby dopilnować sytuacji – dokończył.

Ogień buzował, Anka wyciągnęła przed siebie ręce. Rude poblaski tańczyły na jej dłoniach.

– Później Mariusz robił wszystko, żeby być przy sprawie – dodał Wielicki. – Przejęcie jej przez nas pokrzyżowało mu plany, więc zaczął się z nami kumplować. Był uczynny, proponował pomoc i podpowiadał fałszywe tropy. Papa wziął na siebie rozpytanie posiadaczy broni, a my na dzień dobry wykluczaliśmy policjantów. – Spuścił wzrok, gdy napotkał spojrzenie Franz. – Tymczasem Krystian nie dość, że ma broń służbową, to jeszcze poluje, więc ma broń długą.

– To on musiał strzelać do nas w lesie – dodał dziennikarz głucho.

– Z panem też Kaługa się kontaktował? – zapytała Franz. – I niech mi pan teraz nic nie pieprzy o ochronie źródeł.

Wyjął kolejnego papierosa.

– Naprowadził mnie na wątek łapówki i długu u Babiarskich. Ogrywał mnie, jak chciał, a ja błądziłem jak pijane dziecko stróża

we mgle – powiedział. – Przed tą akcją w lesie spotkałem go w knajpie. Ściemniałem, że wiem to i owo, bo miałem nadzieję, że coś chlapnie. A potem przyszedł ten mail.

Franz pokiwała głową. Wzięła solidny łyk whisky i podsunęła szklankę Wielickiemu.

– Nas później poszczuł na młodego Węzyka. – Wielicki uzupełnił szkło prokuratorce. – To pan przyniósł dowód, który potwierdzał tę wersję. Nagranie furii Maćka, gdy się dowiedział, że matka oddała pieniądze ojca Babiarskim. To by się trzymało kupy. Synek organizuje śmierć ojca, maluje sprayem fałszywe tropy, a sam spiernicza z miasteczka, zacząć nowe życie.

– Jasna cholera – syknął Bastian.

– Chwileczkę. – Anka uniosła palec. W świetle ogniska jej oczy błyszczały. – Po co więc Maciek wymalował te napisy? I gwiazdę Dawida na grobie ojca?

Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej. Trzaskały iskry.

– Zrobił to zaraz po tym, jak ty, Bastian, napisałeś swój oskarżycielski tekst i pojawił się żydowski temat i zainteresowanie mediów. On – powiedziała nagle – nie chciał mylić tropów.

Wstała.

– Chciał zwrócić naszą uwagę. Państwa – zwróciła się do prokuratorce – i naszą – dodała w stronę Bastiana. – Maciek się zorientował, że zamordowanie starego pijaka nikogo nie obchodzi, a śledztwo zaraz utknie w ślepym zaułku, już Kaługi z Papą w tym głowa. Natomiast na hasło „Żydzi” do Dąbrowy zjeżdżają wozy transmisyjne i wszyscy stają na baczność. Gwiazda Dawida na grobie ofiary miała zwrócić uwagę mediów na tę sprawę. Twoją uwagę, Bastian. Tworząc powiązanie między tematem żydowskim a śmiercią Węzyka, Maciek chciał

zagwarantować, że ktoś zajmie się nią na poważnie.

– A „krew jego na was i na dzieci wasze”? Dlaczego tak? „Żydzi won” by nie wystarczyło? – wypowiedział Bastian w stronę żaru. – Po co to było?

– To nie jest o Żydach, którzy zabili Pana Jezusa. Jeśliby tak było, ten religijny chłopak, który był w seminarium, nie napisałby „jego” małą literą. To komunikat do zabójców jego ojca. Oskarżenie. Maciek Wężyk – Anka Serafin objęła się ramionami – wie, co się wydarzyło.

Przez chwilę było słycać tylko buzowanie ognia i trzaskanie pękających polan. Gdzieś dalej odezwały się żaby, koncertował świerszcz. Wiatr przywiewał chłód od rzeki.

– Naprzeciw synagogi znajduje się, po pierwsze, komenda powiatowa, a po drugie, sklep Frykas należący do Romana Żabki – powiedziała powoli prokurator Judyta Franz. – Bosman zeznał, że Roman Żabka, dawny wspólnik Wężyka, był tamtej nocy w lokalu, chociaż wcześniej powiedział państwu, że go tam nie było. Do tego rzucił się z pięściami na pana Gerarda, który prowokował go, twierdząc, że go tam z Wężykiem widział. Dane ze stacji bazowych GSM wskazują, że U Bosmana mógł też wtedy być Maciej Wężyk. Może rzeczywiście widział, co się tam wydarzyło.

– A co z wątkiem żydowskim? – zapytał Bastian.

– Nie wiem. – Anka pokręciła głową. – Jeszcze nie wiem.

Myślała intensywnie, czy informacja, że rodzina Żabków ratowała Żydów, ma tutaj znaczenie i czy w jakiś sposób może się wiązać z gwiazdą Dawida na grobie Wężyka.

– Dobra, ale dlaczego nie mógł po prostu zgłosić się do prokuratury? Albo, nie wiem, napisać anonimu? – rzucił Bastian.

– Skoro tam był i wiedział, to pewnie zobowiązali go do

milczenia. Pewnie mu grozili, bał się. Został tu sam, bez żadnego wsparcia, ze znerwicowaną matką, której też grozi teraz niebezpieczeństwo. – Zaczęła nawijać rudy pukiel na palec.

– Na przesłuchaniu Kaługa powiedział, że Maciek powinien się bać o matkę – przypomniał sobie Wielicki.

– Nie on jeden milczał – kontynuowała Anka, patrząc na Bastiana. – Chciał, żeby kto inny rozwikłał tę sprawę. Chciał, żebyś to był ty.

Bastian zapatrzył się w ogień. On też, jak wszyscy, szybko uznał młodego Wężyka za luzera i sierotę. A przecież Maciek próbował mu coś powiedzieć. Pytany o ojca, mówił mu, że był pijakiem. Że pił.

To była jedyna informacja, jaką Bastian uzyskał od młodego Wężyka. Że stary pił. Pił U Bosmana.

Kaługa i Papa, Bosman i Żabka, i Maciek. Wszystko splata się i spotyka w knajpie, w której w noc swojej śmierci pił stary Wężyk.

Bąk z Wielickim od dłuższego czasu spoglądali po sobie i nachyleni wymieniali urywane uwagi. Teraz Wielicki też wstał.

– Jest jeszcze jedno – powiedział. – Nie dawało nam to spokoju. Sądzymy, że Kaługa z Papą chcieli załatwić Maćka.

Prokurator Franz spojrzęła na niego uważnie.

– Napisy rozwścieczyły Mariusza. A to, że dostał tę sprawę, spadło mu z nieba – włączył się Bąk. – Kiedy się okazało, że graffiti namalował Maciek, Mariusz zorganizował zatrzymanie i wsadził go na dołek. Akcja mocno nieproporcjonalna do wagi zarzutów. Przejrzałem dziś książkę dyżurów na komendzie. Obaj z Papą mieli wtedy nockę. A sam Mariusz nam mówił, że na tę noc zamienił się dyżurami. Myślę, że po to, żeby mieć komendę tylko dla siebie i Maćka pod celą.

– Zostawili mu sznurek w gaciach – powiedział cicho Wielicki. – Możliwe, że rano znaleźlibyśmy Maćka powieszzonego z rozpaczy na tym sznurku. Z niewielką pomocą naszych uczynnych kolegów. Upiekliby dwie pieczenie przy jednym ogniu: pozbyliby się zagrożenia i zrzucili winę za śmierć Wężyka na Maćka. Wiedzieli, że miał motyw, i znalazłyby się dowody. Ale znowu szyki pokrzyżowała im pani, pani prokurator.

– Wnioskując o tymczasowe aresztowanie Maćka i przeniesienie do Tarnowa, uratowała mu pani życie – dodał Bąk.

Prokuratorka przeniosła spojrzenie na Ankę.

– To nie ja – zaprzeczyła. – To pani. To był pani pomysł, żeby go odizolować.

Anka spuściła wzrok. Palily ją czubki uszu.

– Sądzę też – podjął Bąk – że wtedy zaczęli improwizować. Pamiętasz, Jacek, jacy byli pomocni, gdy przewoziliśmy Maćka? Kaługa pomógł go prowadzić.

– A Papa wyprowadził nas prosto na tę dziewczynę na schodach. Żeby się zrobiło zamieszanie? Bo się zrobiło. I wtedy Maciek mi się wyślizgnął. Kaługa się z nim szarpał. Wydaje mi się – powiedział Wielicki – że Kaługa mi go, skurwiel, wyrwał.

– Żeby Papa miał pretekst do rozwalenia go – dokończył Bąk. – Tyle że trafił w dziewczynę. To nasza hipoteza. Ale świadczyłaby...

– ...że Maciek Wężyk jest kluczem do tej sytuacji – uzupełniła Anka Serafin. – Nie może jednak powiedzieć, co się wydarzyło.

Zapadła uroczysta cisza.

– Maciek Wężyk – Anka stanęła, wyprostowana na tle ogniska, a poblaski ognia tańczyły na jej twarzy – napisami

próbował ściągnąć naszą uwagę. Gdy Kaługa z Papą się zorientowali, że to on, postanowili go usunąć. On wie. Chce się z nami skomunikować, ale nie może, bo boi się o siebie i o matkę. – Odrzuciła włosy do tyłu. Zalśniły w świetle ogniska. – Jest najsłabszym ogniwnem.

Franz przerwała ciszę.

– Dwa problemy. Po pierwsze: dlaczego? A po drugie: jak to udowodnić?



ROZDZIAŁ 16

– Scen przypominających te rodem z policyjnego serialu Dąbrowa Tarnowska jeszcze nie widziała. – Dawcio świdrował wzrokiem obiektyw kamery, stojąc na schodach supersamu. Wóz transmisyjny parkował przed sklepem. Dalej była policyjna taśma, barierki i znudzeni funkcjonariusze prewencji pilnujący, żeby nikt spośród gęstniejącego tłumku gapiów nie pchał się tam, gdzie pracują policyjni technicy. Bazarek był nieczynny. Tam, gdzie na co dzień handlowano ziemniakami, markową odzieżą i chemią z Niemiec, dziś stały radiowozy. – W tym powiatowym mieście, gdzie niedawno doszło do zabójstwa upozorowanego na wypadek, gdzie znaleziono niewiadomego pochodzenia szkielet, a zaraz potem pojawiły się antysemityczne napisy na zabytkowej synagodze – wypluł z siebie Dawcio i wziął haust powietrza – policja i prokuratura prowadzą dziś zakrojone na szeroką skalę czynności z zastosowaniem nowoczesnej technologii, mające potwierdzić nowe wątki śledcze. – Wyskandował to wszystko do mikrofonu, akcentując każdą sylabę.

Bastian stał za kamerzystą i obserwował. Za supersamem, pośrodku placu okolonego budami z blachy falistej i pastelowymi sklepikami, stała prokurator Judyta Franz w granatowej garsonce. Bąk i Wielicki przekazywali polecenia technikom. Jeden z nich, z dredami, nadzorował obsługę drona, który właśnie wznosił się nad placem. Dron zrobił kilka rundek nad supersamem, barakami, budami. I barem U Bosmana. A potem niespiesznie poleciał nad

ulicą Świętego Jana i dalej, Warszawską, mijając po lewej stronie synagogę. Zawisł tam znowu, zrobił kilka rundek i poleciał dalej, w stronę Szczucina.

Bastian zapalił papierosa. Patrzył.

Mijając barierki, pod policyjną taśmą przeszedł podkomisarz Mariusz Kaługa w koszulce polo. Bąk wskazał go prokuratorce ruchem głowy. Franz się odwróciła. Kaługa poruszał zamasyście barkami, twarz miał zaciętą. Zbierał się w sobie.

Judyta Franz wyszła mu naprzeciw. Spotkali się nieopodal barierek.

– Panie Mariuszu – odezwała się. – Dobrze, że pan jest, pan Jacek zaraz wszystko panu wytłumaczy.

Napięcie spłynęło z jego twarzy, zmyte zdumieniem. Franz wygładziła spódnice i ruszyła w stronę kamery. Dawcio, widząc znaki dawane mu przez kamerzystę, obejrzał się.

– Ale oto właśnie przedstawicielka lokalnych organów ścigania – powiedział, starając się równocześnie iść prosto i mówić do kamery. – Pani prokurator, co się tu dzieje?

– Niestety, nie mogę ujawnić charakteru prowadzonych czynności – oświadczyła Judyta Franz swoim profesjonalnym altem. – Podjęliśmy je w trybie pilnym, gdy wyszły na jaw okoliczności rzucające nowe światło na sprawę zabójstwa Władysława W.

Bąk podszedł do Strzygonia. Dziennikarz wstał i spojrzał pytająco w stronę Wielickiego, który prowadził Kaługę za taśmę policyjną, przed bar U Bosmana.

– Co my robimy? – syknął Bastian policjantowi do ucha.

– Pozwalamy Mariuszowi wierzyć, że ma kontrolę nad sytuacją – odszepnął Bąk.

Odszedł w stronę furgonetek. Bastian z powrotem usiadł na

schodach supersamu. Słuchał.

– Jak państwo widzą, miejscowi stróże prawa nie są skorzy do wyjawiania, na czym polega prowadzona dziś tutaj akcja – perorował do kamery otoczony gapiami Dawcio. – Jak jednak udało się nam ustalić za pomocą dobrze poinformowanych źródeł...

Zawiesił teatralnie głos, sięgając po notes.

– ...prokuratura w Dąbrowie Tarnowskiej z udziałem komendy wojewódzkiej policji sięgnęła po najnowsze technologie i poprosiła o konsultację wybitnych naukowców z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Bastian omal się nie zakrztusił. To się Anka ucieszy.

– Laserowe skanowanie otoczenia za pomocą drona ma pomóc w odtworzeniu ostatniej drogi zamordowanego tu na początku miesiąca Władysława W. – mówił Dawcio, zerkając w notatki. – Zostanie ona porównana z wynikami analizy obrazu kamer monitoringu przeprowadzonymi przez sztuczną inteligencję, co umożliwi odtworzenie brakujących szczegółów. Wreszcie, laboratorium kryminalistyczne zakończyło analizę 3D zwłok Władysława W., co pozwala precyzyjnie odtworzyć przebieg zabójstwa.

Bastian obserwował, jak gapie wymieniają między sobą spojrzenia.

– Wszystkie te metody mają tylko potwierdzić wersję, o której w kularach prokuratury mówi się jako o dobrze udokumentowanej i w zasadzie pewnej – kontynuował reporter. – Prokuratura przymierza się już do postawienia zarzutów sprawcom, a także wielu osobom zamieszkanym w tuszowanie zabójstwa i wprowadzanie wymiaru sprawiedliwości w błąd. Jedynie szczere zeznania mogą uchronić mataczących przed

zbliżającymi się konsekwencjami. – Złowieszczco zawiesił głos. – O dalszym przebiegu tej rozwojowej sprawy będziemy państwa informować – zakończył, widząc znaki dawane mu z wozu transmisyjnego. Zbliżał się blok reklamowy. – Z Dąbrowy Tarnowskiej relacjonował dla państwa Dawid Wojciechowski – zaintonował barytonem. Opuścił mikrofon i mrugnął do Bastiana.

Strzygoń z powagą odpowiedział mu podniesionym kciukiem. Tłumek za jego plecami zaszemrał. Od gapiów niepostrzeżenie odkleił się krępy mężczyzna. Bastian dostrzegł go już wcześniej. Poznał go. To był Roman Żabka. Odszedł w stronę poczty, z głową wciśniętą między ramiona. Sięgnął po telefon i zaczął z kimś rozmawiać, gestykulując zaciśniętą pięścią.

*

Bryła burego budynku w tarnowskich Mościcach przypominała miniaturowe więzienie. Może sprawiały to kraty w oknach, może kolor ścian. Tarnowski oddział Archiwum Narodowego w Krakowie stał w zaskakująco zielonym otoczeniu, między szkołą a garażami, nieopodal świętego dla miejscowych fanów żużla stadionu Unii Tarnów. Przed wejściem parkował motor Anki Serafin.

Teraz, gdy Anka wiedziała, jak się mogła nazywać dziewczyna z sadu, miała szersze pole manewru. Rano zadzwoniła do znajomego historyka.

– Arkusze ocen, Bastian – powiedziała, odłożywszy telefon. – To też są dokumenty państwowe. Wszystko trafia do Archiwum Narodowego.

Otworzyła wyszukiwarkę zasobów archiwalnych, zawęziła wyniki do tarnowskiego oddziału. Bastian zaglądał jej przez ramię, patrząc, jak Anka otwiera cyfrowe inwentarze. Były tam

dokumenty dąbrowskiego liceum ogólnokształcącego od 1920 roku.

– Do przedwojennej szkoły średniej można było zdawać po sześciu latach podstawówki – mówiła, kreśląc w notatniku. – A szkoła średnia składała się z czteroletniego gimnazjum i dwuletniego liceum. Amalia Szachen mogła zginąć między latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku, kiedy likwidowano dąbrowskie getto, a początkiem czterdziestego piątego, kiedy ze wschodu szła radziecka ofensywa. Skoro według biegłych miała wtedy osiemnaście do dwudziestu lat, to...

Podkreśliła wynik na kartce.

– ...to urodziła się między rokiem tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim a tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym. A do podstawówki szło się tak jak teraz, w wieku siedmiu lat. Plus sześć. Jest szansa, że mogła chodzić do tej szkoły.

W archiwum były też akta stanu cywilnego Izraelickiego Okręgu Metrykalnego w Dąbrowie Tarnowskiej. Księgi urodzeń, ślubów i zgonów. Anka odpisała kilka sygnatur.

– Jadę – powiedziała.

W czytelnicy stało sześć takich samych, intensywnie niebieskich biurek przypominających szkolne ławki. Światło obficie wpadało przez zakratowane okno. Na ścianie wisiała „Mapa Galicyi” i druk z marszałkiem Piłsudskim na trybunie w dniu święta kawalerii.

Archiwista w szarym chałacie, o głosie jakby stworzonym do pracy w archiwum czy bibliotece, przyniósł jej stos zamówionych ksiąg.

– Szczęście, że te akta w ogóle istnieją – szepnęła. – W wielu miejscowościach, gdy tylko weszli Niemcy, wszystko szło z dymem.

Anka sunęła przez beżowe ze starości, kruszące się karty, oprawione w fioletowe okładki z introligatorskim sukmem na grzbiecie. Tabele wypełnione kaligraficznym, pełnym zawijasów, grafitowoniebieskim pismem.

Księgi urodzin.

Kolejne kolumny pieczołowicie odnotowywały datę urodzenia, obrzezania lub nadania imienia, płeć i imię dziecięcia, czy było ślubne, rzekomo ślubne, czy nieślubne. Dalej imię i nazwisko, stan, zatrudnienie i miejsce zamieszkania ojca oraz matki, podpis, zatrudnienie i miejsce zamieszkania kumów lub świadków, sandeka lub szamesa, obrzezującego, akuszerza lub akuszerki, wreszcie uwagi. Anka wędrowała przez zanotowane zdobnym krojem pisma imiona. Cilka. Josef. Abraham. Feiga. Jakub. Syn Hirsza i Rachel. Córka Majera i Chawy.

Atramentowe ślady po płaczu z kołyski, śmiechu, pieluszkach, kolkach, po kieliszku wódki i *mazel tov*, po dywagacjach, do kogo podobne, po pytaniach, kim, gdy dorosną, będą Cilka, Josef, Abraham, Feiga, Jakub, syn Hirsza i Rachel, córka Majera i Chawy.

Kurz gryzł w gardle. Anka przewróciła kolejną, kruchą jak motyle skrzydło stronicę.

Amalia. Córka Natana Szachena, krawca, i Perły, córki Abrahama Dombrowera, handlarza, i Amalii z domu Katz, umarłej. Urodzona 13 kwietnia 1925 roku w Dąbrowie.

Jeśli Amalia Szachen poszła do gimnazjum, liczyła w myślach Anka, to latem 1939 roku ukończyła pierwszą klasę. Na biurku rozłożyła oprawiony w cętkowaną zieleń katalog ocen z roku szkolnego 1938/1939.

Wychowawca i polonista, pan Ignacy Konstanty, miał surowy charakter pisma, litery odcinały się ostrymi wierzchołkami.

Czasem zdarzał mu się kleks. Uczniom dobrym i bardzo dobrym szczydził komentarzy, rubrykę „Uwagi” wypełniał tylko w przypadkach trudnych i beznadziejnych – widać było, że pismo w tych miejscach staje się nerwowe. Anka uśmiechnęła się do czasów, kiedy nauczyciel bez ceregieli wpisywał uczniowi w papiery uwagi takie jak „nieudolność w wypowiedaniu się” czy „brak talentu”. Że też ona tak nie może na uczelni.

Odwróciła stronicę.

Amalia Szachen, urodzona 13 kwietnia, religii mojżeszowej, uczennica klasy pierwszej. Numer czterdziesty czwarty. Na koniec roku miała bardzo dobry ze sprawowania się, z języka polskiego i niemieckiego, z historii i ćwiczeń cielesnych. Dobry z łaciny, geografii i przyrodoznawstwa. Nauki religii nie udzielano. Rubryka „Uwagi”, jak u wszystkich żydowskich uczniów, była pusta.

Tylko pisząc „bardzo dobry” w rubryce „język polski”, pan Konstanty jakby trochę mocniej przycisnął do papieru pióro.

Plac opustoszał, odjechał wóz transmisyjny, a Bastian dalej siedział na schodkach supersamu i obserwował, jak co jakiś czas z otoczonego taśmą baru U Bosmana ktoś wychodzi do policyjnych furgonetek, znosi coś albo coś zabiera. W końcu wstał, otrzepał spodnie.

Czerwone punto parkowało właśnie pod sklepem. Ruszył w jego kierunku.

– Cześć – powiedziała Wiolka. – Dzięki, że dałeś znać.

– Nie chciałem, żebyś się dowiedziała z telewizji. – Przystąpił z nogi na nogę. Wykonał urwany gest, ona cofnęła się o krok. – To twoja koleżanka, więc pomyślałem...

– Dobrze, że pomyślałeś. – W jej głosie nie było ironii ani

przekąsu. – Pojedziemy do niej?

Podrapał się za uchem. Tyle się teraz działo, nie chciał uрониć z tego ani odrobiny. Ale z drugiej strony...

– Co u ciebie? – zapytała, gdy wsiadali do samochodu.

– Znalazłem ją – powiedział. – Nazywała się Amalia Szachen.

– I co dalej? – Wsunęła kluczyk w stacyjkę, punto zawyło.

Bastian znieruchomiał, pochwyciwszy własne spojrzenie w lusterku.

Co dalej?

Marcin Socha vel Bosman stał przed wejściem do lokalu, zwalisty i ponury, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Pilnowali go dwaj policjanci po cywilnemu. Prokurator Judyta Franz zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

– To jest najście – warknął. – Nie macie nakazu.

– W Rzeczypospolitej Polskiej nazywa się to postanowieniem prokuratorskim o przeprowadzeniu przeszukania. Ja jestem prokuratorem, a tu jest postanowienie.

Podala papier jednemu z policjantów.

– Proszę okazać właścicielowi lokalu – poleciała. – Jako właściciel ma pan prawo być obecny przy czynnościach, o czym został pan niniejszym poinformowany. Czy pański lokal jest wyposażony w monitoring?

– W monitoring, szatnię, srebrne sztuce i bidety – warknął Bosman. – To jest lokalna knajpa, ja tu ledwo wiązę koniec z końcem, a pani próbuje zrujnować...

– Panowie, zarządzam podjęcie czynności – przerwała mu, odwracając się na obcasie.

Nie spodziewała się, że pod stolikiem znajdą bejsbolówkę

z włosiem Władysława Wężyka. Nie miała złudzeń, że między deskami podłogi utkwiał wybity mu ząb. Miała nadzieję, że kryminaliści znajdą ślady krwi. Jeśli – biorąc po uwagę logiczne wnioski na temat trybu życia Władysława Wężyka i efekty domorosłej prowokacji znajomych Strzygonia – pobicie Wężyka nastąpiło tutaj, może uda się coś znaleźć.

Teraz liczyła się jednak demonstracja siły. Dąbrowa miała zobaczyć, że światła reflektorów padły właśnie na to miejsce. I że jakiegokolwiek sprzysiężenie tu się zawiązało, nie warto dłużej pozostawać mu wiernym.

Ale ważne było coś jeszcze. Judyta Franz zrobiła zapraszający gest.

Zza rozstawionych przed knajpą policyjnych samochodów w towarzystwie Wielickiego wytoczył się Kaługa. Rozejrzał się, dostrzegł barmana. Ten na jego widok drgnął. Popatrzył bykiem, Kaługa wytrzymał jego spojrzenie. Wyprostował się.

– Panie podkomisarzu – odezwała się prokuratorka – teraz pracuje pan dla mnie. Myliłam się co do pana.

Policjant wziął się pod boki.

– Szkoda, że tak późno – mruknął pod nosem, ale tak żeby usłyszała. – Straciliśmy dużo czasu, chłopaki z wojewódzkiej bez sensu próbowali wyważyć otwarte drzwi. A przecież ja – odwrócił się od niej i posłał barmanowi spojrzenie – jestem stąd.

– Pańska obecność będzie bardzo cenna – powiedziała. – Przystępujemy do czynności.

Zespół techników w białych skafandrach przekroczył próg lokalu i zabrał się do pracy, metodycznie przeczesując każdy centymetr kwadratowy podłogi. W powietrzu unosiła się woń frytury i rozlanego piwa, w snopach rozstawionych na trójnogach halogenów wirował kurz. Do worków i pojemników trafiały

próbki i wymazówki. Błyskały flesze. Judyta Franz westchnęła, układając sobie uzasadnienie poniesionych kosztów dla naczelnika.

Przyglądała się Kałudze. Przez cały czas stał kilka metrów od Bosmana, czekając, aż technicy skończą. Zagadywał Bąka, Wielickiego i nudzących się policjantów, komentował, wywołując wybuchy śmiechu, częstował papierosami. Co jakiś czas spoglądał na Bosmana.

„Spokojnie, jestem dalej w grze”, myślała Franz.

W końcu ze środka wyszedł technik z dredami. Zaprosił gestem prokuratorkę i policjantów.

– Przejechaliśmy się po tym syfie Mopem – zaśmiał się – i zlizaliśmy wszystko, co się dało. Ewidentnych śladów krwi nie widać.

Weszli. Franz patrzyła, jak do worków na dowody trafiają telefon, zapasowe kluczyki do dostawczaka, jak funkcjonariusze wynoszą z zaplecza kartony segregatorów z fakturami i zeznaniami podatkowymi. Kaługa pomagał, chodził, nosił. Obserwowała go.

– Pani prokurator – rozbrzmiał głos Bąka stojącego na barze. Twarz policjanta zasłaniała półka z ekspozycją zakurzonych kufli i proporczyków sportowych pamiętających sukcesy kadry trenera Górskiego. – Mariusz, chodź, pomóż.

Kaługa podszedł do baru, Bosman odprowadził go wzrokiem.

– Łap – stęknął Bąk, Kaługa wyciągnął rękę. W jego lateksowej rękawiczce wylądował niewielki plastikowy sześcian. Tania sportowa kamerka. – Monitoringu z prawdziwego zdarzenia może nie miał – rzucił Bąk, kucając na barze – ale zabezpieczać się trzeba. Wiele knajp tak robi. Mariusz, widziałeś taki numer?

– Panie Socha – wycedziła prokuratorka. – Gdzie pan trzyma nagrania z tego urzędzenia?

– Nie trzymam – mruknął Bosman. Kaługa obracał kamerkę w dłoniach.

– Tu jest laptop, pani prokurator! – krzyknął z zaplecza Wielicki.

– Zabieramy – zarządziła.

– Protestuję – warknął Bosman. – To moje prywatne rzeczy. Tam nic nie ma.

– Czesiu, jakby co, to odczytacie skasowane dane, nie? – Wielicki przywołał Mopa, który spojrział na starego laptopa jak wędkarski rekordzista na danio malabarskiego i bez słowa odebrał od niego komputer.

– Kończymy – zakomenderowała Franz. – A pan, panie Socha, pójdzie dziś z nami.

Barman poderwał głowę. Eskortujący policjanci złapali go pod ramiona, wykręcili ręce, spięli kajdankami na plecach.

– Jest pan zatrzymany z uwagi na ciężar materiału dowodowego i obawę matactwa – dokończyła Franz i wyszła z baru.

– Słyszałeś, Mariusz? – Wielicki klepnął Kaługę w plecy. – Rano Franca dostała wyniki DNA krwi z podwozia Bosmanowego dostawczaka. Pełna zgodność ze starym Wężykiem. To tym autem go trzepnęli. Teraz już będzie z górki.

– Bierzemy gościa na warsztat. A laptopa jutro sobie przejrzymy spokojnie w komendzie – wyszczerzył się Bąk. – Będziesz? Jeśli Bosman zgrywał na niego filmy z tej kamerki, to będzie show, którego nie możesz przegapić.

Jak we wszystkich szpitalach świata ich kroki brzmiały zbyt głośno. Odbijane od pustych wykafelkowanych ścian niosły się echem, niecierpliwe, niepasujące do uroczystej ciszy.

Na korytarzu oddziału chirurgii minęli się z młodym mężczyzną, prowadzącym za rękę pięciolatka. Chłopiec przytulał do piersi misia i starał się wyglądać rezolutnie, choć drżała mu broda. Mężczyzna z udawaną lekkością próbował czymś go zainteresować, chociaż oczy miał podkrążone i był nieogolony. Obaj przed sobą starali się być dzielni.

Z sali wyszła energiczna kobieta koło sześćdziesiątki, prowadząc pod rękę niską staruszkę.

– Ja zostanę, Halinko. – Staruszka opadła na krzesło. – Co ja mam do roboty, tu posiedzę, z Dorotką. A ty wracaj, zajmij się nimi, bo chłopcy sobie nie poradzą.

Bastian i Wiolka przystanęli.

– Dzień dobry – powiedziała Wiolka. – Nazywam się Wioletta Kozyra, a to jest Sebastian Strzygoń. Poznałam Dorotę przy okazji ostatnich wydarzeń i bardzo ją polubiłam. Jak ona się czuje?

– Wybudzili ją dzisiaj – poinformowała kobieta po sześćdziesiątce. – Ale jest jeszcze bardzo słaba. Teraz jest obchód, zobaczymy, co powiedzą.

– Strzygoń? – wtrąciła się staruszka, wychylając się ku Bastianowi. Miała małe, krótkowzroczne oczy, którymi się w niego wpatrywała. – To pan te raporty pisze? Pytała mnie Dorotka, czybym z wami porozmawiała o wojnie. Ale ja nie chciała.

– Dlaczego? – zapytał Bastian. Kobieta miała tyle lat, że mogła pamiętać okupację. Byłaby nieocenionym źródłem.

– A, bo ja już wnet w grobie. – Machnęła ręką. – Za mną

śmierć i przede mną śmierć. Mnie już nic nie interesuje, mnie już nic nie pomoże. Teraz ino, żeby Dorotka była zdrowa.

– Mogłaby pani nam pomóc. – Bastian kucnął przed nią. Uchwycił spojrzenie Wiolki. Pokręciła głową, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że to nie jest odpowiedni moment. Że przyszli tu po coś innego.

– Proszę pani. – Bastian złożył ręce jak do modlitwy. Postanowił zaryzykować. – Znała pani Amalię Szachen?

– Kogo? – Staruszka się nachyliła, żeby lepiej słyszeć.

– Amalię Szachen – powtórzył głośniejszym głosem dziennikarz. – Dawno temu.

Spojrzała na swoje stopy. Na dłonie, z których zwisał różaniec. Zasłuchała się w miarowe piski, brzęk naczyń z korytarza, czyjś głos, czyjś jęk, zwyczajne szpitalne odgłosy.

– Ano znała – westchnęła wreszcie.

– Skąd? – Bastian skupił całą swoją uwagę na zmętniałych oczach staruszki.

Kobieta za staruszką i Wiolka za jego plecami zamarły.

– Ze szkoły.

– Przyjaźniła się z nią pani?

– Ja? – zdziwiła się staruszka. – Z nią? Nie! – Uniosła ręce. – Ona była, no wie pan, Żydówką – dodała.

Bastian splótł ręce na kolanach.

– A w czasie wojny? Co się z nią działo we wojnę? – spytał.

– Proszę państwa – zniecierpliwiała się matka Doroty. – Czy to jest naprawdę najlepszy moment?

– A ja wiem? – obruszyła się staruszka, ignorując córkę. – Wszystkie Żydki poszły do gietta, chyba że sobie kto załatwił kryjówkę u ludzi. Ale ja nic nie wiedziała, im się mniej

wiedziało, tym lepiej. A jak się było młodą dziewczuszką, to lepiej się w ogóle było nikomu na oczy nie pokazywać, żeby się kto nie zainteresował. Ja siedziała w domu, mama mnie strzegła.

Z sali wyszedł lekarz, za nim pielęgniarka. Matka Doroty pobiegła za nimi.

– Błagam panią – syknął dziennikarz. – Proszę mi o niej powiedzieć. Cokolwiek. Co pani o niej wie?

– A co to warta? – zachnęła się staruszka. – Nie ma co gadać. Mnie już wnet do grobu.

Zacisnęła usta.

– Proszę pani... – zaczęła Wiolka.

Staruszka odwróciła się, popatrzyła w głąb korytarza.

– Dorotka chciała, żeby nam pani opowiedziała – mówiła łagodnie dziennikarka. – Może chociaż tyle to da.

Kobieta pokręciła przecząco głową.

– Wiolka? – Przez uchylone drzwi dobiegł ich słaby głos. Dziennikarka poderwała się. Machnęła na Bastiana. Ten z ociąganiem podniósł się na ścierpniętych nogach. Podążył za nią, oglądając się na znieruchomiałą staruszkę.

Anka pędziła do Krakowa, bo umówiła się na obiad z Różą Wiśniewską. Kiedy wyprzedził ją na autostradzie smart, przyspieszyła. Potem zorientowała się, że się spóźni, więc przyspieszyła bardziej. Aż oswoiła się z prędkością. I poczuła się fajnie. Wciąż skupiona, odprężyła się.

– Przepraszam za spóźnienie. – Opadła na krzesło naprzeciwko dziennikarki. Zaróżowiona, odłożyła kask na sąsiednie krzesło i rozpięła kurtkę. Spóźniła się raptem dziesięć minut.

– A już myślałam, że wiem o pani wszystko. – Kobieta obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem. – Powinnam kończyć

artykuł, a ja dalej nie poznałam tajników pani warsztatu i metod. I co w pani takiego wyjątkowego. Dlaczego pani nie mówiła, że jeździ pani na motorze? Czytelnicy uwielbiają takie smaczki!

– W moich metodach nie ma niczego nadzwyczajnego. – Anka zamówiła sałatkę. – Staram się trzymać nauki i jej metodologii, ze wszystkimi jej ograniczeniami. Ze ślęceniem w archiwach, zmuśnym weryfikowaniem hipotez. A motor nie ma z tym nic wspólnego.

– Wie pani, ja się martwię, żeby ten materiał nie był – Wiśniewska zakręciła widelcem w makaronie – nudny. Sprawy kryminalne, morderstwa, ludzie są przyzwyczajeni, że to są mrozące krew w żyłach, wyrywające z butów historie. A jak ja im wyskoczę ze ślęceniem w archiwach i metodologią, to będą niezadowoleni. Nie mogłybyśmy tego jakoś podkreślić?

Anka ścigała widelcem pomidorka koktajlowego po naoliwionym talerzu.

– Nudny? – Popatrzyła na dziennikarkę. Róża Wiśniewska się zmieszała. – Dobrze. – Jednym sztychem nabiła pomidorka i wsunęła do ust. – Pał sześć o mnie. Może nie jestem wyjątkowa – grała swoją rolę, ale kiedy powiedziała to na głos, poczuła, że to prawda – ale nie o mnie tu chodzi. Chce pani czegoś mocnego? – Wycelowała widelec w Różę Wiśniewską.

Dziennikarce załśniły oczy.

– Ta sprawa to absolutnie fascynujący triumf nauki i technologii! – ciągnęła konspiracyjnym tonem Anka. – To będzie spektakularny sukces. Oczywiście nic pani nie powiedziałam, rozumie pani, wyłączność dla *Raportu Strzygonia*. Ale na miejscu jest już Dawid Wojciechowski, musiałaby się pani spieszyć...

Anka zawiesiła głos, obserwując reakcję kobiety.

– Proszę natychmiast wszystko mi opowiedzieć! – Róża Wiśniewska zatarła ręce i podsunęła jej dyktafon.

Anka wytarła chlebem talerz po sałatce. Zaczęła mówić.

Strzygoń milczał, bo w takich sytuacjach nigdy nie wiedział, co powiedzieć, żeby nie brzmiało to idiotycznie. Dorota Seweryn była słaba. Rozmawiała z Wiolką może kilka minut. Bastian nawet ich nie słuchał.

Na korytarzu staruszka wciąż siedziała tak, jak ją zostawili. Strzygoń zwrócił się ku niej. Wiolka złapała go za łokieć, pociągnęła do wyjścia.

– Raz tylko przyszła po nocy – usłyszeli za sobą.

Bastian cofnął się, kucnął przed staruszką. Ta oblizwała wargi, a dziennikarz nachylił się do niej, łowiąc słowa.

– Przyszła po nocy, zastukała w okno. Brudna taka, zawszona, głodna. Mówiła, że tatę zabili, mamę zabili i ona sama została w lesie. Wyniosłam jej chleba i com tam znalazła, ale mama się zwiedziła i ją przegoniła. – Kobieta zacisnęła palce na różańcu. – I więcej zem jej nie widziała. Ja zem wiedziała, że ona nie miała szans. Miała zły wygląd.

Zamilkła, wyglądając za córką i lekarzami.

– Gdzie ta Halinka, może jej już doktor co powiedział? – wymamrotała suchymi wargami.

Bastianowi szumiało w uszach. Oni pamiętają, myślał. To nie tak, że nie wiedzą. Po prostu nie mówią. Bo o tym się nie mówi. Bo nikt nie chce słuchać.

– Proszę pani. – Patrzył jej w oczy. – To nie koniec, prawda?

Staruszka potrząsnęła głową.

– Mówili, że ją jacyś z Rudy zabili. Tato mój słyszał, że ją tam kto pochował i wziął za to jakiegoś ciucha. Gdzie, to ja nie wiem.

Ja żem od taty słyszała.

Bastian oddychał głęboko. Płytki szpitalnej posadzki wirowały mu przed oczami. Poczł na ramieniu dłoń Wiolki.

– Słyszala pani o kościach, które ostatnio odnaleziono na Rudzie? – zapytała ostrożnie dziennikarka.

– Pani – odezwała się głośniej staruszka. – Ja to się już niczym nie interesuję. Mnie już wnet do grobu. Mnie już wszystko jedno. Byle Dorotka była zdrowa. Tyle wiem, że Małę zabili.

Bastian podniósł głowę.

– Kogo? – zapytał.

– No, Małę. Tak ją wołali, Mala, zdrobniale. Nawet nauczyciele w szkole, aż żem się zdziwiła, że pan mówisz „Amalia”, jak ona dla wszystkich była Mala.

Opadł na kolana. Zacisnął wargi.

Zrozumiał, co miał im do powiedzenia dziadek przed śmiercią. Co chciał powiedzieć, ale nie mógł.

On nie jęczał „mara”, bo bał się demona. Nie mówił do ciotki Wery „mała”, z tęsknoty za czasem, który minął. Nie majaczył, nie wspominał. Spowiadał się.

„Mala, Mala”.

Wielicki śledził spojrzenia, które zwałisty barman wymieniał z Kaługą, wierząc się na krześle. Mieli go rozpytać, zanim oddadzą Judycie Franz w obroty. Ale sidła w tym rozpytaniu zastawione były nie tylko na Bosmana.

– Skąd krew Wężyka na twoim samochodzie? – rzucił dąbrowski podkomisarz, opierając się kłykciami o stolik. – Mamy nagranie, na którym widać, jak w tę noc, kiedy zginął Wężyk, mijasz BP i jedziesz w stronę Szczucina. Tylko nie mów, że jechałeś do Tesco.

Bąk uśmiechnął się do siebie. Kaługa bez mrugnięcia okiem kupił, że nagranie się znalazło. Ale zwrócił uwagę tylko na dostawczaka Bosmana, łazika Krystiana Papy przemilczał.

– Tak było. – Bosman położył na blacie masywne przedramiona. – Zamknąłem knajpę i się zorientowałem, że nie mam nic do żarcia, a byłem cholernie głodny, taki był zapierdol cały wieczór. Pojechałem do Tesco, ale się kapnąłem po drodze, że już zamknięte, to pojechałem dalej, do Szczucina, czy tam nie będzie otwartego sklepu, ale nie było. To wróciłem do Dąbrowy.

– I co zjadłeś? – odezwał się Bąk.

– Nic – prychnął Bosman. – Suchy chleb dla konia.

– I nie zorientowałeś się, że przejechałeś po Wężyku? – pytał dalej Kaługa.

Dobry jest, skubany, pomyślał Wielicki. Dźwięk przychodzącego SMS-a wyrwał go z zamyślenia. Otworzył wiadomość i podniósł brwi. Triumf nauki w Dąbrowie Tarnowskiej. Róża Wiśniewska. Szybko przeczytał tekst. Kto nie zobaczył występu Dawida Wojciechowskiego w telewizji, na pewno zobaczy ten tekst, wywalony na jedynekę na stronie głównej jednego z najpopularniejszych portali informacyjnych. Tylko skąd on się tam wziął?

– Człowieku, nie pamiętam, zmęczony byłem. – Bosman podniósł głos. – Jakbym przejechał po gościu, tobym się zorientował, ale może coś tam było na drodze, krew albo flaki, to się mogło, nie wiem, przykleić. Ciemno było, nie widziałem.

Kaługa zrobił niezadowoloną minę, odwracając się do Bąka. Bosman przetarł spoconą głacę. Wielicki miał wrażenie, że w jego oczach pojawił się błysk nadziei.

– A co robił z tobą Krystian Papa? – zapytał Bąk.

Kaługa poruszył się czujnie.

– Kto? – Bosman zamrugął.

– Jechał za tobą Krystian Papa – powtórzył Bąk. – Swoją terenówką.

– Co, tego też nie zauważyłeś? – syknął Kaługa.

– A skąd mam, kurwa, wiedzieć, czym jeździ Papa? – zirytował się Bosman. – Tak, nie zauważyłem. Nie mam pojęcia, kto za mną jechał ani czy w ogóle ktoś jechał. A za tobą kto dzisiaj szedł, jak lazłeś do klopa? Pamiętasz?

– Nie pozwalaj sobie, Bosman. – Kaługa pochylił się do niego i uśmiechnął. Pochwalił go, pomyślał Wielicki.

Telefon policjanta znowu zaćwierkał. Wielicki otworzył folder z wiadomościami. Serce zabiło mu mocniej. Schował telefon do kieszeni i podwinął rękawy, jakby szykował się do walki.

– Czy w noc swojej śmierci Władysław Wężyk spędził wieczór w twojej knajpie? – zapytał.

– Nie! – wypluł Bosman.

– Już pytaliśmy. – Kaługa rozłożył ręce. – Nikt go tam nie widział.

– Ale „nie” w sensie „nie było go tam” czy „nie” w sensie „nie zauważyłem”? – Wielicki wykrzywił usta.

Bosman zamilkł.

– Nie zauważyłem – powiedział z namysłem.

– Ciekawe – zdziwił się teatralnie Wielicki. Bąk posłał mu zdziwione spojrzenie. – A my tu mamy świadka, który twierdzi, że widział Wężyka w barze w tę noc. Że oglądał z nim mecz.

– Ten motocyklista? – Bosman poruszył się niespokojnie. – Jakiś kryminalista, ćpun i przybłęda, on tu nikogo nie zna, coś mu się musiało popierdolić!

– Nie. – Wielicki pokręcił głową. Kątem oka obserwował

Kaługę. – To osoba z Dąbrowy.

Bosman poczerwieniał. Kaługa poluzował kołnierzyk koszulki polo zapiętej pod szyję.

– Ale czekaj – włączył się Bąk. – Ostatnio mówiłeś, że on wszystkich wkurwiał, więc na pewno byś zauważył, że jest. Jak mogłeś nie zauważyć? Zastanów się!

Kaługa już otwierał usta, ale Wielicki był szybszy.

– Czekaj, Mariusz. Odpowiedz, Bosman, jesteśmy ciekawi.

– No może... – zaczął ostrożnie barman, uciekając spojrzeniem, tak aby nie napotkać wzroku Kaługi. – Jak teraz pomyślałem, to może rzeczywiście był. Przyszło wtedy mnóstwo ludzi, tyle się działo. Nie pamiętam.

– Pęka – powiedział Wielicki, otwierając drzwi samochodu. Bąk wsiał do auta po drugiej stronie. – A w każdym razie pęknie.

– Zagrałeś *va banque*, że mamy świadka? – zapytał Bąk.

– Nie musiałem. Dziennikarze zrobili robotę. – Wielicki podał mu telefon z otwartym SMS-em od Franz.

Bąk przeczytał i zagwizdał.

– Świadkowie zaczynają dzwonić.

Prokurator Judyta Franz po raz pierwszy dała się podwieźć na miejsce oględzin. Nie chciała ryzykować urwania zawieszania w swojej toyocie. Podskakując na leśnej drodze w kabinie policyjnej terenówki, zastanawiała się, jak wyglądał nocny pościg za dziennikarzem i motocyklistą.

Zatrzymali się na leśnej polanie na północ od Dąbrowy, niedaleko od miejsca, gdzie ujawniono zwłoki Wężyka. Tam gdzie wskazywały koordynaty GPS wysłane Strzygoniowi mailem.

Polana była zastawiona policyjnymi autami i skąpana w świetle przenośnych reflektorów. Zmierzchało. Technicy kończyli pracę, pakując do furgonetki przenośne detektory metalu. Przywitał się z nią Czesław z komendy wojewódzkiej.

– To było łatwiejsze, niż myśleliśmy, pani prokurator. Opuściliśmy sobie szukanie pocisków, bo trzeba by zdeptać cały ten las po obu stronach drogi. – Machnął ręką w kierunku, z którego przyjechała, a w którym wcześniej uciekali na motorze Strzygoń z tym przystojnym. – Ale chłopaki pokręcili się z wykrywaczami po łące. I proszę.

Triumfalnie podał jej woreczek z dwiema łuskami od amunicji myśliwskiej.

– Jak dobrze pójdzie, to nawet odciski palców się na nich znajdzie. – Technik potrząsnął dredami. – A gdybyśmy mieli do przestrzelania broń, nasza balistyka w Krakowie zrobiłaby porównania mikroskopowe.

Prokurator Judyta Franz odsłoniła zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Dam wam broń do porównania.

„Mała, Mała”.

Było ciemno. Iza znalazła gdzieś kikut gromnicy, na której widać było jeszcze korpusy aniołów i literę omega. Płomień wtapiał się głęboko w воск, wypełniając kuchnię złotym blaskiem. Przeświecał przez kieliszek zweigelta, rzucając burgundowy poblask na sęki starego stołu i na zdjęcie rodziny krawca Szachena.

Bastian obrócił w palcach pierścioneł ciotki Wery i położył go obok fotografii, muskając opuszką literę *mem. M.* Jak *mazel.* Jak *mara.* Jak *Mała.*

Nikt nic nie mówił. Iza siedziała na krześle, kręcąc powoli kieliszkiem. Wiolka przykucnęła w kącie, odstawiwszy swój kieliszek na podłogę, pisała SMS-a do Doroty. Anka stała przy blacie, nasiedziała się dzisiaj na motorze i bolał ją kręgosłup. Czekala.

To był ostatni element układanki. Najpierw brak śladów, który jest śladem. Potem portret i nazwisko na zdjęciu. Złoty ząb.

Imię.

„Mała, Mała”, powtarzał w myślach Bastian. Teraz pojmował, że dziadek wiedział. Co ty zrobiłeś, dziadku?

– Anka. – Podniósł na nią spojrzenie. Drgnęła. – To, co mówiłaś: że nagie zwłoki, że sprawcy brali najcenniejsze trofea... – Głos uwiązł mu w gardle. – Na ile można wyciągać takie wnioski?

Nie odpowiedziała od razu.

– Przeczytałam chyba wszystko, co było do przeczytania, Bastian – odparła cicho. – A jest tego mnóstwo.

– Mnóstwo? To czemu ja nigdy o tym nie słyszałam? – przerwała jej Iza.

– Mnóstwo – powtórzyła Anka. Kolejny raz musiała odpowiadać na to pytanie. – Opracowania ŻIH-u, PAN-u, akta sierpniówek, zeznania, świadectwa i pamiętniki, materiały z Yad Vashem i z Washington Holocaust Memorial Museum. To wszystko jest publicznie dostępne. W pewnym momencie zaczniesz widzieć wzór. Powtarzające się schematy. Zasadę. Te historie brzmią podobnie, zmieniają się tylko nazwy miejscowości. I imiona. Dąbrowa, Radgoszcz, Dębica, Kolbuszowa, Łomża, Lublin, Miechów. Chaja, Abraham, Icek, Szoszana. A jeszcze częściej: jakaś Żydówka, jakiś Żyd. – Urwała, gdy zasyczał płomień gromnicy. – Scenariusze. Co się

komu dostaje. Kto bierze to, co najcenniejsze, kto buty, kto ciuchy.

Iza się poruszyła. Bastian śledził cienie i poblaski światła rzucane na ścianę.

– Anka – rzucił. – Co jest cenniejsze? Pierścionelek czy złoty ząb?

Pochylił się nad stołem, ujął pierścionelek w palce.

Anka potrząsnęła rudymi lokami.

– Nie wiem, jak ludzie wtedy na to patrzyli. Chyba są jednakowo cenne.

– Podzielili się? – wyszeptała Wiolka.

Bastian pochylił się nad stołem. Nagle się wyprostował.

– Wiolka, pamiętasz, co powiedziała babka Doroty? – Zaciśnięte powieki. – Co słyszał jej ojciec?

Dziennikarka się podniosła.

– Że Małą Szachen zabili na Rudzie. I że ktoś ją tu pochował.

– Właśnie. – Bastian postąpił na środek kuchni. – Ktoś ją pochował na ziemi dziadka. Anka, czy zdarzało się, żeby ten, kto zabił, grzebał ofiarę na swojej ziemi?

Anka potrząsnęła głową.

– Czasem grzebano zabitych Żydów na podwórku tych, co ich ukrywali, były nawet przypadki, że pod klepiskiem ich chaty – odpowiedziała, zastanawiając się. – Ale to był rodzaj kary wymierzonej przez społeczność tym, którzy łamali jej reguły. Żandarmi albo granatowi wyprowadzali Żydów do lasu, zagajnika, za stodołę. Czasem to Żydom kazano kopać grób dla siebie, a czasem robił to ktoś inny. Ale żeby sprawca pogrzebał ofiary u siebie? Nie pamiętam, żeby...

– Babcia Doroty powiedziała coś jeszcze – przerwała jej

Wiolka.

– Że ktoś ją pochował i wziął za to jakiś ciuch – powiedział dziennikarz.

– Nie mówi się „ciuch” – odezwała się Iza. Wszyscy popatrzyli na nią.

– Bel... Izis, proszę cię, teraz mnie będziesz poprawiać? – zachnął się dziennikarz.

– Nie, nie. To babcia mnie tak poprawiała. Że nie mówi się „ciuch”.

Anka objęła się ramionami, wpatrywała się w Izę. Dziennikarz zauważył kątem oka ten gest. Zwiastował coś ważnego. Podszedł do siostry. Kucnął przed nią.

– Izis, co ci mówiła babcia? – zapytał powoli.

– Kiedyś, miałam wtedy jakieś naście lat, zmywałyśmy po wigilii – zaczęła. – Rozmowa się nie kleiła, to był taki moment, że ja już jej nie kumałam, ona mnie też nie, światy nam się rozchodziły, smutne to było. Chyba mnie zapytała, co będę robić, jak wrócę do Krakowa, a ja opowiadałam jej, że pójdę z kumpelami na ciuchy. Wtedy pojawiły się lumpeksy i można było się odstrzelić za bezcen. A ona się nagle oburzyła. Opieprzyła mnie, że nie mówi się „ciuchy”, że nie wypada. Nie rozumiałam, o co jej chodzi, zaskoczyła mnie, dlatego to zapamiętałam. I od tamtej pory nie mówię „ciuchy”. Przyszedł potem taki moment, że przestało im się podobać, jak wyglądam. „Łachy”, „szmaty”, tak mówili. „Czemu chodzisz w tych wyciągniętych łachach?” Ale nigdy „ciuchy”.

– Ciuchy – powtórzyła Anka. – To słowo z okupacyjnego słownika. Tak się mówiło na ubrania po Żydach.

Iza wstała.

– Tylko raz babcia sama tak powiedziała.

Bastian podniósł się za nią. Złapał ją za rękę. Pierwszy raz od trzydziestu lat.

– Co powiedziała?

– Ciuch. – Iza przyłożyła przedramię do czoła. – Jak się nudziłam, włąziłam na strych. Grzebałam w starych rzeczach. I raz znalazłam chustkę, całkiem klimatyczną. Przyniosłam na dół, żeby zapytać babcię, czy mogę ją wziąć, uprać, była wtedy moda na takie starocie. Ale babcia nie pozwoliła. Zdenerwowała się, to było zupełnie do niej niepodobne. „Skąd tu ten ciuch”, powtarzała. „Wyrzućże ten brudny ciuch”.

Płomień gromnicy zaskwierczał i zadrgał, zatańczyły poblaski na ścianie, zafalowały cienie. Bastian się wyprostował. Wyszedł z kuchni. Zaskrzypiał trap.

Strych pachniał kurzem i zbutwiałym papierem. W świetle zarośniętej brudem żarówki wirowały paprochy, snuły się pajęczyny. Wśród paczek nadzartych przez myszy roczników „Rycerza Niepokalanej” znalazł pudełko. Otworzył.

Wziął w palce starą chustkę. Była czarna, w drobny, czerwono-niebieski kwiecisty wzór. Czuć ją było zatechłą wilgocią strychu. Wciągnął tę woń głęboko w płuca, przyłożył szorstki materiał do rozgrzanego policzka.

Z chustką w wyciągniętych dłoniach stanął na środku kuchni. Iza podeszła do niego.

Bastian ułożył chustkę na stole, obok zdjęcia Mali Szachen i pierścionka z literą *mem*. Była wystrzępiona w rogu, stare, poprzecierane nici rwały się brzydko. Rozprostował tkaninę. Teraz było widać, że brzeg jest założony i obszyty, a wystrzępione miejsce to rozpruty fragment obszycia. Nić tworzyła tam nierówny, półkolisty wzór. Nie służył do utrzymania obszycia brzegu ani niczego nie cerował. Tworzył

kieszonkę, którą ktoś potem rozdarł.

Bastian Strzygoń wziął pierścionek z literą *mem*. Ostrożnie jak chirurg wsunął go w rozpruty otwór.

Pasował.

W ciemnościach szczęknął zamek. Snop światła latarki przesunął się po ścianie i wślizgnął za uchylone drzwi z tabliczką „Magazyn dowodów rzeczowych”. Po pustym korytarzu dąbrowskiej komendy powiatowej poniosły się ciche kroki i ledwie słyszalny stuk delikatnie domykanych drzwi.

Podkomisarz Mariusz Kaługa pewnie skierował się ku regałowi w głębi. Nie ryzykował włączania światła, ktoś z zewnątrz mógłby zwrócić uwagę. Poświecił latarką. Wśród upchniętych na półkach i postawionych na podłodze kartonów z rzeczami zabranymi od Bosmana znalazł worek z siermiężnym laptopem. Chwycił go dłońmi w lateksowych rękawiczkach i przeniósł na wolną półkę regału.

Obok rozłożył zestaw precyzyjnych śrubokrętów, nieużywany worek na dowody i taser. Latarkę wziął w zęby. Rozpruł folię, wydobyl Bosmanowego laptopa i położył go spodem do góry. Upewnił się, że paralizator jest naładowany. Małym śrubokrętem zaczął odkręcać klapkę maskującą twardy dysk. Oddychał spokojnie. W każdym kącie w komendzie czuł się jak w domu. A cisza uspokajała.

Ostatnia śrubka wyszła z otworu. Odłożył ją delikatnie na bok. Ciężko było podważyć klapkę w lateksowych rękawiczkach. Ale się udało.

Krew napłynęła mu do skroni. W żołądku eksplodował adrenalinowy strzał.

W laptopie nie było dysku. W pustym slocie dyndał samotny

przewód.

Kaługa nie odwrócił się nawet, gdy chrupnęła klamka i zapaliło się światło. Zamrugał, ciężko opierając się o regał.

– Tego szukasz, Mariusz? – W drzwiach stanął Wielicki. W dłoni trzymał worek na dowody z twardym dyskiem.

– Mówiłem ci, żebyś się nie spóźnił na show. – Zza pleców Wielickiego wynurzył się Bąk z dłonią nad kaburą. – My już oglądaliśmy. Fajnie wypadłeś.

– Z siodła – dodał Wielicki, gdy w drzwiach mijali ich ci dwaj z wydziału wewnętrznego. Bez słowa wykręcili Kałudze ręce, skuli. Bąk podszedł do regału. Zlustrował narzędzia i paralizator.

– Sprytnie. – Popatrzył z uznaniem za wyprowadzanym Kaługą. – Ciekawe, czy jakby puścił dwadzieścia tysięcy woltów przez dysk, to mielibyśmy co oglądać – powiedział cicho do Wielickiego. – I nawet byśmy nie wiedzieli, co się stało.

– Myślałem, że po prostu zakosi laptopa i spali w ognisku albo rozdupcy młotkiem – odparł Wielicki. – A tu zobacz, jaki wyrafinowany.

Nagle w drzwiach Kaługa wściekle się szarpnęła. Wewnętrzniacy złapali go mocniej. Dąbrowski policjant odwrócił się do wojewódzkich.

– Ja jestem dobrym gliną! – krzyknął. – Wiecie przecież, nie? Chłopaki. Tylko my musieli. Musieli my. Tak wyszło.

Wyszły za nim przed dom. Żarówka nad drzwiami wytyczała ciasny krąg światła wokół schodów. Na niebie skrzył się Wielki Wóz, a poniżej opadała ciężka ciemność. Dalej, między przykrytym świeżą trawą pogorzelskiem po stodole a pierwszą czereśnią sadu, za którą zaczynał się wykop pod basen, żarzył się ognek papierosa.

Iza zatrzymała się w drzwiach. Wiolka wybiegła do połowy podwórza, wołając, żeby zaczekał. Anka dogoniła ją, położyła jej dłoń na ramieniu. Dziennikarka odwróciła się gwałtownie. Oczy jej błyszczały. Usta miała zacięte.

Anka podążyła wzrokiem w stronę czerwonego punkcika przekłuwającego ciemność.

– Co to znaczy? – syknęła Wiolka.

– Że może jego dziadek nie zabrał pierścionka – powiedziała Anka szeptem. – Mała zginęła pewnie przez złoty ząb, o którym ludzie wiedzieli. Pierścionek był ukryty w niewiele wartej chuście, którą dostał dziadek. A potem odkrył, co w niej było.

– Czyli co? – Wiolka pociągnęła nosem. – To nie on zabił?

– Nie wiem – szepnęła Anka. – Może zabójcy dopadli ją na jego ziemi. Może kazali mu ją pogrzebać, może sam się zaofiarował. Wziął za to – zająknęła się – ciuch.

Za nimi stanęła Iza. Na przedramionach miała gęsią skórę od nocnego chłodu.

– Powiedz – zaczęła. – Jesteś naukowcem, powiedz, czy to znaczy, że to nie dziadek? Że on nawet nie był tylko biernym gapiem? Że po tym wszystkim, co jej zrobili, co ludzie zrobili tej Mali Szachen – patrzyła na Ankę szeroko otwartymi oczami – on ją pogrzebał? Tak? – Podeszła do niej bliżej. – Jesteś naukowcem, powiedz: jest szansa, że nie myśmy to zrobili? Że myśmy pomogli? Że myśmy byli dobrzy? Mamy się czego chwycić, Anka?

Doktor Anna Serafin odwróciła się w stronę ognika w mroku.

– Tylko tych strzępów chusty – odpowiedziała. – I niczego więcej.

Na Gruszowskiej niebieskie błyski policyjnych kogutów lizały

ściany jednorodzinnych domów, ogrodzonych starannie utrzymanymi żywopłotami. Tłumek sąsiadów obserwował przez kute ogrodzenie, jak jeden z policjantów wynosi do samochodu dwa myśliwskie sztucery.

Daria Papa z domu Żabka płakała oparta o klasycznego zielonego łązika. Matka obejmowała ją mocno. Nie miała już nawet siły płakać. Była zbyt zdumiona. Wiedziała, że na Krystiana jest nagonka po tym, jak musiał strzelić do młodego Wężyka i trafił tę dziewczynę. Był dobrym zięciem i dobrym policjantem. Robił, co musiał.

Ale nie wiedziała, dlaczego policjanci założyli też kajdanki jej mężowi. Za milczącym Romanem Żabką zatrzasnęły się drzwi radiowozu.

– Nie płacz, zabciu! – krzyknął do żony Krystian Papa w bojówkach i szarym podkoszulku, gdy policjanci z wewnętrznego wyprowadzali go pod ramiona. – Nic mi nie robia! Zadzwoń do Mariusza! – rzucił, trzymany już za głowę i wsadzany na tylne siedzenie szarego mondeo.

Wielicki odwrócił się do niego z fotela kierowcy.

– Mariusz coś ostatnio nie odbiera.

Sebastian Strzygoń skulił się nad tchnącą wilgotnym chłodem dziurą w ziemi. Musnął krawędź wykopu.

Dziadku, dziadku.

Mala, Mala.



ROZDZIAŁ 17

Nad oglądanym z góry barem kiwają się czupryny, co jakiś czas w kadrze pojawia się głaca Bosmana. Kufle przechodzą z rąk do rąk. Kadr jest ciemny, niewielka sportowa kamera nie radzi sobie z kiepskim oświetleniem, większość knajpy ginie w ciemności, rozświetlonej w prawym górnym rogu poblaskiem telewizora.

Przy barze nad kuflem piwa kołysze się mężczyzna. Widać, że ma już w czubie, co chwilę przeciera twarz. Podnosi głowę, kiwa na barmana. Teraz widać, że to Władysław Wężyk. Zamawia kolejne piwo. Mówi coś, ale film nie ma dźwięku. W dole kadru miga głowa barmana, a przed Wężykiem wyrasta nowy kufel. Wężyk cały czas coś mówi, odwraca się do sali i dalej peroruje, gestykulując. Na barze pojawiają się potężne przedramiona Bosmana.

Wtem do Wężyka podchodzi mężczyzna. W kadrze pojawia się jego gładko wygolona twarz. Zaczynają się kłócić. Popychać. Wężyk rozlewa piwo, po barze przejeżdża ścierka. W końcu Wężyk spada z barowego stołka, ten drugi zaczyna go szarpać.

Krótką wymianą ciosów. Wężyk jest bardziej pijany, więc się zatacza, trafia z trudem w podbródek tamtego, który precyzyjnie wyprowadza cios w łuk brwiowy, szczękę i brzuch.

Wokół walczących gęstnieje tłumek. Gdy Wężyk pada na kolana, gładko wygolonego odciąga postawny mężczyzna, kamera w dużym kontraście dostrzega odbłaskowe logo

popularnej stacji benzynowej nadrukowane na koszulce polo. Wężyka pod ramiona łapie Bosman. Kotłują się. Wyprowadzają go. Widać jeszcze, jak ktoś zabiera Wężykowe piwo, wypija duszkiem i odstawia pusty kufel na bar.

Judyta Franz uderzyła karminowym paznokciem w panel dotykowy laptopa i film się skończył.

– I co pan na to, panie Żabka? – zapytała, składając dłonie w wieżyczkę. – Twierdził pan, że Wężyka w ogóle nie było w lokalu. A tu taka niespodzianka.

– To był błąd. – Właściciel sklepu Frykas nozdrza miał szeroko rozwarte, spojrzenie skupione na prokuratorce. – Powinienem od razu powiedzieć, ale się wystraszyłem. Uniknęlibyśmy wszyscy tej strasznej pomyłki.

– Pomyłki? – zdziwiła się Franz.

– Myśmy to zataili. I przez to wasze śledztwo poszło w złym kierunku. – Roman Żabka potarł czoło. – Mogę pani powiedzieć, co było potem. Wyprowadziliśmy go z knajpy i poszedł sobie. I ktoś go zamordował. Nie wiem kto. Ktoś, kogo musicie złapać.

Franz zachowała kamienną twarz. Wiedziała, że nagranie to jeszcze nie dowód na to, że Wężyka zabił Żabka albo którykolwiek z widocznych na filmie: Bosman czy Kaługa. To tylko dowód na to, że pobili się w knajpie.

– Co pan robił potem? – spytała prokuratorka.

– Posiedziałem jeszcze trochę w lokalu i wróciłem do domu.

– Ciekawe. – Franz spojrzała w papiery. – Dane ze stacji bazowych BTS pokazują, że w tym samym czasie telefony: pański, Marcina Sochy, Mariusza Kaługi i pańskiego zięcia Krystiana Papy, logują się do stacji bazowej na północy Dąbrowy. Na monitoringu ze stacji BP widać samochód dostawczy Bosmana, na którym znaleziono ślady biologiczne

zgodne z DNA Władysława Wężyka, i terenowe auto Krystiana Papy jadące ulicą Warszawską. Wycieczka do lasu przy drodze na Szczucin?

Roman Żabka milczał i oglądał swoje paznokcie. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. Drgała mu powieka.

– O co poszło? – Odczekała, czy nie zacznie mówić sam z siebie.

Przed przesłuchaniem analizowała postać Żabki. W teczce miała kopie jego zeznań podatkowych, mandatów, pozwolenia na budowę domu. Brakowało tylko świadectwa szczerpień i karteczki od spowiedzi. Mogło pójść o nieudany interes sprzed lat, w końcu byli współnikami. Albo nawet o piłkę: Wężyk był kibicem Wisły, a Żabka – Cracovii.

– Proszę? – Żabka popatrzył nieprzytomnie. – Nie pamiętam. Też musiałem być pijany.

– Na pewno pan pamięta! Pobił się pan z nim. Nie wierzę, że skoczyliście sobie panowie do oczu o pietruszkę. Zresztą mamy świadków, na pewno ktoś pamięta – rzuciła lekko.

Roman Żabka zmrużył oczy. Kalkuluje, pomyślała, ile opłaca się powiedzieć.

– Ekscytował się sprawą tych kości, co je znaleźli na Rudzie. I opowiadał pierdoły. Nie pierwszy raz żeśmy się poprztykali o Żydów i myślałem, że nie ostatni.

– Kto był za, a kto przeciw? – zainteresowała się.

– To nie tak, że ja coś mam do tej nacji. – Żabka zamachał rękami. – Ale sama pani wie, jak jest. Ja tam nigdy specjalnie nie byłem za Żydami, szczególnie kiedy próbuje mi się wmawiać jakieś insynuacje.

– Wmawiać panu? – W nieruchomej twarzy Judyty Franz drgnęła brew.

Coś ją tknęło. Przekartkowała do odpowiedniej strony w zeszyście, zaznaczonej zakładką w odpowiednim kolorze.

– Przecież jest pan potomkiem sprawiedliwych, bohaterów!

– Co?

Żabka gwałtownie pochylił się do niej przez biurko. Zadygotały mu dłonie, zadrżały wargi.

– Co pani mówi?! – wychrypiał.

– *Z wielkim poświęceniem i w wielkiej tajemnicy, albowiem obawiali się o swe życie, trzymali jeszcze Żydów Felicjan Żabka z żoną swoją do końca wojny. Nie chcieli oni zapłaty, a jedynie prosili o modlitwę...* – zaczęła czytać. Miała w swoich papierach wydruk zrzutu ekranu, który dostała od Anny Serafin. – To z instytutu Yad Vashem.

Roman Żabka osunął się na krzesło. Ukrył twarz w dłoniach. Z jego ust dobył się jęk. Franz nie spodziewała się takiej reakcji. Nie przypuszczała też, że ta informacja w ogóle się do czegokolwiek przyda.

– Boże święty – wyszeptał Żabka. Wyglądał, jakby miał dostać zawału.

Wszystko się może przydać, powtarzała sobie często Franz. Do trzeciego pokolenia wstecz.

– Boże święty – jęczał mężczyzna. – Trzymali. Felicjan. Boże, Boże, Boże.

– Panie Romanie. – Przesunęła w jego kierunku plastikowy kubek z wodą. – Dobrze się pan czuje?

Roman Żabka szeroko otworzył przekrwione oczy. Jakby nagle zobaczył wszystko naraz.

– Żebym ja wiedział. – Zagryzł pięść. – Żebym ja wiedział!

– Nie powiedzieli panu? – odezwała się ostrożnie Franz.

Z niewiadomych powodów podejrzany zaczął pękać. Trzeba było natychmiast ruszyć tym tropem.

– Nie. – Żabka mówił cichym, słabym głosem. – Nikt nic nie mówił, całe życie, jakby się czegoś bali. Jak się temat pojawiał w towarzystwie, przy ludziach, to wszyscy milkli. Babka z dziadkiem strzelali oczami i uciekali. Nigdy, nic. Kiedyś, jak żem był młody, to przypadkiem usłyszałem, jak ktoś skomentował, że ten dom, co rodzice pobudowali, to musi być za żydowskie złoto. Nie wiedziałem, nie rozumiałem, czemu tak powiedzieli. A jak się pojawiły te... insynuacje, te oskarżenia, to ja żem pomyślał, że to o to chodzi. Że może oni kogoś, Żyda jakiegoś, we wojnę...

Zacisnął wargi i zakrył sobie usta dłonią. Prokuratorka nie spuszczała z niego oka. Patrzyła, jak krępemu mężczyźnie czerwienieją oczy.

– Ale niech mi pani powie, dlaczego oni mi nigdy nie powiedzieli? – wychrypiął.

Judyta Franz położyła dłonie na blacie.

– W przedmiotowej sprawie istotne jest dla mnie nie to, co oni, tylko to, co pan.

Zapadła cisza. Za oknem żar lał się z nieba na dąbrowskie osiedle i nieodległe pola. Słysząc było tylko oddech Żabki i skrzypienie krzesła. Franz zamknęła zeszyt i położyła łokcie na biurku.

– Więc gdyby pan wiedział... – podjęła.

– To może by się nic nie stało – szepnął Żabka. – Ja narwany jestem, jak ktoś pieprzy głupoty, to mi skacze ciśnienie. Wężyk się spił i zaczął gadać, że teraz, po tych kościach, to nam się wszystkim dobiorą do dupy, a on będzie się z nas śmiać. Bo on jest historyk. Bo on wszystko wie, bo mu dziadek powiedział. Że

nam zrobią drugie Jedwabne, obsmarują, wywleką brudy, zrobią z nas morderców. No i nie wytrzymałem, i...

Żabka zamilkł.

– Zabił go pan? – zapytała Franz.

– Nie! Nie! – Żabka natychmiast się wyprostował i wytarł twarz. – Dali my sobie po razie, a potem wyrzucili my go z knajpy i wrócili my oglądać mecz.

Prokuratorka rozgryzła w zębach niewidzialne ziarenko. Nie będzie łatwo.

– Pytał ich pan o to? – zapytała, jeszcze raz zerkając w notatki.

– Kogo? O co? – zdziwił się Żabka.

– Dziadków. O Żydów.

– Ja? Ich? Nie! – Przesłuchiwany gwałtownie pokręcił głową.

– Dlaczego?

Roman Żabka w bezradnym grymasie wykrzywił usta. Niewidzącym wzrokiem lustrował powierzchnię biurka. W końcu podniósł na nią szkliste spojrzenie.

– Bom się bał, że mi odpowiedzą.

– Mała – zakończył opowieść Bastian.

Siedzieli wokół stołu w domu ciotki Wery. On, jego matka, ciotka i wuj Marian. Iza, która przywiozła matkę z Krakowa, zamknęła się w samochodzie ze słuchawkami na uszach, tłumacząc, że ma calla. Bogdan stwierdził, że woli tego nie słuchać.

– Mała – powtórzyły równocześnie Bożena Strzygoń i Weronika Wójcik.

Ciotka wpatrywała się w stół, poruszając wargami. Matka spoglądała na Bastiana poważnie.

– Nie mogłeś tego zostawić? – usłyszał nagle płynący przez ściśnięte gardło głos wuja. Marian Świątek był blady. – Po coś drażył? Po co żeś rył pod naszym rodzinnym domem?

Dziennikarz nie spodziewał się ataku akurat z tej strony. Był pewien, że wuj zagada problem, nawet się obawiał, że zacznie sadyć niepoważne komentarze i wszystko popsuje.

– Bastek, ja cię proszę. Zostaw to już. Nie pisz. Wystarczy, że my wiemy. A jak napiszesz, to jak to będzie? – wybuchł. – Jak?

– Maryś, przecież wszystko dobrze się skończyło, okazało się... – zaczęła Bożena Strzygoń.

– No co się okazało? Co wiadomo? – miotał się wuj. Bastian go nie poznawał. – Że może, chyba, prawdopodobnie, bo jest jakiś stary ciuch...

Urwał. Bożena Strzygoń pokiwała głową.

– No jak to teraz będzie? – powtórzył Marian Świątek.

– Inaczej – powiedziała ciotka Wera.

– Bastek. – Wuj zebrał się w sobie. – Jak to napiszesz, to trzeba będzie znaleźć, kto ją naprawdę zabił. Musi być sprawiedliwość na tym świecie. Nie może być tak, że pójdzie w świat, że mój tato...

– To niemożliwe – odparł dziennikarz. – Chyba że po publikacji odezwie się ktoś, kto pamięta. A przecież to pokolenie, które mogłoby wiedzieć, odchodzi. Wspominaliśmy ich tu niedawno, pamiętacie. Zostaje pokolenie, które...

– ...nie wie – dokończyła ciotka Wera.

– Teraz się dowie – powiedziała jej siostra. Bastian miał wrażenie, że lekko się do niego uśmiechnęła.

– I nie uwierzy – sapnął wuj, przebierając palcami po gałce laski. – Wiesz, co ludzie powiedzą. Tyle to warta. Po co to w ogóle było ruszać.

– Żebyś ty wiedział – przerwał mu dziennikarz. – Żebym ja wiedział. Żebyście wy wiedziały. Bo jak się wie, to można przestać się bać.

Popatrzył na zgromadzone przy stole rodzeństwo. Tak, można przestać się bać. Przestać zamartwiać się o wszystkich, żeby zagłuszyć własny lęk. Przestać udawać, że tak naprawdę jest wesoło. Przestać starać się nie myśleć o tym, co leży na dnie szafy. Przestać uciekać. Bo ucieka ten, kto się boi.

Położył przed ciotką pierścioneł. Wzięła go do ręki, z trudem wsunęła na palec. Pierwszy raz od swojego ślubu.

Wuj z szurnięciem odsunął się na krzesło. Podniósł się, wsparł na lasce.

– Ja się z tym nie zgadzam. – Zadrżała mu grdyka. – Ja tego nie przyjmuję do wiadomości. Tobie się wydaje, że będziesz zmieniał świat, tak? Nie zmienisz świata, Sebastian.

Nikt się nie odezwał, gdy wuj ruszył do wyjścia.

– Nie zmieniaj mi świata – rzucił jeszcze, nie odwracając się. Trzasnęły drzwi.

– Nie będzie szczęśliwego zakończenia – westchnęła ciotka.

Strzygoń pokręcił przecząco głową.

– Mam o tym pisać? – zapytał.

– Sam wiesz – odpowiedziała matka.

– Pisz – dodała ciotka Wera. – To jedyne, co możesz zrobić.

W tarnowskiej prokuraturze udostępnił jej salkę. Prokurator Judyta Franz wołała na to przesłuchanie pofatygować się do Tarnowa niż ściągać Macieja Wężyka z powrotem do Dąbrowy. Tam, gdzie czuł się zagrożony. Rozłożyła swój zeszyt i teczkę z papierami, podniosła pokrywę laptopa. Nalała sobie kubek wody.

Szczękneła klamka.

Maciej Węzyk niezgrabnie się uklonił, patrząc spode łba. Był ciągle w tym samym dresie i znoszonych adidasach, w których policjanci zwinęli go z domu. Przeczesał palcami włosy i usiadł na wskazanym krześle.

– Dzień dobry, panie Macieju – powiedziała łagodnie Judyta Franz. – Chciałam panu przekazać, że Dorota Seweryn czuje się dobrze. I ma pan pozdrowienia od matki. Wyjechała do rodziny do Zielonej Góry.

Poprzedniego dnia Wielicki sam zaniósł starej Węzykowej walizkę do autobusu i upewnił się, że dotarła na miejsce. Nawet się ucieszyła, że spędzi z dawno niewidzianą siostrą trochę czasu. Nie pytała, dlaczego ma pilnie zniknąć z Dąbrowy. Nie chciała wiedzieć, albo może wiedziała aż za dobrze.

Maciej Węzyk odetchnął, przymknął oczy. Podziękował prokuratorce spojrzeniem.

– Wie pan, dlaczego znalazł się pan w tutejszym areszcie? – kontynuowała Franz.

Węzyk podrapał się po karku, wietrząc podchwytliwe pytanie.

– Myślicie, że mam coś wspólnego ze śmiercią mojego ojca? Bo przecież nie za te napisy – odpowiedział, rzucając czujne spojrzenia spod opadającej na czoło grzywki.

– Znalazł się pan w tutejszym areszcie dla własnego bezpieczeństwa – wyjaśniła. – Ale może się pan już nie martwić. Mariusz Kaługa, Krystian Papa, Roman Żabka i Marcin Socha też trafili za kratki.

Maciej Węzyk gwałtownie wciągnął powietrze, poczerwieniał, aż się przestraszyła, że się zakrztusił.

– Wiemy już dużo – kontynuowała. – Że do bójki doszło w barze U Bosmana. Że poszło o Żydów. Że po zwłokach

pańskiego ojca przejechał dostawczak Marcina Sochy. Że w tuszowaniu sprawy maczali palce podkomisarz Kaługa z aspirantem Papą. Domyślamy się, że pan również został zobowiązany do milczenia. Ale może pan już przestać milczeć i wreszcie to z siebie wyrzucić.

– Skoro już wszystko wiecie. – Maciej Wężyk zwiotczał, jakby napięcie, które trzymało go w pionie, nagle opadło. Jakby w tej chwili przyszło na niego wielkie zmęczenie wszystkich nieprzespanych nocy, bicia się z myślami, strachu i wyrzutów sumienia. – To co to zmieni?

– Panie Macieju. – Judyta Franz położyła łokcie na stoliku i nachyliła się do chłopaka przez blat. – Nie obiecuję panu, że gdy opowie nam pan o tym, co się stało, to wszystko zniknie, jakby nigdy się nie wydarzyło. Nie poczuje się pan nagle wolny, nie odejdzie pan w stronę zachodzącego słońca, zostawiając wszystko za sobą. Ale mogę zagwarantować, że jeśli pan nam nie powie – zawiesiła głos – zostanie to z panem już na zawsze.

Wężyk zwiesił głowę, skrzypiąc podeszwą buta o podłogę. Judyta Franz czekała. Nagle na stolik coś kapnęło.

Łza. Potem następna.

Maciej Wężyk płakał, bezgłośnie łykając powietrze. Prokuratorka sięgnęła do torebki i podała mu paczkę chusteczek higienicznych.

– Jest taki moment, kilka sekund, nie wiem dokładnie ile, które oddałbym za całe swoje życie – zaszlochał. – Rozumie pani? Wie pani, o czym mówię?

– Proszę mi wytłumaczyć – powiedziała.

Maciej Wężyk głośno wysmarkał nos w chusteczkę, wytarł rękawem stolik przed sobą.

– Matka kazała mi go szukać, to poszedłem – zaczął. Judyta

Franz wstrzymała oddech. Najważniejszy świadek właśnie zaczął zeznawać. – Nad Breńkę, pod nowy kościół i pod stary. Do Bosmana. W barze było pełno ludzi, leciał mecz. Spytałem, czy jest ojciec. Ktoś powiedział, że zrobił burdę i jest na zapleczu. Poszedłem tam. Stałem w drzwiach.

Przełknął ślinę, podeszwa coraz szybciej skrzypiała o podłogę.

– Bosman trzymał go pod ramiona. Kaługa stał z założonymi rękami. A Roman Żabka, kiedyś wspólnik mojego ojca, ten, co ma koło Rynku sklep spożywczy, okładał go pięściami po twarzy. Ojciec bełkotał coś, był pijany. Odgrażał się. A ja stałem w drzwiach i patrzyłem. Patrzyłem i...

Urwał, wytarł nos i oczy, próbował uspokoić oddech.

– Wie pani, ja go nienawidziłem. To nie znaczy, że go nie kochałem, był w końcu moim ojcem – dodał szybko. – Ale wtedy, w tych drzwiach... Patrzyłem, jak go biją, i czułem – podniósł na nią błagalne, przeproszające spojrzenie – satysfakcję. Że choć raz to jego biją, a nie mnie. Że ma za swoje. I to była ta chwila, ten moment.

Pociągnął nosem. Przygryzł wargę.

– Mogłem wtedy kazać im przestać. Powstrzymać ich, nie wiem, rzucić się na Żabkę. Chociaż ich było trzech. A ja nie umiem się bić. Ale mogłem spróbować. Cokolwiek.

Franz słuchała, starając się nawet nie drgnąć. Chłopak znowu zamilkł. A potem odetchnął, pochylił się, zakołysał. Mówił dalej:

– Ale nic nie zrobiłem. I wtedy Żabka złapał coś, nie pamiętam, chyba łom, i walnął mojego ojca w głowę. Bosman go puścił i zaczął krzyczeć, Kaługa odciągnął Żabkę, który był w jakimś szale i też krzyczał. A mój ojciec upadł na ziemię. Nie ruszał się.

Maciej Węzyk urwał, oddychał chrapliwie. Judyta Franz

czekała.

– Skoczyłem do ojca, krwawił. – Wężyk patrzył na swoje rękę. – Ja też krzychałem, że trzeba karetkę, żeby na pogotowie. Ale Kaługa dotknął jego szyi i powiedział, że już za późno, że on nie żyje. I że nikt nie może się dowiedzieć o tym, co się tu wydarzyło. Że jego już nie uratujemy, ale możemy uratować siebie.

Chłopak skończył i sięgnął po kubek z wodą. Wypił chciwie i otarł drżące wargi.

– Dlaczego ich pan posłuchał? – spytała prokuratorka. – Dlaczego pan do nas nie przyszedł?

– Żabka od razu zadzwonił po Papę, swojego zięcia. Naradzili się z Kaługą, że jak nikt nic nie powie, to nikt się nie dowie i nikt nie pójdzie do więzienia. Że mogą zrobić tak, żeby to wyglądało na wypadek. Bosman wziął na siebie, że ludzie z knajpy nic nie powiedzą. A mnie ostrzegli, że jak puszcę parę z ust, to oni zgodnie zeznają, że to ja zrobiłem. Że to moja wina.

– I uwierzył im pan? – Prokuratorka uniosła brwi.

Maciek Wężyk spróbował się do niej uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko grymas, skrzywienie wąskich, bezkrwistych ust. Chudy, niezgrabny, zaniedbany. Niewzbudzający sympatii, empatii ani współczucia. W starciu z czarującym Kaługą, charyzmatycznym Bosmanem czy Żabką, człowiekiem sukcesu, Maciej Wężyk nie miał szans. Nikt by go nie wsparł ani mu nie uwierzył.

– Uwierzyłem. Bo to prawda. Przez to, że tę jedną chwilę tam stałem i zadowolony patrzyłem, jak go biją, to już na zawsze będzie moja wina.

Rozlał im do kieliszków prosecco, którego zapas Wiolka przywiozła z Krakowa. Popołudniowe światło migotało w szkle.

W kuchni rozbrzmiewały brzęk naczyń, skwierczenie, śmiech. Matka z Izą pojechały do Krakowa, Anka też. Miał nadzieję, że Wiolka zostanie. Została.

Z bagażnika punto wypakowali dwie torby warzyw i owoców. Bastian wyniósł worek opakowań po mrożonej pizzy i zapiekankach oraz zgniecionych puszek po piwie. Zrzucił sprany podkoszulek, włożył dawno nienoszoną czarną koszulę slim fit, ogolił się. Potem już tylko pili prosecco, obierali, szatkowali, gotowali. Byli.

Wyszedł im lekki drobiowy bulion w tajskim stylu, peperonata z opiekanych nad ogniem papryk z dodatkiem miejscowych pomidorów, posypana okruskami twarogu, z jajkami na miękko, do tego pszenny chleb z gruboziarnistą solą. Mieli wiśnie i drożdżówkę z rabarbarem i kruszonką, którą zdobyła gdzieś Wiolka. Smaki tutejsze, a kuchnia zupełnie nowa, śmiał się Bastian. Babcia by się zdziwiła. A może by się jej podobało. Bo dom znowu pachniał jedzeniem.

Uzupełnił szkło. Sięgnęła po wiśnię. Przyglądał się, jak po jej dłoni spływa sok, jak skórka owocu muska jej wargi, jak lśnią jej oczy, w których odbija się morelowe światło zachodzącego słońca. Odgarnął jej z policzka kosmyk czarnych włosów. Spojrzała na niego.

– Wiolka, ja...

– Ćśś. – Położyła mu palec na ustach. Ujął jej dłoń, delikatnie zlizął z palca wiśniowy sok, czerwony jak krew.

Poderwali się, przyłgnęli do siebie, byle bliżej, smakując się i chłonąc. Zakręcili się w tanecznym piruecie, wylądowali przy blacie. Przycisnął ją do niego, wpił się w jej szyję, dłońmi chciwie zebrał jej bluzkę na bokach, uniosła ręce, ściągnął jej bluzkę przez głowę i sunął pocałunkami przez jej obojczyk,

dekolt, piersi. Pospiesznie pozbywali się ubrań, przywarli do siebie kurczowo i rozkołysali się energicznie, gdy Wioletka, przysiadłszy na blacie, objęła go udami.

A potem spłynęli na ciepłą od słońca podłogę. On na deskach, ona na nim, smakowali owocem i latem, i sobą nawzajem, z metalicznym i gorzkim posmakiem życiodajnej krwi i wina. Aż osunęli się jedno przy drugim, nadzy i spoceni, na wznak, pośrodku domu. Dwa ciała bez winy.

Strzelił korek kolejnego prosecco. Bastian nie mógł napatrzeć się na jej nagość. Siedząc na podłodze, rozglądał się po domu.

– Stół – zawyrokował. – Chcę się z tobą kochać na stole. I tam, w rogu, tam kiedyś był piec, Anka by powiedziała, że to dusza domu czy coś. Więc tam. Albo na strychu, tam jest upojnie gorąco, tylko trochę syf. Kurde, szkoda, że stodoła się zjarała, zawsze chciałem się bzykać na sianie.

Zamknęła mu usta wiśnią i przejęła od niego świeżo otwartą butelkę. Wstała, nieskrępowana, rozejrzała się za kieliszkami, napełniła je, upiła łyk, zniknęła w łazience. Strzygoń wciągnął spodnie i zarzucił na siebie rozpiętą koszulę, pozbierał rozsypane po stole owoce. Przystanął. Zamknął oczy.

Odetchnął głęboko.

– Okłamałam ją, Gert – powiedziała Anka i objęła kolana ramionami. – Czy to nie chore? Wkręciłam ją i naopowiadałam jej niestworzonych rzeczy po to, żeby prawda mogła zatriumfować. – Skrzywiła się. Nie znosiła wielkich słów. – I jeszcze podparłam się autorytetem nauki.

Wszystko okazało się skomplikowane. Naukowe podejście miało przeprowadzić ją prosto wytyczoną ścieżką od ogółu do szczegółu, ale obraz, który w rezultacie uzyskała, okazał się

nieoczywisty. Starła się zachować racjonalny dystans i tym razem nie dać się ponieść, ale w ten sposób przegapiła kluczowy element dynamiki wydarzeń – emocje Bastiana. Oberwało jej się za to rykoszetem, ale to nie było najważniejsze. I jeszcze kiedy pierwszy raz w praktyce użyła socjotechnicznej sztuczki z własnego podwórka, poczuła się z tym fatalnie. Zwykła manipulacja, żeby nie powiedzieć – kłamstwo.

Przycisnęła policzek do kolana, a Gerard objął ją i podrapał po plecach. Kot wskoczył na kanapę i ułożył się wzdłuż jej uda.

– Ale ja znowu cały czas gadam o sobie – westchnęła. – Ty coś powiedz.

– Wiesz, w sumie to chciałem z tobą pogadać. – Zabrał dłoń z jej pleców i położył łokcie na kolanach. – Tylko obiecaj, że nie będziesz mi przerywać, dobra?

Kiwnęła głową. Zmarszczka między brwiami – nowy element na jego twarzy, który pojawił się niedawno – nie zwiastowała nic dobrego.

– Więc – podrapał się po policzku i splótł dłonie – nie wiem, ile kilometrów robię tam i z powrotem przez A4, ale powinienem już dostać jakąś kartę stałego klienta. Jak rano wychodzę do roboty, to nigdy nie wiem, gdzie będę spać, czy w Gliwicach, czy w Krakowie. I jak mówię, że „idę do domu”, to zaczynam się gubić, co to znaczy. Czy idę do rodziców, czy do ciebie. Czasem szukam swoich rzeczy i nie mogę sobie przypomnieć, gdzie są. Czy zostały u starych, czy gdzieś mi schowałeś.

– Nie schowałam, tylko odłożyłam na swoje miejsce – weszła mu w słowo i zamilkła, widząc jego spojrzenie.

– Czasem budzę się w nocy i przez ułamek sekundy nie wiem, gdzie jestem – ciągnął. – Ja po prostu nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

Nabrała powietrza, żeby zapytać, o co mu właściwie chodzi, ale dał jej znak, że ma nie przerywać.

– Z ojcem też jest coraz trudniej. Obaj mamy przesyt. W domu ciągle gadamy o projektach. Wyobraź sobie, że mieszkasz z szefem. Że rano w drodze do haźła spotykasz profesora Gwizdałowskiego w piżamie, jak drapie się po dupie.

Wyobraziła sobie i ogarnęła ją zgroza.

– Że robisz sobie wieczorem drinka, a on ci stuka paznokciem w zegarek, że rano pobudka o wpół do siódmej. Jak się na mnie wkurzy o coś w biurze, to w domu dalej jest obrażony. W końcu nie wytrzymam i powiem albo zrobię coś głupiego. Nie tak miało wyglądać moje życie. Miałem być wolny. A tak to w domu ojciec nie daje mi zapomnieć, że to on jest szefem, a tutaj ty tresujesz mnie jak kanapowego pieska do korzystania z kuwety. Mam tego dosyć i muszę podjąć jakieś decyzje.

Popatrzył jej w oczy. Zmarszczka między jego brwiami się pogłębiła. Uśmiechnął się przeproszająco kącikiem ust. Wstrzymała oddech, położyła rękę na jego splecionych dłoniach, ale się wywinął od jej dotyku.

– Muszę się od nich wyprowadzić – stwierdził.

Opadła na oparcie kanapy. O mało serce jej nie stanęło. Powiodła spojrzeniem po przybrudzonych ścianach. Kolory niemodne, wybierała je jeszcze na studiach, kiedy się tu przeniosła z Biezanowa, od rodziców. Regał trzeba będzie przeprojektować, przecież nie zmieszczą się tutaj wszystkie książki – i jej, i jego. Ale w końcu od czego jest architektem. Wreszcie będzie okazja wyrzucić trochę kłamotów. I może kupić zmywarę, bo on zawsze marudzi przy zmywaniu. Czy jest na to gotowa? Poczowała się jak przed daleką podróżą.

– Trzeba będzie odmalować – powiedziała. – I nie wiem, gdzie

się zmieści twoje biurko, chyba że będziemy mieli wspólne.

Pokręcił głową.

– Ania, nie zrozumiałaś. Ja nie mam zamiaru wyprowadzić się do ciebie.

Wiolka wróciła w białej lnianej sukience i z mokrymi włosami.

– Chciałbym czegoś jeszcze – powiedział. – Chciałbym, żebyś pokierowała *Raportem Strzygonia*.

Spoważniała.

– Co ty mówisz, Bastian?

– Jesteś świetna. Ogarniasz wszystko. Umiesz zarządzać, planować, redagować, promować. Cieszy cię to. Wierzysz w to – zakończył.

– Ty nie wierzysz?

Przyglądał się bąbelkom, które odrywały się od dna kieliszka, wirowały w złocistym płynie, żeby rozprysnąć się na powierzchni miniaturowym fajerwerkiem. Jeden za drugim, na wyścigi, pod ciśnieniem, choć puste w środku, wzburzając, wzbudzając pianę. I znikając. Jak newsy, headline’y, komentarze i tweety.

– Kiedy napisałem o kościach, zainteresowanie trwało może trzy dni. Zanim nadszedł follow-up, ludzie zdążyli zapomnieć. I teraz też tak będzie. Napiszę, ktoś się wzburzy, ktoś pohejtuje, ktoś wzruszy ramionami, a potem wszyscy zapomną. I jest jeszcze coś – dodał. – Mój zakład z diabłem. Z Francją.

Za dostęp do opinii biegłego na temat kości Amalii Szachen zapłacił puszczaniem w świat niewinnego fake newsa. Wyssanej z palca historii o laserowym skanowaniu Dąbrowy i rekonstrukcji 3D zwłok Wężyka, wszystko w słusznej sprawie, żeby złamać znową milczenia, żeby uwikłani w nią ludzie poczuli, że nic się nie ukryje.

– Czujesz się winny?

Skinął głową.

– Bastian, to było nieszkodliwe, a pomogło. Poza tym przecież *Raport Strzygonia* nie ucierpiało wizerunkowo. – Ugryzła się w język.

– Nie to było najgorsze. Nie wytrzymałem. Zadzwoiłem do Dawcia, powiedziałem mu off the record, zaklinając na wszystkie świętości, że ma dochować tajemnicy, i przyznałem, że to była prowokacja, proaktywne działania prokuratury za pomocą mediów. Wiesz, co powiedział?

Uniosła brwi.

– „Stary, czym ty się przejmujesz, wiesz, jakie zrobiliśmy tym zasięgi? Ważne, że się ludziom podobało!”

– Bastian. – Dotknęła jego dłoni. – Nie możesz przestać.

– Zgadza się, nie mogę przestać, Wiolka. – Popatrzył jej w oczy. – Właśnie dlatego muszę się skupić na pisaniu. To jedyne, co mogę zrobić.

Żadne z nich się nie odzywało. W końcu puściła jego dłoń i podała mu do ust wiśnię.

– Czyli – rzuciła z błyskiem w oku – zmienimy nazwę na *Raport Kozyry*, tak?

Przygryzł pestkę.

– Chyba śnisz.

– To może przynajmniej *Raport*? – nie dawała za wygraną.

Nikt nie mówił, że będzie lekko. Będzie inaczej.

Anka zamarła, Pluto posłał jej złe spojrzenie żółtych oczu. To, co jeszcze przed chwilą zepchnęła gdzieś głęboko jako niejasne przecucie, wydostało się na powierzchnię, rozlało pięknym

niepokojem w okolicy serca. Krew odpłynęła jej z twarzy.

– Co ty chcesz zrobić, Gert? – szepnęła.

– Na początek coś wynajmę. Jeszcze nie wiem gdzie. Połowa drogi wypada w Chrzanowie, ale niech będą Katowice. Będzie bliżej. Bo przecież ty już masz prawo jazdy i też możesz do mnie przyjeżdżać, prawda?

Najpierw ulga. A zaraz znów nerwowe drzenie. Miałaby kursować na swojej motorynce co drugi dzień przez A4, żeby spać nie u siebie, kąpać się w obcej łazience, w której – gotowa była się o to założyć – nie będzie idealnie wysprzątane, chyba że Gert na swoim zacznie zdradzać objawy pedantyzmu swojego ojca? Ale on kolejny rok dokładnie tak funkcjonuje.

– A potem się zobaczy. Może przeniosę się do Krakowa i razem wynajmiemy coś większego.

Szerzej otworzyła oczy. Coś większego? Przecież tu jest jej dom.

– Ale na początek muszę trochę pomieszkać sam ze sobą. Przekonać się, kim jestem, kiedy nie robię staremu na złość albo nie próbuję zadowolić ciebie. W miejscu, gdzie moje szpargały są na swoim miejscu nawet wtedy, kiedy leżą na środku, bo właśnie tam się przewróciły.

Zanurzyła palce w czarnym futerku kota, machinalnie drapiąc go za uchem.

– Co tak patrzysz? – zapytał Gerard, przebiegając palcami wzdłuż blizny na twarzy. – Z ojcem już gadałem, stresowałem się trochę, ale powiedział, że to dobry pomysł. Chyba nawet mu ulżyło. Ale z tobą – wreszcie dotknął jej, ostrożnie położył rękę na jej plecach; jego dłoń wydała jej się nagle bardzo ciężka – stresowałem się bardziej. Nie cieszysz się?

W takim układzie, jak do tej pory, była szczęśliwa. Ale

musiała być naprawdę głupia, jeśli wierzyła, że to się nigdy nie zmieni. Że to nie będzie kosztować. A więc żeby zbudować z nim dom, musi opuścić własny?

– Nie, jasne, cieszę się bardzo. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem i pogłaskała jego kolano.

Kolejne kłamstwo.

– Zobaczysz, będzie fajnie. – Przygarnął ją, pocałował w przedziałek.

Będzie, pomyślała. Inaczej. Trudniej. Może i fajnie, ale będzie musiała się postarać.

Wieczór przyszedł jak oddech ulgi, chłód od Breńki ścielił się na polach, a chmury na horyzoncie czerwieniały, podświetlone światłem spoza horyzontu. Bastian Strzygoń i Wiolka Kozyra siedzieli na schodach domu, paląc wspólnego papierosa. Nic nie mówili, patrzyli, jak mrok powoli pochłania korony dalekich drzew, potem pola, sad, wreszcie podchodzi pod ich stopy.

– Jak się czujesz, Bastian? – zapytała.

Zmrużył oczy.

– Dorosły.



EPILOG

Sucha trawa pachniała już jesienią, szeleściły pod stopami sypiące się z drzew liście. Cmentarz żydowski w Dąbrowie leżał w środku miejscowości, naprzeciw synagogi, za starostwem powiatowym, i przypominał rzadki las albo zdziczały park. Taki, do którego się nie chodzi, aż z czasem przestaje się go zauważać. A gdy już wkroczyło się między drzewa, gdzie z traw gdzieniegdzie wyglądały pojedyncze, przygarbione macewy, nagle wszystko cichło, miasteczko zdawało się majaczyć w oddali.

Nieopodal ogrodzenia, wokół świeżego wykopu, skupiła się grupka odświętnie ubranych ludzi. Pośród nich, na katafalku, spoczęła niewielka biała trumna.

Przed nią stał rabin z delegacją gminy wyznaniowej. Śpiewna modlitwa niosła się po trawach, pomiędzy drzewami, ponad macewy, nikła za ogrodzeniem, wśród aut przejeżdżających ulicą Warszawską wiodącą na Szczucin.

Gdy rabin skończył, trwał chwilę, patrząc na białą trumnę.

– Jest taki wiersz – powiedział dźwięcznie. – Pieśń. A niektórzy mówią, że nawet modlitwa. Napisała ją żydowska poetka Zeld. Nosi tytuł *Lechol ish yesh shem*.

Przymknął oczy. Zaczął recytować. Najpierw po hebrajsku, potem po polsku.

*Lechol ish yesh shem
shenatan lo elohim
venatnu lo aviv ve'imo*

*Każdy człowiek ma imię,
które nadał mu Bóg
i które nadali mu ojciec i matka*

Mala Szachen – w myślach Bastian wciąż wracał do artykułu, który, chociaż gotowy od dawna, jeszcze czekał na swój czas. Dziennikarz postanowił najpierw opowiedzieć historię Mali w Gminie Wyznaniowej Żydowskiej i złożył zeznanie przed prokuratorem Kogutem. Gmina zajęła się formalnościami i pochówkiem. A artykuł Wiolka miała opublikować dopiero dziś wieczorem, po pogrzebie.

Tak dali jej na imię ojciec i matka, tak ją przedstawili swojemu Bogu, naszemu Bogu, w kwietniu 1925 roku. Tak mówili do niej w szkole. Inicjał tego imienia nosiła na pierścionku. Tym imieniem wołał ją mój dziadek na łożu śmierci.

Poprawił wsuwkę przytrzymującą kipę na targanej wiatrem fryzurze. Rabin recytował:

*Każdy człowiek ma imię
które nadała mu jego postać i to jak się uśmiecha
i które nadały mu jego łachmany*

„Rekonstrukcja wyglądu przyżyciowego”. To, co w języku kryminalistyki brzmi sucho i technicznie, dla mnie było pierwszym spojrzeniem jej w twarz.

Tak napisał, ale poprawi przed publikacją. Bo pierwszy raz spojrzął jej w twarz na dnie wykopu, gdy wszystko się zaczęło.

To dzięki szkicowi biegłego antropologa i rodzinnemu zdjęciu z archiwów Ośrodka Spotkania Kultur, dzięki tej twarzy udało się uchwycić pierwsze nitki sprutej osnowy jej historii.

To ten uśmiech zapamiętali pragnący zachować anonimowość mieszkańcy Dąbrowy, którzy jeszcze pamiętają okupację. Uśmiech skrywający nieśmiało złoty ząb, pamiątkę po próchnicy albo wypadku z dzieciństwa. Zapamiętali też jej „zły wygląd”. Bo o wyglądzie tej pięknej dziewczyny mówiono: zły. Semickie rysy przyniosły jej wyrok śmierci. Słyszałem to wielokrotnie, jakby to było oczywiste: „Żyd nie miał prawa żyć”.

Pomyślał o ostatniej nici tej historii. Odebrany Mali Szachen łachmanie. Ciuchu. A rabin recytował dalej.

*Każdy człowiek ma imię,
które nadały mu góry
i które nadały mu mury*

Wzrok Bastiana powędrował za ogrodzenie. Biała plama synagogi w jesiennym słońcu. Bożnica, mówiło się, gdy była jeszcze ruiną, czarną dziurą w środku miasta. Pustym ośrodkiem po spotkaniu kultur.

Jakim imieniem Mala Szachen nazywała miejsce, w którym się urodziła? – napisał w kolejnym akapicie. Po polsku „Dąbrowa” czy „Dombrowa” w jidysz? Czym były dla niej mury jej domu, synagogi, kamieniczek w Rynku? Moja mała ojczyzna.

Skrzywił się na to patetyczne sformułowanie. Ale zdecydował się je zostawić.

Jej hejm.

A rabin recytował dalej:

*Każdy człowiek ma imię,
które nadały mu znaki na niebie
i które nadali mu sąsiedzi*

W drugim rzędzie, za delegacją gminy wyznaniowej, stał zadumany ksiądz. Obok księdza pochylali głowy kierowniczka Ośrodka Spotkania Kultur i burmistrz. Nie przyjechali biskup ani nikt od wojewody. Zza siatki ukradkowe spojrzenia rzucali przechodnie. Jedni przystawali, inni przyspieszali kroku. Po drugiej stronie ulicy, na przystanku, stała grupka ludzi, obserwując uroczystość z oddali. Nie podchodzili.

W którym momencie przestała być dla nich Malą, córką krawca, piątkową uczennicą, koleżanką z pierwszej klasy gimnazjum, a stała się jakąś Żydówką?

Przysiągł sobie, że wróci do archiwów, rozpyta ludzi. Może ktoś sobie coś jeszcze przypomni, może gdzieś się znajdzie jej rodzina. Miał trochę nadziei, że po jego artykule prokuratorzy Instytutu Pamięci Narodowej wznowią śledztwo, żeby sprawdzić, czy zabójstwo Mali było zbrodnią wojenną, a nie mordem rabunkowym – bo wtedy nie ma przedawnienia. Ale nie łudził się zbyt, że dowie się więcej. I tak udało im się ustalić nadzwyczaj dużo.

Rabin recytował:

*Każdy człowiek ma imię,
które nadały mu jego grzechy
i które nadały mu jego tęsknoty*

Bastian usłyszał, jak ciotka Wera wyciera nos. Wzięła od jego matki chusteczkę i podziękowała skinieniem głowy. Stali tam we trójkę. On w czarnej marynarce do postrzępionych dżinsów i w szydełkowej kapie, którą kupił na krakowskim Kazimierzu. Matka w czarnym kostiumie, ciotka w prostej popielatej spódnicy i białym żakiecie. Wuja Mariana nie było. Nawet nie odebrał telefonu. Bogdan czekał w samochodzie. Iza wróciła do Stanów. Zanim wyjechała, kazała zasypać wykop w sadzie i posadziła tam czereśnię.

Zastanawiał się, czy będzie tęsknił. Za nostalgicznym galicyjskim krajobrazem, za wieczornymi odgłosami lata, za krążącymi wokół stołu cieniami. Wynajął już kawalerkę w Krakowie i przewiózł większość rzeczy. Dzisiaj zapakował do Brzydala resztę i po pogrzebie miał zamiar stąd wyjechać. Nie, nie uciec. Odejść.

Dziadku, dziadku, pomyślał. Jeśli możesz, spoczywaj w pokoju.

Rabin recytował:

*Każdy człowiek ma imię,
które nadali mu wrogowie
i które nadała mu miłość*

Anka Serafin zajęła miejsce na uboczu. Nie podchodziła do stojącej w pierwszym rzędzie rodziny Bastiana. To ich moment, nie jej. Zrobiła dla tej dziewczyny i dla zamordowanego w ostatnim akcie tego dramatu Władysława Wężyka tyle, ile potrafiła. Posiedziała w archiwach. Przeanalizowała fakty. Podzieliła się wiedzą.

Kiedy przyjechała tu pierwszy raz, szukała przygody, adrenaliny, podniety. Chciała znów być w centrum wydarzeń.

Zwycięzać wrogów. Ale może jej arena jest gdzie indziej. Bardziej na uboczu.

Nie jest wojownikiem. Ale jest naukowcem.

Róży Wiśniewskiej powiedziała, że wprowadziła ją w błąd w efekcie prowokacji. Dziennikarka się nie przejęła, bo temat odbił się szerokim echem. Nie przejęła się też, kiedy Anka powiedziała jej, że nie autoryzuje materiału. Że nie chce artykułu o sobie. I ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale nie jest jej przykro. Że czuje ulgę.

Objęła się ramionami. Nie było z nią dziś Gerta, do którego zawsze się przytulała, gdy było jej zimno. Nie mógł się urwać z biura, bo przyjeżdżał klient, dla którego przez ostatnie kilka miesięcy intensywnie pracowali z ojcem. Spojrzała na zegarek. Powinna się zbierać, musi jeszcze dojechać do Katowic, przebrać się u Gerta, bo idą z Kelerami na kolację z klientem. Stresowała się – pierwszy raz to ona miała wystąpić u jego boku. Rzeczywiście, odkąd wyprowadził się od rodziców, było inaczej. Trudniej. Bardziej.

Rabin recytował:

*Każdy człowiek ma imię,
które nadały mu święta
i które nadała mu praca*

Judyta Franz poprawiła duże okulary przeciwsłoneczne. Nie miała obowiązku tu przychodzić. Ale usłyszała, że Zdzisław Kogut się nie wybiera. Uwierało ją to umorzenie. Nie podobało się jej, gdy prawo nie docieka, gdy nie nakazuje szukać winnego za wszelką cenę. Ale na miejscu Zdzisława musiałyby zrobić to samo. Przynajmniej Strzygoń dopiął swego i ta dziewczyna

będzie miała grób.

W sprawie Władysława Wężyka czekało ją jeszcze dużo pracy. Przesłuchania świadków i podejrzanych ciągnęły się w nieskończoność. Wersje sobie przeczyły, ludzie kręcili, zmieniali zeznania, nikt z oskarżonych się nie przyznawał. Tylko Maciej Wężyk potwierdził wszystko, co ustalili na temat śmierci jego ojca policjanci i dziennikarze. I co Anna Serafin mówiła o napisach. Teraz zaczynała się prawdziwa prokuratorska robota. Nie błyskotliwe dedukowanie, tylko żmudne gromadzenie zeznań i dowodów.

A kolejni świadkowie, choć opornie, to jednak się zgłaszali. I przybywało dowodów. Badania balistyczne wykazały, że łuski z lasu zostały wystrzelone z jednego ze sztucerów Krystiana Papy. Na zapleczu baru Bosmana znaleźli ślady krwi. Należała do Wężyka. Sprawdzili też, że gdy wybuchł pożar stodoły u Strzygonia, Mariusz Kaługa wbrew swoim zapewnieniom nie zadzwonił po straż pożarną. Za to jeden z sąsiadów zeznał, że przed pożarem widział samochód podkomisarza.

Do wyroku skazującego było jeszcze daleko. Ale akt oskarżenia Judyta Franz już układała sobie w głowie.

Odkąd pocięli jej opony, mąż znowu zaczął nudzić, żeby gdzieś wyjechali i założyli normalny dom. Jej stosunki z komendą powiatową, z kolegami Kaługi i Papy, były bardziej niż złe. Na ciasnych korytarzach dąbrowskiej prokuratury mijano ją bez słowa. Ale nie przyjechała tu po to, żeby ją lubili. Gdziekolwiek się wyniesie, zawsze będzie tak samo. Zawsze będzie obca.

Ale jest przecież prokuratorem. Oskarżycielem. Być może, aby oskarżyciel mógł dostrzec zło, musi pozostać obcy. Nie może dać się zwieść ciepłu domowego ogniska, stać się swój.

Rabin recytował:

*Każdy człowiek ma imię,
które nadały mu pory roku
i które nadała mu jego ślepotą*

Dorota Seweryn poprawiła chłopcu kipę na złotych włosach, starając się grymas bólu zamienić w uśmiech. Chłopiec puścił jej rękę i wsunął palce w dłoń ojca. Co jakiś czas się to zdarzało: nagłe uderzenia bólu jak lodowaty szpikulec gdzieś nad sercem.

Lekarz mówił, że teraz już tak będzie. Że czasem będzie bolało. To po to, żeby nie zapomnieć, tłumaczyła sobie nauczycielka. O kimś, od czyjego nieszczęścia odwróciła wzrok.

Bastian Strzygoń już miał sięgnąć po smartfona. Przydałyby się zdjęcia. Ale dostrzegł Wiołkę, fotografującą z dystansu. Dawcio nie przyjechał. Powiedział, że to temat lokalny, i to schodzący. Co innego, gdyby Bastian miał coś o sprawie Wężyka. Po akcji ze skanowaniem laserowym i rekonstrukcjami 3D wszystkich to kręciło, ale to przecież inna historia.

Inna historia. Dziennikarz zmrzył oczy. Pomyślał o Romanie Żabce i jego dziadkach. O Maćku Wężyku, jego ojcu, dziadku, pradziadku. O nieopowiedzianych historiach.

Jak wynika z podliczenia spraw z akt przebadanych przez prof. Jana Grabowskiego – napisał Bastian w ostatnim akapicie swojego artykułu – w powiecie dąbrowskim w latach 1942–1945 zginęło 239 ukrywających się Żydów: 18 z rąk niemieckiej żandarmerii i polskiej granatowej policji w ramach ich własnej akcji, 166 z rąk żandarmerii i policji, którym wydali ich miejscowi, 6 z rąk chłopów, a 49 w niewyjaśnionych okolicznościach.

Ile było ofiar, które nigdy nawet nie trafiły na karty dokumentów? Takich jak Mala Szachen?

Przed pogrzebem podszedł do niego rabin. Uściskał mu dłoń.

– ...tylko że nigdy nie dowiemy się na pewno, co się stało – mówił Bastian. – Mam ledwie ślad, cienki jak nić.

– Pan oddał jej imię – odrzekł rabin.

Teraz kończył recytować:

*Każdy człowiek ma imię,
które nadało mu morze
i które nadała mu śmierć*

Niska staruszka wysunęła rękę spod ramienia kobiety stojącej obok Doroty Seweryn. Zacisnęła palce na krzyżyku różańca. Podniosła krótkowzroczne spojrzenie na chudego starca w płaszczu zwisającym z kościstych ramion, siedzącego nieopodal na wózku inwalidzkim, za którym stała czarnowłosa dziewczynka. Wargi starca poruszały się bezgłośnie.

W ciszy o białą trumnę zachrobotwały pierwsze grudy gliny i piasku.

A potem nad Malą Szachen znowu zamknęła się ziemia.



OD AUTORÓW

Wszystkie postacie, wydarzenia i dialogi w tej książce są fikcyjne, a ich ewentualna zbieżność z autentycznymi postaciami, wydarzeniami i dialogami może być jedynie przypadkowa. Nie dotyczy to faktów historycznych i przywołanych w książce relacji pochodzących ze źródeł historycznych. Losy Kobiety z Sadu zbudowaliśmy na podstawie wielu podobnych historii z czasów trzeciej fazy Zagłady.

Pierwsze i najważniejsze podziękowania kierujemy do Babci Stanisławy. Za jej opowieść i odwagę. „Tak było”, powiedziała.

Dziękujemy profesorowi Dariuszowi Libionce za długą rozmowę, bezcenne materiały, źródłowe odpowiedzi i całą życzliwość. Profesorowi Janowi Grabowskiemu składamy podziękowania za jego badania nad trzecią fazą Zagłady w Dąbrowie Tarnowskiej, zwieńczone książką *Judenjagd. Polowanie na Żydów 1942–1945. Studium dziejów pewnego powiatu*. Podziękowania i wyrazy szacunku za ich niestrudzoną pracę składamy także wszystkim badaczom z Centrum Badań nad Zagładą Żydów Polskiej Akademii Nauk.

Za nieocenioną pomoc, wiedzę i doświadczenie, całe lata rozmów, sugestie, adresy i telefony, a przede wszystkim za przyjaźń i wiarę w tę książkę dziękujemy Zuzannie Radzik, publicystce i członkini zarządu fundacji Forum Dialogu.

Państwu Jolancie Świerczek-Stelmach i Jerzemu Stelmachowi bardzo dziękujemy za zaufanie, spotkanie i opowieść o tu i teraz

Dąbrowy Tarnowskiej, o tym, jak pamięta ona dziś o swoich Żydach. Dziękujemy też za to, co Państwo dla tej pamięci w Dąbrowie robią.

Pani rabince Małgorzacie Kordowicz z całego serca dziękujemy za wiersz (pieśń, a według niektórych nawet modlitwę) Lechol ish yesh shem.

Doktor Magdalenie Kozłowskiej z Instytutu Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawczyni języka jidysz, dziękujemy za niezmiernie dla nas istotne konsultacje w sprawie najważniejszego imienia w tej książce.

Za cenne źródłowo-archiwistyczne odpowiedzi i nieustającą życzliwość dziękujemy także doktorowi Przemysławowi Zarubinowi z Instytutu Judaistyki UJ.

Dziękujemy panu prokuratorowi Pawłowi Marcinkiewiczowi za kluczowe dla naszej opowieści konsultacje, rady i pomysły dotyczące pracy prokuratury.

Niezawodnemu doktorowi Filipowi Bolechale, medykowi sądowemu z Zakładu Medycyny Sądowej Collegium Medicum UJ, już po raz kolejny dziękujemy za ekspercką wiedzę, liczne konsultacje i niesamowitą pozytywną energię.

Znakomitemu biegłemu antropologowi sądowemu Wojciechowi Czubakowi winni jesteśmy podziękowania za ogrom wiedzy i doświadczeń, którymi się z nami podzielili, za opowieści i – last, but not least – za świetnie spędzony wspólnie czas.

Komisarzowi Leszkowi Chołce z Biura Spraw Wewnętrznych Komendy Głównej Policji ślemy wielką podziękę za pasjonującą opowieść, podzielenie się doświadczeniem, wszystkie pomysły, odpowiedzi, a przede wszystkim za entuzjazm i doping.

Jak zawsze ogromne dzięki dla Pawła Leskiego, wieloletniego

oficera Centralnego Biura Śledczego, naszego nieocenionego konsultanta, pierwszego czytelnika i przyjaciela.

Dagmarze Poniećko, stomatolożce, wielkie dzięki za protetyczną burzę mózgów, pomoc i pomysły.

Dziękujemy Joannie Adamczyk za ekspercką konsultację na temat działania stacji bazowych BTS.

Ogromne podziękowania kierujemy do wytrawnej czytelniczki Moniki Biedy – za wnikliwą lekturę tej książki, wszystkie uwagi, słowa otuchy i wypróbowaną przyjaźń.

Wszyscy powyżej wymienieni podzielili się z nami swoją najlepszą wiedzą i doświadczeniem. Za sposób, w jaki z ich wiedzy i doświadczeń skorzystaliśmy, odpowiadamy wyłącznie my.

Drodzy Czytelnicy, pojedźcie kiedyś do Dąbrowy Tarnowskiej. Tam, pośrodku miasta, naprawdę stoi bożnica, w której działa dziś Ośrodek Spotkania Kultur. Odwiedźcie ją, a potem przejdźcie na drugą stronę ulicy, na kirkut.

Posłuchajcie tam ciszy.